ZYGMUNT KLUKOWSKI

DZIENNIK Z LAT OKUPACJI ZAMOJSZCZYZNY

(1939—1944)

WSTĘP I REDAKCJA
ZYGMUNT MAŃKOWSKI



LUBELSKA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
LUBLIN 1958

Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny
w latach wojny 1939—1944
pod redakcją Zygmunta Klukowskiego

tom V

*

tom I — Terror niemiecki w Zamojszczyźnie (1939 — 1944)
tom II — Zamojszczyzna w walce z Niemcami (1939 — 1944)
tom III — Niemcy i Zamojszczyzna (1939 — 1944)
tom IV — Dywersja w Zamojszczyźnie (1939 — 1944)

Okładkę projektował i rysunki w tekście:
Krzysztof Kurzątkowski
Redaktor techniczny: Ryszard Wnuk
Korektor: Irena Komosa
Metrampaż: Paweł Jeleniewski

Wydawca: Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza — Lublin, 3 Maja 14. Nakład: 5000+253. Zamówienie nr. 2784 z dnia 25.VI.1958 r. Oddano do druku 4.X.1958 r. Druk ukończono 15.XII.1958 r. Objętość ark. druk. 30. Ark. wyd. 40. Papier mat. kl. V. 70/100. K - 1.
Cena 42 zł.

Druk: Lubelska Drukarnia Prasowa — Lublin, Unicka 4.

Partyzantom Zamojszczyzny
— poległym i żyjącym —
dziennik ten poświęcam



Dr Zygmunt Klukowski

Na „Dziennik" dra Zygmunta Klukowskiego nie trafiłem przypadkowo. Jego autor jest bowiem powszechnie znanym i cenionym na Lubelszczyźnie działaczem społecznym i kulturalnym. Jest także jednym z niewielu nestorów amatorskiego ruchu historycznego. Ta ze wszech miar ciekawa postać, która od czterdziestu przeszło lat emanuje intelektualnie w małym kilkutysięcznym miasteczku kresowym, fascynowała i fascynuje wielu ludzi.

Wydawnictwo niniejsze, przygotowane do druku w czterdziestolecie Jego ofiarnej pracy na Lubelszczyźnie, ma m. in. ukazać tę ciekawą indywidualność w świetle Jego własnej, interesującej publikacji.

* * *

Zygmunt Klukowski urodził się 23 stycznia 1885 roku w Odesie, w rodzinie magistra farmacji, właściciela apteki. W 1896 roku rodzina Jego przeniosła się do Moskwy. Starszy brat Zygmunta, Julian, stał się wkrótce jednym z najczynniejszych działaczy kulturalnych w środowisku moskiewskiej Polonii. W jego domu bywali najwybitniejsi przedstawiciele tego środowiska, stwarzając korzystny klimat dla rozwoju przyszłych zainteresowań autora „Dziennika". Szczególnym kultem otaczane były w domu państwa Klukowskich nauki humanistyczne i bibliofilstwo. Brat Zygmunta był m. in. współzałożycielem fundacji Polskiej Biblioteki w Moskwie. Lata młodzieńcze spędził autor w szkole rosyjskiej. Wyniósł stamtąd nie tylko umiłowanie dla głęboko humanistycznej i społecznej problematyki literatury rosyjskiej, końca XIX i początku XX wieku, ale również i zapatrywania lewicowe, które w okresie rewolucji 1905—7 roku zaprowadziły go na krótko do więzienia „ na Pawiaku". Po złożeniu matury w 1904 roku wstąpił na studia medyczne w Moskwie, a po roku przeniósł się na wydział lekarski do Krakowa. Po uzyskaniu stopnia doktora medycyny w Krakowie powrócił do Rosji. Dyplom lekarski nostryfikował w Kazaniu, po czym pracował w prowincjonalnych szpitalach w okolicach Mińska. W latach pierwszej wojny światowej 1914—1918 pełnił służbę lekarza w wojsku rosyjskim. Zdemobilizowany w 1918 roku przyjechał do Polski. Przez rok pracował w Krasnobrodzie, a w październiku 1919 roku objął stanowisko dyrektora szpitala w Szczebrzeszynie koło Zamościa, które to stanowisko piastował do roku 1946, a więc blisko trzydzieści lat.

W ciągu swej czterdziestoletniej nieprzerwanej działalności w Zamojszczyźnie wpisał on do historii tej ziemi wiele pięknych kart, zarówno jako lekarz-społecznik jak i działacz kulturalny, miłośnik historii i zabytków regionu, bibliofil, wydawca i kronikarz. Stał się postacią, która w równej mierze może zainteresować historyka i socjologa. Socjologa dlatego, że w toczącej się od lat dyskusji na temat roli

inteligencji w małych ośrodkach jest on przykładem zwycięstwa woli i charakteru nad marazmem prowincji, który wciąż jeszcze deprawuje wiele cennych indywidualności.

Kiedy jako młody lekarz przybył do Szczebrzeszyna, pogrążonego wówczas w zacofanym kulturalnie bezmiarze Polski „B" zastał tu wyjątkowo niesprzyjające warunki dla swego rozwoju. Wkrótce jednak związał się z Instytutem Historii Medycyny w Poznaniu, kierowanym przez dra Adama Wrzoska. Współpraca z tym Instytutem wyzwoliła drzemiące w nim od dawna zamiłowanie do historii. W organie Instytutu: „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny" ukazały się jego pierwsze prace: „Organizacja pomocy lekarskiej dla włościan w Ordynacji Nieświeskiej ks. Radziwiłłów w I połowie XIX wieku", „Badanie trucizny w procesie Dogrumowej w roku 1785" (r. 1925), „Lekarze jako dowódcy oddziałów powstańczych w 1863 roku", „Lekarze powstania 1863 r. polegli w boju, zamordowani i straceni z wyroków sądu", „Opis dżumy w Lublinie w r. 1625" (r. 1926) i inne. Łącznie do roku 1939 dr Zygmunt Klukowski ogłosił drukiem 17 artykułów naukowych na tematy historyczne. Problematyka ich skupiała się wokół spraw organizacji służby lekarskiej w powstaniach narodowych oraz historii regionu lubelskiego. Temu ostatniemu problemowi poświęcił takie rozprawy jak: „Sprawa o szerzenie dżumy w Lublinie w roku 1711" („Archiwum Historii i Filozofii Medycyny" r. 1927), „Dawne szkoły im. Zamoyskich w Szczebrzeszynie (1811—1825)", („Zarys dziejów" r. 1927), „Ruch narodowy w Zamojszczyźnie w 1861—62 r." („Teka Zamojska" rok 1938), „Proces polityczny włościan gminy Radecznicy pow. zamojskiego w latach 1906-7" („Teka Zamojska" r. 1939) i inne. Studia historyczne przerodziły się w wielką pasję lekarza-społecznika. Z czasem wypełnią jego życie bez reszty.

Równolegle do badań historycznych pogłębia swoje studia medyczne. Pisze rozprawkę o szkodliwości palenia tytoniu przez młodzież, ordynuje w miejscowym szpitalu, wyjeżdża do okolicznych wiosek, w których stan zdrowotny a także zapatrywania na medycynę pozostawiały wiele do życzenia.

Jedna namiętność pociąga drugą. Gromadzi ceramikę ludową do przyszłego muzeum, staje się współorganizatorem „Koła Miłośników Książki" w Zamościu, bibliotekę swoją zapełnia książkami o bibliofilskiej wartości. Dzięki systematyczności i dużej inwencji osiąga w wielu dziedzinach znakomite rezultaty. Oto np. jego biblioteka, licząca obecnie przeszło dziewięć tysięcy tomów, zawiera prawie kompletny zespół polskiej literatury pamiętnikarskiej. W 1933 roku oddaje do powstającego muzeum zebrane eksponaty z zakresu ceramiki ludowej. Nie zraża się trudnościami. Żywa, wszechstronna działalność i uznanie pewnych środowisk wywołuje zawiść ze strony niektórych przedstawicieli miejscowych władz. Oto np. zamojski starosta częściowo ze złośliwości, częściowo z dyletanctwa oddał na loterię fantową przekazane do muzeum eksponaty, a z trudem zdobyty lokal przydzielił kasie komunalnej. Tego rodzaju wypadki nie były odosobnione.

Żarliwe oddanie pracy społecznej, rozległe zainteresowania, a przede wszystkim szlachetna bezinteresowność, jednają mu, na szczęście, nie tylko wrogów, ale i grono szczerych przyjaciół. Wśród nich płonęła wybitna indywidualność poety Leśmiana. Grono entuzjastów pracy organicznej działało bardzo ambitnie i bardzo owocnie. W 1929 roku urządziło np. uroczysty obchód trzechsetnej rocznicy śmierci Szymona Szymonowicza. W zjeździe naukowym poświęconym tej rocznicy wzięło udział wielu wybitnych uczonych z całego kraju. Księga Pamiątkowa Zjazdu (wydana w Zamościu) zawiera 17 rozpraw naukowych ludzi tej miary co: prof. prof. J. Kallenbach, St. Łempicki, T. Sinko, J. Krzyżanowski, R. Pollak i innych. Powstały z inicjatywy tego grona bibliofilskie wydania, budzące jeszcze dzisiaj (ostatnio eksponowano je na wystawie bibliofilskiej w Bibliotece Warszawskiej, obok wy-

dawnictw E. Zegadłowicza z Wadowic) podziw najwybitniejszych specjalistów w kraju: „Kwadraty" Młodożeńca, „Ballady" Leśmiana, wydawnictwa propagandowe o Zamościu i inne. W 1938 roku, staraniem dra Klukowskiego jako redaktora, ujrzał światło dzienne naukowy periodyk Zamojszczyzny: „Teka Zamojska". Wśród autorów tego periodyku widnieją nazwiska przedstawicieli wielu ośrodków naukowych w kraju. Przez wiele lat autor „Dziennika" pełnił funkcję prezesa „Koła Miłośników Książki" w Zamościu, organizował wraz z mecenasem Rosińskim wystawy, wygłosił kilkadziesiąt odczytów i referatów popularno-naukowych.

Przed II wojną światową praca dra Klukowskiego znalazła bardzo skromne uznanie ze strony oficjalnych władz. Po pierwszym udaremnieniu przez starostę Zamecznika udekorowania Go „Wawrzynem Akademickim" przez Polską Akademię Literatury, otrzymał w 1938 roku Złoty Krzyż Zasługi, a następnie mimo wszystko ów „Wawrzyn".

Wybuchła II wojna światowa. Dr Klukowski liczył wówczas 55 lat. Zdawało się, że karta jego twórczego życia zamknęła się. Okrutne czasy nie złamały jednak tej bujnej indywidualności. Zrozumiał, że wysuwają się przed nim nowe, ogromne zadania. Stał się w tych latach, jednym z nielicznych tego rodzaju, kronikarzem męczeństwa i bohaterstwa swej ziemi. „Szczególnie ważną rolę — pisze o tym okresie Jego życia wybitny pisarz polski Jan Wiktor w zbiorze reportaży „Kłosy na ściernisku" — odegrał w czasie okupacji. Wypełniał obowiązki na wielu polach zawsze ofiarnie, z poświęceniem, z odwagą biorąc udział w pracy społecznej, w akcji podziemnej, niosąc pomoc chorym, rannym, przyjmując do szpitala... W najniebezpieczniejszych czasach gromadził notatki, wyznania, zwierzenia, opisy, dokumenty wydobyte nieraz z zanadrza rozstrzelanego, z garści umierającego, spod koszuli ciężko rannego, niejako ostatnie tętna, ostatnie krople krwi i ostatnie tchnienia, aby je zachować i przekazać przyszłym pokoleniom". Dla tych m. in. celów odwiedza obozy partyzanckie, dostarcza oddziałom partyzanckim materiał opatrunkowy. Wieczorami i nocami pisze gorączkowo pamiętnik swego życia, bieżąco zaś prowadzi dziennik, notując w nim skrzętnie zbrodnie okupanta, nastroje społeczeństwa, nazwiska katów, członków ruchu oporu itp. W kilka lat potem na jego skromnej postaci skupią się spojrzenia najwybitniejszych prawników świata w procesie norymberskim, przed którym stanął jako świadek i rzeczoznawca w jednej osobie z ramienia narodu polskiego. Nie zapomina w złowrogich latach i o samokształceniu i o przyszłych pracach: pochyla się nad Długoszem, studiuje liczne monografie, przygotowuje konspekty do nowych prac o Ziemi Lubelskiej.

Po wojnie rozpoczyna ożywioną działalność edytorską i naukową. Wydaje cztery tomy materiałów do dziejów Zamojszczyzny w okresie okupacji — wydawnictwo o blisko 700 kartach bezcennych wspomnień, relacji i notatek bezpośrednich świadków hitlerowskich zbrodni i ruchu oporu. Obok tego w wydawnictwie Głównej Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich ukazuje się jego źródłowa praca na temat martyrologii Zamojszczyzny ze wstępem ówczesnego ministra sprawiedliwości Henryka Świątkowskiego. Dzięki tym pracom stał się sławnym nie tylko w kraju i ale i zagranicą, dokąd dotarły jego prace, jako materiał dowodowy w procesie norymberskim.

Polska Ludowa doceniła jego zasługi. W 1948 roku odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, w 1957 roku przyznano mu wojewódzką nagrodę za całokształt działalności naukowej i kulturalno-społecznej, w 1958 roku uhonorowano go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W bieżącym roku dr Zygmunt Klukowski liczy 73 lata. Jest jednak wciąż młody duchem, wciąż pełen porywających planów. Chciałby wydać dalsze tomy materiałów do dziejów Zamojszczyzny w okresie okupacji, kilkusetstronicowy pamięt-

nik własny z lat 1918—1939, tom podziemnej poezji, imienny wykaz ofiar z okresu okupacji z Zamojszczyzny, album archiwalnych zdjęć z okresu okupacji i jeszcze inne. Większość z tych pozycji jest gotowych do druku, wiele daleko zaawansowanych.

W życiu dra Klukowskiego nie brakło gorzkich doświadczeń, zawodów, nieporozumień i wręcz pomyłek. Nie miejsce tu aby o tym pisać szerzej. W ciągu całego swojego życia starał się zawsze zachować umiar, unikał jaskrawych demonstracji politycznych, nie wiązał się z partiami politycznymi, starał się być obiektywnym. Żywy nurt życia, a przede wszystkim środowisko, z którym związany był przez całe życie, nie oszczędziły go jednak, wciągając go niejednokrotnie w wir złożonych społecznie zagadnień. W okresie okupacji należał do Armii Krajowej ale też jedynym problemem, który w tych czasach go pochłaniał to była sprawa walki z okupantem. Mimo to z okresu okupacji wyszedł z wyraźnymi kompleksami tego środowiska, co w zaostrzonej sytuacji politycznej doprowadziło go dwukrotnie do poważnych konfliktów z władzą ludową.

Trudno analizować racje tych wydarzeń. Nie waham się jednak stwierdzić, że w ciągu swej czterdziestoletniej działalności dr Zygmunt Klukowski dobrze zasłużył się Ziemi Lubelskiej, że w życiu swoim realizował w jakiś sposób te ideały, które wiązał z powołaniem lekarza Stefan Żeromski.

* * *

Czytelnika, który przeżył okres okupacji w którymś z małych miasteczek w centralnej Polsce, uderzy z pewnością fakt szczególnego „zagęszczenia" zbrodni hitlerowskich w Szczebrzeszynie i jego okolicy. Nie jest to przypadkowe. Obok bowiem takich typowych zjawisk dla całego kraju, jak zagłada Żydów, deportacja części ludności do pracy w Rzeszy, akcja „AB" (Ausserordentliche Befriedungsaktion) itp. wystąpiły na tym terenie tak złowrogie wydarzenia jak wysiedlanie ludności Zamojszczyzny oraz pacyfikacje terenów objętych szczególnie silnymi wpływami ruchu partyzanckiego. W latach okupacji powiaty zamojskie, a w pewnym sensie cała Lubelszczyzna, była jednym z najbardziej zapalnych punktów w kraju. Złożyło się na to cały szereg czynników:

— Lubelszczyzna posiadała najżyźniejsze gleby w Generalnym Gubernatorstwie i dlatego okupant usiłował wszelkimi metodami zabezpieczyć wyegzekwowanie z niej jak największej ilości żywności i surowców,
— przez nią przebiegały bardzo ważne drogi przelotowe na front wschodni, atakowane przez polską i radziecką partyzantkę,
— wysoki stopień zalesienia i słaby rozwój dróg komunikacyjnych stwarzał szczególnie korzystne warunki dla rozwoju ruchu partyzanckiego — w dodatku w planach hitlerowców Zamojszczyzna, a następnie cała Lubelszczyzna, przeznaczone zostały na tereny osadnicze dla kolonistów pochodzenia niemieckiego.

Tej ostatniej sprawie warto poświęcić więcej uwagi. Oto w myśl koncepcji szalonych doktrynerów hitleryzmu a przede wszystkim samego Himmlera (ujawnił to ostatnio Czesław Madajczyk publikując w 428 numerze „Nowej Kultury" sensacyjny list Himmlera do Franka), obszar starostwa zamojskiego został ogłoszony jako pierwszy niemiecki obszar osiedleńczy w ogólnofalowym planie zagłady narodów słowiańskich. Trzeci punkt tego listu brzmiał: „W okresie od początku 1944 roku stawiamy sobie jako zadanie zasiedlenie powiatu Zamość i zniemczenie starego miasta Hanzy — Lublina". Zamierzenie, noszące znamienny kryptonim: „Grossaktion" poczęto realizować już od listopada 1941 roku. Przeznaczone do wysiedlania wsie otaczała policja i specjalne oddziały wojska. Część ludności mordowano na miejscu, część deportowano w okrutnych warunkach do przejściowych

obozów koncentracyjnych. W niektórych wsiach hitlerowcy przeprowadzali na miejscu segregację, oddzielając od rodzin dzieci, które przy silnym mrozie, bez jakiegokolwiek zaopatrzenia, żywności i odzieży wysyłano w zamkniętych wagonach towarowych w głąb kraju. Ogółem od listopada 1941 roku do sierpnia 1943 roku Niemcy wysiedlili z 297 gromad Zamojszczyzny około 110 tysięcy osób, w tym trzydzieści kilka tysięcy dzieci, co stanowiło 31% ogólnej liczby Polaków zamieszkałych na tych ziemiach. Rozwój wydarzeń na froncie wschodnim, a przede wszystkim obrona samej ludności polskiej, przejawiająca się we wzroście ruchu oporu, akcji odwetowej wobec nasiedlonej ludności niemieckiej oraz załamanie się planu egzekwowania kontyngentów z opustoszałych lub zagrożonych terenów, zmusiły Niemców do zaniechania zbrodniczej akcji. Na ratunek ludności wysiedlanych wsi ruszyły w pierwszym rzędzie oddziały Batalionów Chłopskich, które stoczyły pod Wojdą (30. XII. 1942 r.), Zaborecznem i Różą (1—2. 1943 r.) zacięte boje z przeważającymi siłami wroga, zadając mu dotkliwe straty. Ruszyły do walki również oddziały Armii Krajowej, które dokonały szeregu odwetowych napaści na nasiedlone wsie niemieckie. W lutym 1943 roku na te tereny skierowany został rozkazem Komendy Głównej Gwardii Ludowej oddział im. Tadeusza Kościuszki, dowodzony przez Grzegorza Korczyńskiego.

Szczególnie znamienny dla oceny sprawy zamojskiej jest następujący urywek z pamiętnika głównego ideologa hitleryzmu, ministra propagandy Goebelsa z dnia 25 maja 1942 roku: „Zoerner ustąpił ze stanowiska gubernatora Lublina. Złożył mi wizytę, przedstawiając powody swego ustąpienia. Ogólnie biorąc, wyciągnął z dystryktu lubelskiego nadzwyczaj wiele żywności. Da się to wytłumaczyć faktem, że dystrykt ten jest najżyźniejszy w Generalnym Gubernatorstwie. Nagle zostało mu narzucone przesiedlenie, które doprowadziło do znacznego załamania nastrojów. Najpierw miało być ewakuowanych 50 tysięcy Polaków. Nasza policja uchwyciła tylko 25 tysięcy, drugie 25 tysięcy uciekło do partyzantów. Można sobie wyobrazić jakie to ma skutki dla całego obszaru. Obecnie miał on przedsięwziąć drugą ewakuację około 190 tysięcy Polaków. Przeciwko temu słusznie, moim zdaniem, przeciwstawił się. Obecnie dystrykt jego kierowany jest z Warszawy przez gubernatora Fischera... Można włosy rwać sobie z głowy, widząc tyle nierozsądku politycznego... Odpowiedzialnych za to można by walić godzinami...".

Mimo załamania się planu wysiedlania, Zamojszczyzna pozostała nadal terenem szczególnie okrutnych rządów okupanta. Na wszystkich jej przelotowych drogach ustawiono tablice z napisem: „Bandengefahr", wprowadzając tym samym faktycznie stan wyjątkowy. Na jej terenie utworzono szereg koncentracyjnych obozów przejściowych, z Bełżcem, miejscem zagłady milionów Żydów prawie z całej Europy, na czele. Przez samo więzienie zamojskie i związany z nim obóz w Zwierzyńcu przeszło według prowizorycznych obliczeń kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na terenie osławionej Rotundy Zamojskiej odkryto po wyzwoleniu wiele masowych grobów. Na Ziemi Zamojskiej miało miejsce, najwięcej chyba, w porównaniu do innych części kraju, masowych egzekucji i pacyfikacji. Nawet pobieżne ich wyliczenie przekracza możliwości krótkiego wstępu. Wymieńmy najważniejsze: 11 grudnia 1942 roku seriami karabinów maszynowych rozstrzelano 165 mieszkańców Kitowa, 29 grudnia 1942 roku w czasie pacyfikacji wsi Feliksówki zamordowano 52 osoby, 1 czerwca 1943 roku zmotoryzowane jednostki pancerne otoczyły wieś Sochy. W ciągu kilku godzin pacyfikacji hitlerowcy zamordowali w domostwach i na okolicznych polach około 183 osoby. Po akcji wieś zbombardowano przy pomocy samolotów nurkowych, niszcząc ją doszczętnie. Szczególne nasilenie masowych egzekucji i pacyfikacji przypada jednak na czerwiec 1944 r. Związane one były z próbą likwidacji poważnych ugrupowań partyzanckich na terenie lasów józefowskich.

Wzmożony terror okupanta wywołał ostrą reakcję społeczeństwa. Zamojszczyzna stała się przy końcu okupacji jednym z najsilniejszych w kraju ośrodków ruchu partyzanckiego. Obok silnych oddziałów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich operowały na tym terenie liczne oddziały partyzantki radzieckiej oraz Armii Ludowej. Na wiosnę 1944 roku przez Zamojszczyznę przechodziła w kierunku Karpat sławna dywizja partyzancka Kowpaka. W lecie tego roku w biłgorajskich lasach nastąpiła koncentracja oddziałów partyzanckich. Przeciwko nim Niemcy rzucili trzy wyborowe dywizje. W utworzonym kotle znalazły się oddziały Armii Krajowej pod dowództwem inspektora majora Kaliny, oddziały Armii Ludowej na czele z Brygadą im. Ziemi Lubelskiej, poważne ugrupowanie partyzantki radzieckiej pod ogólnym dowództwem ppłk. Prokopiuka i mjr Karasiowa, oraz oddział Narodowej Organizacji Wojskowej. Łącznie ponad trzy tysiące partyzantów. Stoczyli oni w połowie czerwca jeden z największych w historii polskiego ruchu oporu bój, zadając nieprzyjacielowi ogromne straty oraz przerywając, choć z ogromnymi ofiarami, pierścień niemieckiej obławy.

Szczebrzeszyn i jego okolice nie znajdowały się wprawdzie w centrum tego ruchu, ale echa tych wydarzeń raz po raz wywierały na życie miasteczka i jego najbliższych okolic swój tragiczny wpływ. Jego odbicie znajdą czytelnicy w skrupulatnym zapisie dra Zygmunta Klukowskiego.

* * *

„Dziennik z lat okupacji" dra Zygmunta Klukowskiego stanowi niezwykle wartościowe źródło historyczne. Zrodzony ze szlachetnej pasji utrwalenia jak najwierniejszego obrazu życia małego miasteczka w latach okupacji hitlerowskiej, staje się już dziś, zaledwie po kilkunastu latach, cennym dokumentem epoki, z którego w przyszłości czerpać będą wiedzę nie tylko historycy ale i socjolodzy, psycholodzy oraz pisarze. Jego autor — kronikarz o wybitnej intuicji historyka, odzwierciedla bowiem koszmar okupacyjnych dni z wyjątkową precyzją. Z zaplątanego gąszcza zjawisk codziennego życia małego miasteczka autor wychwytuje zawsze wydarzenia najistotniejsze, misternie budując z nich z jednej strony obraz narastającej grozy sytuacji i zezwierzęcenia okupanta, z drugiej zaś systematycznego wzrostu oporu psychicznego i zbrojnego polskiego społeczeństwa. Do najważniejszych zalet „Dziennika" należy jednak fakt, że autor dał w nim głęboką, wysoce wiarogodną analizę zbrodni okupanta przeciwko polskiemu społeczeństwu. Szczególnie ważne jest również i to, że w toku pisania autor starał się być obiektywnym i maksymalnie ostrożnym zarówno w doborze faktów jak i w ich ocenie. Aż do przesady bronił się przed falą plotek i legend, które, znajdując podatne warunki, raz po raz wzburzały opinię publiczną. Gdy od czasu do czasu notuje w swym „Dzienniku" wieści lub podania płynące z tego „źródła" stara się określić ściśle ich pochodzenie oraz stopień prawdopodobieństwa, rozumiejąc doskonale funkcję społeczną tego zjawiska. Autor, jak wykazują to karty „Dziennika", nie żywił wobec Niemców żadnej specjalnej nienawiści. Nie był szowinistą — nienawidził faszystów za ich jawny, zwierzęcy stosunek do Polaków. Wszelkie przejawy pozytywnego stosunku Niemców do Polaków notował skwapliwie, aby, jak mówił to później, ratować swą „wiarę w ludzkość". „Dziennik" jest więc świadectwem prawdziwym, jest dziełem obiektywnym.

Instynkt kronikarza-historyka nakazywał mu również eliminować ze swych notatek nadmiar sądów, przeżyć i drobiazgów z życia osobistego. Dzięki temu „Dziennik" jest raczej kroniką wydarzeń Szczebrzeszyna i okolicy niż dziennikiem osobistym autora. W sprawach osobistych dr Klukowski jest bardzo lakoniczny. Jeśli tu i ówdzie opisuje swoje przeżycia, to opis ten przenika świadomość, że są

one częścią składową ogólnonarodowej martyrologii. Tego rodzaju zapis musi więc nosić na sobie znamiona cennego źródła historycznego, tym bardziej, że autor wzbogacił go doskonałą znajomością środowiska oraz talentem wnikliwego obserwatora.

Wartość „Dziennika" podnosi również fakt, że w polskiej memuarystyce nie wiele można spotkać dzienników „sensu stricto" tj. zapisów prowadzonych aktualnie z dnia na dzień. Najczęściej spotykaną formą zapisów w tej grupie są pamiętniki, a więc relacje spisywane z pewnej odległości czasu, co znacznie zmniejsza ich wartość historyczną. Inną wartościową cechą „Dziennika" jest fakt, że głównym jego tłem jest małe miasteczko, a autorem człowiek zrośnięty z tym środowiskiem więzami długoletniej pracy zawodowej i kulturalno-społecznej. I w tej dziedzinie pamiętnikarstwo polskie ma poważne luki. Przeważnie pamiętniki wychodziły spod pióra osób odgrywających czołową rolę w życiu narodu: przywódców partii politycznych, powstań narodowych, czołowych działaczy kulturalnych, pisarzy itp. Dzieła ich infiltrowały na ogół centralne środowiska polityczne czy kulturalne. „Dziennik" dra Klukowskiego spełnia w tej mierze bardzo cenną rolę: odtwarza mikroklimat jednej z najmniejszych komórek życia narodowego w okresie okupacji. Powiedziałbym więcej — „Dziennik" dokonuje wiwisekcji małego miasteczka w okresie szczególnie okrutnej próby życiowej.

Dr Klukowski obserwuje środowisko szczebrzeskie wnikliwie, obiektywnie i... bardzo trzeźwo! Na szczęście żaden patriotyzm lokalny nie dyktował mu w tych czasach przymykania oczu na ujemne zjawiska w postawie niektórych osób, a nawet całych środowisk. Myśli te nasuwają się szczególnie przy lekturze kart „Dziennika" poświęconych martyrologii Żydów. Stanowią one chyba najwartościowszą a zarazem najbardziej wstrząsającą partię dziennika. Wybrane niegdyś przez autora i opublikowane w 19—20 numerze „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego" spotkały się z szerokim, bo sięgającym aż za granicę, rezonansem. Obserwując ze wzrastającą grozą rozwój wypadków, autor potępia na kartach „Dziennika" nie tylko bezpośrednich morderców szczebrzeskich Żydów, ale i te jednostki a nawet grupy Polaków, które świadomie lub nieświadomie, moralnie lub materialnie w tej zbrodni współdziałały. Nie waha się przekazać potomności ich nazwisk nie tylko w osobistych notatkach, ale w przygotowanym za życia do druku „Dzienniku". Podobnie rzecz się ma ze zjawiskiem kolaboracji. W czasie rozmów z dr Klukowskim stwierdziłem, że wszelkie zarzuty skierowane pod czyimkolwiek adresem starał się wnikliwie badać i konfrontować z dokumentami lub świadkami zarówno w czasie okupacji, jak i po jej zakończeniu. Należy przypuszczać, że dzięki temu niewiele pomyłek wykryje czujne oko czytelnika, który przeżywał z autorem gehennę okupacji niemieckiej w tej okolicy.

W „Dzienniku" dominuje wyraźnie problem wzajemnych stosunków pomiędzy okupantem a społeczeństwem polskim. W minimalnym stopniu natomiast, autor dostrzegał układ wzajemnych stosunków pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi i politycznymi wewnątrz okupowanego społeczeństwa. Niewiele np. dowie się czytelnik o wzajemnych stosunkach pomiędzy poszczególnymi organizacjami podziemnymi, o sytuacji i nastrojach klasy robotniczej, o poglądach politycznych drobnomieszczaństwa. W tym sensie czytelnik „Dziennika" śledzić będzie za autorem okres okupacji oczyma typowego inteligenta, stojącego na uboczu od niektórych środowisk a także niektórych spraw politycznych. Uderza np. powściągliwość autora wobec Związku Radzieckiego, Polskiej Partii Robotniczej itp. Inna sprawa, że Zamojszczyzna znalazła się, szczególnie w początkowym okresie okupacji, w sferze dominujących wpływów Armii Krajowej, a o szerszym ruchu robotniczym nie mogło być mowy ze względu na minimalną ilość zakładów przemysłowych. Wpływy Polskiej Partii Robotniczej dominowały w powiatach sąsiednich: krasnostaw-

skim a szczególnie kraśnickim. Autor jednak w małym stopniu zdawał sobie z tego sprawę.

Dla przyszłego badacza dziejów ojczystych „Dziennik" dra Zygmunta Klukowskiego będzie mimo to bardzo cennym dokumentem. Jego wartość polega m. in. i na tym, że w jego świetle opublikowane dotychczas fakty historyczne, statystyki i akty prawne przestaną być statyczne — „Dziennik" stanowi bowiem interesujące studium atmosfery panującej wśród społeczeństwa małego polskiego miasteczka w okresie okupacji. Żywa, błyskotliwa inteligencja autora nasyciła notatki bogactwem drobnych spostrzeżeń psychologicznych i obyczajowych. Jakże wdzięcznym należy być autorowi np. za ów porażający swą wymową obraz pogrzebu żydowskiego, w czasie którego nie przelał nikt kropli łzy, ani nie dało się słyszeć jednego krzyku boleści. Oto np. autor gorączkowo ale sugestywnie zanotował niespodziewaną zagładę poważnej części inteligencji Ziemi Zamojskiej. Dziś, dzięki materiałom procesu norymberskiego wiemy, że było to tragiczne pokłosie tzw. akcji „AB", której głównym celem miała być likwidacja „kierowniczej warstwy" narodu polskiego. Autor ukazał mechanizm jej realizacji, jej złowrogą treść. Z tego rodzaju faktami czytelnik spotka się w „Dzienniku" wiele razy.

Całe dzieło przenika powściągliwość, wyrozumiałość, optymizm życiowy i co ciekawsze, swoisty humor, który nakazywał mu ukazanie ówczesnego życia w całej jego złożoności: w ciągłej symbiozie elementów tragicznych i komicznych.

„Dziennik z lat okupacji" dra Zygmunta Klukowskiego wzbogaca polskie pamiętnikarstwo o nową cenną pozycję. Miejmy nadzieję, że wkrótce ukażą się w druku następne prace sędziwego Jubilata.

Lublin, wrzesień 1958 r.

Zygmunt Mańkowski

PRZEDMOWA AUTORA

Na parę miesięcy przed wybuchem wojny we wrześniu 1939 r,. kiedy już było jasne, że wojna jest nieunikniona i starcie zbrojne z Niemcami może nastąpić lada dzień — zacząłem pisać ten oto dziennik. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że walka będzie bardzo trudna i że przeżywać będziemy wyjątkowo ciężkie czasy. — Późniejsza rzeczywistość okazała się stokroć gorsza od tego, czegośmy się spodziewali.

Swoje przeżycia i spostrzeżenia skrupulatnie notowałem dzień po dniu. Na gorąco chwytałem na papier ważniejsze wydarzenia. Zwykle wieczorem, zanim poszedłem spać, pokrótce zapisywałem przebieg minionego dnia. Gdy pod koniec okupacji tempo naszego życia stawało się coraz żywsze, gdy bardzo ważne wypadki nieraz zachodziły bezpośrednio jedne po drugich, notowałem je na poczekaniu po kilka razy w ciągu dnia. Ogarnęła mnie jakaś pasja kreślenia swych notatek, które — jak sądziłem — będą mogły przydać się kiedyś przy pisaniu historii tych naprawdę wyjątkowych lat, nie tylko dla Zamojszczyzny, lecz i dla całej Polski. Nie liczyłem się zupełnie z niebezpieczeństwem, jakie mi groziło w razie, gdyby te notatki wpadły w ręce Niemców. Wszystkie zeszyty i luźne kartki starannie przechowywałem w różnych zakamarkach ogromnego, starego, poklasztornego gmachu szpitalnego, o których wiedziałem tylko ja jeden. I Niemcy nic nie znaleźli w czasie kilkakrotnych rewizji przeprowadzanych u mnie w mieszkaniu jak i w całym szpitalu.

Dużo kłopotu nastręczało mi notowanie wszelkich przejawów stopniowo coraz bardziej rozwijającego się ruchu oporu i mojego w nim udziału. Musiałem bardzo liczyć się z tym, że jednak jakimś przypadkiem notatki moje mogły wpaść w ręce Niemców. Trzeba więc było przede wszystkim unikać pisania nazwisk i pseudonimów. Oznaczałem je tylko mnie jednemu wiadomym sposobem, żeby nie narażać ludzi. Siłą rzeczy — zwłaszcza w pierwszym okresie konspiracji — musiałem wszystko notować w bardzo dużym skrócie. Z biegiem czasu, mając doskonałe schowki, coraz mniej liczyłem się z możliwością „wsypy", a nasze życie podziemne w miarę rozwoju ruchu oporu tak przybierało na sile i znaczeniu, że gdybym je pomijał, — mój dziennik w bardzo dużym stopniu straciłby na wartości.

Starałem się pisać możliwie obiektywnie i szczerze. Nie wątpię jednak, że nie uniknąłem pewnych nieścisłości, a być może nawet i fałszu, przytaczając czasem wiadomości zasłyszane od innych, których nie miałem możności sprawdzić. Ogromna mnogość krążących, sensacyjnych nieraz, wiadomości i zwykłych plotek była zjawiskiem powszechnym, do czego przyczyniały się specjalne warunki okupacyjne. Nie mieliśmy przecież ani radia, ani normalnej prasy, tylko tzw. „gadzinówki", ale nawet i te czasem po parę tygodni do nas nie dochodziły. Dość często natomiast, lecz tylko dorywczo, miewaliśmy wiadomości z konspiracyjnej, podziemnej stacji nadawczo-odbiorczej, znajdującej się w jednym z leśnych obozów partyzanckich. Nie byle jakie przeżywaliśmy emocje, gdy — rzadko co prawda — przenośny radiowy aparat nadawczo-odbiorczy ustawiano u mnie w gabinecie na biurku i bezpośrednio porozumiewano się z Londynem. Obecna przy tym szyfrantka „Katarzyna" na poczekaniu tłumaczyła nam nadawane najświeższe wiadomości. Ale to było już w końcowym okresie okupacji.

Jak już zaznaczyłem, pisałem swój dziennik choć krótko, lecz stosunkowo dość szczegółowo, przy czym nie bardzo brałem pod uwagę, czy się uchowa i czy będzie kiedyś ogłoszony drukiem. Pisałem z jakiejś wewnętrznej potrzeby. Nie wątpię, że nie wszyscy czytający będą zadowoleni z tego, co napisałem. — I z pewnym wahaniem oddaję do druku ten mój dziennik. Może jednak z różnych względów, za wcześnie jeszcze go ogłaszać. Lecz trudno mi było nie ulec pokusie ujrzenia go w wydaniu książkowym.

Zawczasu przygotowuję się do odparcia możliwych, nieraz usprawiedliwionych nawet, zarzutów, jakie niejeden z czytających będzie mógł mi postawić.

Uważam za swój miły obowiązek złożyć serdeczne podziękowanie adiunktowi UMCS Zygmuntowi Mańkowskiemu za ostateczne uporządkowanie rękopisu moich pamiętnikarskich notatek i napisanie wstępu do nich.

Szczebrzeszyn, w kwietniu 1958 r.

ZYGMUNT KLUKOWSKI


1939

19 czerwca 1939 r.

Od kilku miesięcy żyjemy w niepewności. — Czy będzie wojna? — Kiedy będzie wojna? Dopiero wczoraj w Zamościu poczułem realnie atmosferę grozy wojennej. Przyjechał hr Tarnowski z Suchej szukając odpowiedniego miejsca, gdzieby mógł ulokować swoje cenne zbiory biblioteczne. Po porozumieniu się z władzami wojskowymi doszedł do przekonania, że już czas ewakuować zamek w Suchej, odległej od granicy słowackiej zaledwie o 25 km, i przewozić zbiory w bezpieczne miejsce. W końcu dla biblioteki swej znalazł pewne miejsce, gdzieś pod Lublinem, chodziło jeszcze tylko o wyszukanie jednego obszernego, dobrze zabezpieczonego przed złodziejami pokoju, w którym można by przechowywać zbiory starej broni arcyksięcia Habsburga z Żywca. Na ten cel burmistrz Wazowski przeznaczył pokój obok swojego gabinetu na Ratuszu.

Dowiedziałem się też, że jakiś bank, czy kasa komunalna z Katowic zajęła już dla siebie sutereny w gmachu pofranciszkańskim pod lokalem kina „Stylowy" w Zamościu. Słowem, istotny przedsmak wojny — tak dobrze mi znany.

12 sierpnia

Miesiąc lipiec spędziłem na urlopie w Iwoniczu. W sierpniu nie mamy już wątpliwości, że wojna z Niemcami jest nieunikniona. Napięcie nerwów zwiększa się z każdym dniem. Dziś niespodziewanie odwołano z manewrów 9 p. p. przebywający w okolicach Szczebrzeszyna i Klemensowa.

Po południu byłem w Zamościu. Otrzymałem od starosty rozkaz ściągnięcia z urlopu wszystkich pracowników szpitalnych.

14 sierpnia

W nocy powołano w Szczebrzeszynie do służby czynnej przeszło 40 rezerwistów, w tej liczbie dra Jóźwiakowskiego i sędziego Soko-

łowskiego. Podniecenie w mieście ogromne. Odjeżdżających rezerwistów odprowadziliśmy na stację. Nastrój wśród powołanych doskonały.

Jestem całkiem wytrącony z równowagi. Trudno mi wykonywać zwykłą, szarą, codzienną pracę. Ponosi mnie.

25 sierpnia

Cały czas żyjemy w niezwykłym podnieceniu i napięciu nerwów. Czekam powołania do wojska lada godzina. Boję się, żeby mnie nie pozostawiono w Szczebrzeszynie. Dookoła wciąż mówi się o powołanych do wojska. Biorą lekarzy nawet starszych ode mnie.

Wszystko przemawia za tym, że wojna wisi na włosku. Nastrój wszędzie bardzo dobry. Słyszy się przeważnie: oby prędzej! Lecz wyczuwa się i specyficzny niepokój, który z lekka trąci możliwością paniki. Brak drobnej monety. Wszyscy chowają ją. Każdy pacjent płaci 20-złotowym papierkiem i żąda reszty. Niektórzy już spekulują dając 17 złotych bilonem za 20 złotych papierowych. Coraz więcej rozmaitych urzędowych archiwów z Katowic, z Bydgoszczy i innych miast przewożą do Zamościa. Przyjeżdżają też ludzie z Warszawy, żeby nie być w stolicy w chwili wybuchu wojny. Rozpoczęcie roku szkolnego odroczono na czas nieokreślony, chociaż oficjalnie mówi się, że tylko na kilka dni. Wszystkich urzędników państwowych i samorządowych odwołano z urlopów. Chciwie chwytamy wszystkie komunikaty radiowe. Wczoraj w Zamościu powołano do wojska około 200 rezerwistów. Dzisiaj — jak mówią — wyszła z Zamościa część 9 p. p. Dokąd? — Nie wiadomo.

28 sierpnia

Dziś rano odbyła się w Zwierzyńcu uroczystość 350-lecia założenia Ordynacji Zamojskiej. Doskonały był referat prof. Kolankowskiego, nieco nudnawy p. Galińskiego. Kadzono młodemu ordynatowi. Nieprzyjemnie było słuchać jak przedstawiciel Uniwersytetu Lubelskiego, stary ksiądz, profesor Kruszyński, świetny mówca, zwracał się do młodzieńca, który niczym jeszcze nie dał się poznać i nie zdążył żadnych położyć zasług, mówiąc: „dostojny i czcigodny ordynacie"! Przyjezdnych gości było bardzo mało, brakowało również przedstawicieli administracji, a to z powodu bardzo niepewnej sytuacji wojennej.

30 sierpnia

Wczoraj po południu nastrój był tak podniecający, jak nigdy dotychczas. Wszyscy trwają w oczekiwaniu wydarzeń niezwykłej wagi. Krążą głuche wieści, że w nocy ma być ogłoszona mobilizacja powszechna.

Dziś od rana to samo.

Około godziny trzeciej po południu zawiadomiono mnie telefonicznie, że w mieście rozlepiają plakaty mobilizacyjne.

Wybiegłem na ulicę. Ruch niebywały. Wszędzie grupki ludzi, niektóre kobiety mają zapłakane oczy, ale żadnej paniki nie znać.

Poszedłem do magistratu, gdzie przekonałem się, że rozkaz mobilizacyjny dotyczy i mnie.

Natychmiast pojechałem do Zamościa. Otrzymałem od starosty polecenie przekazania szpitala pani dr Warchałowskiej. Zamówiłem u krawca mundur. Ożywienie w Zamościu nadzwyczajne, ale równocześnie ma się wrażenie, że nastąpiło jak gdyby odprężenie. — Już wiadomo, że jest mobilizacja i nie siedzi się bezczynnie w oczekiwaniu czegoś, co stać się musi w końcu.

Wcześnie wróciłem do Szczebrzeszyna. Zamówiłem u szewca buty. Myślę o przygotowaniach do wyjazdu.

Na ulicy nieustanny ruch, furmanki jadą bez przerwy.

31 sierpnia

Pierwszy dzień mobilizacji. Całą noc na wszystkich drogach panował ruch niebywały. Rano zdawałem szpital pani dr Warchałowskiej. Byłem dwa razy w Zamościu. Wieczorem w Zamościu i w Szczebrzeszynie zarządzono pogotowie OPL. U nas przebiegło ono niezbyt sprawnie.

1 września

Drugi dzień mobilizacji. Od rana wszędzie nadzwyczajny ruch. Wiadomość podana przez radio o rozpoczęciu działań wojennych, o bombardowaniu przez Niemców Gdyni i Krakowa wywarła piorunujące wrażenie. Byłem zwłaszcza przygnębiony wieścią o bombardowaniu Krakowa. Przypomniało mi się uczucie, jakie ogarnęło mnie w czasie pierwszej wojny światowej, gdy Rosjanie grozili zniszczeniem Krakowa...

W południe pojechałem do Zamościa, po mundur. Wszyscy mówią tu tylko o wojnie, ale nastrój dobry, nigdzie nie wyczuwa się zwątpienia, każdy wierzy w ostateczne nasze zwycięstwo. Plotka o zajęciu przez wojska polskie Gdańska, niepewna — niesprawdzona — już ludzi raduje i podnosi ducha.

Po południu jeździłem do Zwierzyńca. Tu nastrój taki sam. Wszędzie na gwałt, — i u mnie w szpitalu też — czynią przygotowania do obrony przeciwgazowo-lotniczej, zaciemniają okna, uszczelniają itp. Pomimo nawoływań nikt prawie zawczasu tego nie zrobił, każdy odkładał, jak gdyby nie wierząc w możliwość rychłego wybuchu wojny. Teraz wszyscy rzucili się do sklepów po czarny papier, lecz nigdzie go już dostać nie można. W Zamościu brak niektórych artykułów — nafty, soli, zapałek, świec itd. Do całej Zamojszczyzny przyjeżdża coraz więcej ludzi z pogranicza niemieckiego. Władze starają się temu przeciwdziałać rezerwując miejsca na jakieś urzędy.

2 września

Trzeci dzień mobilizacji, drugi dzień wojny. Pełne grozy szyfry: „Halo, halo, uwaga, uwaga, ...przeszedł...", albo „..nadchodzi...". Radio podaje: zniszczono 100 niemieckich czołgów i 37 samolotów, a zaraz potem: strącono polskich 12... Naloty niemieckich bombowców coraz bliżej — na Lublin, na Lwów. Mówią, że samolot niemiecki był już i nad Zamościem. Wszystko to skłania ludność do tym energiczniejszych przygotowań do obrony przeciwlotniczej. W sadzie szpitalnym personel i służba kopie rowy ochronne. Atmosfera wojenna coraz bardziej się zagęszcza.

4 września

Wieś Wilczopole
pod Lublinem

Wczoraj, o godzinie 7 rano, żegnany przez cały szpital, obdarzony kwiatami, wyjechałem z domu. Żona z synkiem odwożą mnie samochodem do Lublina. Na szosach wszędzie, pomimo niedzieli, szalony ruch. Im bliżej Lublina, tym więcej spotyka się furmanek naładowanych rzeczami, zdążających w przeciwnym kierunku. Tak samo autobusy jadące od strony Lublina przepełnione, na dachach całe sterty walizek i tobołków. Niektórzy w pośpiechu wyjeżdżają z Lublina pod wrażeniem nalotu aeroplanów w dniu 2 września. Przed samym Lublinem, niedaleko hangarów fabryki „Plage, Laśkiewicz", widać zniszczenie wywołane bombami lotniczymi. Najpierw można zauważyć powybijane w wielu domach szyby, dopiero potem zburzoną całą kamienicę i dalej znów mniejsze uszkodzenia. Jak mówią, było kilkudziesięciu zabitych i rannych. W pierwszej chwili wywołało to kolosalne wrażenie na mieszkańcach miasta, ale widać, że wrażenie to już ustępuje. Ulice zapełnione tłumami publiczności. Wszystkich interesuje tylko jedno: czy Anglia i Francja wypowiedzą Niemcom wojnę i kiedy?

Pojechałem do kadry zapasowej II Szpitala Okręgowego, zameldowałem się u ppłka Tabidze i dostałem przydział... „kierownika pracowni rentgenologicznej szpitala nr 204". Zameldowałem się powtórnie i oświadczyłem, że o technice rentgenologicznej nie mam pojęcia. Ppłk. Tabidze odpowiedział mi, że przydziałów zmieniać nie można, więc muszę na razie objąć to stanowisko, a potem dopiero nastąpi przegrupowanie. Dostałem olbrzymią torbę z maską tlenową i bardzo się przez nią zmilitaryzowałem...

Podczas obiadu w restauracji radio podało, że Anglia już wypowiedziała wojnę Niemcom, a Francja uczyni to samo lada moment. Odegrano 3 hymny narodowe — angielski, francuski i polski. Przy hymnie polskim publiczność stała na baczność. Miasto w jednej chwili udekorowano flagami. Nastrój bardzo podniosły. Pełno wszędzie rezerwistów, dużo lekarzy w mundurach z nieopanowaną techniką salutowania.

Kazano mi jechać do formującego się szpitala Nr 204 w Głusku, wiosce położonej 4 km za Lublinem. Pojechałem więc do Głuska, tu wpisano

mnie na jakąś listę i skierowano do następnej wioski, Wilczopola, jeszcze o 4 km dalej, drogą polną, piaszczystą, na której mój mały „Opelek" raz trochę ugrzązł. — Dojechałem wreszcie do tego Wilczopola, wioski rozrzuconej na dużej przestrzeni i zgłosiłem się do kancelarii, gdzie znów wpisano mnie na jakąś listę. Kwaterę dostałem w chłopskiej chałupie razem z kolegą, lekarzem mjr Bolesławem Modzelewskim z Zamościa. Zameldowałem się u komendanta szpitala lekarza mjra Stanisława Wszelakiego, lecz ten nie zamienił ze mną ani słowa. Widzę wszędzie bałagan. Na nas lekarzy nikt nie zwraca najmniejszej uwagi i nikt nami się nie interesuje. Na razie czujemy się zupełnie zbędni. Razi nas i dziwi cisza na wsi — włóczą się rezerwiści i koniec. Spokój zupełny, nie ma radia, nie ma gazet. O tym co się dzieje dowiadują się ludzie przeważnie od tych, którzy gdzieś coś słyszeli. Nie mając nic do roboty, ani też książek lub gazet do czytania, położyliśmy się spać o 7 godzinie. Wyspałem się za wszystkie czasy.

Wstaliśmy dziś o 6 rano i wyszliśmy połazić po wsi, czegoś się dowiedzieć, ewentualnie dostać coś do roboty. Powiedziałem o tym komendantowi, majorowi Wszelakiemu. Upewnił mnie, że za kilka dni wszyscy będziemy mieli roboty aż nadto. Otrzymane przydziały są bez znaczenia, wszystko ma być zmienione, więc nie kłopoczę się swoim rentgenem. Dziś wieczorem będziemy mieli odprawę u mjra Wszelakiego.

Przyglądałem się rano rezerwistom przydzielonym do naszego szpitala. Ludzie różnego wieku, rozmaitych zawodów, sporo inteligentów. M. in. dwóch nauczycieli gimnazjum — jeden to Piotr Bohun z gimnazjum w Szczebrzeszynie. Z dzisiejszego przeglądu komendant był zadowolony, wczoraj natomiast martwił się, gdyż pierwsi rezerwiści stanowili materiał mało odpowiedni i było wśród nich bardzo dużo Ukraińców. Major tłumaczył, że Ukraińcy są bardziej obowiązkowi i zjawili się przedterminowo, żeby ich nie posądzono o nielojalność. Lekarzy ma być dwudziestu kilku.

Połaziliśmy tak z kol. Modzelewskim kilka godzin, bezpłodnie tracąc czas. To mi nie daje spokoju, że już drugi dzień żyję bezczynnie, zwłaszcza gdy myślę ile roboty jest teraz, chociażby w samym Szczebrzeszynie, gdzie mógłbym bardzo się przydać. — Jedyna rozmaitość, to przeloty co kilka godzin samolotu niemieckiego. Strażak z wieży trąbi wówczas na alarm, ustaje wszelki ruch, ludzie kładą się na ziemi, lub stają pod ścianami, nie widać jednak, żeby się tym zbytnio przejmowali.

Trudno mi przywyknąć do obcisłego munduru, długich butów i bardzo przeszkadza mi przy chodzeniu ciężka torba z maską. Pod względem prymitywnych nawet wygód, odczuwamy tu ogromne braki. Nie narzekam jednak na to, aby tylko dali mi coś do roboty. Po ukończeniu formowania szpitala mamy podobno jechać do Włodzimierza i tam zainstalować się na czas dłuższy. Nastrój panuje doskonały, nikt nie dopuszcza myśli o możliwości przegrania przez nas wojny, wszyscy są pewni naszego ostatecznego zwycięstwa, zwłaszcza gdy już wiadomo, że Anglia i Francja też wypowiedziały wojnę Niemcom.

5 września

Rano pojechałem z majorem Wszelakim do Lublina, gdzie spędziłem około 3 godzin załatwiając różne drobne sprawunki. W tym czasie miał miejsce nalot bombowców niemieckich na Lublin. Na alarm w jednej chwili ulica zamarła, wszyscy się pochowali, tylko gdzieniegdzie widać było mężczyzn z opaskami OPLG na ramieniu. Słyszałem doskonale dwa wybuchy bomb. Alarm trwał około 40 minut. Podobno 2 bombowce zostały strącone. Widziałem potem rannych przewożonych ciężarówką do szpitala.

W Lublinie na ulicach ruch nadzwyczajny. Mnóstwo przyjezdnych, nieznanych w Lubelszczyźnie typów. Bardzo dużo samochodów prywatnych, szczelnie wypchanych walizkami i tłumokami, wśród których nieraz z trudem można dojrzeć wciśniętych pasażerów, przeważnie kobiety i dzieci. Spotkałem sporo znajomych, m. in. gen. Kołłątaja-Srzednickiego, z którym wspominaliśmy wspólnych dawnych kolegów i znajomych z Moskwy.

Radio i gazety przyniosły wiadomość o zajęciu przez Niemców Częstochowy, Bydgoszczy, Grudziądza... Pomimo tego nastrój w społeczeństwie — o ile można zauważyć — wciąż doskonały. Wiara w zwycięstwo nadzwyczajna.

6 września

Niemieckie samoloty latają od rana. Krążą nad Świdnikiem i Lublinem. „Fasowaliśmy" dziś rano umundurowanie żołnierskie. Oczywiście wszystko niedopasowane, ale gatunek dobry.

Obtarłem butem prawą nogę. Tak mi to dokucza, że z trudem chodzę.

Nie robimy nic, czekamy zarządzeń naszego majora. Oby już prędzej wyjechać do tego Włodzimierza i zacząć pracować.

Wieczorem odprawa u majora — jak co dzień. Mam jutro jechać do Lublina po aparat dezynfekcyjny.

Dzień bez żadnych wydarzeń, szary, bezbarwny, nieproduktywny. Może pojutrze wieczorem wyruszymy już do Włodzimierza.

7 września

Rano jeździłem do Lublina. Wróciłem około 7 wieczorem zmęczony strasznie, bo cały dzień spędziłem na nogach i nawet obiadu nie jadłem.

Dzisiaj Lublin wygląda wręcz przygnębiająco. Wszystkie ulice, zwłaszcza główne, zatłoczone samochodami najrozmaitszych marek i typów. Walizki i toboły nie tylko wewnątrz, lecz i na dachach, na zderzakach, na błotnikach, na maskach... Stacje benzynowe w oblężeniu, lecz już mało kto dostanie tu trochę benzyny. Składy wojskowe wydają benzynę, lecz wyłącznie posiadającym odpowiednie zaświadczenia. Koło tych składów

widziałem olbrzymi sznur wozów posuwający się z dwóch stron. Często wytwarzał się w tym miejscu taki zator, że żaden samochód ani furmanka nie mogły się ruszyć. Widziałem też niejeden samochód ciągniony końmi. Czasem spotykało się jadących z takimi tłumokami na furmankach. Głównie wyjeżdżają jednak samochodami. Ewakuują z Warszawy ministerstwa. Dygnitarze z rodzinami, ministrowie, wyżsi wojskowi, korpus dyplomatyczny — wszyscy pędzą na wschód i na południe. Przy wielu samochodach chorągiewki państwowe. Ucieka elita, wnosząc niesłychane zamieszanie, graniczące z paniką, udzielającą się coraz szerszym warstwom społeczeństwa. Wiele osób jedzie przed siebie, nie wiedząc dobrze dokąd. Spotkałem w kawiarni pewną znajomą panią z Iwonicza z dwojgiem dzieci, uciekającą z Poznania. Zatrzymała się w Lublinie w hotelu, lecz w pewnym momencie wyrzucili ją, wynosząc rzeczy na korytarz, ponieważ pokoje potrzebne były dla jakichś dygnitarzy z Warszawy. Była w strasznej rozterce nie wiedząc co dalej robić.

Nad Lublinem kilka razy dzisiaj ukazywały się samoloty niemieckie. Pomimo ostrzeliwania żadnego nie strącono.

Wieści są straszne — zajęty Kraków, Zakopane, Częstochowa, Łódź, Bydgoszcz, Grudziądz. Wojska niemieckie uparcie dążą ku Warszawie. Miejscowe społeczeństwo na ogół trzyma się dobrze, mimo że fatalnie wpływają na nastrój panikarze samochodowi. O niektóre artykuły coraz trudniej, np. o przybory i sprzęt podróżniczy. Restauracje i kawiarnie wypełnione po brzegi, jednak przepchawszy się, wszędzie można dostać coś do zjedzenia.

Wróciłem przybity wieściami i tym co sam widziałem na własne oczy. Lecz nie poddaję się zwątpieniu, wierzę święcie w nasze ostateczne zwycięstwo. Za wszelką cenę chciałbym tą wiarą natchnąć wszystkich, przeciwdziałać destrukcyjnej panice. Wciąż myślę o Szczebrzeszynie, o moim szpitalu, o rodzinie. Chciałbym tam przesłać choć kilka słów, żeby nie poddawali się zwątpieniu i ogólnej panice, żeby się trzymali mocno i nieugięcie, żeby intensywnie pracowali, żeby w żadnym wypadku nigdzie się nie ruszali i żeby dzielili moją wiarę w zwycięstwo.

Może już jutro wyjedziemy do Włodzimierza.

9 września

W wagonie kolejowym

Wczoraj o 7 rano wyjechaliśmy z Wilczopola. Rozkaz wymarszu przyszedł w nocy. O 10 mieliśmy załadować się do pociągu na stacji towarowej w Lublinie i o 12 w południe wyjechać. Tymczasem, pomimo że już na 8 rano byliśmy w Lublinie, ładowaliśmy się dopiero po 7 wieczorem. Przeżyliśmy ciężki dzień, oczekując w pogotowiu do ładowania się 11 godzin na terenie kadry zapasowej szpitala nr 2, tuż obok torów kolejowych stacji towarowej. Przez ten dzień wytrzymaliśmy 8 nalotów niemieckich bombowców. — Około godziny 10 rano poszliśmy do kantyny żołnierskiej w pobliżu kadry. Tu zastał nas pierwszy nalot. Usłyszeliśmy najpierw alarm, potem warkot ciężkiego samolotu. W pewnej chwili,

gdy piłem lemoniadę, nastąpił silny wybuch, jeden, zaraz po nim drugi, gdzieś bardzo blisko. Tych, którzy stali na zewnątrz budynku odrzuciło w tył. Okazało się, że bomba rozerwała się tuż przy Izbie Chorych kadry, o jakieś 100 metrów od nas. Widziałem potem uszkodzony dom, wyrwane z korzeniami drzewo i duży lej w ziemi. Druga bomba padła koło elewatora. Ta zabiła jednego człowieka i paru raniła, widziałem jak nieśli ich na noszach. Wrażenie niezbyt przyjemne.

W parę godzin potem znów nadleciało parę bombowców. Ludzie na terenie kadry pokładli się na ziemi lub skryli w gmachu. Nas kilku lekarzy z majorem Wszelakim siedziało na ławkach. Naraz, gdy samoloty były tuż nad nami, usłyszeliśmy charakterystyczny świst spadającej bomby. Na daną przez majora komendę padliśmy wszyscy plackiem na ziemię. Na chwilę zamarłem. Myśl była tylko jedna — gdzie ta bomba rozerwie się? Aż wreszcie straszliwy, ogłuszający wybuch, zaraz za nim drugi, trzeci... gdzieś tuż koło nas. Dokoła kurz, dym, — wśród ludzi cisza śmiertelna, wszyscy przywarli do ziemi. Rzuciły się tylko do ucieczki konie zaprzężone do wozów — przez otwartą bramę wyleciały oszalałe na ulicę i pognały przed siebie. Jeden wóz rozbił się przed bramą i zatarasował przejazd. Po chwili, gdy już zobaczyliśmy oddalające się bombowce, podnieśliśmy się z ziemi, ubrudzeni, ogłuszeni, z upośledzoną orientacją, przytłoczeni uczuciem wściekłej, upokarzającej bezbronności i bezradności. Doprowadziliśmy swój wygląd do jakiego takiego porządku i zaczęliśmy badać skutki nalotu. Okazało się, że bomby padły w odległości kilkudziesięciu metrów od nas, odłamki leciały znacznie dalej, ponad naszymi głowami. Trzy bomby uderzyły w tor kolejowy, jedna koło drugiej. Zobaczyliśmy jeden olbrzymi lej i dwa mniejsze, wysadzony do góry tor, powykręcane szyny, poszarpane podkłady. Kawał żelaza wagi kilkunastu kilogramów upadł na chodnik o kilka kroków ode mnie, rozbijając płytę betonową na drobniutkie kawałki. W najbliższym otoczeniu koło mnie nikt nie ucierpiał. Przekonawszy się, że ludzie cali, zaczęliśmy szukać koni i wozów. Obok jednego wozu z rzeczami oficerskimi i kaplicą polową pękła bomba mniejszego kalibru. Żołnierza podrzuciło parę metrów do góry nie raniąc, konie też wyszły cało, tylko wóz był całkowicie zasypany ziemią. Drugiego wozu z rzeczami naszymi nie można było znaleźć, tak samo i kilku innych z naszego taboru. Żołnierze rozbiegli się szukać. Po pewnym czasie nadjechały zaginione furmanki, na końcu wóz z naszymi rzeczami. Konie szły same bez furmana. Wielu walizek brakowało, w tej liczbie i mojej. Poszliśmy szukać. W odległości paruset metrów na drodze zobaczyliśmy jedną walizkę, trochę dalej jeszcze trzy. Z przyjemnością poznałem swoją. W tym czasie przeciągła syrena dała znać o nowym alarmie. Zeszedłem do położonego obok rowu. Było już tam kilku ludzi — wszyscy wystraszeni, przykucnięci jak najniżej, z głowami wtulonymi w kąty i zagłębienia rowu. Niemal wszyscy modlili się. Wśród cywilów był tylko jeden podchorążak sanitarny, który zachowywał się zresztą tak jak wszyscy. Przykro było patrzeć na ludzi oniemiałych ze strachu, trzęsących się, bladych.

W ciągu dnia wczorajszego przetrzymaliśmy 8 takich nalotów. Parę razy schroniłem się w budynku kadry wraz z tłumem żołnierzy. Znów słyszeliśmy ogłuszające wybuchy bomb, strzelaninę naszych karabinów

maszynowych i nielicznych tutaj dział przeciwlotniczych. Dzień ten kosztował nas dużo nerwów. Byliśmy źli, że paręset ludzi narażano na takie niebezpieczeństwo zupełnie bez potrzeby. Bez celu trzymano nas cały dzień na terenie kadry, gdzie nie przygotowano nawet żadnego rowu. I dopiero wieczorem, gdy się ściemniło, zaczęto ładować nas do wagonów. Oglądając otaczający nas plac i tory kolejowe widzieliśmy ślady wybuchów z większymi i mniejszymi spustoszeniami w wielu miejscach w promieniu 50 do 100 metrów. Zginęło kilku ludzi, w ich liczbie listonosz wojskowy, który przybył właśnie z pocztą do kadry. Kilku było rannych.

Jeszcze nigdy w poprzednich wojnach nie byłem pod takim obstrzałem. Odbyłem prawdziwy chrzest bojowy w denerwującej atmosferze możliwości śmierci, bezradności, bezsilności.

Po załadowaniu do wagonów położyliśmy się spać. Zdawało się, że lada chwila wyjedziemy, żeby przynajmniej drogę do Włodzimierza odbyć w nocy. Tymczasem pociąg nasz ruszył punktualnie dopiero o godz. 3 w nocy. Przejechaliśmy 4 km do stacji osobowej w Lublinie i tu staliśmy do 6. Z Lublina wlekliśmy się żółwim krokiem. Wszędzie po drodze obok torów i na samym torze, jak np. w Trawnikach, widać ślady wybuchów bomb. W tychże Trawnikach przy torze leżał trup jakiegoś starszego mężczyzny w czapce kolejowej. — W Rejowcu dowiedzieliśmy się, że jedziemy przez Zawadę, Zamość. Ucieszyłem się, bo miałem nadzieję, że żona z synkiem zdążą przyjechać, żeby się ze mną zobaczyć.

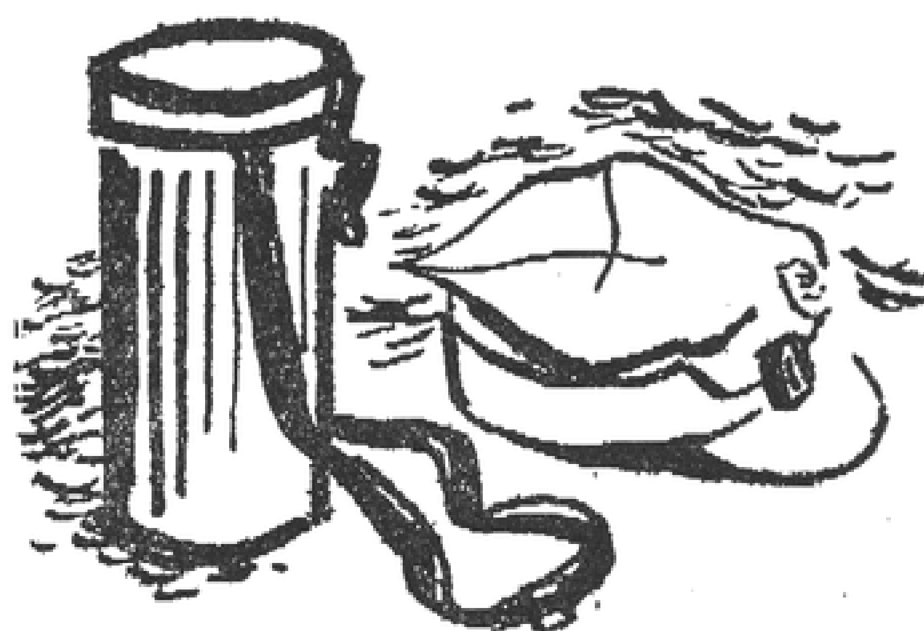
10 września

Niedziela, w wagonie kolejowym na stacji we Włodzimierzu

Wczoraj o godz. 14 przyjechaliśmy do Zawady. Pobiegłem do Urzędu Pocztowego znajdującego się naprzeciw stacji i wyjątkowo prędko dostałem połączenie ze Szczebrzeszynem („pilna rozmowa wojskowa"). Odezwał się intendent szpitala pan Cichoński, lecz i żona też była w kancelarii, więc zaraz oddał jej słuchawkę. Rozmawialiśmy przede wszystkim o możliwościach i sposobach dostania się jej do Zawady lub Zamościa, ale sprawa przedstawiała się beznadziejnie, bo wszystkich szoferów wzięto do wojska. Żona była zdenerwowana, zupełnie nie mogła mówić i oddała słuchawkę panu Cichońskiemu. Potem jeszcze tylko kilka słów z nią zamieniłem. Nie mogłem dłużej zajmować aparatu, bo inni też czekali na telefon.

Dowiedziałem się, że w Zamościu uszkodzono tor kolejowy i że z tego powodu będziemy stali w Zawadzie około godziny. Czekałem z niecierpliwością, nasłuchując warkotu motoru mojego „Kadetta", miałem nadzieję, że może jednak jakiś szofer przygodny się znajdzie, lecz nadaremnie. Aż do odejścia pociągu o godz. 3 wyczekiwałem stojąc przy wagonie naprzeciw drogi. Gdy pociąg ruszał wskoczyłem na pustą lorę, (do naszych wagonów osobowych było bardzo daleko) i tak dojechałem

do Zamościa, przez cały czas pilnie obserwując idącą wzdłuż toru tak dobrze mi znaną szosę ze Szczebrzeszyna do Zamościa. Jechało mnóstwo samochodów — w jedną i w drugą stronę, lecz mojego nie było. Na stacji w Zamościu była tylko doktorowa Modzelewska i nikt więcej. O godzinie 4 pojechaliśmy dalej. Niezmiernie przykro mi było, że się nie zobaczyłem z żoną, ale jeszcze bardziej dręczyła mnie myśl, jak ona tam denerwuje się i martwi nie mogąc wyjechać na spotkanie ze mną. Żałowałem nawet, że telefonowałem, bo lepiej by było, gdyby wcale nie wiedziała o tym, że jestem tak blisko domu. Pani Modzelewska obiecała mi zaraz zatelefonować do żony i trochę ją uspokoić. Opowiedziała nam też coś niecoś o Zamościu. Bomby rzucano w wielu miejscach, sporo jest rannych. Z jej chaotycznego opowiadania wyczuwa się nastrój nie lada paniki w mieście. Zamość podobno przepełniony jest uciekinierami, urzędami itp. Przy sposobności dowiedziałem się, że szpital w Szczebrzeszynie prowadzi teraz lekarz — uciekinier z Zaolzia dr Hałacz, który wraz z rodziną przywędrował własnym, wspaniałym samochodem do Zwierzyńca.



Nic nie wiemy co się dzieje na froncie, ani u nas, ani na Zachodzie. Krążą tylko rozmaite plotki. Nie mamy żadnych gazet ani komunikatów radiowych. Ogólny dobry nastrój, niestety, zaczyna się wyraźnie pogarszać. Nie wyczuwa się już tego entuzjazmu, jaki panował w pierwszych dniach mobilizacji. Wkrada się zwątpienie... Przeciwstawiam się temu nastrojowi wszelkimi siłami. Lecz chwilami dręczy mnie myśl co będzie dalej, jeżeli nasze dzielne, wspaniałe wojsko nie zdoła powstrzymać naporu Niemców.

Jest godzina 5 minut 30 rano. Zaraz mamy się wyładowywać i jechać do miasta. Marzę o tym, żeby choć na kilka godzin wyrwać się do domu.

Godzina 1 w południe,
w hotelu
we Włodzimierzu

Po 36 godzinach spędzonych w wagonie, brudni, niemyci, wymęczeni, niewyspani nareszcie wyładowaliśmy się. Czekając aż się opróżni cały nasz pociąg zaszliśmy do punktu opatrunkowego PCK, znajdującego się naprzeciw rampy kolejowej. Tu mogliśmy się rozkosznie umyć w bieżącej wodzie mając do dyspozycji nawet szczoteczkę do rąk. W dodatku siostry dyżurne sporządziły nam śniadanie — gorącą kawę i pytlowy chleb. Dwa dni spędziliśmy całkiem po polowemu, jedząc byle co i byle jak, toteż śniadanie to, acz bardzo skromne, smakowało nam ogromnie. Poszliśmy potem do miasta, gdzie dostaliśmy kwatery w „Hotelu Europejskim". Zamieszkałem znów w jednym pokoju z kolegą Modzelewskim. Na rynku przed hotelem spotkaliśmy kolegę z Zamościa, lekarza

mjra Władysława Kozłowskiego, który jechał do Łucka wraz z Zarządem Głównym PCK z Warszawy. Mówił nam, że Zamość zaczyna się już ewakuować. Nie mogę uwierzyć, żeby to była prawda, żeby niebezpieczeństwo wtargnięcia Niemców na Lubelszczyznę było aż tak wielkie. Opowiadali nam oficerowie, którzy przyjechali wprost z Lublina, że Lublin był silnie bombardowany przez samoloty niemieckie i że niektóre dzielnice mocno ucierpiały, m. in. Krakowskie Przedmieście i kadra zapasowa szpitala nr 2.

We Włodzimierzu mimo bardzo dużego ruchu, jest znacznie spokojniej aniżeli w Lublinie. Liche restauracje i cukiernie przepełnione są od rana. Z trudem można doczekać się jakiegoś jedzenia. Pewnych wiadomości o sytuacji wojennej nie ma, kursują tylko plotki. Zwłaszcza uciekający wyraźnie wyolbrzymiają i przejaskrawiają swoje przeżycia i widziane obrazy, aby tym sposobem w oczach słuchaczy usprawiedliwić swoją ucieczkę. Opowiadania ich wpływają bardzo ujemnie na nastrój miejscowej ludności. W czasie alarmu wszyscy w panicznym strachu, potrącając i klnąc jeden drugiego, uciekają do bram i rowów przeciwlotniczych.

Co będzie dalej?

Nie wiem, czy uda mi się wyrwać do Szczebrzeszyna, bo nasz major za 2 dni chce uruchomić szpital.

Godzina 8 wieczór

Około godziny 5 po południu usłyszeliśmy raptem bez uprzedniego alarmu silny wybuch, gdzieś blisko naszego hotelu. W krótkim czasie potem widzieliśmy jak w kilku dorożkach i na zwykłych wozach wieziono do szpitala rannych. Później dowiedzieliśmy się, że naraz wybuchły jedna za drugą 3 bomby tuż obok siebie. Kilku było zabitych, liczby rannych ściśle nie ustalono. Na mieszkańcach Włodzimierza wywarło to bardzo silne wrażenie.

O godz. 6 odbyła się w naszym szpitalu przysięga. Najpierw przemówił ksiądz i odczytał tekst przysięgi — zupełnie ładny — dla katolików, po nim odczytał tę samą przysięgę pop prawosławny. Okazało się, że chyba trzecia część naszych żołnierzy jest prawosławna. Potem komendant szpitala odebrał takąż przysięgę od dwóch lekarzy ewangelików i na końcu od żydów. Ja stałem w grupie lekarzy i oficerów katolików.

W mieście pełno uciekinierów i wojskowych szukających swoich formacji. Zwłaszcza dużo lekarzy różnych szarż, od podporuczników począwszy aż do pułkowników. Przeważnie są to lekarze przydzieleni do szpitali w Łodzi, którzy nie mogli już dojechać do miejsca swojego przydziału i teraz tułają się szukając dowództwa lub szefa sanitarnego swojego okręgu. Na terenie naszego szpitala widziałem m. in. pułkownika dra Stefana Rudzkiego z krzyżem Virtuti Militari na długiej nowej wstążce.

Chciałem jeszcze zatelefonować do Szczebrzeszyna, ale z hotelu nie można zamawiać rozmów zamiejscowych.

11 września

Wstałem bardzo wcześnie i poszedłem o godz. 6 do Urzędu Pocztowego, żeby jednak zatelefonować do domu. Na próżno czekałem prawie do 8. Połączenia nie mogłem dostać, linie wciąż były zajęte przez rozmowy wojskowe.

Po śniadaniu mjr Wszelaki wyznaczył wszystkim oficerom i lekarzom odpowiednie czynności na dzień dzisiejszy. Mnie powierzył sprawdzenie aparatu dezynfekcyjnego i następnie przeszkolenie dwóch szeregowców na dezynfektorów. Do 1 godziny siedziałem więc przy aparacie, pilnując żołnierzy i dezynfekując stare sienniki. Smętnie mi było na duszy, że sam musiałem wykonywać to, co u mnie w szpitalu robi zwykle Jan lub Wacław.

Od lekarza powiatowego dowiedzieliśmy się, że przy wybuchu wczorajszych trzech bomb zostało zabitych i poranionych znacznie więcej ludzi, niż się to zdawało na początku. Zabitych było około 30, rannych przeszło 80 odstawiono do szpitala. — Dziś rano widziałem w mieście, w bocznej ulicy, jak niesiono na noszach zmarłego od ran Żyda. Panowała przy tym zupełna cisza, żadnego lamentu i zawodzenia, jak to zwykle bywa w takich wypadkach. Szli sami mężczyźni i tylko jedna Żydówka idąc obok, załamywała w cichej rozpaczy ręce. Kondukt ten miał w sobie coś niesamowitego.

Organizacja szpitala posuwa się bardzo szybko i sprawnie. Na oddział chirurgiczny przeznaczono gmach gimnazjum. Budynek wspaniały, nowoczesny, sale duże, korytarze szerokie, liczne pracownie itp. Dla szpitala przerabiają niektóre pokoje, malują, przeprowadzają specjalne kontakty dla sali operacyjnej, gabinetu rentgenologicznego itd. Wszystko robi się tak, jakby ten szpital miał tu być przez czas dłuższy.

Na terenie naszego szpitala zjawia się coraz więcej lekarzy z innych okręgów, zwłaszcza z Łodzi. Wszyscy oni chcieliby „urządzić się" przy naszym szpitalu, żądają noclegów, proszą o pieniądze itp.

Na ulicach miasta pusto, sklepy z bardzo małymi wyjątkami pozamykane, coraz trudniej dostać cokolwiek do zjedzenia. Dopiero wieczorem, gdy zaczyna się ściemniać mieszkańcy „wyłażą" na ulice, nie bojąc się już nalotów niemieckich bombowców. Uderza natomiast niezmierna liczba uciekinierów — jadą kto czym może, najwięcej samochodami, autobusami, ciężarówkami i motocyklami. Dużo też osób jedzie na rowerach z przywiązanymi tłumoczkami na kierownicy lub za siodełkiem. Przeważają ludzie zupełnie młodzi i w sile wieku, mężczyzn starszych wcale nie widać. Widok tego korowodu zmotoryzowanych uciekinierów jest okropnie przykry, przygnębiający i denerwujący.

Poszedłem do publicznej „Biblioteki Policyjnej" i zapisałem się w poczet abonentów. Chciałem wziąć „Ogniem i mieczem", lecz nie było, poprosiłem więc o „Popioły".

Wieści z frontu żadnych, komunikaty radiowe jałowe, gazet nie ma już od dłuższego czasu i tylko te przesadne opowiadania uciekających. Trzeba się bronić wszystkimi siłami, by w końcu samemu nie upaść na duchu.

Poznałem płka dra Stefana Rudzkiego. Wysokiego wzrostu, tęgi, postawny mężczyzna, z mocno szpakowatą brodą. Jest komendantem szpitala wojennego dla gruźlików w Otwocku. Przed kilku dniami otrzymał rozkaz natychmiastowej ewakuacji. We Włodzimierzu oczekuje dalszych rozkazów i ma zamiar wracać do Otwocka. Bardzo sympatyczny i prosty w obejściu, opowiada mnóstwo epizodów z różnych okresów swego życia, zwłaszcza z czasów legionowych, o co zresztą sam go zaczepiłem. Poznałem też drugiego lekarza legionowego kpt. Słupeckiego. Dlatego to notuję, że żywię specjalną sympatię dla wszystkich legionistów, a dla lekarzy w szczególności.

Jedliśmy dziś po raz pierwszy wspólnie obiad w kasynie oficerskim przy szpitalu. Jako gościa mieliśmy płk. Rudzkiego. Siedziałem naprzeciwko niego i przez to miałem sposobność dużo z nim rozmawiać. Zna wszystkie moje prace drukowane w „Lekarzu Wojskowym". Sam studiuje obecnie heraldykę i pracuje nad jakimiś rodami. Mówiliśmy o różnostronności zainteresowań niektórych lekarzy. Ma zamiar połączyć w jedną całość swoje wspomnienia z lat dawniejszych — ogłaszane fragmentarycznie w różnych wydawnictwach zbiorowych, zalegające w rękopisie i wydać je jako osobną książkę. A co najciekawsze — nie zaprzestał pracy nawet obecnie, w czasie toczącej się walki i rozrywających się bomb. Znać na nim wielki hart ducha i dużą kulturę umysłową.

W ciągu dnia wiele razy trąbiono na alarm. Między 3 a 4 po południu samoloty niemieckie zrzuciły 9 bomb — w trzech miejscach po 3 bomby naraz, jedna obok drugiej. Trzy bomby wybuchły w odległości około 50 metrów od szpitala powiatowego. Byłem w tym czasie u siebie w hotelu. Pomimo że bomby rozrywały się nie tak blisko, to jednak cały dom nie tylko trząsł się, ale dosłownie chwiał się. Miałem takie uczucie, jak gdyby dom miał za chwilę przewrócić się na bok.

Spotkałem na ulicy kpt. Jędrzeja Wachowicza, którego poznałem w czasie urlopu w Iwoniczu, zaledwie dwa miesiące temu. Służy w artylerii i mieszka stale w Łodzi. Nie pytałem jakim sposobem jego bateria znalazła się aż we Włodzimierzu. W Łodzi zostawił żonę i dwóch synków. Nic nie wie, gdzie oni są i co się z nimi dzieje.

Dzisiaj na ulicach znacznie mniej samochodów prywatnych, przeważnie widać wojskowe. Ruch osób cywilnych został nieco wstrzymany, trzeba mieć specjalne pozwolenia i przepustki. Na szosie od strony Hrubieszowa przesuwa się wielu policjantów z zajętych przez Niemców terenów.

W szpitalu komendant nie wyznaczył mi jeszcze żadnej stałej funkcji. W ciągu dnia sprawdziłem tylko kilka razy jak pracują przy dezynfektorze uczeni wczoraj przeze mnie szeregowcy.

Nie mogę doprowadzić do porządku swoich nóg. Każdy krok sprawia mi dotkliwy ból. Przez to nie mogę dużo chodzić i czuję się nie tak, jakbym chciał.

Czytam „Popioły" — zapominam przy tym o wojnie, o niemieckich samolotach, o bombach. Zapominam o wszystkim, co nie jest „Popiołami". Czytam bardzo powoli, wchłaniam w siebie każde zdanie, pławię się w zachwycie nad cudownym językiem polskim i nad przedziwnym, wspaniałym stylem Żeromskiego.

13 września

Rano pojechałem do koszar, gdzie mieści się nasz oddział wewnętrzny. Miałem polecenie od komendanta obejrzeć i sprawdzić drugi, ogromny aparat dezynfekcyjny. Przy sposobności obejrzałem ów oddział. Mieści się on w dwupiętrowym budynku, jednym z największych na placu koszarowym. W czasie pokoju była tu izba chorych. Całe pomieszczenie bardzo brudne, zaniedbane. Chorych zastaliśmy głodnych, bez śniadania, bez opieki. Jak się okazuje, nasi sanitariusze jeszcze nie przyszli z miasta, pielęgniarki (z „Rodziny Wojskowej") i kucharki zwiały ze strachu przed nalotami bombowców. Dopiero po pewnym czasie zjawiła się kucharka, a wkrótce potem i pielęgniarka. Ulokowanie części szpitala w dużym gmachu koszarowym jest całkiem niefortunne. Co kilkanaście minut ukazywał się nad samymi koszarami bombowiec niemiecki, praca więc była denerwująca i przerywana. Od miasta do koszar jest około 3 km, lekarze muszą jeździć furmanką i kontrola nad oddziałem jest utrudniona.

Na obiedzie mieliśmy znów gości — płk Maszadro, obecnie szefa sanitarnego armii, bardzo popularnego lekarza legionowego, płka Łaskiego i jeszcze jakiegoś mjra z otoczenia szefa sanitarnego. Dowiedziałem się od nich, że od bomby niemieckiej zabity został w Warszawie płk Tadeusz Sokołowski, wybitny chirurg, twórca i dyrektor Instytutu Traumatologicznego w Warszawie, mój dawny kolega z uniwersytetu krakowskiego. Również zabity został na ulicy w Lublinie płk Tadeusz Korniłowicz, najlepszy i najzacniejszy kolega z Moskwy i Krakowa... *)

We Włodzimierzu na wszystkich ulicach głównych i bocznych, kopią dziś od świtu głębokie rowy. Gdzieniegdzie widać w nich lufy armat. Tłumaczono mi, że jakiś oddział czołgów niemieckich został odcięty i nie wiadomo w jakim kierunku pójdzie szukając ujścia z matni. Jakiś zabłąkany czołg może ukazać się wszędzie, w najmniej spodziewanym miejscu. Wszyscy wojskowi twierdzą, że sytuacja nie jest tak zła, jak to się wydaje na pierwszy rzut oka, że wojsko polskie dotychczas klęski żadnej nie poniosło. Najwięcej szkody i zniszczenia sprawiają wszędzie samoloty. One to sieją przerażenie i panikę wśród ludności.

Wszystkie wolne chwile spędziłem dziś nad „Popiołami". Irytuje mnie, że tak strasznie dużo czasu traci się na wyczekiwanie — albo na obiad, albo na kolację, ewentualnie na odprawę itp.

Ogromną przyjemność sprawia mi prowadzenie tych zapisków.

---

*) I jedna i druga wiadomość okazała się nieprawdziwa.

21 września

Szczebrzeszyn

Przeżyłem okropny, potworny tydzień, w czasie którego nie miałem możności prowadzenia swego dziennika. Zapisywałem tylko w notesiku daty i kilka słów, które by mi później mogły przypomnieć przebieg każdego dnia. Na podstawie tych właśnie notatek skreślam teraz przeżycia swoje z ubiegłego tygodnia. Są one tak bolesne, tragiczne i wstrząsające, a przez to tak świeże, że mam w pamięci każdy najmniejszy szczegół, jak gdyby to się działo w chwili, gdy to piszę.



We środę, 13 września, we Włodzimierzu wczesnym wieczorem położyłem się do łóżka, poczytałem „Popioły" i potem zasnąłem, w najmniejszym stopniu nie przeczuwając, że już za parę godzin może nastąpić coś nadzwyczajnego. O godz. 11 obudziło mnie mocne stukanie do drzwi. Zerwałem się z łóżka, otworzyłem drzwi i zobaczyłem dwóch żołnierzy, z których jeden wręczył mi mały skrawek papieru z jakimś bardzo pilnym rozkazem do komendanta szpitala. Wyjaśniłem, że komendant mieszka w sąsiednim pokoju, kartki nie przyjąłem i nie przeczytałem, zauważyłem tylko u dołu podpis jakiegoś pułkownika. Położyłem się do łóżka, lecz zasnąć już nie mogłem, zwłaszcza że słyszałem jakiś ożywiony ruch u majora Wszelakiego. W kilkanaście minut potem usłyszałem znów stukanie do drzwi. Otworzyłem i ujrzałem przed sobą komendanta mjra Wszelakiego, ubranego całkowicie, który tonem służbowym powiedział mi krótko: „niech panowie natychmiast wstają i ubierają się". Obudziłem kol. Modzelewskiego i zaczęliśmy się śpiesznie ubierać. W pierwszej chwili sądziłem, że może przybył do szpitala duży transport rannych i jesteśmy zaraz potrzebni. Zaszedłszy do kolegów mieszkających w sąsiednich pokojach zobaczyłem, że ci już pakują swoje rzeczy. Oczywiście i my z kol. Modzelewskim uczyniliśmy to samo i w bardzo prędkim czasie byliśmy już gotowi, nie rozumiejąc zupełnie o co chodzi, a od nikogo niczego nie można się było dowiedzieć, bo nikt nic nie wiedział. Wreszcie nadszedł nasz komendant i powiedział do mnie i do kol. Modzelewskiego dosłownie: „otrzymałem rozkaz ewakuowania szpitala jeszcze dzisiejszej nocy do Łucka. Sytuacja jest taka, że prawdopodobnie wypadnie nam iść na Dubno, Krzemieniec — ku rumuńskiej granicy. Gdyby kto z panów, zwłaszcza starszych, chciał, to mógłby zostać i starać się potem przedostać do swoich stron. Ja wam radzić nie będę. Róbcie panowie tak, jak sami będziecie uważali za stosowne i najlepsze".

Osłupiałem z wrażenia. Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że Niemcy zbliżają się do Bugu, zagrażają Włodzimierzowi, że wszędzie napór z ich strony jest bardzo silny, nie do powstrzymania.

Pomimo wszelkich niepowodzeń święcie wierzyliśmy, że wojsko polskie opanuje w końcu sytuację i nie upadaliśmy na duchu. Dopiero teraz wkradło się do naszych dusz zdradzieckie uczucie zwątpienia, uczucie podłe, destrukcyjne, przed którym broniłem się dotychczas wszystkimi siłami. Byłem bezgranicznie zgnębiony i nie wiedziałem na razie co właściwie należy mi czynić.

W przyśpieszonym tempie poukładano na dwóch furmankach nasze oficerskie rzeczy. Odbywało się to w zupełnej ciemności i nie obyło się bez drobnych sprzeczek między lekarzami o lepsze miejsce dla swoich walizek. Poszliśmy potem z kol. Modzelewskim do budynków gospodarczych szpitala, gdzie byli skoszarowani wszyscy nasi szeregowcy (3 plutony). Ulice miasta były już w wielu miejscach przekopane poprzecznymi szerokimi rowami, gdzieniegdzie tylko pozostawiono wąskie przejazdy dla samochodów i furmanek. Idąc po ciemku, zaczepiłem się o coś i przewróciłem, wywichnąłem przy tym czwarty palec lewej ręki. Na poczekaniu sam go sobie zaraz wprawiłem, ale ból był bardzo nieznośny, cały palec mi spuchł i dziś jeszcze boli mnie przy każdej próbie zginania.

Na terenie szpitala ruch panował niezwykły, podniecenie znać było ogromne. Wszystkie czynności wykonywano w pośpiechu, w ciemności, przy nikłym oświetleniu, przyciemnionych niebieskim papierem latarek. Wszystko to wybitnie przyczyniało się do wytwarzania nastroju niepokoju. Na 7 furmanek naładowano przede wszystkim zapasy żywności, kancelarię i trochę cenniejszych rzeczy szpitalnych. W rzeczywistości pozostał na miejscu we Włodzimierzu cały nasz szpital wojenny nr 204, w znacznym stopniu już zorganizowany, który dopiero we wtorek, 12 września, zaczął oficjalnie funkcjonować, uruchomiwszy częściowo niektóre swoje oddziały (chirurgiczny, zakaźny i wewnętrzny). W szpitalu było już około 68 chorych.

Szpital istniał więc zaledwie 2 dni. Miał być przy tym postawiony na poziomie klinicznym. Wieźliśmy ze sobą z Lublina nawet króliki i świnki morskie dla prac laboratoryjnych. Obliczony był na 600 łóżek, w tym 300 przeznaczono na oddział chirurgiczny. Na oddział ten zarekwirowano Państwowe Gimnazjum Męskie im. Kopernika — bardzo ładny, nowy, obszerny gmach, w którym przeprowadzono szereg przeróbek przystosowując go do potrzeb szpitalnych. — Wszystko musieliśmy zostawić, całe urządzenie szpitala, cały inwentarz, wszystkie sprzęty, pościel, bieliznę, aptekę itd.

Około godz. 2 w nocy, gdy już wozy były naładowane i ludzie gotowi do marszu, podeszliśmy z kol. Modzelewskim do komendanta zapytując, co mamy ze sobą robić i prosiliśmy, żeby jednak wypowiedział swoje zdanie. Wówczas powtórzył on pokrótce wszystko to samo, co mówił przedtem i dodał tylko jedno zdanie: „mogę panów zapewnić, że jeżeli zostaniecie i powrócicie do siebie, nie będzie to uważane za dezercję". Wreszcie poradził nam wyruszyć z całym szpitalem i ostateczną decyzję powziąć już w drodze, za Włodzimierzem, ponieważ w dzień mogą na-

dejść jakieś uzupełniające rozkazy i wiadomości. Oczywiście zastosowaliśmy się do tej rady bez dalszego namysłu.

Przejście przez przekopane w wielu miejscach i zabarykadowane ulice miasta, pogrążonego w ciemnościach było bardzo trudne. Wywróciłem się przy tym po raz drugi zaczepiwszy nogą o sznur, na którym jakiś samochód osobowy ciągnął motocykl z przyczepką. Gdy już dobrnęliśmy do szosy wiodącej na Łuck zaczęły się nowe trudności z powodu nieprawdopodobnej liczby taborów wojskowych, furmanek cywilnych i samochodów najprzeróżniejszych typów, zdążających w tym samym kierunku. Gdy się już rozwidniło dołączyły jeszcze całe rzesze rowerzystów i uciekających pieszo.

Widok był niesamowity. Cała ta lawina ludzka ogarnięta paniką gnała gdzieś przed siebie, często nie wiedząc dokąd właściwie dąży i gdzie będzie kres tej wędrówki. Tempo nadawały samochody osobowe, które wyprzedzały nie tylko tabory konne, lecz i auta ciężarowe. Piękne limuzyny, niektóre jeszcze lśniące, a przeważnie celowo nie myte lub nawet całe wysmarowane gliną dla zamaskowania przed okiem nieprzyjacielskich lotników, najczęściej ze znakami rejestracyjnymi Warszawy, przeładowane były uciekającymi i ich rzeczami. Niezwykle przykre wrażenie sprawiał widok stosunkowo bardzo dużej liczby oficerów wyższych szarż uciekających razem z rodzinami.

Można było widzieć ludzi jadących na stopniach, na błotnikach, na zderzakach, kurczowo trzymających się klamek, ram okiennych itp. Rzeczy były poprzywiązywane wszędzie, gdzie się tylko dało. Bardzo wiele maszyn było uszkodzonych, z wybitymi szybami, powykręcanymi zderzakami, zgniecionymi chłodnicami, błotnikami itp. — Nieco wolniej jechały autobusy, zgromadzone tu z całej Polski. Piękne maszyny śląskie, poznańskie, bydgoskie, łódzkie, autobusy miejskie warszawskie itd., następnie wozy ciężarowe — wszystko to po brzegi wypchane uciekinierami i ich bagażami. Olbrzymie wozy drabiniaste z zaprzęgami charakterystycznymi dla zachodnich stron Polski również przepełnione. Ludzie jadący na nich, zwłaszcza kobiety i dzieci, wymęczeni, zmizerowani, brudni, niemyci, niewyspani, wyglądem swym wzbudzali litość. Na rowerach jechali sami młodzi mężczyźni, gdzieniegdzie tylko zaplątała się między nimi jakaś rowerzystka, a pieszo szli ludzie najrozmaitsi — i tacy, którzy wyszli z domu na piechotę i tacy, co po drodze zmuszeni byli porzucić swoje środki lokomocji, przede wszystkim samochody, z powodu braku benzyny lub jakiegoś defektu nie dającego się na poczekaniu usunąć. Benzyny nie podobna było dostać. Wszystkie jej zapasy były w ręku władz wojskowych. W krytycznych chwilach i miejscach, np. przed mostem na Bugu pod Uściługiem dawano za litr benzyny po 100, a nawet po 200 zł. I dlatego wielu ludzi zostawiało swoje maszyny na szosie wraz z całym bagażem, a sami z małymi walizkami w ręku wędrowali dalej pieszo. Widziałem też kilku księży idących tylko z teczkami pod pachą. Ale główną masę posuwającą się na wschód stanowiły tabory wojskowe i formacje tyłowe. Bez żadnej przesady można było liczyć jadących i idących żołnierzy na dziesiątki tysięcy.

Uszliśmy w ten sposób 12 kilometrów. Najpierw szedłem piechotą, potem przysiadłem trochę na workach z mąką, potem znów szedłem. Obtar-

te nogi dokuczały mi nieznośnie, ciążył obszerny sukienny płaszcz żołnierski i maska przeciwgazowa, ale wszystko to było niczym wobec ciężkiej walki wewnętrznej, jaką staczałem sam z sobą nie mogąc powziąć decyzji, co należy czynić. Czułem, że się załamuję. Od chwili mobilizacji byłem pełen entuzjazmu. Z radością przyjąłem wiadomość, że jestem powołany do służby czynnej w wojsku, a tak się przedtem bałem, aby mnie moje władze samorządowe nie wyreklamowały jako dyrektora szpitala. — Jechałem więc do Lublina, do kadry zapasowej Szpitala nr 2 marząc o tym, że od razu dostanę przydział do jakiegoś szpitala czy innej formacji, gdzie będę mógł z korzyścią pracować, gdzie z pewnością całą duszę włożyłbym w tę pracę. Przypominałem sobie jak w czasie wielkiej wojny pierwszego dnia mobilizacji zostałem wzięty do wojska rosyjskiego i jako lekarz szpitala polowego od razu znalazłem się na froncie w Prusach Wschodnich, gdzie już w dniu przybycia miałem aż nadto dużo roboty chirurgicznej.

Tymczasem teraz już na wstępie oblano mnie zimną wodą: dano mi stanowisko kierownika pracowni rentgenologicznej, z czym nigdy nie miałem do czynienia, a gdy zameldowałem to płk Tabidze, ten zbył mnie byle czym, tłumacząc, że nie wolno zmieniać przydziałów, którymi w rzeczywistości kieruje sierżant w kancelarii szpitalnej, że później na miejscu „jakoś" się ułoży itd. Chodziło więc o to, żeby był załatwiony jakiś papierek, wypełniona jakaś rubryka w księgach ewidencyjnych kancelarii, a nie liczono się zupełnie z celowością przydziałów. Tym sposobem dr Modzelewski, ginekolog zamojski, został przeznaczony na naczelnego chirurga. — W samym szpitalu byłem już pełnych dni 10. W czasie jego formowania na wsi pod Lublinem nie dano mi absolutnie nic do roboty, a potem już we Włodzimierzu powierzono mi jedynie wypróbowanie dwóch aparatów dezynfekcyjnych i pouczenie paru szeregowców jak mają dezynfekować. Zajęło mi to w sumie najwyżej kilka godzin czasu. Oto i wszystko. Byłem więc całkowicie bezczynny, bezużyteczny, a przydział mój zmieniono o tyle tylko, że zamiast kierownikiem miałem zostać starszym ordynatorem tejże pracowni. Zresztą już się pogodziłem z tym, że ewentualnie będę pracował przy Rentgenie, a nawet poniekąd byłem zadowolony, bo mógłbym dużo skorzystać i nauczyć się czegoś nowego, tym bardziej, że do tejże pracowni przeznaczono jeszcze bardzo miłego i sympatycznego kolegę, kapitana Głowackiego, rentgenologa z Łomży. Za kilka dni aparat miał już być ustawiony i pracownia zaczęłaby funkcjonować. — Naraz wszystko się zmieniło. W ciągu paru godzin straciliśmy cały nasz szpital. Pozostało po nim tylko 24 lekarzy, 1 lekarz-dentysta, 1 ksiądz-kapelan, 2 aptekarzy, 4 oficerów gospodarczych i 3 plutony żołnierzy, a poza tym 2 furmanki z rzeczami oficerskimi i 7 wozów z produktami. Po ogromnym szpitalu na 600 łóżek, tylko tyle!

Skierowano nas na razie do Łucka. Po co tam idziemy? Prawdopodobnie po to, żeby następnie iść dalej na wschód i na południe. Czy są jakie widoki pracy? Żadnych. — Szpitala już nie mamy, setki lekarzy z rozbitych lub porzuconych szpitali tuła się na tyłach bez przydziału nie mogąc doprosić się jakiejkolwiek pracy. Jakiż więc cel iść dalej? Chyba tylko rzekome ratowanie siebie. — A co się teraz dzieje u mnie w Szczebrzeszynie? Zapewne w szpitalu jest dużo rannych od bomb, tak jak we

wszystkich szpitalach cywilnych w całej Polsce, lekarzy brak, wobec bomb i ewentualnego przyjścia Niemców — (a może już tam są?) — z pewnością panuje nastrój paniczny, sami nie wiedzą co robić, potracili głowy. Jak też musi się czuć żona z synkiem w tych strasznych czasach beze mnie? Tam na pewno jestem potrzebny. Ale czy powrót mój teraz do domu pomimo konkretnej propozycji naszego komendanta, który pozostawił nam samym prawo wyboru, nie byłby jednak pewnego rodzaju dezercją z wojska? Czy godzi się w takiej chwili opuszczać wojskowe szeregi?

Kłębiły mi się myśli, tłoczyły jedne przez drugie, rozważałem wszystko dokładnie, po wielokroć wyliczałem sobie wszelakie argumenty i za i przeciw i nie mogłem się zdobyć na żadne postanowienie. Zmagałem się sam z sobą i w tej niepewności i niezdecydowaniu męczyłem się strasznie.

Zarządzono półgodzinny postój i ustawiono nasze furmanki w lasku obok szosy. Od Włodzimierza uszliśmy zaledwie 12 kilometrów. Major-komendant jeszcze raz poinformował nas o fatalnej sytuacji i wyraził niemal pewność, że pójdziemy ku rumuńskiej granicy. Do nas się zwrócił, żeby teraz już ostatecznie się decydować. Odeszliśmy z nim na bok i wówczas dodał, że sam ma dopiero 41 lat i gotów jest iść przez Rumunię do Francji, ale sądzi, że my, starsi, możemy próbować przedostać się do naszych stałych miejsc zamieszkania i warsztatów pracy. Kol. Modzelewski podszedł do furmanki, zdjął swoje rzeczy i powiedział mi, że zostaje, zwłaszcza, że o 4 km od tego miejsca, gdzieśmy stali, miał dobrze sobie znajomy dwór obywateli ziemskich, pp. Kaczkowskich, u których mógłby się zatrzymać nawet na czas dłuższy. Ja wciąż jeszcze się wahałem. Byłem wprost w rozpaczy nie mogąc się zdecydować, a szpital nasz plutonami zaczął już ruszać w dalszą drogę. Jeszcze raz przemknęła mi przed oczyma dalsza bezpłodna, jałowa, długa tułaczka w rozpadających się szeregach wojskowych, to znów mój szpital w Szczebrzeszynie i ta ogromna praca, jaka mnie tam z pewnością czeka, i w dodatku los rodziny pozbawionej mojej opieki. I wówczas, w jednej chwili powziąłem stanowczą, nieodwołalną decyzję, że zostaję. Podszedłem do komendanta, który rozmawiał w grupie kolegów, kapelana i oficerów i stanąwszy na baczność zameldowałem mu, że pozostaję i będę się starał dotrzeć do swego szpitala. Mjr Wszelaki w milczeniu mocno uścisnął mi rękę, po czym serdecznie mnie ucałował. Z kolei pożegnaliśmy się ze wszystkimi obecnymi kolegami i oficerami, a płatnik zmienił mi jeszcze 2 banknoty 100-złotowe na 40 pięciozłotówek, co w przyszłości ogromnie nam się przydało.

Wziąłem z wozu swoją walizkę i poszedłem do szosy, gdzie mieliśmy z kol. Modzelewskim doczekać się jakiejś przygodnej furmanki, która by nas odwiozła do dworu pp. Kaczkowskich. Stojąc na szosie żegnaliśmy mijające nas ostatnie furmanki III plutonu naszego szpitala i idących obok nich lekarzy i oficerów.

Z chwilą powzięcia decyzji w całej mej psychice nastąpiło całkowite odprężenie. Znikły od razu wszelkie wątpliwości i wahania, powrócił

spokój, a przede mną stanął jeden wyraźny cel: za wszelką cenę, jak najprędzej dostać się do Szczebrzeszyna.

Staliśmy więc tak przez pewien czas, aż drogą polną obok szosy nadjechała jakaś pusta furmanka zdążająca w kierunku Włodzimierza. Okazało się, że chłop wracał z „forszpanu" do swojej wsi położonej pod samym Hrubieszowem, przez który i nam droga wypadała. Gospodarz chętnie podjął się zawieźć nas aż do Hrubieszowa, ponieważ wioząc nas był pewny, że mu nikt wozu ani koni nie zarekwiruje.

Pojechaliśmy najpierw do dworu pp. Kaczkowskich. Zastaliśmy u nich oddział artylerii, przypadkowo też natknęliśmy się na, na dra Rolskiego, dawnego chirurga w szpitalu w Zamościu, obecnie przydzielonego do szpitala wojennego w Hrubieszowie. Razem ze swoim szpitalem jechał on też w stronę Łucka. — We dworze przyjęto nas bardzo gościnnie, nakarmiono, dra Modzelewskiego przebrano od razu całkiem po cywilnemu, mnie zaś dano na wszelki wypadek jakąś okropnie starą i zniszczoną kurtkę watowaną i czapkę cyklistówkę. Walizki nasze zostawiliśmy we dworze i dalej jechaliśmy już bez żadnego bagażu.

Ze względu na zapchaną szosę postanowiliśmy zupełnie ominąć Włodzimierz od południa i pojechaliśmy polnymi drogami przez wskazane nam wioski do promu na Bugu poniżej Uściługa. Jechaliśmy tak cały dzień. Około godz. 2 przeszło godzinę musieliśmy przeczekać leżąc w polu pod drzewami, ponieważ przez cały czas krążyły nad nami samoloty niemieckie i rzucały bomby na pobliską stację kolejową. Poza tą godziną nalotu bombowców, mieliśmy drogę bardzo spokojną. Prawie wcale nie widzieliśmy uciekinierów, a widok ludzi pracujących w polu, orzących, siejących lub zbierających siano na łąkach w piękny, ciepły, słoneczny dzień, działał na nas i nasze stargane nerwy dziwnie kojąco. Żołnierzy też nie spotykaliśmy i nic zewnętrznie nie wskazywało wojny. Raz tylko z daleka widzieliśmy oddział konnicy polskiej.

O zmierzchu zaczęliśmy powoli, ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony zbliżać się do promu na Bugu. Dookoła panowała zupełna cisza, słychać tylko było coraz wyraźniej strzały armatnie. Wytwarzał się niepokojący, tajemniczy nastrój. Przy promie zastaliśmy jeszcze dwóch przewoźników. Byli mocno zdziwieni, że chcemy przeprawić się na drugą stronę, tym bardziej, że ja miałem jeszcze na sobie wojskowy mundur oficerski.

— Panie kapitanie, co pan robi, przecież pan idzie wprost na Niemców, do niewoli. A ja jechałem cały czas w nadziei, że może jeszcze moje okolice nie są zajęte przez Niemców i nie chciałem rozstawać się z mundurem.

Gdy już byliśmy wraz z furmanką i końmi na promie, kol. Modzelewski zawahał się i nagle postanowił pozostać i dalej tego wieczora nie jechać. Furman nasz zaś niespokojny o swoją rodzinę i gospodarstwo chciał jak najprędzej dostać się do swojej wioski odległej zaledwie o kilka kilometrów od miejsca przeprawy. A ja sam nie wiedziałem co mam robić, czy zostać z Modzelewskim, czy jechać dalej razem z furmanem. I znowu bardzo przykra, emocjonująca chwila wahania. Lecz tu przyszedł nam z pomocą przewoźnik, który poradził przeprawić się przez Bug

o 4 km dalej na północ, ponieważ tam jeszcze jest bezpieczniej. Zastosowaliśmy się do jego rady. Gospodarz nasz, acz bardzo niechętnie, sprowadził konie z powrotem na brzeg, ja w tym czasie, widząc, że już innej rady nie ma, z żalem zostawiłem swą czapkę oficerską w krzakach nad rzeką, zdjąłem płaszcz i mundur i włożyłem na siebie ową starą kurtkę i czapkę, użyczone mi przez pp. Kaczkowskich. Wojskowe ubranie moje furman wsunął sobie pod siedzenie i tak pojechaliśmy do wskazanego nam promu. Było już zupełnie ciemno, gdyśmy się do niego dostali. Przewoźnik, dobry znajomy naszego gospodarza, był na miejscu. Ostrzegł nas szeptem, że po drugiej stronie we wsi są już Niemcy. W jak największej ciszy przeprawił nas przez Bug i skierował do swego domu, gdzie przenocowaliśmy w stodole, na miękkim, pachnącym sianie.

Nazajutrz, w piątek, 15 września, obudziliśmy się bardzo wcześnie. Nieśmiało i z ciekawością wyjrzeliśmy za stodołę — wszędzie cisza zupełna, wieś budziła się ze snu, ludzie przystępowali do zwykłych swych obrządków gospodarskich. Niemców jakoś nie dostrzegliśmy. Gospodarz założył konie i oglądając się na boki, wypatrując przed sobą, pojechaliśmy do jego rodzinnej wsi, Teptiukowa gmina Moniatycze, położonej przy szosie wiodącej z Hrubieszowa przez Uściług do Włodzimierza. Podjechaliśmy do jego zabudowań gospodarskich nie od strony drogi, lecz od pola. Żona i dwie córki płakały z radości, gdy zobaczyły ojca żywego i zdrowego. Miały go za straconego, tym bardziej, że nikt z gospodarzy, którzy pojechali z nim razem na „forszpan", do tego czasu nie wrócił. A we wsi od wczorajszego dnia byli już Niemcy.

Zaprowadzono nas do obszernej czystej izby, napojono i nakarmiono. Za chwilę zjawiło się paru uchodźców, którzy wraz z rodzinami zatrzymali się w tej wsi i nie zdążyli już dalej wyjechać. Zasypali nas pytaniami, na które nie bardzo mogliśmy odpowiedzieć. Nawzajem dowiedzieliśmy się od nich, że Niemcy pokazali się tu wczoraj, że trzymają się tylko szosy, nikogo nie zaczepiają, nikomu krzywdy nie robią. Byliśmy bardzo zadowoleni spotkawszy we wsi tylu uchodźców, ponieważ przebrani po cywilnemu mogliśmy wobec Niemców i sami uchodzić za ludzi tej kategorii.

Chałupa stała nad małym strumykiem w odległości najwyżej 200 metrów od szosy z przerzuconym w tym miejscu mostem. Między domem a szosą przestrzeń jest pusta, tak, że ruch na drodze widać jak na dłoni.

Stanąłem przy oknie i zacząłem obserwować szosę. Po krótkim czasie zobaczyłem samochód o typie małej ciężarówki, a za nim motocykl z dwoma żołnierzami niemieckimi w hełmach. Serce zamarło mi z bólu...

Długo tak patrzyłem na szosę. Jechały czołgi, duże otwarte samochody z 6 żołnierzami na każdym, wozy ciężarowe, też z żołnierzami lub z amunicją, dymiącymi kuchniami, wozy sanitarne z czerwonym krzyżem i bardzo dużo motocykli. Na moście wszystkie maszyny zwalniały biegu — tym lepiej mogłem obserwować. Przesunęła się przed moimi oczami długa zmotoryzowana kolumna wojskowa, wśród której zauważyłem tylko jedną lśniącą limuzynę. I znów coś mnie za gardło ścisnęło — ze strasznego żalu, z bezsilności, z bezradności. — Widziałem dziś przed sobą, choć stosunkowo niewielką, lecz mocną, zwartą, zdecydowaną, nie powstrzymywaną przez nikogo jednostkę bojową, świetnie zorganizowaną,

idącą naprzód w zwycięskim pochodzie, podczas gdy wczoraj jeszcze patrzyłem na setki samochodów z oficerami, na dziesiątki tysięcy żołnierzy, uciekających w popłochu przed taką właśnie kolumną.

Czas uchodził, trzeba było myśleć o dalszej drodze. Od ludzi ze wsi dowiedzieliśmy się, że Niemcy nikogo na szosie nie zatrzymują i swobodnie wszystkich puszczają do Hrubieszowa. Jednak dla tym większego bezpieczeństwa musiałem pozbyć się wszystkiego, co by mówiło o mojej krótkotrwałej służbie wojskowej i godności oficerskiej. Za 15 złotych gospodarz dał mi jakieś stare spodnie cywilne, ale tak ciasne, że zapiąć je mogłem tylko na dwa guziki. Z przykrością rozstałem się z moim pamiętnikiem, który wraz z książeczką wojskową zostawiłem u gospodarza, prosząc go, żeby odniósł to do p. Henryka Warchałowskiego, obrońcy sądowego w Hrubieszowie, za co dostanie 5 złotych. U niego też został mój mundur, płaszcz, pas itd.

Około godziny 14 udało nam się wynająć furmankę z jednym koniem i z babą zamiast furmana i już jako stuprocentowi cywile wyruszyliśmy polską drogą do Hrubieszowa. Szosą nie chcieliśmy jechać ze względu na wciąż pędzące samochody niemieckie. W pewnym jednak miejscu trzeba było w poprzek przeciąć szosę. Stała tu grupa kilkunastu żołnierzy niemieckich i kilka motocykli z przyczepką. Na brzegu szosy u wylotu naszej polnej drogi jakiś żołnierz siedział na motocyklu i w żaden sposób nie mógł zapalić motoru. Baba nasza wstrzymała konia i chciała przeczekać aż ten ruszy, lecz stojący obok drugi żołnierz dał znak ręką, żeby jechać dalej. To było moje pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z Niemcami.

Do Hrubieszowa wjechaliśmy od strony koszar. Na ulicach publiczności mało, wszyscy się poukrywali. Gdzieniegdzie widać niemieckich żołnierzy, ale na ogół niewielu. Wyczuwa się doskonale, że normalne życie zamarło.

Dr Modzelewski zatrzymał się u rejenta Zawadzkiego, ja zaś udałem się do wspomnianego p. H. Warchałowskiego, rodzonego brata b. rektora Politechniki Warszawskiej i naszego rejenta w Szczebrzeszynie. Zastałem całą rodzinę pp. Warchałowskich w domu, wystraszonych i zdenerwowanych do najwyższego stopnia.

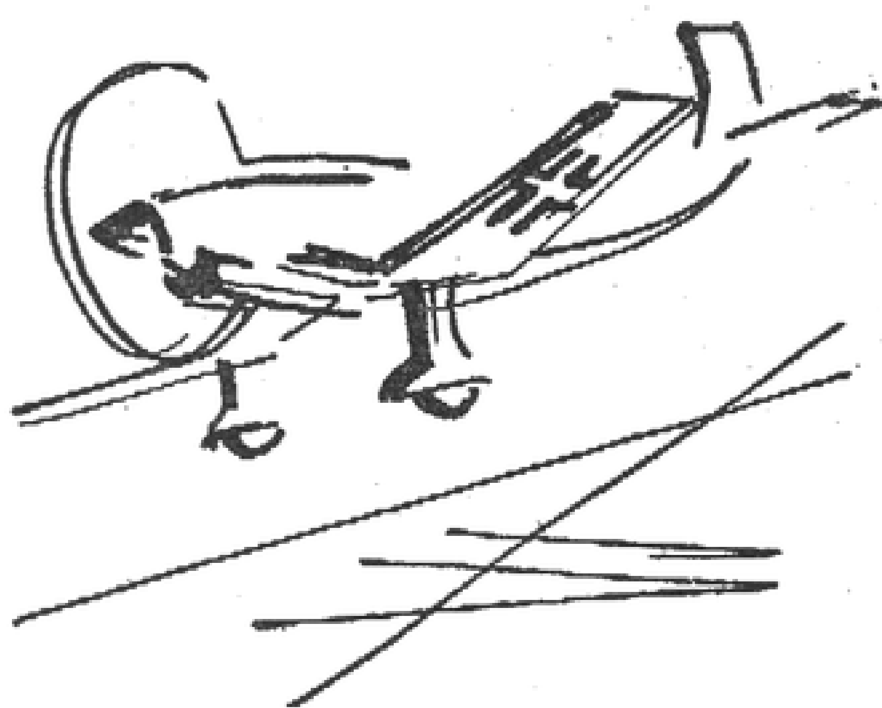
Dowiedziałem się na wstępie, że jeden znajomy mi obywatel miasta Biłgoraja, współwłaściciel spółki samochodowej „Orzeł", zamierza również dostać się do domu, a że droga wypada mu przez Szczebrzeszyn, więc zaraz go odszukałem i umówiliśmy się, że nazajutrz jedziemy lub idziemy dalej razem, przy czym miał do nas przyłączyć się jeszcze jeden jegomość z Biłgoraja. — Nocowałem u pp. Warchałowskich. Po poprzednich nieprzespanych nocach, wyczerpany fizycznie i duchowo, przez kilka godzin spałem jak zabity.

W sobotę, 16 września, wstałem około 6 rano i poszedłem do moich przyszłych towarzyszy podróży, ażeby wspólnie ułożyć się co do dalszej drogi. Dr Modzelewski nie chciał ryzykować i iść dalej. Pozostał w Hrubieszowie aż do wyjaśnienia się sytuacji i ustalenia jakiejś pewniejszej komunikacji z Zamościem. Wystrojony w elegancki garnitur rejenta Zawadzkiego wyglądał już całkiem normalnie. Wziąłem od niego kamizelkę

i marynarkę, które dostał od pp. Kaczkowskich i tym sposobem uzupełniłem swoją garderobę, a że p. Warchałowski pożyczył mi jeszcze swój płaszcz gabardinowy, więc mogłem już z biedą ludziom na oczy się pokazać, byleby tylko nie zdejmować płaszcza ze względu na moje niedopinające się spodnie.

Lecz niespodziewanie przybyło mi nowe zmartwienie, bo moi biłgorajscy towarzysze zaczęli się wahać i nie chcieli iść obawiając się trafić gdzieś w ogień walki, o której głuche krążyły wieści. Samemu nie bardzo miałem ochotę iść, a furmanki w żaden sposób i za żadne pieniądze nigdzie nie można było dostać. Aż wreszcie jeden z nich zdecydował się i postanowiliśmy iść, tylko nie szosą, lecz drogami bocznymi. Pożegnałem gościnny dom pp. Warchałowskich i poszliśmy we dwóch wskazaną nam drogą na Werbkowice. Ledwieśmy wyszli za miasto dopędził nas drugi mieszkaniec Biłgoraja i powędrowaliśmy dalej już we trójkę. Przez łąki doszliśmy do kolejki wąskotorowej i potem już torem aż do samych Werbkowic. Nogi starannie opatrzyłem na drogę i okręciłem bandażami, pomimo tego dokuczały mi tak, że z każdym kilometrem iść mi było coraz trudniej. Gdy tylko wyszliśmy z miasta ogarniętego trwogą, niepokojem i zobaczyliśmy ludzi najspokojniej pracujących w polu i na łąkach, zaraz i nam zrobiło się raźniej na duszy. Niemców nie widzieliśmy nigdzie, aż do miejsca gdzie kolejka przecina szosę wiodącą z Hrubieszowa do Zamościa. Tutaj natknęliśmy się na długą kolumnę tanków, samochodów pancernych i ciężarowych, ale nie zatrzymywani przez nikogo przeszliśmy przez szosę i puściliśmy się w dalszą drogę. Po paru godzinach marszu doszliśmy do toru kolei normalnej i wreszcie do stacji kolejowej Werbkowice. Zupełnie opuszczona robiła ona bardzo przykre wrażenie czegoś martwego, zastygłego.

Odpoczywając co godzina dobrnęliśmy pod wieczór do wioski zwanej Frankamionka, leżącej jeszcze w powiecie hrubieszowskim. Zrobiliśmy zaledwie około 22 km, ale nogi tak mnie już bolały, że iść dalej nie byłem w stanie. Postanowiliśmy więc tu zanocować. Zaszliśmy do mieszkania sołtysa, zamożnego, bezdzietnego gospodarza. Przede wszystkim nakarmiono nas obficie, potem poschodzili się sąsiedzi i uchodźcy oczekujący możności powrotu do domu i parę godzin toczyła się ogólna rozmowa o obecnej sytuacji. Z przykrością słuchałem tego co ludzie mówili. Obchodził ich — nie głównie, ale wyłącznie — ich własny los i własne bezpieczeństwo. Wszyscy zgodnie pragnęli zakończenia wojny, aby tylko nie słyszeć i nie widzieć niemieckich bombowców. Los Polski był im obojętny, czasem mimochodem rzucano jakieś oklepane frazesy, a sołtys opowiadał jak nacjonaliści ukraińscy z okolicznych wiosek cieszą się z przyjścia Niemców.



Nazajutrz, w niedzielę 17 września, przespawszy się na sianie w stodole, wstaliśmy wcześnie, lecz nikt z niczym się nie śpieszył, jak to

zwykle w dzień świąteczny. Ja tylko jeden niecierpliwiłem się, tak mi było pilno posuwać się dalej ku domowi.

Zaczęło się najpierw od wywiadów, gdzie są Niemcy, jak się zachowują, czy nie zatrzymują kogo, czy nie słychać strzałów itp. Plotki były najrozmaitsze, przeważnie straszące moich trwożliwych towarzyszy, którzy wszystkiego się bali tak dalece, że nawet wody surowej ze studni nie chcieli nigdzie pić w obawie przed zatruciem. Znów nie wiedziałem co robić. Do Zamościa miałem jeszcze trzydzieści kilka kilometrów, pęcherze na nogach sprawiały mi od rana wyjątkowy ból, w dodatku deszcz zaczął padać — iść więc w pojedynkę nie miałem wielkiej ochoty, a furmanki znaleźć też nie było można. Wreszcie moi towarzysze dali się jakoś nakłonić do dalszej drogi. Jeden z uciekinierów (ogrodnik z Zamościa) mający konia, zgodził się zawieźć nas do Zawalowa odległego o 8 km, ale chciał po 100 (!) złotych od każdego z nas, czyli 300 złotych (!). Na to znów my nie chcieliśmy i nie mogliśmy przystać. Ale jakoś koło południa, gdy już deszcz przestał padać, nasz gospodarz wystarał się o jednego konia, sprzągł go ze swoim i za 35 złotych zawiózł nas do Zawalowa. Stamtąd torem kolejowym poszliśmy piechotą dalej aż do Miączyna, gdzie wyszliśmy na szosę. Spotkani po drodze ludzie upewnili nas, że najlepiej iść szosą, że Niemcy absolutnie nikogo nie zatrzymują, że bardzo dużo uciekinierów pieszo i na furmankach powraca już do domu.

Postanowiliśmy wobec tego iść dalej szosą w nadziei, że może trafi się jakaś okazyjna furmanka do Zamościa, do którego mieliśmy jeszcze około 18 km. Ja już wlokłem się ledwie ledwie. Czułem, że do Zamościa nie dojdę. Lecz na szczęście udało się nam za 20 zł wynająć jeszcze w samym Miączynie jednokonną furmankę, która odwiozła nas do Zamościa. — Po drodze widzieliśmy pozostawione autobusy pełne bawiących się dzieci. Wbił mi się w pamięć zwłaszcza jeden ogromny autobus miejski z Warszawy z pięknie wymalowaną syreną, z którego dzieci wyciągnęły akumulator i bawiły się krzesząc drutem iskry. — Najbardziej przykro i boleśnie było patrzeć na porzucone w lasach przy szosie czołgi i polskie samochody wojskowe...

Ruch na szosie był niewielki. Od czasu do czasu wymijaliśmy uciekinierów i żołnierzy polskich, oczywiście bez broni, idących pieszo, to znów nas wyprzedzali rowerzyści spieszący do miasta po sprawunki i naturalnie niemieckie samochody i motocykle. Tuż przed samym Zamościem widzieliśmy dużo zamaskowanych lub ukrytych pod drzewami tanków niemieckich i wozów ciężarowych, a także dział ustawionych w okopach. Na rynku od strony Nowej Osady propagandowe radio niemieckie na dużym samochodzie nadawało jakąś audycję muzyczną, a gdyśmy przejeżdżali obok usłyszałem dosłownie: „Halo, halo, obywatele słuchajcie, Rosja Sowiecka wypowiedziała wojnę Polsce. Wojska sowieckie przekroczyły już granice Polski". Wiadomość ta zgnębiła mnie do reszty.

Pojechaliśmy dalej ku śródmieściu. Naraz widzimy, że ludzie biegną ulicą w przeciwnym kierunku. Jakieś kobiety krzyknęły nam, żeby dalej nie jechać, bo tam Niemcy zatrzymują wszystkich mężczyzn. Obydwaj moi towarzysze podróży w jednej chwili zeskoczyli z wozu, furman zaczął pośpiesznie zawracać konia, więc i ja musiałem zejść z furmanki.

Poszedłem ku miastu bocznymi ulicami i po drodze wstąpiłem do burmistrza Wazowskiego. Z pań żadnej nie zastałem, bo wszystkie wyjechały gdzieś na wieś, a burmistrz ponoć spał, jak mi oświadczyła służąca. Powlokłem się więc dalej prawie zupełnie pustymi ulicami. Przechodząc koło Banku Polskiego spojrzałem na otwarte od podwórza okna w tak dobrze mi znanym mieszkaniu starosty Sochańskiego. Żywo przypomniała mi się „Teka Zamojska", różne scysje ze starościną na posiedzeniach komitetu redakcyjnego, takie dzisiaj dalekie, nieistotne... Zwiesiwszy głowę szedłem dalej. Plac autobusowy pusty, na nim parę lejów od bomb, w gmachu kina powybijane szyby, w mieszkaniu inspektora szkolnego Szczepańca w oknach dykta zamiast szyb, wszędzie pustka, ślady zniszczenia. Wstąpiłem do inspektoratu. Mieszkanie inspektora Szczepańca zamknięte, nikt się na dzwonek i stukanie nie odezwał. Powlokłem się na Rynek, na którym ujrzałem masę Niemców, bardzo dużo samochodów i motocykli, zwłaszcza pod ratuszem. Dotarłem wreszcie do mieszkania doktorostwa Boguckich. Byłem absolutnie pewny, że kto jak kto, ale dr Bogucki i doktorowa na pewno z Zamościa nie wyjechali. I rzeczywiście nie zawiodłem się. Doktorowa sama otworzyła mi drzwi. Była zaskoczona moim zjawieniem się, jak również i wyglądem. Dopiero po chwili, pełni jednakowych myśli i uczuć ze wzruszeniem padliśmy sobie w objęcia. Równie serdecznie powitał mnie i kol. Bogucki. Wkrótce przyszedł burmistrz Wazowski, obecnie z ramienia władz niemieckich komisarz cywilny miasta i adwokat Tomasz Czernicki, mianowany naczelnikiem straży obywatelskiej. Smutne były nasze powitania, smutna rozmowa. Patrzyliśmy na Rynek. W tej właśnie chwili Niemcy rabowali znany sklep kolonialny Matei, zabierając wszystkie towary na dużą ciężarówkę.

Serce w strzępy mi się rwało od widoku Niemców na przecudnym Rynku zamojskim. Wyć się chciało z bezsilnej złości i rozpaczy. Wszyscy myśleliśmy i czuliśmy to samo. Nie chcieliśmy tylko rozstrząsać przyczyn, które doprowadziły w ciągu dwóch tygodni do takiej klęski i ruiny niemal połowę Polski. Było w tym coś tak potwornego, że przerastało swym znaczeniem możność chłodnego rozumowania. Byliśmy świadkami jak ginie nasza niepodległa Polska — wymarzona, wyśniona, cudem odzyskana, ginie cały kraj, cały dwudziestoletni nasz dorobek kulturalny, gospodarczy, społeczny, i znowu poniekąd z naszej własnej winy.

Pomimo, że całą duszą rwałem się do domu, było już za późno, by tegoż dnia wyruszyć z Zamościa, zwłaszcza, że chodzić można tylko do godz. 6 po południu. Musiałem więc nocować u Boguckich.

Światła w mieszkaniu trzeba było mieć pogaszone, lub okna szczelnie zasłonięte, toteż na całym Rynku dookoła wszystkie okna były ciemne, tylko Ratusz rzęsiście oświetlony na wszystkich piętrach od dołu do góry. Tam rezydują Niemcy. Przez Rynek coraz to przejeżdżały jakieś samochody z zapalonymi reflektorami, oświetlając na chwilę pokój, w którym spałem. Spędziłem noc w pół-śnie, pół-odurzeniu. Ciężka, koszmarna noc — i ciągle naiwne pytanie — może to tylko zły sen?

W poniedziałek, 18 września, od świtu z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy można będzie wstać. Długo nie czekałem, ponieważ Boguc-

cy sami wstają bardzo wcześnie. Zjedliśmy śniadanie, po czym razem z doktorową wyszedłem kulejąc z domu. Ona śpieszyła, jak co dzień, do swojej kolonii na Janowicach, ja zaś postanowiłem pomimo nieznośnego bólu nóg posuwać się ku Szczebrzeszynowi. Miałem nadzieję, że nadarzy mi się jakaś przygodna furmanka, lub że dostanę konie w jednym z folwarków ordynackich położonych przy szosie. Bliskość domu podniecała mnie coraz bardziej i dodawała sił, a i los mi się tego dnia uśmiechnął, bo ledwie wyszliśmy z domu, przed samą kolegiatą, zobaczyłem pustą parokonną furmankę z krakowskim zaprzęgiem. Okazało się, że gospodarz wzięty przez nasze wojsko „na podwody" wracał aż z Wołynia i pytał o drogę, jak mu najlepiej dostać się przez Sandomierz do Staszowa. Poradziłem mu jechać przez Szczebrzeszyn, Frampol, Janów, a za podwiezienie mnie do Szczebrzeszyna obiecałem zapłacić 10 zł. Zgodził się na to bardzo chętnie, ponieważ, jak powiadał, był bez grosza, bo wzięto go wraz z końmi przed 10 dniami wprost z pola. Tym więc sposobem jechałem furmanką od samego Zamościa. Dzień był ciepły, pogoda ładna, słoneczna. Jechaliśmy powoli, bo konie były pomęczone. Ruch na szosie bardzo mały, trochę uciekinierów powracających już, na rowerach lub idących małymi grupami piechotą, kilka fur naładowanych po brzegi rzeczami z ludźmi na wierzchu i od czasu do czasu niemieckie samochody i motocykle pędzące to w jedną to w drugą stronę. Tego rodzaju ruch nadawał dobrze mi znanej szosie wygląd niezwykły. W miarę zbliżania się do Szczebrzeszyna spotykałem coraz więcej znajomych twarzy. Równocześnie ogarniał mnie coraz większy niepokój o to, co zastanę w domu, w jakim stanie znajduje się szpital i czy przypadkiem żona z synkiem namówiona przez kogoś, mając do dyspozycji samochód, nie wyjechała gdzie i nie poszła na tułaczkę, podobnie jak tysiące innych.

Około godziny 10 wjechałem do miasta. Na placu gimnazjalnym pełno zamaskowanych i ukrytych pod drzewami samochodów niemieckich. Na ulicach ludzi mało, a ci, którzy wyszli z mieszkań grupują się niemal wyłącznie przed swoimi domami. Stoją i gapią się nie mając nic do roboty. Wszyscy dobrze mnie znają. Dwa tygodnie temu widzieli mnie w nowym mundurze wojskowym, a teraz patrzą na jadącego na prostym wozie oberwańca-cywila. Zdziwienie było powszechne. Kłaniałem się na wszystkie strony, lecz sprawiało mi to dużą przykrość. Wreszcie podjechałem do szpitala. Zeskoczyłem z wozu i szybko wszedłem do wnętrza. W poczekalni było sporo ludzi, wśród nich dwie posługaczki szpitalne. Nie chciałem z powitania robić publicznego widowiska, więc nie zatrzymując się zapytałem tylko czy żona jest i popędziłem do siebie na górę. Drzwi do mieszkania zamknięte, całe piętro wieje pustką. Za chwilę pierwsza przybiegła starsza pielęgniarka-akuszerka p. Maria Makowska i z płaczem rzuciła mi się na szyję, zaraz po niej mój synek i dopiero żona, okropnie mizerna, blada, zapłakana, z zapuchniętymi oczami. I tak stopniowo powitali mnie wszyscy, którzy tu pozostali. W pierwszej chwili krzyżowały się pytania, odpowiedzi i chaotyczne opowiadania, tak że nie od razu mogłem zorientować się, co się właściwie dzieje w szpitalu. Wkrótce jednak dowiedziałem się wszystkiego. Jak się okazało, intendent szpitala p. Edward Cichoński zwiał przed kilkoma dniami do sąsiedniej wioski, ulegając rzekomo jakiemuś rozkazowi komendanta miasta. Opusz-

czając szpital rozdał personelowi i służbie całą niemal zawartość spiżarni. Za jego przykładem poszła jedna z sióstr, pielęgniarka-akuszerka p. Wiktoria Szpyrówna. Brakowało też paru osób ze służby, na co byłem zupełnie przygotowany, bo jeszcze przy mnie niektóre posługaczki miały ochotę pójść do domu. Przed przybyciem Niemców wypisano ze szpitala chorych, a rannych ewakuowano na dwóch furmankach w stronę Krasnegostawu. Pozostało tylko 7 chorych i rannych. Na szczęście zupełnie przypadkowo w okresie swej tułaczej wędrówki znalazł się wówczas w Szczebrzeszynie i zgłosił do szpitala młodziutki lekarz z Poznania, dr Mieczysław Krysiak, który dopiero przed dwoma tygodniami, 31 sierpnia, otrzymał dyplom lekarski na Uniwersytecie Poznańskim. On to widząc w szpitalu kilku rannych i wciąż zgłaszających się nowych, a równocześnie brak lekarza, postanowił pozostać tu i pracować w całkiem nieznanych sobie warunkach. Do pomocy została mu akuszerka Makowska i na ochotnika z miasta zgłosiła się do roboty p. Leokadia Haścówna, nauczycielka szkoły powszechnej. Tych troje zastałem przy pracy w chwili powrotu do szpitala.

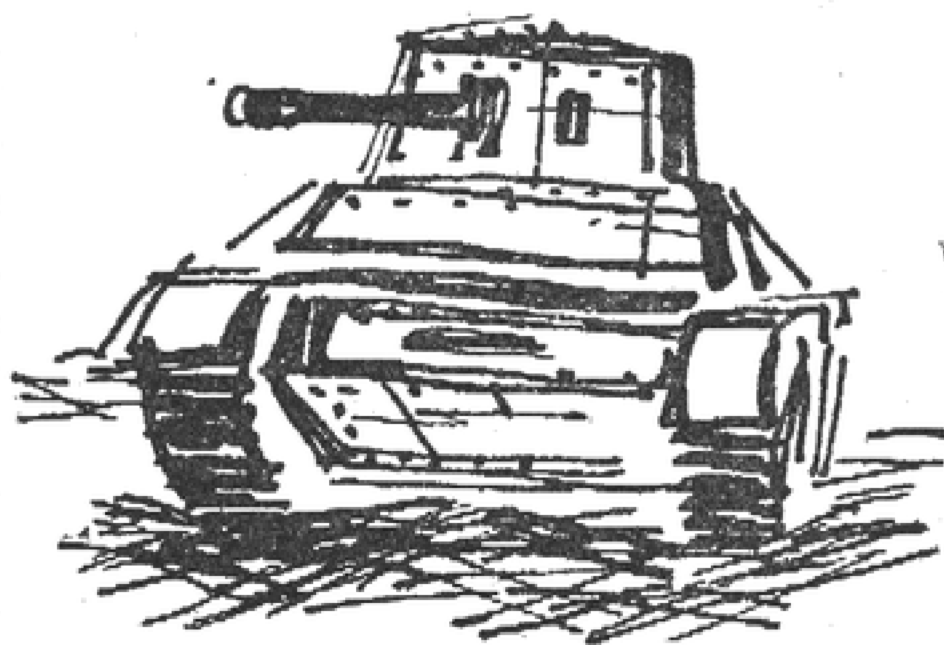
Byłem do głębi oburzony postępkiem intendenta. Jedyny mężczyzna wśród personelu szpitalnego, na którego złożona była odpowiedzialność za cały majątek i gospodarstwo szpitalne, na którego przede wszystkim liczyłem wyjeżdżając do wojska, zawiódł moje zaufanie. A przecie jest to człowiek wyrobiony społecznie, przewódca młodzieży wiejskiej (był prezesem Związku Młodej Wsi pow. zamojskiego), który mając wojskową kategorię „D", pomimo swoich 50 lat zgłosił się i został zarejestrowany jako „żywa torpeda", a jako długoletni pracownik, zdawało się, silnie jest ze szpitalem związany. Nie miałem większej pretensji do pielęgniarki-akuszerki Szpyrówny, młodej i niedoświadczonej dziewczyny, która przerażona tym co się dzieje, bombami, Niemcami itp. poddała się ogólnej panice i ulegając namowie intendenta wyjechała razem z nim do sąsiedniej wsi. Chociaż, oczywiście, i ją, bardzo dobrą i sumienną pracownicę, wolałbym zastać na stanowisku. Tym więcej uznania, a nawet wdzięczności, miałem dla tych, których zobaczyłem przy pracy.

Sam z punktu musiałem zabrać się do roboty, bo Żydzi dowiedziawszy się, że wróciłem, zaraz zaczęli na noszach znosić swoich, poranionych od bomb. Wszyscy oni pozostali w szpitalu. Wstąpiła we mnie energia i chęć do pracy. Po dwutygodniowej bezczynności poczułem się wreszcie na swoim właściwym miejscu i miałem to przeświadczenie, że jestem tu naprawdę potrzebny. Żona i synek na krok mnie nie odstępowali, nawet w sali opatrunkowej w czasie roboty. Musiałem na to się zgodzić uwzględniając stan psychiczny i krańcowe wyczerpanie nerwowe żony. Zresztą zauważyłem jak w jednej chwili zmieniła się cała atmosfera w szpitalu. Od razu znikły wszelkie wahania, niezdecydowanie, niepewność, każdy już wiedział co ma robić i nie było już wątpliwości, że szpital się nie rozleci i będzie pracował jak dawniej. Przyjemnie mi było widzieć tę ufność, jaką tu we mnie pokładano.

Około godz. 3, gdy byłem zajęty w sali opatrunkowej, do poczekalni wkroczyło z hałasem kilku żołnierzy niemieckich. Wyszedłem zaraz do nich. Zapytano mnie, czy to ja jestem dr Zygmunt Klukowski. Kazali mi

natychmiast udać się z nimi do komendy placu. Nie dali mi nawet pójść do mieszkania przebrać się, bo byłem jeszcze w tym ubraniu, w którym przyjechałem. Nawet przy wkładaniu trzewików stał przy mnie żołnierz z karabinem. Pożegnałem się z przerażoną żoną i synkiem i wyszedłem przed szpital. Tu czekały dwa motocykle z przyczepką. Do pierwszej posadzono mnie, w drugiej zaś jechał człowiek, który Niemców tu przyprowadził. Był to ten sam, który przed paroma dniami przyszedł do żony z Niemcami po patefon. Pod eskortą 5 żołnierzy odwieziono mnie do komendy mieszczącej się w gimnazjum. Tu jakiś oficer o bardzo nieprzyjemnym wyglądzie, przy pośrednictwie tłumacza zadał mi kilka pytań. Chodziło mu o to, czy jestem „polnische officier", jakim sposobem tu się znalazłem i dlaczego się nie zameldowałem. Odpowiedziałem, że w czasie mobilizacji powszechnej zostałem powołany do służby czynnej, potem mnie zdemobilizowano, wobec czego wróciłem na swoje stanowisko, które zajmuję od lat 20. Do czasu wyjaśnienia, co ze mną robić, odprowadzono mnie do lokalu przeznaczonego dla zakładników, jeńców i w ogóle wszystkich zatrzymanych przymusowo. Było to mieszkanie prof. gimnazjum, Bohuna, tego, z którym właśnie razem byłem w szpitalu wojennym we Włodzimierzu. Mieszkanie to ogołocono już przedtem doszczętnie. Stały tylko obok siebie dwa łóżka małżeńskie z materacami, na których stale leżało po kilku zatrzymanych, jakiś stolik, komódka, a na nich parę książek i album z pocztówkami i fotografiami, które każdy z obecnych — nie wyłączając i mnie — musiał przejrzeć. Gdy wprowadzono mnie do tego pokoju zaraz wszyscy szczebrzescy obywatele — zakładnicy obstąpili mnie i zasypali pytaniami, ale że nie miałem ochoty do rozmowy, więc wkrótce dali mi spokój.

Usiadłem przy oknie, patrzyłem na ogród szkolny pełen Niemców, samochodów, czołgów i wozów taborowych. Przeniosłem się myślą w dawne czasy, do szkoły wojewódzkiej i do tego seminarium nauczycielskiego, z którym tak silnie byłem związany. Myślałem o tym, jak rozmaite i jak ciężkie koleje przechodziła ta szkoła i jak znów niepewna jest jej przyszłość.



W pokoju siedziało, leżało na łóżkach lub wprost na słomie na podłodze i kręciło się około 30 mężczyzn, wśród nich 10 zakładników z miasta — 5 Polaków i 5 Żydów. Kilku żołnierzy-jeńców i jeden z zakładników, kowal Makara, grało w karty, w tzw. „oczko". Byli bardzo przejęci hazardem i mieli typowe miny przygodnie dobranych graczy. W wyrazie ich twarzy malowała się przede wszystkim żądza wygrania i nieufność do nieznanych jeszcze graczy.

Przesiedziałem tak około półtorej godziny snując smutne swe myśli. Martwiłem się, że jeśli zatrzymają mnie na dłużej, albo wyślą gdzieś do obozu koncentracyjnego, to szpital rozpadnie się z pewnością. Żal mi też było bardzo żony, która zupełnie nie wiedziałaby co robić ze sobą i z syn-

kiem. Ażeby nie wpaść w ostateczną depresję starałem się o ogólnej sytuacji nie myśleć, w każdym razie jak najmniej. Wreszcie zjawił się żołnierz niemiecki w towarzystwie wiceburmistrza Złemańca. Wywołano mnie najpierw na korytarz i zaprowadzono znów przed surowe oblicze tej samej władzy. Tu przez tłumacza powiedziano mi, że puszczą mnie do domu pod następującymi warunkami: 1) po mieście wolno mi chodzić swobodnie do godz. 6 wieczór, 2) za miasto wydalać się nie mogę, jedynie do chorych za każdorazową przepustką i 3) w razie gdyby zauważono z mojej strony jakiekolwiek wystąpienie przeciwko władzy niemieckiej — zostanę natychmiast rozstrzelany.

Oczywiście skwapliwie przystałem na te warunki, aby tylko jak najprędzej wrócić do szpitala. Gdy wyszedłem za furtkę gimnazjalną, którą otworzył mi wartownik niemiecki, otoczył mnie tłum Żydów wyrażając swe zadowolenie z powodu zwolnienia mnie z aresztu. W ogóle cała historia z zatrzymaniem mnie przez Niemców była dla miasteczka wielką sensacją. Po drodze spotkałem żonę z synkiem, którzy powiadomieni przez Żydów o moim zwolnieniu wyszli na moje powitanie.

W szpitalu zapanowała ogólna radość z powodu mojego powrotu. Natychmiast zabrałem się do przerwanej pracy przy rannych, a przez posłańca poleciłem zawiadomić intendenta o moim powrocie.

Wyczerpany i fizycznie i nerwowo przeżyciami ostatnich dni poszedłem wcześnie spać. Kazałem tylko przygotować sobie posłanie nie w mieszkaniu, a w sali opatrunkowej, ażeby tym sposobem roztoczyć lepszą opiekę nad szpitalem.

We wtorek, 19 września, wczesnym bardzo rankiem zabrałem się do roboty. Najwięcej trudu miałem z usuwaniem wszelkich objawów dezorganizacji w normalnym życiu i trybie pracy szpitalnej, jak również z uporządkowaniem gospodarstwa.

Przed południem zjawił się mocno skonfundowany intendent. Z punktu odbyłem z nim odprawę służbową, w czasie której nie szczędziłem go zupełnie, dosadnie scharakteryzowałem jego postępowanie i otwarcie wypowiedziałem mu opinię moją o nim. Usprawiedliwianie się jego było całkiem niepoważne. — Po południu wróciła pielęgniarka Szpyrówna.

Przez cały dzień pracowałem intensywnie. Parokrotnie przychodzili oficerowie niemieccy i oglądali nasze mieszkanie, chcąc go zająć na kwaterę dla jakiegoś generała. Sprawa była już niemal przesądzona, uratował nas jednak od tej przyjemności ostatni argument, że mam w szpitalu chorych na tyfus i czerwonkę, a do tego zepsutą kanalizację. To ich odstraszyło.

* * *

Zanim znów przejdę do przyjętego przeze mnie na początku systemu zapisywania swych przeżyć i wrażeń codziennie „na gorąco", postaram się pokrótce, na podstawie ustnych relacji pielęgniarek, dra Krysiaka i żony, która też stale prowadzi swój dzienniczek, odtworzyć to, co się tutaj działo w czasie mojej 15-dniowej nieobecności.

Wyjeżdżając do wojska 3 września zdałem szpital pani dr Felicji Warchałowskiej, lecz już na drugi dzień, 4 września, przyjechał z Zamościa lekarz powiatowy dr Julian Tyczkowski z drem Zbigniewem Hałaczem, uciekinierem z Zaolzia i jemu przekazał kierownictwo szpitala.

6 września

we środę, miały miejsce częste naloty bombowców niemieckich. Wciąż wszyscy uciekali do rowów. Tego dnia rzucono pierwszą bombę na fabrykę „Alwa” pod Szczebrzeszynem.

8 września

w piątek, coraz częstsze naloty i alarmy. Chowali się już wszyscy nie w rowach, a w piwnicy szpitalnej — cały personel, służba, chorzy i ludzie przygodni.

9 września

w sobotę, od rana bombardowano Szczebrzeszyn. Jedna bomba uderzyła w dom Żydów Warmanów na tzw. Zatyłach, czyli ul. Targowej, zabijając 5 osób i 7 ciężko raniąc. Poza tym padły bomby na terenie gimnazjum, apteki Szczygłowskiego, posiadłości Guzowskiego naprzeciw szpitala i jeszcze w kilku innych miejscach, nikogo nie zabijając i nie raniąc. Rzucono też dwie bomby na szpital, celując zapewne w most na rzece Wieprzu. Jedna wybuchła tuż przy samej ścianie koło kostnicy, uszkodziła kanalizację i spowodowała zarysowanie się murów, druga w odległości 10 metrów od niej. Ogółem rzucono tego dnia na Szczebrzeszyn dwadzieścia kilka bomb. W czasie nalotów wszyscy w szpitalu siedzieli w piwnicy. Stłoczyło się tu podobno mnóstwo osób, chorzy na czerwonkę załatwiali wciąż swe potrzeby, jedna kobieta przy wszystkich zgromadzonych odbyła nawet poród.

W tym czasie zaczęto znosić do szpitala rannych Żydów z rodziny Warmanów. Działy się przy tym okropne sceny. Dra Hałacza nie było. Rannych opatrywali dr Warchałowska i dr Spoz. Zdenerwowanie i niepokój wśród personelu wzrosły tego dnia niepomiernie. Po południu przybył z karteczką od lekarza powiatowego dr Mieczysław Krysiak, o którym już wspominałem.

10 września

w niedzielę, po raz pierwszy wyjechała ze Szczebrzeszyna policja. Niepokój i popłoch wzmagał się z każdą godziną.

11 września

w poniedziałek, wróciła policja. Wyjechał dr Hałacz. Także medyk Samborski odbywający u mnie praktykę wakacyjną, nie wytrwał na stanowisku i odjechał do swej rodzinnej wsi Płonki w pow. krasnostawskim. Szpital z powrotem objęła dr Warchałowska. Przybyło sporo ran-

nych żołnierzy i uchodźców. Intendent pojechał do Zamościa po instrukcje. Lekarz powiatowy miał mu podobno zalecić ewakuowanie szpitala. Po jego powrocie dr Warchałowska i żona telefonowały do starosty Sochańskiego zapytując, co należy robić. Ten znów służbowo zabronił komukolwiek opuszczać szpital pod karą śmierci.

12 września

we wtorek — popłoch i zamieszanie coraz większe. Ludzie potracili głowy. Żona z synkiem zebrawszy naprędce trochę rzeczy pojechała furmanką do wioski Kawenczynek odległej o 4 km od Szczebrzeszyna, do swojej byłej zwierzynieckiej służącej. Po południu Niemcy znów zrzucili bomby na miasto (gimnazjum) i na sąsiednią wieś Brody, skąd przywieziono dużo rannych.

13 września

we środę, wszystkich opanowała prawdziwa panika. Rządy w mieście całkowicie objęły już władze wojskowe. Komendantem miasta został jakiś porucznik, który dając sprzeczne zarządzenia przyczyniał się do zwiększenia zamieszania. Mówił np., że „nikomu nie wolno się ruszać" i równocześnie przysyłał furmanki dla ewakuacji chorych i personelu. Wypisano ze szpitala chorych cywilnych.

W nocy z 13 na 14, czyli ze środy na czwartek, o godzinie 1-ej dr Krysiak odbiera alarmujący telefon od komendanta miasta: „szpital jako instytucja o charakterze międzynarodowym zostaje, chorych nie ruszać, ewakuacja indywidualna i dowolna". Intendent twierdzi, że bezpośrednio po tym otrzymał od tegoż komendanta rozkaz ewakuowania szpitala. W rezultacie tejże nocy ewakuowano na dwóch furmankach 14 rannych żołnierzy w kierunku na Krasnystaw — Chełm, a na jednej wyjechał intendent Cichoński i akuszerka Szpyrówna, druga zaś akuszerka Makowska skorzystała z tej furmanki i przewiozła tylko swoje rzeczy w bezpieczniejsze miejsce w mieście, a sama o godz. 6 rano wróciła do szpitala, w którym pozostało zaledwie 3 rannych i 5 chorych. Tak więc w tych krytycznych godzinach nie porzucili pracy w szpitalu: świeżo przybyły dr Krysiak i pielęgniarka-akuszerka Makowska. Pozostało też 3/4 służby. Dr Warchałowska przestała przychodzić do szpitala uważając go za zlikwidowany. W ciągu dnia było w szpitalu dużo roboty, przeważnie opatrunków chirurgicznych. Jedną amputację ramienia wykonał dr Spoz.

Po południu Szczebrzeszyn był silnie ostrzeliwany. Pod wieczór wkroczyli doń Niemcy.

15 września

w piątek, w godzinach rannych szczegółowo zwiedzał szpital jakiś oficer niemiecki, były medyk. W ciągu całego dnia było bardzo dużo opatrunków. Wobec zaprzestania bombardowania z samolotów, żona z synkiem wróciła do domu.

16 września

w sobotę, pozostały personel starał się zorganizować jako tako pracę w szpitalu. Przyjęto kilku rannych.

17 września

w niedzielę, jakieś, niewiadomego pochodzenia, samoloty zrzuciły bomby na samochody niemieckie stojące w ogrodzie gimnazjalnym.

Przyszedł ze wsi intendent, wstępował do dr Warchałowskiej, lecz do szpitala nie zajrzał.

18 września

w poniedziałek, o godz. 5 rano kilka pocisków armatnich wybuchło na terenie szpitala. Na oddziale zakaźnym odłamek granatu utkwił w drzwiach prowadzących do jednej z separatek. Kilkadziesiąt szyb zostało wybitych.

O godzinie 10 byłem już w szpitalu.

Dopływ prądu z elektrowni zamojskiej został przerwany i miasto było pogrążone w ciemności. Wobec małego zapasu nafty i świec zmieniłem zwykły tryb życia i pracy w szpitalu. Zaraz po kolacji, między godz. 8 a 9, wszyscy kładą się spać, wstajemy zaś o 5 rano i o 6 przystępujemy już do roboty.

Wczoraj (20. IX.) od rana zauważyliśmy wielkie ilości wojska niemieckiego, już nie zmotoryzowanego, lecz piechotę i konnicę, udające się w stronę Zamościa. Wnioskujemy stąd, że samochodowa kolumna uderzeniowa spełniła swoje zadanie i poszła gdzieś dalej w głąb kraju, a tu nadchodzą zwykłe formacje wojskowe, które powoli będą posuwały się na północ — ku Warszawie...

W mieście rabowano wczoraj sklepy bez różnicy, tak żydowskie jak i polskie. Ponieważ jednak sklepów żydowskich jest znacznie więcej niż polskich, więc mówiono, że rabują Żydów. Odbywa się to w ten sposób, że do sklepu, jeżeli jest otwarty, wchodzi najpierw kilku żołnierzy, biorą coś niecoś dla siebie, a potem zaczynają wyrzucać towary na ulicę. Tu już czekają tłumy ludności (chrześcijańskiej!) z miasta i ze wsi. Każdy chwyta co tylko może i niesie czym prędzej do domu. Potem inni wpadają do sklepu i wspólnie z żołnierzami rabują i niszczą wszystko doszczętnie. Jeżeli sklep jest zamknięty, wówczas żołnierze rozbijają drzwi i rabunek odbywa się w jeszcze szybszym tempie. Mieszkania prywatne, zwłaszcza tych, którzy je opuścili i wyjechali z miasta, również zrabowano i zdemolowano. Jeżeli chodzi o samych Niemców, to ci szukają po domach przede wszystkim artykułów spożywczych, konfitur, nalewek, tytoniu, ale nie gardzą i srebrem stołowym, bielizną, dywanami, kilimami itp. W aptece nawet lekarze brali co chcieli (morfina, aspirina) nie płacąc nic, dając tylko czasem jakieś kartki bez znaczenia.

Poszliśmy z panią dr Warchałowską do komendy placu prosząc, żeby nam wydano przepustki w celu swobodnego poruszania się po mieście, ale powiedziano nam, że to zbyteczne, ponieważ do 7 godz. wieczorem każdy obywatel może bez przeszkód chodzić po mieście.



Byłem w aptece — wszyscy tam są strasznie zgnębieni. Wybrałem dla szpitala dużo środków lekarskich. Chętnie mi je wydano wobec obawy zabrania tych rzeczy przez Niemców. Koło godz. 5 przyszedł do szpitala jakiś młody, bardzo przystojny i elegancki oficer zapytując, czy mamy rannych żołnierzy polskich. Obszedł cały szpital, z żoną rozmawiał po francusku. Gdy wychodził zapytałem go, czy nie mógłby nam dostarczyć materiału opatrunkowego. Obiecał, że się postara. W pół godziny potem przyszedł znów, ale już w towarzystwie lekarza wojskowego i przyniósł mi trochę gazy sterylizowanej w paczkach i kilka bandaży. Lekarz obszedł ze mną cały szpital, interesował się poszczególnymi rannymi. Obydwaj byli zupełnie grzeczni i uprzejmi.

Noc dzisiejsza przeszła spokojnie. O 5 rano, jak co dzień teraz obszedłem szpital i sprawdziłem, czy wszystko w porządku, potem nastąpiły zwykłe czynności przy chorych, głównie zakładanie opatrunków chirurgicznych. Przez cały dzień bez przerwy byłem na terenie szpitala w pobliżu drzwi wejściowych, kancelarii i sali opatrunkowej. Do mieszkania nawet nie zachodziłem. Robimy to celowo, żeby spotykać wchodzących Niemców na wstępie. Wówczas nie rozłażą się po całym szpitalu, przekonawszy się, że to jest budynek istotnie szpitalny przeważnie zaraz wychodzą, czasem tylko ktoś z szarżą oficerską lub z żandarmerii polowej przejdzie się po salach zapytując, czy są polscy oficerowie i żołnierze. Dzisiaj mieliśmy u siebie kilku takich niemieckich „kanarków".

Wciąż obserwujemy ruchy wojsk. Całe przedpołudnie duże ilości wojsk niemieckich — piechota i konnica z różnymi dodatkami — szły w kierunku od Zamościa na Zwierzyniec. Zdawało się nam, że to te same oddziały, które wczoraj szły przez Szczebrzeszyn właśnie na Zamość. Po południu znów było inaczej. Od strony Zwierzyńca na Zamość gnały wojska zmotoryzowane — długa, nieprzerwana kolumna samochodów z żołnierzami, amunicją, bronią rozmaitego typu, ciężarówek taborowych i armat dużego kalibru. Z przemarszów tych nic nie możemy wywnioskować o sytuacji wojennej. Nic nie wiemy co się dzieje. Krążą, jak zwykle, najrozmaitsze plotki. Niemieccy żołnierze dziś rano mówili, że wojna z Polską już skończona, że Warszawa się poddała itp., a dalej, że oni wracają przez Kraków do domu, że połowę terytorium Polski (od wschodu) zajmą wojska radzieckie, które i w Szczebrzeszynie mają już być lada dzień. Po południu znów mówili co innego, że Warszawa, Łódź i Po-

znań trzymają się. Jeden żołnierz wygadał się, że na froncie zachodnim Niemcy ponieśli jakąś większą klęskę. A wśród ludności cywilnej krążą głuche wieści, rzekomo usłyszane gdzieś przez kogoś w radio, że sytuacja zmienia się wyraźnie na naszą korzyść itp. Sprawdzić tego nie możemy, bo radio nasze nieczynne z powodu braku prądu.

Przez miasto przeciąga coraz więcej uchodźców powracających do swych domów, najczęściej jadą na rowerach, ale idących pieszo też jest dużo, najmniej widać jadących na furmankach, ze względu na trudność dostania koni. Tymczasem w mieście w dalszym ciągu, tak jak wczoraj, rabują sklepy, w czym najczynniejszy udział bierze miejscowa i okoliczna ludność chrześcijańską. Na miasto dziś nie wychodziłem. Zbyt dużo kosztuje mnie patrzenie na to co się dzieje, zresztą postanowiłem przede wszystkim pilnować szpitala.

22 września

Rano zwykłe czynności przy chorych i rannych. Dzień w szpitalu przeszedł wyjątkowo spokojnie, nie widzieliśmy ani jednego Niemca. Żona chodziła do miasta kupić kilka drobiazgów kosmetycznych. Nigdzie nic już nie ma. W mieszkaniu właściciela składu aptecznego, Geszychtera, z resztek pozostałych po rabunku dostała jakąś lichą szczoteczkę do zębów dla mnie, parę kawałków mydła, pastę do zębów itd. Wszystko to pogniecione, w podartych opakowaniach, zabrudzone, ale bierzemy co się da, bo potem i tego może nie być.

Na szosie ciągły ruch zmotoryzowanych wojsk, zwłaszcza po południu i wieczorem. Poza tym plotki, plotki...

23 września

W ciągu dnia w szpitalu nie było żadnego wydarzenia godnego zanotowania. Przez cały dzień nie ruszałem się ani na krok, nie byłem nawet w mieszkaniu, tylko wciąż siedziałem na parterze, na ścisłym terenie szpitala. Staram się o zaopatrzenie szpitala na zimę. Dostałem dziś w cukrowni „Klemensów" 3 metry cukru, ordynacki folwark Michałów dał mi na przechowanie 3 ładne, mleczne krowy.

W mieście rabunek idzie w dalszym ciągu na całego. Ponieważ sklepów nie ograbionych już nie ma, dobierają się do mieszkań prywatnych. Na szosie nieustanny ruch wojska, zwłaszcza w nocy. Krążących plotek nie będę notował.

24 września

Całą noc niemal bez przerwy, jechały samochody w stronę Zwierzyńca. Dudnienie wozów hamowanych na ostrym zakręcie szosy było tak silne, że spać nie mogliśmy zupełnie. Zmordowała nas ta noc okropnie. Rano słychać było strzały armatnie gdzieś na południu i na wschodzie. Krą-

żyły głuche wieści o bitwie w pobliżu Zamościa, o zabiciu jakiegoś generała niemieckiego itp.

Żołnierze niemieccy wciąż kręcą się koło szpitala. Wyprowadzili nam dzisiaj z chlewa świnkę, ale służba i siostry podniosły taki krzyk, że ją puścili. Nie wiemy tylko na jak długo. Stale wałęsają się po całym podwórzu i sadzie. Kilka razy zaglądali do kuchni, wreszcie po południu przyszli smażyć kaczki i gęsi, lecz wszystko co potrzeba przynieśli ze sobą. Jesteśmy zupełnie bezsilni i musimy znosić ich obecność. Straszymy ich tylko tym, że mamy w szpitalu zakaźnie chorych.

Z każdym dniem rośnie wśród nas nastrój zdenerwowania i depresji. Odczuwam to przede wszystkim na sobie. Wytężam wszystkie siły, ażeby się nie załamać duchowo i nie pokazać otoczeniu zdenerwowania jakie mnie opanowuje. Doskonale zdaję sobie sprawę, że wyłącznie na mnie jednym „trzyma się" obecnie cały szpital i że tylko od mojej postawy zależy utrzymanie na stanowisku i personelu i służby.

Nie znoszę widoku niemieckich żołnierzy, zwłaszcza na terenie szpitala. Wychodzę do nich tylko z konieczności. Był dziś u nas niemiecki lekarz wojskowy, grzeczny, uprzejmy, uśmiechnięty „Herr Kollege".

25 września

Wczoraj wieczorem do godz. 11, jechało bardzo dużo wojska w stronę Zwierzyńca. Szosą szły samochody, a koło szpitala w kierunku na Błonie oddziały konne. Potem nagle się uspokoiło. Około godz. 5 rano słyszeliśmy silną kanonadę armatnią w tej samej stronie co wczoraj. O godz. 6 nastała zupełna cisza. Na mieście nigdzie nie widać Niemców. Zostali jeszcze tylko w okolicy gimnazjum. Na placu „Sokoła" zapalili kilka ukrytych w krzakach beczek z kalafonią. Przed południem sporo wojska jechało w stronę Zwierzyńca. Po południu widać już było tylko od czasu do czasu pojedyncze samochody i motocykle. O godz. 9 wieczorem Niemcy ostatecznie opuścili Szczebrzeszyn i potem nikt ich tu już nie widział. Wciąż mówią, że nadchodzą wojska radzieckie. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

26 września

W nocy absolutna cisza i spokój. O godz. 6 rano wyszedłem na ulicę. Strasznie zgnębił mnie widok ogromnej liczby żołnierzy polskich bez broni, wracających do domu pojedynczo i całymi grupami. Mówią, że zostali rozbrojeni przez żołnierzy radzieckich między Chełmem a Krasnymstawem. W żaden sposób nie mogę pogodzić się z myślą, że będą tu wojska radzieckie.

O godz. 10 poszedłem na miasto. Na ulicach tłumy ludzi — wyległo wszystko co żyło. Środkiem szosy szli całymi grupami rozbrojeni żołnierze. Miny mieli przeważnie zadowolone, twarze uśmiechnięte. Wśród nich szło kilkunastu również rozbrojonych, lecz ponurych żołnierzy nie-

mieckich. Widok miasta i ulic nieprawdopodobny. Czyżby to byli żołnierze naszego pięknego, wspaniałego, tak wysoce cenionego wojska? — Nie potrafię opisać co się działo w mej duszy.

A oddziałów radzieckich istotnie — tylko patrzeć.

O godz. 11 będąc przypadkowo w ogrodzie usłyszałem warkot motoru. Podbiegłem do muru nad szosą i zobaczyłem jadące od strony Zwierzyńca 2 motocykle (po 3 żołnierzy niemieckich na każdym), za nimi zaś samochód otwarty z oficerami i z białą chorągiewką, przyczepioną z przodu po prawej stronie, a dalej jeszcze jeden samochód z żołnierzami. Co to ma znaczyć? Chyba jacyś parlamentariusze?

W południe przywieziono mi chłopca z rozszarpaną dłonią. Znalazł zapalnik od granatu, zaczął go rozkręcać i nastąpił wybuch. Musiałem dłoń amputować.

Do wieczora wojsko radzieckie nie przyszło, choć wiemy z pewnością, że w Zamościu było dziś już cały dzień. Wrócił do Szczebrzeszyna burmistrz Franczak i szereg obywateli. Wrócili zarówno ci, którzy wyjechali z miasta, obawiając się najpierw bomb, potem Niemców, jak i ci, którzy zostali zwolnieni z wojska. — Organizuje się milicja ludowa.

Wieczorem zjawił się w szpitalu dr Grot, znany internista z Warszawy i dr Oczkowski, dyrektor szpitala w Noworadomsku. Zwolnieni z wojska chcą przedostać się do siebie. Dałem im ubranie cywilne i czapki. Jutro spodziewamy się już na pewno przyjścia oddziałów radzieckich. Wciąż jeszcze nie mogę należycie objąć umysłem i przyswoić sobie całej treści bieżących wydarzeń.

27 września

Dziś w nocy pełniłem dyżur w szpitalu, śpiąc w sali opatrunkowej, w pobliżu drzwi wejściowych od ulicy. Panował zupełny spokój i wstawać nie potrzebowałem. Zauważyłem pewien, nieznaczny jeszcze, wpływ zbliżania się wojska radzieckiego na służbę szpitalną. Przypomniało mi się to, czego byłem świadkiem w czasie przewrotu w 1918 roku, kiedy pracowałem w szpitalu w Symferopolu na Krymie. Ciekaw jednak jestem jak się ułoży tu dalsze codzienne życie.

Wczoraj pod wieczór zgłosili się do mnie czterej żołnierze z jakiegoś pułku piechoty i ofiarowali dla szpitala 5 skrzyń z materiałem opatrunkowym, narzędziami chirurgicznymi i przyrządami do ratownictwa przeciwgazowego. Wieźli to ze sobą na wozie zaprzężonym w parę koni wojskowych. Oczywiście skrzynie te z wdzięcznością przyjąłem i dziś rano rozpakowaliśmy je. Przybyło mi tym sposobem bardzo dużo niezmiernie cennych artykułów, zwłaszcza materiału opatrunkowego. Za dwa stare ubrania cywilne zostawili ci żołnierze intendentowi również wóz z końmi.

Dziś o 5 rano zjawili się w Szczebrzeszynie żołnierze radzieccy na dwóch samochodach. Zaszli do magistratu i zaraz wrócili z powrotem do Zamościa. W południe ukazali się w mieście komuniści-cywile z czerwonymi opaskami na lewym ramieniu. Około godz. 4 wyszedłem na miasto, żeby zobaczyć co się dzieje. Widziałem żołnierzy polskich, którym

odbierano broń, pasy, czasem konie. Komuniści przejmowali całą władzę w mieście w swoje ręce. Z ramienia komitetu powiatowego przyjechał z Zamościa niejaki Kardyga, robotnik z klinkierni sejmikowej, który ma tu zawiązać komitet miejscowy. Przybywających z Zamościa komunistów przyjmowano czerwonymi kwiatami (szałwią). Witający też mieli już czerwone opaski na ramieniu. Widziałem i żołnierzy polskich w pełnym umundurowaniu z karabinami i z czerwonymi opaskami. W milicji zauważyłem kilku znajomych (Tałanda, Goleniak, Sudak, Kowalik, Kowalikówna i jeszcze paru). Do pewnego stopnia niespodzianką jest udział w czerwonej milicji byłych czynnych członków Związku Rezerwistów i listonosza z miejscowego Urzędu Pocztowego.

W godzinach przedwieczornych można było wyczuć w mieście pewien ferment. Od strony Zamościa szło bardzo dużo żołnierzy polskich. Milicjanci, stojący koło magistratu zaczęli ich rozbrajać. Żołnierze protestowali, zebrał się tłum ludzi, który stając po stronie żołnierzy, zaczął przybierać wyraźnie wrogą postawę w stosunku do milicjantów. — Wydano zakaz chodzenia po ulicy od 6 wieczorem do 6 rano.

W ponurym nastroju, wymęczony całodziennymi przeżyciami i wrażeniami poszedłem wcześnie spać. Czy na długo starczy nam sił, żeby to wszystko znieść i przetrzymać!

28 września

Noc była spokojna, zbudzono mnie tylko do rodzącej w szpitalu. Rano zauważyłem w piekarni naprzeciwko szpitala ożywiony ruch. Rzucono się na białe bułeczki, których od 10 dni już nie widziano. — O 6 rano przywieziono nam ze wsi kobietę. Ktoś w nocy przez okno rzucił do mieszkania granat ręczny i pokaleczył śpiących. Zapewne był to akt zemsty.

W południe poszedłem do siedziby komendy milicji ludowej w lokalu dawnego posterunku policji. Zastałem tu dużo milicjantów miejscowych z naczelnikiem Tałandą na czele. Miałem wielu znajomych, którzy z triumfującymi minami wyjątkowo uprzejmie, a nawet serdecznie się ze mną witali. Omówiłem niektóre sprawy gospodarcze szpitala z naczelnikiem Tałandą i drugim wybitniejszym komunistą Sudakiem, moim byłym pacjentem. Zwracali się do mnie per „obywatelu doktorze", czyli w formie, którą bardzo lubię. Dowiedziałem się od nich, że gromada uzbrojonych chłopów ze Złojca i z Siedlisk pod Zamościem na furmankach przyjechała do Klemensowa i rabuje pałac Zamoyskich. Milicja nie mogła temu zapobiec. Zwrócono się o pomoc do władz radzieckich w Zamościu.

Ze Zwierzyńca przywieźli mi chłopca ciężko chorego na zapalenie opon mózgowych. Przyjechał z nim razem były naczelnik Urzędu Pocztowego w Zwierzyńcu p. Soroka, który obecnie czasowo pełni funkcje intendenta szpitala. Opowiadał mi, że mają około 120 rannych żołnierzy i wciąż przybywają nowi, gdyż znajdują ich jeszcze żywych po okolicznych lasach. Oprócz dra Wróblewskiego opiekują się nimi lekarze, którzy przygodnie znaleźli się w Zwierzyńcu.

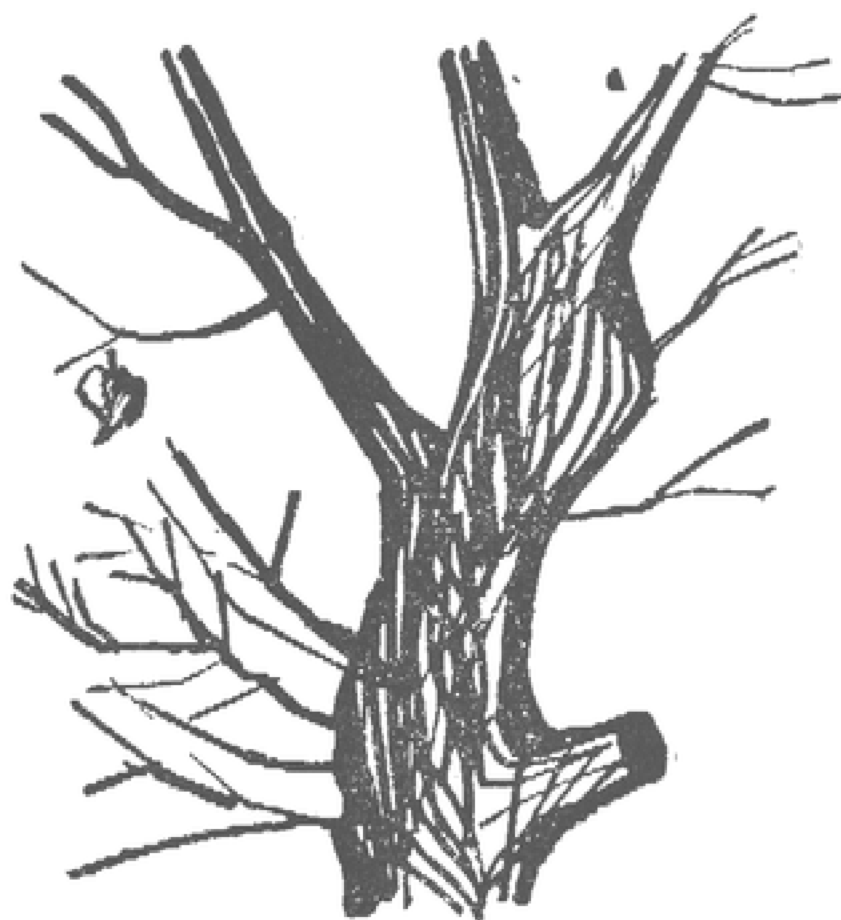
U mnie chorych i rannych niewielu, zaledwie 26 osób, lecz są między nimi tak ciężko ranni, że trzeba im poświęcić bardzo dużo starań i pracy. Ogromną pomoc w szpitalu, dla mnie i dla pielęgniarek etatowych stanowią dwie wolontariuszki — p. Leokadia Haścówna i p. Maria Wadowska, które z dużym poświęceniem, całkiem honorowo pracują przy chorych i pełnią uciążliwe dyżury nocne.

29 września

Wczoraj wieczorem przejechało drogą obok szpitala kilkadziesiąt samochodów ciężarowych z wojskiem radzieckim. Pierwszy samochód zatrzymał się na krótko przed samym szpitalem. Widziałem przez okno, jak wysiadł jakiś wojskowy w typowym, długim płaszczu kroju rosyjskiego, przeszedł się kilka razy po chodniku, wydał rozkaz w języku rosyjskim, po czym pojechali wszyscy dalej. I jeszcze teraz trudno mi było uwierzyć, że to nie sen, lecz rzeczywistość.

Spałem bardzo źle. Ciężkie, tłoczące się w głowie myśli odbierały mi sen. A przy tym i niektórzy moi chorzy mocno mnie niepokoją. Mam np. teraz jedną chorą, żonę porucznika, która po porodzie dostała rzucawki porodowej w bardzo ciężkiej formie. Całą noc pilnowały jej moje pielęgniarki-wolontariuszki. Na szczęście w nocy napadu już nie miała i odzyskała przytomność. Rano przywieźli mi znów chłopca z rozszarpaną od wybuchu zapalnika dłonią, którą musiałem amputować.

Około 8 rano zatrzymało się przed szpitalem kilka pancerek radzieckich. Stałem na schodach, patrzyłem na oficerów i żołnierzy, słuchałem co między sobą mówili. Muszę się przyznać, że żołnierze niemieccy byli mi bardziej niemili.



Do południa praca w szpitalu odbywała się normalnie. Po południu przyszło do mnie trzech żołnierzy radzieckich po samochód. Po obejrzeniu maszyny i po rozmowie na różne tematy, oficer poprosił mnie („towariszcz doktor, u mienia k wam bolszaja prośba") o 5 arkuszy blachy ocynkowanej na wiadra, a samochód mi zostawił, mówiąc do towarzyszących mu żołnierzy, że mnie jako lekarzowi może być istotnie potrzebny. Podczas rozmowy trochę brakowało mi słów, lecz na ogół gawędziliśmy zupełnie swobodnie. Jeden z żołnierzy pochodził z Moskwy, rozmawialiśmy i o niej. Upewniał mnie, że nie poznałbym ani Moskwy ani Petersburga, tak się rozbudowały i takie są teraz piękne.

Wieczorem wstąpił do mnie polski lekarz wojskowy z Biłgoraja prosząc o materiał opatrunkowy. Mają w szpitalu i innych budynkach 240 rannych i nie mogą sobie dać z nimi rady, zwłaszcza, że nie mają chirurga i materiału opatrunkowego. Dra Pojaska nie ma, został wzięty do

wojska, tymczasem dyrektorem szpitala jest dr Michał Kowalik z Frampola. Lekarz ów odwiózł kilkunastu ciężko rannych do Zamościa i teraz wracał. Dałem mu co mogłem. Opowiadał, że rannych swoich umieścił w Zamościu, w gimnazjum zamienionym na szpital.

Mam dużo kłopotów w szpitalu. Coraz trudniej jest kierować służbą, która rozpuściła się strasznie, rozleniwiona nie chce pracować. Ogromną ulgą i ułatwieniem w pracy było dla nas naprawienie linii doprowadzającej prąd z Zamościa. Już nie siedzimy przy lampkach naftowych i świeczkach, na wpół w ciemności, lecz świecimy normalnie lampy elektryczne.

30 września

Dziś o 6 rano zupełnie niespodziewanie przywieziono do szpitala na kilkunastu furmankach rannych wprost z pobojowiska. Właściwie wieźli ich do Zamościa, lecz po drodze dowiedzieli się o istnieniu szpitala w Szczebrzeszynie i wstąpili tutaj. Tak więc część transportu została u mnie. Jeden z oficerów, Wierzbicki, zmarł na wozie nie dojechawszy do Szczebrzeszyna. Zaniesiono go wprost do kostnicy.

Przed szpitalem w jednej chwili zebrał się olbrzymi tłum ludzi. Wszyscy mężczyźni rzucili się do noszenia rannych. Wniesiono najpierw najciężej rannych. Rozpoczęliśmy intensywną, wytężoną pracę, która trwała cały dzień. Zabrakło mi bielizny. Dałem znać na miasto. Po krótkim czasie ludzie nawet całkiem biedni zaczęli mi znosić koszule, kalesony, prześcieradła. Kobiety z miasta w zadziwiająco szybkim czasie przyniosły w dzbanach gorącą herbatę i kawę, a po południu całe dwa wiadra rosołu z kur itp. Harcerki pod kierownictwem nauczycielki p. Zofii Jaworskiej zajęły się uporządkowaniem sal i korytarzy. Panienki z PCK objęły dyżury na salach przy rannych jak w dzień, tak i w nocy. Przedstawiciele obecnej władzy komunistycznej, Sudak i Wit Naszyński, rachmistrz magistracki, przyszli też, obiecując jak najdalej idącą pomoc, dając na razie kilka metrów mąki. Słowem, z przyjemnością mogę stwierdzić, że całe miejscowe społeczeństwo przyszło szpitalowi w tej ciężkiej potrzebie z bardzo wydatną pomocą. Zapełniłem rannymi 3 duże sale. Na razie wystarczyło mi łóżek, na podłodze nikt u mnie nie leży. Wspominam o tym dlatego, że w innych szpitalach np. w Biłgoraju, w Zwierzyńcu, a zwłaszcza w Zamościu liczba rannych jest tak wielka, iż leżą nawet na korytarzach na siennikach lub wprost na słomie, na podłodze. Opieka nad nimi podobno pozostawia bardzo dużo do życzenia. Opowiadali mi o tym oficerowie, którzy rano po opatrunku u mnie pojechali do Zamościa, lecz zobaczywszy w jakich warunkach znajdują się tam ranni umieszczeni w gimnazjum, wieczorem powrócili do mnie, do Szczebrzeszyna. Jak wspomniałem, wszystkich tych rannych przywieziono wprost z pola walki. Garstka bohaterskich szaleńców, nie chcących się poddać i złożyć broni, jakiś zbierany batalion z grupy płka Koca, starł się wczoraj z Niemcami koło wsi Zwola w powiecie biłgorajskim.

1 października

W ciągu dnia przybyło mi bardzo dużo rannych, najpierw 7 żołnierzy radzieckich, potem polscy oficerowie i żołnierze. Ogółem do 70 osób, ranionych w jakiejś nocnej walce w pow. biłgorajskim. Byłem zajęty bez przerwy od 6 rano do 11 wieczór. Zabrakło mi łóżek. Zacząłem kłaść na siennikach na podłodze. W ciągu całego dnia kobiety z miasta znosiły różne rosoły, kompoty, herbatę itp. Nie czyniono absolutnie żadnej różnicy i radzieccy żołnierze dostali wszystko to, co i polscy. Pomimo tego ktoś doniósł komitetowi, że leżą oni w szpitalu głodni. Delegowano z komitetu p. Naszyńskiego, ażeby sprawdził tę wiadomość. Zaprowadziłem go na salę chorych. Wszyscy tu byli bardzo zadowoleni i najedzeni i zgodnie potwierdzili bezpodstawność oskarżenia.

Zmarł dziś w szpitalu na ranę postrzałową mózgu dr filozofii por. Julian Nieć, kustosz wołyńskiego muzeum regionalnego w Łucku. Przywieziony był w stanie beznadziejnym, nieprzytomny. Znam to nazwisko z bibliografii naukowej, nie mogę tylko sobie przypomnieć tytułów jego prac. Wśród przywiezionych wieczorem rannych jest jakiś major Konrad Żelazny z Poznańskiego i kpt. Stanisław Lis-Błoński, znany na terenie Lubelszczyzny działacz społeczny, w swoim czasie sekretarz BBWR na województwo lubelskie. I jeden i drugi są bardzo ciężko ranni w obie nogi. Grozi im amputacja.

Jestem tak zmęczony, że nie mogę myśleć normalnie.

2 października

Od 5 rano do 10 wieczór pracowałem bardzo intensywnie. Jestem potwornie zmęczony. Amputowaliśmy dziś nogę poniżej kolana kpt. Lisowi-Błońskiemu. Mam dużą pomoc w robocie lekarskiej ze strony dra Władysława Borkowskiego, chirurga, dyrektora szpitala w Starachowicach. Był on powołany do wojska, tułał się bez przydziału, wracał powoli do domu, aż wreszcie we Frampolu zatrzymali go żołnierze Armii Czerwonej. W tym czasie przywieziono tam rannych Rosjan i Polaków. Zabrał się od razu do pracy przy opatrunkach, a potem wraz z rannymi przyjechał do Szczebrzeszyna, gdzie udzieliłem mu gościny. Ze strony miejscowych kolegów też mam dużą pomoc. Dr Warchałowska wzięła na siebie oddział zakaźny, oddział kobiecy i jedną salę z rannymi. Dr Spoz wziął także jedną, ale za to największą, salę z rannymi. Dla mnie pozostała reszta. Najwięcej jednak czasu zabiera mi strona administracyjna i organizacyjna. Bez pomocy kolegów nie wiem jak mógłbym sam wszystkiemu podołać.

Był u mnie parę godzin lekarz radziecki, który przyjechał zobaczyć swoich rannych. Jest on asystentem kliniki chirurugicznej jednego z uniwersytetów na Ukrainie. Opowiadał mi dużo ciekawych rzeczy o ustroju sowieckim.

Pod wieczór rozeszła się pogłoska, że wojska radzieckie ustępują i na nowo przyjdą Niemcy. Wiadomość ta wywołała wśród Żydów straszny popłoch.

3 października

W nocy Rosjanie przywieźli do szpitala kilku rannych żołnierzy polskich. Przez cały dzień pracowaliśmy bez wytchnienia, wciąż wlecze się za mną zapach rozkładającego się ciała ludzkiego.

4 października

W nocy zjawił się u mnie ppłk dr Kazimierz Rytter, lekarz dywizyjny, stale mieszkający w Zamościu, mój dobry znajomy. (Jeńców ulokowano na noc w gimnazjum w Szczebrzeszynie, lecz pilnowano tak słabo, że bardzo wielu zdołało uciec). Udzieliłem mu noclegu, a potem przebrałem po cywilnemu. Cały dzień spędził on w szpitalu. Był obecny przy opatrunku mjra Żelaznego. Po krótkim opowiadaniu o końcowych chwilach grupy płka Koca zaczął czytać ostatni rozkaz dzienny do żołnierzy. W rozkazie tym powiedziano m. in.: „jesteśmy ostatnim oddziałem wojska polskiego walczącego na ziemi polskiej"... Gdy ppłk Rytter odczytał kilka pierwszych zdań opanowało go raptem takie wzruszenie, że przerwał i ze słowami „nie, ja nie mogę czytać", płacząc wyszedł z sali opatrunkowej. Będący również na sali dr Borkowski czytał ten rozkaz dalej. Ranny major Żelazny nie wytrzymał, twarz mu się zmieniła i też płakał na głos. Poszły w jego ślady asystujące pielęgniarki. Ja choć z dużym wysiłkiem jakoś się pohamowałem.

Ppłk Rytter wyruszył do domu, do Zamościa, późno wieczorem. Przed wyjściem wpisał mi do mojej księgi pamiątkowej kilka wierszy, które sprawiły mi przyjemność ... „przede wszystkim widziałem to, co mnie, jako żołnierza, najbardziej wzruszyło w tym ciężkim dla armii polskiej momencie — specjalnie serdeczną i wprost tkliwą opiekę nad rannym żołnierzem polskim. Szpitalowi w Szczebrzeszynie cześć!".

5 października

Dziś rano oficerowie radzieccy zabrali swoich rannych i chorych. Na mieście nie widać ich już wcale, tak samo jak i miejscowych komunistów. Znikły też z domów flagi czerwone, które kazano nam wywiesić po wkroczeniu do miasta wojsk Armii Czerwonej.

Aby bardziej zainteresować ogół obywateli losem rannych żołnierzy zorganizowałem specjalny Komitet Opieki nad rannymi z ks. prefektem Kapalskim na czele. Mjr Żelazny złożył na rzecz Komitetu zł 600, obiecując w przyszłości dać więcej, a kpt Lis-Błoński zł 500. W dzisiejszych warunkach jest to dla szpitala bardzo wydatna pomoc.

Czuję się źle, zapewne jest to stan przedgrypowy, położyłem się wcześnie do łóżka.

6 października

Mam grypę. Nauczony ciężkim doświadczeniem zeszłorocznym, kiedy to chciałem ją „przechodzić", a potem chorowałem kilka miesięcy na serce i ledwiem się z choroby wygrzebał, postanowiłem dzisiejszy dzień spędzić w łóżku. Leżę ubrany, żeby w każdej chwili móc zejść na dół i zażywam różne leki. Chcę jutro być zdrów, bo roboty tak dużo i wciąż mi się zdaje, że beze mnie gorzej wszystko idzie. Nie mogłem jednak wytrzymać i zszedłem do sali operacyjnej, żeby zobaczyć amputowanego kapitana i majora.

Z niedosypiania, przemęczenia i od gorączki głowę mam ciężką, myśli krążą leniwie, wciąż drzemię. A zresztą nie chce mi się myśleć. Przejścia nasze z ostatniego miesiąca są tak potworne, koszmarne, że łatwo można myśląc o nich dojść do rozstroju nerwowego i załamać się duchowo. Chroni mnie przed tym wyjątkowo wręcz intensywna praca od czasu, gdy zaczęto przywozić do nas rannych. Pracujemy wszyscy minimum po 16 godzin na dobę, a były dni, że pracowaliśmy i po 18.

Wielkie to szczęście, że przy takiej pracy nie mam czasu myśleć. Odczuwam natomiast ogromne zadowolenie, że jestem teraz naprawdę pożyteczny. Zupełnie nieoczekiwanie dla mnie samego udało mi się zainteresować rannymi całe społeczeństwo, nie tylko z miasteczka, lecz i ze wsi. Ta sama ludność, która tak niedawno brała czynny udział w rabowaniu sklepów, okazała teraz niezwykłą ofiarność w stosunku do rannych żołnierzy polskich. Mieszczanki szczebrzeszyńskie co dzień gotują obiad na 20—30 osób, kobiety ze wsi i z miasta wciąż przynoszą do szpitala chleb, mleko, placki, kury, jaja, jabłka, wino domowej roboty, herbatę, soki, cukierki itd. Największą przyjemność sprawia im, gdy mogą same rozdać rannym przyniesione artykuły, takie jak placki, jabłka itp. Często też przynoszą materiał opatrunkowy — po parę bandaży, trochę waty, gazy, co się tylko w domu znajdzie. Wczoraj stara kobieta ze wsi Michałowa przyniosła mi całą apteczkę straży pożarnej. Panienki stale pełnią dyżury, tak w dzień jak i w nocy, najwięcej chętnych zawsze jest do tych sal, w których leżą oficerowie. Harcerki przychodzą co dzień po południu, aby gruntownie uprzątnąć salę opatrunkową, korytarze itd. Jedna pani z grupy uchodźców wzięła na siebie uporządkowanie bielizny przyniesionej przez ludność. Członkowie komitetu, a przede wszystkim sam ks. Kapalski, skupują rozmaite artykuły — jaja, masło, zboże, cukier, prosięta, cielęta. — Słowem, okazano mi naprawdę rzeczową pomoc, bez której mowy nie ma, żebym mógł szpital utrzymać i obsłużyć taką liczbę rannych. Cieszy mnie to powszechne zrozumienie potrzeby zajęcia się rannymi żołnierzami. Cieszy mnie również opinia szeregu ludzi, że w moim szpitalu ranni mają — jak na obecne czasy — wyjątkowo dobre warunki. Mówili mi o tym i lekarze radzieccy, dodając, że tylko w Sokalu i u mnie nie widzieli rannych leżących na podłodze wprost na słomie.

Dzisiaj w mieście spokój zupełny. Święto żydowskie, a równocześnie nie ma ani Rosjan ani Niemców. Ci mają podobno przyjść jutro. Po po-

łudniu starodawnym zwyczajem wyszedł na miasto woźny magistracki i obębnił po ulicach wezwanie, żeby wszyscy mieszkańcy sami pilnowali w nocy swoich domów.

7 października

Wczoraj wieczorem miałem dużą gorączkę i czułem się fatalnie. Dziś od rana temperatura trzyma się też na wysokim poziomie i samopoczucie moje coraz się pogarsza. Dziś nie wstawałem już wcale. Kierownictwo szpitala oddałem w ręce dra Spoza. Tak mnie jednak interesuje to, co się w szpitalu dzieje, że wciąż każę sobie o wszystkim meldować. Martwi mnie bardzo stan zdrowia mjra Żelaznego, któremu jednak wypadnie podudzie amputować.

Niemców w mieście jeszcze nie widać. Wielu Żydów wyjechało ze Szczebrzeszyna razem z wojskiem radzieckim, przede wszystkim wszyscy ci, którzy brali udział w czerwonej milicji.

8 października

Czuję się znacznie lepiej, temperatura spada, jestem tylko tak osłabiony, że z trudem się poruszam i będę musiał jeszcze parę dni leżeć w łóżku. Zresztą z moim sercem z pewnością jest niedobrze, jeżeli dr Warchałowska i dr Spoz zabronili mi nawet mówić, żeby się nie męczyć.

Dr Borkowski amputował dziś nogę majorowi Żelaznemu. Tak mi go żal, że rad jestem, iż z powodu choroby sam go nie operowałem, a nawet nie byłem obecny przy operacji.

Odwiedził mnie dzisiaj dr Wróblewski ze Zwierzyńca. Dużo opowiadał mi o tym, co się u nich działo. Mają obecnie 104 rannych, ale na 5 lekarzy nie ma ani jednego chirurga. Prawdopodobnie przyśle mi trochę rannych.

Dziś w południe Niemcy przejechali przez miasto w kierunku na Zamość. Jeden samochód zatrzymał się przed magistratem. Wysiadł z niego oficer i w języku polskim, w poprawnej zresztą formie, kazał usunąć napis na szczytowej ścianie magistratu „Precz Niemcom od polskiego morza".

Wieczorem przyszedł do mnie jeden z rannych oficerów i w imieniu kilku kolegów złożył na szpital 300 zł.

9 października

Gorączki nie mam. Próbowałem wstać, lecz serce odmawia posłuszeństwa i muszę jeszcze leżeć.

Niemcy już są. Przed południem zjawiło się ich 10-ciu w szpitalu. Zapytywali ilu mamy rannych i czy wśród nich są żołnierze niemieccy lub radzieccy.

Ceny tak idą w górę, że z aprowizacją mamy coraz większe trudności. Dziś np. masło sprzedawano po 10 zł za kg, słoninę po 5 zł, mleko 35 gr litr, jaja 35 gr sztuka, mięso 1 zł 50 gr za kg itp.

10 października

Niemcy urządzają się w Szczebrzeszynie na dobre. Szukają kwater na dłuższy czas dla 150 ludzi. Jest już komendant placu. Od razu zapędzono Żydów do porządkowania miasta. Dziś odbył się po raz pierwszy za czasów okupacyjnych zwykły jarmark wtorkowy. Nie obeszło się bez incydentu. Około godz. 3 chłopi zgromadzeni na jarmarku zaczęli rabować sklepy żydowskie. Burmistrz Franczak zwrócił się o pomoc do komendanta placu, wskutek czego interweniowali żołnierze niemieccy, dali w powietrze parę strzałów, tłum rozpędzili i zaczęli rewidować baby i chłopów, szukając zrabowanych przedmiotów. W ciągu kilku minut rozbiegli się i rozjechali wszyscy chłopi z jarmarku. Żandarmi niemieccy gonili ich nawet na bocznych ulicach i rewidowali. Nie wiem, czy co u kogo znaleźli.

11 października

Dziś pierwszy raz wstałem po chorobie i przez kilka godzin byłem czynny w szpitalu. Moi ranni stopniowo się wypisują i ruszają do domów. Poszło ich już kilkunastu. Na drogę każdy dostaje 1 kg cukru. Z cukrowni „Klemensów" przysłano nam cały metr cukru ze specjalnym przeznaczeniem rozdawania go rannym w chwili opuszczenia szpitala.

Niemców w mieście pełno. We wszystkich znanych nam domach ulokowano „miłych" lokatorów. Są to przeważnie sami Austriacy, wśród nich dużo wiedeńczyków. Do porządków w mieście biorą się bardzo ostro. Spędzają Żydów, każą im zamiatać ulice, zasypywać rowy przeciwlotnicze, oczyszczać ustępy itp. W obwieszczeniach rozlepionych na ulicach są różne zarządzenia, żeby oddawać broń, żeby meldować o każdym wypadku choroby zakaźnej, że wolno chodzić po mieście od godz. 5 min. 30 rano do godz. 10 wieczór itd. Zmienne są zarządzenia dotyczące sklepów żydowskich — raz kazano im otwarzyć je, to znów pozamykać do czasu ustalenia cen. A w ogóle grożą w stosunku do Żydów rozmaitymi represjami.

Jeden Niemiec mówił nam dziś, że długo tu nie będą, że za parę tygodni znów przyjdą wojska radzieckie. Absolutnie temu nie wierzę, chociaż w obecnej wojnie wszystko może być możliwe — przeżyliśmy już przecież nie jedną niespodziankę.

Dużo wojska niemieckiego przechodzi co dzień przez Szczebrzeszyn na Zamość. Mówią, że idą nad Bug, czyli na obecną granicę Związku Radzieckiego.

Wstępował dziś do nas dr Józef Żelazny, dyrektor szpitala w Jaśle. Jeździ on po całej Lubelszczyźnie i szuka po szpitalach żony i córki, które idąc na tułaczkę uchodźczą miały zostawiać po drodze w kancelariach szpitalnych wiadomość o sobie. Jechał teraz z Lublina, ale nigdzie dotychczas na ślad rodziny nie natrafił.

12 października

Dzień przeszedł spokojnie, bez nadzwyczajnych wydarzeń. Dużo mam kłopotów szpitalnych: służby mało, troje zachorowało na grypę, pielęgniarki same muszą sprzątać sale, prać bandaże itp. Zapał wśród panienek z PCK i harcerek znacznie już osłabł. Na początku przychodziły one w irytującej liczbie, musiałem je odsyłać do domu, obrażały się i dąsały za to, a teraz zaledwie kilka sumiennie pełni w dalszym ciągu dyżury. W szpitalu brud i smród, ale na to nic poradzić nie mogę, nająć nikogo niepodobna, bo kto żyw zajęty przy kopaniu kartofli.

A Niemcy w mieście rządzą po swojemu, ustalają ceny i przy pomocy Żydów czyszczą miasto. Sklepy żydowskie w dalszym ciągu pozamykane, polskie otwarte, lecz tak ogołocone, że nic w nich prawie nie ma, np. w najbardziej popularnym u nas sklepie kolonialnym Kołłątaja można dostać tylko pastę do podłogi, wosk i jeszcze parę artykułów o małym popycie.

13 października

Komendant placu mówił burmistrzowi, że rozpatrywany jest projekt założenia w Szczebrzeszynie obozu koncentracyjnego. Dla miasta wiadomość bardzo nieprzyjemna.

Zostały wyznaczone ceny maksymalne na najważniejsze artykuły z notatką, że za przedmioty nie objęte cennikiem można pobierać ceny o 50% wyższe niż przed wojną. Kurs marki określono: 1 marka = 2 zł. W rezultacie powstały jeszcze większe trudności aprowizacyjne, bo po wyznaczonych cenach nikt ze wsi nie chce nic sprzedawać. Mięsa np. nie można było dzisiaj dostać za żadne pieniądze.

Wydano nowe zarządzenia. Przytaczam kilka ważniejszych i ciekawszych punktów:

„Mężczyźni wyznania mojżeszowego w wieku od 15 do 60 lat mają się w dniu 14. X. br. o godz. 8 rano stawić przed Magistratem do obowiązkowych robót, zabierając ze sobą miotły uliczne, wiadra i łopaty".

„Mieszkańcom wyznania mojżeszowego wolno chodzić po mieście od dnia ogłoszenia niniejszego tylko w godzinach od 6 rano do 18. Mieszkania ich muszą być stale dostępne dla władz bezpieczeństwa (żandarmerii i władz miejscowych)".

„Wszelkie aparaty radiowe winne być dostarczone Komendzie miasta z przywieszonymi kartkami z nazwiskiem właściciela (Żydzi z dopiskiem „Jude")".

Żydzi pochowali się w pozamykanych na głucho mieszkaniach — na ulicach prawie ich nie widać.

14 października

Leżałem dziś cały dzień ze względu na zły stan serca. Wciąż ktoś do mnie przychodził i przynosił wiadomości z miasta. Wczoraj władze nie-

mieckie wyznaczyły nowy zarząd miasta. Burmistrzem został nadal p. Jan Franczak, wiceburmistrzem niejaki Borucki, dotychczasowy dozorca sanitarny („pan doktór"), dobrze znający niemiecki język, pochodzący z Poznańskiego. Reszta urzędników pozostała na swoich dawniejszych stanowiskach.

Nie bacząc na sobotę Niemcy kazali Żydom cały dzień porządkować miasto. Obchodzą się z nimi brutalnie, obcinają lub nawet wyrywają brody, wymyślają, biją itp.

Wczoraj zgłosił się do szpitala oficer niemiecki przysłany przez komendanta placu, po zapotrzebowanie na środki opatrunkowe i lekarstwa, o które prosiłem. Zapotrzebowanie takie miałem zawczasu przygotowane. Dziś przysłano mi dość sporą ilość wszystkiego co chciałem, ponadto kilka rzeczy, o które wcale się nie zwracałem. Obiecują przysłać mi jeszcze więcej. Niezwykła uprzejmość.

15 października

Jako tako zwlokłem się z łóżka, ale czuję, że serce moje jest do niczego. W południe pojechaliśmy z żoną końmi do Zwierzyńca. Pierwszy raz jechałem tą drogą od czasu wojny. Wszędzie widać jej ślady — w pobliżu stacji kolejowej i fabryki kalafonii „Alwa" leje od wybuchu bomb lotniczych, szosa zniszczona, wieś Brody po jednej stronie szosy w połowie spalona, — nic, tylko zgliszcza ze sterczącymi kominami. W kilku miejscach w rowach przydrożnych leżą szczątki polskich samochodów ciężarowych. Widziałem też po drodze nie pogrzebane, rozkładające się zwłoki psa, konia itd.

W Zwierzyńcu zniszczenia nie widać, tylko na rynku na Rudce kilka spalonych domów. W szpitalu i w mieszkaniu pp. Pożerskich jest jeszcze 69 rannych — leżą oni przeważnie na podłodze, na słomie, porobiono tylko przegrody z desek. Dr Wróblewski też odstąpił dla rannych 4 duże pokoje ze swego mieszkania. Wszędzie we wszystkich domach pełno uchodźców, którzy czekają możliwości powrotu do siebie. — Widziałem się z młodym ordynatem Zamoyskim. Interesował się losem referatów wygłoszonych na jubileuszowym obchodzie 350 rocznicy założenia Ordynacji Zamoyskich, oddanych nam do druku w „Tece Zamojskiej".

W Zwierzyńcu pełno wszędzie Niemców. Mówił mi p. Gustaw Świda, obecny tymczasowy plenipotent Ordynacji, że ma ich przyjechać około 1.000 na dłuższy pobyt i że są duże trudności z rozmieszczeniem tak wielkiej liczby ludzi. Opowiadano mi też o zniszczeniu biura zarządu Ordynacji przez Niemców. Archiwum podobno, ucierpiało mało.

W Szczebrzeszynie utworzono milicję z 60 osób wyznaczonych przez komendę placu w porozumieniu z magistratem. Dostali oni imienny nakaz stawienia się w magistracie i wstąpienia w szeregi milicji. Mają na lewym ramieniu białe opaski z pieczęcią magistratu i z wydrukowanym kolejnym numerem oraz napisem: u góry „Hilfspolizei" u dołu „Milicja". Na odprawie milicjantów major niemiecki, obecny komendant placu, mówił im, żeby na wszelkie wykroczenia i gwałty w stosunku do Żydów

patrzeć przez palce, że prześladowanie Żydów jest nie tylko tolerowane, ale wręcz nakazane z góry. Sami Niemcy znęcają się nad Żydami w niemożliwy sposób: biją, kopią, popychają, wynajdują najbrudniejsze roboty, zwłaszcza dla lepiej ubranych, przed rozpoczęciem pracy każą wszystkim robić gimnastykę (co dla starszych Żydów jest prawdziwą męką) i dopiero potem prowadzą do roboty każąc śpiewać „Hej, strzelcy wraz" lub coś podobnego.

Na mieście coraz uporczywiej krążą wieści o powrocie w nasze strony Armii Czerwonej. Mówią o jakichś walkach między Niemcami a oddziałami radzieckimi nad Bugiem, niektórzy twierdzą, że dziś rano słyszeli strzały armatnie itp. Daje się już nawet zauważyć pewne zaniepokojenie wśród tych, którzy obawiają się zemsty ze strony Żydów, bo też niektórzy w wyśmiewaniu i naigrawaniu nie ustępują Niemcom.

Komendant placu mieszkający u pp. Warchałowskich upewniał ich, że mowy nie ma o ustąpieniu stąd Niemców i przyjściu Rosjan. Żydzi umyślnie rozpuszczają takie wiadomości, żeby zasugerować społeczeństwo i spowodować łagodniejsze obchodzenie się z nimi.

16 października

Rano chodziłem do magistratu. Odbywało się tam jakieś posiedzenie z nowo przybyłymi niemieckimi władzami cywilnymi. Niemców w mieście bardzo dużo. Sklepy pootwierane, przed niektórymi stoją już ogonki. Znęcanie się nad Żydami przybiera coraz większe rozmiary. Biją ich niemiłosiernie. Przyprowadzono dziś do mnie paru Żydów zbitych okropnie — pośladki mieli koloru śliwki. Prosili mnie o wydanie im świadectwa, musiałem jednak odmówić, bo to by mogło pociągnąć za sobą jeszcze gorsze prześladowanie, zresztą poradziłem im, żeby się zwrócili do wojskowych lekarzy niemieckich, którzy są w mieście i często udzielają porad ludności cywilnej.

Zaraz po obiedzie wyprawiliśmy w drogę (na piechotę) do Starachowic dra Borkowskiego, który spędził u nas przeszło dwa tygodnie. Żal mi go było, że musiał wyruszyć do domu pieszo (160 km), ale nie chciał już dłużej czekać na ustalenie się jakiejś dogodniejszej komunikacji, zwłaszcza, że nic nie wiedział o losie swej rodziny i bardzo się o nią niepokoił.

Koło 4-tej przyszedł do szpitala wojskowy lekarz niemiecki, Oberstabsarzt dr med. Kreutzer w asyście drugiego oficera, mówiącego po polsku. Wypytywał o różne szczegóły dotyczące szpitala, o liczbę chorych i rannych, o potrzeby szpitala, obiecał dostarczyć różnych rzeczy. Potem obejrzał szpital. Interesował się bardzo rannymi. Mówił, że władze niemieckie chcą przewieźć rannych mogących dobrze znieść transport do polskiego szpitala wojskowego w Zamościu (w gmachu Sądu Okręgowego), ażeby cywilne pozostały tylko dla ludności miejscowej, a to ze względu na ewentualne wypadki chorób zakaźnych. Był bardzo uprzejmy i grzeczny. We wszystkim obiecał swą pomoc.

17 października

Dziś w miasteczku zwykły jarmark tygodniowy. Ze wsi zjechało stosunkowo dużo furmanek. Sklepy, te które zostały otwarte, oblężone. Za-

chodziłem do magistratu, tam też ruch niezwykły, pełno interesantów. Dowiedziałem się, że władze niemieckie rozpatrują projekt utworzenia powiatu szczebrzeskiego, do którego weszłyby gminy Sułów, Radecznica, część Zwierzyńca, Nielisz, Wysokie, Mokre i nawet Stary Zamość.

Coraz więcej Żydów zgłasza się po świadectwa. Przeważnie odmawiamy. Wydajemy je tylko w wypadkach istotnie ciężkiego cierpienia i to we dwóch z kol. Spozem. Byłem dziś na mieście u chorego Żyda, którego Niemcy pobili w okropny sposób wczoraj w czasie pracy. Lecz w takich wypadkach poza zapisaniem recepty nic pomóc nie możemy.

Pod wieczór przywieziono mi ze Zwierzyńca ze szpitala 15 rannych żołnierzy, przeważnie już rekonwalescentów.

Zastosowując się do wydanego zarządzenia, odesłałem swój stary, bateryjny aparat radiowy, nowy sieciowy został schowany w jednej z pobliskich wsi, u chłopów.

18 października

Dzień zeszedł nam pracowicie, bez ważniejszych wydarzeń. Siedzę wciąż w szpitalu i miasta wcale nie widzę. Dziś rano wywożono Żydów samochodem ciężarowym na jakieś roboty poza miastem. Kilku bogatszych jakoś wykręcało się dotychczas od tych robót, gimnastyki itp. Żydówki, żony i matki zabranych, zgromadziły się przed domami uprzywilejowanych Żydów i wszczęły taki gwałt, że Niemcy w końcu Żydów tych zatrzymali i odprowadzili do aresztu.

19 października

Od wczesnego rana byłem bardzo zajęty. Czułem się źle. Po południu lekarz niemiecki przyprowadził kilkudziesięciu Żydów, piekarzy i rzeźników (Polaków było tylko 5), do zbadania stanu ich zdrowia. Trzeba było widzieć jak się to wszystko trzęsło ze strachu. Badanie zakończono dłuższym przemówieniem najpierw lekarza po niemiecku, potem tłumacza po polsku. Mówiono o konieczności przestrzegania czystości tak osobistej, jak i we wszystkich warsztatach pracy.

Bardzo wcześnie położyłem się, bo znów dostałem dużej gorączki. Czuję się fatalnie.

20 października

Szpital obchodził dziś skromną rocznicę: 20 lat temu, 20 października 1919 roku, objąłem kierownictwo szpitala. Wszyscy składali mi życzenia, od sióstr otrzymałem piękne kwiaty — róże i goździki. Po południu dla kilkunastu osób, pracowników szpitala, odbył się podwieczorek, na którym pomimo choroby byłem obecny. Odwiedziłem potem na sali kpt. Lisa-Błońskiego, który wygłosił na moją cześć piękne przemówienie.

Z magistratu przyniesiono mi plakat z nowymi zarządzeniami niemieckiej komendy placu. Niektóre punkty są tak charakterystyczne i ciekawe, że przytaczam je dosłownie:

„Od chwili zakończenia działań wojennych nie uważa już armia niemiecka — z polecenia wodza Adolfa Hitlera — Polaków za wrogów, lecz przeciwnie, ma za zadanie dopomóc wszelkimi środkami do gospodarczej i społecznej odbudowy kraju".

„Mieszkańcy Żydzi będą tolerowani i korzystać będą z opieki armii w zależności od ich zachowania".

„Podatnicy Żydzi przynależni do gminy m. Szczebrzeszyna obowiązani są zgłosić do 25 października 1939 r. całkowity posiadany majątek. Zgłosić należy wszelkie przedmioty majątkowe (gotówkę, własność ziemską, nieruchomości, hipoteki, wierzytelności, towary itd.). Niewykonanie tego zarządzenia oraz nieprawdziwe lub nieścisłe zeznania karane będą nieodwołalnie konfiskatą majątku".

„Do dnia 20 października br. w granicach miasta Szczebrzeszyna, wzgl. do dnia 1 listopada na pozostałym obszarze winny (sic!) zgłosić się u właściwych burmistrzów, wójtów i sołtysów wszyscy podlegający obowiązkowi służby wojskowej oraz wszyscy uczestnicy b. armii polskiej...".

Lekarz niemiecki dostarczył dziś szpitalowi materiału opatrunkowego i surowic zapobiegawczych. Sam był bardzo zadowolony, że dotrzymał danej mi obietnicy.

21 października

Dziś rano przyszedł do szpitala dr Władysław Kwit, stale praktykujący w Dubnie. Wynajął w Szczebrzeszynie mieszkanie i ma tu próbować szczęścia. Ciekaw jestem jak mu pójdzie, bo my mamy praktykę prywatną minimalną, wśród Żydów nie mamy teraz wcale pacjentów.

Otrzymałem zaproszenie od komendanta placu von Bassevitz'a na „Abendessen" dzisiaj wieczorem, napisane w bardzo uprzejmej formie ze wszystkimi tytułami i przyjętymi formułkami grzecznościowymi. Skwapliwie skorzystałem z mojej choroby i napisałem, a właściwie przepisałem skreślony mi przez tłumacza, list z podziękowaniem i z zawiadomieniem, że z powodu grypy i cierpienia sercowego przyjść nie mogę. Ciekaw jestem bardzo przebiegu tego wieczoru. Oczywiście cieszę się, że mogę tam nie być, lecz z drugiej strony żałuję, bo z pewnością miałbym dużo materiału do pisania.

Zabrano mi dzisiaj ze szpitala 15 łżej rannych i przewieziono do szpitala wojskowego w Zamościu. Stanowczo musi być jakiś ukryty cel w ewakuowaniu szpitali cywilnych i gromadzeniu wszystkich rannych w Zamościu, w jednym dużym szpitalu wojskowym.

22 października

Uczestnicy wczorajszej kolacji u Niemców opowiadali mi, że odbywała się ona zupełnie przyzwoicie. Była krótka przemowa komendanta placu o dalszej pokojowej współpracy, kilka słów odpowiedzi burmistrza Franczaka i tyle. Niemiłym zgrzytem było tylko wystąpienie obecnego wiceburmistrza Boruckiego, który spóźniwszy się nieco powitał zebra-

nych słowami „Heil Hitler", na co nawet nie wszyscy Niemcy odpowiedzieli „heil". W obcowaniu z Polakami nigdy jeszcze Niemcy u nas zwrotu tego nie używali. Młody ordynat Zamoyski zjawił się bardzo późno i w krótkim czasie odjechał.

Dzień dzisiejszy był u nas pełen trwogi i niepokoju. Około 10 rano, Niemcy zarządzili w mieście ostre pogotowie. Żydów zaczęto wywlekać z mieszkań i spędzać na razie pod ratusz na Rynku. Żydówkom nie pozwolono wychodzić nawet na próg domów. Na Rynek nie puszczano w ogóle nikogo, tylko milicjantów. Zawracano z drogi wszystkich zdążających do miasta ze wsi. Zgromadzonych w kościele na nabożeństwie na pewien czas zatrzymano i nie pozwolono nikomu wychodzić. Mówiono mi potem, że po nabożeństwie w kościele św. Katarzyny obok szpitala stary emerytowany ksiądz zaintonował pieśń „Boże coś Polskę...". Śpiewano ją z wyjątkowym przejęciem, a przy słowach „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie" — bardzo wiele osób płakało.

Koło południa Żydów spod Ratusza czwórkami poprowadzono do magistratu i ulokowano na podwórzu. Na razie nic nie wiedzieliśmy o co chodzi i co będzie dalej. Aż wreszcie przyszedł do nas dobrze poinformowany milicjant, syn burmistrza, student Politechniki Lwowskiej, Franczak, i przedstawił nam całą sprawę. Mianowicie dziś rano Niemcy chodzili i wyciągali z mieszkań Żydów do roboty. W jednym miejscu Żyd chciał się ukryć i zaczął wdrapywać się po drabinie na strych. Niemcy skoczyli za nim, drabina się przewróciła i padając z lekka zaczepiła jednego z Niemców. Ten poleciał z meldunkiem do komendy placu. Aresztowano 11 Żydów, oddano ich pod sąd polowy i zarządzono ostre pogotowie. Żydzi poszli do księdza kanonika Cieślickiego błagając go o interwencję u Niemców. Udała się zaraz do władz niemieckich delegacja składająca się z tych, którzy byli wczoraj na proszonej kolacji.

Gdy już wszyscy mężczyźni Żydzi, znaleźli się na podwórzu magistrackim, dopiero zaczął się na dobre rabunek. Gruntownie przetrząsano wszystkie sklepy żydowskie, wynoszono towary na ulicę, potem składano je na ratuszu lub w magistracie i następnie na ciężarówkach wywożono. Pod wieczór odbył się sąd nad aresztowanymi Żydami. Wszystkich uniewinniono. Puszczono też do domu zatrzymanych koło magistratu. Panuje ogólne przekonanie, że cała historia z drabiną została sprowokowana, ażeby mieć pretekst do wydania ostrych zarządzeń, które by znów dały możność rabowania sklepów bez krzyku i bez przeszkód.

Podobno ma się znów zmienić cała komenda placu, o czym jeszcze wczoraj wieczorem podczas kolacji u Niemców nikomu się nie śniło. Zwijają już kable telefoniczne.

Po mieście krąży mnóstwo najrozmaitszych pogłosek i plotek zupełnie nieprawdopodobnych. Im bardziej jakaś wiadomość jest sensacyjna, tym chętniej i szybciej zostaje przyjęta i rozpowszechniona. Ludzie zatracają przy tym wszelki krytycyzm. Jest to wynik naszego zupełnego odcięcia od świata — gazet nie mamy, komunikacji kolejowej też, aparaty radiowe pozabierano i ludzie powtarzają tylko zasłyszane gdzieś od kogoś, lecz nie sprawdzone wieści, lub snują własne domysły i przypuszczenia. Od czasu do czasu tylko zdarzy się, że posiadacz jakiegoś ukrytego aparatu radiowego opowie nam co sam słyszał na własne uszy.

23 października

Dziś przed południem zmarł mjr Konrad Żelazny. Pomimo wszelkich wysiłków nie dało się go uratować. Jak opowiadają oficerowie i żołnierze, którzy go dobrze znali, był to oficer niezwykle odważny i ogromny służbista. Rozkaz był dla niego czymś nienaruszalnym, czymś, co nie mogło nie być wykonanym lub samowolnie zmienionym.

Bardzo mnie niepokoi i martwi stan kpt. Lisa-Błońskiego.

W mieście niby spokojnie, tylko Żydzi żyją pod ciągłym strachem. Opowiadali mi dzisiaj, że na podwórzu magistrackim bili wczoraj wszystkich bez wyjątku. Rabinowi nawet nie darowano. Przychodziła dziś do mnie z płaczem rabinowa zapytując, czy to prawda, że mają dzisiejszej nocy rżnąć Żydów i prosiła o ratunek.

Po południu przyjechał z Zamościa rejent Rosiński. Opowiadał nam dużo o Zamościu i swoich przeżyciach od pierwszych dni mobilizacji. Od niego dowiedziałem się, że kurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego Klebanowski w chwili wkraczania Niemców do Lublina, zastrzelił najpierw żonę, a potem siebie.

Dziś po południu słychać było w Szczebrzeszynie bardzo wyraźnie strzały armatnie. Nikt nie może wytłumaczyć co to za strzały.

24 października

Okazało się, że Niemcy wystrzeliwali nasze pociski znalezione po polach i lasach, a myśmy już snuli przeróżne domysły...

W nocy wyjechała komenda placu. Pozostało w Szczebrzeszynie 50 żołnierzy z kapralem na czele. Lecz już koło godz. 10 przyjechał nowy komendant placu z odpowiednią liczbą żołnierzy i znów wszędzie ich pełno.

Przysłano mi dziś przez okazję numer „Głosu Lubelskiego" z dnia 22. X. Jest to jedna kartka (2 strony) zwykłego dla „Głosu Lub." formatu. Wiadomości bardzo nikłe, małego znaczenia, parę urzędowych obwieszczeń, cennik obowiązujący w Lublinie, w odcinku jakaś nowela czy powieść, mająca za temat obecną wojnę, trochę ogłoszeń o zagubionych i poszukiwanych osobach — i to wszystko. Ale że człowiek już od września nie widział żadnej gazety, więc nawet taki świstek brał do ręki z dziwnym uczuciem.

25 października

Dzień był pracowity, lecz bez żadnych wydarzeń wartych zanotowania. Nie widziałem ani jednego Niemca, nawet przez okno.

Dziś rozpoczął się rok szkolny w szkołach powszechnych.

26 października

Wczoraj po południu znów zmieniła się komenda placu. Urzędowała ona zaledwie jedną dobę, bo dziś po południu przyjechała już nowa i też

nie wiadomo na jak długo. Nie możemy się zorientować co znaczą te ciągłe zmiany miejscowych władz niemieckich. — Dziewięciu milicjantom wydano dziś broń.

Pod wieczór zaniepokoiła wszystkich wiadomość, że podobno Niemcy znów mają brać zakładników. — A mnie dziś nade wszystko martwi stan zdrowia kpt Lisa-Błońskiego, którego — jak widzę — nie zdołamy utrzymać przy życiu.

27 października

Zwykły, szary roboczy dzień. Kończę czytać ostatni tom „Popiołów", odrywających mnie od moich szpitalnych i zawodowych kłopotów i zmartwień.

28 października

Przyjechała żona i córka kpt. Lisa-Błońskiego. Dopiero wczoraj w Lublinie doszła je wiadomość o miejscu jego pobytu. Rad jestem, że jeszcze zastały go przy życiu, które wisi na włosku.

29 października

Od dziś mam więcej roboty, bo dr Spoz przestał przychodzić do szpitala. Mam kilku bardzo ciężko chorych, stan paru rannych też przyczynia mi dużo niepokoju. Czuję się niezmiernie zmęczony psychicznie. Szarpią mnie na różne strony. W robocie nie mogę polegać w równej mierze na wszystkich moich współpracownikach. Muszę sam wchodzić we wszelkie szczegóły, kontrolować, śledzić, pilnować, wciąż czuwać — i to mnie męczy. Plagą naszą są też różne plotki i pogłoski. Człowiek się nasłucha tych różnych wieści i choć wie, że to wszystko plotki, to jednak wpływają one na usposobienie. Jeżeli jakaś wiadomość nosi charakter dodatni, to zaraz przychodzi otucha, choć właściwie nieuzasadniona... Jeśli zaś wieści, acz niesprawdzone, są złe, to człowieka ogarnia w końcu taka apatia i zobojętnienie, że pracować się nie chce, żyć się nie chce...

Skończyłem dziś „Popioły". Czytałem je bardzo powoli, bo zacząłem jeszcze we Włodzimierzu, lecz kilka razy z konieczności robiłem dłuższe przerwy w czytaniu. Dziś zaczynam „Ogniem i mieczem". Tylko takie, dobrze mi znane arcydzieła naszej literatury, działają na mnie kojąco i podtrzymują na duchu.

30 października

Nawet oficerowie niemieccy chodzili dziś po mieszkaniach bogatszych Żydów i zabierali pieniądze, biżuterię, bieliznę. Zjawili się w mieście przedstawiciele Gestapo. Z Zamościa przyszła bardzo dla nas nieprzyjem-

na wiadomość, że elektrownia ma jeszcze węgla najwyżej na dwa tygodnie. Grozi nam, że znów będziemy pogrążeni w ciemnościach.

Dziś odbyło się nabożeństwo na rozpoczęcie roku szkolnego w gimnazjum. Jak będzie odbywała się nauka — bez podręczników, bez pomocy naukowych, bez pracowni, w godzinach popołudniowych i w lokalu szkoły powszechnej — przykro o tym myśleć.

31 października

Dziś o godz. 5 po południu zmarł w szpitalu kpt. Lis-Błoński. Śmierci jego towarzyszy powszechny żal. Zżyliśmy się z nim wszyscy w ciągu jego przeszło 4-tygodniowego pobytu w szpitalu. Był pacjentem wyjątkowym, bardzo cierpliwy, nie wymagający, zawsze uśmiechnięty. Ujmował całe swe otoczenie stale okazywaną wdzięcznością za udzielaną mu pomoc, a nas lekarzy obdarzał wielką ufnością.

1 listopada

Przez Szczebrzeszyn co dzień przesuwa się dużo Żydów — na furmankach i pieszo, mężczyźni, kobiety, dzieci — z rzeczami, tobołami, pościelą. Wygnani przez Niemców z zachodnich części Polski dążą gdzieś na wschód — nie wiadomo jednak czy za Bug, czy też pozostaną w Lubelszczyźnie, która rzekomo ma być przeznaczona na osiedlenie się Żydów.

2 listopada

Dzisiejszej nocy Niemcy przeprowadzili rewizję we wszystkich prawie domach prywatnych w Zwierzyńcu nie pomijając i szpitala. Szukali broni, amunicji, masek gazowych i ubrań wojskowych. Spodziewamy się tego samego i u nas.

Wczoraj i dzisiaj wypisało się ze szpitala 9 moich rannych, w tym jeden kapitan (Ryłko) i dwóch poruczników. Pozostało mi już tylko 20 rannych żołnierzy, oficera nie ma ani jednego.

3 listopada

Dziś odbył się pogrzeb kpt. Lisa-Błońskiego.

Po chorobie, jeszcze ze szpitala nigdzie nie wychodzę, mało kogo widzę i z nikim właściwie nie rozmawiam. Wiem tylko tyle, że krążą coraz uporczywsze pogłoski, iż znów przyjdą tu oddziały radzieckie.

Wszystkie wolne chwile spędzam nad „Ogniem i mieczem".

4 listopada

Wyjechała ze Szczebrzeszyna wdowa po kpt. Lisie-Błońskim. Nie uważała za stosowne przyjść przedtem do szpitala i choć jednym słowem podziękować mi i pielęgniarkom za opiekę nad mężem w ciągu przeszło czterech tygodni. Otaczaliśmy go przecież opieką najtroskliwszą, daliśmy z siebie wszystko cośmy mogli, dokładaliśmy wszelkich starań, żeby utrzymać go przy życiu. — Nikt tego nie rozumie, że to życie zależne było nie tylko od umiejętności lekarzy i od zabiegów lekarskich, ale też od odporności chorego, od jego wieku, stanu serca itp. I nikt nie wie ile długich, męczących godzin bezsennie spędziłem w trosce, zmartwieniu i niepokoju właśnie o kpt. Lisa-Błońskiego, jak zresztą i o innych moich chorych i rannych.

5 listopada

Snują się wciąż patrole niemieckie, czasem zachodzą i do szpitala. Przejdą po korytarzach, zajrzą niekiedy do sal chorych i wychodzą. Wydano nowe zarządzenie: zamiast do 10 godz. wieczorem jak dotychczas, można chodzić po mieście tylko do godz. 7.

7 listopada

Wczoraj i dzisiaj nic ważniejszego nie zaszło. Zwykłe monotonne przejawy codziennego życia.

W nocy przywieziono mi ze wsi 2 Żydówki postrzelone podczas napadu bandyckiego. Takie napady zdarzają się w okolicy coraz częściej. W szpitalu mam kilka ofiar bandytyzmu.

8 listopada

Chodziłem do komendanta placu, aby załatwić kilka spraw szpitalnych. Poszedłem sam dlatego, że wczoraj pytał on przez pielęgniarkę posłaną po przepustki dla wypisywanych żołnierzy, czy nie mam jakich potrzeb i kłopotów i dlaczego z tym do niego się nie zwrócę. Był bardzo uprzejmy i obiecał dostarczyć szpitalowi materiału opatrunkowego, ubrania dla żołnierzy itd.

Widziałem się dziś z Bohunem, nauczycielem ze Szczebrzeszyna. Był on razem ze mną w czasie tej wojny w szpitalu wojennym nr 204. Opowiadał mi szczegółowo co się z nimi działo od chwili gdyśmy z kol. Modzelewskim pożegnali ich i wrócili do domu. Wędrowali do Łucka, potem do Równego, do Sarn, a dalej przez Maniewicze do Kowla. Z Kowla poszli do Chełma, a stamtąd przez Krasnystaw, Fajsławice aż pod Lublin i tu rozeszli się na wszystkie strony. Przedtem ludzie odchodzili tylko pojedynczo. Było to 8 października, a z Włodzimierza wyruszyliśmy w nocy z 13 na 14 września. Wędrówka ta była niezmiernie uciążliwa

i pełna przygód. Ciekaw jestem czy wyszedłbym z niej cały, gdybym do końca pozostał w tej błąkającej się grupie, szukającej jakiegoś wyjścia i wymykającej się wciąż to Rosjanom, to Niemcom.

9 listopada

Rano łazili po szpitalu Niemcy z opaskami Czerwonego Krzyża. Przyglądali się pilnie wszystkiemu, oglądali stoły, szafy, narzędzia chirurgiczne, sale, urządzenia szpitalne, interesowali się liczbą chorych, rannych itp. Mieliśmy wrażenie, że robili to nie przez zwykłą ciekawość. Może mają zamiar zająć szpital dla jakichś swoich celów, lub wprost przejąć go w swoje ręce. Po południu przyjechał lekarz niemiecki z Zamościa. Oświadczył mi, że wszyscy ranni żołnierze zostaną za kilka dni zabrani ode mnie i przewiezieni najpierw do Zamościa, a potem specjalnym pociągiem do Krakowa. Kiedy to nastąpi — nie wie, gdyż mają wpierw zabrać rannych ze szpitala w Tomaszowie, w Zamościu i dopiero ze Szczebrzeszyna. Co czwartek mam składać meldunek na piśmie o liczbie rannych. Już nikogo nie wolno mi wypisać ze szpitala bez wiedzy władz niemieckich.

Z Zamościa nadeszły niepocieszające wieści. Niemcy zaczynają stosować coraz większe represje. Dzisiaj około 2-ej w południe aresztowano na ulicy b. starostę Sochańskiego. Wyznaczono też zakładników — 5 chrześcijan (w ich liczbie jest ksiądz Zawisza i burmistrz Wazowski) i 3 Żydów. Z tego powodu ogarnia ludzi coraz większe przygnębienie. Nikt nie jest pewien swojego losu i ludzie żyją z dnia na dzień, w oczekiwaniu nadzwyczajnych wydarzeń.

Na mieście rozklejono dziś nowe obwieszczenia — o uruchomieniu Urzędu Skarbowego i o konieczności wpłacania podatków, a następnie rozkaz władz wojskowych, ażeby do dnia 10 listopada, czyli do jutra, oddawać wojskowe ubrania, koce, pasy itp. Każde takie zarządzenie lub rozkaz zawiera w sobie groźby rozmaitych kar, grzywien, aresztów, rozstrzelania itd. Oczywiście w takich warunkach życie brzydnie. — Bardzo wielu ludzi, którzy utracili środki utrzymania, urzędnicy, wojskowi, emeryci i inni, rzucili się do handlu. Handlują byle czym — tytoniem, cukrem, solą, przywożą cukierki, różne artykuły spożywcze, manufakturę, skórę itp. Niektórzy sprytniejsi i obrotniejsi zarabiają nawet wcale dobrze.

Wszyscy jesteśmy wyjątkowo rozdrażnieni i zdenerwowani. Ja osobiście czuję, że coraz bardziej wyczerpuję się nerwowo.

10 listopada

Władze niemieckie wydały wczoraj wieczorem rozkaz, aby wszyscy oficerowie rezerwy zameldowali się w komendzie placu dzisiaj o godz. 10 rano. Nie wszyscy zostali o tym poinformowani i ja też dowiedziałem się szczegółów tego meldowania dopiero w południe od jednego

z uczestników. Komendant oświadczył, że z rozkazu władz wyższych wszyscy oficerowie rezerwy będą zatrzymani, a następnie wywiezieni w głąb Niemiec, gdzie — jak zapewniał — będą traktowani ze wszystkimi honorami należnymi oficerom. Oficerowie byli zaskoczeni tego rodzaju oświadczeniem. Wreszcie komendant placu wziął od obecnych słowo oficerskie, że nie uciekną i polecił im zameldować się ponownie w poniedziałek, 13 listopada, o godz. 10 rano. Niektórzy, np. dyrektor gimnazjum, sekretarz gminy, mogą przedstawić zaświadczenia odpowiednich władz, że są niezbędni na swoich stanowiskach i zgodę landrata na pozostawienie ich w powiecie. Wówczas aż do odwołania nie ruszą ich, będą tylko musieli meldować się w komendzie dwa razy na tydzień. Po południu poszedłem i ja z konieczności zameldować się. Powiedział mi zastępca komendanta, żeby zaopatrzyć się w zaświadczenie z magistratu, że jestem dyrektorem szpitala, a od landrata nie potrzebuję mieć żadnej zgody, gdyż komenda we własnej kompetencji wyda orzeczenie o konieczności pozostawienia mnie na moim stanowisku. W poniedziałek muszę jednak stawić się w komendzie wraz z innymi.

Ukazało się na mieście ogłoszenie, żeby oddać wszystkie samochody, poszczególne ich części itp. W czasie meldowania się w komendzie powiedziałem, że mam samochód osobowy i zapytałem, czy koniecznie muszę go oddać. Zastępca komendanta wyjaśnił mi, że dotyczy to tylko wozów wojskowych, a nie prywatnych i że wobec tego samochodu oddawać nie potrzebuję.

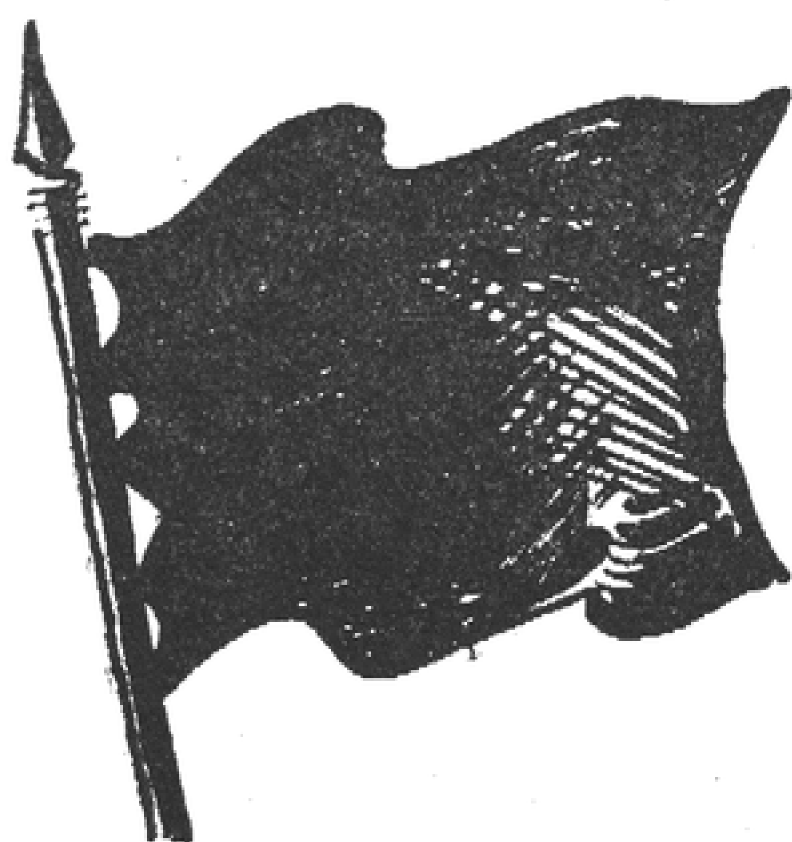
Zarządzenia te, zwłaszcza zwrócone przeciwko oficerom tak zawodowym jak i rezerwy, wywołały zrozumiały niepokój wśród samych oficerów i ich rodzin. Perspektywa wywiezienia w głąb Niemiec nikomu się nie uśmiecha.

Jutro 11 listopada, rocznica odzyskania niepodległości. Ma się wrażenie, że społeczeństwo czegoś oczekuje w tym dniu, że to nie będzie zwykły powszedni dzień. Równocześnie widzimy, że Niemcy wzmogli czujność w przededniu tej rocznicy.

11 listopada

Święto Niepodległości! Harcerki z hufca szkolnego ze swą kierowniczką p. Zofią Jaworską przyszły do szpitala, przyniosły dużo kwiatów, jakieś ciasteczka i rozdały to rannym żołnierzom. W obydwóch szkołach powszechnych dzieci zgromadziły się o 8 rano i stąd parami poprowadzono je do kościoła na nabożeństwo. Po nabożeństwie odprawionym przez ks. wikarego Szydłowskiego, kazano dzieciom ze szkoły nr 2, p. Misiołka iść do domu. Lekcji w tej szkole dzisiaj wcale nie było. Ze szkoły powszechnej nr 1 p. Węgierskiego puszczono dzieci po jednej lekcji. W przeciwieństwie do szkół powszechnych, gimnazjum nie wzięło udziału w nabożeństwie i lekcje odbyły się tak jak w dnie powszednie. Dyrektor w rozmowie ze mną zaznaczył, że w obecnych warunkach święto dzisiejsze uważa za nieaktualne i dlatego postanowił powstrzymać się od udziału w nabożeństwie i poprowadzić zajęcia szkolne trybem normalnym. Nieobecność uczniów gimnazjum w kościele, wywarła w mieście złe wrażenie.

Paru oficerów rezerwy jeździło dziś do Zamościa, ażeby uzyskać zgodę landrata na pozostawienie ich na miejscu. Okazało się, że w Zamościu oficerów wcale nie wzywano i u landrata powiedziano, że nie mają żadnego zarządzenia w sprawie wywożenia oficerów w głąb Niemiec. Wobec tego niezrozumiałe jest wezwanie nas do miejscowej komendy. Dowiemy się wszystkiego w poniedziałek, przy ponownym meldunku.



Wczoraj, w dzień święta Niepodległości, u burmistrza na herbatce wieczornej było paru Niemców: komendant i jego zastępca. Nie pierwszy raz to zresztą.

Od pewnego czasu mówi się o tym, że wśród Niemców wzmaga się dezercja. Zdaje się nie ulegać to wątpliwości. Sklepy bławatne otrzymały zakaz sprzedawania żołnierzom materiałów na ubrania i płaszcze cywilne. Opowiadano mi szereg poszczególnych wypadków dezercji, ale ponieważ nie mam możności sprawdzenia, czy tak było w rzeczywistości, nie opisuję tego.

Na terenie Zamojszczyzny zaczęły w ostatnich dniach ukazywać się samoloty rzekomo angielskie (!). Wczoraj samolot taki krążył nad Łabuniami pod Zamościem. Wśród Niemców miało to wywołać widoczne zaniepokojenie.

13 listopada

O 10-tej rano stawiła się w komendzie placu grupa oficerów rezerwy, zamieszkałych na terenie Szczebrzeszyna i okolicy. Przede wszystkim komendant, oberleutnant zapytał, kto z nas brał udział w obecnej wojnie. Okazało się, że tylko 5 — i ja w tej liczbie. Wówczas umieszczono nas pięciu w sąsiednim pokoju i kazano czekać. Załatwiano najpierw tych, którzy nie byli powoływani do służby czynnej, potem dopiero wezwano nas. W rezultacie 3 oficerów rezerwy — Małkowskiego, Majdana i Pomarańskiego, zatrzymano i za godzinę odstawiono do Zamościa. Jednego oficera, Siciarza, jako rekonwalescenta po otrzymanej ranie nogi zwolniono do jutra, do godz. 9 rano. Ma go zbadać wojskowy lekarz niemiecki, od którego orzeczenia będzie zależała dalsza decyzja. Mnie zaś jako dyrektora szpitala, w którym nie pracuje poza tym inny lekarz, pozostawiono na miejscu, wyznaczając równocześnie na zakładnika. Dwa razy na tydzień, we wtorki i soboty, mam meldować się u komendanta placu. Na zakładników przeznaczono też dzisiaj burmistrza Jana Franczaka, dyrektora gimnazjum, Wiktora Jóźwiakowskiego, właściciela młyna, Drożdżyka, właściciela hurtowni tytoniowej mjra rezerwy Jana Malinowskiego i jeszcze jednego nauczyciela z okolicy. Liczba zakładników ma być powiększona.

Wytrzymano mnie w komendzie prawie dwie godziny. Wyszedłem pod bardzo przykrym wrażeniem, zaciskając zęby w bezsilnej złości.

W piątek 10. XI. Niemcy przeprowadzili bardzo gruntowną rewizję w klasztorze OO. Bernardynów w Radecznicy, zabrali kosztowności kościelne i aresztowali gwardiana O. Duklana Michnara i b. gwardiana o. Stefana Puklickiego, ciężko chorego na gruźlicę.

14 listopada

Dowiedziałem się trochę szczegółów o Radecznicy od osoby doskonale poinformowanej, stale tam mieszkającej. Wszystkich zakonników rozpędzono i kazano im wyjechać gdzie kto chce, rozpędzono także braciszków zakonnych. Pozostawiono tylko jednego zakonnika, Niemca O. Maksymiliana, któremu powierzono opiekę nad gmachami i klasztorami i dwóch braciszków, staruszków, liczących po 80 lat. Zamknięto również kolegium serafickie, a uczniom kazano rozjechać się do domów. Rewizję przeprowadzono bardzo szczegółowo, w niektórych pokojach zrywano nawet podłogę. O zabraniu kielichów i innych kosztowności najsurowiej zabroniono mówić, grożąc karą śmierci za rozgłaszanie tej wiadomości.

Dziś rano przeprowadzono rewizję w prywatnych mieszkaniach kolejarzy w Zawadzie i na stacji Szczebrzeszyn. Żydom dano już spokój, z kolei zabrano się teraz do chrześcijan.

Zachodził do nas sędzia Mazurkiewicz. I ten już musiał wziąć się za handel, tak jak wielu innych sędziów, urzędników, oficerów, bezrobotnych. Kupiłem od niego kalosze i dwie pary skarpetek.

15 listopada

Wczoraj o godz. 10 wieczorem, ledwom zasnął, obudził mnie jakiś huk na ulicy. Zerwałem się z łóżka i zobaczyłem przez okno, że pali się naprzeciwko szpitala. W jednej chwili zaalarmowałem cały personel i służbę i wyleciałem na ulicę. Paliły się domy żydowskie obok synagogi. Zdziwiło mnie tylko, że nie było słychać zwykłego w takich wypadkach krzyku i lamentu Żydówek. Niemcy zajęli się energicznie gaszeniem pożaru, a właściwie zabezpieczeniem przed ogniem sąsiednich domów nieżydowskich. Ludności cywilnej nie dopuszczono wcale, nie było więc olbrzymiego tłumu gapiów, jak zwykle przy pożarze. Nikomu na mieście nie wolno było wychodzić z domów, z wyjątkiem terenu objętego pożarem. Bezustannie słychać było



strzały karabinowe i rewolwerowe. Żydom nie pozwolono wynosić rzeczy, w najlepszym razie nie ułatwiano im tego. Komendant placu i jego zastępca byli przez cały czas przy pożarze i wciąż twierdzili, że to Żydzi podpalili miasto w 4 różnych punktach naraz. W 3 miejscach ogień udało się zagasić, tylko naprzeciw szpitala ogień rozszerzył się z ogromną szybkością. Miałem dużą obawę o szpital, ponieważ paliły się domy stojące prawie naprzeciwko. Ciężko chorych i rannych uspokoiliśmy, że w razie gdyby niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać szpitalowi, to wszyscy będą przeniesieni w bezpieczne miejsce. Najważniejsze rzeczy zostały naprędce zgarnięte do tobołów i walizek, tak, żeby w każdej chwili można było wynieść je do ogrodu. Ale Niemcy upewnili mnie, że ognia do szpitala nie dopuszczą. Przed drzwiami wejściowymi przez cały czas stała silna warta niemiecka. Z Żydami obchodzono się w okropny sposób — krzyczano, popychano, bito, a mnie zabroniono wpuszczać ich do szpitala. Przyprowadzono mi Żyda z przestrzeloną dłonią i pilnowano, by po opatrunku natychmiast wyszedł ze szpitala.

Po 3 godzinach ogień zaczął się zmniejszać. Wówczas wydano zarządzenie, ażeby wszyscy chrześcijanie o godz. 2 byli już w domu, Żydzi zaś żeby szli do hali targowej na rynku. Zaczęło się wówczas wyciąganie z mieszkań Żydów i spędzanie ich na rynek. Strzelano co chwila, wśród Żydów wszczął się krzyk i lament. Widziałem starych Żydów, za którymi gnali niemieccy żołnierze z bagnetami w ręku, widziałem starca, który ledwie na nogach mógł się utrzymać, prowadzonego pod ręce przez dwie Żydówki. Ci szli cicho bez żadnego krzyku. Słychać było tylko wymyślania i przekleństwa Niemców. Wreszcie zaczęło się wszystko uspokajać, ludzie się rozeszli. Do godz. 5 nie kładłem się siedząc w sali opatrunkowej lub kancelarii.

Dziś rano kilkunastu Żydów zatrzymano w charakterze zakładników i zaprowadzono do aresztu przy magistracie, wszystkich innych wypuszczono. Na ludność żydowską nałożono daninę w wysokości 10.000 zł, a drugie 10.000 zł wzięto jako kaucję, gwarantującą, że drugi raz coś podobnego się nie powtórzy.

Cała sprawa z tym równoczesnym podpaleniem miasta w 4 miejscach, spalenie bożnicy i kilkunastu domów w jej najbliższym sąsiedztwie, gdzie mieszkał rabin i był dom modlitwy — przedstawia się bardzo zagadkowo. Jaki cel mieliby Żydzi podpalać swoje gniazdo?!

Przyjąłem do szpitala Żyda z przestrzeloną twarzą. W normalnych warunkach natychmiast po zranieniu powstałby nieopisany gwałt, pod szpital zbiegło by się pół miasta. A dzisiaj przyszła wpierw wystraszona na wpół przytomna żona postrzelonego i zapytała mnie szeptem, czy ja go przyjmę do szpitala. Bała się, że przy dzisiejszych stosunkach mogę odmówić przyjęcia ze względu na żydowskie pochodzenie rannego! — Jedną Żydówkę przyprowadzono mi z raną kłutą bagnetem w pośladek.

Chodziłem obejrzeć zgliszcza. Wszystko się jeszcze tli. W mieście nastrój przygnębiający. Wszyscy są przekonani, że to dopiero początek.

16 listopada

Wciąż jeszcze mówi się o pożarze. Twierdzenie Niemców, że podpalili sami Żydzi nabiera dziwnych cech prawdopodobieństwa. Jak wykazało śledztwo niektórzy Żydzi opuścili swe mieszkania na parę godzin przed pożarem, wynosili rzeczy, przygotowali towary do wywiezienia. W spalonej dzielnicy było dużo mieszkań opuszczonych przez tych, którzy uciekli. Zajęli je zaraz inni Żydzi z miasta, rozmaici krewni, znajomi itp., zatrzymując równocześnie swoje stałe mieszkania. Wydano nakaz, żeby usunąć Żydów z porzuconych mieszkań i oddać je do użytku dla miasta. Gdy zaczęto zarządzenie to wykonywać, usuwani Żydzi odgrażali się, że sami pójdą, ale z domów tych nikt korzystać nie będzie. W każdym razie i ja miałem takie wrażenie, że wybuch pożaru nie był dla mieszkańców tych domów niespodzianką i dlatego nie słyszeliśmy żadnych krzyków. Natomiast Niemcy byli zaskoczeni. Wśród oddziału stojącego na terenie gimnazjum powstał wprost popłoch. Wszystkie samochody w jednej chwili były gotowe do drogi, łamano parkany, żeby mieć wyjazd zabezpieczony nie tylko przez jedną wąską bramę. Ustawiono nawet na sąsiednim podwórzu karabiny maszynowe.

Ale to są tylko przypuszczenia. Nic pewnego nie wiemy.

Onegdaj, we wtorek, Niemcy przeprowadzili rewizję na terenie fabryki „Alwa" i w mieszkaniach prywatnych właściciela i urzędników. Szukali broni. Wczoraj odbyła się również rewizja w mieszkaniu adwokata Paprockiego w Szczebrzeszynie.

17 listopada

Rano zjawiła się w szpitalu p. Aleksandra Mianowska, mgr filozofii, delegowana przez oddział PCK w Krakowie. Jeździ po szpitalach w Lubelszczyźnie i zbiera informacje o rannych żołnierzach i uchodźcach z województwa krakowskiego i śląskiego. A przy tym szuka swego męża, który był w wojsku, został ranny od wybuchu bomby gdzieś w biłgorajskim powiecie i zginął potem bez wieści. Tydzień temu wyjechała z Krakowa i przez Lublin dostała się do Szczebrzeszyna. Opowiadała mi trochę o Krakowie i o tym, że 6 listopada zostali aresztowani z małymi wyjątkami, wszyscy niemal profesorowie, docenci i asystenci Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dnia 11 listopada aresztowano także profesorów Uniwersytetu Lubelskiego. Wiadomości te poruszyły mnie do głębi. Czuję się też dzisiaj wyjątkowo przygnębiony i zdenerwowany. O niczym innym myśleć nie mogę gdy widzę, że Niemcy chcą nas nie tylko zniszczyć materialnie, lecz i zahamować całkowicie rozwój nauki i kultury polskiej.

Dzisiaj przeprowadzono rewizję w domu pp. Małkowskich, mieszkających w Rozłopach pod Szczebrzeszynem. Znaleziono flower i aparat radiowy, wobec czego aresztowano p. Małkowskiego, którego syn zaledwie parę dni temu został wywieziony do Zamościa wraz z innymi oficerami rezerwy. Co zrobią ze starym Małkowskim — nie wiadomo.

Należy przypuszczać, że i nas rewizja nie ominie. Przygotowuję się do niej o tyle tylko, że spaliłem wszystkie swoje listy, których w ciągu

20 lat nagromadziło się strasznie dużo. Bardzo się boję, żeby mi nie zniszczono mojej biblioteki. Tak by mi było żal moich książek i rozmaitych zbiorów. A ukryć tego wszystkiego nie ma możności — bo jak tu schować przeszło 5.000 tomów książek i całą masę tek z rysunkami, wycinkami itp.

18 listopada

Chodziłem dziś po raz pierwszy, meldować się w komendzie placu jako jeniec wojenny. W spisie oficerów rezerwy, przy moim nazwisku postawiono kreskę i na tym skończyła się cała ceremonia.

Starego Małkowskiego puszczono wczoraj na skutek interwencji burmistrza. Młodego Małkowskiego zatrzymanego jako oficera rezerwy i odesłanego do Zamościa, udało się jakoś stamtąd wydostać i powrócił szczęśliwie do domu.

Stale słyszymy o coraz to nowych rewizjach i aresztowaniach. Żyjemy w ciągłym napięciu i oczekiwaniu tego samego u nas. Opowiadali mi Żydzi, że u nich nikt się w nocy nie rozbiera, nawet dzieci śpią w ubraniach, tak są wszyscy nastraszeni ostatnim pożarem, rabunkami, rewizjami itd.

19 listopada

Wczoraj pod wieczór przyjechał z Zamościa rejent Rosiński. Znów opowiadał mi dużo o Zamościu i o tym, jak tam obecnie życie się układa. Dowiedziałem się przy tym, że starostę Sochańskiego wypuszczono z więzienia.

20 listopada

Niemcy wzięli od Żydów daninę za pożar w wysokości 10.000 zł, kaucję im darowano.

Po południu przyjechał do Szczebrzeszyna jakiś oficer i w imieniu wyższych władz niemieckich zamknął od jutra gimnazjum. Powodów żadnych nie podał. Mówił tylko, że zamknięto gimnazjum również i w Zamościu.

Przez cały dzień po mieście krążą uporczywie wieści, że Niemcy zabierają szpital. Ja nic o tym nie wiem i żadnych przygotowań do ewentualnego opuszczenia mieszkania nie czynię.

21 listopada

Był u mnie p. Stanisław Sosabowski, ppłk były dowódca 9 p. p. l. w Zamościu, przejażdżając z Warszawy do terenów zajętych przez wojska radzieckie. Opowiadał mi bardzo dużo o Warszawie. Ze smutkiem słuchałem tego co mi mówił o niszczeniu i wywożeniu naszych bibliotek, archiwów, urządzeń zakładów naukowych itp.

22 listopada

Zwyczajny szary roboczy dzień. Z Zamościa otrzymałem wiadomość, że samorząd powiatowy zaczyna już pracować mniej więcej normalnie, Biura Wydziału Powiatowego są czynne, wobec czego i szpital stanie się może nareszcie prawdziwą instytucją samorządową i wyjdzie z tego nieokreślonego stanu, w którym prowadziłem go na własne ryzyko.

23 listopada

Przez cały dzień nie wychodziłem poza teren szpitala. Nawet przez okno nie widziałem dzisiaj ani jednego Niemca. Od obiadu czytałem drugi tom „Potopu" nie mogąc oderwać się od opisu oblężenia Częstochowy. Chwilami zapominałem o obecnej naszej niewoli.

25 listopada

Wczoraj i dzisiaj nie ma nic ważniejszego do zanotowania, a zasłyszanych wieści i plotek nie mam zamiaru notować.

26 listopada

Brak środków do życia daje się odczuwać coraz większej liczbie ludzi. Wyczerpały się jakie takie zapasy gotówki i wypłacone z góry trzymiesięczne pobory niektórych urzędników państwowych. Ludzie z konieczności chwytają się najrozmaitszych sposobów, aby zdobyć trochę pieniędzy na najskromniejsze chociażby utrzymanie siebie i swojej rodziny. Najwięcej rozpowszechnia się handel, lecz nie planowy, systematyczny, w sklepach, a głównie pokątny, dorywczy, byle czym. Nawet dzieci sprzedają na ulicy rozmaite drobiazgi — bibułki, zapałki, sznurowadła, nici, igły, albo terpentynę (którą chłopi używają zamiast nafty), lub jakieś bułeczki, pierogi domowego wyrobu itp. Inni znów otwierają jadłodajnie lub kawiarnie. I tak mjr Malinowski w jednym z domów na Rynku prowadzi restaurację pod nazwą „Klub obywatelski", do którego uczęszczają przeważnie niemieccy żołnierze, a wczoraj otwarty został nowy „Caffe-Club-Bridge" w mieszkaniu adwokata Paprockiego. „Caffe-Club" prowadzi spółka, do której oprócz mec. Paprockiego weszły panie: Mazurkiewiczowa, żona sędziego i Świderska, żona zrujnowanego b. dzierżawcy ordynackiego z Mokrego Lipia. Byliśmy dzisiaj w tej nowej kawiarni, pełno było Niemców, lecz nas ulokowano w osobnym pokoju, gdzie mogliśmy rozmawiać zupełnie swobodnie.

Dowiedziałem się o aresztowaniu w Zwierzyńcu urzędnika ordynackiego p. Engelhardta, a w Nieliszu sekretarza gminy Stankiewicza, przy czym w czasie rewizji Niemcy bardzo pobili jego 16-letniego syna.

28 listopada

Meldowałem się dzisiaj w komendzie placu. Na przyszłość mamy przychodzić tylko raz w tygodniu, we wtorki.

Mamy teraz nieco większe trudności aprowizacyjne, zwłaszcza z nabywaniem masła, za które płaciliśmy dzisiaj po 6 zł za kg i jaj — po 20 groszy za sztukę. Tłumaczy się to tym, że wszystko wykupują Niemcy i wysyłają do Niemiec.

Zdziwiło mnie mocno, że pomimo drożyzny i dewaluacji złotego, oficjalny kurs dolara pozostał taki sam jak przed wojną, tj. 5 zł 40 gr. Przekonałem się o tym wpłacając przez okazję kwartalną ratę ubezpieczeniową w T-wie „Assicuratione Generali Trieste" w Warszawie. Ratę tę, zasadniczo płatną w dolarach, zapłaciłem złotymi po normalnym kursie przedwojennym.

30 listopada

Po południu przyjechał z Zamościa lekarz dywizyjny ze Standortarztem i bardzo szczegółowo oglądano cały szpital. Interesowano się wszystkim, liczbą łóżek, urządzeniem, salą opatrunkową, salą operacyjną, kuchnią itp. Dziwili się, że nie ma aparatu Roentgena, „Solux'a", kuchni elektrycznej, że w ogóle kuchnia taka mała. Zapytywali czy są w okolicy nowe szpitale z nowoczesnymi urządzeniami. Wyraźnie dali do poznania, że szukają odpowiedniego szpitala dla swoich chorych lub rannych. Teraz jestem naprawdę mocno zaniepokojony o los mojego szpitala.

1 grudnia

Wszędzie wyczuwa się dziwne podniecenie i poruszenie. Ceny na wszystko idą w górę, zwłaszcza na artykuły spożywcze, których brak odczuwa się coraz dotkliwiej. Wszystko wykupują Niemcy, wysyłają lub wywożą. Wczoraj i dzisiaj, a także w nocy, można było zauważyć bardzo ożywiony ruch samochodowy. W nocy jechało specjalnie dużo wozów sanitarnych w kierunku na Zwierzyniec. Motocykle, samochody ciężarowe z doczepionymi armatkami lub bez, jechały głównie w stronę Zamościa. Wszyscy żyją w oczekiwaniu jakichś ważnych wydarzeń. Wiadomo jest tylko, że Niemcom na naszym terenie wstrzymano urlopy, poza tym wśród nich też można zauważyć jakieś poruszenie. Słowem, coś wisi w powietrzu. Na ulicach miasta coraz większe ożywienie. W dzień pełno ludzi, Żydzi już się tak nie chowają, wielu ich powróciło ze strefy radzieckiej, są pewniejsi siebie, do robót już ich nie biorą.

Jeden z b. braciszków zakonnych z Radecznicy, ubrany już po cywilnemu, jeździł do Lublina, żeby się dowiedzieć czegoś o losie gwardiana, O. Duklana. Wracając, wstąpił do szpitala i od niego dostałem kilka zupełnie pewnych wiadomości. Otóż O. Duklan siedzi w więzieniu w Lublinie, gdzie ogółem znajduje się 74 księży i 4 biskupów: Fulman i Goral

z Lublina, poza tym biskupi z Kielc i Włocławka. Tylko biskupom zezwolono dostarczać jedzenie z miasta i mieć swoją pościel. Wszyscy inni mogą parę razy w tygodniu otrzymywać paczki, lecz tylko przez Czerwony Krzyż.

2 grudnia

Dzień przeszedł spokojnie, lecz wszystkich nas denerwuje niepewność, co będzie ze szpitalem i co wówczas wypadnie nam robić, gdzie zamieszkać, co pozwolą nam zabrać itd. Żyjemy bez przesady nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę, ponieważ, jak wiadomo, często zdarza się, że każą opuścić mieszkanie w ciągu paru godzin i pozwalają zabrać tylko rzeczy osobiste, a całe urządzenie i meble trzeba zostawiać. Oczywiście taka niepewność o jutro, wpływa ujemnie na bieg pracy w szpitalu, i niezmiernie demoralizuje wszystkich pracowników, czemu zresztą nie można się dziwić. Delegowałem dziś do Zamościa intendenta szpitala, żeby poinformował Wydział Powiatowy o grożącym nam niebezpieczeństwie. Okazało się, że wczoraj ci sami lekarze niemieccy byli w szpitalu w Zamościu, oglądali go jeszcze dokładniej i grozi im również to samo co i nam. Nie ma na to absolutnie żadnej rady, nie ma możliwości przeciwdziałania. — Wczoraj w kinie Rady Powiatowej w Zamościu niespodzianie zjawił się oficer niemiecki i oświadczył, że przejmuje go z polecenia władz dla użytku Niemców. Zapewne tak samo zrobią i ze szpitalami.

W Zamościu panuje duże przygnębienie. Warunki życia stają się coraz trudniejsze, drożyzna wzrasta w szalonym tempie — herbatę np. sprzedawano dziś po 150 zł za kg, kawę po 50 zł itd.

U nas w Szczebrzeszynie to samo. Dzisiaj w mieście za żadne pieniądze nie można było dostać masła, mięsa, słoniny i jaj.

Chodziłem do miasta, byłem koło gimnazjum. Tam Niemcy są bardzo zajęci — robią chodniki, budują garaże itp., tak jakby przygotowywali się na niewiadomo jak długi pobyt.

4 grudnia

Co będzie ze szpitalem, czy go nam Niemcy nie zabiorą? — nic jeszcze nie wiemy. Ale jest to tak dalece możliwe, że nawet wynająłem dzisiaj mieszkanie w domu Budzyńskiego przy ul. Zamojskiej, do którego moglibyśmy się w każdej chwili przenieść. Zresztą u nas zupełnie spokojnie, o tym, co się dzieje na świecie bardzo mało wiemy. Dochodzą do nas jedynie plotki lub wieści mniej lub więcej prawdopodobne, których jednak sprawdzić nie jesteśmy w stanie.

5 grudnia

Dziś był wyjątkowo duży jarmark. Cały rynek szczelnie wypełniły chłopskie furmanki, pomiędzy którymi kręcili się niemieccy żołnierze.

Szukali przede wszystkim masła. Na wszystkich ulicach wjazdowych stali żołnierze z karabinami, przeszukiwali koszyki bab wiejskich i zabierali osełki masła. Przy pomocy cywilów ważyli je na stojących przy chodnikach wagach i płacili po 5 zł za kg. Jeżeli babie udało się jakoś ukryć masło, to sprzedawała je potem po 6 i po 7 zł za kg. — Tego rodzaju metody w silnym stopniu jątrzą ludność wiejską przeciw Niemcom.

Meldowałem się w komendzie placu. Mówią, że wkrótce nastąpi zmiana komendanta i że przybędzie do nas policja niemiecka.

6 grudnia

Jeździłem na konsylium do Zwierzyńca. Dowiedziałem się trochę szczegółów o postępowaniu Niemców. W niedzielę, 3 grudnia, rozstrzelano za przechowywanie broni Jana Łysia, syna gajowego ordynackiego z gajówki „Wygoda" pod Zwierzyńcem. Był to młody chłopak, który wrócił niedawno z wojska, należał do Związku Młodej Wsi i istotnie ukrył trochę broni, w przekonaniu, że się kiedyś przyda. Pochowali go Niemcy w tym miejscu gdzie rozstrzelali, tuż za browarem ordynackim. Wczoraj dopiero pozwolono rodzicom przenieść zwłoki na cmentarz, lecz bez udziału publiczności. W parę godzin po pogrzebie na mogile jego znalazł się wianek z napisem: „Szlachetnej i zacnej duszy od Koła Młodzieży cześć". Najsmutniejsze jest to, że padł on ofiarą zdrady, gdyż wydał go ktoś z sąsiadów. Niestety, nawet sami Niemcy przyznają, że broń znajdują po wsiach najczęściej wskutek donosów rozmaitych kolegów, sąsiadów itp. — Wczoraj przeprowadzono bardzo szczegółową rewizję w całej wsi Obroczy, niedaleko Zwierzyńca, gdzie znaleziono sporo materiału wojskowego. — Rewizje podobne odbywają się teraz codziennie, tylko w coraz to innej wsi.

Ciekawa jest dalsza historia masła skupowanego wczoraj tak gorliwie przez Niemców. Otóż całe to masło oddali oni do miejscowej spółdzielni mleczarskiej, gdzie je odpowiednio odwodniono i oczyszczono i potem w paczkach półkilowych wypuszczono jako swój produkt. 72 kg zabrali Niemcy, a 80 kg sprzedano dzisiaj ludności cywilnej po 6 zł za kg.

7 grudnia

Zgłosił się do mnie medyk z Wileńskiego Uniwersytetu, Zdzisław Cielecki, przysłany z Zamościa przez kol. Boguckiego, prosząc o przyjęcie go na praktykę do szpitala. Był w wojsku, pod Krasnobrodem został ranny, a teraz po wypisaniu się ze szpitala wojskowego w Zamościu, nie ma co ze sobą robić, a do Wilna nie może się dostać i jest w bardzo kłopotliwej sytuacji. Zgodziłem się, lecz będę miał trochę trudności z ulokowaniem go.

Dzisiaj odbył się pogrzeb żołnierza niemieckiego, który wczoraj został zabity w gmachu gimnazjum wskutek zawalenia się sklepienia podczas

powiększania otworu drzwiowego. Pochowano go na cmentarzu wojskowym w ogrodzie gimnazjalnym.

Pod Zamościem Niemcy aresztowali znanego działacza chłopskiego, posła na Sejm, wójta gminy Wysokie — Bolesława Wnuka.

U nas w mieście panowało dziś wśród inteligencji ogromne poruszenie z powodu wiadomości podanej przez radio, że część Lubelszczyzny, do której i my wchodzimy, przeznaczona ma być na ulokowanie wszystkich Żydów z Niemiec i Austrii, my zaś mielibyśmy być wysiedleni stąd gdzieś w głąb Niemiec (!). Ładna perspektywa.

<u>8 grudnia</u>

Jeździłem do cukrowni „Klemensów". Kampania w całej pełni. Nieczynna tylko rafineria. Ale nastrój wśród pracowników, zwłaszcza czołowych, nie ten co zwykle. Ciężko pracować w warunkach wrogiej, ścisłej kontroli, ze świadomością, że cały prawie cukier pójdzie do Niemiec. Obecnie cena na cukier jest 1 zł 20 gr za kg, lecz co z tego, kiedy nie wolno sprzedać nawet jednego kilograma. Trzeba mieć specjalne na to pozwolenie i to nie od komendy placu, ale od landrata w Zamościu.

<u>9 grudnia</u>

Jak już wspomniałem, przed kilkoma dniami Niemcy przeprowadzili rewizję w Obroczy. Na skutek denuncjacji gorliwie szukali u niejakiego Michała Gmysa motocyklu wojskowego, lecz znaleźć go nie mogli, a Gmys kategorycznie zaprzeczał, jakoby miał go posiadać i ukrywać. Pomimo tego Niemcy aresztowali go. W krótkim czasie potem, żona Gmysa przyprowadziła Niemcom motocykl...

W okolicy Szczebrzeszyna coraz częściej zdarzają się napady bandyckie. W zeszłym tygodniu był napad na dwór pp. Bramskich w Gruszce Zaporskiej, przed kilkoma dniami na plebanię w Tworyczowie, lecz ten się nie udał, gdyż ksiądz spłoszył bandytów, a dzisiejszej nocy miał miejsce napad na dwór p. Matrasiowej w Tworyczowie i p. Huskowskiego w Sułowcu. W czasie napadu w Tworyczowie został ranny w nogę syn p. Matrasiowej, uczeń liceum lubelskiego. Matka przywiozła go dziś rano do mnie, do szpitala. Opowiedzieli mi oni ciekawe szczegóły o napadzie. Bandytów było około 20, do mieszkania weszło 5 (niektórzy byli ucharakteryzowani) do stajni 2, a reszta pilnowała domu z zewnątrz. Wszyscy byli uzbrojeni, mieli nawet karabin maszynowy. Przybyli o godz. 9 wieczorem i bawili we dworze do 2 w nocy. Warto zaznaczyć, że dom i cały folwark jest dobrze oświetlony elektrycznością z pobliskiego młyna. Przy wejściu do mieszkania przywódca bandytów wystrzelił i zranił wspomnianego młodego Matrasia w lewe udo. Po sterroryzowaniu wszystkich mieszkańców, tenże przywódca zajął się rannym, mianowicie zaczął robić mu opatrunek, a przekonawszy się, że kula przeszła przez udo na wylot i utkwiła pod skórą po przeciwnej stronie, wydezynfekował skalpel,

przeciął skórę, wyjął kulę, nałożył opatrunek i przylepił go leukoplastem. Wszystko co potrzeba miał przy sobie. Splądrowawszy całe mieszkanie, zabrali pieniądze, biżuterię, srebro stołowe itp., po czym rozpoczęli zabawę — jedli, pili, dwóch grało na fortepianie (podobno nawet dość dobrze), nastawiali patefon, wreszcie zgwałcili 2 kobiety (każdą po dwóch) i opuścili folwark, uprzedzając, że puszczą go z dymem, jeżeli ktokolwiek zawiadomi władze o dokonanym napadzie.

Wszyscy mieszkańcy okolicznych folwarków żyją teraz w ustawicznym strachu, zwłaszcza, że są zupełnie bezradni, broni mieć nie wolno, a nawet najliczniejsza straż, zorganizowana z nieuzbrojonej służby folwarcznej, nie zdoła przeciwstawić się grupie bandytów zaopatrzonych w różne rodzaje broni. Władze niemieckie nie przejmują się zbytnio szerzącym się bandytyzmem. Ma się wrażenie, że nie chcą narażać swoich żołnierzy na niebezpieczeństwo, przy ewentualnym zetknięciu się z liczniejszą grupą uzbrojonych bandytów. O ile po wsiach kręcą się wciąż żołnierze niemieccy, to jednak nigdy na wsi lub na folwarku nie nocują. Tego rodzaju stanowisko władz niemieckich, przy braku jakichkolwiek innych organów bezpieczeństwa, kapitalnie wpływa na szerzenie się bandytyzmu.

10 grudnia

Dziwne rzeczy dzieją się z obcymi walutami. Oficjalny kurs dolara wynosi 5 zł 40 gr, tymczasem na czarnej giełdzie płacą za dolara po 60 złotych i więcej. Przekonałem się o tym dzisiaj sam, gdyż sprzedałem Żydowi po tej właśnie cenie 20 dolarów, które mieliśmy w domu. Banknoty wielodolarowe są w większej cenie niż np. jednodolarowe. Tłumaczy się to tym, że Żydzi obawiając się, że odbiorą im wszystkie pieniądze, a może jeszcze w dodatku i wysiedlą, kupują na gwałt dolary i zaszywają je w paltach i ubraniach.

11 grudnia

Jak było do przewidzenia bandyci napadli i na dwór pp. Siemiątkowskich w Widniówce. Szczegółów napadu jeszcze nie znam.

W ostatnich dniach daje się zauważyć pewne zaostrzenie represji w stosunku do Żydów. 50 z nich codziennie musi stawić się do roboty. Przez pewien czas mogli dawać zastępców, teraz muszą iść sami, osobiście. Wczoraj i dzisiaj prowadzili ich przez miasto od roboty z odkrytymi głowami, nie pozwalając włożyć czapek i kapeluszy.

Widziałem się z bernardynem o. Maksymilianem, którego Niemcy zostawili w Radecznicy, czyniąc odpowiedzialnym za całość wszystkich gmachów i za gospodarstwo klasztorne. Niemcy przeprowadzając w swoim czasie gruntowną rewizję w klasztorze, jak sami mówili, szukali ukrytego gdzieś skarbca wawelskiego. Podobno właśnie w związku z tym aresztowano biskupów i księży tak w samym Lublinie jak i w ogóle w całej diecezji lubelskiej.

Jak wyjaśniłem, napad na Widniówkę odbył się tegoż samego dnia co na Tworyczów i Sułowiec, o godz. 6 po południu. Bandytów było 8.

Wczoraj, późno wieczorem przywieziono mi do szpitala dwoje chorych wygnańców z Poznańskiego. Opowiadali mi dzisiaj o swoich przejściach. Naprawdę trudno uwierzyć w to co mówią, a jednak jest to rzetelna prawda. Na stację Szczebrzeszyn przybyło wczoraj wieczorem 160 osób, nocowali we wsi Brody, a dzisiaj wysłano ich do okolicznych wsi podzieliwszy na kilka grup. Najwięcej do Rozłop, Sułowa, Deszkowic, Michalowa i do Radecznicy. Dużo jest dzieci, kilka kobiet w ostatnim okresie ciąży. Pochodzą z najrozmaitszych sfer — wszyscy z Wągrowca i z powiatu wągrowskiego. Są między nimi obywatele ziemscy, przemysłowcy, kupcy, urzędnicy, nauczyciele, rzemieślnicy, jest i lekarz powiatowy, dr Władysław Likowski. Kazano im opuścić mieszkania w ciągu 20 minut, najwyżej pół godziny, pozwolono wziąć po 200 zł na osobę i najniezbędniejsze rzeczy osobiste z wyjątkiem pościeli. Trzymano ich najpierw w barakach, a potem załadowano do osobowych, lecz nieopalonych wagonów i tak przywieziono do Zamościa, skąd rozsyłają ich po różnych wsiach powiatu zamojskiego. Co będą robić tutaj ci wysiedleńcy, z czego żyć? — nie wiadomo. Wywożono nie tylko tych, którzy osiedlili się tam już po wielkiej wojnie światowej, lecz i tych od urodzenia zamieszkałych w Wągrowcu. Obchodzenie się Niemców z nieszczęsnymi wygnańcami było bardzo brutalne. Np. chory, którego przyjąłem do szpitala, buchalter Ubezpieczalni Społecznej, został tak silnie kopnięty w nogę, że wywiązało się zapalenie w okolicy stawu skokowego.

Przyjąłem też dzisiaj do szpitala jakąś młodą kobietę, którą Niemcy w Szczebrzeszynie pobili tak, że wskutek wstrząsu straciła przytomność. Przywieziono ją w bardzo ciężkim stanie. Po odzyskaniu przytomności opowiedziała, że przyjechała z Biłgoraja po produkty spożywcze, kupiła kilka kilogramów masła, które Niemcy chcieli jej odebrać, płacąc tylko po 5 zł. Zaczęła bronić swego masła i wymyślać, wówczas Niemiec kopnął ją w brzuch z taką siłą, że od razu straciła przytomność.

14 grudnia

Wczoraj wieczorem dwa razy przychodzili Niemcy do szpitala zapytując, czy nie ma u nas oficera niemieckiego Kühna. Za pierwszym razem było ich 3, za drugim 6 z karabinami. Miałem wrażenie, że ten Kühn zwiał i tak go szukali.

Przed paru dniami skończyłem czytać „Trylogię" Sienkiewicza. Teraz zacząłem Historię Powszechną w wydaniu Trzaski, Everta i Michalskiego, mianowicie wieki średnie. Czytanie to przychodzi mi jednak z trudem. Czuję, że przez te miesiące wojny umysł mój wyjałowiał, nie mogę tak pracować jak zwykle, a o jakiejś pracy naukowej mowy nie ma. Nie można się temu dziwić. Żyjemy w ciągłej niepewności, w oczekiwaniu, że lada chwila mogą nas wyrzucić, pochłonięci sprawami materialnymi szpitala, obarczeni nadmiarem kłopotów, skupieni w dwóch ciasnych pokojach, ponieważ ze względu na opał nie korzystam ze swego ulubionego gabinetu z całą moją biblioteką. Cała atmosfera, w której obecnie żyjemy, nieustanne myśli o naszym przyszłym losie, o rozmiarach naszej klęski, o zniszczeniu naszego narodowego majątku i naszej kultury, o nie-

prawdopodobnym gnębieniu i znęcaniu się nad ludźmi — wszystko to uniemożliwia mi poważniejszą pracę umysłową, w szczególności twórczą, naukową.

15 grudnia

Był u mnie dr Likowski, lekarz powiatowy z Wągrowca, wysiedlony przymusowo wraz z rodziną do powiatu zamojskiego. Opowiadał mi szczegóły ich wysiedlenia. Jemu np. dano 45 minut czasu na spakowanie rzeczy. Pobito go przy tym a później trzymano w baraku razem ze wszystkimi, w okropnych warunkach. Stara się jakoś urządzić, na pewien czas w Szczebrzeszynie, aby przetrwać. Rozmawiałem już z kilkoma wygnańcami. Zadziwia mnie niezwykle dzielna postawa tych ludzi i ich pełna wiara, że wkrótce powrócą w swoje strony, po zupełnym pogromie Niemców.

Z Zamościa otrzymałem wiadomość, że aresztowano tam i osadzono w więzieniu dyrektora Banku Polskiego, Gregora.

Byli dziś u mnie dwa razy Niemcy i łazili po całym szpitalu. Bardzo się boją oddziału zakaźnego.

17 grudnia

Ciągłe oczekiwanie jakichś decydujących wydarzeń trzyma ludzi w napięciu i ogromnie wyczerpuje nerwowo. Krążą fantastyczne wieści. Wszystkie były rzekomo słyszane przez radio. Optymiści skwapliwie chwytają i powtarzają wiadomości jakoby pomyślne, pesymiści wszystko widzą w czarnych barwach. Lecz tych jest stosunkowo niewielu. Zadziwiająco powszechna jest wiara, że jednak pomimo wszystko będzie dobrze. Ludzie się łudzą na różne sposoby. Jedni wierzyli w przepowiednię św. Andrzeja Boboli, że niewola trwać będzie 101 dni i obliczali dzień wyzwolenia na 8 grudnia, inni znów entuzjazmowali się opowiadaniami o tym, jak Matka Boska na cudownym obrazie w Częstochowie rozłożyła ręce i na dłonach można było wyraźnie wyczytać datę 12. XII. Terminy te minęły, szybko o nich zapomniano i teraz szuka się nowych złudzeń, którymi można by żyć. Na widownię wypływa jasnowidz warszawski inż. Ossowiecki, który miał gdzieś kiedyś powiedzieć: „w r. 1940 nie chciałbym być Niemcem".

Oby tylko sił starczyło, fizycznych i psychicznych, żeby przetrzymać to wszystko, żeby się nie załamać duchowo i nie wpaść w stan bezładu i rozpaczliwej rezygnacji.

Mnie jakoś ani na chwilę nie opuszcza niezachwiana wiara, że skończą się prędko dni naszej niewoli, że się odrodzimy na nowo i już teraz pali mnie czasami ten ogrom pracy, jaki nas czeka przy odbudowie kraju. Często zwłaszcza myślę o tym, jakimi drogami i w jakim tempie potoczy się rozwój nauki polskiej, tak brutalnie zahamowany przez wroga. Zapominam wówczas, że mam już 55 lat i zaczynam marzyć...

18 grudnia

W mieście duże podniecenie. Już rano rozeszła się wiadomość, że wyjeżdżają ze Szczebrzeszyna Niemcy, którzy byli tu kilka tygodni i zdawało się, że będą długi czas. Jeszcze wczoraj wieczorem nic o tym nie wiedzieli. Potwierdził nam to jeden młodziutki żołnierz niemiecki, który zaprzyjaźnił się z kilkoma moimi rannymi żołnierzami mówiącymi po niemiecku, codziennie odwiedzał ich w szpitalu, a dziś rano przyszedł okropnie przygnębiony pożegnać się i mówił, że zapewne powiozą ich na front zachodni. Prócz tego, ogromne wrażenie wśród Niemców i wśród miejscowych obywateli wywarła wiadomość jaką miał dziś otrzymać jeden sanitariusz niemiecki, starszy już człowiek, że cała jego rodzina zginęła od bomby i pozostało przy życiu tylko jedno dziecko. Widziano także na mieście samochód radziecki, z dwoma oficerami niemieckimi i z dwoma radzieckimi. — Pod wieczór dowiedzieliśmy się ze słów zastępcy komendanta placu, że do Szczebrzeszyna przyjeżdża stu kilkudziesięciu Żydów, zaś polskim wysiedleńcom z Poznańskiego landrat stanowczo nie pozwala zamieszkać w Szczebrzeszynie, lecz każe siedzieć w okolicznych wsiach.

Co to wszystko ma znaczyć? — Nie rozumiemy. Gubimy się w domysłach. Zastanawia nas też niezwykle ożywiony ruch samochodów w różnych kierunkach. Przez cały dzień widzieliśmy ciężarówki niemieckie, jak co pewien czas podjeżdżały pod piekarnię polską naprzeciwko szpitala i zabierały pieczywo i mąkę.

Zacząłem dziś powoli usuwać z mieszkania część swego księgozbioru. Rzadkie i cenniejsze druki rozmieszczam w kilku domach. Smutna to dla mnie czynność.

Wszyscy zadajemy sobie pytanie — co nam przyniosą najbliższe dni?

19 grudnia

Wczoraj wieczorem przyjechało do Szczebrzeszyna 180 Żydów wysiedlonych z Włocławka. Są to przeważnie kobiety i dzieci, mężczyzn mało i to tylko starsi, bo młodych zatrzymano w Zamościu. Miejscowi Żydzi od razu nimi się zajęli i rozdzielili między siebie. Podobno ma ich przyjechać jeszcze paruset.

Wczoraj wyjechała jedna kompania żołnierzy, wyjadą jeszcze dwie. Niemcy są bardzo z tego niezadowoleni i przygnębieni. Mówił mi dzisiaj sanitariusz niemiecki, że przerzucają ich na zachodni front, a to, w ich mniemaniu, równa się śmierci. Sami Niemcy mówią, że zastąpi ich tutaj policja, SS, lub żandarmeria.

W dalszym ciągu wywoziłem dziś z domu moje książki...

20 grudnia

Był dziś u mnie Stanisław Nowiński, mój były uczeń z Seminarium Nauczycielskiego w Szczebrzeszynie, gdzie przez kilkanaście lat byłem

lekarzem szkolnym. Jest on obecnie nauczycielem w powiecie puławskim. Pokazał mi deklarację, jaką muszą złożyć wszyscy nauczyciele pozostający na służbie. Po jednej stronie napisana jest po niemiecku, po drugiej po polsku, lecz jakimś okropnym stylem:

„Oświadczam pod słowem honoru, że dotychczas należałem do następujących wojskowych albo politycznych organizacji ...... Zapewniam dalej, że nie jest mi nie wiadomem, z czego można by wnioskować, że ja albo mój małżonek (małżonka) nie są aryjskiego pochodzenia. Jest mi dalej wiadomem, że aryjskiego pochodzenia jest tylko ten, którego przodkowie w 3 pokoleniach nie byli Żydami i że pochodzenie rasowe nie ma nic wspólnego z wyznaniem".

Po południu obębniono na mieście i odczytano nowe zarządzenia, a mianowicie: od piątku 22. XII. wszyscy Żydzi od 10 roku życia wychodząc z mieszkania muszą mieć na prawym ramieniu opaski białe z żółtą gwiazdą sześcioramienną, przed sklepami mają być wywieszki z oznaczeniem czy sklep jest aryjski, czy żydowski itp. Opaski będzie sprzedawał magistrat po 1 zł za sztukę.

Wczoraj radio podało wiadomość z Londynu, że jakaś grupa polskich żołnierzy ukazała się 20 km od Zamościa i podąża na południe ku granicy węgierskiej. Pomimo że mieszkamy tak blisko od Zamościa, to jednak trudno jest sprawdzić, czy tak było w rzeczywistości.

Wieczorem znów wyniosłem z domu sporo książek.

21 grudnia

Na mieście rozlepiono nowe zarządzenie naczelnika powiatu, że bez jego specjalnego zezwolenia nie wolno wywozić poza granice powiatu zamojskiego żadnych artykułów spożywczych.

Na każdym kroku, we wszystkich dziedzinach życia, coraz większe ograniczenia i utrudnienia.

22 grudnia

Pomimo kategorycznego nakazu, ażeby Żydzi od dnia dzisiejszego nosili specjalne opaski „na widocznym miejscu", nie spotkałem na mieście ani jednego Żyda z taką opaską.

Dowiedziałem się dzisiaj, że onegdaj Niemcy rozstrzelali w Zamościu majora W. P., lekarza, docenta uniwersytetu, nazwiskiem Polakow. Rozstrzelano również jakiegoś 19-letniego chłopca oraz na Zamku w Lublinie księdza Bociana z Suchowoli i 9 chłopów z tejże wsi. Księdza i chłopów kara taka spotkała za to, że bez porozumienia z władzami niemieckimi, przenieśli zwłoki zabitego i pochowanego w Suchowoli żołnierza niemieckiego na inne miejsce.

23 grudnia

Kazano wszystkim właścicielom pojazdów mechanicznych stawić się dzisiaj rano w magistracie i przyprowadzić swoje maszyny. Mnie pora-

dzili, żebym natychmiast, jeszcze dzisiaj, jechał do Zamościa i postarał się uzyskać od landrata zezwolenie na pozostawienie mi jako lekarzowi mojego samochodu. Przyczepiłem więc łańcuchem samochód do bryczki i pojechałem do Zamościa. Nic jednak tam nie załatwiłem, bo landrat już nie urzędował i mam jechać drugi raz zaraz po świętach.

Zamość robi bardzo przykre wrażenie. Na ratuszu olbrzymia chorągiew czerwona z czarną swastyką, takaż chorągiew na gmachu starostwa, na gmachu dawnej Akademii hetmańskiej... Niemców wszędzie pełno — na ulicy, w sklepach, kawiarniach, prawie tyle samo co ludności cywilnej. Byłem w drukarni sejmikowej. Przy mnie żołnierz niemiecki zamawiał tysiąc pocztówek z widokiem Zamościa i z drukowanymi życzeniami noworocznymi. Mówił mi kierownik drukarni, że dziś rano przyjął od Niemców zamówienie na 6 tysięcy pocztówek z widokiem Ratusza zamojskiego. Zaszedłem do księgarni Kąpickiego — tam też Niemcy kupowali pocztówki.

Rozstrzelany przed paru dniami major-lekarz, nazywał się Michał Polakow. Tak głoszą specjalne obwieszczenia rozlepione na ścianach domów.

Na ulicach nie spotkałem nikogo ze znajomych, których w ogóle mam w Zamościu bardzo dużo. Widocznie ludzie przeważnie siedzą w domu. Wolą nie patrzeć na te tłumy Niemców, ich swastyki, samochody itp. Żydów też widziałem niewielu, pomimo soboty. Tylko niektórzy mieli na prawym przedramieniu opaski z żółtą gwiazdą sześcioramienną. A w Szczebrzeszynie i dziś jeszcze nie widziałem ani jednego Żyda z opaską.

25 grudnia

Wczoraj wieczorem o godz. 10 przyszło do szpitala służbowo dwóch niemieckich żołnierzy. Obeszli wszystkie sale chorych, byli nawet na oddziale zakaźnym, wciąż zapytywali, czy chorzy i ranni są tylko Polacy, zaglądali do kątów po salach i zachowywali się tak, jakby kogoś szukali.

Dostałem do swych zbiorów kilka ogłoszeń władz niemieckich drukowanych lub pisanych na maszynie. Niektóre są ciekawe i charakterystyczne. A więc pismo inspektora lasów von Klitzinga z dn. 1. XII. 1939 r. do wszystkich zarządów gmin powiatu zamojskiego: „Wszelkie drzewo użytkowe i opałowe kradzione od dnia 1 września 1939 r. ma być zapłacone w terminie do 20 grudnia 1939 r. prawnemu właścicielowi lub w odnośnym zarządzie lasu".

Następnie Rozkaz 8 Komendantury w Szczebrzeszynie z dnia 19. XII: „W celu odróżnienia ludności polskiej od żydowskiej w okręgu Szczebrzeszyn postanawiam: 1) Wszyscy kupcy winni w najbliższych dniach zaopatrzyć się w komendanturze w szyldziki „Aryjski interes" względnie „Żydowski interes" i wywiesić je w swoich sklepach w miejscu widocznym. 2) Wszyscy Żydzi zarówno kobiety, jak i mężczyźni od lat 10 winni natychmiast zaopatrzyć się w Komendanturze w białe opaski z żółtą gwiazdą Sjonu i nosić je zawsze w miejscu widocznym. 3) Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 22. XII. 39. 4) Niezastosowanie

się do niniejszego rozporządzenia będzie karane grzywną względnie pozbawieniem wolności".

Dnia 18. XII. magistrat wywiesił „na podstawie wydanego przez miejscową komendę placu zarządzenia" takie ogłoszenie: „W okresie przedświątecznym należy wybielić i uporządkować wszystkie mieszkania na terenie miasta".

Pomimo kategorycznego nakazu dotychczas nie widzieliśmy jeszcze Żydów z opaskami. Być może na pobłażliwe traktowanie w tej sprawie wpłynęła zmiana na stanowisku komendanta placu.

26 grudnia

Nowa kompania wojska, która przybyła do nas pozawczoraj, przez 2 noce rabowała Żydów w ich mieszkaniach. Ale tak się już przywykło do tych wszystkich rabunków, że wiadomość o jakiejś świeżej grabieży przechodzi bez większego wrażenia.

Którejś nocy świątecznej rozlepiono na mieście w kilku miejscach następujące ogłoszenie: „Wszystkie Polki obcujące z Niemcami proszone są we własnym interesie o zgłoszenie do „Domu Publicznego" w Szczebrzeszynie, celem nawiązania jeszcze bliższego kontaktu.

Nazwiska tych dam są ściśle rejestrowane i w miarę potrzeby będą podawane do publicznej wiadomości. (—) Dyrekcja".

Przed tymi ogłoszeniami zaczęły zatrzymywać się grupy ludzi. Zauważyli to Niemcy i zorientowawszy się o co chodzi, natychmiast je pozdzierali. Jednak pewne wrażenie zrobiły one w mieście, a to dlatego, że rzeczywiście sporo, niestety, tutejszych panienek, nie wyłączając uczennic gimnazjum, chętnie zawierało znajomości z oficerami i żołnierzami niemieckimi.

27 grudnia

Jeździłem do Zamościa w sprawie samochodu. Landrat jest na urlopie, urzędował jego zastępca, okropny typ, który nawet słyszeć nie chciał o pozostawieniu mi auta. Natomiast w kancelarii żandarmerii, gdzie zdawano samochody, oberfeldfebel, ten sam, który poprzednio w Szczebrzeszynie upewniał mnie, że samochód mi zostawią, był mocno zdziwiony tą odmową i radził przyjechać jeszcze raz, jak będzie sam landrat. Ów feldfebel, Czech mówiący po polsku wcale nieźle (per „wy") — zadziwił mnie swoją życzliwością i uprzejmością, stanowiącą silny kontrast z zachowaniem się urzędników w landraturze.

Byłem potem — po raz pierwszy od czasu wojny — u starostwa Sochańskich. Witaliśmy się bardzo serdecznie i rozmawialiśmy parę godzin, lecz jakże smutna była nasza pogawędka...

I dzisiaj również wracałem z Zamościa do domu pod przygnębiającym wrażeniem tego co widziałem i słyszałem, zwłaszcza o licznych rozstrzelaniach. Jakże ciężko jest żyć w niewoli!

28 grudnia

Wczoraj, będąc w Zamościu wstąpiłem do biura Wydziału Powiatowego. Urzędnicy w bezczynności przeważnie grzeją się przy piecu i na wpół szeptem opowiadają sobie zasłyszane gdzieś, rzekomo pewne, wiadomości. O normalnej pracy tak żywotnej zwykle instytucji mowy nie ma. Rozmawiałem z sekretarzem Wydziału Powiatowego p. Burzmińskim o szpitalu i chciałem uzyskać zapewnienie, że ktoś jednak z obecnych przedstawicieli samorządu pomyśli trochę o szpitalach w Zamościu i w Szczebrzeszynie i pomoże je utrzymać. Niestety, po rozmowie tej nabrałem przekonania, że na nikogo nie można liczyć i że muszę szpital prowadzić nadal sam, wyłącznie własnymi siłami. A sytuacja wytworzyła się dzisiaj taka, że za 70% chorych leżących w szpitalu nikt nic nie płaci i nie ma żadnej nadziei, ażeby od jakiejkolwiek instytucji można było w przyszłości ściągnąć koszty ich leczenia. Jakim więc sposobem będę mógł w takich warunkach utrzymać szpital?

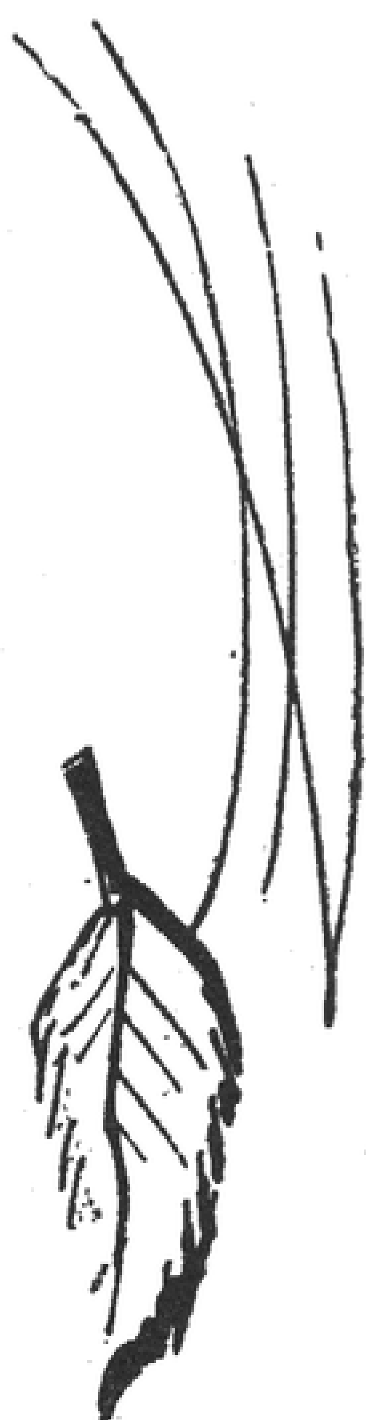
Wobec takiego stanu rzeczy zwołałem dzisiaj cały wyższy personel szpitalny i oświadczyłem, że od 1 stycznia poborów nikomu, z wyjątkiem służby niższej, płacić nie będę, że ze względów oszczędnościowych wprowadzam daleko idące ograniczenia żywnościowe, nikt nie będzie dostawał masła, bułek, kakao, leguminy itp., częściej będą obiady bez mięsa, kolacja dla personelu będzie z kotła ogólnego, taka jak dla chorych i służby itd. — Poruszyłem przy tym wiele różnych spraw służbowych, które nie sprawiły przyjemności ani mnie, ani tym bardziej słuchającym.

30 grudnia

Przed kilkoma dniami bandyta uzbrojony w karabin i ręczne granaty dokonał napadu rabunkowego na dom Mariana Doroszewskiego w Szperówce pod Szczebrzeszynem. Domownicy z początku stali z rękami podniesionymi do góry, lecz w pewnym momencie rzucili się na bandytę i zaczęli go rozbrajać. Wówczas ten cisnął granat ręczny o podłogę. Marian Doroszewski został zabity na miejscu, a sam bandyta ciężko ranny w nogi. Gdy zbiegli się sąsiedzi i weszli do izby, bandyta leżąc na podłodze w kałuży krwi zdołał jeszcze wyciągnąć z kieszeni i rzucić drugi granat, od którego sam zginął, a jeden z obecnych gospodarzy został ranny. Przywieziono go na leczenie do szpitala.

Wczoraj rano zwiedzał szpital zastępca nowego komendanta placu, jakiś feldfebel, w cywilu z zawodu chemik, bodajże jakiś profesor czy nauczyciel. Interesował się potrzebami szpitala, proponował pomóc przy uzyskaniu lekarstw i materiału opatrunkowego. Zrobił wrażenie człowieka kulturalnego.

Dzisiaj Ortskommando zarządziło ścisłą rejestrację wszystkich tych Żydów, którzy w swoim czasie opuścili Szczebrzeszyn wraz z wojskiem radzieckim i później stopniowo popowracali. Podobno mają ich usunąć i wywieźć do granicy rosyjskiej.



1940



1 stycznia 1940

Chyba nigdy jeszcze w Polsce nie było tak smutnego Sylwestra, jak w tym roku. Nie składano sobie innych życzeń jak tylko wyzwolenia z niewoli. Bo też ciąży nam ona coraz bardziej, coraz trudniej ją znosić, wszyscy żyjemy w oczekiwaniu końca, absolutnie nikt nie dopuszcza myśli, ażeby stan obecny mógł trwać dłuższy okres czasu. Ja nie przestaję ani na chwilę wierzyć, że klęska nasza jest przemijająca, że się dźwigniemy i otrząśniemy z obecnej niewoli. Wierzę w siły żywotne naszego narodu. Cieszę się, gdy już dzień ma się ku końcowi, gdyż tym sposobem jesteśmy o jeden dzień bliżej wyzwolenia.

Niemców na ulicach widzimy mało, znacznie mniej niż przedtem. W żaden sposób nie mogę przyzwyczaić się do ich widoku.

2 stycznia

Jesteśmy przygnębieni z powodu wiadomości, jakie nas dochodzą o masowych egzekucjach w Warszawie, Lublinie i innych miastach. Na mnie szczególnie silne wrażenie zrobiło rozstrzelanie ludzi znanych mi osobiście lub z działalności naukowej i społecznej, a więc prof. uniwersytetu w Warszawie, Białobrzeskiego, znakomitego fizyka, prezesa Sądu Okręgowego w Lublinie Bryły, byłego wicewojewody lubelskiego, prezesa Sądu Apelacyjnego w Lublinie Sekutowicza, prof. Uniwresytetu Lub. Czumy *), ks. Niechaja rodem ze Szczebrzeszyna i innych. Doszły nas wieści i o rozstrzelaniu stu kilkunastu mężczyzn w Wawrze pod Warszawą. Wszystko to wpływa w ogromnym stopniu depresyjnie, wzmaga uczucie niepokoju i niepewności o własny los każdego z nas.

Był dziś u mnie dr Wróblewski ze Zwierzyńca. Opowiadał mi o polowaniach urządzanych dla Niemców w lasach Ordynacji Zamojskiej. Robią to dla interesu, jednak szanujący się urzędnicy ordynaccy unikają

*) Wiadomość o prof. Czumie okazała się nieprawdziwa. Był aresztowany, lecz śmierci uniknął.

tych polowań, a młody ordynat Zamoyski udziału w nich nie brał ani razu. A gdy kiedyś oficerowie niemieccy kwaterujący w pałacu w Klemensowie upolowali w parku sporo bażantów i przysłali kilka sztuk ordynatowi do Zwierzyńca, ten nie przyjął ich i odesłał Niemcom z powrotem.

4 stycznia

Dopiero wczoraj Żydzi włożyli opaski. Noszą je byle jak, to na prawym, to na lewym przedramieniu.

Dziś zwiedzał szpital nowy „Ortskommandant" hauptman Jensen. Bardzo elegancki i grzeczny jegomość, interesował się sprawami szpitala i wypytywał czy mam jakie potrzeby, które by mógł mi załatwić. Gdy mu pokazałem leje od wybuchu bomb i wszystkie szkody jakie poczyniły szpitalowi, upewnił mnie, że „z początkiem roku wszystko to będzie usunięte i naprawione". Wychodząc powiedział mi, że jest bardzo zadowolony z porządku i czystości w szpitalu. Ktoś naiwny mógłby pomyśleć, że go rzeczywiście szpital dużo obchodzi.

Na ulicach widzimy Niemców znacznie mniej niż przedtem. Patroli na mieście nie ma zupełnie, warta stoi tylko przy gimnazjum. Nawet w nocy służbę na ulicach pełnią jedynie milicjanci.

8 stycznia

Niektórzy ludzie dziwnie łatwo przystosowują się do zmienionych warunków życia, nawet w niewoli. A w małym miasteczku, takim jak Szczebrzeszyn, nic się nie ukryje. Wczoraj w rodzinie burmistrza obchodzono chrzciny nowo narodzonego pierwszego wnuka, którego powiła jedna z córek burmistrza. Pod koniec uroczystości zjawił się spóźniony gość, oficer niemiecki, którego również posadzono przy rodzinnym biesiadnym stole. Zaznaczyć przy tym warto, że ojcem dziecka jest zawodowy oficer Wojska Polskiego przebywający obecnie w Rumunii.

Byłem dziś w Zamościu. Otrzymałem od władz niemieckich (Standortsarzta) zezwolenie na posiadanie samochodu z zastrzeżeniem, że mogę go używać wyłącznie jadąc do chorych. Przyciągnąłem go więc z powrotem, z Zamościa do domu.

Wśród znajomych w Zamościu panuje duże przygnębienie. Wciąż krążą te same fantastyczne plotki, ale w rzeczywistości nikt nic nie wie.

Przed paru dniami w ogródku przed gimnazjum, Niemcy rozstrzelali 17 osób, w tym jedną kobietę. Egzekucję obserwowano z okien biura wydziału powiatowego.

Bardzo ożywiony ruch widziałem w Czerwonym Krzyżu. Pracują tu zamojscy adwokaci, sędziowie, rejenci, byli oficerowie i szereg pań. Interesantów moc. Otrzymałem dla szpitala cały worek materiału opatrunkowego i kilka pudeł z bardzo cennymi lekami.

Wstępowałem do Biblioteki Publicznej Koła Miłośników Książki. Tutaj też ruch nadzwyczajny, nigdy dotąd nie notowany. Liczba abonentów przekroczyła znacznie 1.000, pomimo że nie ma wśród nich Żydów. Prze-

ciętnie dziennie około 400 osób zmienia książki. Tłumaczy się to głównie tym, że ludzie więcej niż przed wojną siedzą w domu, zwłaszcza wszystkie wieczory spędzają w domu, gdyż po 8 już nie wolno wychodzić.

9 stycznia

Silne mrozy. Dziś rano było 25 stopni poniżej zera. Widocznie Niemcy odczuwają to bardzo dotkliwie i dlatego rekwirują kożuchy. Wczoraj w Szczebrzeszynie na ulicy kilku chłopom ze wsi zabrano kożuchy, pozostawiając ich tylko w ubraniach.

Dzisiaj mieliśmy meldunek u samego Hauptmana. Powitał nas oficjalnie i uroczyście przemówieniem, w którym oświadczył, że nasz teren został włączony do Generalnego Gubernatorstwa, że prosi nas o bezwzględną lojalność w stosunku do obecnego rządu niemieckiego itp. Meldować się mamy teraz raz na dwa tygodnie.

U komendanta spotkałem się z dyrektorem gimnazjum Jóźwiakowskim. Mówił mi, że przed paru dniami, obecny nowy komendant wezwał go wraz z burmistrzem do siebie i kategorycznie zażądał rychłego ukończenia remontu gmachu gimnazjalnego, gdyż wkrótce ma tu przybyć kompania rekrutów (120 ludzi). Przy tej sposobności dyr. Jóźwiakowski na własne oczy mógł widzieć ogromne zniszczenie w budynkach szkolnych. W gmachu głównym, w prawym skrzydle, tam gdzie miała być nowa sala gimnastyczna, urządzono warsztaty mechaniczne dla remontu samochodów. Musiano przy tym wywalić kawał ściany, żeby samochody, a nawet duże ciężarówki, mogły swobodnie tam wjechać. Na piętrze w dużej sali aktowej stoją działka przeciwczołgowe...

11 stycznia

Mrozy dochodzą, a nawet przekraczają 30° poniżej zera. Z tego powodu zamiera wszelki ruch, ludzie wychodzą z domu tylko z konieczności. Wszystkie sklepy z małymi wyjątkami pozamykane. Poza pieczywem prawie nic dostać nie można. Zwłaszcza trudno o słoninę, kiełbasę, masło.

Wezwano mnie dzisiaj do chorego Żyda z odmrożonymi stopami. Jechał z Warszawy koleją z zakupionym towarem. Opowiadał mi z płaczem jak jeszcze na dworcu w Warszawie, wyrzucili go z wagonu pasażerowie Polacy, zabierając część towaru. Konduktor wsadził go wówczas do wagonu towarowego, w którym jechał 12 godzin do Rejowca, a stąd drugie 12 choć już w osobowym, lecz też nieopalanym. — Metody niemieckie znajdują podatny grunt w niektórych sferach społeczeństwa polskiego.

12 stycznia

Otrzymałem imienne zaproszenie od komendanta placu na 2 przedstawienia w kinie. Miały być wyświetlone 2 filmy: 1) Przegląd polityczny

i 2) Humoreska. Sam oczywiście nie poszedłem, lecz byłem ciekaw, jak się to odbywa i jaka będzie publiczność, prosiłem więc mojego praktykanta, by poszedł na ów przegląd polityczny. Niemcy bardzo wypytywali go o mnie dlaczego nie przyszedłem, ilu jest chorych w szpitalu itd.

15 stycznia

Wczoraj był u mnie rejent Rosiński z Zamościa. Przyszedł też p. Kazimierz Zieleniewski z zawodu bibliotekarz, urzędnik Urzędu Statystycznego w Warszawie, który jako uchodźca znalazł się na naszym terenie i obecnie w czasie kampanii dostał chwilowe zajęcie w cukrowni. Obiecał mi opisać swoje wrażenia i przeżycia z czasu pobytu w Zamojszczyźnie.

18 stycznia

Mróz 20 kilka stopni poniżej zera. W handlu zupełny zastój. Wszystkie sklepy pozamykane. Chleb do szpitala płaciliśmy dzisiaj po 1 zł za 1 kg. Cena rynkowa na żyto 70 zł za metr, pszenica 90 zł, mąka 160 zł, jaja 35—40 gr sztuka itd.

Przy takich cenach, szpitala długo nie potrafię utrzymać bez pomocy z zewnątrz. Na to zaś nie mogę obecnie liczyć.

Przyjechał objazdowy teatr niemiecki. — Na mieście zarządzono przygotowanie kwater dla kilkuset żołnierzy, którzy mają przyjechać.

Dzisiaj przyjechali z Zamościa gestapowcy do ks. kanonika Cieślickiego żądając wykazu wszystkich towarzystw religijnych na terenie całego dziekanatu i spisu wszystkich członków. Interesują się majątkiem tych towarzystw.

W Zamościu aresztowano prof. Stefana Milera, legionistę, twórcę ogrodu zoologicznego i bardzo popularnego działacza społecznego.

Wydano nowe zarządzenie, że można chodzić po mieście do godz. 8 wieczorem. Od czasu do czasu Niemcy łapią spóźnionych przechodniów i każą im płacić karę po 1 zł za każdą minutę opóźnienia.

20 stycznia

Mrozy wciąż się trzymają. Stare grube mury szpitala tak się oziębiły, że w mieszkaniu mamy 7 stopni ciepła wieczorem, a rano zaledwie 4 st. Trudno jest w takiej temperaturze dłużej usiedzieć na jednym miejscu. Pomimo tego, zacząłem nową, a bardzo żmudną pracę. Zaprowadziłem mianowicie kartotekę, w której na osobnych kartach wpisuję najważniejsze dane o lekarzach polskich, o których znalazłem wzmianki w najrozmaitszych pamiętnikach i wspomnieniach. Muszę skrupulatnie wypisywać wszystkie numery stronic, sprawdzać z ogłoszonymi już materiałami biograficznymi. Zajmuje mi to bardzo dużo czasu, lecz równocześnie całkowicie odrywa myśl od spraw bieżących, od wszelkich trosk i kłopotów, których nagromadza się coraz więcej, zwłaszcza jeżeli chodzi o szpital.

Zaopatrywanie szpitala w produkty żywnościowe staje się coraz trudniejsze. Wielu artykułów wcale nie można dostać lub też po strasznie wysokich cenach. Za kaszę jęczmienną np. płaciliśmy dzisiaj zł 1 gr 40 za kg, za kiełbasę 7 zł itp. Z pewnością będzie jeszcze gorzej wobec spodziewanego przyjazdu większej ilości wojska i rejestrowania całego żywego inwentarza po wsiach i w mieście. Nawet w szpitalu spisywano wczoraj ile mamy świń, kur itp. W niektórych gminach świnie znaczą specjalnymi kółkami, którymi przekłuwają uszy. Takie świnie należy tuczyć i nie wolno sprzedawać. Zresztą chłopi w ogóle niezbyt chętnie cokolwiek teraz sprzedają. Pieniędzy mają dużo, nie wiedzą jednak na co je wydać, bo nic prawie nie można kupić. Zwiększyło się za to pijaństwo. Często teraz, zwłaszcza pod wieczór, słychać na ulicy wrzaski pijanych. Warto też zanotować charakterystyczny objaw, że u tych ludzi wzbiera sentyment patriotyczny. Bardzo często śpiewali oni zamiast zwykłych pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła" lub „Rotę". To samo dzieje się w piwiarniach, potajemnych szynkach itd. Przed kilkoma dniami w jednej takiej piwiarni zaczęła się już awantura z żołnierzami niemieckimi, lecz ci, widząc, że zabawa może się źle skończyć, opuścili lokal.

22 stycznia

Dzisiejszej nocy byłem dwa razy wzywany do chorego kol. Likowskiego, który dostał ciężkiego ataku sercowego. Miasteczko w nocy wyglądało niesamowicie, zupełnie wymarłe, żadnych patroli, ani warty, żadnych przechodniów, dosłownie ani żywej duszy. Ani jednego oświetlonego okna, tylko na rynku i głównej ulicy słabo świecące, smętne, bezduszne latarnie.

Dowiedziałem się od znajomych z Zamościa, że aresztowany został i osadzony w więzieniu Zbigniew Klaudel, redaktor wychodzącego przed wojną w Zamościu tygodnika „Prawda", w związku z umieszczonymi tam artykułami. Aresztowano też popularnego na zamojskim bruku Władysława Kłokockiego, ale tego wyłącznie za szmugiel.

Poza tym wciąż wzywają do Gestapo na dochodzenie prezesów różnych organizacji, a więc Związku Rezerwistów, Związku Kółek Rolniczych, zatrzymano na kilka dni prezesa Związku Młodej Wsi, Skibę itd.

A w Ordynacji Zamojskiej w Zwierzyńcu mianowano Niemca zarządcą gospodarczym dla ścisłej kontroli nad całością spraw ordynacji.

23 stycznia

Jarmark tygodniowy był dziś bardzo duży i urozmaicony niespodziankami. Zatrzymywano furmanki na drogach wiodących do miasta i zapytywano chłopów, czy mają pieniądze i jakie. Odbierano banknoty stuzłotowe. Wyszło to w związku z wydanym zarządzeniem o deponowaniu w kasach niemieckich banknotów 500- i 100-złotowych, za które na wiosnę mają być wydane jakieś inne pieniądze. Drugą niespodzianką było to, że w pewnym momencie specjalne patrole zaczęły zatrzymywać furmanki

wyjeżdżające z miasta i nikogo nie chciały wypuścić. Okazało się, że szukano u wszystkich chłopów zboża, które przymusowo wykupywano, płacąc za pszenicę np 32 zł za metr, czyli maksymalną cenę ogłoszoną w cenniku urzędowym, wówczas gdy w wolnym handlu na rynku płacono za nią po 80 zł i więcej. — Wywołało to popłoch wśród posiadaczy zboża, a potem narzekania i złorzeczenia. Skutek takiej obławy będzie taki, że na przyszły jarmark żaden chłop już zboża nie przywiezie.

Przyjechali do Szczebrzeszyna żandarmi i dziś w ratuszu urządzili już swoje biuro. Będziemy więc mieli nową władzę, chociaż dotychczasowa komenda placu też na razie pozostaje. Są już i policjanci polscy, przeważnie spośród dawniejszej policji. Mają na lewym ramieniu zieloną opaskę z napisem „policja".

24 stycznia

Po wczorajszej obławie na zboże dzisiaj rzucili się Niemcy z kolei na drzewo opałowe. Poza tym usilnie poszukują i wyłapują 100-złotowe banknoty.

25 stycznia

Sekretarz gminy Nielisz, Stankiewicz, aresztowany przed kilkoma tygodniami, został rozstrzelany w Zamościu za posiadanie broni. Zawiadomiono o tym zarząd gminy.

Władze niemieckie poleciły inspektorom szkolnym odebrać dzieciom we wszystkich szkołach powszechnych podręczniki do nauki języka polskiego, historii i geografii. Dzisiaj w szkołach w Szczebrzeszynie, we wszystkich klasach dzieci składały na ręce nauczycieli wymienione książki. Niektóre jednak uchyliły się od spełnienia tego żądania.

Ogarnia mnie coraz większa depresja. Duszę się w atmosferze niewoli.

26 stycznia

Szare, bezbarwne, jednostajne dnie. Nic się nie dzieje. Życie zbiorowe, społeczne, zatrzymało się w swym biegu. Ludzie żyją przeważnie w sferze pospolitego materializmu, pochłonięci troską o zdobywanie artykułów spożywczych lub środków do ich nabycia. — Poza tym wszędzie dominuje wszechwładna plotka.

A w rzeczywistości nic prawie nie wiemy, co się dzieje na świecie i na froncie. Pilnie, acz całkiem powierzchownie, obserwujemy co robią Niemcy, w którą stronę jadą samochody, armaty, wojsko, gdzie kopią okopy, gdzie i co odrutowują, jakie miny mają żołnierze niemieccy, co ewentualnie mówią itd. Z tego próbujemy wnioskować jaka jest sytuacja na frontach, gdzie się gromadzą wojska, skąd spodziewane jest uderzenie itp.

Czasem dojdzie rąk naszych jakiś numer „Nowego Kuriera Warszawskiego" lub „Gońca Krakowskiego", lecz są to pisma tak tendencyjne, że

niczemu co piszą wierzyć nie można, chyba tylko ogłoszeniom. Radia wciąż nie mamy a wiadomości rzekomo słyszane przez niektórych ludzi są tak nieraz sprzeczne, że i im wierzyć nie podobna. — Słowem jesteśmy odcięci od świata, odsunięci od życia kulturalnego, ogarnięci jedną tylko myślą przewodnią, aby przetrzymać. Ale kto wie, co nas jeszcze czeka, kto z nas przetrwa i na co jeszcze będzie patrzył. Ja, na szczęście, mam realny cel, ażeby za wszelką cenę uratować szpital, który może w przyszłości bardzo się jeszcze przydać...

Dziś rano powstał w mieście nie lada popłoch, gdy podano do wiadomości publicznej, że między 10 a 12 godziną nikomu nie wolno wychodzić z domu na ulicę. Ludzie gubili się w domysłach, co to ma znaczyć, tchórzliwi chowali się po domach, śmielsi wyłazili powoli na miasto. Ale jakoś zakazu tego niezbyt ściśle przestrzegano i wkrótce ruch był już prawie normalny. Okazało się przy tym, że przyjechał na inspekcję do koszar w gimnazjum jakiś generał niemiecki i władze nie chciały, by w tej okolicy gromadziło się za dużo publiczności.

W południe przyjąłem do szpitala małżeństwo żydowskie wysiedlone z Łodzi, chore na tyfus plamisty. Zameldowałem o tym w komendzie placu. Zarządzono wszelkie środki ostrożności. Przy kamienicy, w której mieszkali chorzy, postawiono wartę milicjantów i wszyscy mieszkańcy w liczbie 53 będą musieli odsiedzieć 14-dniową kwarantannę.

Z okolicznych wsi, z Brodów, z Kawenczyna, dochodzą wieści, że Niemcy wczoraj chodzili po chałupach i odbierali chłopom pieniądze, jakie tylko były. Zabierano też pieniądze i ludziom spotykanym na szosie.

27 stycznia

Dziś w dalszym ciągu Niemcy zabierali pieniądze, gdzie się tylko dało i na jakie tylko natrafili. Zachodzili do domów, zatrzymywali ludzi na ulicach, rewidowali jadących na szosie. M. in. zatrzymano na ulicy gospodynię szpitala p. Osipowiczównę, przeszukano jej kieszenie w płaszczu i nic nie znalazłszy puszczono dalej. Nie znaleziono nic tylko dlatego, że wiedząc o odbieraniu pieniędzy p. Osipowiczówna schowała portmonetkę za cholewkę śniegowca.

Przyjąłem do szpitala nowy wypadek tyfusu plamistego z miasta. Meldowałem zaraz w komendzie placu. Pojawienie się tej choroby wywołuje coraz większe zaniepokojenie u Niemców.

30 stycznia

Najważniejszym wydarzeniem ostatnich dni są pierwsze wypadki tyfusu plamistego wśród Żydów mieszkających przy ulicy Zamojskiej, przy której znajdują się obecnie koszary niemieckie (w gmachu gimnazjum). Władze niemieckie wydały ostre zarządzenie. Do koszar absolutnie nikt nie ma wstępu, nie zatrudniają już tam Żydów, ani bezrobotnych z miasta, wszystko robią sami. Żołnierzom z koszar nie wolno wychodzić na miasto. Nawet chodzenie po chodnikach koło koszar zostało zabronio-

ne. Wszystkie piwiarnie, restauracje, a nawet „Klub Towarzyski" majora Malinowskiego i „Café-Club" mec. Paprockiego zamknięto. Z niektórych domów przy ulicy Zamojskiej Niemcy całkiem się wyprowadzili. O każdym świeżym wypadku tyfusu muszę natychmiast meldować komendzie placu. Dzisiaj zawiadomiłem komendę o pierwszych chorych na tyfus z Krasnobrodu. Zawszenie krasnobrodzkich Żydów jest przerażające.

1 lutego

Jeździłem do Zwierzyńca, do Ordynacji, po drzewo i zboże, a także, by poruszyć sprawę zatrudnienia starosty Sochańskiego. Rozmawiałem o tym z plenipotentem Dębczyńskim i z młodym ordynatem. Przyrzekli mi załatwić tę rzecz pomyślnie, chcą tylko dobrze obmyślić, jak zrobić to najlepiej. Zwierzyniec robi przykre wrażenie. Pełno Niemców, zwłaszcza koło biura i klubu. Cały parter po lewej stronie gmachu zarządu zajęty przez Niemców na jakieś składy, „Krankenstube" itp., wszędzie widać napisy i ogłoszenia w języku niemieckim.

Rozmawiałem w biurze z wieloma znajomymi. Wszyscy czekają wiosny i spodziewają się ciężkich walk na naszym terenie. Opowiadali mi o bardzo solidnych okopach, jakie Niemcy kopią pod samym Zwierzyńcem, za boiskiem „Sokoła", w pobliżu wsi Obrocz itd. O podobnych okopach słyszymy z rozmaitych stron, spod Frampola, Tarnogrodu, Zamościa, Łabuń, Tomaszowa, Bełżca.

Od dzisiejszego dnia chleb sprzedają już u nas na kartki — po 750 gramów dziennie na osobę, w cenie: razowy 35 groszy za kg i pszenno-razowy 45 groszy.

3 lutego

Mrozy wciąż trzymają się koło 20 stopni poniżej zera. Mam bardzo dużo kłopotów z gospodarstwem szpitala, zwłaszcza z opałem, gdyż za kilka dni kończy mi się węgiel, a o drzewo tak strasznie teraz trudno, cena metra drzewa bukowego dochodzi do 50 zł.

Jeździłem do cukrowni Klemensów. Dostałem od dyrektora Wyszyńskiego w prezencie dla szpitala metr cukru, a od adwokata Muszaka ze Stawu Noakowskiego furę siana i słomy owsianej dla koni. Doszło więc do tego, że już muszę uciekać się do żebraniny, aby tylko jak najdłużej utrzymać szpital.

5 lutego

Dziś żandarmi chodzili po sklepach żydowskich, przeprowadzali rewizje i zabierali towary bławatne, mydło, artykuły spożywcze itp.

Przed sklepem kolonialnym i piekarniami z rana można zauważyć tłumy ludzi i tzw. ogonki po cukier kartkowy i chleb. W Spółdzielni Mleczarskiej masło też sprzedają tylko na kartki. Tłum ludzi dobija się o drobną ilość masła, niektórzy na poczekaniu sprzedają je Żydom.

6 lutego

Nastąpiło nowe przegrupowanie obecnych władz w mieście. Komendantem placu pozostał nadal Hauptman Jensen. Do niego należą sprawy wojskowe, u niego też w dalszym ciągu mamy meldować się jako jeńcy wojenni. Aprowizację i wszystkie sprawy administracyjne przekazano burmistrzowi i magistratowi. Nad bezpieczeństwem publicznym czuwa żandarmeria i policja niemiecka, a także polska policja mundurowa i milicja miejska.

7 lutego

Patrzyłem dziś rano na kolejkę przed piekarnią naprzeciw szpitala. Do godz. 8 sprzedawano chleb Polakom, potem dopiero Żydom, dla których zresztą pieczywa nie starczyło. Przypomniał mi się rok 1918 i pobyt mój na Krymie w Symferopolu, jak to nieraz z wieczora o godz. 7—8 stawałem w kolejce przed piekarnią lub jatką z mięsem i stałem tak calutką noc, by rano kupić na kartkę funt chleba lub kawałek mięsa. Pamiętam też doskonale, jak stojąc w takiej kolejce wśród hałaśliwego i kłótliwego tłumu studiowałem zawzięcie „Aforyzmy lekarskie" Hippokratesa...

Chodziłem do magistratu. Dowiedziałem się, że obecnie w Szczebrzeszynie jest 8 piekarni: 3 polskie i 5 żydowskich. Żydom zapowiedziano, że mają kupować chleb tylko w piekarniach żydowskich. Jednak nie zastosowują się oni do tego zarządzenia i tłumnie pchają się do piekarni polskich, w których dawniej rzadko kiedy pieczywo kupowali. Wobec tego piekarze polscy i milicjanci otrzymali przy mnie kategoryczny rozkaz nie sprzedawania chleba Żydom w piekarniach polskich.

Dziś na mieście rozlepiono plakaty jaskrawego koloru z wezwaniem do szerokich warstw ludności, by mężczyźni i kobiety w wieku od 16 do 50 lat dobrowolnie zgłaszali się do robót rolnych w Niemczech. Obowiązkowo muszą zgłosić się wszyscy ci, którzy byli zarejestrowani jako bezrobotni. Obwieszczenie to wywołało zrozumiałe poruszenie wśród zainteresowanych.

8 lutego

Jeździłem do nadleśnictwa w Kosobudach po drzewo dla szpitala, a stamtąd do Zwierzyńca. Kilka godzin spędziłem rozkosznie — najpierw jazda świetną sanną przez cudowny ośnieżony las, potem pobyt w gościnnym domu pp. Ottów w nadleśnictwie, gdzie panuje idealny spokój i gdzie w najmniejszym stopniu nie odczuwa się ani wojny, ani niewoli. Nerwy odpoczywają tu całkowicie. Na drodze z Kosobud do Zwierzyńca widziałem w lesie zasypane śniegiem porzucone samochody prywatne osobowe, ciężarowe, wojskowe. Robią one bardzo przykre wrażenie.

9 lutego

Na wszystkie gminy nałożono kontyngent zboża, które ma być dostarczone do dnia 18 lutego. Gmina Zwierzyniec ma dać pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa ogółem 12.700 m, gmina Sułów — 16.000 m. Nawet miasto Szczebrzeszyn musi dostarczyć 3.600 m. Są to liczby tak wysokie, że chyba żadna gmina nie podoła takiemu ciężarowi. I co w takim razie pozostanie dla ludności miejscowej?

W przewidywaniu wzrostu drożyzny i coraz większego braku na rynku artykułów spożywczych, ludzie w miarę możności czynią zapasy nie bacząc na bardzo wysokie ceny. Kupiłem dziś z wolnej ręki w poufnym źródle mąkę pszenną po zł 1 gr 40 za kg, kaszę mannę po 2 zł za kg itd.

Znów zmieniono zarządzenie co do zaopatrywania ludności żydowskiej w pieczywo. Piekarniom polskim wolno sprzedawać chleb i Żydom, lecz tylko to, co pozostanie po odejściu wszystkich chrześcijan.

10 lutego

Mrozy nie ustają. Na ulicach ruch bardzo mały. Sklepy pozamykane, gdzieniegdzie tylko przed jakimś domem widać większe skupienie gapiów, głównie Żydów: w domach tych Niemcy, żandarmeria i policja przeprowadzają rewizje. Szukają ukrytych towarów i te zabierają. Trwa to już kilka dni. Do polskich sklepów i domów na razie nie zachodzą.

Wstępował dziś do szpitala lekarz powiatowy z Zamościa dr Tyczkowski, ażeby się z nami pożegnać. Nastąpiło to w związku z przejściem Szczebrzeszyna do powiatu biłgorajskiego. Do tego powiatu dochodzą gminy: Radecznica, Sułów, Zwierzyniec, Tereszpol. Jestem z tego bardzo niezadowolony, bo do Biłgoraja znacznie dalej niż do Zamościa, nikogo tam nie znam i wątpię, czy ktokolwiek w obecnych warunkach zainteresuje się tam szpitalem w Szczebrzeszynie. Pocieszamy się, że może to nie na długo.

Wśród społeczeństwa naszego wszechwładnie panuje teraz nastrój oczekiwania. Na ustach u wszystkich „aby do wiosny". Ludzie spodziewają się na wiosnę nadzwyczajnych wydarzeń i pełni są nadziei. Dobitnym tego wyrazem jest powtarzanie aż do znudzenia powiedzionka „Im słonko wyżej, tym Sikorski bliżej". Ale widocznie i Niemcy czegoś się spodziewają. Gdy na ostatki młodzież wiejska w Zwierzyńcu i cukrowni chciała urządzić tańcówkę i zwróciła się do Niemców o pozwolenie, ci odmówili, dodając jednak, że „za kilka tygodni będą tu wszyscy, żywi i umarli, bez muzyki tańczyć".

14 lutego

Mrozy jeszcze nie zelżały. Tak wszędzie zimno, że życie normalne jest mocno zahamowane. Ludzie ze wszystkim czekają cieplejszych dni. Powodzeniem cieszy się jedynie kino niemieckie, czynne tu od czasu do czasu. Na ogłoszeniach napisano: „Żydom wstęp wzbroniony". I pomimo

tego publiczności polskiej jest tak dużo, że nie może ona się pomieścić w zbyt małej sali kina Krzeszowskiego. Świadomość narodowa jest jeszcze u nas tak nikła, że ludzie nie uważają za właściwe powstrzymać się od uczęszczania do niemieckiego kina, z którego dochód przeznaczony jest przecież na dozbrojenie armii niemieckiej.

Niektóre zaś, nieliczne co prawda, rodziny, zwłaszcza bezrobotnych, gdzie jest kilka kobiet, uprawiają inną formę zbliżenia z Niemcami. Mieszkania swe zamieniły one wprost na domy publiczne, w których Niemcy spędzają całe noce.

A jak jest z wyjazdem do Niemiec na roboty? Zdawało się, że dobrowolnie nikt chyba nie pojedzie, tymczasem zapis ochotników jest stosunkowo znaczny. Pierwsze partie ze Szczebrzeszyna i z Zamościa już wyjechały.

15 lutego

Był u mnie rejent Rosiński. Bardzo długo rozmawialiśmy na różne aktualne tematy i snuliśmy plany na przyszłość.

17 lutego

Przyszedł do mnie nauczyciel Bohun. Zajęty jest obecnie zakładaniem organizacji tajnej, co czyni po porozumieniu się z Zamościem. Zaproponował mi przystąpienie. Oczywiście zgodziłem się bez namysłu.

18 lutego

Poznałem pewną panią, żonę urzędnika Ordynacji Zamojskiej stale mieszkającą w Chełmie, a ponieważ od jakiegoś czasu wciąż kursowały u nas nieprawdopodobne plotki o rzekomym rozstrzelaniu przez Niemców wszystkich chorych umysłowo w szpitalu psychiatrycznym w Chełmie, więc zapytałem ją, czy jest w tym choć część prawdy. Okazuje się, że jednak istotnie tak było, rozstrzelano z kulomiotów wszystkich chorych! Jest to wiadomość absolutnie pewna, bo powzięta z ust lekarzy tego szpitala, którym zresztą pod surowymi karami zabroniono o tym mówić. Czy można sobie wyobrazić coś równie potwornego!

19 lutego

Czuję się źle i fizycznie i psychicznie. W domu wszyscy chorują na grypę, ja się przed nią bronię zastosowując różne środki zapobiegawcze. Nie wyobrażam sobie, co byłoby teraz ze szpitalem, gdyby tak grypa przykuła mnie do łóżka na parę tygodni, jak to zwykle u mnie bywa.

Zgnębiony jestem tym, co widzę dookoła siebie i co słyszę. Nigdy nie przypuszczałem, że szerokie warstwy ludności polskiej są tak słabego

ducha i tak dalece pozbawione godności osobistej i narodowej. Z wyjazdem na roboty do Niemiec dzieją się rzeczy nieoczekiwane. Ludzie zgłaszają się dobrowolnie, nieraz całymi rodzinami. Tak jest nie tylko u nas w miasteczku, lecz i po wsiach, jak o tym mówią sekretarze sąsiednich gmin. I to nie tylko bezrobotni. Nawet u mnie w szpitalu parę osób ze służby zgłosiło się na wyjazd, w tej liczbie i kucharka, która pracowała tu przeszło 4 lata.

Wciąż słyszy się o donosicielstwie. Dotyczy to prawie wyłącznie ukrytych rzeczy i celują w tym przede wszystkim kobiety.

Jak już kiedyś zanotowałem, kino niemieckie jest stale przepełnione i co dziwniejsze, że chodzą doń licznie nawet wysiedleńcy z Poznańskiego.

Zbyt intymne znajomości z Niemcami niektórych panienek kończą się dla nich dość smutno.

Gdy myślę o tych małodusznych Polakach, siłą kontrastu jasną plamą zarysowuje mi się przed oczyma sylwetka prof. Milera prowadzonego w tych dniach po ulicach Zamościa, podobno nawet w kajdanach na rękach.

20 lutego

Wczoraj zmienili się żandarmi i policja. Działalność swą nowi żandarmi rozpoczęli od bicia Żydów.

Chodziłem meldować się do komendanta placu w dowództwie kompanii na terenie gimnazjum. Biuro mieści się w oficynie szkolnej, w tak dobrze mi znanym już przeszło od 20 lat mieszkaniu dyrektora. Smutno mi było nad wyraz.

22 lutego

Wyszedłem bardzo wcześnie na miasto, aby zobaczyć drugą partię odjeżdżających na roboty do Niemiec. Z kilku okolicznych gmin wyjeżdżało tym razem 135 osób, z samego Szczebrzeszyna 45. Trzeba jednak przyznać, że pod względem społecznym należą one do najmniej wartościowych elementów i pozbycie się ich nie będzie dla miasta żadną istotną stratą.

Niektóre dane wskazują, że już zostaliśmy wcieleni do powiatu biłgorajskiego, chociaż oficjalnie nic jeszcze o tym nie wiemy. Biłgorajski starosta np. polecił magistratowi przygotować się do rozmieszczenia tysiąca Żydów z Biłgoraja.

25 lutego

Wzrasta ogólne podniecenie. Wszyscy z coraz większym naprężeniem czegoś oczekują. Szereg danych zdaje się wskazywać, że zbliżają się jakieś ważne wydarzenia. Krąży mnóstwo najrozmaitszych wiadomości i pogłosek mniej lub więcej prawdopodobnych. Niektórzy Niemcy nie ukrywają swych obaw o przyszłość, mówią o powszechnej mobilizacji w Niemczech, krytykują rządy Hitlera itd.

26 lutego

W dalszym ciągu utrzymuje się atmosfera podniecenia. Wpływają na to komunikaty radiowe (które pomimo wszystko przenikają do ludności miasteczka), jak również pewne wydarzenia lokalne, a więc: Niemcy zamówili w warsztacie mechanicznym w Szczebrzeszynie nową syrenę alarmową, nad Zamościem miały latać w nocy samoloty angielskie, oświetlając reflektorami miasto, co wywołało panikę wśród załogi niemieckiej. W obawie przed nalotami niektórzy Niemcy w Zamościu opuszczają koszary i przenoszą się do mieszkań prywatnych.

W Szczebrzeszynie przeprowadzono rewizje u emerytowanego nauczyciela Bieleckiego i u ogrodnika gimnazjalnego Koprowiaka. Szukano aparatów radiowych, lecz nic nie znaleziono. W obydwóch wypadkach rewizje były następstwem donosu.

Policjanci niemieccy, zupełnie dobrze mówiący po polsku, chodzą wciąż po sklepach i domach żydowskich, szukają ukrytych towarów, nakładają grzywny i biją przy tym Żydów niemiłosiernie.

28 lutego

Nastąpiło pewne uspokojenie. Żadnych ważniejszych świeżych wiadomości nie mamy. Jak się okazało, żadnego nalotu w Zamościu nie było, powtarzano tylko jako pewnik to, czego się ludzie spodziewali.

Sprawa przyłączenia nas do Biłgoraja znów na razie stała się nieaktualna. Pozostaje wszystko tak, jak było.

W dalszym ciągu wzywają u nas bezrobotnych do wyjazdu do Niemiec. Na dziś dostało wezwanie 82 mężczyzn. Dobrowolnie zgłaszających się jest coraz mniej. Zachodzi natomiast duża obawa, żeby nie zabrano do obozów młodzieży od 14 do 18 lat obojga płci. Odpowiednie zarządzenie ukazało się już w Dzienniku Ustaw, nie ma tylko na razie żadnych instrukcji w tej sprawie od władz miejscowych.

29 lutego

Wpadło mi do rąk kilka ulotek drukowanych na maszynie z wierszami na tematy aktualne w Szczebrzeszynie. Jedna poświęcona jest Żydom, druga pewnej panience nazywanej przez Niemców „Charlotte" [1]), niezbyt dla niej przyjemna, trzecia zaś bardzo głośnej w swoim czasie, nieco sensacyjnej aferze ze skórami. Było mianowicie tak: kiedy na jesieni Niemcy wykryli ogromny żydowski skład skór, większą ich część zaraz wywieźli, lecz jeszcze sporą ilość zostawili w magistracie dla rozsprzedania ludności chrześcijańskiej. Rzucili się na te skóry, kto tylko mógł,

---

[1]) Leokadia („Lodzia") Haścówna, nauczycielka szkoły powszechnej, która we wrześniu 1939 r. przez pewien czas pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. Nawiązała ona potem stosunki towarzyskie z Niemcami. Dalsze jej zachowanie pozostawiało stopniowo coraz więcej do życzenia.

w pierwszym rzędzie niektórzy urzędnicy magistratu. Otóż domorosły wierszokleta [2]), dobrze poinformowany, opisał całą tę aferę, przy czym ludzie orientujący się w miejscowych stosunkach wiedzą o kim jest mowa. Bardzo nieudolny ten wiersz przepisuję tu w całości, gdyż maluje on choć dosadnie, lecz prawdziwe postępowanie niektórych szczebrzeskich obywateli.

CHRYSTUS I SKÓRY

Stoi pomnik Chrystusa przed kościołem
Z kwiatów zieleni otoczony kołem.
Pomnik ten — symbol dobroci Boga,
Jak kochać bliźnich, jak tępić wroga.

Toteż każdy z pokorą głowę chyli
Przechodząc tędy obok w każdej chwili.
Chylą czapki szewcy, krawcy, murarze,
Urzędnicy i różni dygnitarze.

Idąc raz wieczorem w jesiennej porze,
Stoi gruby pan — modląc się w pokorze
Mówi: „Chrystusie, u stóp Twoich, Panie,
Błagam Cię o pomoc, gdy noc już nastanie.

Uchowaj skóry, ten dorobek drogi,
Zrobię se buty, by nie marzły nogi,
A i pasek urządzić nie zaszkodzi.
Wszak bliźniemu bratu pomóc się godzi.

Pilnie, dobrze, szczerze, jak się należy,
Wszak w Twoją pilność nawet złodziej wierzy,
A ja Ci za to dam na ofiarę:
„Pierwszą Brygadę" albo karty stare.

Wiesz, Panie, że zima, w karty pograć trzeba.
Takim pomysłom niech sprzyjają nieba,
I spać w urzędzie, gdy wypadnie trochę,
By precz przepędzić swoje myśli płoche.

Jeden z mych kamratów, bohater, Panie,
Spod Kowla wrócił, jakież tam dał lanie! —
Skóry on schował na cmentarzu w grobie,
Złodziej mu skradł, biedny teraz w żałobie.

Wszystko po polsku, według wzoru z góry:
Jeden ginie z głodu, drugi kradnie skóry,
Trzeci rabuje towar na bieliznę,
Czwarty, dezerter, walczy za ojczyznę,

Piąty w parafii grubą forsę łowi,
Wszyscy są, Panie, „zwarci i gotowi".
Ja też chcę służyć wiernie swej ojczyźnie,
Dopóki mi się noga nie pośliźnie".

---

[2]) Emerytowany nauczyciel szkoły powszechnej — Bielecki.

Obejrzał się w koło, westchnął serdecznie,
U stóp w kwiatach złożył swój łup bezpiecznie.
Odetchnął... i czapkę uchylił nisko,
Rad, że skóry ukrył nie kiepsko.

Poszedł. Słychać z daleka nóg stąpanie
Po nowy żer — ludziom łzy wyciskanie.
Aż tu za chwilę sylwetki zrywanie,
Łap skóry spod nóg, strzeż Boga, Panie.

Woła z daleka: „Panie, daruj winy.
Ja też uczciwie daję dziesięciny,
Dam na tacę grosz albo fenig nowy,
Aby za skóry nie ścięli mi głowy".

Nic dziwnego. Polsko — w tobie,
Wszak niejeden „uczciwie" grabi sobie.
W koło rabunki bez wstydu cienia,
Szydzą bezczelnie z polskiego imienia.

Szczebrzeszyn, dnia 25 listopada 1939".

2 marca

W mieście znać przygnębienie. Wszyscy są pod wrażeniem zabierania coraz większej liczby mężczyzn na roboty do Niemiec. Do magistratu wciąż przyjeżdżają w tej sprawie Niemcy z Urzędu Pracy w Zamościu. Wczoraj np. zażądano 200 ludzi do nowego transportu. Dobrowolnie zgłaszających się już prawie nie ma. Ludzie dostają indywidualne wezwania, aby stawili się w określonym terminie w Zamościu. Do nas, lekarzy, zwraca się bardzo wiele osób z prośbą o rozmaite zaświadczenia, stwierdzające chorobę własną lub członków rodziny. Nie wiem jednak, czy takie świadectwa cokolwiek pomogą. Dużo mężczyzn powołanych ukrywa się, a wielu nie mających jeszcze wezwań wcale nie wychodzi na ulicę. W dodatku wciąż wisi nad nami groźba, że lada dzień mogą zabrać do obozów całą naszą młodzież.

Minęło już pół roku wojny i prawie tyleż okropnej niewoli. Z ogromem naszego nieszczęścia w żaden sposób nie możemy się oswoić. Żyjemy jedynie nadzieją...

4 marca

Od samego rana na ulicach pełno ludzi, zwłaszcza obok magistratu. Policjanci niemieccy w asyście woźnych magistrackich chodzą od domu do domu i spisują mieszkańców chrześcijan od 15 do 50 lat, nadających się do wywiezienia na roboty. Wywołuje to ogromne zaniepokojenie i zdenerwowanie, gdyż grozi wywiezieniem wielu obywateli miasta. Wzburzony tłum z przewagą kobiet, zebrał się przed magistratem, gdzie odbywa się rejestracja przeznaczonych do wyjazdu i zaczął wykrzykiwać obelgi pod adresem urzędników magistrackich, zwłaszcza burmistrza, żą-

dając zabrania na roboty jego córek i syna oraz szeregu osób z inteligencji.

A ze świata nie mamy żadnych wieści, nie wiemy nic o tym, co się dzieje i w żaden sposób nie możemy zorientować się jak naprawdę układa się sytuacja bojowa państw walczących i czy rzeczywiście należy spodziewać się czegoś na wiosnę.

5 marca

Najprzykrzejsza dla mnie chwila bywa rano, gdy mam wstawać ze świadomością, że przede mną znów cały dzień pełen trosk i kłopotów, dzień, który będę musiał spędzić w ciężkiej atmosferze niewoli, zagłuszającej całkowicie wszelką radość życia.

Dzisiaj znów wyjechała do Zamościa grupa złożona z kilkudziesięciu osób powołanych na roboty do Niemiec. Dalsza rejestracja wciąż jeszcze trwa. Ludzie żyją w strachu i niepewności, zwłaszcza niepokoją się rodzice mający kilkunastoletnie córki.

Pogodę mamy fatalną. Śnieg pada ogromnymi płatami, kurzawa miecie i zasypuje wszystkie drogi. Zaspy na szosach całkowicie wstrzymały ruch samochodów. Do oczyszczania dróg od śniegu Niemcy posyłają Żydów. W Zamościu każą im przy tym śpiewać: „Rydz nie nauczył nas nic, nasz Hitlerek złoty uczy nas roboty".

Przywieziono mi dziś z Zamościa kilku chorych na tyfus plamisty. Są to sami Żydzi wysiedleni z Kalisza.

6 marca

Na mieście rozlepiono ogłoszenie dotyczące ścisłej rejestracji Żydów od 12 do 60 lat. Wśród Żydów zrozumiałe zaniepokojenie, bo zapewne pozostaje to w związku z zapowiadanymi obozami pracy.

W ostatnich dniach Niemcy gorliwiej szukają aparatów radiowych. U nauczyciela Bieleckiego przeprowadzili ponowną rewizję i tym razem znaleźli radioaparat, którego przy pierwszej rewizji przed kilkoma dniami nie zauważyli, a znajdował się on wówczas pod łóżkiem. — Również szukano aparatu radiowego u kierownika szkoły powszechnej Węgierskiego.

7 marca

Nie mogę oswoić się z niezmiernie przykrym dla mnie widokiem ogromnej ilości ludzi noszących rozmaite części umundurowania wojskowego. A więc czapki typu polowego, płaszcze z guzikami cywilnymi, takież bluzy, spodnie, pasy, i to bardzo często na osobach, które nigdy w wojsku nie służyły. Niektórzy poprzerabiali płaszcze wojskowe na kurtki. W gabinecie lekarskim u chorych wciąż widzę bieliznę wojskową z szeregiem stempli. Nawet kobiety noszą koszule wojskowe, mają czasem spódnice przerobione z płaszczy itp. Zwłaszcza irytują mnie spotykane bardzo często wysokie buty wojłokowe, zgniło-zielonego koloru, obszyte skórą, zrobione z końskich czapraków. Buty takie stały się na wsi

wprost modne, zwłaszcza wśród kobiet. Nie mogę na to wszystko obojętnie patrzeć, bo widok tych rzeczy uparcie przypomina mi całe nasze zmarnowane i zaprzepaszczane dobro i bogactwo państwowe.

10 marca

Wczoraj jeździłem do Zamościa. Na szosie pełno śniegu, przez który żaden samochód przebrnąć nie może. Pod Szczebrzeszynem oczyszczają drogę ze śniegu Żydzi, w Wielączy chłopi trybem szarwarku, a pod Płoskiem sami Niemcy. W Zamościu atmosfera ciężka, nastrój przygnębiający. Na ulicach nie ma takiego ruchu i ożywienia, jak bywało. Ludzie starają się omijać okolice domu Czerskiego koło Kolegiaty, gdyż ma w nim swą siedzibę Gestapo. O tym, co się dzieje na świecie tak samo nic nie wiedzą w Zamościu jak i my w Szczebrzeszynie.

16 marca

Minął tydzień — szary i bezbarwny. Zaczęły się dni cieplejsze, śniegi puściły, drogi nie do przebycia. Niemcy zmobilizowali Żydów, którzy gorliwie oczyszczają ulice miasta.

13-go miała wyjechać partia robotników do Niemiec. Stawiło się jednak stosunkowo bardzo mało ludzi. Coraz więcej osób ukrywa się lub zmienia miejsce pobytu, aby tylko uniknąć wysłania do Niemiec.

Odbywa się rejestracja Żydów. Dr Likowski i dr Spoz badają stan zdrowia tych, którzy zgłaszają swoje przebyte lub istniejące choroby. Do mnie też przychodzi po świadectwa spora liczba Żydów, moich byłych pacjentów.

Wydano nowe zarządzenie, zabraniające Żydom spacerowania w soboty po głównej ulicy miasta.

Od wczoraj jesteśmy już podobno oficjalnie przyłączeni do powiatu biłgorajskiego.

Czuję się źle fizycznie. Coraz bardziej dolega mi serce. Działa to na mnie przygnębiająco. Boję się niedołęstwa. Nie jestem zdolny do żadnej poważniejszej pracy umysłowej. Masami czytam powieści — co tylko potrafię od ludzi wydostać. Nigdy tego dawniej nie robiłem. Chętnie biorę do ręki nawet beletrystykę sensacyjną, aby tylko akcja zdołała choć na krótko oderwać mnie od rzeczywistości. — „Miło snami uciec z życia!"

19 marca

Na dzisiejszy dzień 130 osób dostało wezwanie na wyjazd do Niemiec na roboty. Na 20 przygotowanych już furmankach miano odwieźć ich do Zamościa. Tymczasem stawiły się i pojechały tylko 2 osoby, z których jedna jako poważnie chora, zaopatrzona w świadectwo lekarzy, była pewna, że jej nie wezmą i z Zamościa tegoż samego dnia wróci do domu.

Swiadczy to wymownie o nastroju ludności. Nie wiadomo tylko jak na to będą reagować Niemcy.

W administracji niemieckiej u nas, panuje jednak chaos. Np. o przyłączeniu Szczebrzeszyna do powiatu biłgorajskiego urzędowo nie zawiadomiono jeszcze nawet magistratu. Różne okólniki i zarządzenia w języku niemieckim przysyła w dalszym ciągu landrat zamojski, lecz równocześnie nadsyła je i landrat biłgorajski, z tą jedynie różnicą, że w języku polskim. Władze wojskowe uważają, że sprawa naszej przynależności do pow. biłgorajskiego nie jest jeszcze definitywnie załatwiona. Wczoraj została napisana zbiorowa petycja zarządu miasta i jego mieszkańców, do gubernatora w Lublinie, o pozostawienie Szczebrzeszyna w powiecie zamojskim.

20 marca

Otrzymałem dwa ciekawe pisma urzędowe. Jedno od „Arztekammer" w Lublinie: jest to zarządzenie dla wszystkich lekarzy, nakazujące wszelką korespondencję służbową prowadzić w języku niemieckim. Lekarz powiatowy w Zamościu dr J. Tyczkowski przesłał nam to pismo do wiadomości i zastosowania, pisząc ten dodatek w języku polskim. Ale już następne pismo od „Gesundheitskammer" w Lublinie, które dostaliśmy dzisiaj, ma u dołu napis: „Ich schicke Ihnen zur Kenntnis". Podpisany Kreisarzt dr J. Tyczkowski. Pismo to głosi, że Żydzi mogą leczyć się u lekarzy Żydów. Lekarzom aryjczykom nie wolno udzielać porad chorym Żydom. Rozporządzenie to obowiązuje wszystkich lekarzy, dentystów, felczerów i akuszerki. Uzasadnienie podano następujące: ponieważ tyfus plamisty i inne choroby zakaźne panują głównie wśród Żydów, więc lekarze i inni mający styczność z chorymi Żydami mogą potem przenosić zarazę na ludność aryjską. Nie wiemy jak będzie w Szczebrzeszynie, gdzie nie ma ani jednego lekarza Żyda.

Powrócił dziś z niewoli niemieckiej dr Stefan Jóźwiakowski. Wygląda mizernie, zapuścił długą brodę, o pobycie swym w niewoli nic nikomu nie mówi.

27 marca

Święta wielkanocne spędziliśmy w domu razem z rejentem Rosińskim z Zamościa.

Wczoraj wyjechało na roboty do Niemiec 7 osób, a powtórnie wezwanych na ten dzień było około 100.

Z Zamościa wciąż przybywają chorzy na tyfus plamisty. Sami Żydzi, głównie wysiedleni z Łodzi i z Włocławka.

28 marca

Na mieście rozlepiono nowe zarządzenie: burmistrz z polecenia starosty zamojskiego podaje do wiadomości publicznej zakaz sprzedawania i spożywania w piątki mięsa i wszelkich wyrobów mięsnych.

29 marca

Wczoraj jeździł do Zamościa dr Spoz, ażeby wyjaśnić sprawę leczenia przez nas chorych Żydów. Rozmawiał o tym z referentem wydziału zdrowia w starostwie. Jegomość ten oświadczył kategorycznie, że nie wolno nam udzielać porad lekarskich Żydom, ani też przyjmować ich w ośrodkach zdrowia, jak również i do szpitala. Trudno jednak zastosować się do takiego zarządzenia wobec braku w Szczebrzeszynie lekarza Żyda. Miałem dziś dziwne uczucie. Zostałem wezwany do chorego Żyda. Poszedłem oglądając się na różne strony, czy mnie kto nie szpieguje, bo po Niemcach wszystkiego można się spodziewać. Na recepcie nie wypisałem nazwiska chorego. Doszło więc do tego, że zasadnicze zadanie lekarza, niesienia pomocy choremu, stało się czynnością nielegalną, podlegającą karze.

Niemcy usilnie starają się uniemożliwić ludności otrzymywanie wiadomości radiowych. Wczoraj odebrano aparaty radiowe burmistrzowi Franczakowi i wiceburmistrzowi Boruckiemu, którzy dotychczas mieli od wszystkich komend zezwolenia na ich posiadanie.

30 marca

W Zwierzyńcu, w kompanii rekrutów wynikła jakaś awantura z powodu złego jedzenia. Po zlikwidowaniu zajścia zarządzono ćwiczenia karne.

W Zamościu ponownie aresztowano starostę Sochańskiego, poza tym lekarza weterynarii ppłk. Górniewicza, mjra Muchę i kpt. Śliwińskiego, a w nadleśnictwie Kosobudzkim leśniczego Byczkowskiego.

1 kwietnia

Od dziś przesunięto czas o godzinę naprzód.

Byłem w Zamościu. Wszyscy są pod wrażeniem nowych rewizji i aresztowań, zwłaszcza że to samo było i w sąsiednich powiatach. M. in. aresztowano w powiecie krasnostawskim pp. Suchodolskich z Mościsk, w pow. tomaszowskim młodego Grzegorza Lipczyńskiego i innych.

W Zamościu silnie rozwija się propaganda ukraińska. Przybywają wciąż nowi Ukraińcy. Widziałem na ulicy b. wicemarszałka Sejmu, Mudrego, znanego działacza ukraińskiego, który siedzi tu już podobno parę tygodni.

Z dr Tyczkowskim i dr Boguckim byliśmy u Standortsarzta. Wyjaśniliśmy jeszcze raz sprawę przyjmowania Żydów do szpitala. Jednak Niemcy stoją niezachwianie na stanowisku, że jest wprost koniecznością zupełne odseparowanie Żydów od reszty społeczeństwa. Ma więc powstać w Zamościu jakiś „lazaret żydowski", do którego będą przyjmowani wszyscy Żydzi z całego powiatu zamojskiego i z sąsiednich. Do tego czasu możemy przyjmować do szpitali chorych Żydów po dawnemu.

3 kwietnia

Dziś Niemcy zabrali ze szpitala ostatniego rannego żołnierza polskiego, Jana Ługowskiego, młodego chłopca, z fatalnie strzaskaną kością udową. Zawieźli go do szpitala powiatowego w Zamościu, gdzie umieszczają wszystkich pozostałych rannych żołnierzy ze szpitali w Tomaszowie i Hrubieszowie. Tym sposobem zakończył się dla mojego szpitala pewien odrębny etap w obecnej wojnie.

6 kwietnia

Z polecenia starosty biłgorajskiego, burmistrz zaprosił wczoraj przedstawicieli miejscowej inteligencji na zebranie w sprawie werbowania robotników do Niemiec. Zaproszeń rozesłano 50. Oprócz delegowanych Niemców stawili się z obowiązku urzędnicy magistraccy z burmistrzem na czele, poza tym tylko jeden syn burmistrza i nauczyciel Bohun, lecz ten poszedł z rozmysłem, mając specjalne cele na względzie. Z cukrowni też zjawiło się zaledwie parę osób. Tak więc inteligencja szczebrzeska zbojkotowała to zebranie, co nie uszło uwagi Niemców.

Na mieście ukazały się obwieszczenia o wymianie wszystkich papierowych pieniędzy polskich na nowe złote wypuszczone przez Bank Emisyjny, założony przez Niemców. Wywołało to wśród ludności nie byle jaką dezorientację. Ludzie nie wiedzą co robić, radzą się wzajemnie — zmieniać, czy nie zmieniać, wolną gotówkę starają się ulokować w towarach, lecz kupcy pochowali je i sprzedają niechętnie, względnie po bardzo wysokich cenach. Poza tym nic nowego — wszyscy tylko na coś czekają.

9 kwietnia

Dziś rano zjawili się u mnie żandarmi i zażądali wydania samochodu, zachowywali się przy tym bardzo ordynarnie, jak nigdy jeszcze dotąd na terenie szpitala. Rzucali się z powodu braku niektórych części. Cały dzień nie dawano mi spokoju. Wreszcie po południu zawołano Żydów i przepchano maszynę pod posterunek żandarmerii na rynku, mnie zaś zagrożono, że jeżeli do jutra do godz. 7 rano nie znajdą się brakujące części, zapłacę 2.000 zł grzywny.

10 kwietnia

Szofer co mógł poznajdował i jakoś w południe uruchomił motor. Specjalnym pismem zawiadomiono mnie, że mam zapłacić 50 zł za doprowadzenie samochodu do porządku, gdyż tylko z mojej winy nie był od razu zdatny do użytku. Dokument ten zachowałem na pamiątkę.

W ostatnich czasach Niemcy usilnie szukali pochowanych samochodów i odbierali nieraz nawet takie, na które były wydane pozwolenia. Tak np. ordynatowi Zamoyskiemu zabrano auto na ulicy w Zamościu i musiał do domu wrócić przygodnymi końmi.

Ukazało się kilka nowych zarządzeń władz niemieckich. Wieczorem chodzić można do godz. 9. Wolny handel mlekiem, masłem, serem został zabroniony, całe mleko ma iść do mleczarni. Bardzo niewygodne dla nas jest rozporządzenie, że nikogo nie można przyjąć lub zwolnić ze służby bez pośrednictwa Urzędu Pracy w Zamościu, który będzie obsadzał wszystkie wolne posady swoimi ludźmi.

Tak więc warunki życia i pracy stają się coraz trudniejsze.

11 kwietnia

Żandarmi zajęli garaż w szpitalu i postawili samochód zabrany Ordynacji Zamojskiej. Z tej racji wciąż kręcą się po podwórzu szpitalnym.

12 kwietnia

Z polecenia starosty odbyła się dzisiaj konferencja nauczycielska, zwołana przez inspektora Szczepańca, z udziałem urzędników niemieckich, poświęcona werbowaniu ochotników na wyjazd na roboty rolne do Niemiec. Widocznie Niemcy starają się unikać tutaj silniejszych represji w tym kierunku i chcą uzyskać największą liczbę zgłaszających się dobrowolnie. Odwiedził mnie potem inspektor Szczepaniec. Dowiedziałem się od niego, że do naszej Biblioteki Publicznej Koła Miłośników Książki w Zamościu, nadeszło pismo z Lublina, zawiadamiające, iż biblioteka przechodzi na własność Wydziału Propagandy przy Dystrykcie Lubelskim. Kierownictwo powierzono nadal dotychczasowej bibliotekarce p. Górczyńskiej, pod osobistą odpowiedzialnością. Inni pracownicy na razie pozostali na swoich miejscach. Polecono tylko wycofać z obiegu niektóre wydawnictwa i zabroniono wydawać książki do czytania Żydom. Liczba abonentów wynosiła ostatnio przeszło 1.500.

13 kwietnia

Głównym tematem szeptanych rozmów są wiadomości przejęte przez ukryte aparaty radiowe, o walkach na morzu u brzegów Norwegii. Wszyscy sądzą, że może już nareszcie zacznie się jakaś aktywniejsza działalność bojowa, która przyniesie i nam tak oczekiwaną zmianę warunków.

16 kwietnia

Dzisiaj odbył się przegląd koni z kilku gmin. Szpitalowi też zabrano jednego konia. — Ceny na produkty spożywcze ogromnie podskoczyły. Najtrudniej o nabiał. Za litr mleka płacono po 70—80 groszy, za kg masła 12 złotych, za kg chleba w wolnym handlu 1 zł 50 gr.

Od paru dni obserwujemy wzmożony ruch samochodów niemieckich. Jadą przeważnie ciężarówki z żołnierzami w pełnym rynsztunku w stronę Zwierzyńca. W Zamościu bardzo dużo wojska, codziennie po kilkanaście pociągów odchodzi w stronę Hrubieszowa.

Dni nastały ciepłe, słoneczne, wzrasta napięcie nerwowe i oczekiwanie jakichś ważnych wydarzeń.

19 kwietnia

Niemcy zawzięcie prowadzą ćwiczenia. Dziś odbyły się one w nocy, ustawiono działka i karabiny maszynowe tuż pod szpitalem oraz w ogrodzie szpitalnym nad rzeką. Wciąż jeżdżono, strzelano tak, że przerażeni mieszkańcy prawie całą noc nie spali.

W stodole mieszczanina szczebrzeskiego Złomańca, żandarmi znaleźli samochód. Ponieważ był ukryty i brakowało niektórych części, kazano mu zapłacić 1.000 zł grzywny.

25 kwietnia

Płyną dni jednostajne. Pilnie nadstawiamy ucha, czy nie dojdą nas jakie wieści pomyślne ze świata i czekamy pełni niezachwianej wiary, że nastąpi chwila odwetu. Żyjemy w atmosferze coraz dotkliwszego ucisku ze strony Niemców. Niestety i w miejscowym polskim społeczeństwie stosunki wzajemne nie układają się jak najlepiej. Nie ma zgodności i należytego zjednoczenia w ustosunkowaniu się do okupantów, szerzą się rozmaite plotki, intrygi, podłe donosicielstwo i wysługiwanie się Niemcom. Warunki życia codziennego też coraz cięższe. Tak np. wydawanie masła z mleczarni nawet dla szpitala zredukowano do 1 kg tygodniowo. O wszystkie inne produkty też coraz trudniej. Ratują nas kartofle, kasza jęczmienna i kapusta kwaszona.

Ukazało się nowe zarządzenie o konieczności oddania władzom niemieckim wszelkich przedmiotów i sprzętów z miedzi, niklu, ołowiu lub ze stopu tych metali, np. lichtarzy, przycisków, serwisów, kandelabrów, naczyń kuchennych itp., a poza tym różnych przedmiotów z żelaza, krat, ogrodzeń, bram itp.

Kursują już nowe pieniądze. Na razie nie cieszą się one zbytnim zaufaniem i ludzie nie spieszą się z wymianą starych banknotów. Stemplowanych setek dosłownie nikt nie chce przyjmować, nawet kasy komunalne, kasa skarbowa, wydział powiatowy. Można je wymieniać tylko w Banku Polskim. Tłumaczy się to tym, że pojawiło się w obiegu bardzo dużo setek z fałszowanymi stemplami.

W nocy chodzą teraz po mieście wzmocnione patrole. Składają się z jednego żołnierza, żandarma i policjanta. Łapią spóźnionych przechodniów. Zachodzą też czasem do domów, w których świeci się światło w oknach, każą je gasić lub szczelnie zasłaniać okna, chociaż żadnego odpowiedniego zarządzenia nie było.

Nad wyraz przykre jest dla mnie niegodne zachowanie się kilku pań, które nie wstydzą się utrzymywać stosunków z Niemcami, jeździć z nimi na spacery samochodami itp. Widziałem to sam, na własne oczy.

Wskutek donosów żandarmi wciąż zabierają u różnych ludzi ukryte przedmioty, przy czym wcale ich nie szukają, lecz przychodzą od razu do niektórych domów i mówią, że w tym a tym miejscu ma się znajdować to i to. Tym sposobem znaleźli u Biziorka w Szczebrzeszynie motorower, a dzisiaj w fabryce „Alwa" żandarmii zażądali wydania schowanego w karpinie samochodu ciężarowego, wskazując dokładnie miejsce, gdzie powinien on był się znajdować.

Wciąż jeszcze wisimy między Zamościem a Biłgorajem. Zarządzenia przysyłają obaj landraci. Oczywiście wprowadza to niepożądane zamieszanie.

19 maja

Już trzy tygodnie nie pisałem swego dziennika, a to dlatego, że boję się, aby nie wpadł on w ręce Niemców. Po mieście zaczęły już krążyć plotki, że ja piszę pamiętnik i gromadzę u siebie wspomnienia różnych ludzi znanych w Zamojszczyźnie. Sporo więc rzeczy (mniej ważnych) spaliłem, a dziennik piszę teraz na luźnych kartkach, które potem przepisuję do osobnego zeszytu. W dodatku podług otrzymanych poufnych wiadomości, żandarmom polecono specjalnie śledzić miejscowych lekarzy.

Warunki obecnego życia stają się coraz to bardziej uciążliwe. Żyjemy z dnia na dzień, szczęśliwi jeżeli dzień przejdzie bez wypadków i jesteśmy stale niepewni, co nam przyniesie dzień jutrzejszy. Wiadomości ogólne mamy bardzo skąpe. Jeżeli kto i posiadał jeszcze aparat radiowy, to go rozmontował w obawie przed ewentualnym wykryciem. Korzystanie z aparatów oficerów niemieckich, mieszkających w domach prywatnych, również ustało.

Walki na froncie belgijsko-holenderskim wywołały bardzo duże zainteresowanie. Wszyscy mają nadzieję, że może wreszcie wojna wejdzie w nową fazę, która rozstrzygnie i nasz dalszy los. Ogromnie przygnębiająco działają na całą ludność niektóre zarządzenia władz niemieckich, zwłaszcza dotyczące zabierania ludzi na roboty do Niemiec. Najpierw ogłoszono, że skończył się okres dobrowolnych zgłoszeń i zacznie się przymusowy werbunek wszystkich, nie mających stałego zatrudnienia. Lecz najstraszniejsze jest ostatnie obwieszczenie, podane do wiadomości publicznej w Zamościu, że mają natychmiast stawić się w Urzędzie Pracy („Arbeitsamt") wszyscy urodzeni w latach 1915—1924. Dotyczy to więc całej naszej młodzieży, bez różnicy płci. Wśród rodziców i młodzieży szkolnej zapanowało przerażenie i popłoch. Na ulicy ukazuje się z młodych ludzi rzadko kto. Wszyscy się ukrywają w domu lub poza miastem, po wsiach i po gajówkach. Niektórzy rodzice chwytają się najrozmaitszych sposobów, aby tylko uchronić przed tą branką swoje dzieci, zwłaszcza dziewczynki, tym bardziej, że krążą głuche wieści, jakoby dziewczęta zabrane w Warszawie i innych miastach dostawały się do domów publicznych w Niemczech. Niepokój wzmaga się wobec napływających wiadomości o obławach w Warszawie, w Lublinie itd. U nas też wszyscy oczekują lada dzień tego samego. I chociaż w Szczebrzeszynie nie ogłoszono jeszcze tego zarządzenia, niektórzy chłopcy już ukrywają się w nocy w stodołach,

w dołach na kartofle itp. Pomysł branki całej młodzieży polskiej jest potworny i niepodobna pozostawać obojętnym na myśl, że mogą nas pozbawić najcenniejszego elementu, który stanowi przyszłość narodu polskiego. Niestety, ukrywanie utrudnia bardzo panoszące się donosicielstwo. Podłość ludzka nie ma granic. Ostatnio sami widzieliśmy, jak żandarmi przywieźli samochodem do Szczebrzeszyna młodego chłopca ze skutymi rękami. Był to niejaki Kowalik z Bodaczowa, u którego znaleziono karabin maszynowy. Wydała go jakaś baba. Komendant miejscowej żandarmerii wygadał się, że kazano mu znaleźć kilku konfidentów. Zgłosiła się niespodziewanie duża liczba kandydatów. Kto oni są, dokładnie nie wiemy, wymienione są jednak nazwiska niektórych osób, których należy specjalnie się strzec. Ponieważ są to tylko podejrzenia, więc nazwisk tych nie notuję.

Już od 21 maja będą kursowały tylko nowe pieniądze Banku Emisyjnego. Stosunek ogółu ludności do tych pieniędzy jest rozmaity, przeważnie jednak w dalszym ciągu nieufny, to znaczy, każdy stara się najprędzej puścić je w ruch, nie trzymając w domu w obawie przed dewaluacją. Bardzo wiele osób posiadających gotówkę nie przeznaczoną do obrotu, zatrzymało pieniądze stare. Dotyczy to najbardziej chłopów.

Ceny na wszystko rosną. Masło sprzedawane po kryjomu dochodzi już 16—18 zł za kg. Trudniej też teraz o jaja, bo Niemcy ogłosili, że za 4 kg jaj będą dawali 3 kg cukru. Baby więc wolą dostawać cukier aniżeli niepewny pieniądz.

Przyjeżdżał parę razy z Warszawy znany bibliofil Ludwik Gocel, który z konieczności musiał zająć się handlem walizkowym. Spędziliśmy z nim i z rejentem Rosińskim kilka bardzo przyjemnych wieczorów, przenosząc się w świat wspólnych zamiłowań i zainteresowań i zapominając na chwilę o strasznych warunkach, w jakich znalazło się życie umysłowe w Polsce.

Z Rosińskim przy każdym spotkaniu prowadzimy długie rozmowy na temat pracy podziemnej. Jest on silnie zaangażowany w organizacji w Zamościu, razem z Zygmuntem Pomarańskim, płk. Maćkowskim i innymi. Mój udział sprowadza się na razie do składania od czasu do czasu ofiar pieniężnych, rozpowszechniania tajnej prasy i gromadzenia materiałów historycznych, dotyczących tych ciężkich lat wojny i niewoli.

Oczywiście wszyscy przeżywamy silne emocje w związku z tym, co się dzieje na froncie zachodnim, w Belgii i Francji.

Kompanie wojska, które stały tu niemal pół roku, już są spakowane i lada dzień mają opuścić Szczebrzeszyn. Wyjechali od nas żandarmi i policja niemiecka. Pozostał na razie tylko posterunek policji polskiej. Chociaż dotychczas jeszcze nie mamy oficjalnego zawiadomienia o przyłączeniu do powiatu biłgorajskiego, to jednak coraz bardziej zagarnia nas landrat biłgorajski i coraz więcej spraw musimy już załatwiać w Biłgoraju, utrzymując równocześnie kontakt z Zamościem i władzami zamojskimi.

25 maja

Wczoraj i dzisiaj Niemcy zaczęli aresztować komunistów, którzy brali czynny udział w miejscowych radach i komitetach w okresie krótkotrwa-

łego pobytu wojsk radzieckich. Wczoraj w Zamościu aresztowano m. in. Kardygę, b. prezesa rady powiatowej. Dziś rano już nie żył. Zwłoki jego złożono w kostnicy szpitala w Zamościu. Trudno dojść, czy został on powieszony, czy też zmarł wskutek pobicia. Prawdopodobniejsze jest to drugie. U nas aresztowano Sawica na Szperówce, Radzika na Przedmieściu, Kowalika w Szczebrzeszynie, jako zakładnika za nieobecnego syna, który się ukrył, oraz żydowskie małżeństwo Bleiwasów. Szukają jeszcze innych. Sądzimy, że wiąże się to ze zmianą wzajemnych stosunków między Niemcami a Rosjanami.

Młodzież wciąż żyje pod strachem i stara się nie pokazywać bez potrzeby na ulicach. Nawet w dzień Bożego Ciała — we czwartek 23 maja unikają miasta i dlatego w tym roku wyjątkowo mało osób było w kościele i na procesji, która odbyła się tylko na cmentarzu dookoła kościoła.

27 maja

Uporczywie krążą pogłoski o oddziałach radzieckich. Zwłaszcza Żydzi zgodnie twierdzą, że wkrótce ujrzymy ich tutaj w charakterze naszych sprzymierzeńców. Wszystkie te wieści sprawiają, że nastrój jest bardzo gorączkowy.

29 maja

Wczoraj przed północą przyjechał do Szczebrzeszyna transport 1.070 osób wysiedlonych z Kutna, Włocławka, Łodzi itd. Są to przeważnie dzieci, kobiety i starsi mężczyźni. Wysiedlono ich w nieludzki sposób, każąc w ciągu kilkunastu minut opuścić domy, gospodarstwa i warsztaty pracy. Rzeczy pozwolono zabrać tylko w minimalnej ilości, pieniędzy po 20 zł na osobę. W obozie koncentracyjnym w Łodzi, całą młodzież w wieku od 15 do 24 lat zabrano i wysłano do Niemiec. Wieźli tych nieszczęsnych wysiedleńców kilka dni, w zamkniętych wagonach towarowych pod eskortą wojskową. Przyjechali tu w stanie opłakanym, wymęczeni, wycieńczeni, niektórzy w zupełnej apatii i rezygnacji, załamani duchowo, zwłaszcza ci, którym zabrano starsze dzieci do Niemiec. Na ustach każdego przekleństwo najeźdźców, w duszach — żądza zemsty. Miejscowa ludność zawiadomiona zawczasu przygotowała lokal dla chwilowego umieszczenia tych biedaków, jedzenie itd. Ze Szczebrzeszyna będą oni natychmiast rozesłani do różnych wiosek powiatu zamojskiego i biłgorajskiego.

Wieści polityczne też dzisiaj niezbyt pomyślne, dlatego też zamiast podniecenia, jakie widzieliśmy tu przed paru dniami, zapanowało duże przygnębienie.

31 maja

Jeszcze do dziś mamy przed oczami ofiary barbarzyństwa i podłości Niemców. Wczoraj i dzisiaj ciągnęły w stronę Biłgoraja furmanki z wysiedlonymi. Ogromną większość stanowią dzieci. Wygląd i stan tych lu-

dzi jest okropny. Dużo było chorych, a 4 osoby zgłosiły się do nas lekarzy z objawami psychozy.

Z frontu mamy acz głuche i niezbyt pewne, to jednak niepomyślne wieści. Panuje powszechne przygnębienie, niektórych słabszych duchem ogarnia już zwątpienie. Do ogólnego zaniepokojenia przyczynia się jeszcze obawa przed wywiezieniem do Niemiec młodzieży, czego niektórzy spodziewają się dziś w nocy.

1 czerwca

Jednak tym razem obawy nie były płonne. W nocy przyjezdni żandarmi wraz z miejscową policją polską chodzili po domach, szukali i zabierali przede wszystkim tych, którzy mieli już wezwania, lecz w oznaczonym terminie nie stawili się. Tym sposobem zatrzymano 15 osób i przed południem ciężarówką wywieziono do Zamościa. Sądzimy, że zapewne na tym się nie skończy, bo wyznaczony na Szczebrzeszyn kontyngent wynosi obecnie 35 osób. Jest też duża obawa, że będą łapać na ulicy przygodnych ludzi, ponieważ ci, co otrzymali karty powołania, pouciekali. Młodzież ukrywa się gdzie tylko może. W szpitalu stale od kilku dni przebywa i na krok się stąd nie rusza, córka dra Likowskiego, która jako studentka medycyny odbywa u mnie praktykę szpitalną. Z Zamościa pp. Sekutowiczowie przywieźli mi swoją 17-letnią córkę, uczennicę gimnazjum — jako rzekomo chorą na gruźlicę [1]). Lecz Niemcy zaczęli stosować nową metodę: tam, gdzie nie zastawali synów, zabierali ojców w charakterze zakładników.

3 czerwca

Wczorajszy dzień i noc przeszły w oczekiwaniu nowej branki. W kościele pomimo niedzieli było bardzo mało osób, ulice miasteczka stosunkowo puste. Ale jakoś szczęśliwie nikogo więcej nie wzięto.

Lecz za to dzisiaj miasto nasze zostało wstrząśnięte wiadomością, że w nocy we wsi Sułowie, odległej od Szczebrzeszyna o 7 km, nie wykryci sprawcy zabili b. nauczyciela Chytrosia, o którym z całą pewnością było wiadomo, że przeszedł na służbę do Niemców. O 6 rano pojechała tam cała jedna kompania wojska ze Szczebrzeszyna, oprócz tego bardzo wielu żandarmów z Zamościa i Biłgoraja, oraz gestapowcy. Jeszcze nie wiemy nic, jak się zakończy ta ekspedycja, lecz bardzo boimy się o los chłopów z Sułowa i sąsiednich wsi.

4 czerwca

Dowiedziałem się trochę szczegółów o przebiegu śledztwa w Sułowie. Szukano winowajców, starając się przede wszystkim wyjaśnić, czy zabójstwo miało tło polityczne, czy też było to zwykłe morderstwo rabunkowe.

---

[1]) W roku 1943 Stefan Sekutowicz, b. komisarz ziemski, żona jego i owa córka stali się Volksdeutschami.

Chłopów bito bez miłosierdzia. Odbywało się to w ten sposób, że wsadzano chłopa głową do beczki i dopiero bito pałkami. Niektórzy nie mogli potem na własnych nogach dojść do domu. Kilku zatrzymano jako zakładników. Rewizja przeprowadzona w mieszkaniu zabitego wykazała u niego sporo rozmaitych towarów, 3 strzelby, jakieś części umundurowania niemieckiego itp., co znacznie złagodziło dalszy tok dochodzenia i zdaje się, że sprawa zakończy się tylko doraźną chłostą, o której wspomniałem. Zakładników wypuszczono.

Branka na razie ustała. Ośmieliło to niektórych ukrywających się i dużo ich powróciło do domów. Mówi się o tym, że do 10 czerwca będzie spokój i dopiero potem zacznie się bardziej energiczna akcja zabierania młodzieży.

5 czerwca

W nocy usłyszeliśmy syrenę alarmową. Paliła się fabryka kalafonii „Alwa". Jeździłem do pożaru. Spaliła się tylko kotłownia od jakiegoś wybuchu. Jak przypuszczają, włożono do karpiny granat.

Dziś w południe policja przeprowadziła obławę na dawno poszukiwanego bandytę i w końcu wytropiła go w brodzkim lesie. Bandyta bronił się zawzięcie rzucając ręczne granaty, lecz został zabity strzałem z karabinu.

7 czerwca

Wczoraj wyszły ze Szczebrzeszyna obie kompanie wojska, które stały tu prawie pół roku. Koszary na terenie b. gimnazjum opustoszały. Pozostało tylko kilku żołnierzy na straży gmachu. Przyjdą wkrótce jakieś nowe oddziały, są już kwatermistrze.

Jesteśmy pod wrażeniem nowych licznych aresztowań w zamojskim i sąsiednich powiatach. M. in. uwięziono Stanisława Huskowskiego z Czernięcina, literata Pawła Krzowskiego też z Czernięcina, w Zamościu p. Śliwowską, prezeskę oddziału PCK, Nowackiego wiceburmistrza i wielu innych.

9 czerwca

Dziś przed południem miasteczko nasze zostało poruszone wiadomością o rewizjach i aresztowaniu burmistrza Jana Franczaka i dyrektora gimnazjum Wiktora Jóźwiakowskiego. Obydwóch wywieziono do więzienia w Zamościu. Aresztowania te były dla wszystkich ogromną niespodzianką. Burmistrz przez cały czas okupacji niemieckiej był bardzo lojalny w stosunku do władz, ściśle z nimi współpracował i niczym im się nie mógł narazić. Dyrektor Jóźwiakowski od chwili wejścia Niemców żył wyłącznie swoim życiem domowym. Szukano jeszcze nauczyciela Piotra Bohuna, lecz go nie znaleziono, gdyż przezornie wyjechał on ze Szczebrzeszyna. Spodziewane są dalsze aresztowania. Otrzymałem poufną wiadomość, że i mnie ta przyjemność nie minie.

10 czerwca

Od rana gestapowcy byli już w mieście, lecz nikogo dzisiaj nie aresztowano. Poczyniłem rozmaite przygotowania na wypadek aresztowania, wydałem odpowiednie zarządzenia co do szpitala, uregulowałem swoje sprawy pieniężne, nawet walizeczkę z niezbędnymi rzeczami mam już spakowaną.

Rozklejono nowe ogłoszenie o zmianie godzin policyjnych; aryjczykom wolno chodzić do godz. 10 wieczorem, Żydom po dawnemu tylko do 7.

11 czerwca

Po raz pierwszy meldowaliśmy się u nowego Ortskomendanta. Wygląd ma bardzo nieprzyjemny.

Z Zamościa przyjechali ciężarówką Niemcy i urządzili formalną obławę na Żydów. Uganiali się za nimi po całym mieście. Zawieźli ich do Zamościa na jakieś roboty, a wieczorem przywieźli z powrotem.

Otrzymaliśmy pewną już wiadomość o przystąpieniu do wojny Włoch po stronie Niemiec. Ogólne zdenerwowanie ogromnie się przez to wzmogło.

13 czerwca

Jeździłem do Zwierzyńca. Opowiadano mi, że w tartaku Ordynacji Zamojskiej wybuchł strajk ekonomiczny. Niemcy pracujący też w tartaku, zawiadomili o tym gestapowców. Przyjechali natychmiast, przeprowadzili dochodzenia, sprawili lanie przywódcom i na tym strajk się zakończył, a paru pobitych, lecz naiwnych robotników zgłosiło się nazajutrz do lekarza po świadectwo lekarskie...

14 czerwca

Po południu rozeszła się wieść o zajęciu przez Niemców Paryża, na koszarach wywieszono flagi. W mieście przygnębienie okropne.

16 czerwca

Wiadomości z Francji coraz straszniejsze. Wszyscy chodzą przybici do ostateczności, wiara w zwycięstwo aliantów została poważnie zachwiana. Co będzie dalej? Co będzie z Polską?

21 czerwca

Przeżyłem parę niezwykle ciężkich dni. Zapisuję wszystko co sam przeszedłem i co widziałem na własne oczy. Piszę na świeżo, kiedy cały

jestem jeszcze pochłonięty doznanymi wrażeniami, z których nie mogę się otrząsnąć.

Jak już wspominałem, po aresztowaniu burmistrza i dyrektora gimnazjum spodziewaliśmy się lada dzień dalszych aresztowań. Lecz już po kilku spokojnych dniach oswoiliśmy się z nastrojem oczekiwania i wreszcie zaczęliśmy sądzić, że może były to tylko próżne i niepotrzebne strachy, powodujące niepożądane zdenerwowanie wśród społeczeństwa. Nagle, we wtorek 18 czerwca po południu z bardzo poufnego, lecz pewnego źródła dowiedzieliśmy się, że nazajutrz od 5 rano mają być u nas gestapowcy i że kilka osób zostanie aresztowanych. Chociaż na wypadek aresztowania byłem całkowicie przygotowany, to jednak poczyniłem jeszcze dodatkowe zarządzenia i już spokojnie oczekiwałem ewentualnego zjawienia się niepożądanych gości.

W środę 19 czerwca wstałem o 5 rano, łaziłem po sadzie szpitalnym, i z murów otaczających teren obserwowałem spokojne ulice miasta, lecz nic niezwykłego nie zauważyłem. O 7 wróciłem do mieszkania, zjadłem śniadanie, a ponieważ iść do chorych było jeszcze za wcześnie, więc usiadłem przy biurku i zacząłem czytać książkę, coraz bardziej nabierając przekonania, że wiadomości o mających nastąpić aresztowaniach są zwykłymi plotkami, na niczym właściwie nie opartymi.

Naraz o godz. 8 dano mi znać, że przyszli Niemcy. Ledwiem ukazał się na progu mieszkania, w jednej chwili otoczyło mnie 4 żandarmów. Policjant polski, który ich przyprowadził, pozostał w przedpokoju i dalej już nie wchodził. Starszy żandarm trzymał w ręku całą paczkę indywidualnych nakazów aresztowania z moim na wierzchu. Zapytał mnie, czy to ja jestem Z. Klukowski i powiedział, żeby zaraz przygotować jedzenie na 5 dni, że jestem aresztowany i mam iść z nimi. Następnie kazał mi zaprowadzić się do pokoi mieszkalnych. Tu przeprowadził rewizję osobistą sprawdzając zawartość moich kieszeni w ubraniu i przeglądając to, co miałem w portfelu. W tym czasie inni żandarmii przystąpili do rewidowania szaf, waliz, biurka żony i mojego itd. Wyrzucano i przewracano różne rzeczy pośpiesznie, byle jak, bez żadnego systemu. Najdłużej zatrzymano się przy fotografiach wybierając trzy, przedstawiające dwóch młodych ludzi w mundurach wojskowych i jednego cywila. Zapytano nas kto oni są i gdzie się znajdują. Odpowiedź nie sprawiła nam kłopotu, bo wszyscy trzej są poza granicami okupacji niemieckiej. W moim gabinecie przejrzano staranniej niż co innego szuflady biurka, — półek z książkami (przeszło 5.000 tomów) nie tknięto, jak również i teczek z moimi licznymi zbiorami. Tylko z dwóch szaf wyjęto naprędce trochę książek. Jednemu z żandarmów wpadł w ręce album rysunków Kamila Mackiewicza pt. „Czyściec niemiecki. Moje przyżycia w obozie jeńców". Są to wspaniałe typy z czasów wielkiej wojny. Żandarm oglądał z wielkim zaciekawieniem wszystkie rysunki po kolei i zapytywał, co to za dziwna książka, że są tu żołnierze tylu różnych armii. Przez chwilę bałem się, że mi ją zabierze. Cała rewizja trwała chyba nie dłużej niż 3 kwadranse. W rezultacie wzięto u mnie tylko wspomniane 3 fotografie i książeczkę wojskową dra Borkowskiego, który we wrześniu ub. r. pozostawił ją u mnie, nie chcąc jej mieć przy sobie.

Przez ten czas przygotowywano mi ogromny, a przez to bardzo ciężki plecak z jedzeniem. Przebrałem się jeszcze i żegnany przez wszystkich pracowników szpitalnych i płaczące posługaczki, otoczony żandarmami, z walizeczką w ręku opuściłem mury szpitala. Odprowadzała mnie żona z synkiem i kolega-medyk, niosąc mój plecak z jedzeniem.

Zaprowadzono mnie na posterunek żandarmerii w Ratuszu. Tu zastałem 3 aresztowanych mężczyzn: nauczyciela Kiciaka ze Zwierzyńca, zatrzymanego u niego w mieszkaniu jakiegoś nieznanego mi młodzieńca z Warszawy oraz młodego chłopaka z Żurawnicy, Franciszka Sierkowskiego. Potem zaczęli przybywać stopniowo: ks. kanonik Józef Cieślicki, ubrany bardzo elegancko po cywilnemu, stary magister farmacji Jan Szczygłowski, dźwigający pod pachami 4 duże miedziane łuski od pocisków armatnich, jeszcze z czasów wielkiej wojny. Został on zatrzymany tymczasowo jako zakładnik za syna Czesława, też magistra farmacji, którego nie zastano w domu. Dalej Kafarski z dużą siwą brodą, nauczyciel Kilarski, rolnik z Przedmieścia Andrzej Przysada, ławnik m. Szczebrzeszyna i znany działacz ze Stronnictwa Ludowego i jeszcze kilku nieznanych mi mężczyzn z okolicznych wsi. Ogółem na posterunku było nas zatrzymanych 11 osób.

Przed godziną pierwszą wyprowadzono nas do oczekującego na rynku dużego czerwonego autobusu. Zebrał się duży tłum ludzi, którzy wciąż, kłaniając się, żegnali nas. Wiele kobiet płakało. Dowódcą całej wyprawy był jakiś gestapowiec z gładkimi epoletami i 3 gwiazdkami w rogu kołnierza. Zachowywał się stosunkowo spokojnie, do nas odzywał się mało. Krzyczał trochę na burmistrza Boruckiego i tłumacza Króla, a dla zgromadzonej ludności także zanadto uprzejmy nie był. Jeżeli chodzi o żandarmów, to muszę przyznać, że ci, którzy byli u mnie, zachowywali się całkiem poprawnie. Zwróciło moją uwagę to, że wszyscy byli małego wzrostu. Osobiście nie doznałem od nich żadnej przykrości. Płaczącą żonę moją wciąż uspokajali, pocieszając, że mi nie będzie źle, że za kilka dni wrócę itp. Gdy prowadzono nas do autobusu, gestapowiec kazał tłumowi cofnąć się. Wówczas jeden z żandarmów podszedł do żony mojej, wziął ją za rękę i przyprowadził wraz z synkiem pod okno, przy którym usiadłem. W autobusie cały przód zajęli żandarmi. Aresztowanych umieszczono w znacznie mniejszym przedziale z tyłu. Było tu dość ciasno, tak że ks. Cieślickiego, mgr Szczygłowskiego i mnie posadzono na ostatnich ławkach przedziału przedniego. Autobus długi, wewnątrz elegancko urządzony, bardzo wygodny.

Dojechaliśmy do Wielączy i zatrzymaliśmy się przed plebanią. Staliśmy tu dość długo, aż przyprowadzono jeszcze aresztowanych — ks. Czekańskiego i nauczyciela Gunię.

Około godz. 2 min. 30 przyjechaliśmy do Zamościa pod dom Czerskiego, gdzie mieści się Gestapo. Tu starszy żandarm, który przeprowadzał u mnie rewizję, wychodząc z autobusu zwrócił mi zabrane fotografie i książeczkę wojskową dra Borkowskiego.

Gdyśmy tak stali przez pewien czas koło kolegiaty, a potem jechali dookoła przez miasto, ulicą Kościuszki, przez plac autobusowy, ulicą Staszica i Rynek Główny w kierunku stacji kolejowej, zauważyłem, że wszystkie ulice były zupełnie puste, miasto jak gdyby wymarło. Tylko gdzie-

niegdzie widać było zabłąkanego, nieufnego przechodnia. O tej porze dnia widok to dla Zamościa niezwykły.

Na razie nie mogliśmy się zorientować dokąd nas wiozą, jeżeli nie jedziemy w stronę więzienia. Lecz po chwili już wiedzieliśmy, bo autobus skręcił na drogę wiodącą do prochowni, czyli Rotundy, poza stacją kolejową.

Autobus zatrzymał się przed prochownią. Gestapowiec kazał nam wysiąść i iść za nim. Nad bramą przeczytaliśmy napis „Tymczasowy obóz internowanych przez policję, ze względu na bezpieczeństwo publiczne". Gdyśmy weszli do środka tej prochowni, przypominającej swym okrągłym kształtem Barbakan krakowski, poprowadzono nas do stołu, przy którym siedziało kilku gestapowców. Tu kazano nam ustawić się w jeden rząd przy ścianie, po czym po jednemu brano do osobistej rewizji i do załatwiania zwykłych w takich wypadkach czynności kancelaryjnych.

Czekając na swoją kolejkę zacząłem rozglądać się dookoła. Zobaczyłem więc dość duży okrągły plac, którego pewna niewielka część przylegająca do bramy była oddzielona wysokim na parę metrów ogrodzeniem z drutu kolczastego. Po prawej stronie tego ogrodzenia widać było dużą, z desek zrobioną furtkę, prowadzącą na teren przeznaczony ściśle dla internowanych. Tu, pośrodku zielenił się duży trawnik, dookoła którego urządzono bieżnię szeroką około 3 metrów. Wprost z tej bieżni 18 oznaczonych dużymi numerami ogromnych pojedynczych drzwi prowadziło do wnętrza tyluż cel.

Na placu odbywały się właśnie ćwiczenia z aresztowanymi wyprowadzanymi po kolei z każdej celi. Pierwszym dobrym znajomym, którego ujrzałem wśród ćwiczących się był samorządowy inżynier drogowy Andrzej Bielawski.

Główną jednak uwagę skierowałem na to, co się działo przy stole. Pierwszy podszedł nauczyciel Gunia. Przeszukano mu kieszenie, zapisano i wprowadziwszy przez furtkę na plac wewnętrzny kazano biec po bieżni. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co to znaczy. Drugiego z kolei rewidowano dość dokładnie ks. Cieślickiego, trzeciego mnie. Pierwsze pytanie: „Geld?". Wyjąłem z portfelu pieniądze i podałem zapisującemu. Tłumacz, młody zupełnie chłopiec, ubrany po cywilnemu, antypatyczny i brutalnie się zachowujący, zaczął krzyczeć, że za dużo, lecz po przeliczeniu oddano mi wszystko, zapisując tylko przy moim nazwisku liczbę 180. Po kieszeniach, w przeciwieństwie do innych, niczego u mnie nie szukano. Kazano otworzyć walizeczkę i zapytano, czy nie mam tytoniu, zapałek i noża. Odpowiedziałem, że papierosów nie mam, bo nie palę, a nóż i scyzoryk musiałem oddać. Zabrali mi przy tym jeszcze widelec i łyżkę. Do plecaka z jedzeniem wcale nie zaglądano. Szkoda mi było bardzo scyzoryka, który służył mi przeszło 25 lat.

Przeznaczono mnie do celi nr 8 i wpuszczono przez furtkę do środka prochowni. Korzystając z tego, że gestapowcy stale byli zajęci dalszym zapisywaniem i rewidowaniem, a na placu ćwiczeniami, poszedłem pomału po bieżni w kierunku celi nr 8, jakoś dotarłem do niej bez zwracania na siebie uwagi i tylko tym sposobem uniknąłem biegania. Rozejrzałem się po celi. Miała ona wygląd zwykłej piwnicy. Była dość obszerna o wysokim sklepieniu, bez podłogi, tylko z twardo ubitą ziemią, o półokrągłym zakratowanym oknie we wnęce ściany zewnętrznej i drzwiami w murze wewnętrznym naprzeciwko, prowadzącymi na wspomnianą bieżnię i okrągły plac. W drzwiach tych na poziomie głowy człowieka wycięte było niewielkie kwadratowe okienko, przez które widać było doskonale całe podwórze i wszystko, co się na nim działo. Szyb nie było nigdzie. Wszystkie cele były zupełnie jednakowe i łączyły się między sobą wąskimi, dwumetrowej długości korytarzykami bez żadnych drzwi, tak że więźniowie mogli stale porozumiewać się ze sobą przechodząc z celi do celi, chociaż regulamin surowo tego zabraniał. Wewnątrz celi nie było absolutnie żadnych sprzętów, tylko wzdłuż ścian znajdowała się rozrzucona cienka warstwa mocno już zużytej, wygniecionej słomy. Pierwsze więc wrażenie było dość smętne.

Zająłem dla siebie miejsce w kącie tuż przy drzwiach. Obok mnie ulokował się sędziwy mgr Szczygłowski, a dalej ks. Cieślicki, ks. Czekański, Kafarski, Kilarski, Kiciak, Przysada, dwóch panów, których nazwisk nie znam i kilka również nie znanych mi chłopów. Razem było nas w celi 15 osób, czyli norma przewidziana dla każdej celi. A na placu w tym czasie odbywały się ćwiczenia z więźniami, z każdej celi po kolei. Ustawiano ich najpierw w dwa szeregi, uczono stawać na baczność, „spocznij", „padnij", „wstań" itp., po czym w kolumnie parami kazano biegiem okrążyć 3 razy bieżnię. Na czele kolumny biegł wyznaczony przez Niemców komendant celi. Ćwiczenia prowadzone były bardzo brutalnie, wymyślano, krzyczano i nie szczędzono szturchańców, popychania, popędzania itp.

Po krótkim czasie przyszła kolej na naszą celę. Wszedł do niej nie gestapowiec, lecz żołnierz w towarzystwie prof. Wernera, mianowanego komendantem całego obozu i kazał nam wychodzić na plac. Lecz prof. Wernerowi udało się jakoś wytłumaczyć żołnierzowi, że dopierośmy przyszli, że kilku nas starszych poważnie choruje na serce itd., tak że z naszej celi poszło ćwiczyć tylko 9 zupełnie młodych i zdrowych ludzi. Komendantem naszej celi nr 8 został ks. Cieślicki, który zamieniwszy sutannę na ubranie cywilne nieoczekiwanie wykazał bardzo dużą sprawność fizyczną.

Gdy już przećwiczono wszystkie cele, pozamykano drzwi na kłódki — przestano nami się zajmować. Tylko co pewien czas obchodził cele jakiś gestapowiec lub żołnierz. Musieliśmy wówczas zrywać się ze swoich miejsc i stawać na baczność, często też wypadało ustawiać się w tejże pozycji w dwuszeregu. Komendę wydawał ks. Cieślicki stając na prawym skrzydle o krok wysunięty naprzód.

Zaczęliśmy powoli i ostrożnie zaglądać do sąsiednich, a nawet dalszych cel, by zobaczyć i powitać swych dobrych znajomych. Natknąłem się od razu na inspektora szkolnego Szczepańca, rejenta Rosińskiego, ad-

wokatów Bajkowskiego, Czernickiego, Sikorskiego, Legiecia, inżynierów Bielawskiego i Klimka, lekarza powiatowego dra Tyczkowskiego, prezesa Sądu Okr. Cybulskiego, sędziego Łaparewicza, prof. Fenca, kierownika szkoły powsz. Przybyłowicza, kilku nauczycieli, moich byłych uczniów z Semin. Naucz. w Szczebrzeszynie, kilku znajomych księży i wielu, wielu innych, których nie znałem bliżej lub tylko z widzenia. Opowiadali mi oni, że wszyscy zostali aresztowani tegoż dnia rano. Prowadzono ich najpierw do biura Gestapo, a stamtąd już małymi grupami po kilka osób do rotundy. Tu wszystkim kazano biegać 3 razy dookoła bieżni, przy czym biegających bito pałkami po nogach, po plecach, po głowie. Niektórym kazano czołgać się po ziemi kilkanaście metrów przed swoją celą. Naoczni świadkowie opowiadali mi również, jak kazano biec hr Aleksandrowi Szeptyckiemu, przeszło 70-letniemu starcowi, właścicielowi Łabuń pod Zamościem. Gdy z wielkim trudem przebył on jakoś pierwsze okrążenie, kazali mu wejść do celi, zdjąć z siebie marynarkę, zostawić rzeczy i biec dalej. Starzec ponownie wyszedł na bieżnię i próbował biec, lecz po kilkunastu metrach padł martwy na ziemię. Gestapowcy sprowadzili wówczas wysłany wóz, czterem więźniom kazali złożyć na niego zwłoki zmarłego i odesłali je do kostnicy przy szpitalu. Oczywiście na więźniach zrobiło to przygnębiające wrażenie, lecz nie zmieniło sposobu postępowania gestapowców, z wciąż przybywającymi, coraz to nowymi aresztowanymi.

Powróciłem do swojej celi i stanąłem przy okienku w drzwiach, ale tak, żeby mnie nie było widać z zewnątrz, gdyż zapowiedziano nam, że wartownicy będą strzelać do wyglądających przez okno. Długo patrzyłem na to, co się odbywało wewnątrz obozu, jak przywożono autobusami coraz to nowe partie aresztowanych i jak się nad niektórymi znęcano. Następną po nas przywiezioną partią była liczna grupa tomaszowian. Ustawiono ich długim rzędem, twarzą do ściany, w pobliżu stołu, przy którym odbywała się rewizja. Wszyscy musieli przede wszystkim przebiec 3 razy dookoła po bieżni, przy czym niektórych okładano kijem. Gdy patrzyłem na biegnącego w jesionce kol. Cybulskiego, tęgiego mężczyznę w moim wieku, dźwigającego dużą walizę i pled, myślałem, że nie dobiegnie do wyznaczonej mety i padnie trupem podobnie jak nieszczęsny hr Szeptycki. Tomaszowiacy zajęli całą celę nr 9 i po trosze sąsiednie. Rej wśród nich wodził pełen humoru dr Cybulski. Zdaje się, że najweselszą w całym obozie była cela nr 9. Wciąż w niej słychać było wybuchy śmiechu.

Po Tomaszowie przyszła kolej na Krasnobród. W grupie tej znajdował się blisko 80-letni staruszek ks. prałat Wójcikowski, senator Fudakowski, dr Łastawiecki i inni. Już pod wieczór zjawiła się partia ze Zwierzyńca i okolicy, z plenipotentem O. Z. Dębczyńskim i naczelnikiem wydziału lasów Kosteckim, na czele. Obserwowałem jak rewidowano i szykanowano przy tym plenipotenta. Po skończonej już rewizji przy stole odszedł on na bok i tu schylił się nad swoją otwartą walizką. Przed nim stał gestapowiec z harapem w ręku i coś wykrzykiwał. Oczywiście nie wiem o co tam chodziło, widziałem tylko jak w pewnym momencie gestapowiec z całej siły dwa razy wyrżnął nachylonego plenipotenta harapem przez plecy. I patrzyłem dalej jak plenipotent, starszy otyły mężczyzna małe-

go wzrostu, wciąż przekładając z jednej ręki do drugiej walizę, ze zwisającym na jednym rogu pokrowcem, okrążał 3 razy bieżnię resztkami sił przyśpieszając bieg przy mijaniu gestapowca stojącego przy furtce z pałką w ręku. Zaraz po nim długim krokiem biegał Kostecki, trzymając w rękach dwie walizy.

Patrzyłem i na inne sceny. Jakiś ksiądz, wysokiego wzrostu w długiej sutannie, z paczkami w rękach nie mógł dać sobie rady z bieganiem. Gestapowiec popędzał go bijąc pałką po plecach, wreszcie pchnął tak silnie, że ksiądz rozciągnął się jak długi na bieżni, rozsypując wszystkie swoje paczki. — Pewnemu młodemu jegomościowi, który podczas rewizji coś nie tak jak potrzeba zrobił czy powiedział, włożono na głowę jakąś dziwaczną czapeczkę z piórkiem i kazano 3 razy przebiec bieżnię śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła", a bezpośrednio po tym dano mu do rąk bryłę lodu i kazano trzymając ją przed sobą jeszcze 8 razy przebiec dookoła. Wykonał to dziwnie sprawnie. Jak się później okazało, był to niejaki Sozański, długodystansowiec z Lublina, przypadkowo zatrzymany w Zamościu.

Bardzo wielu biegających okładano kijami.

Przed wieczorem pootwierano wszystkie drzwi i kazano nam szybko wyjść z celi i ustawić się w dwa szeregi, każdej grupie przed swoją celą. Gestapowcy przystąpili do sprawdzania listy obecnych, myśmy zaś musieli przez cały czas stać w pozycji na baczność. I tu byliśmy świadkami dalszego znęcania się nad internowanymi. Stojących nie tak, jak należy, kopano, bito kijami lub nahajem, policzkowano. Na stojącego w szeregu przede mną starego mgr Szczygłowskiego gestapowiec kilka razy zamierzył się pięścią i wreszcie uderzył palcem po nosie. A myśmy stali jak wryci i tylko zaciskali zęby...

Po skończonym apelu zaczęło się rozdawanie paczek przysłanych z miasta. Ułożono je długim pasem przez sam środek trawnika. Do każdej paczki była przyczepiona karteczka z nazwiskiem więźnia. Prof. Werner wykrzykiwał po kolei nazwiska. Wywołany odpowiadał „jestem", a potem na komendę „wystąp" musiał biegiem pędzić po swoją paczkę i otrzymawszy ją również biegiem wracać do szeregu. Gestapowcy stali obok prof. Wernera, pilnowali, żeby to się sprawnie odbywało i sprawdzali zawartość niektórych paczek. Potem powiedziano nam o karach za ewentualne posiadanie tytoniu i wezwano, ażeby każdy kto nie oddał wszystkich papierosów, przy rewizji złożył je zaraz na wyznaczonym miejscu pośrodku trawnika. Po krótkim czasie uzbierała się spora kupa paczek z tytoniem i pudełek z papierosami. Dalej podano nam do wiadomości w formie kategorycznej, że gdyby choć jeden z internowanych uciekł z obozu, wszyscy zostaną rozstrzelani. Na tym skończyła się odprawa wieczorna i kazano nam wrócić do swoich cel.

Wychodzenie i wchodzenie do cel musiało odbywać się bardzo szybko. W jednej chwili na daną komendę musieliśmy wszyscy równocześnie ukazywać się na placu ustawieni w dwuszeregu przed swoimi celami lub też wbiegać z powrotem tak, żeby plac momentalnie pozostawał pusty. Dla ludzi nie wymusztrowanych, zwłaszcza starszych, nie było to rzeczą łatwą. Dlatego też kilka razy kazano nam wchodzić i wychodzić, zanim wypadło to jako tako sprawnie. W naszej grupie, magistra Szczygłow-

skiego braliśmy pod ręce, ja z jednej strony, Przysada z drugiej i szybko wyprowadzaliśmy z celi lub wpychali z powrotem, bo tylko tym sposobem mógł on nadążyć i nie narażać się gestapowcom.

Było już dobrze po 9, gdyśmy się znaleźli w swoich celach. Rozdano nam wówczas po kubku bardzo gorącej czarnej, zbożowej kawy, dostarczonej z kuchni polowej przez zamojski oddział PCK. Chociaż jedzenia wszyscy (z nielicznymi wyjątkami) mieliśmy ze sobą dużo, to jednak jedliśmy bardzo mało. Nikt nie miał tego dnia apetytu, ale za to spragnieni byliśmy bardzo. Toteż kawa ta smakowała nam nadzwyczajnie i błogosławiliśmy PCK za to, że nam ją przysłał.

Wreszcie pozamykano cele na kłódki i pozostawiono nas w spokoju. Było już prawie zupełnie ciemno. Przez okienka widzieliśmy jeszcze jak przybyła świeża partia aresztowanych i jak ją przy świetle latarek elektrycznych bez zwykłych formalności wstępnych od razu zaprowadzono do celi.

Zaczęliśmy układać się do snu. Oczywiście nikt się nie rozbierał, niektórzy pozdejmowali tylko buty i marynarki. Rozłożyłem na słomie swój koc, pod ścianą postawiłem walizeczkę i ta służyła mi za poduszkę. Lecz o spaniu nie było mowy. Zbyt silne były przeżycia tego dnia, aby człowiek mógł zasnąć. Trzeba było przetrawić w sobie wszystkie dzisiejsze wrażenia, przemyśleć, opanować swe uczucia i wyrobić w sobie odpowiednie nastawienie psychiczne, które pozwoliłoby przetrzymać najgorsze i znosić z godnością najcięższe nawet zniewagi i obelgi. Poza tym myślałem wciąż o domu, o rodzinie, o szpitalu, o swoim najbliższym losie, co z nami zrobią, dokąd ewentualnie wyślą, no i naturalnie o przyszłości nieszczęsnego kraju, którego sytuacja wobec klęski aliantów na zachodzie i załamania się Francji zaczyna być coraz bardziej niepewna.

Ciężka była ta pierwsza noc w więzieniu. Około północy na krótko zasnąłem, a potem do świtu leżałem, przewracając się z boku na bok, w półśnie, półodurzeniu. Wygląd pogrążonej w ciemności celi, do której przez okno przenikało tylko trochę nikłego światła, z sylwetkami leżących lub na wpół siedzących pod ścianami więźniów, uparcie nasuwał mi przed oczy obrazy syberyjskie Malczewskiego.

O godz. 4 już prawie nikt nie spał. Zaczęliśmy łazić po celi, coraz to ktoś nas odwiedzał, to znów myśmy zaglądali do innych cel, witaliśmy się, dzieliliśmy się wrażeniami i omawiali różne kwestie. Prof. Werner jako komendant obozu obchodził wszystkie cele, informował nas o różnych sprawach i pouczał jak trzeba uprzątnąć cele, żeby słoma była należycie ułożona, żeby w przejściach nie było ani źdźbła, uprzedzając, że w razie stwierdzenia przez gestapowców jakiegoś nieporządku „mordobicie zaczyna się od komendanta celi". Wobec tego natychmiast przystąpiliśmy do robienia porządku. Słomę podgarnęliśmy tak, że równo odcinała się od „podłogi", z małych pęczków tejże słomy porobiliśmy coś w rodzaju miotełek i zamietliśmy celę jak najstaranniej. W danych warunkach osiągnęliśmy maksimum czystości i porządku.

Niektórzy dotkliwie odczuwali brak w celi kubła. Wyprowadzono nas do ustępu późnym wieczorem, domagaliśmy się więc od żołnierzy wartowników poprowadzenia nas teraz, lecz nadaremnie, gdyż regulamin

tego nie przewiduje i cele można otworzyć dopiero o godz. 6 min. 30 rano. Musieliśmy więc cierpliwie czekać.

Punktualnie o wpół do siódmej wartownicy otworzyli 3 pierwsze cele i poprowadzili 45 osób parami do tzw. „ustępu", poza murami prochowni na małej łączce. Był tam wykopany głęboki rów, na którego jednym brzegu umocowano na trzech niskich słupkach wąską deseczkę, która miała zastąpić sedes. Muszę przyznać, że pomimo nastroju nie sprzyjającego specjalnej wesołości, widok korzystających z tego prymitywnego urządzenia ustępowego starszych zwłaszcza panów odpowiedniej tuszy był tak komiczny, że nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Gdy już wszyscy więźniowie odbyli wędrówkę na łączkę, pozostawiono nam drzwi cel otwarte i zabraliśmy się do zamiatania bieżni.

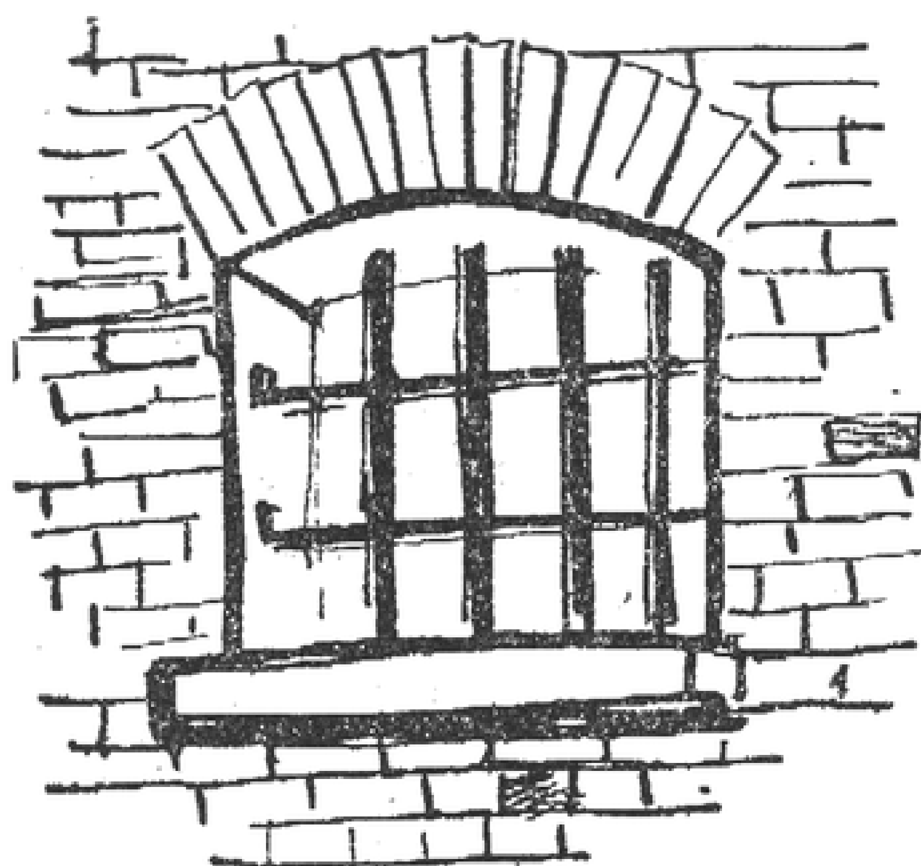
Ogromną przykrość odczuwaliśmy z tego powodu, że nie mogliśmy się umyć, ponieważ nie było wody. Co prawda poza ogrodzeniem z drutu stała duża beczka urzędu drogowego i żołnierze pozwalali pojedynczym więźniom chodzić do niej z kubeczkami i z butelkami, lecz nie wiem dlaczego bardzo trudno było utoczyć z tej beczki trochę wody. Jeden ze współtowarzyszy z mojej celi przyniósł w kubeczku odrobinę wody. Parę łyków wypiłem i namoczywszy róg chusteczki do nosa wytarłem sobie twarz. To była cała moja toaleta. Lecz i pod tym względem należałem do wyjątków.

Korzystając z względnej pobłażliwości wartowników, którzy patrzyli na nas nieco przez palce, zaczęliśmy coraz śmielej łazić po placu i zaglądać do różnych cel. W tym czasie przyprowadzono do obozu pierwszego aresztowanego tego dnia p. Ossowskiego z Zamościa. — Na krótko przed godz. 8, kiedy spodziewano się przyjazdu z miasta gestapowców, prof. Werner wszedł w porozumienie z żołnierzami i ogłosił, że ci jednym krótkim gwizdnięciem dadzą nam znać o zbliżaniu się gestapowców. Wówczas mamy w jednej chwili schować się wszyscy do cel i oczekiwać ich przy drzwiach otwartych, stając w głębi. W pewnym momencie tak też i uczyniliśmy.

Na plac weszło kilku znanych już nam gestapowców. Kazano zaraz wszystkim więźniom wyjść z cel i ustawić się w dwuszeregu. Prof. Werner podszedł do starszego gestapowca i służbowo, po wojskowemu, w pozycji na baczność zameldował mu stan obozu. Następnie odbyła się krótka odprawa wszystkich komendantów cel i sprawdzanie listy obecnych. Po załatwieniu tych czynności rozkazano nam wejść z powrotem do cel i zamknąć drzwi.

Wjechała na plac kuchnia polowa PCK i rozdano nam w kubkach lub w miskach czarną kawę. W międzyczasie przyprowadzono w pojedynkę lub po paru nowych aresztowanych, jednak nie wszystkich zmuszano do biegania.

Staliśmy w swych celach w pobliżu okienek i z ciekawością obserwowaliśmy, co się działo na placu. Bacznie przyglądaliśmy się wciąż przyjeżdżającym i odjeżdżającym gestapowcom ubranym w mundury i po cywilnemu. Po zjawieniu się jednego z nich wywołano na środek trawnika senatora Fudakowskiego. Patrzyliśmy ze zdziwieniem jak gesta-



powiec podając rękę uprzejmie z nim się przywitał. Po krótkiej rozmowie senator powrócił do celi i za chwilę znów ukazał się na placu w płaszczu i z walizką w ręku. Gestapowiec odprowadził go do bramy zezwalając po drodze wziąć ze stołu paczkę papierosów. Zrozumieliśmy, że senatora Fudakowskiego wypuszczono na wolność. Jakże mu wszyscy zazdrościli!

Potem zjawił się Niemiec ubrany po tyrolsku, z walizką i jakimś zawiniątkiem. Był to niemiecki plenipotent Ordynacji Zamojskiej. Porozumiał się on wpierw z gestapowcami, po czym wywołano z celi do ogrodzenia z drutu kolczastego, plenipotenta Dębczyńskiego. Przez dłuższy czas ze sobą rozmawiali, lecz obserwując z daleka mieliśmy wrażenie, że gestapowcy nie byli nadto uprzejmi, a przyniesione przez Niemca dla plenipotenta rzeczy rewidowali bardziej szczegółowo niż zwykle.

Około 11 kazano nam znów wyjść z cel i ustawić się na bieżni, najpierw parami, potem czwórkami. Musieliśmy po wojskowemu maszerować dookoła placu nie wiem jak długo, ale chyba z pół godziny. Komendę nad nami w czasie maszerowania powierzono ks. Zawiszy. Krążąc po całym placu donośnym głosem odliczał on nam kroki lub wykrzykiwał „lewa", „lewa". Gestapowcy stali pośrodku i pilnie nas obserwowali, nie szczędząc swych brutalnych uwag i wyzwisk. Ciskali się zwłaszcza na tych, którzy „nie trzymali nogi". A niektórym, przeważnie ludziom starszym, co nigdy w wojsku nie służyli, takie długie maszerowanie nie przychodziło z łatwością. Wreszcie zatrzymano nas i kazano ustawić się w dwuszeregu przed swoimi celami. Zaczęło się rozdawanie przysłanych z miasta paczek, przy czym gestapowcy nie spuszczali z nas oka. W pewnym momencie jednemu więźniowi, który nieopatrznie uśmiechnął się, kazano za karę 3 razy przebiec dookoła bieżni. Młody gestapowiec przez cały czas biegania pilnował go i najpierw popędzał z daleka, a potem zaczął biec obok krzycząc „prędzej" i waląc pięścią w kark.

Raptem usłyszałem swoje nazwisko wywołane przez prof. Wernera. Było to dla mnie niespodzianką, bo jeszcze tego dnia nie oczekiwałem żadnej paczki. Popędziłem biegiem na środek trawnika. Tam prof. Werner wręczył mi paczkę, gestapowiec chcąc ją zrewidować przeciął nożem sznurek i na ziemię wysypały się bułeczki posmarowane masłem. Żeby czegoś nie oberwać, pośpiesznie wszystko pozbierałem i biegiem wróciłem na swoje miejsce do szeregu.

Około 12,30 kazano nam udać się do cel i zamknąć drzwi. Porządnie zmęczeni maszerowaniem i długim staniem rozsiedliśmy się na słomie i zabrali do przysłanego nam jedzenia. Chociaż prowiantu miałem z domu bardzo dużo, to jednak nieoczekiwanie otrzymana paczka sprawiła mi wielką przyjemność, będąc dowodem czyjejś pamięci o mnie i równo-

cześnie będąc bezpośrednim łącznikiem ze światem pozostałym poza murami obozu. Z charakteru pisma, jakim nakreślone było moje nazwisko na paczce, nie mogłem dokładnie zorientować się, kto mi ją przesyła. Domyślałem się tylko, że zapewne najzacniejsza doktorowa Bogucka, co się potem istotnie sprawdziło.

Gdy tak siedziałem w swoim kącie koło drzwi i popijałem z butelki ciepłą jeszcze kawę, nagle usłyszałem, że ktoś przez okienko bardzo niemieckim akcentem wywołuje nazwisko moje i ks. Cieślickiego („Czieszlicki"). Obydwaj zerwaliśmy się na równe nogi. Przed celą stał jakiś Niemiec wysokiego wzrostu ubrany po cywilnemu z kartką w ręku. Zapytał nas, czy jesteśmy ze Szczebrzeszyna („Czepczin"), kazał natychmiast zebrać wszystkie swoje rzeczy i stanąć przed celą. Zaskoczony tym rozkazem, naprędce, byle jak, spakowałem swoje manatki do plecaka i walizeczki, gubiąc się równocześnie w domysłach, po co nas wzywają i w dodatku z rzeczami. Gdyby tylko mnie samego, tobym prędzej przypuszczał, że może mnie zwolnią, ale że razem z księdzem kanonikiem — to już zacząłem się bać, że przewiozą nas do więzienia. Część jedzenia pozostawiłem współtowarzyszom niedoli i pożegnawszy ich wyszedłem z ks. Cieślickim przed celę. Przez chwilę staliśmy w oczekiwaniu, aż wreszcie ów cywilny jegomość kazał nam iść za sobą i zaprowadził do stołu w pobliżu bramy wejściowej. Podszedł tu zaraz i gestapowiec w mundurze mówiący po polsku. Opodal odwróceni twarzą do ściany stali świeżo przybyli nowi więźniowie ze Szczebrzeszyna: mgr farm. Czesław Szczygłowski [1]) i ks. Władysław Kłos, młody wikary [2]). Księdzu kazano usunąć się na bok i mnie pierwszemu zaczęto zadawać pytania. Zanotowano najpierw moje personalia, potem zapytano, czy jestem dyrektorem szpitala, czy mam kogo z lekarzy do pomocy i czy w szpitalu są chorzy na tyfus plamisty. Usłyszawszy tego rodzaju pytania już nie miałem wątpliwości, że mnie puszczą. Zawołałem sobie w myśli „Vivat wesz!!". Dawałem odpowiedzi ścisłe i dokładne, pomimo tego gestapowiec mundurowy nie wszystko rozumiejąc, niecierpliwił się, wrzeszczał na mnie i walił pięścią w stół, a już całkiem wściekł się, gdy nie wiedziałem jak brzmi nazwisko niemieckiego lekarza dywizyjnego. W końcu powiedział mi, żebym sobie szedł. — „Dokąd, do domu?" — „Tak". — I kazał żołnierzowi wyprowadzić mnie z obozu poprzez wszystkie warty. Nie miałem nawet możliwości, aby odwrócić się i kiwnąć głową na pożegnanie pozostałym więźniom, z których wielu — wiedziałem o tym dobrze — stało przy okienkach i obserwowało, co z nami robią.

Wyszedłem poza bramy rotundy w towarzystwie żołnierza, który doprowadził mnie do ostatniej warty przy mostku. Gdy już znalazłem się sam, nie mogłem wprost uwierzyć swojemu zupełnie niespodziewanemu szczęściu. Dźwigając swój bagaż powlokłem się powoli ku miastu. Dzień był upalny, ubrany byłem ciepło i musiałem kilka razy zatrzymywać się, by trochę odsapnąć. Nie dochodząc do miasta, u wylotu drogi pro-

---

[1]) Zgłosił się sam, żeby ratować starego ojca, którego aresztowano w czasie jego nieobecności, jako zakładnika za syna.

[2]) Również zgłosił się dobrowolnie, gdyż za taką cenę Gestapo zgodziło się zwolnić ks. kan. Cieślickiego.



wadzącej do prochowni, spotkałem niewielki tłum kobiet, które stały i patrzyły z żalem i tęsknotą w stronę obozu, gdzie siedzieli ich mężowie i synowie. Parę z nich podeszło ostrożnie do mnie pytając nieśmiało jak tam jest w obozie. Niestety, nic im nie mogłem powiedzieć...

Całkiem niemal pustymi ulicami dostałem się wreszcie do mieszkania doktorstwa Boguckich. Tu dopiero odetchnąłem swobodnie, nie czując na sobie wzroku gestapowców, umyłem się, odświeżyłem i czekałem na żonę, która z synkiem od rana była już w Zamościu, starając się coś niecoś o mnie dowiedzieć. Jakże się zdziwiła, gdy przyszedłszy wkrótce do Boguckich zobaczyła mnie już na wolności!

Tak się czułem wyczerpany i tak byłem sterroryzowany, że bałem się wyjść na ulicę, żeby się nie natknąć na któregoś z gestapowców z obozu. Dałem tylko znać przez służącą p. Wernerowej, żeby zaraz przyszła, bo miałem do niej polecenie od męża, który w ostatniej chwili, kiedy wychodziłem z celi, zdążył szepnąć mi kilka słów na wypadek, gdyby nas puścili wolno. Potem dorożką pojechaliśmy na dworzec i już dalej koleją do Szczebrzeszyna. Do Zawady jechaliśmy razem z b. dyrektorem gimnazjum w Zamościu Adamem Szczerbowskim, który przed miesiącem dopiero wrócił ze Lwowa. Zmienił się nie do poznania, taki chudy i zmizerowany.

Przyjechaliśmy na stację Szczebrzeszyn. Przez znajomego napisałem kartkę do szpitala, żeby zaraz przysłano po nas konie i przygotowano dla mnie kąpiel. Posłaniec nie tylko wręczył natychmiast kartkę moją w szpitalu, lecz i Żydom w miasteczku dał znać, że mnie puszczono i wracam do domu. Toteż gdy w godzinę potem, około 6 po południu, wjeżdżałem do Szczebrzeszyna, od mostu na Wieprzu aż do szpitala oczekiwał mnie liczny tłum mieszkańców, przeważnie Żydów, którzy owacyjnie mnie witali. Tak samo w szpitalu. W poczekalni zebrał się cały personel, służba oraz wszyscy moi chorzy, którzy tylko mogli zwlec się z łóżka. Wciąż ściskano mnie i całowano, nawet stare baby z miasta w ten sposób wyrażały mi swoją (chwilową!) sympatię. Takie owacyjne spotkanie bardzo mnie wzruszyło, gdyż całkiem tego się nie spodziewałem.

Do mieszkania zaczęli zaraz schodzić się moi bliżsi, a nawet i dalsi znajomi, a także i rodziny aresztowanych, ażeby czegoś się o nich dowiedzieć. I tak było aż do wieczora.

Po rozkosznej kąpieli położyłem się do łóżka. Jakąż szaloną przyjemność sprawiało mi dzisiaj w domu wszystko to, co zwykle mam na codzień. Jednak nerwowo byłem jeszcze tak podniecony, że przespałem niespokojnym snem zaledwie parę godzin i do rana już zasnąć nie mo-

głem. Wciąż przeżywałem wszystkie swoje wrażenia z ostatnich dwóch dni, myślałem tylko o pozostałych w obozie współtowarzyszach, o tym co przeszedłem sam i starałem się wszystko przeanalizować.

Tym razem miałem wręcz wyjątkowe szczęście. Przede wszystkim dlatego, że zaraz na drugi dzień zwolniono mnie z obozu. Po drugie tak się jakoś złożyło, że ani razu nie biegałem po bieżni, tylko raz na trawnik po paczkę, no i ani razu nie zostałem uderzony. Że tam parę razy któryś z gestapowców na mnie wrzasnął, tego się nie liczy.

Często zdarzało mi się słyszeć, że w czasie badania lub w więzieniach gestapowcy biją i znęcają się nad więźniami niemiłosiernie, lecz trudno mi było uwierzyć, żeby bito bez powodu. To co zobaczyłem na własne oczy, przeszło wszelkie oczekiwania. Nie myślałem, że można tak metodycznie znęcać się nad ludźmi, poniewierać ich godnością, traktować gorzej niż psa i czynić to z takim rozmysłem i systematycznością. Ale muszę też przyznać i dumny jestem z tego, że postawa i zachowanie się ogółu uwięzionych były wspaniałe. Nikt nie okazał tchórzostwa lub lęku, nikt nie poniżył się do jakichś próśb czy skarg, nikt nie jęczał, nie stękał, nie lamentował, nie narzekał. Wszystko znoszono z zaciśniętymi zębami. Tak przynajmniej było w czasie mojego krótkiego pobytu w obozie. W innych okolicznościach niejeden zareagowałby czynnie przekładając natychmiastową śmierć nad stałe zniewagi, lecz tutaj każdy zdawał sobie sprawę, że reakcja taka ze strony jednego pociągnęłaby za sobą śmierć jeżeli nie wszystkich, to w każdym razie bardzo wielu. I w rezultacie wszelkie obelgi i zniewagi czynne znoszono z wielką godnością. Przestawały one być zniewagami — przeciwnie, stawały się honorem dla nas, a hańbą dla Niemców.

Podaję teraz częściowy spis tych, którzy siedzieli w prochowni. Wszystkich razem było około 200 osób. Znaczną część aresztowanych znałem dobrze osobiście, więc zanotowanie ich nazwisk nie sprawia mi trudności. Spis ten będę stopniowo uzupełniał korzystając z pamięci tych, którzy siedzieli razem ze mną i zostali już wypuszczeni: [1])

1. Cybulski, prezes Sądu Okręgowego w Zamościu. (Po paru dniach został zwolniony z obozu. W r. 1943 zapisał się na Volksdeutscha).

2) Leonowicz, sędzia Sądu Okr. w Zamościu. (Wypuszczony z więzienia w Lublinie).

3. Łaparewicz Jan, sędzia Sądu Okr. w Zamościu. (Wypuszczony z więzienia w Lublinie).

4. Trybalski, sędzia grodzki w Zamościu.

5. Bajkowski Wacław, adwokat w Zamościu. (Umarł w obozie w Dachau w roku 1941).

6. Czernicki Tomasz, adwokat w Zamościu, b. poseł na Sejm. (Został wypuszczony. Po pewnym czasie aresztowany ponownie, wysłany był do obozu w Oświęcimiu. Zwolniono go po kilku tygodniach).

7. Sikorski Stanisław, adwokat w Zamościu. (Umarł w obozie w Oranienburgu w roku 1943).

---

[1]) Wszystkie szczegóły podane w nawiasach przy nazwiskach niektórych aresztowanych wpisuję przy przepisywaniu rękopisu na maszynie w r. 1944. Niektórych imion nie udało się ustalić.

8. Legieć Antoni, adwokat w Zamościu. (Zwolniony z obozu po kilku latach).

9. Mroczek, adwokat w Zamościu.

10. Rosiński Henryk, rejent w Zamościu. (Umarł w obozie w Dachau w roku 1941).

11. Bielawski Andrzej, inżynier drogowy w Zamościu. (Umarł w obozie w Dachau w roku 1940).

12. Klimek Adam, inż.-arch. w Zamościu. (Po paru dniach wypuszczony z prochowni).

13. Dr Tyczkowski Julian, lekarz powiatowy w Zamościu. (Po kilku dniach wypuszczony z prochowni).

14. Werner Otto, prof. gimnazjum w Zamościu. (Wypuszczony po kilku dniach z prochowni).

15. Szczepaniec Jan, inspektor szkolny w Zamościu. (Po kilku tygodniach wypuszczony z obozu w Oranienburgu).

16. Fenc Paweł, naucz. gimn. w Zamościu. (Po kilku latach wyszedł z obozu w Oranienburgu).

17. Zajlich Stanisław, naucz. gimn. w Zamościu. (Po kilku latach również wyszedł z Oranienburga).

18. Przybyłowicz Stanisław, kierownik szkoły powsz. w Zamościu. (Umarł w obozie w Dachau w roku 194?).

19. Wiśniewski, dyrektor „Snopu". (Po pewnym czasie wypuszczony, potem jeszcze był parę razy aresztowany i wypuszczany. W r. 1944 zmarł nagle na serce w Warszawie).

20. Lipczyński, ziemianin. (Wypuszczony).

21. Zawisza Franciszek, ks. wikariusz w Zamościu. (Po kilku latach powrócił z Dachau).

22. Staniszewski Wacław, ks. prefekt gimn. w Zamościu.

23. Trochonowicz Franciszek, ks. wikary w Zamościu.

24. Kazanecki, handlowiec w Zamościu.

25. Bauer Stefan, dyr. szkoły roln. w Janowicach. (Wypuszczony z obozu w Oranienburgu w r. 1942. Zmarł nagle na serce w r. 194?)

26. Molicki Stanisław, inż. melioracyjny w Zamościu. (Umarł w obozie w Hamburgu w roku 194?).

27. Więckiewicz, urzędnik ze „Snopu" w Zamościu.

28. Dziemski, tłumacz ze „Snopu" w Zamościu.

29. Ziętek, urzędnik ze „Społem" w Zamościu.

30. Turzański, z Zamościa.

31. Łyp, fryzjer w Zamościu.

32. Kowalski Jan, majster murarski w Zamościu.

33. Margules, inż.-arch. Jedyny w prochowni Żyd.

34. Kowalski, urzędnik urzędu skarbowego.

35. Białkowski, inż. dyrektor elektrowni w Zamościu. (Wypuszczony z prochowni).

36. Dziuba Wacław z Zamościa.

37. Kozłowski Jan, dyrektor Ubezp. Społ. w Zamościu. (Umarł w Buchenwaldzie w roku 1942).

38. Podwiński Henryk, urzędnik Ub. Społ. w Zamościu. (Po pewnym czasie wypuszczony z obozu. Aresztowany po raz drugi zachorował w więzieniu w Zamościu na tyfus plamisty, w stanie beznadziejnym przewieziony do szpitala powiatowego i tu umarł w r. 1941).

39. Czerski Stanisław, przemysłowiec w Zamościu. (Wypuszczony z więzienia w Lublinie).

40. Jakimowicz Jacek, przemysłowiec w Zamościu. (Po kilku tygodniach wypuszczony z obozu w Oranienburgu).

41. Rauch Herman, aplikant adwokacki w Zamościu, zięć adwokata Bajkowskiego. (Wypuszczony z obozu w Dachau. W roku 1943 został Volksdeutschem).

42. Szeptycki Aleksander hr, właściciel Łabuń pod Zamościem. Umarł w prochowni.

43. Łoś Adam hr, administrator Adamowa.

44. Dobrzański, urzędnik w fabryce mebli w Bondyrzu.

45. Sozański.

46. Wytrzeszczewski Józef, wójt gm. Nielisz. (Umarł w obozie w Oranienburgu w roku 1941).

47. Płocharz Tadeusz, urzędnik w gminie Nielisz. (Umarł w obozie w Oświęcimiu w roku 1941).

48. Dębczyński Stanisław, plenipotent Ordynacji Zamojskiej w Zwierzyńcu. (Wypuszczony z więzienia w Lublinie. Po kilku miesiącach aresztowany ponownie, około roku przesiedział w więzieniu w Lublinie).

49. Kostecki Stanisław, naczelnik wydziału lasów O. Z. w Zwierzyńcu. (Po kilku tygodniach wypuszczony z obozu w Oranienburgu).

50. Kiciak, nauczyciel szkoły powsz. w Zwierzyńcu.

51. Cieślicki Józef, ks. kanonik, dziekan w Szczebrzeszynie. Wypuszczony z prochowni.

52. Szczygłowski Jan, mgr farmacji w Szczebrzeszynie. Wypuszczony z prochowni.

53. Szczygłowski Czesław, mgr farm. w Szczebrzeszynia. (Wypuszczony po kilku tygodniach z obozu w Oranienburgu).

54. Kafarski Michał, kupiec w Szczebrzeszynia. (Umarł w obozie w Dachau, w roku 1941).

55. Kilarski Stefan, naucz. szkoły powsz. w Szczebrzeszynie. (Wypuszczony z obozu).

56. Przysada Andrzej, rolnik ze Szczebrzeszyna. (Wypuszczony z obozu w Dachau w roku 194?).

57. Franczak Jan, burmistrz miasta Szczebrzeszyna. (Wypuszczony z obozu w Dachau).

58. Jóźwiakowski Wiktor, dyrektor gimnazjum w Szczebrzeszynie. (Po kilku latach zwolniony z obozu w Oranienburgu).

59. Wysocki, naucz. szkoły powsz. w Rozłopach.

60. Czekański Kazimierz ks. proboszcz w Wielączy.

61. Gunia, naucz. szkoły powsz. w Wielączy. (Wypuszczony z obozu).

62. Sierkowski Franciszek, rolnik z Żurawnicy. (Umarł w obozie).

63. Koliński, urzędnik nadleśnictwa O. Z. w Kosobudach. (Umarł w obozie).

64. Wołowski, ziemianin z Wirkowic, b. ambasador. (Zwolniony z prochowni. W roku 1943 zabity przez Niemców).

65. Wójcikowski Wojciech, ks. prałat z Krasnobrodu. (Wypuszczony z prochowni).

66. Fudakowski Kazimierz senator, właściciel dóbr Krasnobrodu. (Wypuszczony z prochowni).

67. Łastowiecki Konstanty, lekarz w Krasnobrodzie. (Wypuszczony z obozu w Oranienburgu).

68. Stanko Feliks, kierownik tartaku w Krasnobrodzie.

69. Bardel Marcin, ks. wikary w Krasnobrodzie.

70. Gąsior Władysław, nauczyciel szk. powsz. w Krasnobrodzie.

71. Cybulski Stefan, lekarz w Tomaszowie Lub. (Wypuszczony z więzienia w Lublinie. Po kilku miesiącach aresztowany ponownie przesiedział dłuższy czas w tymże więzieniu pełniąc obowiązki lekarza więziennego. Wreszcie wypuszczony na wolność powrócił do Tomaszowa i tu po pewnym czasie zmarł prawie nagle na serce).

72. Koziołkiewicz Czesław, ks. dziekan z Biłgoraja. (Wypuszczony z prochowni).

73. Chmielewski Józef, ks. wikary z Biłgoraja.

74. Guranowski, lekarz w Biłgoraju.

75. Ruszel, inspektor szkolny w Biłgoraju.

76. Ordyczyński, zast. insp. szkoln. w Biłgoraju.

77. Łagowski, kierownik szkoły powsz. w Biłgoraju.

78. Janiuk, naucz. szk. powsz. w Biłgoraju. (Był w obozie w Oranienburgu).

79. Pająk, naucz. szk. powsz. w Biłgoraju.

80. Kryński, burmistrz m. Biłgoraja.

81. Karbonowski, urzędnik magistratu w Biłgoraju.

82. Lisek, urzędnik starostwa w Biłgoraju.

83. Michno, sędzia grodzki w Biłgoraju.

84. Seneszyn, kupiec w Biłgoraju.

85. Kostrzewa Mikołaj, ks. proboszcz ze Starego Majdanu pow. biłg.

86. Diduch, rolnik, były poseł z pow. biłg.

87. Waśko, kierownik szkoły powsz.

88. Ossowski Tadeusz, dyrektor banku w Zamościu. (Wypuszczony na wolność. W roku 194? zamordowany został przez nieustalonych sprawców w czasie chwilowego pobytu w pow. janowskim).

89. Kłos Władysław, ks. wikary w Szczebrzeszynie.

90. Chróściński Leon, ks. kanonik, proboszcz w Starym Zamościu.

91. Bargiel Władysław, ks. kan. dziekan w Tomaszowie Lub.

92. Liwerski Józef, ks. proboszcz w Łukowej pow. biłg.

93. Maj Dominik, ks. proboszcz w Łaszczowie pow. tomasz.

94. Orzeł Jan, ks. wikary w Tomaszowie.

95. Świstowski Michał, rolnik z Małej Gruszki gm. Nielisz.

96. Kociuba Jan, rolnik z Dużej Gruszki gm. Nielisz.

97. Józwiak, rolnik z Dużej Gruszki gm. Nielisz.

98. Starowiejski, ziemianin z pow. tomaszowskiego. (Umarł w Dachau).

99. Bełdowski Czesław, ziemianin z pow. tomaszowskiego. (Powrócił z Oranienburga).

100. Bełdowski Mieczysław, ziemianin z pow. tomaszowskiego. (Powrócił z obozu po 3 latach).

101. Bramski Jan, stud. polit. (Był w Oranienburgu).

102. Rozmus Stanisław, sędzia w Tomaszowie. (Był w Dachau).

103. Andrzejewski, urzędnik Ub. Sp. w Zamościu. (Wypuszczony z Oranienburga).

104. Andrzejewski, sekretarz Związku Ziemian. (Wypuszczony).

105. Gajewski, dyrektor tartaku w Długim Kącie. (Umarł w Oranienburgu).

106. Czeczukowicz. (Umarł w Dachau).

107. Truchonowicz, zastępca starosty w Tomaszowie. (Umarł w Dachau).

108. Martyni Marian, referent karny w star. w Tomaszowie. (Wypuszczony z Dachau).

109. Kuszel Antoni, sekretarz prezesa sądu w Zamościu. (Był w Dachau).

110. Bukietyński, kier. elektrowni w Tomaszowie. (Był w Oranienburgu).

111. Tokarczuk, naucz. szk. powsz. w Niemirówku. (Umarł w Oranienburgu).

23 czerwca

Jeszcze nie mogę przyjść do normy. Dopiero teraz czuję, jak mnie te dwa dni wyczerpały nerwowo. Dowiedziałem się, że zwolnienie z obozu zawdzięczam wyłącznie interwencji miejscowego „Ortskommandanta", który mając na uwadze epidemię tyfusu plamistego zainteresował się losem szpitala po moim aresztowaniu. Przyszedł więc do szpitala sam, sprawdził ilu było chorych i ilu w tym tyfusowych i natychmiast telefonował do Biłgoraja, do Zamościa, a nawet do Lublina żądając wypuszczenia mnie.

26 czerwca

Jeździłem do Zamościa. Przejeżdżając końmi koło stacji patrzyłem na tak dobrze mi teraz znaną rotundę. Wydało mi się, że przy bramie stała warta i jakieś samochody. Dreszcz mnie przeszedł na ten widok i na wspomnienie ubiegłej środy.

Pozawczoraj rano wszystkich internowanych wywieziono do Lublina. Wypuszczono tylko kilka osób, w tej liczbie dra Tyczkowskiego, inż. Klimka, prof. Wernera, mgra Szczygłowskiego (ojca), ks. Wójcikowskiego, ks. Koziołkiewicza i in. Po moim wyjściu z obozu przybyło jeszcze trochę nowych aresztowanych, kilku przeniesiono tu z więzienia, m. in. naszego burmistrza Franczaka, dyr. Jóźwiakowskiego, nauczyciela Wysockiego.

W Zamościu nastrój okropny. Ludzie boją się własnego cienia, mówią szeptem, oglądają się na wszystkie strony, wszędzie węsząc niebezpieczeństwo. Lada dzień spodziewają się dalszych aresztowań, lecz nie wiadomo na kogo teraz los padnie. Na mnie niektórzy patrzyli z zazdrością, że aresztowanie i związane z tym przejścia są już poza mną, chociaż my, wypuszczeni, absolutnie nie mamy pewności, czy nas drugi raz nie zatrzymają. Wszyscy, kogo tylko spotkałem, zwłaszcza rodziny uwięzionych, pytają jak tam było w obozie. Oczywiście żonom i matkom nie mogłem mówić całej prawdy. Zresztą z opowiadaniem trzeba być bardzo ostrożnym. Wszyscy uwolnieni z obozu musieli w urzędzie Gestapo dać na piśmie zobowiązanie, że nie będą należeli do żadnej organizacji i nie będą opowiadali o tym, jak było w prochowni. Tylko ks. Cieślickiego i mnie puszczono bez tych formalności.

Odwiedziłem pp. Sochańskich. Starosta dopiero przed tygodniem został zwolniony z więzienia w Lublinie, wygląda mizernie, wychudł bardzo. Paromiesięczny pobyt w więzieniu odbił się na nim w silnym stopniu. Z tego co mówił można wnioskować, że w więzieniu w Lublinie było znacznie gorzej, aniżeli w naszym „Tymczasowym Obozie Internowanych" w prochowni zamojskiej. Długośmy ze sobą rozmawiali, usłyszałem wiele ciekawych rzeczy, które, być może, kiedyś zostaną ogłoszone w postaci wspomnień b. starosty zamojskiego. M. in. poruszyła mnie wiadomość, że „Hołd Pruski" Matejki, przysłany przed wojną z Krakowa i ukryty w lochach kościelnych został z powrotem odwieziony potajemnie do Krakowa i tam złożony w pewnym miejscu.

30 czerwca

Byłem dziś w Zwierzyńcu. Plenipotenta Dębczyńskiego wypuszczono z więzienia na Zamku w Lublinie przed dwoma dniami. Urzędnicy ordynaccy pod wrażeniem ostatnich wydarzeń żyją w strachu i z niepokojem oczekują dalszych aresztowań.

1 lipca

Niemcy zarządzili na dzisiaj spęd koni dla obcięcia grzyw i ogonów. Już sami nie wiedzą, co by jeszcze zabrać!

3 lipca

Zapisywano dziś dzieci do szkoły powszechnej na rok przyszły. Rok szkolny ma się zacząć 2 września. Nauczyciele otrzymali okólnik zabraniający im opuszczania w czasie wakacji miejsc swojego stałego zamieszkania.

5 lipca

Od samego rana są w mieście gestapowcy. Byli w magistracie. Łażą po ulicach, przyglądają się. Kazali przygotować dla siebie dwa umeblo-

wane pokoje. Wszędzie panuje silne zaniepokojenie, bardzo wiele osób spodziewa się rewizji i aresztowania. Niektórzy nie nocują w domu, unikają ukazywania się na ulicy, ukrywają się jak mogą.

10 lipca

Gestapowcy przyjeżdżają do Szczebrzeszyna codziennie, lecz co tu robią — nie wiemy. Z jednej strony wszyscy są przestraszeni i zdenerwowani, a z drugiej już się powoli oswoili z obecnością gestapowców.

12 lipca

Ogólne zdenerwowanie i napięcie wzrasta. Uporczywie utrzymuje się przekonanie, że jesteśmy w przededniu masowych aresztowań.

Z Zamościa nadeszła straszna wiadomość o rzekomym rostrzelaniu w Lublinie czterdziestu kilku osób z powiatu zamojskiego, w tej liczbie Bolesława Wnuka, posła na Sejm, znanego działacza chłopskiego, wiceburmistrza Nowackiego, mjra Muchy, kpt. Śliwińskiego, redaktora Klaudela i innych. Nie wierzę jednak, żeby to była prawda.

We wszystkich urzędach i instytucjach kompletne rozprężenie. Wielu urzędników na kierowniczych stanowiskach aresztowano i dotąd nie wypuszczono, niektórzy dotychczas nie zatrzymani postarali się o urlopy i wyjechali z Zamościa, a większość urzędników pozostająca na swoich miejscach wskutek zdenerwowania i niepokoju absolutnie nie jest zdolna do normalnej pracy.

W dodatku szerzą się wiadomości, że lada dzień może dojść do starcia między Niemcami a Rosją. Wieści te nabierają cech prawdopodobieństwa wobec ogromnej ilości zbierającego się w Zamojszczyźnie wojska niemieckiego. Tak wiele nie było go dotychczas. Do samego Szczebrzeszyna i okolicy przysyłają aż 3 dywizje. W mieście mają zamieszkać tylko sami oficerowie.

Był dziś u mnie kol. Leszczyński, dyrektor szpitala w Lubaczowie. Przed kilkoma dniami uciekł on wraz z żoną i córką przez zieloną granicę na teren okupacji niemieckiej.

Wczoraj wieczorem na wypadek ponownego aresztowania przygotowałem sobie znów walizeczkę i poczyniłem rozmaite zarządzenia. Okropnie męczące jest takie życie z dnia na dzień, kiedy się wie, że lada chwila można być znów oderwanym od pracy, od rodziny i pozbawionym wolności nie wiadomo na jak długo, a w dodatku bitym i poniewieranym przez niepoczytalnych, zwyrodniałych gestapowców.

16 lipca

Jeździłem do Zwierzyńca. Wszyscy tam są ogromnie przejęci kwaterunkiem i przemarszem niezwykłej ilości wojska, widząc w tym zapo-

wiedź zbliżającego się starcia Niemców z Armią Czerwoną. Poza tym cały Zwierzyniec jest pod silnym wrażeniem nieludzkiego postępku niemieckiego inspektora lasów, niejakiego Klitzinga, Niemca, który przed wojną był nadleśnym w jednym z lasów w Zamojszczyźnie, zna doskonale tutejsze stosunki i nawet brał czynny udział w polskim życiu społecznym i organizacyjnym. Otóż pan ten objeżdżał któregoś dnia lasy ordynackie i zauważył pasące się krowy, a opodal nich dwóch siedzących chłopaków. Oburzywszy się na nieprawne jakoby wypasanie lasów strzelił ze sztucera do jednego z chłopców raniąc go śmiertelnie w kręgosłup i w brzuch, tak, że jelita wyszły na zewnątrz. Chłopiec, 14-letni syn ubogiego szewca z Obroczy, służył za pastucha u gajowego ordynackiego i pasł jego krowy w lesie najzupełniej legalnie. Przewieziony przez tegoż Klitzinga do szpitala w Zwierzyńcu zmarł w pół godziny potem, zachowując przytomność do ostatniej chwili życia. Zwłoki jego już piąty dzień leżą w kostnicy szpitalnej nie pochowane, gdyż jest w toku jakieś dochodzenie, lecz panuje powszechne przekonanie, że Niemiec ujdzie rąk sprawiedliwości.

17 lipca

Dzień dzisiejszy był bardzo ciężki dla Żydów. Przez szereg miesięcy mieli oni względny spokój. Musieli tylko dostarczać codziennie kilkadziesiąt osób na roboty do Zamościa, na folwark w Bodaczowie i do koszar w miejscu. Poza tym nie ruszano ich zupełnie, a że od czasu do czasu któryś z Żydów oberwał coś od żandarma lub policjanta, to się nie liczy. Zaczęli już nabierać pewności siebie, co można było zauważyć po zachowaniu się ich na ulicy. Lecz nagle w ostatnich dniach przyszło zawiadomienie, że 500 Żydów ze Szczebrzeszyna będzie wziętych do obozu pracy. Wszczął się wśród nich szalony popłoch i ruch. Żydzi rzucili się do lekarzy po świadectwa, zaczęli starać się o przyjęcie z byle głupstwem do szpitala, wysłali delegacje do starostów w Biłgoraju i w Zamościu, do Urzędu Pracy itd. Wreszcie po energicznych zabiegach udało im się osiągnąć to, że liczbę tę zmniejszono do 130. Właśnie dziś rano odbywała się ta branka Żydów. „Judenrat" wyznaczył 130 młodych chłopców wręczając każdemu imienną kartę powołania, lecz stawiło się tylko 98. Reszta zbiegła lub ukryła się. Przyjechali z Zamościa gestapowcy. Dodano im 20 konnych żołnierzy. Zaczęła się nagonka na Żydów. Od ustawionych na rynku wystraszonych wyrostków żydowskich odpędzano matki, siostry, ojców, którzy starali się być jak najbliżej nich, coś im podawali, mówili, żegnali się. Niejeden dostał kijem przez plecy. Na różne strony rozesłano żołnierzy aby szukali zbiegłych. Na pięknych, polskich koniach harcowali oni po chodnikach. Kilku zbiegów znaleziono, za innych wzięto rodziców. Dostało się i członkom Judenratu. Zastępcę prezesa zbito pałkami i kazano godzinę leżeć plackiem na rynku. Wreszcie oczyszczono rynek i przyległe ulice z większości Żydów i poprowadzono zabranych, ustawionych trójkami w jedną kolumnę, w kierunku stacji kolejowej. Ze wszystkich stron otaczali ich żołnierze na koniach. Pochodowi temu towarzyszył płacz i lament Żydówek ukrywających się w bramach i w bocznych uliczkach. Całej brance przyglądało się dużo ludno-

ści polskiej. Na wielu twarzach nie było znać najmniejszego współczucia, przeciwnie, śmiano się i dowcipkowano.

Po wyjściu pierwszej partii zapowiedziano różne represje za to, że nie wszyscy się stawili.

Sklepy żydowskie przez cały dzień były zamknięte, na ulicach bardzo mało Żydów.

Po południu rozlepiono wezwanie obecnego burmistrza Boruckiego, który z polecenia władz niemieckich nawołuje mieszkańców do bardziej ścisłego przestrzegania godzin policyjnych i nie „włóczenia się" po mieście po godz. 10 wieczór. Jeżeli w dalszym ciągu będą się powtarzały przekroczenia tego zakazu, to godziny policyjne ulegną zmianie i chodzić można będzie, tak jak kiedyś, tylko do godz. 8.

18 lipca

Wśród Żydów ogromne zaniepokojenie. Spodziewają się, że wielu ich jeszcze wezmą do obozu pracy. Obębniono staroświeckim zwyczajem i rozlepiono na ścianach zarządzenie burmistrza, że wszyscy Żydzi w wieku od 16 do 50 lat muszą codziennie meldować się w Judenracie. Żadnemu Żydowi nie wolno wydalać się poza obręb miasta bez specjalnej przepustki, wydanej przez Judenrat. Złapani za miastem bez przepustki będą surowo karani i odsyłani do obozów pracy.

23 lipca

Od kilku dni przeciągają przez Szczebrzeszyn ogromne ilości wojska — wszystkie rodzaje broni i co dziwniejsze, że w różnych kierunkach. Spotyka się już samochody francuskie, polskich bardzo dużo. Wielu oficerów i żołnierzy ma przy płaszczach naszyte wstążeczki, czerwone pośrodku z dwoma paskami po bokach, białym i czarnym. Są to jakieś nowe odznaczenia bojowe otrzymane w czasie obecnej wojny. Wszędzie naokoło spotyka się masę wojska: w Zamościu, w Zwierzyńcu, po wsiach; wszystkie place, parki, ogrody, sady zapełnione są samochodami. Nie rozumiemy dokładnie, co to ma znaczyć, bo nie są to zwykłe manewry, a prawdopodobnie przygotowania przeciwko Rosjanom. Ale nikt nie wie, jak jest naprawdę.

Nastrój wśród myślącej części społeczeństwa jest smętny. Z jednej strony widzimy potęgę Niemiec, ich nieprawdopodobne powodzenia wojenne na wszystkich frontach, niespodziewany pełen hańby upadek Francji, a z drugiej, tylko jedną Anglię, na której musimy opierać wszystkie nasze nadzieje. Czy zdoła ona oprzeć się sile Niemców? Czy nie zrezygnuje z dalszej walki kosztem swych sprzymierzeńców, w tej liczbie naszym. Ja wciąż jeszcze zachowuję niezachwianą wiarę i odsuwam od siebie wszelkie złe myśli.

Otrzymałem list z okolic Kassel w Niemczech od byłej praczki szpitalnej, która dobrowolnie zgłosiła się na roboty do Niemiec. Błaga mnie

o to, żebym się postarał o powrót jej do kraju. Pisze, że obchodzą się z Polakami „gorzej jak z psami", że gospodarze jej dbają o nią „jak pies o piątą (!) nogę" itd.

Odbyło się dziś urzędowe przekazanie szpitala przez wydział powiatowy w Zamościu wydziałowi powiatowemu biłgorajskiemu. Posiedzenie trwało kilka godzin zanim załatwiono wszystkie formalności.

Znów zmieniła się komenda placu. Oficerowie rezerwy meldowali się dzisiaj już u nowego Ortskommandanta.

Lekarz powiatowy Biłgoraja, dr Snacki będąc dziś w Szczebrzeszynie zwołał wszystkich lekarzy i podał nam do wiadomości kilka zarządzeń władz niemieckich dotyczących Żydów. Tak więc nie wolno nam wystawiać Żydom żadnych świadectw, zasadniczo nie wolno też i leczyć Żydów, lecz wobec braku w Szczebrzeszynie lekarza Żyda, zgodzono się na to, żebyśmy udzielali Żydom porad, wyznaczając na to jedną godzinę dziennie wyłącznie dla nich, ale tak, żeby w tym czasie nie stykali się oni w naszych poczekalniach z aryjczykami. Następnie zabroniono przyjmować Żydów do szpitala. Wyjątek stanowią choroby zakaźne ze względu na bezpieczeństwo ogółu. Byłem zmuszony zaraz wypisać ze szpitala kilku Żydów z chorobami wewnętrznymi. Co prawda przebywali oni w szpitalu nie tylko z powodu swej choroby, lecz głównie po to, aby tym sposobem uniknąć ewentualnego zabrania do obozu pracy.

Bo też warunki pobytu w tych obozach pracy są istotnie ogromnie ciężkie. Pod Zamościem są takie obozy pracy dla Żydów w Bortatyczach i w Białobrzegach. Roboty polegają na kopaniu rowów celem osuszenia tamtejszych bagien. Muszą więc pracować stojąc w wodzie, odżywiani są bardzo źle, gdyż rodzinom tylko wyjątkowo udaje się czasem dostarczyć im coś do zjedzenia, śpią w barakach w straszliwym brudzie i ciasnocie, przy czym baraki te oddalone są od miejsca pracy o kilka kilometrów. Przestrzeń tę muszą codziennie przebywać pieszo, a za byle przewinienie dostają pałki. Zawszenie ich jest przerażające. Ubrania niektórych wyglądają jakby je kto makiem obsypał. Miałem możność przekonać się o tym, ponieważ wybuchła w Białobrzegach w obozie epidemia tyfusu plamistego i wszystkich chorych stamtąd przysyłano do mnie do czasu, zanim będzie gotów pawilon dla chorych zakaźnych przy szpitalu w Zamościu. Są to młodzi chłopcy przeważnie w wieku 17—20 lat, z rzadka trafi się jakiś Żyd trochę starszy.

26 lipca

Wczoraj późnym wieczorem, dano znać burmistrzowi, że za parę godzin przybywa do Szczebrzeszyna większy transport wysiedlonych, ponad 1.000 osób. Wstałem dziś rano przed 6 i poszedłem na miasto. Dowiedziałem się, że istotnie o północy przybył cały pociąg z wysiedleńcami. Pewna ich część pozostała na Brodach, we wsi położonej przy samej stacji, większość przewieziono furmankami do Szczebrzeszyna. Tu umieszczono ich w hali targowej na rynku i w niedokończonej kamienicy Antoniego Jóźwiakowskiego przy ul. Zamojskiej. Zdołano im naprędce przygotować tylko trochę słomy. Nie można było zdobyć innych pomieszczeń,

bo wszystkie szkoły, kino itd. zajęte są przez wojsko niemieckie. Obszedłem wszystkich wysiedlonych w obydwóch lokalach. Widok był okropny. Ludzie pomęczeni i wyczerpani do ostateczności spali, leżąc pokotem na słomie jeden obok drugiego, zmieszani wszyscy razem, kobiety, mężczyźni, dzieci. Tych jest najwięcej. Oczywiście wszyscy spali w ubraniach, tylko niektórzy pozdejmowali buty. Młodzieży nie ma wcale. Zabrano ją na roboty do Niemiec. Rozmawiałem z tymi, co już nie spali. Tydzień temu którejś nocy nagle zjawili się we wsi Niemcy, kazali im w ciągu niecałej godziny zebrać się i opuścić swoje gospodarstwa. Bo są to wszystko gospodarze wiejscy, zamożniejsi, posiadający od 10 do kilkudziesięciu morgów doskonałej, urodzajnej ziemi. Wyjątek stanowi rodzina b. dyrektora Seminarium Nauczycielskiego w Gostyninie. Pozwolono im zabrać tylko najniezbędniejsze rzeczy. Pochodzą przeważnie z powiątu gostyńskiego, następnie z wieluńskiego i kutnowskiego. Przewieziono ich najpierw do Łodzi, tam trzymano parę dni w jakiejś fabryce, przeprowadzono bardzo dokładną rewizję osobistą i zabrano pieniądze, przy tym bito i poniewierano. Młodzież wysłano stąd w głąb Niemiec.

Trzeba było szybko zorganizować dostarczenie tym nieszczęsnym jakiegoś pożywienia. W kilku miejscach natychmiast ugotowano przede wszystkim kawę, dla dzieci mleko, a potem zabrano się do gotowania obiadu. Kilka razy w ciągu dnia byłem w hali, gdzie wysiedleńców umieszczono najwięcej. Blade, zmizerowane, zgnębione twarze z wyrazem cierpienia i nienawiści, kobiety z zapłakanymi oczami, dookoła ani jednego uśmiechu. Kobietom trudniej aniżeli mężczyznom powstrzymać się od złorzeczeń i przekleństw na sprawców ich obecnej niedoli. Niektórzy nie są w stanie ukryć swej niepohamowanej, żywiołowej żądzy zemsty w przyszłości. Opowiadają straszne rzeczy o tym, co z nimi wyprawiali i jak się obchodzili. Chwytali ludzi ze snu, kazali rzucać swoje dziedziczone z dziada pradziada gospodarstwa, gnali jak stado bydła do najbliższej stacji kolejowej, popędzali i bili pałkami słabszych, kobiety i dzieci, które nie mogąc nadążyć pozostawały w tyle. Przez cały tydzień trzymano ich w okrutnych warunkach w obozie w Łodzi, a potem w wagonach kolejowych. Niemal wszystkie małe dzieci chore są na biegunkę, wśród starszych też jest wyjątkowo dużo chorych. Do Ośrodka Zdrowia, do szpitala i do prywatnych gabinetów lekarzy zgłosiło się o porady około 100 osób. Ośmiu chorych przyjąłem do szpitala, w tym 80-letnią niedołężną staruszkę, której nie dano dokończyć długiego życia w rodzinnej wiosce. Niektórzy tak są wyczerpani i zrezygnowani, że leżą apatycznie na słomie i nie chcą nawet się ruszać, aby wziąć rozdawane jedzenie.

Mają ich teraz rozmieścić po różnych wsiach Zamojszczyzny. Co będą tu robić, z czego żyć, to już nikogo nie obchodzi. Setki bogatych gospodarzy od razu stały się nędzarzami. Ludzie wyzuci z ojcowizny poszli na poniewierkę, która może się ciągnąć nie wiadomo jak długo. Los ich tutaj jest tym cięższy, że nasi gospodarze przyjmują narzuconych sobie przybyszów niechętnie i częstokroć wszystkiego im odmawiają.

Trafiło mi się spotkać ludzkiego Niemca! Przed kilku dniami szofer prowadzący wojskowy niemiecki samochód potrącił na szosie 10-letniego chłopaka z Brodów. Oficer jadący tym samochodem, Oberleutnant, zarządził natychmiastowe przetransportowanie poszkodowanego do szpitala. Wkrótce potem przyjechał sam dowiedzieć się o stan jego zdrowia. Z podziwem patrzyliśmy, jak ten oficer niepokoił się o zdrowie dziecka, jak się o wszystko wypytywał, czy mu co nie grozi, czy nie ma gorączki, czy ma całe kości, czy nie są uszkodzone narządy wewnętrzne itd. Mówił, że sam ma dzieci i dlatego tak go obchodzi potłuczony chłopak. Teraz codziennie przyjeżdża z Zamościa do szpitala, ogląda dziecko, mówi coś do niego, przywozi mu ciasteczka, cukierki, parę razy jeździł na wieś do jego rodziców itd. Dziś dłużej z nim rozmawialiśmy. Jest oficerem rezerwy, walczył we Francji na linii Maginota, odznaczony już po raz drugi Krzyżem Żelaznym. Jest doktorem filozofii, był asystentem przy uniwersytecie, obecnie zajmuje jakieś wyższe stanowisko w banku. Upewnia, że wojna prędko się skończy, w każdym razie przed zimą!

Wczoraj po południu podano do wiadomości publicznej, że dzisiaj Żydom od 7 rano, chrześcijanom zaś od 8 nie wolno wychodzić na ulicę aż do odwołania. Przypuszczano, że przez Szczebrzeszyn będzie przejeżdżał generalny gubernator Frank. Od świtu zaczęto zamiatać szosę, usuwać śmiecie, pokrapiać wapnem rynsztoki itp. O 7 Żydzi już się pochowali, lecz i aryjczyków było bardzo mało, bo jakoś ludzie nie mieli wielkiej ochoty wyłazić z domów, żeby się na coś nie narazić. Tymczasem przed samą 8 telefonicznie dano znać z Zamościa, że zakaz ten częściowo ulega zmianie, gdyż chrześcijanom zezwolono przebywać na ulicach. Po mieście kręcili się żandarmi w hełmach i pilnie wszystko obserwowali. Już było wiadome z pewnością, że będzie jechał do Biłgoraja generalny gub. Frank. Około 11 przez miasto przemknął sznur samochodów z Frankiem i jego świtą. Dużo było gestapowców i żołnierzy trzymających w rękach karabiny gotowe do strzału. Były też karabiny maszynowe.

Gubernator Frank po drodze zwiedził fabrykę „Alwa" przy stacji Szczebrzeszyn. Inż. Waligórze zawczasu kazano stać przed bramą i tu go oczekiwać. Gdy tylko samochody się zatrzymały, wyskoczyli z nich żołnierze z karabinami maszynowymi i w jednej chwili obsadzili cały teren fabryczny. Robili to, jak opowiadał mi sam inż. Waligóra, niesłychanie szybko i sprawnie.

Przy wjeździe do Zwierzyńca stała brama tryumfalna z jakimś napisem. Cała droga od tej bramy aż do biura ordynacji była udekorowana flagami. W Biłgoraju spotykała go banderia ukraińska. Po południu Frank wracał na Zamość tą samą drogą.

1 sierpnia

Byłem wczoraj w Lublinie w Polskim Czerwonym Krzyżu. Tak dawno już nie jechałem koleją, że z ciekawością przyglądałem się wszystkim jadącym. Zauważyłem, że dzisiejsi pasażerowie są zupełnie inni, aniżeli w normalnych czasach przed wojną. Są to sami drobni han-

dlarze „temporis belli", trafnie przez Rosjan w czasie wielkiej wojny przezwani „mieszocznikami", to znaczy dosłownie handlarze workowi. W przedziale, w którym jechałem, jak również i w sąsiednich, pomimo tłoku nie było wśród rzeszy pasażerów ani jednej walizki, same tylko worki, toboły, skrzynki drewniane, jakieś blaszanki, koszyki itp. Przy przesiadaniu do innego pociągu w Rejowcu ludzie się pchali, klęli siebie nawzajem w niemożliwy sposób. Zwłaszcza jedna warszawska jejmość soczyście wymyślała jakiemuś jegomościowi od „ciężkiej idioty". Używała przy tym dość znacznego kompletu wyrażeń rosyjskich, które wymawiane nie rosyjskim akcentem i w dodatku przez kobietę, brzmiały bardzo swoiście i niemało mnie ubawiły. Droga powrotna w godzinach nocnych w wagonach nieoświetlonych, pogrążonych w zupełnej ciemności, miła nie była.

Lublin robi wrażenie bardzo nieprzyjemne. Na ulicach pełno Niemców, w tym wyjątkowo dużo gestapowców. Sporo już jest niemieckich sklepów, z niemieckimi szyldami. Cukiernia Rutkowskiego, restauracja Radzimińskiego, najpopularniejsze w Lublinie, zajęte przez Niemców i Polakom wstęp do nich wzbroniony. Na narożniku „Hotelu Europejskiego" przybito nową tabliczkę z napisem „Krakauer Strasse" literami gotyckimi. Na Krakowskim Przedmieściu kilka domów całkowicie zburzonych. Niesamowicie wyglądają ulice tuż za bramą Krakowską: wszystkie domy aż do Starego Rynku po jednej i drugiej stronie zniszczone, przedstawiają same rumowiska. Dziwna martwota wieje z tych ruin. Zachodziłem do katedry. Wnętrze ocalało, cały front zburzony. Sterczą tylko samotnie dwie kolumny, z dwóch innych leżą szczątki wśród gruzów na placu przed katedrą.

W PCK wre usilna praca. Widziałem się z prezesem drem Czerwińskim, z drem Danielskim, b. naczelnikiem wydziału zdrowia w województwie. Niedawno wypuszczono ich z więzienia. Od nich dowiedziałem się, że wielu lekarzy lubelskich było aresztowanych: Voit, Kossowski, Lerkam, Freitag, Fijałkowski, Dziemski i inni. Drożdż i Dobrzański zostali wywiezieni do obozu w Oranienburgu. Do głębi poruszyła mnie wiadomość o rozstrzelaniu dra Wacława Niechaja, młodego lekarza, liczącego zaledwie 35 lat. Urodził się on w Szczebrzeszynie, kończył gimnazjum w Zamościu, medycynę studiował w Wilnie. Praktykę wakacyjną jako student odbywał u mnie w szpitalu i dlatego tak dobrze go znałem. Pozostała po nim wdowa z paroletnim dzieckiem.

Niemcy i Ukraińcy obejmują stopniowo coraz więcej stanowisk w Lublinie. Ostatnio w szpitalu ss. szarytek usunięto dyrektora Modrzewskiego i mianowano lekarza Niemca, który od razu zaczął zaprowadzać nowe porządki. W tych warunkach praca lekarzy polskich staje się coraz trudniejsza.

Wrócił dziś do Szczebrzeszyna z obozu w Oranienburgu młody mgr Czesław Szczygłowski. Razem z nim przyjechał insp. Szczepaniec i jeszcze kilka osób z Zamojszczyzny. Niestety, rejent Rosiński i inni pozostali nadal w obozie.

Wczoraj, podczas mojej nieobecności, przyszli żandarmi niemieccy z policjantem i przeprowadzili rewizję w zabudowaniach gospodarczych szukając żelaza i miedzi. Odeszli nic nie zabierając.

2 sierpnia

Był dziś u mnie kol. dr Edward Stocki z Krakowa. Dużo opowiadał mi o obecnym życiu krakowskim, o rozgrabieniu Biblioteki Jagiellońskiej, Muzeum Narodowego, o zniszczeniu niektórych pomników, o losie znanych nam dobrze profesorów krakowskich i specjalnie o prof. Kostaneckim, tak powszechnie szanowanym i lubianym przez wszystkich b. wychowanków Uniwersytetu Jagiellońskiego. Razem z innymi profesorami został on aresztowany i przewieziony do obozu w Oranienburgu, gdzie zmarł na zakażenie po przebytej róży w wieku lat 77.

5 sierpnia

Burmistrz Borucki powziął projekt przerobienia spalonej bóżnicy żydowskiej na kino miejskie. Sprowadził z Zamościa inż. Klimka i ten przez dwa dni robił odpowiednie pomiary i szkice. Przerażeni Żydzi dowiedziawszy się o tym, przysłali zaraz do mnie delegację, składającą się z trzech najpoważniejszych członków kahału, prosząc o radę, co mają robić, żeby do tego nie dopuścić. Cóż im w dzisiejszych warunkach mogłem poradzić?! Powiedziałem ażeby się udali do Boruckiego.

Dziś od rana znów wśród Żydów silne poruszenie, ale już z innego powodu. Niespodziewanie przyjechało tu dużo żandarmów, którzy przy udziale miejscowej policji niemieckiej obstawili sklepy żydowskie i zaczęli zabierać towary. Podobno mają je oddać spółdzielniom chrześcijańskim.

8 sierpnia

Dziś w południe zjawili się gestapowcy w domu najbliższego sąsiada szpitalnego, Michała Bryłowskiego, chcąc go aresztować. Michał Bryłowski był podoficerem zawodowym, mieszka obecnie z żoną u ojca. Nie zastali go w domu, wobec czego zabrali w charakterze zakładników żonę jego i młodszego brata Zygmunta, kilkunastoletniego ucznia gimnazjum i wywieźli ich do więzienia w Zamościu.

Wśród Żydów znów płacz i lament. Trzystu mężczyzn musi pójść do obozu pracy. Już wręczono im imienne wezwania. Mają się wszyscy stawić w poniedziałek 12 sierpnia.

Drugą przyczyną niepokoju jest wiadomość, że władze niemieckie powzięły jakoby zamiar usunięcia z mieszkań wszystkich Żydów z ulicy Zamojskiej i z rynku. Dokąd mieliby się przenieść i czy znaleźliby dla siebie jakieś pomieszczenie, to już nikogo nie obchodzi.

11 sierpnia

U Żydów przed jutrzejszą branką niebywałe podniecenie i niepokój. Sami Żydzi w zaufaniu mówili mi, że bardzo dużo tych, którzy dostali

wezwania, uciekło, wobec czego wszyscy są teraz w strachu, bo będą chwytać kogo tylko się da. Zdaje się, że obawiają się jakichś gwałtów nie tylko ze strony Niemców, zwłaszcza wobec paru wypadków, jakie już miały tu miejsce. Wczoraj pod wieczór uderzeniem kamieniem w głowę został zabity 11-letni Izrael Grojser. Dziś wieczorem przyprowadzono do szpitala Żydówkę również z rozbitą głową. Do szpitala zgłasza się dużo Żydów z prośbą o przyjęcie lub ukrycie chociażby tylko na dzisiejszą noc i jutrzejszy dzień. Oczywiście wobec kategorycznego zakazu przyjmowania Żydów do szpitala, odmawiam. Przyjąłem tylko jednego, mającego na piśmie zezwolenie na to od Ortskommandanta.

Jeździliśmy dziś z żoną do Zwierzyńca. Po drodze widzieliśmy wyjątkowo dużo Żydów, którzy uchodzili z miasta. Jeszcze nigdy nie widziałem wśród nich tak silnego niepokoju.

12 sierpnia

Przez całą noc Żydzi chyłkiem opuszczali miasto. Przez parę godzin w nocy i o świcie stałem w oknie i przez lornetkę obserwowałem wszystko, co się działo. Uciekli lub ukryli się nie tylko ci, którzy mieli wezwania, ale prawie wszyscy mężczyźni Żydzi! W rezultacie dziś rano zamiast 300 ściągnięto zaledwie 50 Żydów. Zaczęła się więc obława na mieście i w pobliskich wsiach. Brali w niej udział oprócz policji i dwóch milicjantów, dość liczni obywatele miasta na ochotnika, z burmistrzem Boruckim na czele. Jednak obława ta nie dała prawie żadnego rezultatu, gdyż złapano tylko kilkunastu Żydów. Starców zatrzymano w areszcie, resztę popędzono do stacji kolejowej. Na ulicach miasta widać teraz wyłącznie tylko same Żydówki i dzieci. Nastrój wśród nich okropny. Przygnębienie i rozpacz ogarnęły ich całkowicie.

W południe obębniono obwieszczenie władz niemieckich, że każdy Żyd, który miał wezwanie i nie stawił się, będzie rozstrzelany, gdy go tylko znajdą. Nie wiadomo co będzie dalej. Jedno jest pewne, że Niemcy nie przejdą nad tym do porządku dziennego i obmyślą coś, ażeby pokazać, że ich zarządzenia muszą być wykonywane.

Przed wieczorem zaszedł do mnie ks. kan. Cieślicki. Od razu zorientowałem się, że musiało zajść coś ważnego, skoro ksiądz sam do mnie przychodzi, bo się to dotychczas nie zdarzało. Sprowadziła go do mnie sprawa b. cerkwi w Szczebrzeszynie. Jest to historia dość ciekawa, lecz żeby ją przedstawić muszę cofnąć się trochę wstecz.

Istnieje w Szczebrzeszynie b. kościół grecko-katolicki, zbudowany w XVI wieku. Po zniesieniu unii, w sześćdziesiątych latach ubiegłego stulecia, kościół ten przerobiono na cerkiew prawosławną. W czasie wielkiej wojny, po wyjściu Rosjan, cerkiew opustoszała i w zupełnym zaniedbaniu ulegała coraz większemu zniszczeniu. Na początku 1938 r., kiedy modna stała się akcja zwalczania prawosławia i krzewienia siłą katolicyzmu (czym na terenie Zamojszczyzny gorliwie kierował dowódca III dywizji gen. Olbrycht), grupa osób z ks. Cieślickim i inż. Waligórą na czele któregoś dnia na własną rękę przystąpiła do rozbiórki dachu na



b. cerkwi. Dowiedziawszy się o tym byłem oburzony, gdyż takie niszczenie budowli z XVI wieku uważałem za jawną samowolę i bezprawie. Interwencja moja u starosty nie dała żadnego rezultatu. Zatelefonowałem więc do rejenta Rosińskiego jako prezesa Towarzystwa Krajoznawczego w Zamościu. Ten natychmiast zawiadomił Towarzystwo Opieki nad Zabytkami w Warszawie. Odniosło to ten skutek, że po wielu konfliktach, w kilka tygodni potem, dalsza rozbiórka cerkwi została ostatecznie wstrzymana. Ruiny budynku miano zakonserwować jakimś nowoczesnym sposobem w takim stanie, w jakim znajdowały się w danej chwili. Owo zakonserwowanie pozostało, naturalnie, jedynie czczym projektem.

Otóż wczoraj rano zjawił się u ks. Cieślickiego jakiś jegomość, podający się za przedstawiciela grupy prawosławnych obywateli powiatu i oznajmiwszy, że jest dobrze i szczegółowo poinformowany o przebiegu sprawy rozbiórki cerkwi, o inicjatywie księży katolickich, o użyciu blachy na pokrycie dachu nowego domu parafialnego w Szczebrzeszynie, a innych materiałów na kościółek w Tworyczowie itp., w zupełnie grzecznej i uprzejmej, lecz równocześnie i kategorycznej formie zażądał od księdza doprowadzenia cerkwi do dawnego stanu kosztem inicjatorów jej rozbiórki. Oczywiście ks. kanonik znalazł się w niemałym kłopocie i przyszedł do mnie po pewne dane historyczne dotyczące tej b. cerkwi.

13 sierpnia

Dziwny był dzisiaj dzień targowy. Jarmark duży i ani jednego Żyda. Trochę tylko Żydówek, którym nie wszystkie baby chciały sprzedawać przyniesione produkty. Być może wpłynęło to i na ceny, które wybitnie spadły. Za masło np. płacono po 8—9 zł za kg, zamiast poprzednich 12—14, za jajka po 13—15 gr, za kurczęta po 1 zł 50 gr itd. Nie bez znaczenia było i to, że zjawiło się na targu dużo Niemców, którzy płacili całkiem niskie ceny (np. za jaja po 6 gr) i baby starały się jak najprędzej wyzbyć się towaru po cenach wyższych.

W nocy szukano trochę Żydów, lecz z małym powodzeniem. Wszyscy z przejęciem oczekują, co będzie dalej z Żydami.

14 sierpnia

Od północy zaczęło się szukanie i łapanie Żydów. Obudziło nas dobijanie się do żydowskich domów naprzeciwko. Na naszej ulicy w „robocie"

tej brali udział woźny z magistratu i dwóch młodych cywilów na ochotnika. Magistrat wyznaczył za każdego Żyda 5 zł, które musiał wypłacić sam złapany. Obława trwała całą noc, do 5 rano. Wciąż słychać było krzyki i dobijanie się do drzwi i okiennic. Po godz. 2 hałas i wrzaski jeszcze się wzmogły. Prawie cały czas stałem w oknie i obserwowałem co się dzieje. Z Zamościa przyjechali żołnierze i dopiero zaczęło się na dobre. Chodzili i szukali po tych samych domach, gdzie już poprzednio byli cywile.

To ciągłe wyglądanie przez okno naraziło mnie na pewną nieprzyjemność. O świcie patrol żołnierzy dobierał się do Żydów naprzeciw szpitala. Stałem tuż przy oknie oparty o ścianę z boku i patrzyłem przez lornetkę. Nie spostrzegłem oficera, który właśnie w tym momencie wychodził z malutkiej uliczki naprzeciwko mojego okna. Ten mnie zauważył i zaczął coś wrzeszczeć. Cofnąłem się w głąb pokoju nie będąc pewny, czy krzyczy on na mnie, czy też do żołnierzy. Za małą chwilę oficer ten z jednym żołnierzem był już w moim mieszkaniu. Żona zdążyła jeszcze wyrzucić lornetkę przez okno do małego ogródka od podwórza. Oficer rzucił się na mnie z oskarżeniem i pretensją, że patrzyłem przez lornetkę, że nie usłuchałem jego wezwania i nie dałem od razu wyjaśnienia. Upewniłem go, że żadnej lornetki nie miałem, tylko rękami przytrzymywałem okulary, żeby lepiej widzieć w szarzyźnie świtu i wytłumaczyłem dalej, że nie zrozumiałem czy krzyczał do mnie czy do żołnierzy i dlatego odszedłem od okna. Ciskał się jeszcze jakiś czas, powiedział mi, że gdybym był porządnym dyrektorem szpitala, to od razu udzieliłbym mu przez okno informacji, że tu jest polski szpital i nie ma w nim żadnych Żydów. Natomiast mieszkają oni w tym domu naprzeciw. Zagroził mi jeszcze, żeby to się więcej nie powtórzyło, bo w przeciwnym razie... itd. No i poszedł sobie. Ubawił mnie przy tym fakt, żem przyjął tego oficera i rozmawiał z nim, będąc w jednej tylko nocnej koszuli i zupełnie nie zwracałem uwagi na nawoływania żony „włóż spodnie, włóż spodnie". Żona zaś przez cały dzień nie mogła przyjść do siebie ze strachu, że zdarzenie to pociągnie może jakieś niemiłe dla mnie konsekwencje.

W wyniku nocnej obławy wywieziono do Zamościa dwie pełne ciężarówki Żydów. Złapanych bito niemiłosiernie. We wszystkich domach żydowskich panuje straszne przygnębienie, w niektórych beznadziejna rozpacz. Sytuacja pozostałych staje się tym gorsza, że bardzo wiele Żydówek nie ma ani grosza i że kupcy chrześcijańscy przeważnie nie chcą im nic sprzedawać. Zwłaszcza mieszczanki szczebrzeskie odpędzają Żydówki na targu od bab wiejskich, sprzedających produkty spożywcze. Jestem o tym dobrze poinformowany głównie przez rodzinę naszego rzeźnika szpitalnego Lejzora Zero, który sam uciekł na wieś, a tu pozostawił żonę z matką i czworgiem drobnych dzieci. Musimy im pomagać nie tylko pieniężnie, lecz także kupując dla nich takie produkty jak chleb, kartofle itp. Jak dziwnie zmieniają się role!

W południe pojechaliśmy z żoną, która ze strachu nie chciała puścić mnie samego, do Zamościa. Po kilku godzinach wracaliśmy stamtąd pod przygnębiającym wrażeniem, jakie Zamość robi teraz na każdym. Już przy wjeździe rzuca się w oczy brak sztachet żelaznych koło kolegiaty i koło sądu, a dalej jakoś wyjątkowo dziwnie wygląda na trawniku przed

kolegiatą figura Matki Boskiej z utrąconą głową. Zapewne widok figury bez głowy raził nawet Niemców, bo nie protestowali, gdy władze kościelne postawiły przed figurą duży krzyż drewniany.

Dowiedziałem się trochę szczegółów o straceniu w Lublinie 42 więźniów, wśród których było sporo bardzo popularnych na terenie Zamościa osobistości, o czym wspominałem poprzednio. Teraz nie ma już żadnych wątpliwości, gdyż do magistratu w Zamościu nadeszły wykazy straconych.

Inspektor Szczepaniec opowiadał mi trochę o obozie w Oranienburgu i o rejencie Rosińskim. Wszystko takie potworne, nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Pożegnaliśmy pp. Sochańskich, którzy całkiem opuszczają Zamość. Starosta już wyjechał do Krakowa, ona wyjeżdża w najbliszym czasie. Mówiliśmy o „Tece Zamojskiej", o moich zamierzeniach wydawniczych na przyszłość i rozstawaliśmy się z przekonaniem, że do rozpoczętej przez nas wspólnej pracy jeszcze kiedyś powrócimy.

Trudno jest oswoić się z kartkowym systemem nabywania najzwyklejszych przedmiotów. Korzystając z tego, że jesteśmy w Zamościu, gdzie sklepy są znacznie lepiej zaopatrzone w towar aniżeli w Szczebrzeszynie, żona chciała kupić kilka rzeczy do gospodarstwa domowego, lecz okazało się, że takie przedmioty jak np. tarka, zmywaki druciane, talerze fajansowe itp. można nabywać tylko na kartki. Przez znajomość udało się nam kupić jedną tarkę bez kartki, lecz żona musiała ukryć ją w ręcznej torbie, ażeby nie narazić firmy na duże przykrości i kłopoty w razie sprawdzenia przez Niemców, co się wynosi ze sklepu. Notuję ten szczegół dla oświetlenia panujących stosunków i warunków, w jakich musimy żyć.

16 sierpnia

Dowiadujemy się, że stopniowo Niemcy wyłapują coraz więcej Żydów w naszej okolicy. Zresztą to samo dzieje się we wszystkich miasteczkach naszego i sąsiednich powiatów. Całymi pociągami wywożą ich do Bełżca.

Wszędzie daje się wyczuć ogromne podniecenie i zdenerwowanie. Słyszy się o nowych masowych aresztowaniach w Warszawie. Ogłoszono zarządzenie o konieczności zgłoszenia się do rejestracji wszystkich oficerów zawodowych, rezerwy i nawet emerytów. Uchylającym się grozi kara śmierci. Ma być również przeprowadzona ścisła rejestracja wszystkich mężczyzn od 16 do 25 lat. Coraz uporczywiej mówią ludzie o bliskiej wojnie niemiecko-rosyjskiej. Jakiś czas trochę z tym przycichło, a teraz na nowo jadą duże transporty kolejowe z wojskiem w stronę Hrubieszowa i Bełżca, szosą przeciągają liczne kolumny samochodowe, tam i z powrotem wciąż jeżdżą szczelnie zasłonięte wozy sanitarne, opatrzone czerwonym krzyżem. Wszyscy żyją w jakimś chorobliwym napięciu, wszyscy czekają lada dzień czegoś nadzwyczajnego. I tak to wszystko człowieka męczy, wyczerpuje nerwowo, że chwilami naprawdę żyć się już nie chce, a tu nie wolno pokazać po sobie najmniejszej słabości, trzeba wytrwać, trzeba przetrzymać...

18 sierpnia

Wczoraj gestapowcy przeprowadzili rewizję w Radecznicy na terenie klasztornym i aresztowali szereg osób, głównie spośród wysiedlonych z Wągrowca. Szczegółów na razie nie znam.

Bardzo przykre zdarzenie zaszło w Tworyczowie. Gospodarz miejscowy, niejaki Jan Wasilik, zameldował władzom niemieckim, że jego rodzony brat, sierżant zawodowy, przyjechał z Warszawy, przywiózł ze sobą rewolwer i jakieś tajne gazetki, które daje chłopom do czytania. Doniesienie to zrobił po jakiejś kłótni z bratem. Zjechali do wsi gestapowcy na obławę. Sierżant uciekł, lecz aresztowano ojca jego i jeszcze dwóch chłopów, którzy czytali owe gazetki. Opowiadał mi o tym sam Jan Wasilik w pełnym przeświadczeniu o słuszności swego postępku, a spotkałem się z nim, gdy zabierał chorą żonę ze szpitala.

W Sułowcu aresztowano rzemieślnika Władysława Papugę, którego oskarżają o przynależność do tajnej organizacji.

20 sierpnia

Byłem dziś w Biłgoraju. Wszyscy lekarze ze Szczebrzeszyna i ze Zwierzyńca zostali wezwani na 9 rano do lekarza powiatowego dra Snackiego na konferencję i dla przedstawienia się landratowi. Pojechaliśmy okropną starą ciężarówką, która bez obciążenia trzęsła nas w straszliwy sposób.

Jechaliśmy dość szybko, a ponieważ od czasu wojny nie jeździłem dalej jak do Zwierzyńca, więc z ciekawością obserwowałem dalszą drogę wypatrując śladów działań wojennych i gospodarki niemieckiej. Przykro mi było patrzeć na leżące jeszcze gdzieniegdzie przy szosie szczątki polskich samochodów. Poza tym nic nadzwyczajnego aż do samego Biłgoraja. Dopiero przy wjeździe do miasta zaczyna się obraz strasznego zniszczenia. Właściwie miasta tu nie ma. Wszystkie domy bez wyjątku zburzone, a ruiny obficie porosły już trawą, gdyż nikt nic nie odbudowuje. Jedzie się wśród tych szczątków domów cały czas aż do rynku, również całkowicie zniszczonego. Tylko pośrodku niego ocalał długi, wąski parterowy budynek, lecz i ten jest z jednej strony mocno uszkodzony. Dalej naokoło to samo. Obecne miasto zaczyna się daleko poza rynkiem i całe życie koncentruje się na głównej ulicy, prowadzącej w kierunku Puszczy Solskiej i Tarnogrodu. Tu mieszczą się wszystkie urzędy, sąd, starostwo itp. Pozostało jeszcze kilka bocznych ulic. Podobnego zniszczenia nigdy dotąd nie widziałem.

Na wspomnianej głównej ulicy na każdym kroku widzi się napisy i szyldy w języku niemieckim. To samo naturalnie i w starostwie.

Najpierw u specjalnego urzędnika Niemca, niejakiego Pradeloka, mówiącego dość znośnie po polsku, zarejestrowaliśmy się jako oficerowie rezerwy. Oczekiwała tu długa kolejka b. oficerów Armii Polskiej, którzy pod groźbą kary śmierci, z konieczności przyszli do zarejestrowania się i to w ostatnim terminie. Niektórzy, dotychczas unikający meldowania,

długo wahali się, nie wiedząc co robić, ponieważ takie wpisanie na listę byłych ofcerów w znacznym stopniu zwiększa niepewność losu każdego z nas.

Potem nastąpiła prezentacja 9 lekarzy u landrata zwanego Kreishauptmanem. Jest to młody trzydziestokilkuletni elegancki mężczyzna, bardzo pewny siebie. Jak twierdzą, ożeniony jest z rodzoną siostrą ministra Hessa, zastępcy Hitlera. Przyjął nas w swym dużym gabinecie rozparty w wygodnym fotelu przed biurkiem. Myśmy też siedzeli, tylko dla 4 młodszych kolegów nie starczyło już krzeseł, więc cały czas stali. W gabinecie na ścianach wiszą portrety Hitlera, Goeringa i Hessa, a także kilka map Polski i powiatu biłgorajskiego. Obok biurka stoi etażerka z księgami urzędowymi i regestratorami, a dalej oszklona szafa szczelnie wypełniona książkami niemieckimi z błyszczącymi barwnymi grzbietami obwolutów.

Dr Snacki jako lekarz powiatowy przedstawił każdego z nas z osobna. Rozmowa sprowadziła się wyłącznie do pytań zadawanych przez Kreishauptmana. Zaczął ode mnie jako dyrektora szpitala. Tłumaczem był kol. Likowski. Gdy mu powiedziałem, że proszę o interwencję w hurtowni biłgorajskiej w sprawie węgla, zaraz tam zatelefonował i oświadczył mi, że pierwszy wagon znajdujący się już w drodze przeznaczony jest dla szpitala, zaznaczył przy tym, że o węgiel dla osób prywatnych będzie w tym roku bardzo trudno. Zapytał mnie jeszcze o liczbę chorych zakaźnie, o stan gospodarki szpitalnej i zakończył zapewnieniem, że będzie ze mną o wszystkim mówił szczegółowo w czasie bytności swej w Szczebrzeszynie. Następnie zainteresował się trochę szpitalem w Zwierzyńcu, a na ostatek zwrócił się do nas wszystkich i powiedział, że jeżeli dostaniemy jako lekarze przepustki nocne, to nie wolno nam będzie korzystać z nich dla celów prywatnych. Na tym cała ceremonia się zakończyła. Landrat wstał i zaczął się z nami żegnać. Gdy już wychodziliśmy, nagle zatrzymał mnie i kol. Likowskiego. Znów usiedliśmy i posypały się nowe pytania: czy szpital ma ziemię, ile ma koni, jaka jest bryczka, a to dlatego, że właśnie taka bryczka bardzo jemu by się przydała. Odpowiedziałem na to, że doskonałe bryczki robią Korba i Kabas w Zamościu. Zanotowałem w kalendarzu nazwisko i adres i tylko jeszcze zapytał, czy oni robią i sanki. Ależ naturalnie i sanki też! Zapobiegliwy i przewidujący landrat musi przecież myśleć i o zbliżającej się zimie polskiej...

Wychodząc ze starostwa spotkałem starego ks. kan. Koziołkiewicza, proboszcza biłgorajskiego. Opowiadał mi o zniszczeniu kościoła, z którego pozostały tylko mury i żalił się, że przed trzema dniami przyszli do niego gestapowcy i kazali od razu opuścić mieszkanie, które zajmował po spaleniu plebanii we wrześniu ub. r. Pozwolono mu zabrać tylko bieliznę, ubrania, książki i zapasy spiżarniane, całe umeblowanie zaś musiał pozostawić na miejscu.

W tym czasie na mieście sunął długi sznur furmanek z dopiero co przybyłą nową partią (około 100 osób) wysiedlonych z północno-zachodnich powiatów Polski.

Wracaliśmy tą samą ciężarówką, tylko już naładowaną rozmaitym to-

warem. Siedzieliśmy na wierzchu na jakichś skrzyniach. Było nam trochę niewygodnie, ale za to mniej trzęsło.

Jechałem silnie przygnębiony i widokiem Biłgoraja, jednego z tak licznych polskich miasteczek zniszczonych przez wojnę, i obecne rządy Niemców (do czego niektórzy ludzie w zadziwiający sposób już się przyzwyczaili przystosowali) i niedolą wysiedlonych, wśród których przeważały same drobne dzieci.

Pod wieczór odwiedził mnie znany krytyk literacki prof. Jerzy Płomieński, który wskutek wojny musiał wyjechać z Warszawy. Mieszka obecnie gdzieś w zapadłej wsi w pow. hrubieszowskim i szuka teraz dla siebie jakiejkolwiek dorywczej pracy.

21 sierpnia

W ciągu ostatnich kilku dni Żydów nie łapano. Zaczęli więc powoli powracać do miasta i coraz więcej już było ich widać na ulicach. Aż nagle dziś rano zjawił się oddział żandarmerii i wojska i zaczęło się na nowo szukanie Żydów po domach. Zatrzymano sporą liczbę, lecz koło godz. 3 wypuszczono, z tym, że jutro wszyscy mężczyźni Żydzi stawią się w Urzędzie Pracy w Zamościu, gdzie nastąpi dokładna ich selekcja. Starzy, chorzy i niektórzy rzemieślnicy, których na razie nie mogą zastąpić chrześcijanie (np. kamasznicy), będą zwolnieni od pracy w obozie i dostaną odpowiednie zaświadczenia, zabezpieczające ich przed dalszym łapaniem.

22 sierpnia

Dziś rano kazano wszystkim Żydom zamieszkałym przy ulicy Zamojskiej od frontu usunąć się ze swych mieszkań. Wyjątek zrobiono tylko dla lekarza dentysty Bronszteina.

23 sierpnia

Zjawił się w szpitalu lekarz niemiecki z dystryktu lubelskiego i przeprowadził ścisłą inspekcję. Zaglądał wszędzie, wszystko szczegółowo notował. Zachowywał się zupełnie przyzwoicie, nie tak jak ten, który kiedyś był w szpitalu w Zamościu. Był to jakiś ordynarny cham, który wrzeszczał i wymyślał w niemożliwy sposób.

26 sierpnia

Ukazało się na mieście nowe obwieszczenie, które równocześnie obębniono, ażeby zwrócić nań większą uwagę. Przytaczam go w całości jako charakterystyczny dokument chwili i panującego reżimu:

„24 sierpnia 1940 r. Zarząd Miejski podaje do wiadomości, że przechodzenie ulicą Zamojską dla ludności żydowskiej jest zabronione.

Żydzi nie mają również wstępu do Magistratu.

Winni nieprzestrzegania tego zakazu będą surowo karani.

Sprawy ludności żydowskiej będą załatwiane przez burmistrza w lokalu Rady Żydowskiej.

Przepis powyższy nie dotyczy członków Rady Żydowskiej, robotników udających się do pracy oraz tragarzy przejeżdżających ulicą Zamojską z towarami.

Burmistrz (—) Borucki".

27 sierpnia

Dowiedziałem się trochę bardziej dokładnych szczegółów o aresztowaniach w Radecznicy. Gestapowcy przyjechali tam szukając braciszka zakonnego Apolinarego. Nie zastali go w domu, lecz przeprowadzili rewizję i zabrali tylko jakieś jego notatki, notesy itp. Następnie aresztowali tych, z którymi ów braciszek był w najbliższych stosunkach, a więc podoficera zawodowego Józefa Marka i wysiedloną z Wągrowca rodzinę technika budowlanego Szymańskiego (żona, kilkunastoletnia córka i on). W czasie rewizji na strychu domu, w którym mieszczą się wszyscy wysiedleni, znaleziono karabin. Wobec tego aresztowano 14 mężczyzn. Nadto zabrano byłego zakonnika ks. Emila Serokę, zastępcę gwardiana i żonę nauczyciela, Zdunkiewiczową, zamiast męża, który ukrył się w ostatniej chwili. Odwieziono wszystkich do Zamościa i osadzono w więzieniu. Jaki będzie ich dalszy los — nie wiadomo.

29 sierpnia

Zamknięto w mieście wszystkie sklepy żydowskie, piwiarnie, cukiernie, budki z wodą sodową itp. Na handle te i większość sklepów odbyła się już licytacja. Stanęli do niej przeważnie przybysze z północno-zachodnich stron Polski, powszechnie zwani tu „poznaniakami". Niektórzy miejscowi obywatele przystąpili do cichej spółki z Żydami, b. właścicielami sklepów.

Do przytoczonego poprzednio zakazu chodzenia Żydom po ulicy Zamojskiej prawie nikt się nie stosuje i pełno ich jest wszędzie.

1 września 1940 r.

Mija dziś rok od dnia wybuchu wojny. Mimo woli sięgamy myślą wstecz i robimy swoisty roczny bilans. Przeglądam od początku swój pamiętnik i widzę jak nawet z tak krótkiej perspektywy czasu różne zjawiska i wydarzenia nabierają innego zabarwienia i znaczenia. Przekonuję się równocześnie o ile większą wartość, jako dokument historyczny, mają dzienniki, nieraz mało krytyczne, lecz pełne wrażeń świeżych i bezpośrednich, aniżeli wspomnienia pisane po upływie

chociażby nawet krótkiego czasu, który jednak zawsze wpływa na nastawienie piszącego i zmienia cały koloryt dawniejszych przeżyć.

W moim dotychczasowym, przeszło półwiekowym życiu, rok ten był najcięższy. Jakoś go przetrwałem i mam wrażenie, że pomimo wszystko co przeżyłem jestem w względnie dobrej formie psychicznej, która pozwoli mi przetrzymać jeszcze niejedno, aby tylko nie zawiodło zdrowie fizyczne, mianowicie serce.

Z życia umysłowego rok ten był wyrwany najzupełniej. Nie byłem w stanie ani studiować czegokolwiek, ani prowadzić jakichś badań archiwalnych, historycznych, ani opracowywać zebranych przez siebie obfitych materiałów źródłowych, zwłaszcza do dziejów medycyny w Zamojszczyźnie. Przycichły też i moje zamiłowania kolekcjonerskie. Księgozbiór powiększył się zaledwie o kilkanaście pozycji, przybyło mi tylko sporo rozmaitych dokumentów, odnoszących się do przeżywanego okresu. Wpływa na to niepewność, czy uda się uratować i zachować to, co się już posiada i chęć oszczędzenia sobie bólu, w razie utraty wszystkich swych zbiorów, gromadzonych aż do ostatniej chwili.

Pod wieloma względami zatrzymaliśmy się w naszym rozwoju. Jesteśmy całkowicie odsunięci od życia intelektualnego. Nie wiemy nic, dosłownie nic, co się dzieje na świecie w zakresie nauki, literatury, sztuki. W Polsce ruch umysłowy zamarł zupełnie. W ciągu roku, o ile mi wiadomo, nie ukazała się ani jedna książka polska, z wyjątkiem licznych słowników i samouków języka niemieckiego. Pism polskich nie posiadamy żadnych. Gazety drukowane w języku polskim w Warszawie, Krakowie, Lublinie, ze względu na tendencję są jeszcze gorsze od dzienników niemieckich. Gazet tych nie kupuję z zasady i nie czytam, bo mam do nich nieprzezwyciężony wstręt. Od czasu do czasu na chwilę wpada nam do rąk, często zaczytana na strzępy, gazetka nielegalna, jakaś „Walka" „Pobudka", „Szaniec" lub coś w tym rodzaju, lub odbijane na powielaczu komunikaty radiowe. Wiadomości czerpane z tych źródeł należy brać również krytycznie. To samo dotyczy rzekomych wiadomości radiowych. W dziedzinie tej ponosi ludzi nieprawdopodobna fantazja. Tak więc właściwie nigdy nie jesteśmy dobrze i zgodnie z istotną prawdą poinformowani o przebiegu działań wojennych, o ogólnej sytuacji politycznej i o stanie państw walczących. A tymczasem wciąż na wszystkie strony ciekawie nastawiamy ucha, aby tylko usłyszeć coś, co by nas podtrzymało na duchu i nie uszczuplało naszej wiary w lepszą przyszłość i w nasze ostateczne zwycięstwo.

Ludzie żyją u nas w kręgu swych spraw materialnych, osobistych, w trosce o chleb powszedni, w pogoni za zdobyciem środków na utrzymanie. Niektórym, zwłaszcza handlującym, powodzi się wcale dobrze. Poza tym przewodnią myślą wszystkich jest, aby doczekać końca wojny, aby przetrzymać to, na co jesteśmy teraz skazani, aby wytrwać na zajmowanych stanowiskach, nie dopuszczać do pomniejszania naszego stanu posiadania, bronić się przed inwazją obcych elementów — Niemców i Ukraińców. A tych ostatnich pcha się do nas coraz więcej. I w Szczebrzeszynie mamy już sędziego grodzkiego Ukraińca Stockiego, adwokata i rejenta w jednej osobie Hrecynę, obrońcę sądowego Zaborskiego i innych. Powstała już, widać, jakaś organizacja ukraińska. Działalności jej

na razie nie widać, wiemy tylko, że prowadzi kampanię przeciwko burmistrzowi Boruckiemu.

Niezmiernie wyczerpuje nas nerwowo życie z dnia na dzień, ciągły niepokój i niepewność, co z nami będzie już nie za miesiąc, czy za tydzień, lecz nawet za godzinę. Żyjemy pod nieustannym strachem rewizji, aresztowania, bicia, uwięzienia lub internowania w jakimś dalekim obozie, wysiedlenia, wyrzucenia z mieszkania, ograbienia, no i rozstrzelania, co zresztą nie zawsze jest najgorszym wyjściem wobec nieludzkiego nieraz znęcania się w więzieniach i w obozach. Powoli jednak i z tym się oswajamy. Jesteśmy na wszystko przygotowani. Wiemy dobrze, że ofiary muszą być i że, zapewne, czekają nas jeszcze bardzo ciężkie przeżycia. A tak by się chciało być świadkiem zakończenia wojny i ostatecznej klęski wrogów.

Z otrzymanych z różnych źródeł, często bardzo dorywczych i niepewnych wiadomości, staramy się wnioskować o ogólnej sytuacji państw walczących. Cieszy nas ogromnie, że w miarę rozwoju działań wojennych i wobec tak szybkiego upadku Holandii, Belgii, Norwegii i niespodziewanej, haniebnej kapitulacji Francji, nasze walki wrześniowe, a zwłaszcza naprawdę bohaterska obrona Warszawy, nabierają innego znaczenia, podnoszą Polskę w oczach całego świata i nas samych. Udział Polaków w walkach w Norwegii i we Francji wykazał wysoką wartość bojową żołnierza polskiego. Postawa całego narodu w kraju, pomimo niesłychanego terroru niemieckiego, jest niezwykle odporna. Uległy tylko słabe, mierne i mało wartościowe jednostki. Ogół społeczeństwa zachowuje się z wielką godnością. Wszelkie próby stworzenia przez Niemców jakiegoś rządu polskiego i ustalenia trwalszych podstaw współżycia, dotychczas nie odniosły żadnego skutku.

Ponieśliśmy we wrześniu ub. r. straszną klęskę wojenną, lecz dzisiaj widzimy, że wobec potęgi militarnej Niemiec było to rzeczą nieuniknioną, zwłaszcza że byliśmy wystawieni na pierwsze uderzenie. Zagospodarowywanie się Niemców w naszym kraju trwa już prawie rok. Ugruntowywanie się ich na ziemiach polskich, niszczenie całej kultury polskiej, w ogóle wszystkiego co polskie, wszczepianie wszędzie niemczyzny, obliczone jest bardzo dokładnie i jakby po wieczne czasy. Jednak sami Niemcy czują doskonale, że są dla nas śmiertelnymi wrogami, że naród polski w całości nie ulegnie nigdy, nie podporządkuje się i nie przystosuje do zasad niemieckiego życia narodowo-socjalistycznego. Będzie ich stale traktował jako wrogich i czasowych okupantów, którzy dłużej czy krócej będą tu jeszcze rządzili, lecz w końcu sami ulegną i zemsta w owej chwili będzie straszna.

Cieszy nas ogromnie i dodaje sił do dalszej walki i oporu przeświadczenie, że pomimo klęski zachowaliśmy w całej pełni swą godność narodową, a w każdym razie w znacznie większym stopniu, aniżeli Belgowie, czy Francuzi.

W nasze zwycięstwo, w odzyskanie niepodległości i w jak najlepszą przyszłość Polski wierzymy nadal święcie.

Dzień dzisiejszy, pomimo wezwania, aby był dniem żałoby, nie różnił się tu od innych dni niedzielnych. Na ulicach pełno było ludzi, zwłaszcza wobec ładnej pogody. Do apelu zastosowała się tylko miejscowa inteligencja i to nie cała.

4 września

Zakwaterował się w Szczebrzeszynie sztab dywizji niemieckiej. Na ulicach pełno oficerów i żołnierzy sztabowych. Przybycie ich dotkliwie odczuł szpital, bo zabrano nam na szosie furę słomy, kupionej za duże pieniądze w sąsiedniej wsi. Furman nasz próżno tłumaczył, że to jest słoma dla szpitala. Nie pomogła i natychmiastowa interwencja burmistrza, który zresztą obiecuje nam zwrócić podwójną ilość słomy.

7 września

Przyjechał do Szczebrzeszyna lekarz Żyd, Henryk Pomeranz z Krakowa. Wskutek interwencji władz niemieckich krakowska Izba Lekarska kazała mu w ciągu 24 godzin wyjechać z Krakowa, gdzie praktykował od szeregu lat jako ginekolog. Był dziś u mnie. Oczywiście bardzo jest niezadowolony z przymusu osiedlenia się w Szczebrzeszynie. Marzy o powrocie do Krakowa.

9 września

Dziś po obiedzie stojąc w oknie, w swoim mieszkaniu, byłem przypadkowym świadkiem następującego zdarzenia. Naprzeciw szpitala, bliżej rynku, znajduje się kilka spalonych domów żydowskich. Koło jednego z nich stał stary Żyd i parę Żydówek. W tym momencie przechodzili obok trzej żołnierze niemieccy. Nagle zobaczyłem jak jeden z żołnierzy schwycił Żyda i przez otwór drzwiowy zburzonej kamienicy wrzucił go do głębokiego dołu, do piwnicy. Podniósł się straszny krzyk, w jednej chwili zlecieli się Żydzi w ogromnej liczbie. Żołnierze najspokojniej poszli sobie dalej. Na razie nie wiedziałem o co właściwie poszło. Po upływie kilku minut już mi przynieśli do szpitala okrwawionego starca. Okazało się że stary Żyd, nazwiskiem Bryks, nie zauważył nadchodzących Niemców i nie zdjął przed nimi czapki, jak tego wymagają od Żydów. I za to właściwie wrzucono go głową w dół do głębokiej piwnicy. Po nałożeniu opatrunku na kilka tłuczonych ran na głowie przewieziono Żyda do jego mieszkania. W szpitalu nie chciałem go zostawić ze względu na straszne zawszenie.

W ostatnich dniach znów więcej się słyszy o biciu Żydów na ulicy.

14 września

Przeczytałem Poraja „Koszary i koszmary". Książka ta poświęcona współczesnym Niemcom wydana została na kilka miesięcy przed wojną.

Gdyby nie wymowne cytaty z dzieł i przemówień wielu czołowych działaczy narodowo-socjalistycznych i w pierwszym rzędzie Hitlera („Mein Kampf"), można by posądzić autora o demagogiczną tendencyjność. Obecna wojna potwierdziła w całej pełni jego wywody. Gdy się czyta tę książkę, przechodzi człowieka dreszcz zgrozy na myśl, co by się stało z nami w razie zwycięstwa Niemców.

Najlepszą propagandą uświadamiającą najszersze masy we wszystkich państwach Europy i Ameryki o nieprawdopodobnej zachłanności Niemców i o niebezpieczeństwie, jakie grozi całemu światu z ich strony, byłoby jak największe rozpowszechnienie „Mein Kampf" Hitlera i wydawnictw tego rodzaju jak nasze „Na tropach Smętka" Wańkowicza, „Ziemia gromadzi prochy" Kisielewskiego i wspomniane „Koszary i koszmary". Otworzyłyby się ludziom oczy, nie byłoby żadnych złudzeń i przygotowanie do nieuniknionej wojny byłoby inne.

Przeżywamy znów silne emocje w związku z walkami powietrznymi nad Anglią i Niemcami. Śledzimy z coraz to wzrastającym napięciem przebieg nalotów na Londyn i na Berlin. Chwytamy wiadomości z najrozmaitszych źródeł, z polskich „gadzinówek", z dzienników niemieckich, z fragmentów komunikatów radiowych słuchanych gdzieś ukradkiem, z listów pisanych przez tych, co wyjechali do Niemiec na roboty i wreszcie z tego co ludzie mówią. Staramy się też cokolwiek wnioskować z zachowania się u nas Niemców. Wydaje się nam, że są oni teraz mniej butni i pewni siebie, bardziej posępni i zamyśleni. Dochodzą nas wieści o rzekomych samobójstwach wśród oficerów i żołnierzy w Zamościu i w Szczebrzeszynie, o wzmagającej się dezercji, o szerzącym się niezadowoleniu i objawach nieposłuszeństwa w szeregach armii niemieckiej. Nie wiemy, ile w tym jest prawdy.

Żyjemy w coraz to większym zdenerwowaniu, w naprężonym oczekiwaniu jakichś wielkich i decydujących wydarzeń na zachodzie. I choć niektórych ogarnia rozpaczliwy lęk o nasz przyszły los, to jednak w dalszym ciągu niezachwianie wierzymy w zwycięstwo Anglików, a przez to i nasze.

16 września

W sobotę 14. IX. rozpoczął się nowy rok szkolny. Nauka będzie się odbywała w trudnych i nienormalnych warunkach. W budynkach szkolnych rozlokowane jest wojsko, wobec czego magistrat zmuszony był zająć dla szkół nową, niewykończoną jeszcze kamienicę Antoniego Jóźwiakowskiego przy ulicy Zamojskiej. Pokoje tam są małe, dzieci tłoczą się jak śledzie w beczce. W najbliższej przyszłości ma być jeszcze zajęta część budynku, w którym mieszczą się biura magistratu. Odczuwa się ogromny brak pomocy szkolnych. Niemal wszystko zostało przez Niemców zniszczone. Z podręcznikami też jest kłopot niemały.

17 września

Jestem pod silnym wrażeniem wiadomości, że odpowiednia gmina i rodziny otrzymały urzędowe zawiadomienie o rozstrzelaniu Stanisława

Huskowskiego, dzierżawcy Czernięcina w pow. krasnostawskim i Pawła Krzowskiego z tegoż Czernięcina. Obydwóch znałem bardzo dobrze. Stanisław Huskowski należał do powszechnie poważanych, bardzo solidnych ziemian. Po ukończeniu studium rolniczego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie osiadł w Czernięcinie, gdzie wzorowo prowadził całą gospodarkę. Niemcy nie ograniczyli się tylko do rozstrzelania samego Huskowskiego, lecz w dodatku eksmitowali z Czernięcina pozostałą po nim rodzinę, składającą się z wdowy i dwojga dorosłych dzieci.

Paweł Krzowski był bardzo ciekawym i niecodziennym typem. Syn prostego chłopa z Czernięcina ukończył gimnazjum i zapisał się na polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował ją przez kilka lat, lecz doktoratu nie uzyskał. Interesował się literaturą i zagadnieniami ogólnymi, związanymi zwłaszcza z kulturą wsi. Drukował rozmaite artykuły w wielu czasopismach, często pisywał recenzje. Napisał rozprawę o Kontyrberym Tymowskim, jakąś większą broszurę pedagogiczną. Stale mówił o jakichś swoich dużych, zasadniczych pracach, będących już rzekomo w druku, mających się ukazać w wydawnictwach Akademii Umiejętności w Krakowie itd. Przed wojną, księgarz zamojski Lucjan Kąpicki nabył od niego i miał wydać jakiś utwór sceniczny o charakterze regionalnym, zamojskim. Zawsze pełen był najrozmaitszych planów i zamierzeń, przez jego ręce przechodziło mnóstwo książek, których jednak nie umiał szanować. Czytał masami i o każdej książce miał swój własny niezależny sąd krytyczny. Skala jego zainteresowań była bardzo rozległa, lecz w myślach panował zupełny chaos. Starał się utrzymać kontakt z wieloma wybitnymi naszymi historykami i polonistami, lecz wszystkich szybko zrażał do siebie swoim zachowaniem się i postępowaniem. Chodził zawsze okropnie zaniedbany, brudny, niechlujny. Często zjawiał się w stanie nietrzeźwym. Spotkanie z nim było wówczas niezbyt przyjemne ze względu na jego słowną agresywność. Niestety, stale nabierał ludzi w najrozmaitszy sposób, wszędzie zaciągał pożyczki, których nigdy nie oddawał, stosunek jego do cudzych książek, a nawet będących własnością bibliotek publicznych, pozostawiał wiele do życzenia. Tak np. Biblioteka Uniwersytecka w Wilnie szukała go kiedyś w Czernięcinie, oskarżając o przywłaszczenie książek. Bezsprzecznie był to człowiek bardzo zdolny, o umyśle nieprzeciętnym, erudyta, lecz całkiem obce mu były podstawowe zasady prawdziwej kultury umysłowej.

19 września

Otrzymaliśmy wiadomość, że w obozie dla internowanych w Dachau zmarł Andrzej Bielawski, inżynier drogowy z Zamościa. Został on uwięziony 19 czerwca br. w czasie masowych aresztowań. W tym właśnie dniu spotkałem się z nim w Rotundzie zamojskiej. Był to długoletni pracownik Sejmiku Zamojskiego, bardzo popularny w całym powiecie. Odznaczał się szlachetnością i prawością charakteru, znany był z ogromnej pracowitości i cieszył się ogólną wielką sympatią. Był bardzo muzykalny, pięknie grał na wiolonczeli i czasem występował publicznie na rozmaitych koncertach dobroczynnych. Smutna ta wieść napełniła goryczą i żalem wszystkich, którzy go znali.

20 września

Jeździłem do Biłgoraja w celu załatwienia kilku spraw szpitalnych. Wszystkie dobre chęci mojej obecnej „władzy nadzorczej" kończą się na obietnicach. Najważniejszych, konkretnych rzeczy, takich jak pieniądze na niezbędny remont szpitala lub ściągnięcie zaległych opłat za leczenie chorych nie załatwiono pomyślnie i wróciłem z niczym. Jeszcze raz nabrałem przekonania, że na nikogo nie można liczyć, tylko samemu trzeba się o wszystko starać i zdobywać niezbędne środki dla dalszego prowadzenia szpitala. Tak jak to robiłem zresztą przez cały ubiegły rok.

W Biłgoraju coraz więcej niemczyzny. Na każdym kroku szyldy, napisy, tabliczki w języku niemieckim. Mnóstwo jakichś urzędów, biur, hurtowni, składów, sklepów i świeżo skleconych drewnianych baraków zajętych przez Niemców. Oczywiście na ulicach pełno okupantów, bardzo pewnych siebie, jak przystało na obecnych panów i władców tej nieszczęsnej polskiej ziemi.

Wszystko to razem robi przygnębiające wrażenie. Wróciłem do domu z silnym bólem głowy.

Już od kilku dni codziennie ukazują się nad Szczebrzeszynem jakieś samoloty. I dziś o 3 po południu bardzo wysoko leciał biały, błyszczący w słońcu samolot, który kilka razy zatoczył koło nad miastem i poleciał dalej. Warkot dalekiego samolotu wywołuje wśród ludności olbrzymią sensację. Wszystkich pochłania ciekawość, jaki to samolot, niemiecki czy angielski? Niektórzy upewniają, że już widziano nawet jakieś ulotki...

22 września

Dziś odbyło się uroczyste poświęcenie dawnej cerkwi, a właściwie tylko gołych murów bez dachu, pozostałych po b. kościele unickim. Równocześnie odprawione zostało pierwsze nabożeństwo prawosławne („liturgia") przez jakiegoś młodego przyjezdnego popa. Publiczności było dosyć dużo, gdyż i katolicy zwabieni ciekawością poszli na to nabożeństwo, odprawione w niezwykłych warunkach wśród ruin i gruzów.

25 września

Wczoraj w kilku okolicznych wsiach (Kawenczyn, Kawenczynek, Topólcza itd.) aresztowano po dwóch gospodarzy za niedostarczenie przez wieś wyznaczonego kontyngentu zboża.

Powrócił z więzienia w Lublinie Michał Bryłowski [1]), podoficer zawodowy, aresztowany przed kilkoma tygodniami. Chociaż sam nic nie chce mówić, to jednak wiemy dobrze, że w więzieniu, a zwłaszcza pod-

[1]) Pseudonim „Wrzos". Był w tym czasie komendantem placówki w Szczebrzeszynie.

czas śledztwa, okropnie go bito. Żona jego i młodszy brat w dalszym ciągu siedzą w więzieniu w Zamościu.

Przyjechali dziś do magistratu gestapowcy z Zamościa i kazali przyprowadzić kilka Żydówek z miasta. Gdy te wystraszone i trzęsące się niezwłocznie stawiły się, oficjalnie oświadczono im, że ich mężowie aresztowani przed paru miesiącami, gdy wieźli jakieś towary, zostali rozstrzelani. Żydówki w rozpaczy zaczęły strasznie lamentować i zawodzić, a gestapowcy ze śmiechem im się przyglądali.

27 września

Po mieście krążą patrole wojskowe w znacznie większej liczbie niż dotychczas. O 7 wieczorem wychodzą na miasto pilnując, żeby Żydów nie było na ulicy, potem o 10 zaczynają zatrzymywać spóźnionych aryjczyków i nakładają na nich kilkuzłotowe grzywny. Oprócz tego zjawiły się specjalne patrole składające się z jednego żandarma, Volksdeutscha i policjanta „granatowego". Zadaniem tych patroli jest zwalczanie przemytu. Zatrzymują więc ludzi szukając artykułów spożywczych i różnych towarów będących przedmiotem nielegalnego handlu.

Dzisiejszej nocy mieliśmy chwilę niemałej emocji. O godz. 4 min. 30 żona zbudziła mnie, usłyszawszy przez otwarte okno jak Niemcy zatrzymali się przed szpitalem i zaczęli dzwonić do drzwi frontowych. Zerwałem się z łóżka i podszedłszy do okna zobaczyłem sylwetki 3 żołnierzy niemieckich na stopniach i na chodniku. Ponieważ wciąż naokoło słyszymy o nieustannych rewizjach i aresztowaniach, więc już myślałem, że przyszli po mnie lub po intendenta szpitala Cichońskiego, lub po medyka Cieleckiego. Po paru minutach bardzo nieprzyjemnego oczekiwania przekonałem się, że przyszli oni po samochód do garażu. Notuję to zdarzenie o małym znaczeniu dla zilustrowania w jakim nastroju zdenerwowania i niepewności żyjemy obecnie.

28 września

Wczesnym rankiem, zanim jeszcze wyszedłem z mieszkania, zjawił się w szpitalu, w jakimś interesie, burmistrz Borucki i ze smutną miną zakomunikował, że wczoraj wieczorem Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wypowiedziały wojnę Niemcom i Włochom. Upewniał, że na własne uszy wraz z oficerami niemieckimi słyszał, jak radio niemieckie nadawało o tym odpowiednie komunikaty. Wiadomość ta zrobiła na wszystkich kolosalne wrażenie. Lecz w ciągu dnia tak jakoś skąpo napływały do nas potwierdzenia tej wiadomości, że zaczęliśmy już nawet wątpić, czy to jest prawda.

29 września

Jakoś o Ameryce zupełnie cicho. Nie wiemy skąd burmistrz wyssał wczoraj tę wiadomość, którą podawał nam jako najzupełniej pewną.

Wciąż krążą wzmocnione patrole, często legitymują przechodniów w mieście i na szosach. Zatrzymują furmanki, a onegdaj wieczorem i w nocy rewidowano nawet samochody i motocykle niemieckie. Prawdopodobnie szukają ulotek komunistycznych w języku niemieckim, jakie ukazały się u nas w ostatnich dniach.

Polskich tzw. „gadzinówek" nie kupuję i nie czytam wcale, zacząłem natomiast co niedziela kupować gazetę rosyjską „Nowoje Słowo" wychodzącą raz na tydzień w Berlinie. Oczywiście jest to pismo całkowicie oddane Niemcom (inne nie mogłyby się przecie ukazywać!), ale zawiera dużo ciekawych i ważnych wiadomości tak z całego świata, jak i z Polski, których inne gazety nie podają. Dotyczy to zwłaszcza życia Rosjan.

W ostatnich dniach doznawałem rzadkiej w dzisiejszych warunkach przyjemności o bardzo swoistym charakterze. Zawdzięczając uczynności Ludwika Gocla, bibliofila warszawskiego, przyjeżdżającego co parę tygodni do Szczebrzeszyna po zakupy produktów spożywczych, nabyłem małą książeczkę wydaną w Lublinie w r. 1724 pt. „Skarb drogi Nieoszacowanemu Zdrowiu ludzkiemu, zawierający w sobie krótkie opisanie tak wnętrznych iak y powierzchownych, białogłowskich y dziecinnych chorób y sposoby leczenia ich doświadczone...", napisaną przez dra Jerzego Fonklofena. Dziełko to jest tym cenniejsze, że nie widział go nigdzie Estreicher, a więc bardzo rzadkie. Nic o nim nie wspomina ani Gąsiorowski w „Zbiorze wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce", ani Zieleniewski w swoich „Notatkach do historii akuszerii w Polsce". Jest to popularna ginekologia i położnictwo, zawierające szereg kapitalnych rad, wskazówek i przepisów, daje też dobre pojęcie o ówczesnym stanie medycyny w Polsce w tym dziale. Ponieważ jest bardzo rzadka i nieznana naszym historykom medycyny, więc i książka i jej autor mogą służyć jako doskonały temat rozprawki lub referatu naukowego. Już sobie ułożyłem plan tej nowej, choć niewielkiej, lecz ciekawej pracy i marzę o możliwości napisania jej i ogłoszenia drukiem.

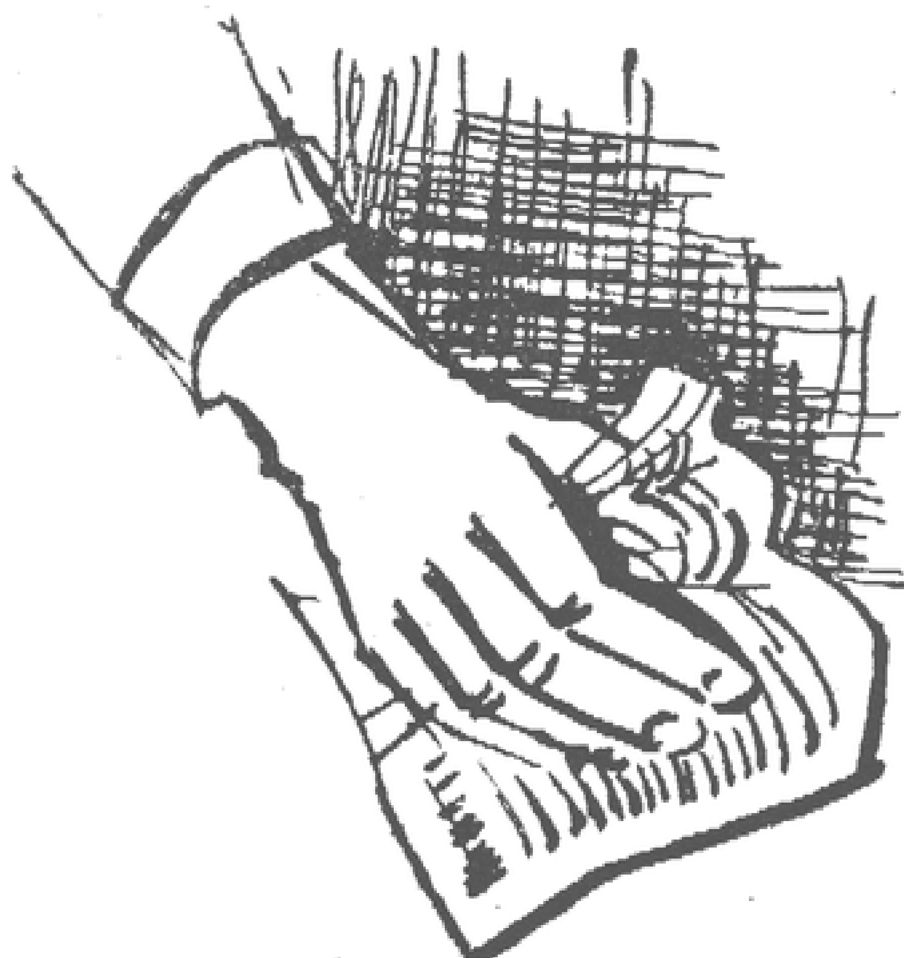
1 października

Chłopi są tak zrażeni zabieraniem przez Niemców niemal wszystkiego, co przynoszą na targ, że na dzisiejszym jarmarku z wielkim trudem można było cokolwiek dostać, a zwłaszcza masło i jaja.

Żydzi mieli dziś u nas radosny dzień, bo wrócili prawie wszyscy wysłani przed kilkoma tygodniami do obozu pracy w Bełżcu. Za zwolnienie ich z obozu zapłacili Żydzi 20.000 zł. Za to wśród Polaków znów większy niepokój, bo spodziewane są nowe, liczne aresztowania. Dziś rano w związku z niedostarczeniem kontyngentu aresztowano w Deszkowicach nauczyciela Padzińskiego i w Sąsiadce wójta gminy Sułów, Grybę. Z tego też powodu wysiedlono dwóch gospodarzy z Deszkowic, dwóch z Sułowa i jednego ze Źrebiec. Gospodarstwa ich oddano w administrację rodzinom wysiedlonym z zachodnich powiatów Polski, zamieszkałym w tych wsiach.

3 października

Cała uwaga zwrócona jest u nas na kontyngent zboża, które trzeba było dostarczyć do dnia dzisiejszego. Nawet na szpital nałożono odpowiednią daninę: 12 metrów zboża jako pierwszą ratę, a mnie zagrożono aresztowaniem w razie, gdybyśmy kontyngentu tego nie dali. Po usilnych zabiegach odroczono nam ewentualną dostawę zboża do listopada.



Od pewnego czasu często słyszy się o jakichś ulotkach rozpowszechnianych wśród żołnierzy niemieckich, wielce poszukiwanych przez władze. Dziś mogłem przekonać się, że to nie zwykła plotka, bo przyniesiono mi właśnie jedną taką odezwę do żołnierzy w języku niemieckim, podpisaną przez komunistyczną radę żołnierzy. Posługując się rzeczową argumentacją odezwa dowodzi, że Niemcy zwyciężyć nie mogą i nawołuje do żądania zakończenia wojny, do powracania do domu i „do ratowania tego, co jeszcze da się uratować". Ulotka napisana jest tak, że może zrobić wrażenie.

4 października

Niemcy śpiesznie budują lotnisko pod samą cukrownią. Do robót zamówiono w mieście bardzo wielu murarzy, oraz prawie wszystkich cieśli i stolarzy.

Parę osób rzekomo dobrze poinformowanych i wtajemniczonych przez oficerów niemieckich upewnia, że wojna z Rosją jest nieunikniona i może wybuchnąć lada dzień. Ogromnie dziwne jest nowe zjawisko — Żydzi skupują po wsiach u chłopów broń, głównie rewolwery, płacąc bardzo wysokie ceny. To daje dużo do myślenia.

Co też nam dzień jutrzejszy przyniesie?

7 października

O północy przywieźli do szpitala rodzącą, ze wsi. Do furmanki podszedł zaraz patrol wojskowy i zrewidował wóz przetrząsając słomę w siedzeniu, obmacując poduszki itd. W ogóle więcej teraz niż dawniej i częściej zatrzymują ludzi na ulicach.

Chłopów aresztowanych i wywłaszczonych za niedostarczenie kontyngentu wysłano do obozu pracy w Bełżcu. Rodzinom ich zezwolono pozostać w swojej wsi i nawet nadal mieszkać w swoich domach, jeżeli zgodzą się na to nowi gospodarze.

8 października

W czasie dzisiejszego jarmarku zjawili się nagle lotnicy niemieccy z karabinami i zaczęli na ulicach łapać Żydów, do roboty na lotnisku koło cukrowni. Wśród Żydów powstał zrozumiały popłoch, interweniował zaraz Judenrat zobowiązując się dostarczyć potrzebną liczbę robotników, lecz obawa o ponowną nagonkę już Żydów nie opuszcza. A przez pewien czas mieli względny spokój.

Oprócz lotniska w Klemensowie, Niemcy budują ich kilka w okolicach Zamościa, a w Teodorówce pod Biłgorajem, gdzie była szkoła rolnicza, powstaje nawet szkoła lotnicza.

10 października

Niemcy całą parą prowadzą roboty przy lotnisku. Traktory pracują i w dzień i w nocy. Jak na drożdżach rosną drewniane baraki. Zastanawia nas ten niezwykły pośpiech. Sądzimy, że powody ku temu muszą być bardzo poważne.

14 października

Dziś w nocy przybyła do Szczebrzeszyna nowa duża partia wygnańców, przeszło 1.000 osób, przeważnie z okolic Żywca i Suchej. Ulokowano ich w hali targowej na cienkiej warstwie słomy. Dużo jest chorych, niedołężnych starców, dzieci. Do Ośrodka Zdrowia zgłosiło się około 60 chorych, do szpitala przyjąłem 8, w tym 2 rodzące kobiety. W kuchni szpitalnej od 2 w nocy gotowano kawę, a przed południem obębniono wezwanie do obywateli miasta, żeby przynosili jedzenie w porze obiadowej. Organizacja opieki nad tymi nieszczęsnymi jest bardzo nieudolna, bezplanowa. I znów wzbiera w ludziach żądza zemsty...



17 października

W ostatnich dniach nie dochodzą nas prawie żadne wiadomości radiowe. Wiemy tylko to, co piszą gazety, ale im nie można przecie wierzyć. Obserwujemy zachowanie się Niemców. Oficerowie daleko więcej teraz piją i awanturują się po nocach.

Niemieckie władze administracyjne poleciły burmistrzowi zorganizowanie w Szczebrzeszynie domu publicznego. Burmistrz Borucki gorliwie zajął się tą sprawą. Wynajął odpowiedni lokal, sprowadził już tzw. „ciotkę" okropną megierę o wielkich wymaganiach i pretensjach i już miało nastąpić otwarcie nowego przybytku, gdy komendant placu wydał nagle kategoryczny rozkaz, żeby „ciotka" w ciągu 24 godzin opuściła miasto i zapowiedział, że nie życzy sobie lupanaru dla żołnierzy. Na tym zakończyła się sprawa burdelowa, wywołująca w mieście sensacyjne komentarze.

Praca na lotnisku w dalszym ciągu jest intensywna. Robotnicy skarżą się, że Niemcy bez żadnego powodu biją ich pałkami gumowymi i to zarówno Żydów jak i Polaków.

Pozawczoraj Niemcy przeprowadzili rewizję w domu rzeźnika Ryznera, przy czym znaleźli sporo słoniny, wędlin itp. Oczywiście wszystko zabrali, a samego Ryznera w okrutny sposób pobili, chcąc zmusić do zeznania, skąd ma tę słoninę. W końcu aresztowali jego i jeszcze drugiego rzeźnika Wiatrowskiego i wywieźli obydwóch do więzienia w Zamościu. Wszystkich rzeźników w mieście obleciał taki strach, że teraz za żadne pieniądze nie można dostać ani kawałeczka wędliny lub słoniny.

Pod wieczór obębniono na mieście i rozlepiono ogłoszenie, które przepisałem dosłownie: „Władze niemieckie doniosły Magistratowi, że w tych dniach przez nieznanych sprawców zostały przecięte wojskowe linie telefoniczne w dwóch miejscach, co uważane jest za sabotaż.

W związku z tym Zarząd Miejski uprzedza wszystkich mieszkańców miasta Szczebrzeszyna i przedmieść, że w razie powtórzenia się jeszcze raz podobnego wypadku władze niemieckie rozstrzelają 20 mężczyzn spośród mieszkańców miasta.

O powyższym Zarząd Miejski podaje do wiadomości i przestrzega, aby podobny wypadek się już nie powtórzył.

Szczebrzeszyn, 17 października 1940 r.

Burmistrz (—) Jan Borucki".

19 października

Ukazało się nowe zarządzenie władz niemieckich zezwalające aryjczykom na chodzenie po mieście do godz. 11 wieczorem, zamiast do 10, jak było dotychczas. Nie dotyczy to jednak Żydów, którzy w dalszym ciągu mogą chodzić tylko do godz. 7.

20 października

Dziś o godz. 4 min. 20 w nocy zjawili się w szpitalu dwaj oficerowie niemieccy, kapitan i leutnant. Usłyszawszy głośną rozmowę najpierw na ulicy przed domem, a potem na korytarzu, wyszedłem dowiedzieć się, co się stało i o co chodzi. Zobaczyłem, że jeden oficer, leutnant, stał przed wejściem na strych, a drugi coś robił, czy też czegoś szukał na schodach wiodących na strych. Po chwili ze schodów tych zszedł kapitan trzyma-

jąc w ręku nową flagę Czerwonego Krzyża. Okazało się, że oficerowie ci przynieśli ze sobą flagę, ażeby ją natychmiast w nocy, przy nich, umieścić na dachu. Kapitan był zupełnie pijany. Jak mi opowiadał stróż, który otwierał im drzwi, przed szpitalem zatrzymało się oprócz tych dwóch oficerów, jeszcze 4 żołnierzy z dwiema takimi flagami. Oficerowie weszli do szpitala, żołnierze zaś z flagami udali się w stronę Błonia.

Co to ma znaczyć? Po co taki pośpiech, żeby aż w nocy trzeba było wywieszać na szpitalu flagę Czerwonego Krzyża? Sądziliśmy, że może już wybuchła wojna z Rosją i że jak tylko się rozwidni nadlecą radzieckie samoloty.

Daje się zauważyć wzmożony ruch samochodów na szosach, zwłaszcza w nocy.

24 października

Okropnie wyczerpuje nas nerwowo stały niepokój i oczekiwanie ewentualnej wizyty gestapowców ze wszystkimi jej następstwami. A wiemy dobrze, że od pewnego czasu codziennie przyjeżdżają oni do Szczebrzeszyna, łażą po mieście, coś węszą, czegoś szukają. W poniedziałek 21. X. zachodzili do dwóch miejscowych księgarń Olczyka i Kimaczyńskiego. Szukali książek o treści historycznej, map, pocztówek ze scenami historycznymi lub portretami itp. Trochę tych rzeczy zabrali i zapowiedzieli, żeby usunąć wszystko, co jeszcze pozostało o podobnym charakterze.

Kilku obywateli miasta wezwano do Gestapo w Biłgoraju. Po powrocie nie chcieli oni, oczywiście, o niczym mówić, lecz pomimo tego stało się powszechnie wiadomym, że pytano ich głównie o osobę burmistrza Boruckiego, przeciwko któremu coraz więcej napływa skarg i zażaleń.

Pozawczoraj byłem przypadkowo świadkiem, jak dwaj oficerowie niemieccy na ulicy zatrzymali syna dra Likowskiego, 19-letniego chłopca, i kazali żołnierzom odprowadzić go na posterunek żandarmerii. Z początku nie wiadomo było, za co go aresztowano. Dopiero nazajutrz burmistrz wyjaśnił, że kilku młodzieńców z Likowskim na czele nieodpowiednio się zachowuje na ulicy wobec oficerów niemieckich, wyzywająco ich obserwuje, nie ustępuje z drogi itp. Zatrzymanych chłopców wypuszczono z zagrożeniem, że w przyszłości za takie postępowanie będą wywiezieni do obozów pracy.

Dziś przyszli do szpitala dwaj żołnierze i w imieniu jakiegoś oberleutnanta zażądali zwrotu flagi Czerwonego Krzyża, zawieszonej przed kilkoma dniami przez pijanego oficera na dachu szpitalnym.

Zwraca powszechną uwagę to, że żołnierze niemieccy, jeżeli nie wychodzą na miasto służbowo, przeważnie nie mają przy sobie broni, ani rewolwerów, ani bagnetów. Dochodzą nas głuche wieści, że dyscyplina w wojsku niemieckim zaczyna się rozluźniać, wzmaga się dezercja, ujawnia się niezadowolenie z przeciągającej się wojny.

31 października

Zaniedbałem trochę pisanie dziennika, lecz znudziło mi się notowanie wciąż tego samego. Przez kilka dni nie dochodziły nas żadne wieści ze świata. Dopiero wczoraj stało się wiadomym, że rozpoczęła się wojna włosko-grecka. Brak wiadomości wpływa na ludzi deprymująco, a każda nowina, która świadczy o coraz większych kłopotach niemieckich dodaje otuchy. Wysnuwamy też pewne wnioski z tego, że i garnizon szczebrzeski wyrusza gdzieś na front. Wśród inteligencji, jak stale zresztą teraz, panuje zaniepokojenie, bo krążą uporczywie pogłoski o mających nastąpić aresztowaniach przed 11 listopada. Wczoraj wieczorem Niemcy zjawili się w mieszkaniu nauczyciela Łopuszyńskiego, który w jednej tylko bieliźnie i w jesionce wyskoczył przez okno i uciekł.

Siedzę w domu, nie wychodzę nigdzie na krok. Czuję jednak jak powoli otrząsam się z odrętwienia psychicznego i jak wraca mi chęć i możność zajęcia się pracą umysłową. Jestem całkowicie pochłonięty wertowaniem rozmaitych dzieł historycznych (w danej chwili Lelewela) i notowaniem wszelkich wiadomości, najdrobniejszych nawet wzmianek, dotyczących medycyny w Polsce lub Zamojszczyzny, w pierwszym rzędzie Szczebrzeszyna.

4 listopada

Lotnicy niemieccy robią w niektórych częściach miasta jakieś pomiary. Dzisiaj mierzyli ogród szpitalny i coś notowali. Niektórzy przypuszczają, że wybierają odpowiednie miejsce dla ustawienia dział przeciwlotniczych, inni znów sądzą, że może tu być zainstalowana stacja radio-telegraficzna lub coś podobnego. W każdym razie nic przyjemnego.

Dni płyną szaro, jednostajnie. Przywykamy powoli do warunków obecnego życia, do niektórych jego przejawów. 31. X. do Zwierzyńca przybył transport wygnańców z Żywca, znów przeszło 1.000 osób. Lecz organizacja opieki nad nimi jest tam zupełnie inna aniżeli u nas. Na czele całej akcji stoi sam młody ordynat Jan Zamoyski wraz ze swą liczną rodziną i dlatego, kto tylko może śpieszy z pomocą.

Dziś upływa ostatni termin dostarczania drugiej raty kontyngentu zbożowego. Cały dzień ciągną furmanki chłopskie naładowane ziarnem. Chłopi nastraszeni kilkoma wypadkami wysiedlenia za niedostarczenie kontyngentu już się teraz tak nie ociągają z dostawą. Chociaż gospodarzy odesłanych poprzednio do obozu pracy w Bełżcu już wypuszczono i powrócili oni do swoich wiosek, to jednak gospodarstw jeszcze im nie oddano.

7 listopada

Przed paru dniami wrócił z obozu w Oranienburgu Jacek Jakimowicz. Wygląda okropnie, wynędzniały, wychudzony tak, że trudno go poznać.

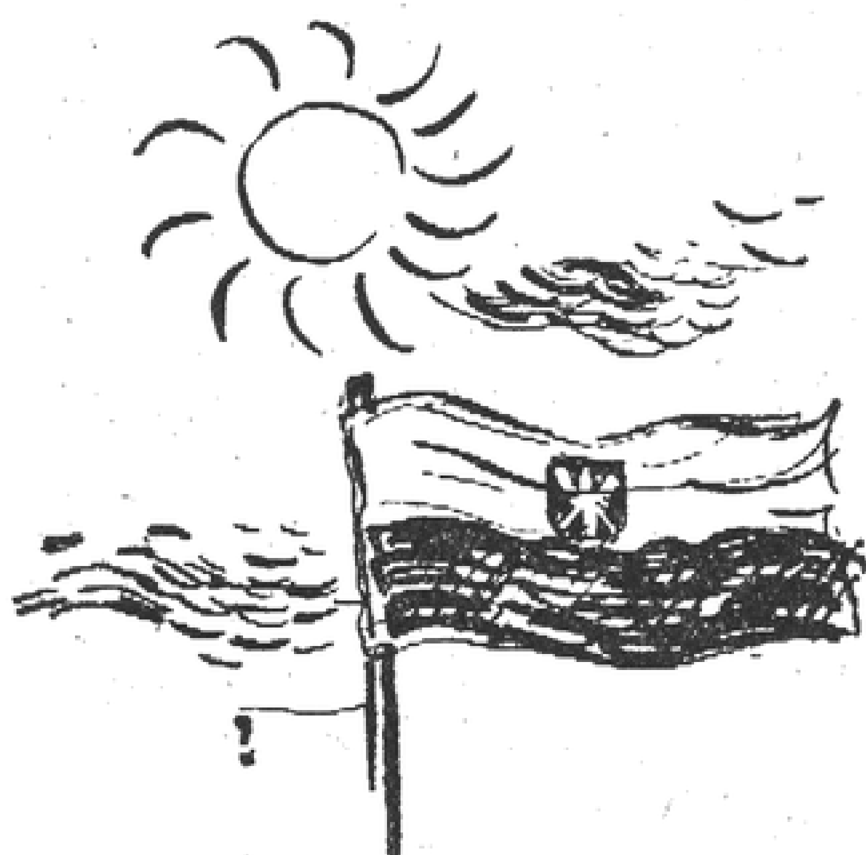
Powrócił też razem z nim Stanko, dyrektor tartaku w Krasnobrodzie i jeden z kierowników szkoły z okolic Zamościa.

Wiadomości radiowe bardzo skąpe. Z zaciekawieniem oczekiwaliśmy wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych (5. XI.). Wszyscy są zadowoleni z ponownego wyboru Roosevelta, spodziewając się po nim doprowadzenia Stanów Zjedn. do bardziej czynnego wystąpienia przeciwko Niemcom.

Przed paru dniami mieliśmy nieprzyjemną chwilę. Mianowicie chłop ze Szperówki, u którego były schowane dwa wielkie aparaty radiowe, mój i intendenta, obawiając się rewizji i ewentualnych represji przywiózł je nam do szpitala i to w biały dzień, narażając tym sposobem i siebie i nas na duże niebezpieczeństwo wobec częstych rewizji furmanek po drogach. Aparaty przeszło rok ukryte w wilgotnej piwnicy, znajdowały się już w takim stanie zniszczenia, że były absolutnie nie do użytku, wobec czego intendent zatopił je w rzece przepływającej przez ogród szpitalny.

9 listopada

Opowiadała mi dziś akuszerka z Krasnobrodu, jaki tam miał przebieg dzień zaduszny. Na cmentarzu krasnobrodzkim pochowano około 300 żołnierzy i oficerów poległych we wrześniu 1939 r. Na grobach ich złożono 180 wieńców, zapalono niezliczoną liczbę świeczek. Prócz tego koło tych mogił ustawiono dwie duże flagi narodowe polskie. Na jednej z nich był wyhaftowany jedwabiem na czerwonym tle biały orzeł. U podstawy dużej zbiorowej mogiły pokrytej hełmami zabitych ułożono nowiutki naładowany nabojami karabin z pasem i ładownicą. Karabin ten otoczony białymi i czerwonymi lampkami, zwrócony lufą na zachód, cały tonął w kwiatach. Drugi karabin, lecz nie taki nowy, leżał na grobie mjra Głuchowskiego. Na cmentarzu zgromadził się tak liczny tłum, jak w żadnym roku. Ludzie skupiali się niemal wyłącznie koło mogił wojskowych, bo wszystko to, co tu widzieli, w obecnym okresie straszliwej niewoli i terroru robiło na nich kolosalne wrażenie. Ze strony Niemców nie było żadnej reakcji. Dopiero pod wieczór księża polecili usunąć flagi, a policjanci polscy zabrali jeden karabin. Drugi, na grobie mjra Głuchowskiego, leży do dnia dzisiejszego.



11 listopada

Już drugie święto niepodległości spędzamy w niewoli. Jeszcze w zeszłym roku jako tako obchodzono je w Szczebrzeszynie. Szkoły powszechne na wpół świętowały, dzieci szkolne zaprowadzono do kościoła na nabożeństwo itd. W tym roku nie znać było żadnej różnicy z dniem powszednim. Na rannym nabożeństwie w kościele było o mało co więcej osób niż zwykle. Ale myśl ciągle uparcie wraca ku błogim, jak się nam teraz wydaje, czasom wolności...

Mam do zanotowania kilka wydarzeń z terenu Zamojszczyzny.

Przed 10 dniami gestapowcy i żandarmi zjawili się niespodziewanie w Zwierzyńcu i aresztowali tamtejszego Treuhändera Streicha. Rewizję przeprowadzono niezmiernie szczegółowo, zrywano podłogi, odrywano futryny okienne, przeglądano wszystkie przedmioty i sprzęty. W końcu zabrano pana Streicha tak, jak go zastano, w nocnej koszuli, nie pozwolając mu nawet ubrać się porządnie, a jeden z żandarmów miał go przy tym zdzielić kolbą. Mieszkanie zostało opieczętowane. Lecz na tym jeszcze nie koniec. Przed trzema dniami przyjechali gestapowcy ponownie i przeprowadzili jeszcze ściślejszą rewizję. Co się stało z samym Streichem, nie wiadomo. Jest przypuszczenie, że był on wplątany do jakiegoś spisku Bawarczyków, wśród których w ostatnich czasach były bardzo liczne aresztowania. Wypadek ten wywołał w Zwierzyńcu olbrzymią sensację, tym bardziej, że jak głosiła fama, ów Streich był jednym z czołowych członków partii narod.-socjal., przyjacielem Goeringa, gubernatora Franka itd.

Wstępował do mnie inż. Klimek z Zamościa. Ten znów informował mnie o tym, co się dzieje w Zamościu. Przed paru dniami nadeszła smutna wiadomość, że w Hamburgu zmarł jeden z internowanych zamojszczan inż. Stanisław Molicki, pracownik samorządu, młody człowiek, liczący zaledwie trzydzieści kilka lat.

Mówił mi też jak Niemcy zagospodarowują się w Zamościu. Ratusz odnowiono i przeniesiono doń starostwo, magistrat zaś mieści się obecnie w lokalu dawnego starostwa. Urządzają teraz kasyno oficerskie tam, gdzie był Klub Obywatelski, Soldatenheim w gmachu kina, w salach dawnego Klubu Urzędniczego, a Deutscheshaus w nowym domu na Rynku. Cały duży dom Czerskiego koło kolegiaty zajęło Gestapo. Poprzecinano nowe ulice, zamierzone są nowe budynki, a równocześnie po bokach ulicy Lwowskiej kopią już rowy przeciwlotnicze.

Poza tym Niemcy chodzili po niektórych domach prywatnych, już nie tylko żydowskich, lecz i polskich, i zabierali meble, dywany, obrazy itp.

15 listopada

W Zwierzyńcu znów popłoch i przerażenie. Od jakiegoś czasu Niemcy zauważyli, że giną im z samochodów opony, nieraz całe koła zapasowe, drobne części zapasowe itd. Wyśledzili jednego chłopaka, który coś majstrował koło samochodu, przyłapali go i ten ze strachu wydał innych.

Najpierw więc poszli do niejakiego Lalika, syna biednej wdowy, znaleźli u niego niektóre rzeczy, wobec czego zabrali go do komendy. Po paru godzinach przyszli do drugiego chłopaka, Burdzyńskiego, syna akuszerki szpitalnej i u niego znaleźli znacznie więcej rzeczy, w tym kilka opon samochodowych. Oczywiście tego też zabrali do komendy. To było wczoraj. Dziś rano zjawili się w browarze u urzędnika Zienkiewicza i u jego 13-letniego syna znaleźli karabin, szablę, telefon polowy i mnóstwo jakichś drobiazgów wojskowych. Chłopak zdążył uciec, lecz aresztowano jego ojca, siostrę, kilkunastoletnią panienkę i służącą. Dalszych szczegółów na razie nie znam, wiem tylko, że wszyscy tam są bardzo poruszeni i zaniepokojeni o dalszy przebieg tej chłopięcej afery, uzależniając to od tego, czy wojsko odda sprawę w ręce Gestapo, co byłoby fatalne, czy też zlikwiduje ją we własnej kompetencji.

18 listopada

Młody Zienkiewicz dowiedziawszy się, że przez niego aresztowano ojca i siostrę, sam zgłosił się do komendy. Wypuszczono wówczas od razu siostrę i służącą. Zresztą i wszystkich zatrzymanych chłopaków też wkrótce zwolniono. W więzieniu w Biłgoraju osadzono tylko starego Zienkiewicza.

23 listopada

Jeździłem wczoraj w sprawach szpitalnych do Biłgoraja. Wzdłuż całej szosy niemieccy lotnicy w przyśpieszonym tempie stawiają słupy i przeprowadzają specjalną linię telefoniczną wyłącznie dla obsługi lotnisk. Ma ona iść od granicy sowieckiej do wszystkich lotnisk znajdujących się w powiatach biłgorajskim i zamojskim. A lotnisk takich jest 3 w pow. biłgorajskim i 4 w zamojskim. W Szczebrzeszynie linię poprowadzono przez podwórze szpitalne, tuż popod naszymi oknami.

Wszędzie widać bardzo ożywiony niemiecki ruch budowlany. Drewniane baraki wyrastają w różnych miejscach jak grzyby po deszczu. Zmieniły one zupełnie wygląd i charakter niektórych ulic w Biłgoraju. Zwłaszcza dużo baraków postawiono tuż przy szpitalu.

W zastraszający sposób szerzy się zwykła plaga wojny: głód i nędza, choroby weneryczne. Władze niemieckie zarządzają przeglądy lekarskie kobiet podejrzanych o uprawianie nierządu. Każdy Niemiec, jeżeli zachoruje, natychmiast donosi o tym swojej władzy, wskazując osobę, od której się zaraził. Wszystkie chore kobiety policja kryminalna przymusowo odsyła na leczenie do szpitala. Tak się złożyło, że właśnie do Szczebrzeszyna przywożą tego rodzaju chorych i to z dwóch powiatów, biłgorajskiego i zamojskiego. Dzisiaj mam ich już 32, a polecono mi przygotować się do przyjęcia znacznie większej liczby. Wśród kobiet tych dużo jest zawodowych prostytutek, zwłaszcza z Zamościa. Jest to element okropny, często zbrodniczy, za przestępstwa kryminalne obznajmiony z więzieniem, bardzo trudny do prowadzenia. Wynikają pomiędzy nimi ciągłe

awantury, kłótnie, a nawet bójki i niejednokrotnie już dochodziło do interwencji policji. Musimy trzymać je pod kluczem, jak w więzieniu i nie pozwalamy wychodzić nawet na korytarz ogólny. W lecie były wypadki, że niektóre z nich wymykały się po kryjomu do ogrodu i tu z przywołanymi przez mur żołnierzami niemieckimi uprawiały specyficzny flirt nie zważając na swoją chorobę. Drugą kategorię chorych stanowią tak dosadnie po rosyjsku zwane „czestnyja dawałki" i wreszcie nieszczęśliwe młode, nieraz 16-letnie dziewczęta, które padły ofiarą męskiej nieuczciwości. Trafiają się czasem córki urzędników, kolejarzy, rolników i wygnanki, zwłaszcza te, które znalazły się na obcym dla siebie gruncie bez żadnej opieki, bez rodziny, bez środków do życia.

24 listopada

Wczoraj wrócił z obozu w Dachau b. burmistrz m. Szczebrzeszyna Jan Franczak. Bez mała pół roku przebywał on w więzieniu w Zamościu i w Lublinie, potem w obozie w Oranienburgu i wreszcie w Dachau. Opowiadali mi ci, co go już zdążyli widzieć, że wygląda okropnie, jest zupełnie chory, nogi ma tak opuchnięte, że po drodze w Warszawie musiał sobie kupić ranne pantofle i w nich dalej jechać, bo już butów nie mógł włożyć. Dziś jest to ruina człowieka i fizyczna i psychiczna. Różnie o nim mówiono w czasie jego urzędowania na stanowisku burmistrza; stawiano mu wiele zarzutów, wytykano nazbyt dobre stosunki z Niemcami, zwłaszcza z komendy placu itd. Nie jestem powołany do tego, aby go sądzić. Mogę tylko powiedzieć, że jeżeli nawet były jakieś ujemne strony w jego działalności i postępowaniu, to wszystko okupił on swoim męczeńskim pobytem w więzieniu i obozach niemieckich. W obozie w Dachau zmarł wybitny działacz społeczny, prezes Stronnictwa Narodowego w Zamościu, Stanisław Kowerski.

28 listopada

Odwiedził mnie wczoraj po raz drugi Jerzy Płomieński. Spędziłem z nim kilka godzin na bardzo miłej pogawędce. Tematem była literatura i nauka polska oraz losy wojenne uczonych i literatów polskich. Zginęło już wielu, jeszcze więcej ginie powoli w niemieckich obozach i więzieniach lub gdzieś na wygnaniu. We Lwowie nie ma już prof. Bartla, Bujaka, Romera i wielu innych. Boy-Żeleński wykłada obecnie na ukraińskim uniwersytecie lwowskim literaturę francuską. A ci co pozostali w kraju i są na wolności borykają się jak mogą z trudnościami dzisiejszego życia. Niektórzy zajmują się drobnym handlem walizkowym, do czego najczęściej nie mają żadnych zdolności, wielu siedzi na prowincji po dworach lub wprost po wsiach. Grafik Tadeusz Cieślewski, junior, jest kelnerem w kawiarni w Warszawie, wielu profesorów stopniowo wysprzedaje z konieczności swoje księgozbiory, np. prof. H. Mościcki, od którego nabyłem trochę rzadszych wydawnictw pamiętnikarskich. Ale na szczęście

nie wszyscy opuścili ręce. Wielu otrząsnęło się jakoś z ogólnej straszliwej apatii po naszej klęsce wrześniowej, a potem po sromotnej kapitulacji Francji i pomimo szalejącego terroru i najdotkliwszych braków żywnościowo-mieszkaniowych zabrało się do dalszej pracy z myślą o przyszłości. Do tych należy i prof. Płomieński, który siedząc na wsi w chłopskiej chałupie w pow. hrubieszowskim nie ustaje w pracy nad monografią Edwarda Dembowskiego i przygotowuje do druku duży tom zbiorowy wszystkich swych pism, tak dawniejszych jak i całkiem nowych.

Byłem dziś u Franczaka. Powoli przychodzi już do siebie, lecz kilka miesięcy pobytu w więzieniach i obozach pozostawią na nim ślady do końca życia. Rozmowę prowadziliśmy bardzo ogólnikową, on sam nie mówił prawie nic o tym, co przeżył i oczywiście ja też o nic go nie pytałem. Lecz przecie i bez słów można dużo powiedzieć i jeszcze więcej zrozumieć...

2 grudnia

Jeździłem dziś do cukrowni „Klemensów" chcąc dostać cukru i wytłoków dla szpitala. Już chyba ze 3 miesiące nie byłem w tych stronach, toteż z zaciekawieniem przyglądałem się kilkunastu drewnianym barakom postawionym przez Niemców przed cukrownią, tuż za tzw. „domkami" po lewej stronie szosy. Przygotowane są pomieszczenia dla lotników.

Powróciłem z cukrowni pod niemiłym wrażeniem stosunków jakie tam obecnie panują. Przed kilkoma tygodniami zjawił się niejaki inż. Moliński przysłany z dystryktu lubelskiego na zastępcę dyrektora Wyszyńskiego. Po bardzo krótkim czasie, w nieładny sposób Moliński doprowadził do tego, że dyr. Wyszyński ustąpił, a on zajął jego miejsce. Jest to człowiek młody, energiczny, dobrze znający się na cukrownictwie jako b. dyrektor dużej cukrowni „Podole" i w innych warunkach mógłby być nawet bardzo odpowiedni na tym stanowisku. Lecz postępowanie jego w stosunku do niektórych zasłużonych pracowników, a w szczególności do dyr. Wyszyńskiego od razu skierowało przeciwko niemu i jednemu z jego najbliższych miejscowych doradców i informatorów całą opinię tak pracowników cukrowni jak i ogółu społeczeństwa. Oburzenie ogarnęło wszystkich zwłaszcza z powodu krzywdy jakiej doznał dyr. inż. Julian Wyszyński. Jest to człowiek liczący już 70 kilka lat, znany działacz społeczny, odznaczający się rzadką prawością charakteru i ogromną ofiarnością. Świadczy o tym chociażby to, że w czasie obecnej wojny w małym jego folwarczku Pniówku pod Zamościem znalazło schronienie i opiekę ze strony pani Wyszyńskiej bez mała 40 osób, przeważnie członków rodzin oficerskich pozbawionych środków do życia. Dyr. Wyszyński otoczony był zawsze ogólnym szacunkiem, a dzisiaj wobec takiego brutalnego usunięcia go z zajmowanego przez około 30 lat stanowiska, sympatie dla niego i uznanie dla jego zasług wzrosły niepomiernie. A co do Molińskiego, to jasne jest dla wszystkich, że nie będzie on tu długo popasał i pójdzie stąd wraz ze swymi protektorami — Niemcami.

5 grudnia

Kilka wydarzeń jakie miały miejsce w ostatnich paru dniach wywarły w mieście pewne poruszenie. Jacyś barbarzyńcy wtargnęli do kaplicy św. Leonarda na cmentarzu, powybijali szyby, zniszczyli ołtarz, połamali ramy obrazów, a obraz św. Leonarda pocięli nożem. Sprawców na razie nie wykryto. Jedni twierdzą, że zrobili to Niemcy, drudzy przypuszczają, że jest to zemsta Ukraińców za rozpoczętą rozbiórkę b. cerkwi w okresie przedwojennym.

O tym jak nie można być pewnym nawet własnego domu przypomniało nam usunięcie z mieszkania ks. kan. Cieślickiego. Całą plebanię zajęło wojsko na kasyno oficerskie. Nie pomogły żadne starania, interwencja starosty itp.

A cukrownia zaniepokojona jest z innego powodu: wczoraj niespodzianie zjawili się gestapowcy, szturmowcy i żandarmi, obstawili wszystkie wejścia i przystąpili do spisywania pracowników tak sezonowych, jak i stałych. Dawano przy tym do podpisywania jakieś deklaracje. Oczywiście nie wiadomo w jakim celu to robiono, lecz zrozumiała jest obawa, że mogą ich gdzieś wywieźć po skończonej kampanii, do jakiejś fabryki w głąb Niemiec.

Daje się zauważyć nowa fala bandytyzmu. Wciąż słyszymy o napadach to tu, to tam. Przed kilkoma dniami wtargnęli bandyci do dworu Siemiątkowskich w Widniówce, gdzie byli już raz, akurat rok temu w grudniu, i zrabowali co się tylko dało. Wykazali przy tym zadziwiającą bezczelność. Po splądrowaniu dworu poszli do czworaków, gdzie w tym czasie przypadkowo odbywała się jakaś zabawa, i tam tańczyli przez parę godzin wraz z innymi.

Niestety, nie mam do zanotowania nic pozytywnego z naszego terenu. Chyba tylko, że nikt u nas w beznadziejnej rozpaczy nie załamuje rąk i wszyscy żyją w przekonaniu, że skończy się kiedyś nasza niewola i w całej pełni odzyskamy niepodległość.

7 grudnia

Przed kilkoma dniami aresztowano plenipotenta O. Z. Dębczyńskiego w związku ze sprawą niemieckiego plenipotenta Streicha. Wywieziono go do Lublina, lecz nie wiadomo nawet gdzie go umieszczono.

10 grudnia

Władze niemieckie obmyśliły zorganizowanie na terenie całej Generalnej Guberni tzw. Rad Lekarskich. Tym sposobem i w Szczebrzeszynie, siedzibie kilku lekarzy, powstała „Wielka Rada Lekarska" pod przewodnictwem dr Likowskiego, mianowanego „Pierwszym Lekarzem". Dziś właśnie odbyło się w magistracie pierwsze zebranie konstytucyjne nowej „Wielkiej Rady Lekarskiej". Oprócz lekarzy byli obecni wszyscy

aptekarze, dentyści, felczerzy, akuszerki, higienistki itd. nie wyłączając Żydów. Zebranie sprowadziło się do stwierdzenia przez przewodniczącego faktu powstania WRL i sprawdzenia listy obecnych. Nikt głosu nie zabierał. Lekarze czuli się dotknięci formą zawiadomienia o zebraniu, gdyż nie było to „zaproszenie", lecz „wezwanie do stawienia się", a poza tym wszyscy żywimy nieprzezwyciężony wstręt do wszystkiego, co narzucają nam Niemcy. Sam skład WRL jest tak dziwaczny, że mimo woli nasuwały się nam dość ironiczne i uszczypliwe uwagi. Przez bezwzględne milczenie pokazaliśmy jaki jest nasz stosunek do WRL.

12 grudnia

Niemcy zaczęli zabierać w niektórych domach meble dla swego kasyna. Byli w kilku domach polskich i w jednym żydowskim, u dentysty Bronsztejna. Opowiadano mi, że któregoś dnia do dworu Mogilnickich w Bzowcu podjechał duży samochód ciężarowy z Krasnegostawu i zabrano wszystkie najlepsze meble, których Mogilniccy w swym wielkopańskim dworze mieli dużo ładnych i stylowych.

14 grudnia

Znów grypa zwaliła mnie z nóg. Od kilku dni wszyscy w domu chorują. Broniłem się jak mogłem, brałem zapobiegawczo różne proszki i tabletki, stosowałem zastrzyki, lecz nic to nie pomogło.

Leżę w gorączce z obolałą, ciężką głową i czuję, że serce mi gwałtownie słabnie, jak to u mnie zawsze bywa przy grypie. Spokojnie i bez strachu myślę o możliwości śmierci. Ogarnia mnie tylko wciąż niepokój o los najbliższej rodziny, gdyż warunki ich życia beze mnie uległyby gruntownej zmianie, zwłaszcza w obecnym czasie. I tak chciałoby się doczekać końca wojny!

18 grudnia

Dziś pierwszy dzień czuję się względnie znośnie i nie dostałem kamfory. Przez dwa dni życie moje wisiało na włosku.

29 grudnia

Jeszcze mieszkania nie opuszczam, czas spędzam przeważnie w łóżku. Sporo czasu przejdzie zanim serce moje się wzmocni i będę mógł pracować. Jestem do pewnego stopnia poza nawiasem życia, dochodzą do mnie tylko jego odgłosy.

Podczas choroby myślałem dużo o latach młodości spędzonych w Moskwie. Napisałem też wspomnienia swoje z tych czasów. Może się kiedyś

komu przydadzą. Pisanie tych wspomnień i odrywanie się od życia potocznego w obecnych naszych ciężkich warunkach niewoli doskonale wpłynęły na uspokojenie systemu nerwowego. Czuję się jeszcze bardzo słaby fizycznie, lecz psychiczne moje nastawienie jest wyjątkowo dobre, czuję w sobie dużo energii i chęci do pracy umysłowej i planów wydawniczych. Tylko po tak bliskim otarciu się o śmierć mam ciągle wrażenie, że trzeba się śpieszyć, że czasu pozostało mi już mało i nie należy go tracić. Bo tyle jeszcze jest do zrobienia!

Od odwiedzających mnie dowiaduję się o różnych „przyjemnościach" okupacyjnych, o nowych obostrzeniach utrudniających nabywanie nabiału, o aresztowaniach za handel słoniną, mięsem itp. Echem tylko obiło się o mnie zarządzenie władz niemieckich zabraniające Polakom przejazdu kolejami od 23. XII. do 2. I. 1941.

Wczoraj w Szczebrzeszynie popełnił samobójstwo policjant polski Wieliczko. Strzelił do siebie z rewolweru, trafił w okolicę serca. Odwieziono go natychmiast do szpitala w Zamościu, gdzie wkrótce zmarł.




1941

4 stycznia 1941 r.

Od kilku dni mamy taką śnieżycę, że zawiało zupełnie wszystkie drogi i tory kolejowe. Tysiące ludzi pracuje przy usuwaniu śniegu. Niemcy spędzają do roboty Żydów i chłopów ze wsi, całymi masami. Lecz jest to syzyfowa praca, bo w krótkim czasie powstają nowe zwały śniegu. Wszelka komunikacja jest przerwana, nie dostanie się do nas żaden samochód, nie dojdzie do stacji żaden pociąg. Nie otrzymujemy już kilka dni żadnej poczty, nie mamy wcale gazet, nie wiemy co się na świecie dzieje. Na miejscu też nie wydarzyło się nic takiego, co by warto było zanotować. Zastój zupełny. Wczoraj tylko mieli mieszkańcy pewną „rozrywkę" obserwując burmistrza Boruckiego, jak własnoręcznie bił na ulicy Żydów spóźniających się do roboty na drogach.

Przez kilka tygodni leczyła się w szpitalu sekretarka osobista niemieckiego plenipotenta O. Z. w Zwierzyńcu. Przybyła tu w asyście policjanta skierowana do przymusowego leczenia. Bardzo elegancka, przystojna, 18-letnia panna, Polka, nazywa się Alfreda Sołtysiak. Mówiła, że ukończyła gimnazjum Kunickiego w Lublinie, gdzie mieszkają jej rodzice, przez kilka lat była w Katowicach i dlatego doskonale włada językiem niemieckim. Oddana jest Niemcom tak dalece, że nawet pracuje w Gestapo, czym sama chwaliła się przed moim praktykantem, medykiem i pokazywała mu odpowiednią legitymację. W pewnym momencie chciała telefonować do Gestapo w Lublinie, aby zameldować o nieostrożnym i nietaktownym odezwaniu się o Niemcach jednego młodzieńca ze Zwierzyńca [1]). Ledwie ją od tego medyk Cielecki powstrzymał. Notuję jej nazwisko ku pamięci i hańbie.

10 stycznia

Jakiś czas mieliśmy względny spokój, słyszeliśmy tylko o rozmaitych szykanach, łapaniu handlujących zakazanymi artykułami spożywczymi, rzeźników, młynarzy itp., lecz nie było ani aresztowań politycznych, ani

[1]) Osuch.

masowych łapanek. A teraz znów ogarnia nas niepokój. Krążą coraz bardziej uporczywe wieści, że wkrótce mają się rozpocząć liczne aresztowania wśród inteligencji i nowa branka robotników do Niemiec. Aresztowania mają być największe najpierw w Warszawie, potem dopiero na prowincji. Oczyszczono już podobno „Pawiak" w Warszawie przygotowując go do przyjęcia nowych więźniów, a w Lublinie więzienie na Zamku. Chodzi o dalsze tępienie inteligencji polskiej. Wieści te fatalnie wpływają na ogólne samopoczucie społeczeństwa, które poza tym zachowuje pełną wiarę w pomyślne dla nas zakończenie wojny.

Zjawiły się znów świeże wypadki tyfusu plamistego. Zainteresował się nimi wojskowy lekarz niemiecki, specjalista ginekolog, który nigdy chorych na tyfus plamisty nie widział. Był parę razy w szpitalu. Przy sposobności prosił, żeby mu pokazać jak wyglądają i jak się stawia bańki, ponieważ i tego nigdzie w Niemczech nie widział.

Okropnie szerzy się u nas pijaństwo. Staje się ono prawdziwą plagą. Niemcy całkiem jawnie to popierają i nawet na wszelkie awantury pijackie patrzą przez palce. W tutejszym magistracie burmistrz Borucki, który zresztą sam bynajmniej alkoholem nie gardzi, zawiesił za pijaństwo w urzędowaniu dwóch urzędników i szofera.

14 stycznia

Przed trzema dniami, wieczorem, żandarmi przy pomocy wojska zaczęli wyszukiwać i zatrzymywać wszystkich przyjezdnych z Warszawy. W domu noclegowym Marszyckiego przeprowadzono gruntowną rewizję, tak samo i w innych miejscach, gdzie najczęściej zatrzymują się warszawiacy. W tym czasie zatrzymywano i legitymowano również i przechodniów na ulicy. Rewizję osobistą przeprowadzono tylko u aresztowanych 10 warszawiaków. Robiło to wrażenie, że szukają kogoś, kto coś specjalnie zakazanego przywozi z Warszawy.

Wczoraj usilnie szukano po mieście jakiejś przyjezdnej pani w szarym płaszczu.

15 stycznia

Dzisiaj w nocy i rano panował na szosie nadzwyczajny ruch niemieckich samochodów wojskowych. Wszystkie zdążały w kierunku na Zwierzyniec. Dawno już czegoś podobnego nie obserwowaliśmy. Mówiono na mieście, że odwołano z urlopów wszystkich oficerów. Krążą plotki o jakichś zaburzeniach w garnizonie zamojskim, o aresztowaniu kilku oficerów gestapowców za łapówki. W sferach rozprawiających na tematy polityczne wyczuwa się podniecenie i oczekiwanie w najbliższych dniach jakichś ważniejszych wydarzeń.

18 stycznia

W pow. biłgorajskim były nowe aresztowania. Trzy osoby, w tym jednego księdza spod Tarnogrodu, rozstrzelano, resztę wywieziono do więzienia w Zamościu. Dochodzą nas wieści o licznych aresztowaniach w Warszawie i Lublinie.

Do Zamościa przybyła nowa partia, około 1.000 osób, wysiedlonych z Poznania. Przeszło 100 umieszczono w Deszkowicach.

Do pow. biłgorajskiego jeszcze w styczniu ma przybyć 4.800 wysiedlonych z Poznania. Tak przynajmniej informował nas lekarz powiatowy z Biłgoraja wzywając do zorganizowania dla nich pomocy lekarskiej. A zima w całej pełni, mróz, zamiecie. W takich warunkach ci nieszczęśni ludzie giną masami, zwłaszcza małe dzieci. Ostatnią partię trzymano w Łodzi około 7 tygodni w nieopalanych barakach. W tym czasie dużo dzieci chorowało na odrę. Wieźli je również w nieopalanych wagonach.

Wszystkie te wiadomości działają w przygnębiający sposób. Tajne komunikaty przynoszą bardzo pocieszające wieści o dużych powodzeniach Anglików w Afryce. Cieszy to wszystkich ogromnie, lecz w rozmowach i myślach dominuje główne i najważniejsze dla nas pytanie — kiedy się skończą nasze cierpienia?

20 stycznia

Niemcy urządzili strzelnicę dla ćwiczeń tuż poza miastem, przy końcu ul. Frampolskiej. Od jakiegoś czasu zaczęły tam ginąć rozmaite drobne części urządzenia. W związku z tym na mieście na słupach ukazały się ogłoszenia podpisane przez burmistrza, zawiadamiające mieszkańców, że Niemcy uważają to za sabotaż i grożą karą śmierci nie tylko bezpośrednim winowajcom, lecz i innym obywatelom miasta, którzy nie starają się temu zapobiec.

W magistracie odbył się sąd urzędniczo-obywatelski nad zawieszonymi z powodu pijaństwa urzędnikami, mec. Krzyżańskim, Kitowskim i szoferem Krukowskim. Powrócili oni do pracy z zagrożeniem, że w razie powtórzenia się podobnego wykroczenia będą usunięci z posad ostatecznie.

Ogromnie martwimy się brakiem wiadomości od rejenta Rosińskiego z Dachau. Pisywał on do Zamościa bardzo regularnie 2 razy na miesiąc, a teraz upłynęło już przeszło 4 tygodnie i nic od niego nie ma.

22 stycznia

Intendent szpitala jeździł dziś do Zamościa. Panuje tam straszne przygnębienie i niepokój. Wszyscy oczekują masowych aresztowań wśród inteligencji, podobnie jak to było w czerwcu ub. roku. Kto może, ukrywa się, lub wyjeżdża z Zamościa do innych miejscowości, gdzie go nie znają. W biurach zastój, urzędnicy nie są w stanie pracować normalnie. Do-

tychczas aresztowań politycznych nie było, uwięziono tylko paru kupców, lecz to prawdopodobnie w związku z jakimiś aferami handlowymi. Aresztowano też budowniczego Braunszteina, Żyda, oskarżając go o sabotaż, pomimo że wciąż budował coś dla Gestapo.

Przyszły oficjalne zawiadomienia, że w obozie pod Wiedniem zmarł leśniczy O. Z. Byczkowski, oficer rezerwy, a w Oranienburgu Radzik, b. naczelnik Urzędu Pocztowego najpierw w Zwierzyńcu, potem w Zamościu.

Ucieszyła nas natomiast wiadomość, że właśnie wczoraj nadszedł list od rejenta Rosińskiego z Dachau, który pisze, że jest zdrów.

Zaczynają się już napady i na drogach publicznych. Wczoraj o godz. 6 wieczorem wracał z Zamościa urzędnik z fabryki „Alwa" Fedorowicz, który wiózł w teczce pieniądze fabryczne w kwocie 15.000 zł, podjęte w banku. Koło Zawady przysiadł się do sanek jakiś młodzieniec, który w pewnym momencie wyciągnął rewolwer i kazał sobie oddać teczkę z pieniędzmi. Fedorowicz, furman i jeszcze jeden pasażer [1]) tak byli tym zaskoczeni, że nie reagowali zupełnie i napastnik uszedł z pieniędzmi nieścigany [2]).

28 stycznia

Niemieckie władze administracyjne przygotowują się do nowej kampanii wiosennej. Wczoraj przeprowadzono ponownie rejestrację wszystkich Żydów, zapewne z myślą o jakichś obozach pracy. A co do Polaków, to rozlepiono wezwanie burmistrza, ażeby do dnia 31 stycznia zgłaszali się na ochotnika do wyjazdu na roboty do Niemiec. Pomiędzy wierszami można przeczytać, że jeżeli nie znajdą się ochotnicy, to będzie branka przymusowa.

Ze wszystkich stron dochodzą wiadomości o aresztowaniach wśród inteligencji. Ludzie żyją w niepokoju i strasznie wyczerpują się nerwowo.

31 stycznia

Do wyjazdu do Niemiec z własnej ochoty zapisała się w tutejszym magistracie tylko jedna dziewczyna.

Od wczoraj zniesiono dla Żydów obowiązek kłaniania się wszystkim Niemcom. Nie wiemy, czym to tłumaczyć. Jednak Żydzi na wszelki wypadek kłaniają się w dalszym ciągu, zwłaszcza, że gdy jeden nie zdjął czapki przez nieuwagę, to go Niemcy pobili.

---

[1]) Kleban.

[2]) Do września 1944 r. nawet ludzie dobrze zorientowani sądzili, że napadu dokonał ówczesny dowódca szturmówki Wisman, znany ze swojej późniejszej afery już jako gestapowiec. W rzeczywistości napastnikiem tym był pewien podoficer, jeden z wybitnych członków organizacji, bardzo dzielny żołnierz, uczestnik wielu brawurowych akcji, który, niestety, od czasu do czasu przeprowadzał napady rabunkowe na swój własny rachunek.

3 lutego

Otrzymałem wiadomość, że w Izbicy został aresztowany kol. Marian Sulewski. W czerwcu ukrył się na dłuższy czas i tym sposobem uniknął obozu. Dużo osób aresztowano w Krasnymstawie. Na naszym terenie i w Zamościu na razie były tylko sporadyczne aresztowania w sferach handlowych, lecz nastrój jest stale trwożny. W Szczebrzeszynie lada dzień spodziewane są aresztowania. Gestapowcy byli w magistracie, przeglądali księgi ludności, robili jakieś notatki i stąd taki wniosek.

5 lutego

Na dzień dzisiejszy byłem wezwany do Sądu Specjalnego (Sondergericht) w Zamościu jako rzeczoznawca w dwóch sprawach wytoczonych moim byłym pacjentkom o zarażenie chorobą weneryczną żołnierzy niemieckich. Z dziwnie przykrym uczuciem jechałem na te rozprawy. Uczucie to wzmagało się w miarę zbliżania się do gmachu Sądu Okręgowego. Najpierw gdy chciałem przejść drogą przecinającą ogród i wiodącą wprost na środek gmachu, natknąłem się na tablicę z napisem „Żydom i Polakom przejście wzbronione". Zakląłem szpetnie, zawróciłem i poszedłem do sądu boczną drogą. W gmachu sądowym zmieszały się nowe tablice i napisy niemieckie z dawnymi napisami polskimi. Sędziowie i urzędnicy, Niemcy, woźni — Polacy. Wszędzie język potoczny polski przeplatał się urzędowym niemieckim.

Na sali rozpraw, na drugim piętrze, za długim stołem, siedzą trzej sędziowie w czarnych mundurach. Siedzący pośrodku przewodniczący, bardzo spokojnie i jak gdyby życzliwie usposobiony dla oskarżonych, dwaj inni nudzą się, rzadko kiedy zadając jakieś pytanie. Prokurator w jasnym mundurze szaro-zielonkawym, aplikant w czarnej todze bardzo ładnego kroju. Obie oskarżone przyprowadzone z więzienia niczemu nie zaprzeczały, przyznały się otwarcie, że miewały stosunki z żołnierzami, chociaż wiedziały, że mogą ich zarazić, bo je o tym uprzedzałem i pouczałem, jak mają się zachowywać, a czyniły to dlatego, że nie miały z czego żyć. Jedna z nich liczy zaledwie 17 lat, jest wysiedlona z Poznańskiego, powiada, że jest córką kapitana, ale jakoś na to nie wygląda. Czułem się szczęśliwy, że wobec ich przyznania się, moje zeznania nie przyczyniły się do wyroku skazującego. Prokurator żądał dla starszej 5 lat, dla młodszej 4 lat ciężkiego więzienia i pozbawienia praw. Sąd skazał młodszą na 1 rok i 7 miesięcy więzienia. Ile dostała starsza — nie wiem. Siedziałem na sali rozpraw, byłem potem w biurze sekretariatu dla załatwienia niektórych formalności i wciąż mi się zdawało, że wszyscy urzędujący tu Niemcy sami zdają sobie sprawę z tego, iż są tutaj tylko czasowymi panami. Cała organizacja tego sądownictwa niemieckiego sprawia wrażenie czegoś bardzo prowizorycznego.

Opuściłem Zamość z uczuciem wielkiej ulgi, że już wracam do domu.

7 lutego

W obozie w Dachau umarł Kuliński, urzędnik nadleśnictwa w Kosobudach, liczący zaledwie 20 kilka lat. Jeszcze jedna ofiara z Zamojszczyzny. Nie opuszcza mnie myśl o Rosińskim. Czy on to wszystko wytrzyma?

10 lutego

Jeździłem dziś do Zwierzyńca. Koło szpitala postawili Niemcy kilka drewnianych baraków. Pomalowali je na kolor ciemno szary, tak, że z daleka nie różnią się od zwykłych domów. Nasłuchałem się trochę miejscowych plotek, jak Szmidt pobił Adama Karpińskiego, jak gestapowcy znaleźli u Kosteckich worki z manufakturą od Ajzena ze Szczebrzeszyna itp.

A plenipotent wciąż jeszcze siedzi w Lublinie. Podobno nie trzymają go w więzieniu, tylko gdzieś przy Gestapo.

12 lutego

Dawno już nie byłem tak przygnębiony jak dzisiaj. Dowiedziałem się, że w Dachau umarł dr Wacław Drożdż z Lublina, mój kolega uniwersytecki z Krakowa, bardzo znany i ceniony działacz społeczny w Lublinie. Niejednokrotnie był on prezesem Związku Lekarzy, prezesem T-wa Lekarskiego itd. Dowiedziałem się również, że w zeszłym tygodniu podczas licznych aresztowań w Lublinie zabrano i dra Poradowskiego, neurologa wileńskiego. Spośród aresztowanych rozstrzelano co dziesiątego. W ich liczbe znalazł się i dr Poradowski.

Do Szczebrzeszyna wciąż przyjeżdżają gestapowcy, siedzą w magistracie, czegoś szukają. Dziś rano zatrzymali „budę” Kitowskiego jadącą z pasażerami do Zamościa, przeprowadzili rewizję, odebrali jakieś towary.

Rozklejono odezwę delegatury Rady Opiekuńczej, wzywającą obywateli miasta do składania ofiar w naturze na rzecz nowej partii wysiedlonych, którzy mają tu przybyć lada dzień.

13 lutego

W mieście silny niepokój i podniecenie. Od rana kręcą się wszędzie żandarmi, rewidują wszystkie furmanki przyjeżdżające do miasta. Po południu w stronę Zwierzyńca przejechały 4 duże ciężarówki z żandarmami w hełmach i w pełnym rynsztunku. Ludzie boją się łapanki, niektórzy uciekają z miasta.

14 lutego

Ludność polska przeżyła dziś wyjątkowo ciężką noc. Dużo młodzieży uciekło z miasta, wiele osób, nawet starszych, nie nocowało u siebie w domu, a jeszcze więcej nie rozbierało się i nie spało przez całą noc.

Wiadome było, że przeszło 100 żandarmów pozostało w Szczebrzeszynie na noc i to właśnie było przyczyną trwogi.

Dziś żandarmi cały dzień łazili po mieście, obstawili wszystkie wjazdy, rewidowali furmanki, legitymowali niektórych przechodniów, czasem przeprowadzali rewizje osobiste na ulicy. M. in. zatrzymali 10-letniego ucznia szkoły powszechnej Stockiego, syna lekarza z Krakowa, powracającego do domu do cukrowni, zrewidowali zawartość teczki z książkami, przejrzeli kieszenie, obmacali ubranko.

Być może ma to jakiś związek z historią, jaka zaczęła się jeszcze pozawczoraj. Baba z Kawenczyna, Biziorowa, pokłóciła się z zięciem Gnyplem i poszła do Niemców na skargę, powiedziała przy tym, że zięć ukrywa karabin. Pojechali na rewizję, karabinu nie znaleźli. Aresztowali jednak i Gnypla i syna tej baby, nie cieszącego się we wsi dobrą opinią. Lecz baba się zawzięła, wydobyła gdzieś ten nieszczęsny karabin i sama zaniosła go na posterunek żandarmerii, zaczęła w dodatku opowiadać różne bzdury, że chłopi przygotowują powstanie, że mają dużo ukrytej broni, czytają gazetki itp. Żandarmi pojechali jeszcze raz na Kawenczyn, nic tam nie znaleźli, lecz aresztowali i podłą babę.

Trwoga w mieście jeszcze nie minęła. Gdy się tylko ściemniło, ulice opustoszały.

Przed paru dniami aresztowano w Zamościu Zygmunta Pomarańskiego, b. legionistę, b. właściciela księgarni, czynnego w obecnej działalności konspiracyjnej.

15 lutego

Żandarmów w mieście pełno. Legitymują coraz więcej przechodniów i przejezdnych. Zatrzymali znowu małego chłopaka ze szkoły powszechnej, zrewidowali go, książki zwrócili, teczkę zaś, ołówek i pióro zabrali. Nic nie pomógł płacz dziecka. Snują się po wszystkich drogach naokoło miasta. Na skrzyżowaniu szosy Rozłopskiej z traktem Michalowskim podobno już trzecią noc stoi samochód z karabinami maszynowymi.

Muszą jednak być jakieś głębsze przyczyny takiej niezwykłej czujności.

W mieście nie ma soli. Wszystko wykupili chłopi.

I znów wszyscy spodziewają się jakichś ważniejszych wydarzeń. Uwaga zwrócona na wschód.

W Dachau umarł ks. Chróścicki ze Starego Zamościa.

19 lutego

Historia z Kawenczynem jeszcze nie ucichła. Onegdaj rano zobaczyliśmy jak pod naszymi oknami na kilku furmankach żandarmi wieźli

z Kawenczyna aresztowanych chłopów, wśród których znajdował się nasz dobry znajomy Jan Łazorczyk, zastępca wójta gminy Zwierzyniec, bardzo solidny i inteligentny gospodarz. W czasie dochodzenia strasznie ich pobito. Paru wypuszczono, reszta jeszcze siedzi.

Z Zamościa otrzymałem bardzo nieprzyjemne wiadomości, przede wszystkim, że bibliotece naszej grozi wyrzucenie z zajmowanego lokalu w gmachu ratusza.

Z domu „Centralnego" usuwają wszystkich mieszkańców, a wśród nich siostrę i gospodynię Rosińskiego, które tak gorliwie broniły tego mieszkania i rzeczy, żeby uratować wszystko i zachować dla niego jak powróci z obozu.

Ludzie lada dzień spodziewają się łapanek. W tym roku Niemcy u nas nikomu nie wręczają żadnych wezwań, a że będą brali, to widać chociażby z tego, że lekarze Ubezp. Społ. otrzymali już zawiadomienie, że zostali wyznaczeni do badania stanu zdrowia i określania zdolności do pracy tych, których ewentualnie będą zabierali na roboty. Ciężkie zadanie będą mieli ci lekarze.

Wczoraj po południu Niemcy zjawili się w domu murarza Michalskiego, udali się wprost do piwnicy i tam w pewnym miejscu zaczęli odbijać ścianę, przy czym od razu natrafili na zamurowane w większej ilości towary bławatne pochodzące ze składu Ajzena w Szczebrzeszynie. Skąd mają takie ścisłe wiadomości?

20 lutego

Wczoraj o godz. 7 wieczorem do mieszkania współwłaściciela młyna Perety weszło 3 bandytów. Zagroziwszy rewolwerami zażądali wydania 20.000 zł i biżuterii. Pereta oddał im 2.400 zł jakie miał w domu i z tym bandyci poszli. Z biżuterii nic nie zabrali.

21 lutego

Otrzymaliśmy zawiadomienie z Zamościa, że wczoraj został tam aresztowany Kazimierz Rutkowski z żoną Janiną. On jest urzędnikiem Ubezpieczalni Społecznej, był też skarbnikiem Koła Miłośników Książki, należał czynnie do Stronnictwa Narodowego, ona była nauczycielką w Seminarium Naucz., obecnie na emeryturze. Dalej wzięto Pacewicza, syna wiceprezesa Sądu Okr., studenta, z tego samego obozu politycznego i Marię Blaszyńską, też urzędniczkę Ub. Sp. Przyczyna aresztowania nie jest znana.

W Zamościu na mieście ukazały się nowe klepsydry zawiadamiające o śmierci niektórych obywateli zamojskich, wszystkie pisane w dwóch językach po niemiecku i po polsku.

22 lutego

Przyszła depesza z Dachau zawiadamiająca o śmierci Kafarskiego. Byliśmy z nim aresztowani w Szczebrzeszynie w jednym dniu 19. VI.

ub. r. i razem siedzieliśmy w jednej celi w Rotundzie zamojskiej. Był to bardzo spokojny człowiek, przeszedł ciężkie koleje w Rosji, zrównoważony, opanowany, z prawdziwie męską postawą znosił wszystkie przeciwności losu.

23 lutego

Dziś rano zawiadomiła mnie telefonicznie p. Kamila Kopcińska z Zamościa o śmierci Rosińskiego w obozie w Dachau. Już od dawna niczyja śmierć nie pogrążyła mnie w tak głębokim smutku. Nie mogę się opanować, nie mogę przed ludźmi ukryć swych łez... [1])

Straciłem najlepszego, najbliższego towarzysza pracy prowadzonej wspólnie w ciągu lat 17. Wszystko robiliśmy razem, naradzaliśmy się zawsze we wszystkich naszych sprawach, nic nie przedsiębraliśmy bez uprzedniego wzajemnego porozumienia się. Do nikogo nie miałem takiego zaufania jak do niego. Ileż planów mieliśmy na przyszłość! Nie wyobrażam sobie teraz pracy na terenie Zamościa bez niego. Bo przez dłuższy czas z pewnością nikt go nie zastąpi. Tacy ludzie jak on zjawiają się rzadko. Zjawiają się od czasu do czasu.

Pozostałem z całej naszej ściślejszej grupy tylko ja jeden... osamotniony i bezgranicznie smutny.

Pisząc swoje zamojskie wspomnienia od r. 1918 właśnie przed paru dniami skreśliłem sylwetkę Rosińskiego. Wierzyłem wówczas, że on wszystko przetrzyma i wróci. Stało się inaczej.

Nie wiadomo jak długo sądzono mi jeszcze być tu i pracować. I nie wiem, czy będę zdolny do jakiejś pracy. To jedno tylko czuję, że moim

---

1) Mgr. farm. Czesław Szczygłowski, który był aresztowany w tym samym czasie co i mec. Rosiński i przebywał razem z nim między in. i w obozie w Sachsenhausen pod Oranienburgiem podaje o nim kilka szczegółów z ostatniego okresu życia:

„Bliżej poznałem Rosińskiego zwłaszcza w obozie w Sachsenhausen, gdzie umieszczono nas w jednym bloku i w tej samej izbie. Pomimo swoich 57 lat trzymał się Rosiński nadzwyczaj dzielnie jak fizycznie, tak i psychicznie i daleki był od jakiegokolwiek załamania się. Swoją postawą i hartem ducha dawał piękny przykład współwięźniom, wśród których cieszył się bardzo dużym szacunkiem.

Aż kiedyś zachorował na czerwonkę. Od tej chwili zaczęły się jego ciężkie męczarnie. Było to jeszcze w okresie odbywania przez nas tzw. kwarantanny, podczas której najcięższych nawet chorych nie odsyłano do szpitala czy na izbę chorych. Pozostał więc Rosiński na swoim bloku wśród kolegów. Żadnego „kibla" tu nie było. Do ustępu prowadzono więźniów 3 razy na dobę — rano, w południe i wieczorem.

Przy czerwonce chory czuje nieodzowną potrzebę bardzo częstego oddawania stolca, czego opanować nie jest w stanie. Tak też było i z Rosińskim. Dopóki mógł powstrzymywał się wszystkimi siłami, wreszcie bezwiednie zaczął oddawać stolec w spodnie. Wykryto to od razu przy rannym apelu. Rozebrano wówczas Rosińskiego do naga i zaprowadzono pod lodowaty prysznic. Gdy już zsiniał z zimna wzięto go nago na karne ćwiczenia na dworze przed barakiem na placu wysypanym żwirem z koksu. Kazano mu skakać żabkę i rolować po tym żwirze aż do zupełnej utraty sił. Potem znów wzięto go pod prysznic, poczem kazano nagiemu stać przed barakiem w pozycji na baczność. Był przy tym narażony na różne szykany ze strony przechodzących lub przejeżdżających obok na rowerze gestapowców, którzy bili go pięściami, kopali nogami itp.

Trwało to około 6 godzin, czyli do południowego apelu. Wreszcie już krańcowo wyczerpanego i upadłego z sił zaprowadzono z powrotem do baraku, gdzie wreszcie pozwolono mu się ubrać. Nic nie mógł jeść, przeżuwał tylko suchy chleb. I do wieczornego apelu musiał jeszcze wraz ze wszystkimi więźniami stać nieruchomo w baraku.

Dzielny Rosiński wszystko to wytrzymał i chociaż nie całkiem, przyszedł jednak jako tako do siebie.

Po skończonej kwarantannie rozdzielono nas. Ja pozostałem w Oranienburgu, Rosińskiego przewieziono do Dachau, gdzie (jak dowiedziałem się, już po zwolnieniu i powrocie do domu), zmarł wskutek przebytych męczarni i zbyt ciężkich dla jego wieku warunków obozowych dnia 21 lutego 1941 roku".

obowiązkiem jest jak najprędzej dokończyć pamiętniki o Zamojszczyźnie, nieustannie podkreślając w nich rolę i znaczenie Rosińskiego.

Gdy zacząłem pisać swoje wspomnienia, zawsze myślałem, że Rosiński będzie pierwszym, komu dam je do przeczytania. Byłem pewny, że choć wiele ustępów podda ostrej nawet krytyce, to jednak będzie rad, iż to napisałem, że odtworzyłem w opisie swym ważny okres w dziejach Zamościa, kiedyśmy wspólnie wytrwale pracowali dla jego kultury.

Lecz z rozpoczętą pracą muszę się bardzo śpieszyć, żeby ją jeszcze wykończyć i samemu przepisać, bo moich kreślonych skrótami notatek nikt prócz mnie nie odczyta.

Będzie to z mojej strony hołd oddany pamięci najbliższego towarzysza i przyjaciela.

24 lutego

Nie mogę przyjść do siebie, tak jestem zgnębiony zgonem Rosińskiego. Im głębiej rozmyślam nad jego śmiercią, tym większą wydaje mi się strata, jaką ponosi Zamość. Ogarnia mnie bezgraniczny żal, że to się stało.

25 lutego

Miałem dziś jechać do Zamościa, lecz zawiódł samochód i nie pojechałem, a tak się źle czuję fizycznie, że na jazdę końmi nie mogę się zdecydować.

Z Dachau nadeszła wiadomość, że umarł tam Marek Wojciechowski, zastępca naczelnika poczty w Zamościu, aresztowany wraz z innymi w czerwcu ubr.

Lista ofiar ciągnie się w nieskończoność...

26 lutego

Jeździłem dziś do Zamościa, żeby zobaczyć się z siostrą Rosińskiego i omówić z nią szereg spraw związanych z jego śmiercią.

Umarł w piątek, 21 lutego. Dokładnie tego samego dnia pisałem o nim dłuższy ustęp w swych dawnych wspomnieniach zamojskich.

Na murach bramy prowadzącej do kolegiaty rozklejone są klepsydry zawiadamiające o śmierci Rosińskiego. Stosownie do zarządzenia władz drukowane są u góry po niemiecku, u dołu po polsku. Jest to znęcanie się nawet nad pamięcią zmarłego. Mało im było męczarni zadawanych za życia.

Śmierć Rosińskiego zrobiła na wszystkich w Zamościu wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Żal powszechny jest niekłamany.

Widziałem się i rozmawiałem z wieloma ludźmi. Pomimo wszystko nastrój jest dobry, wiara w przyszłość nadzwyczajna.

Wczoraj w Zamościu został aresztowany geometra Stefanek, oddający duże usługi organizacji, kilka dni przedtem sędzia Władysław Pajewski.

W Dachau umarł b. wiceprokurator z Zamościa, Kulik, ostatnio bardzo wzięty adwokat w Hrubieszowie.

Zachodziłem do naszej Biblioteki Publicznej. Tłok niebywały, abonenci stoją w ogonku. Już mieli bibliotekę usuwać, lecz na razie eksmisję wstrzymano. To samo z Muzeum. Burmistrz Wazowski obiecał mi najsolenniej w razie czego znaleźć odpowiedni lokal, żeby i jedno i drugie nie przepadło.

28 lutego

„Złota młodzież" szczebrzeszyńska z Piotrem Jóźwiakiem, b. moim uczniem, oficerem rezerwy, na czele, upiła się wczoraj wieczorem i zaczęła robić pijackie awantury. W rezultacie zatrzymano 4 młodzieńców: Jóźwiaka Piotra z Brodów, Chwiejczaka z Żurawnicy, pdch. zawod. Bortkiewicza ze Szczebrzeszyna i Wybacza, również ze Szczebrzeszyna. Osadzono ich w areszcie przy magistracie, pobito przy tym dotkliwie.

2 marca

Od rana w mieście jakiś ruch. Przyjechało dużo żandarmów. Chodzą po ulicach, czegoś wypatrują, na pewien czas usunęli z rynku wszystkie furmanki. Wśród ludności duży niepokój.

We czwartek 27. II. w kolegiacie zamojskiej odbyło się nabożeństwo żałobne za Rosińskiego. Opowiadała mi jedna z pań, która była obecna na nabożeństwie, że przyszło do kościoła bardzo mało osób, przez ostrożność woleli nie gromadzić się w większej liczbie i nie zwracać na siebie uwagi. Było natomiast kilku gestapowców ubranych po cywilnemu. Miał być śpiew solowy i gra na skrzypcach, lecz policjant polski zwrócił uwagę temu, kto miał grać, żeby nie robić manifestacji. Wczoraj takież nabożeństwo odbyło się w Szczebrzeszynie.

Na mieście ukazało się zarządzenie podpisane przez szefa dystryktu lubelskiego, zabraniające Żydom wydalania się poza miejsce stałego zamieszkania i wezwanie do ścisłego przestrzegania przez ludność godzin policyjnych pod karą 3 miesięcy więzienia lub grzywny do 1.000 zł. Unieważniono wszystkie dotychczasowe przepustki nocne. Może je wydawać tylko Urząd Gener. Gubern. w Krakowie w wyjątkowych wypadkach np. dla lekarzy, akuszerek itp. Jednak nikt z miejscowych lekarzy nie kwapi się z uzyskaniem nocnej przepustki.

3 marca

Od rana w mieście ogromna sensacja. Wczoraj wieczorem z aresztu miejskiego uciekli wszyscy czterej aresztowani, o których wyżej mówiłem. Przyjechało dużo żandarmerii, obstawione są wszystkie rogatki miejskie, szukają po domach, w ogóle niezwykłe poruszenie. Ludzie jeszcze więcej obawiają się teraz liczniejszych aresztowań niż przedtem. Wiele osób, zwłaszcza kobiety, wywędrowało z miasta. Nastrój bardzo gorączkowy, niepewność, oczekiwanie jakichś represji.

5 marca

Dotychczas spokój, żadnych aresztowań nie było, nastąpiło pewne odprężenie. Lecz nie ma pewności, czy władze niemieckie rzeczywiście tak łatwo przejdą nad tym wypadkiem do porządku dziennego.

8 marca

Kilka dni przeszło zupełnie spokojnie. Jak dotychczas nie zastosowano żadnych represji, jakich spodziewano się w mieście po ucieczce 4 aresztowanych. Podobno jednak po okolicznych wsiach, gajówkach itp. szukają ich usilnie.

Wszędzie daje się zauważyć większe zainteresowanie ogólną sytuacją polityczną w związku z wkroczeniem wojsk niemieckich do Bułgarii. Znów wzmogły się u nas przypuszczenia, że wojna Niemców z Rosjanami wybuchnie w najbliższym czasie. W Zamościu na placu autobusowym widziano dużą ciężarówkę naładowaną drogowskazami z napisami „Nach Lemberg" itp. W Hrubieszowie, Tomaszowie i innych miejscowościach w pobliżu granicy okupacyjnej zmieniono godziny policyjne tak, że po 7 wieczorem wychodzić już nie wolno i przepis ten jest wyjątkowo ściśle przestrzegany.

Na lotnisku, koło cukrowni prace idą teraz w przyśpieszonym tempie. Po lasach dookoła rozsiane są liczne składy amunicji, zwłaszcza bliżej granicy.

Wieczorem rozeszła się wiadomość, że żabity został dyrektor teatrów warszawskich Igo Sym, Niemiec. W związku z tym aresztowano większą liczbę zakładników, którzy mają być rozstrzelani, jeżeli w ciągu 3 dni nie zostanie ustalone nazwisko zabójcy. Znów nowy niepokój i bezsilna rozpacz, że zginie tyle niewinnych ofiar i to zapewne spośród inteligencji i ludzi najbardziej wartościowych.

Przed paru dniami przyjechała do Szczebrzeszyna partia wysiedlonych, około 200 osób. Jeszcze w żadnej grupie nie było tylu chorych, co w tej. Przyjąłem do szpitala już kilkunastu, przeważnie starców i dzieci. Troje z nich dzisiaj zmarło.

10 marca

Czuję się strasznie zmęczony psychicznie. Życie w takich warunkach, w jakich my żyjemy już przeszło półtora roku okropnie wyczerpuje nerwowo. Wierzę niezachwianie w ostateczne zwycięstwo Anglii, lecz zaczynam coraz bardziej wątpić, czy ja doczekam końca tej wojny. Fizycznie organizm mój, a zwłaszcza serce, wyczerpuje się jeszcze więcej niż nerwy — a nic nie zapowiada rychłego końca, przeciwnie, wszystko zdaje się wikłać i zaciągać na lata całe.

Tymczasem w kraju szerzy się we wszystkich dziedzinach straszne spustoszenie, tysiącami giną najlepsi, najwartościowsi ludzie. Najwięcej

mnie boli niszczenie naszej kultury. Jak też będzie Polska wyglądała po kilku latach takiej barbarzyńskiej okupacji?!

Jak nigdy przedtem odczuwam teraz obowiązek pracy. Czuję, że każdy powinien dać z siebie maximum tego, co dać może. A co do siebie, to nie opuszcza mnie ani na chwilę męcząca myśl, że mam jeszcze dużo do zrobienia i że ze wszystkim muszę ogromnie się śpieszyć, bo nie wiadomo, co jutro ze mną będzie. Chcę w możliwie szybkim czasie wykończyć swoje rękopisy, uporządkować je, przepisać na maszynie i pozostawić w takim stanie, żeby w przyszłości można było bez trudu je wykorzystać. Przepisuję w dwóch egzemplarzach, z myślą, że jeżeli jeden zginie, to może drugi się zachowa. Staram się czasu nie tracić. Nulla dies sine linea!

Ale w jakże ciężkich warunkach odbywa się teraz praca umysłowa, jak trudno skupić uwagę i odpowiednio się „nastawić". Prawie każdy dzień przynosi coś nowego, co człowieka wstrząsa i wytrąca z równowagi. Ciągłe wiadomości o coraz to nowych represjach, nie kończących się aresztowaniach, rozstrzeliwaniach, biciu, znęcaniu się, męczarniach i śmierciach w obozach, w zrozumiały sposób utrudniają, choć mniej więcej normalną pracę.

Do tego dochodzą warunki życia lokalnego. Coraz to ktoś przychodzi z wiadomością, że przyjechali gestapowcy i szukają czegoś w spisach ludności, że w mieście dużo żandarmów, że zatrzymują ludzi, że przeprowadzają jakieś rewizje, że tych aresztowali, tamtych pobili itp. I wciąż snują ludzie różne przypuszczenia, co będzie u nas lada dzień, jedni się ukrywają w mieście, drudzy poza miastem, niektórzy całkiem wyjeżdżają do takich miejscowości, gdzie ich nikt nie zna i na odwrót, do nas przyjeżdżają tacy, którzy nie chcą dłużej przebywać w miejscach swojego stałego zamieszkania. Nic dziwnego, że każdy stale nadsłuchuje, czy po niego już Niemcy nie idą. Ja jestem tak na to przygotowany, że spakowaną walizeczkę zawsze mam pod ręką, a na noc koło łóżka codziennie stawiają mi obuwie i inne rzeczy, które miałbym włożyć w razie aresztowania. Gdybym nie miał szpitala, którego w żadnym razie dobrowolnie nie opuszczę, to zapewne też wyjechałbym do Warszawy, gdzie mnie nie znają i czekałbym jakiegoś końca. Czy można się dziwić, że w takich okolicznościach żadna praca nie idzie dość sprawnie. Lecz z drugiej strony naprawdę czuję się szczęśliwszy od innych, że mogę pracować nawet w takich warunkach, że umysł mam stale zajęty i nie myślę tylko o tym, co może się z nami stać za chwilę.

17 marca

Kilka dni mieliśmy zupełny spokój. Nastąpiło pewnego rodzaju odprężenie nerwowe. Uwaga była skierowana głównie na przygotowania wojenne. Wojska w naszych okolicach coraz więcej i lokują je po wsiach. Baraków wszędzie niezmierzona moc. Między Szczebrzeszynem a cukrownią zdaje się będzie nieprzerwany ich sznur. Dookoła cukrowni baraki i baraki. To samo w Zwierzyńcu, zwłaszcza w lesie w pobliżu szpitala i w kierunku na Rudkę. Ludność jest zaniepokojona olbrzymimi zapasami benzyny, cały wygon koło cukrowni założony beczkami, w parku pa-

łacowym w Klemensowie pomiędzy drzewami beczki z benzyną ułożono w 3 warstwy — jedna na drugiej. Oprócz benzyny, zdaje się, że gromadzą jeszcze jakieś inne materiały. Na lotnisku robota wre od rana do nocy. Przyjechało bardzo dużo lotników. Ruch samochodowy wzmożony. Wszystko zdaje się wskazywać na przybliżanie się jakiejś poważnej akcji bojowej. Czynione są przygotowania do zaciemniania okien. Na stacjach kolejowych zasłony stoją przy każdym oknie gotowe do założenia.

Przeżyliśmy natomiast dwa dni w wielkim niepokoju i zmartwieniu z całkiem innego powodu. Mianowicie w sobotę 15. III. nasz 10-letni synek Tadzio powróciwszy o 3 ze szkoły nie jadł nawet obiadu i gdzieś znikł. Mieliśmy, że poszedł do któregoś z kolegów lub po gazetę, czego zresztą nigdy bez pytania nie robi, tymczasem nie było go. Zaczęliśmy szukać po całym mieście, lecz na próżno, nikt go nigdzie nie widział. Byliśmy w rozpaczy, zwłaszcza, że nadeszła noc, chodzić po mieście nie wolno i nie mieliśmy pojęcia, co się z nim stało i gdzie go szukać. Przeżyliśmy okropną noc niepokoju o dziecko. O świcie podjęliśmy dalsze poszukiwania. Wreszcie dowiedzieliśmy się od ludzi, którzy go widzieli, że poszedł w kierunku Błonia i dalej na Kawenczyn. Żona pojechała za nim dopytując się po drodze, czy go kto nie widział. W parę godzin potem donieśli mi, że nocował u jednego gospodarza w Topólczy. Natychmiast tam pojechałem. Rzeczywiście nocował, lecz powędrował dalej. Rozesłaliśmy wszędzie gońców, lecz tego dnia jeszcześmy go w domu nie mieli. Dopiero w poniedziałek, czyli dzisiaj rano, żona pojechała do Zwierzyńca i tam już zastała go w aptece, gdzie nocował. O 10 rano już był mój wędrowniczek w domu. Płakałem z radości, gdym go ujrzał. Co go skłoniło do tej ucieczki, nie potrafił wytłumaczyć. Płakał po drodze, modlił się, żeby wrócić i szedł dalej. Lecz na drugi dzień swej wędrówki mówił już tylko o tym, żeby wrócić do domu.

18 marca

Po kilku dniach najzupełniejszego spokoju, kiedy ludzie zaczęli nawet spać lepiej po nocach, spadły na nas niespodziewanie nowe aresztowania. Dziś nad ranem aresztowano w Szczebrzeszynie burmistrza Jana Boruckiego, tłumacza magistrackiego Króla, dozorcę sanitarnego Adamczyka, dyrektora Kasy Komunalnej i kierownika spółdzielni mleczarskiej Michała Pawlika, właściciela składu aptecznego Buhaczkowskiego oraz Staniszewskiego i Stelmaszczuka właścicieli małego sklepu z żelazem. Z wyjątkiem Pawlika wszyscy pochodzą z Poznańskiego i z Pomorza, chociaż Borucki mieszka w Szczebrzeszynie już od szeregu lat. Przyczyny aresztowania i to tych właśnie, a nie innych, w żaden sposób nie mogliśmy sobie wytłumaczyć. Dopiero wieczorem nadeszła do nas wiadomość o licznych aresztowaniach przeprowadzonych dzisiaj w Zamościu i w innych miejscowościach. Mówiono mi o aresztowaniu następujących osób:

Tadeusz Burzmiński, sekretarz Wydziału Powiatowego z żoną i 14-letnią córką.

Sobolewska, żona b. podinspektora szkolnego z dwiema córkami, 16 i 13 lat.

Zygmunt Syrek, nauczyciel gimn. obecnie zatrudniony w „Snopie".

Cieśliński, b. nauczyciel gimn., polonista.

Tomasz Czernicki adwokat, b. poseł. Już raz był aresztowany.

Antoni Wiśniewski, dyrektor „Snopu".

Karpowicz, wiceprokurator.

Żółciński, kontroler sanitarny.

Maćkowski, emer. płk z żoną i dwoma synami (aresztowani poprzedniego dnia). W organizacji brał bardzo czynny udział.

Stasiak, urzędnik Urzędu Skarbowego z żoną.

Błachowicz, podof. zatrudniony w PCK.

Kowalczyk, podof.

Burlewicz, b. pracownik sądowy.

Maria Grzechnikówna, urzędniczka Ub. Sp.

Innych nazwisk na razie nie znam.

20 marca

Wszędzie panuje okropne przygnębienie i oczekiwanie dalszych aresztowań. W Zwierzyńcu aresztowano Pastuszyńskiego, urzędnika O. Z., Kamińskiego, oficera zawodowego z żoną nauczycielką i emerytowanego urzędnika kolejowego Newlaczyla. Tego wzięto za nieobecnego syna.

Więzienie w Zamościu przepełnione.

21 marca

Wczoraj wieczorem rozeszła się wieść, że w nocy będą nowe aresztowania, wymieniano nawet niektóre nazwiska. Ludzie w panice zaczęli uchodzić z miasta. Mnóstwo osób nocowało poza domem. Obawiano się też łapania młodzieży do robót, a to dlatego, że właśnie wczoraj zabrano dużo ludzi w Wielonczy, Zawadzie i Niedzieliskach. Zdenerwowanie było nie do opisania. Pod wrażeniem tych wiadomości byłem tak przygotowany jak nigdy, nawet palto zimowe miałem pod ręką. Żona nie spała całą noc, stała przy oknie i nasłuchiwała, czy nie idą po mnie żandarmi, a przez to ja mało spałem.

Psychicznie jesteśmy wszyscy okropnie wymęczeni.

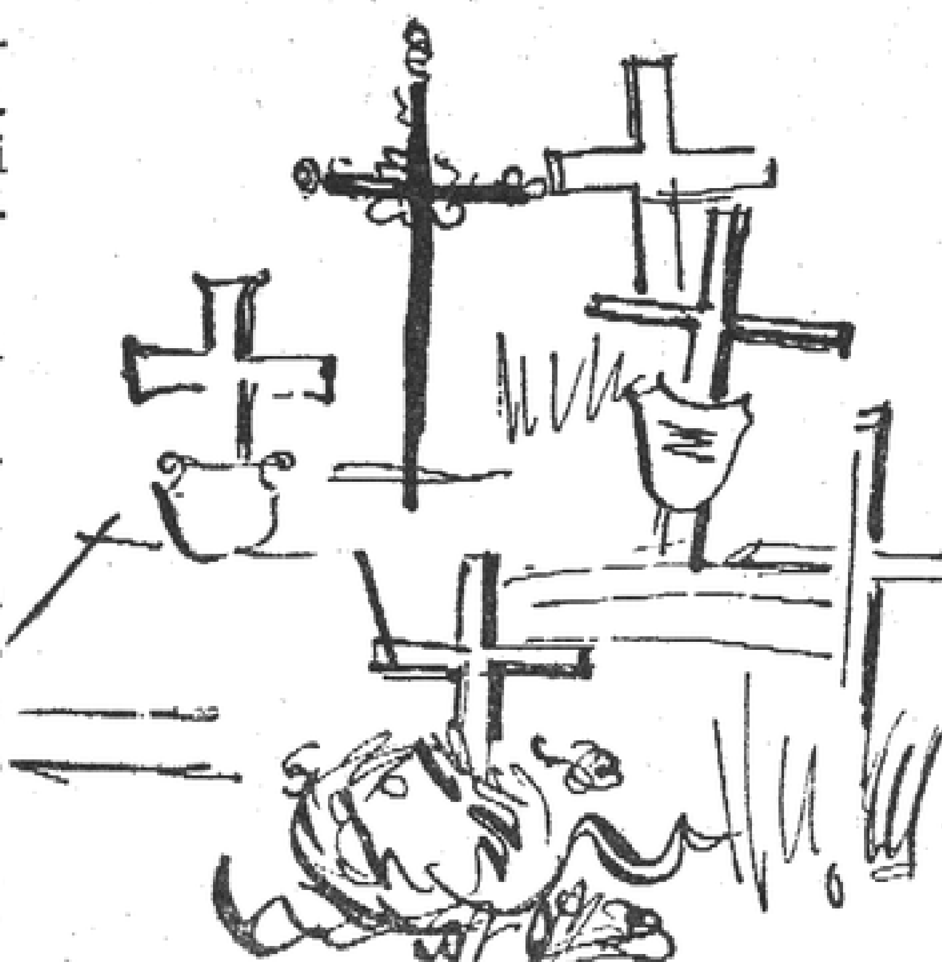
Od wczoraj wstrzymano na kolei wysyłkę przesyłek kolejowych. Dookoła Szczebrzeszyna odbywają się niezwykle forsowne ćwiczenia żołnierzy niemieckich zakwaterowanych w koszarach.

25 marca

W Szczebrzeszynie nowych aresztowań nie było, w Zamościu wypadki sporadyczne, wciąż jednak ludzie oczekują nowych represji.

Wczoraj odbyło się nabożeństwożałobne za Kafarskiego i pochowanie na cmentarzu prochów jego, sprowadzonych z Dachau.

Na szosach ożywiony ruch samochodowy, tak w dzień jak i w nocy. Żandarmi stale rewidują furmanki na mieście. Nie wiadomo czego szukają.



Wskutek wzmożonych represji od dłuższego czasu nie mieliśmy żadnej innej lektury poza gazetami legalnymi, a tym nie można wierzyć.

W Szczebrzeszynie istnieje nowa mała księgarenka, z pismami przeważnie niemieckimi, czasem bywa trochę książek. Trafiają się bardzo dobre wydawnictwa, np. książki treści podróżniczej z ostatnich lat, wydawane przez „Bibliotekę Polską" w Warszawie, po bajecznie niskich cenach. Za Lepeckiego „Sowiecki Kaukaz", Ficińskiej „20 lat w Paranie" płaciłem po 2 zł 20 gr, za Pawłowicza „W słońcu dalekiego południa" — 3 zł 50 gr itd.

28 marca

W dalszym ciągu nie dochodzą do nas żadne tajne komunikaty i gazetki. Wiadomościom podawanym przez „gadzinowce" nie wierzymy, a jednak zaczynamy się obawiać, wobec niemieckich sukcesów dyplomatycznych na Bałkanach, że walka z Niemcami będzie dla Anglików coraz trudniejsza i że wojna może się zaciągnąć na długie lata. A tu życie coraz cięższe, coraz trudniejsze, w ciągłej obawie i niepokoju o jutro.

Oczekujemy lada dzień przymusowego zabierania do robót w Niemczech, bo na ochotnika zgłosiło się w gminach zaledwie po parę osób i to fizycznie mało zdatnych do pracy.

Koło stacji w Szczebrzeszynie wykopano już schron przeciwlotniczy. W przyśpieszonym tempie idzie naprawa i budowa szos w kierunku granicy radzieckiej. Odbywa się jakieś przegrupowanie wojsk. Wszyscy mówią tylko o nieuniknionej wojnie z Rosją. Poza tym uwaga zwrócona jest na Turcję.

29 marca

Znów nastrój silnie rozgorączkowany. Ludzie obserwują jakiś niezwykły ruch wśród Niemców, jakieś śpiesznie czynione przygotowania, oczekują łapania młodzieży, na noc ukrywają się, uchodzą z miasta nie wiedząc dokąd iść, bo wszędzie mogą łapać, na dzień wracają, by na noc znów wyruszać na tułaczkę. Jakże męczące jest takie życie!

Zawzięcie piszę swoje wspomnienia i czytam książki podróżnicze.

31 marca

Wypuszczono z więzienia w Zamościu Rutkowską, Sobolewską z córkami i Pastuszyńskiego ze Zwierzyńca. U nas nic nowego. Bardzo dużo wojska, wczoraj, w niedzielę, żołnierze do późnej nocy chodzili po mieście, było wielu pijanych, pełno krzyku, wrzasku, śpiewów pijackich itp.

1 kwietnia

Dzisiaj przypada 400 rocznica urodzin Jana Zamoyskiego. Jakież wspaniałe były projekty na ten dzień! Miał się odbyć duży Zjazd Naukowy im. Zamoyskiego prawdopodobnie w Zamościu, miało ukazać się mnóstwo wydawnictw poświęconych tej wielkiej postaci. Planowaliśmy dużo. Wątpię, czy dużo ludzi w Polsce przypomniało sobie dzisiaj tę rocznicę. Przed paru tygodniami widziałem się z młodym ordynatem Zamoyskim, przypomniałem mu o dniu dzisiejszym, nic o tym nie wiedział. Jakże mi dzisiaj smutno, gdy myślę o tym, jak jest i jak mogło być!

3 kwietnia

Jeździłem do Biłgoraja. Dopiero niedawno naprawiona szosa już się psuje, porobiły się nowe doły. Między Zwierzyńcem a Biłgorajem robota na szosie w pełnym toku. Zerwane są wszystkie mostki, mają być betonowe. Ruch na drodze niezwykle ożywiony. Masa samochodów, zwłaszcza ciężarowych i furmanek z kamieniem i piaskiem. W borku przed Zwierzyńcem i w lesie za Zwierzyńcem olbrzymia ilość baraków. Między tzw. oberżą a fabryką mebli ustawione są płócienne namioty szpitalne. W Biłgoraju to samo, baraki, baraki. Koło szpitala powszechnego rozmieszczono w barakach szpital wojskowy armii na 1.000 łóżek. W zeszłym tygodniu spalił się jeden barak ze wspaniałym podobno aparatem rentgenowskim. Wszystko co się widzi, zdaje się wskazywać na śpieszne i gruntowne przygotowania do wojny.

W ostatnich tygodniach były liczne aresztowania w Biłgoraju i okolicy. Dużo osób aresztowano w Goraju, m. in. ks. Wielgosza, w Biłgoraju głównie wśród pracowników spółdzielni z dyr. Huzarem na czele. Wczoraj zatrzymano 16 osób w Tarnogrodzie, w tym ks. Kimaczyńskiego, który w czasie wojny światowej był wikariuszem w Szczebrzeszynie.

Z Zamościa dochodzą wiadomości o sporadycznych aresztowaniach.

Do Szczebrzeszyna przybywa coraz więcej wojska. Wszędzie gdzie tylko można rekwirują kwatery. Wczoraj lotnicy zajęli szkołę i dzieci znów mają przerwaną naukę.

5 kwietnia

Dziś koleją wywieziono z Zamościa prawie wszystkich mężczyzn aresztowanych w Zamojszczyźnie przed paru tygodniami. Dokąd? — nie wiadomo. Prawdopodobnie do jakiegoś obozu.

Ruch wszędzie szalony. Po szosie wciąż pędzą samochody ciężarowe i osobowe. Jakieś przygotowania idą w gorączkowym tempie. Wojska wali do nas coraz więcej, dużo osób żyje w ciągłej obawie, że usuną ich z mieszkania. W Zamościu to samo, nawet na jeszcze większą skalę.

Od paru dni bardzo wysoko latają jakieś samoloty, pozostawiając za sobą długie wąskie smugi białego dymu, jak gdyby coś oznaczając. Niektórzy twierdzą, że to samoloty rosyjskie.



Przyjechała do nas na jeden dzień nasza znajoma, żona lekarza Ukraińca z Cieszanowa, leżącego tuż przy samej granicy okupacyjnej. Żyją tam w jeszcze większej niepewności, oczekując lada dzień jakichś ważnych wydarzeń. Handel zamarł, sklepy puste, nic nie można dostać. Przed paru dniami wszystkim Ukraińcom odebrano aparaty radiowe, pomimo że mieli na nie pozwolenia.

7 kwietnia

Dziś nad ranem żołnierz niemiecki stojący na warcie w cukrowni, popełnił samobójstwo. Przez krótki czas, zanim wyjaśniło się, że to nie było zabójstwo, przeżywali tam ludzie okropne chwile, bo groziło masowe rozstrzelanie wielu urzędnikom i robotnikom.

Wystąpienie Jugosławii napawa ludzi taką radością, że nie mogą tego ukryć. Rozeszła się pogłoska, że Turcja wypowiedziała wojnę Niemcom. Daje się zauważyć wśród społeczeństwa wprost podniosły nastrój.

10 kwietnia

Bawił u mnie parę dni mój bratanek inż.-arch. Jan Klukowski z Warszawy. Nie mogliśmy się dość nagadać. Po południu dowiedzieliśmy się z gazet o sukcesach niemieckich na Bałkanach. Wiadomości te sprawiły na nas przygnębiające wrażenie. Wszyscy zadają sobie pytanie — no i co będzie dalej? A jeżeli Anglia się załamie? — Nie chcę o tym myśleć!

Dzisiaj w Sułowie miała odbyć się komisja dla sprawdzenia stanu zdrowia przeznaczonych na wyjazd do Niemiec na roboty. Miało się stawić 580 osób. Przyszło zaledwie kilka kalek niezdatnych do żadnej pracy fizycznej. I co najciekawsze, że władze gminne zdołały wręczyć tylko trzydzieści kilka wezwań, wszystkie inne wróciły do urzędu gminnego z napisem „odmówił przyjęcia".

14 kwietnia

Drugi dzień Wielkanocy. Ruch na szosie taki, jakiego dawno nie widzieliśmy. Od 4 po południu do 10 wieczór, czyli do tej chwili, w której piszę, bez przerwy szły wojska od Zwierzyńca na Zamość — piechota i tabory. Samochody mają światła niebieskawe. Wczoraj wieczorem i w nocy szły oddziały zmotoryzowane, dużo motocyklistów, niektóre działa były zaprzężone w 6 koni. Wszędzie jakieś nadzwyczajne przygotowania. Nikomu z urzędników cywilnych, a nawet pracownikom prywatnych przedsiębiorstw, Niemcom, nie wolno ruszyć się z miejsca. Z cukrowni wywożą śpiesznie cukier, zdaje się, głównie do Krakowa. Chodzą jakieś wieści o sukcesach angielskich na Bałkanach.

Praca na lotnisku koło cukrowni, na stacji, nawet wczoraj w pierwszy dzień Wielkanocy odbywała się jak w dzień powszedni. Tym razem to już chyba naprawdę coś się zacznie. Na ulicach tłumy ludzi przyglądają się przemarszowi wojsk. Słyszy się różne komentarze i wyczuwa się, że wszyscy pragną wojny niemiecko-rosyjskiej, pokładając w niej wielkie nadzieje.

15 kwietnia

Ruch wojska nie ustaje. Gazet jeszcze po świętach nie mieliśmy. Wiadomości dochodzą niepewne, czasem wręcz fantastyczne. Nic właściwie nie wiemy, co się na świecie dzieje i co oznaczają te ciągłe przemarsze wojsk u nas.

Wczoraj w Zamościu aresztowano dwie urzędniczki Ub. Społ.

W Dachau umarł adwokat Bajkowski z Zamościa.

16 kwietnia

Wczoraj zaciemniono już wszystkie światła na stacji w Szczebrzeszynie. Nawet latarnie sygnałowe i latarki dróżników były zaciemnione. Wojsko idzie na Hrubieszów. Szosa, rozmiękła przy wiosennych roztopach, znajduje się w stanie opłakanym, klinkier miejscami wywrócił się i doły są coraz większe. Robotnicy nie mogą nadążyć z naprawą. A samochody i furmanki jadą i jadą bez przerwy.

18 kwietnia

Przemarsz wojsk nie ustaje. Różne formacje idą w dzień i w nocy, wszystkie w kierunku na Zamość. Na wieżyczce na gmachu gimnazjum ustawiono karabin maszynowy, to samo w cukrowni. Na terenie szpitala Niemcy wybrali wczoraj 3 miejsca dobrze zamaskowane, prawdopodobnie dla ustawienia karabinów maszynowych w kierunku na most i na szosę.

Wczoraj Niemcy weszli na strych budynku, w którym mieściła się ostatnio szkoła powszechna, wyrzucili wszystkie złożone tam książki oraz pomoce naukowe i zebrawszy na kupę podpalili.

Dużo osób szuka mieszkań po okolicznych wsiach, wysyła rzeczy na różne strony, obawiając się, że Szczebrzeszyn w razie wojny Niemców z Rosją może znaleźć się w nie lada opałach.

21 kwietnia

Przemarsz wojsk jeszcze nie ustał. Dziś do magistratu nadeszło zarządzenie, żeby ludność przygotowała się do ewentualnego zaciemniania okien. Na każdym kroku czujemy, że wojna zbliża się do nas coraz bardziej.

22 kwietnia

Wojsko wciąż idzie i idzie.

Z cukrowni wywieźli już prawie wszystek cukier, a w magazynie fabrycznym układają bomby lotnicze. Zwożą je całymi wagonami.

Liczymy się z tym, że mogą nas stąd usunąć. Ponadto możemy być narażeni na bombardowanie ze strony Rosjan, zwłaszcza że lotnisko jest tuż obok. Zebraliśmy dziś do dwóch paczek trochę rzeczy i zamierzamy wysłać je do Warszawy, żeby nie mieć wszystkiego w jednym miejscu, chociaż i to jest bardzo niepewne. Najbardziej szkoda mi książek, ale o wywiezieniu ich mowy nie ma. Zdaję się na łaskę losu. Pomimo takiej niepewności i powszechnego zdenerwowania nie poddaję się ogólnemu nastrojowi i wciąż piszę swe wspomnienia o Zamojszczyźnie.

26 kwietnia

Takiej ilości zmotoryzowanego wojska jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Już tyle dni trwa przemarsz wojsk i nie wiadomo, kiedy to się skończy. Wczoraj szły najcięższe armaty. Drżała przy tym ziemia, w niektórych domach zarysowały się ściany. Na rynku pełno samochodów, tak dalece, że z trudem można dostać się do ratusza. Wszystkie mają poprzyczepiane wiązki równo ściętych okrągłych klocków drewnianych. Jedni twierdzą, że wożą je na wypadek ugrzęźnięcia w błocie. Podkładają wówczas pod koła. Inni znów mówią, że są to kołki niezbędne przy ustawianiu namiotów.

Otrzymaliśmy nakaz przygotowania wszystkiego co potrzeba do zaciemniania okien i polecenie wykopania schronu w ogrodzie szpitalnym. Coraz większy brak produktów. Sklepy albo zamknięte albo prawie puste. Nigdzie nie można dostać chleba. Dużo ludzi pakuje rzeczy, przygotowując się w razie bombardowania do ewentualnego opuszczenia miasta. Niektórzy już teraz panicznie boją się nalotów i bombardowania. Lada dzień oczekujemy rozpoczęcia działań wojennych.

28 kwietnia

Dziś rano przyszli niemieccy oficerowie lekarze, obejrzeli szpital na parterze i powiedzieli, że zapewne zajmą część budynku dla umieszczenia swoich chorych. Nie wyobrażam sobie jak w takim wypadku ułoży się praca w szpitalu, gdy pełno tu będzie Niemców. Na razie nic konkretnego nam nie powiedzieli.

Bez ustanku pada deszcz, łąki zalane jak chyba w żadnym roku, część ogrodu szpitalnego pod wodą, która koło tartaku dochodzi już do samej szosy. Po szosie wciąż pędzą samochody.

Trudności aprowizacyjne coraz większe. Ceny idą do góry z dnia na dzień. Kaszę gryczaną i mąkę pszenną płacono po 4 zł 50 gr za kg. Piekarnie na chleb kontyngentowy mają mąkę tylko na jutrzejszy dzień. Co będzie dalej — nie wiadomo. Zupełnie wyraźnie odczuwamy brak burmistrza. Na każdym kroku widzimy, że miasto pozostało bez gospodarza. Wszyscy są przekonani, że wojna zacznie się lada dzień, tymczasem poza ruchem wojsk nic się jeszcze nie dzieje. Ludzie się niecierpliwią, a przede wszystkim denerwują, pakują rzeczy, przygotowują do wyjazdu etc.

30 kwietnia

Deszcz nie przestaje padać. Takiego rozlewu rzek w naszych stronach nawet najstarsi ludzie nie pamiętają. Powstaje przed nami widmo głodu. W polu wszystko co było zasiane na jesieni gnije, a na wiosnę prawie nic jeszcze nie siano i nic zupełnie nie sadzono, a jutro już zaczyna się miesiąc maj.

3 maja

Jeździłem końmi do Biłgoraja. Droga bardzo męcząca wobec dużej ilości samochodów i oddziałów wojskowych. Ruch ludności cywilnej minimalny. Wszędzie poprawiają szosę. Mostki betonowe na ukończeniu. Miejscami szosę poszerzają. W Biłgoraju nastrój nieco inny aniżeli u nas. Wszyscy spodziewają się rychłego rozpoczęcia działań wojennych z Sowietami. Nie ma jednak takiego zdenerwowania i ciągłej niepewności co ze sobą robić, jak u nas. Nikt nie przygotowuje się do wyjazdu, wszyscy mają zamiar siedzieć na miejscu.

Nikt tam również nie wędruje na noc za miasto, wszyscy nocują w domu, w swoich mieszkaniach, nie tak jak u nas, gdzie już dwie noce z rzędu prawie cała inteligencja męska spędza poza domem.

Po powrocie zastałem w mieście duże poruszenie. Na skutek zarządzenia władz wojskowych magistrat rozlepił ogłoszenie wzywające wszystkich mężczyzn w wieku od 15 do 60 lat do stawienia się jutro, w niedzielę, o godz. 7 rano na lotnisku koło cukrowni. Zwolnieni od tego obowiązku są lekarze, weterynarze oraz urzędnicy państwowi i samorządowi. Uchylenie się od niego grozi surowymi karami, do kary śmierci włącznie. Ogłoszenie to dotyczy trzech gmin: Szczebrzeszyna, Sułowa i Ra-

decznicy. Zatrudnionych ma być 4.000 ludzi. Taki nagły pośpiech w budowie lotniska zdaje się wskazywać na nowe obostrzenie stosunków z Rosją. Ludzie przyjeżdżający znad granicy okupacyjnej mówią o nadzwyczajnych przygotowaniach i ze strony Rosji. Podobno sowieckie przemówienia radiowe są coraz bardziej napastliwe w stosunku do Niemiec.

6 maja

W mieście od rana popłoch. Niemcy łapali na ulicy i po domach mężczyzn do pracy na lotnisku, zarówno Żydów jak i chrześcijan. Nie obeszło się przy tym bez bicia. Widziałem przez okno jak się to odbywało. Ze specjalną satysfakcją poszukiwano i pędzono inteligentów i ludzi lepiej ubranych. Na lotnisku dziesięciu pracujących pilnuje jeden żołnierz, ciągle więc wszystkich ma na oku i zmusza do intensywnej pracy. Robota zaczyna się o 6 rano. Najciężej jest tym, którym wypadnie stać w wodzie po kolana. Dziś odbywał się przegląd tych, którzy zgłaszają się jako chorzy. Badał młody lekarz niemiecki. Niektórych puszczono.

Przystąpiono do organizacji ratownictwa przeciwlotniczego. Kierownikiem okręgu został mianowany dr Likowski. Był dziś u mnie z komendantem żandarmerii. Oglądali szczegółowo piwnice. Mają przeprowadzić tam światło elektryczne i zainstalować telefon.

O rychłej wojnie mówi się już zupełnie otwarcie.

8 maja

W Józefowie, wśród Żydów wysiedlonych z Konina wybuchła epidemia tyfusu plamistego. Wczoraj przywieziono mi pierwszą partię — 9 chorych.

Poszedłem dziś do komendanta placu, powiedziałem mu o tych chorych i o tym, że do szpitala wciąż przyłażą bez potrzeby żołnierze. W parę godzin potem już przybito mi na drzwiach tabliczkę obwieszczającą, że ze względu na choroby zakaźne wstęp do szpitala żołnierzom jest wzbroniony.

Na lotnisku pracują tysiące ludzi. Robota jest ciężka, szczególnie dla nie przyzwyczajonych do pracy fizycznej. Coraz więcej ludzi z lotniska przysyłają mi do szpitala na leczenie lub obserwację. Musiałem jedną salę przeznaczyć specjalnie dla Żydów. Szpital się zapełnił, roboty mam bardzo dużo, tak, że mało czasu pozostaje mi na pisanie.

Burmistrzem został u nas mianowany dzisiaj Józef Hejno, mieszczanin szczebrzeski, trochę kowal, trochę pokątny doradca. Mam duże wątpliwości, czy ten wybór jest trafny.

Dziś rano przyszedł do szpitala zastępca komendanta żandarmerii, aby sprawdzić jak jesteśmy przygotowani do obrony przeciwlotniczej, czy okna są zaciemnione, oglądał piwnice itp. Wspomniał mimochodem, że

możemy mieć dużo rannych, ale nie mówił, od jakiego nieprzyjaciela mamy spodziewać się nalotów.

Na szosie nieustanny ruch — w jedną i drugą stronę. Po wszystkich sąsiednich wsiach pełno wojska.

11 maja

Przybyła mi dziś nowa partia chorych na tyfus plamisty z Józefowa.

Nadeszły dziś pierwsze listy od aresztowanych ostatnio w Szczebrzeszynie. Wszyscy są w Oświęcimiu, z wyjątkiem Boruckiego i Buhaczkowskiego, którzy są jeszcze w Zamościu.

12 maja

Słyszałem dziś w mieście poufną, lecz pewną wiadomość, że Niemcy kazali przygotować szopy lub stodoły odpowiednie na składanie trupów.

14 maja

Gorączkowe przygotowania do wojny. Na rynku wykopano dziś rów przeciwlotniczy, taki sam kopią naprzeciwko apteki, w sadzie parafialnym. Był dziś w szpitalu komendant żandarmerii. Zarządził umieszczenie w oficynie 12 mężczyzn z drużyny ratowniczej i rychłe przygotowanie piwnicy. W Ośrodku Zdrowia ma się rozmieścić drużyna kobieca. Dla siebie przygotowują schron pod ratuszem. Na lotnisku przy budowie praca idzie dzień i noc. Przygotowują już beton. Wiele osób z cukrowni już wyjechało, lub są całkiem gotowi do wyjazdu. Z tym wyjazdem na wieś różnie jednak bywa, bo po wszystkich wsiach pełno wojska, żołnierze często usuwają z mieszkań lokatorów i zabierają nawet ich rzeczy. Na szosie samochody jadą prawie bez przerwy w dzień i w nocy. Rozlepiono dziś na mieście nowe ogłoszenie biłgorajskiego Kreishauptmanna, wzywające ludność do szybkiego przygotowania wszystkiego, co jest potrzebne do zaciemniania okien, gdyż w krótkim czasie nastąpi odpowiedni rozkaz. Słowem, nastrój najwyraźniej przedwojenny. W szpitalu też idzie wytężona praca. Cały dzień byłem na nogach.

18 maja

Parę dni przeszło trochę spokojniejszych. Onegdaj rozlepiono ogłoszenie, że do robót na lotnisku mogą być brani tylko bezrobotni zarejestrowani w Urzędzie Pracy. Przymusowa branka jest bezprawiem. Podpisani są Kreishauptmanni biłgorajski i zamojski.

Od wczoraj w mieście już znowu niepokój: przyszła wiadomość, że w Janowie były liczne aresztowania. Ludzie tego samego spodziewają się u nas. Znów wiele osób nie nocuje w domu.

21 maja

Jestem pod silnym wrażeniem nowego barbarzyństwa Niemców na naszym terenie. Zarządzili dziś w sułowskiej gminie łapankę na chłopów do roboty na lotnisku i do uciekających strzelali z karabinów. Do szpitala przyjąłem dwóch bardzo ciężko rannych młodych chłopów, mianowicie Stefana Bartnika, lat 21, ze Źrebiec, z ogromną raną szarpaną prawego uda, ze strzaskaniem kości na drobne kawałeczki, i Adama Wyłupka, lat 22, z Tworyczowa, z dużą raną klatki piersiowej i prawego płuca. Stan obydwóch groźny. Oczywiście wśród chłopów z tych wsi panuje ogromne wzburzenie.

Na szosie w dalszym ciągu nieustanny ruch. Wciąż zdaje się, że wojna wisi na włosku, a tu schodzi dzień za dniem i nic. Zaczynamy się już niecierpliwić.

23 maja

Znów nastrój bardziej gorączkowy, wzmożona praca na lotnisku, śpieszne przygotowania do obrony przeciwlotniczej, do starannego zaciemniania okien itp. Intendent był dziś w Biłgoraju, w starostwie niepokój i oczekiwanie ważnych wydarzeń. Kreishauptmannowi nie wolno wydalać się ani na krok poza Biłgoraj.

W Zamościu aresztowano dyrektora „Snopu" Wiśniewskiego, już chyba po raz trzeci i jakiegoś Węgrzyna, w Nieliszu nauczyciela Mazura. U nas mówi się o tym, że już jest sporządzona lista tych, którzy mają być aresztowani, 22 osoby.

Wczoraj było święto Wniebowstąpienia. Zarządzeniem władz święto to zostało przeniesione na najbliższą niedzielę. To samo dotyczy Bożego Ciała. Wśród ludności wywołało to straszne oburzenie. Czynne były tylko urzędy, otwarte nieliczne sklepy. Cała ludność faktycznie świętowała.

24 maja

Od wczoraj uporczywie utrzymuje się pogłoska, że Ameryka przystąpiła do wojny przeciwko Niemcom. Potwierdzenia tej wiadomości dotychczas nie mamy.

Do szpitala przyszedł dziś większy oddział żołnierzy lotników z kompanii sanitarnej z oficerem na czele. Chcieli zobaczyć chorych na tyfus plamisty. Po kolei, po trzech prowadziliśmy ich na oddział zakaźny.

25 maja

Dziś do kostnicy przywieźli Niemcy zwłoki żołnierza, który się utopił.

26 maja

Komendant żandarmerii jako główny kierownik obrony przeciwlotniczej w Szczebrzeszynie, wezwał dziś do siebie na konferencję dra Likowskiego, mnie, dra Spoza i naczelnika straży ogniowej Ostrowskiego. Poinformował nas, że od 29 wieczorem będzie zarządzone u nas próbne pogotowie z alarmami służby pożarowej i ratowniczej, sanitarnej. Instrukcje miał przysłane z góry, odczytywał nam punkt po punkcie z arkusza litografowanego. Ze wszystkiego widzimy, jak Niemcy solidnie przygotowują się do obrony przeciwlotniczej, jak się liczą z możliwością nalotów. Lecz o jakichkolwiek nowych działaniach wojennych głucho zupełnie. O dokonanym jakoby wystąpieniu Ameryki też nic się już nie mówi. Dzisiaj nie mieliśmy nawet gadzinowych gazet i nie wiemy co się dzieje na świecie.

27 maja

Od wczesnego rana w mieście silny niepokój. Wczoraj wieczorem przyjechali gestapowcy, zażądali furmanek z dobrymi końmi. W nocy aresztowano w Radecznicy Waśniewskiego, sekretarza gminy, oficera rezerwy, bardzo sympatycznego i solidnego człowieka, w Podlesiu młodego Prüffera i jeszcze dwóch mężczyzn, których nazwisk nie znam.

Około godziny 10 rano otrzymałem ostrzeżenie z miasta, że mają aresztować mnie, naczelnika poczty Paździorę i obecnego burmistrza Hejnę. Radzono mi ukryć się choć na parę dni. Podziękowałem za radę i oświadczyłem kategorycznie, że tego nie zrobię. Przy dzisiejszym stanie liczebnym chorych w szpitalu jest to zupełnie niemożliwe, a zresztą i mało celowe. Przez cały dzień byłem w pogotowiu. Wbrew zwyczajowi nawet nie pisałem nic na maszynie.

Doszła mnie zupełnie pewna wiadomość, że w więzieniu w Lublinie umarł na tyfus plamisty dr Marian Sulewski z Izbicy. W Tomaszowie przed kilkoma tygodniami został aresztowany po raz drugi dr Cybulski. W Janowie aresztowano lekarza powiatowego dra Kuczewskiego.

30 maja

Wczoraj wieczorem ogłoszono próbne pogotowie obrony przeciwlotniczej przy najściślejszym zaciemnieniu wszystkich okien. Odbyło się to znacznie sprawniej niż „za czasów polskich" przed wojną, kiedy ludność lekceważyła sobie wszystkie zarządzenia władz. Strach przed terrorem niemieckim jest tak wielki, że do wydanych instrukcji zastosowano się w całej pełni.

Dziś o 8 rano odbył się próbny alarm. Rzekomy pożar wybuchł w kamienicy obok szpitala, potem bomba lotnicza poraniła ludzi w hali targowej na rynku. Męska drużyna ratownicza umieszczona w szpitalu poleciała na ratunek rannym. W czasie alarmu drużyna siedziała w piwnicy. Przy tym wszystkim dużo jednak było bałaganu.

Dochodzą nas wieści o nowych aresztowaniach w Zamościu. U nas gestapowcy są prawie codziennie, coś notują w magistracie i na posterunku żandarmerii. Co z tego wyniknie, nikt nie wie. Już nie tylko mężczyźni, ale i niektóre kobiety boją się nocować w domu.

Drożyzna wzrasta w szalonym tempie. Metr mąki pszennej kosztuje już 800 zł, kg mięsa wieprzowego 7 zł, kg liści tytoniowych 120 zł itd., wszystko w tym stosunku.

Dzisiejszej nocy przez Szczebrzeszyn przechodziło bardzo dużo wojska, głównie piechoty.

31 maja

Rozeszła się wieść, że dziś o 8 rano zostały zerwane stosunki dyplomatyczne między Niemcami a Sowietami. Ruch gorączkowy, nastrój podniecający. Na szosie prawie bez przerwy jadą samochody z amunicją, z żołnierzami, armaty, czołgi, tankietki, pontony itp. Dziś przed południem przez stację Szczebrzeszyn przejechała straż celna z Bełżca. U wylotu drogi od szpitala ku szosie głównej, na samym rogu sadu szpitalnego, ustawiono odkładany szlaban w poprzek ulicy, zapewne dla zabezpieczenia ruchu na szosie.

Postawiono dużo nowych słupów z rozmaitymi olbrzymimi napisami. Największą sensację wywołuje ogromna tablica na rynku z napisem „Ungefährliche Kurve!" [1]).

1 czerwca

Znowu przeżyłem jeden dzień pełen wrażeń i ciężkich wstrząsów. W nocy przed czwartą obudziła mnie żona, bo przyszli Niemcy do szpitala i żądali, żebym do nich wyszedł. Śpiesznie ubrałem się, na wszelki wypadek pożegnałem się z żoną, pocałowałem śpiącego synka i wyszedłem z mieszkania. Na korytarzu natknąłem się na Niemców, którzy już szli do mnie. Grupa ich składała się z gestapowca z trupią główką na czapce, feldfebla żandarmerii i dwóch zwykłych żandarmów w hełmach, z karabinami. Najpierw gestapowiec, trzymając jakiś papier w ręku, zapytał mnie o Józefa Waszczuka, starego emerytowanego furmana szpitalnego, który rzeczywiście mieszka w szpitalu, potem o jakiegoś Michała Krukowskiego. Wyjaśniłem, że takiego u mnie nie ma i w ogóle go nie znam. Zażądał wówczas podania mu moich personaliów i kazał iść ze sobą, rzekomo szukać wraz z nim owego Michała Krukowskiego. Miałem na sobie biały płaszcz lekarski i w takim stroju, bez palta i bez czapki, paradowałem w otoczeniu żandarmów przez całe miasto. Odchodząc zamknęli żonę na klucz od zewnątrz z korytarza. Na ulicy gestapowiec irytował się, żeby mu prędzej wyszukać Michała Krukowskiego, przy czym kilka razy pociągnął mnie za brodę. Ponieważ byłem przygotowany na wszystko i oczekiwałem znacznie gorszych rzeczy, więc nie wywarło to na mnie większego wrażenia, dało tylko nieprzyjemny przedsmak innych możliwości, których należało się w każdej chwili spodziewać.

---

[1]) Niebezpieczny zakręt.

Na ulicy nie było ani żywego ducha. Spotkaliśmy tylko kilka takich samych grup z gestapowcami na czele, szybko przebiegających od domu do domu. Zorientowałem się, że odbywa się masowa obława po mieszkaniach, ale nikogo nie prowadzą, bo prawie nikt na ul. Zamojskiej nie nocował w domu.

A mój gestapowiec coraz bardziej rzuca się i niecierpliwi, żeby mu zaraz dawać Michała Krukowskiego, poleca kołatać do okien mieszkańców i u nich zasięgać informacji. Sami żandarmi nie dobijają się, każą mnie to robić. Walę więc do drzwi, do okien, ludzie ociągają się z otwieraniem jak nigdy. W kamienicy Kimaczyńskiego natknęliśmy się na kwaterujących tu oficerów niemieckich, aż wreszcie starszy żandarm, znający trochę miejscowe stosunki, poradził, żeby podejść do mieszkania Marszyckiej, właścicielki małej restauracyjki. Ta rzeczywiście wskazała, że Krukowski, tylko nie Michał, a Feliks, szofer straży ogniowej, mieszka koło szopy strażackiej. Szybkim krokiem udaliśmy się tam. Zastaliśmy szofera Krukowskiego śpiącego. Znów pytania o personalia i rozkaz ubrania się. Ja musiałem przy tym cały czas asystować. Następnie zaprowadzili nas do magistratu, a potem popędzili gdzieś na rynek. Dokąd? — nie wiedzieliśmy. Znów spotkaliśmy parę grup żandarmów, lecz również bez „zwierzyny". Wreszcie koło kościoła zobaczyłem wysoką postać dra Likowskiego z walizką w ręku, idącego obok gestapowca z dwoma żandarmami z tyłu. Grupy nasze się połączyły i już razem poszliśmy na posterunek żandarmerii w ratuszu.

Tu panował duży ruch. W gabinecie komendanta miejscowego posterunku i w poczekalni kręciło się kilku tęgich gestapowców wyższej rangi, paru żandarmów z komendy, trzech cywilów dobrze mówiących po polsku, z których jeden pisał protokóły na maszynie, i sporo żandarmów niższych szarż w hełmach i z karabinami, jeden nawet z maszynowym. Zastaliśmy już kilka znajomych osób, stopniowo przyprowadzano coraz to nowych. Każdego po kolei brano do kancelarii i tam na osobnych blankietach wypisywano szczegóły ewidencyjne. Mnie kiwnięciem palca przywoływano kilka razy, lecz nie znalazłszy na liście kazano dalej czekać. W gabinecie dwóch mężczyzn stało odwróconych twarzą do ściany. Przyjrzawszy się dobrze poznałem ich: jeden to był Jan Kobielski, młodszy brat inż. Stanisława Kobielskiego, właściciela niewielkiej fabryki chemicznej na Brodach Małych koło stacji kolejowej, a drugi to mój medyk Zdzisław Cielecki. Gdy w poczekalni zaczęło być zanadto ciasno, wyprowadzili nas na rynek przed posterunek i tu wpakowali do dużej ciężarówki okrytej plandeką, z poprzecznymi ławkami wewnątrz. Siedząc w niej czekaliśmy dalej. Ja do tego czasu świeciłem bielą swojego lekarskiego płaszcza, lecz jakoś udało mi się dać znać do domu, skąd zapłakany synek przyniósł mi jesionkę i małą walizeczkę.

Samochód powoli zapełniał się coraz bardziej, gdyż do posterunku wciąż kogoś nowego przywozili lub przyprowadzali. Wszystkich aresztowanych wymieniam tak, jak siedzieli w ławkach wewnątrz ciężarówki:

1. Dr Władysław Likowski, lekarz miejski.

2. Ksawery Lęszczyński, kasjer magistratu, b. dowborczyk, który nic nie stracił na humorze i przez cały czas zachowywał swój zwykły sposób bycia i odzywania się.

3. Gałka, robotnik z Alwy.

4. Poździk, 18-letni chłopak, syn zmarłego przed kilkoma laty szewca, szwagier Gałki.

5. Lucjan Drozd, sekretarz sądu.

6. Piasecki, kierownik filii biłgorajskiej hurtowni spółdzielczej.

7. Aleksander Waligóra, inż., właściciel fabryki kalafonii i terpentyny „Alwa".

8. Zdzisław Cielecki, student medycyny Uniw. Wil., pracujący w szpitalu.

9. Józef Waszczuk, emerytowany furman szpitalny.

10. Brześciński, milicjant miejski, znienawidzony przez ludność polską i żydowską, ponieważ zawsze gorliwie brał udział wraz z Niemcami we wszystkich łapankach i rekwizycjach, sam naprowadzał ich i udzielał odpowiednich informacji.

11. Feliks Wiatrowski, właściciel straganu.

12. Antczak, komendant policji polskiej.

13. Zeidlicowa, właścicielka piwiarni.

14. Lucjan Michałowski, zaledwie przed kilkoma dniami wypuszczony z więzienia w Warszawie.

15. Jan Kobielski.

16. Mrozowski, szklarz.

17. Kriukow, kupiec.

I jeszcze paru, których nazwisk nie znam.

Gdy już wszystkich ulokowano i żandarm przeliczył nas wewnątrz samochodu, podszedł gestapowiec trzymając w ręku arkusze ewidencyjne i podług nich zaczął sprawdzać, czy wszyscy są obecni. Mego arkusza oczywiście nie było, ponieważ na posterunku go nie pisano. Gdy gestapowiec skończył odczytywanie nazwisk i dał znak do zamykania samochodu, zwróciłem uwagę, że mnie w spisie nie ma. Spojrzał na mnie uważnie, coś zapytał stojącego obok żandarma i kazał mi zejść z samochodu. Uczyniłem to żwawo i ochoczo, oddając bochenek chleba medykowi, przy sobie zatrzymując tylko walizeczkę. Żandarm zaprowadził mnie znów na posterunek, gdzie główny gestapowiec, prowadzący całą akcję, stojąc pakował już do teczki wszystkie akta i szykował się do wyjścia. Zadał mi kilka pytań — imię, nazwisko, zawód, stanowisko itp., potem machnął ręką i kazał iść do domu. Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Opanowując się, żeby nie okazać po sobie zbytniej radości, wyszedłem na rynek i udałem się w stronę szpitala. Nie uszedłem więcej jak sto kroków, gdy zatrzymał mnie żandarm w hełmie i kazał iść za sobą. Nie mogłem zrozumieć, co to znaczy. Zaprowadził mnie do bramy pobliskiej żydowskiej kamienicy. Stał tam gestapowiec i drugi żandarm, a na ziemi leżał, brocząc krwią, młody Żydek z przestrzeloną nogą. Gestapowiec, który widział mnie na posterunku wśród zatrzymanych, zdziwił się zobaczywszy mnie i zapytał dokąd ja idę i czy jestem „frei". Gdy mu to potwierdziłem, kazał mi zająć się rannym i wziąć go do szpitala, — i żeby to było jak najprędzej zrobione. Poleciałem do szpitala, po drodze krzyknąłem Żydom, żeby biegli naprzód po nosze. Za chwilę byłem już z powrotem przy rannym z noszami i obsługą. Gestapowiec czekał. Przenieśliśmy Żydka do szpitala, okazało się, że miał przestrzelone udo ze strzaskaniem kości na drobniutkie kawałeczki. W obecności żandarmów nie

wydał ani jednego jęku, nawet gdyśmy go brali z ziemi i kładli na nosze. Do sali opatrunkowej weszli dwaj żandarmi, zapisali imię i nazwisko rannego, jakie ma uszkodzenie i poszli sobie.

W jednej chwili z poniewieranego niewolnika, aresztanta, przekształciłem się na nowo w lekarza.

Jeszcze na ulicy przybiegła do mnie żona z synkiem. Oboje byli na rynku niedaleko samochodu, w którym siedzieliśmy. Żandarmi brutalnie odpędzali i odpychali kobiety, cisnące się ku samochodowi. Żona też dostała kolbą w plecy od jednego z żandarmów.

Znów byliśmy wszyscy razem. Wyrywałem się już po raz trzeci z tych strasznych niemieckich szponów...

W domu opowiedzieli mi, co się działo w szpitalu w czasie mojej kilkugodzinnej nieobecności.

A więc najpierw o medyku. Wcale o niego nie pytano, lecz ten usłyszawszy, że do szpitala weszli gestapowcy, naprędce ubrał się, wybiegł do ogrodu i zamiast gdzieś tu się przyczaić, przeszkoczył przez mur na drogę prowadzącą na Błonie. Od razu natknął się na zwykłego żołnierza wartownika. Ten zatrzymał go i oddał w ręce żandarmów, którzy zaprowadzili go na posterunek. Tu został aresztowany jako uciekający.



Z intendentem Cichońskim było nieco inaczej. Gdy Niemcy wyszli ze szpitala wraz ze mną, obudzono go i poinformowano o tym, co się stało. Ubrał się i czekał. Po pewnym czasie przyszła inna grupa żandarmów z gestapowcem już specjalnie po niego. Dyżurna akuszerka usłyszawszy, że pytają odźwiernego o Cichońskiego, pobiegła do niego i uprzedziła go o tym. Śpiesznie zaprowadziła go na oddział zakaźny, skąd na związanych kocach spuścił się z I piętra do ogrodu. Dalej nie uciekał, tylko ukrył się w oficynie. Żandarmi tymczasem przeprowadzili rewizję w jego pokoju. Podobno trzy razy wracali do szpitala i szukali go, byli u nas w mieszkaniu, w niektórych innych pokojach w szpitalu, w śpiżarni itp. W pokoju Cichońskiego, jak opowiadano, wszystko przewrócili do góry nogami, wychodząc zabrali teczkę, w której było około 4.000 zł, pokój zamknęli na klucz i klucz wzięli ze sobą. Oczywiście nie można tam się dostać, musimy czekać aż przyjedzie jakaś specjalna komisja z Biłgoraja.

Trudno mi było zabrać się do normalnej pracy, a musiałem ją podjąć ze zdwojoną energią wobec braku medyka i intendenta. Przez cały dzień chodziłem jak automat, nie mogąc otrząsnąć się z przeżytych wrażeń.

Wszystko co piszę nie daje należytego pojęcia o tym, co my przeżywamy teraz w rzeczywistości. Mogłoby to odtworzyć jakieś tęgie pióro literackie, lecz nie krótkie kronikarskie notatki.

W ciągu dnia nadeszły wieści ze Zwierzyńca, bo i tam były ofiary. Aresztowano inspektora lasów O. Z. Tomasza Kietlińskiego, nadleśnego Michalika, urzędnika ordynackiego Władysława Komosę i dwóch braci Gulińskich, Bohuna i Mariana, synów właścicielki apteki. Lecz jest i jeden zabity, Stanisław Dubicki, urzędnik ordynacki, który wcale nie był na liście przeznaczonych do aresztowania. Zobaczywszy żandarmów zaczął uciekać, na wezwanie żołnierza nie zatrzymał się, biegł dalej i wówczas ten strzelił do niego z karabinu. Dubicki, ciężko ranny, przebiegł jeszcze spory kawał, przebrnął przez rzekę i już na drugim brzegu padł martwy, tak, że połowa ciała znajdowała się w wodzie. W osobie Dubieckiego i organizacja poniosła dotkliwą stratę, ponieważ był on komendantem miejscowej szturmówki.

Ze wszystkich stron, naokoło dochodzą nas wiadomości o bardzo licznych aresztowaniach po miastach, miasteczkach i wsiach.

U nas byłoby znacznie więcej ofiar, gdyby gestapowcy wszystkich mężczyzn zastali w domu.

2 czerwca

Po wczorajszych przejściach dzisiejszy dzień spędziłem w ciężkim nastroju. Jeszcze nie mogę przyjść do siebie, nie mogę normalnie pracować, a roboty mam tyle, że siedziałem w kancelarii prawie do północy, nie mając ani chwili odpoczynku przez cały dzień.

3 czerwca

Od 6 rano byłem już przy pracy. Ogromnie odczuwam brak medyka i nieobecność intendenta. Wszystko muszę robić sam.

Po obiedzie przyjechał z Biłgoraja Kreishauptmann z lekarzem powiatowym dr Snackim. Musieliśmy pokrótce opowiedzieć, jak i co było. Czynione są usilne starania o zwolnienie dra Likowskiego i mojego medyka. Jest nadzieja, że się to powiedzie.

Dr Snacki jako lekarz powiatowy musiał pojechać do pobliskiej wsi Brody Duże, położonej o 1½ km od Szczebrzeszyna, gdzie zachorował na tyfus plamisty nauczyciel, Niemiec Otto Wojan z Radomia. Byliśmy w mieszkaniu tego nauczyciela i dwóch nauczycielek Niemek. Zaprowadziły nas one potem do szkoły. Jest to nowy, zaledwie przed 10 laty postawiony, duży, piętrowy budynek. Obecnie cały zajęty jest przez wojsko i tylko jedną klasę pozostawiono na szkołę niemiecką dla dzieci kolonistów. W dużej, jasnej sali tej nowej polskiej szkoły, której budowę zainicjowano w roku 1928 dla uczczenia 10 rocznicy odzyskania niepodległości, zobaczyłem na ścianie portret Hitlera, a nad stołem nauczyciela z małych gałązek choinkowych misternie uplecioną swastykę...

Po wsiach Niemcy wszystko zabierają, głównie zboże, kartofle i bydło. Niektóre wsie są ogołocone doszczętnie. Opowiadał nam dr Snacki o dramatycznej scenie w Goraju. Gdy Niemcy grasowali tam, jedna kobieta schwyciła duży bochenek chleba, przycisnęła go skrzyżowanymi rękoma do piersi i za nic nie chciała oddać. Żołnierz strzelił do niej.

Upadła na ziemię, lecz chleba nie puściła. Wówczas dobito leżącą poprzez trzymany chleb. I tak ją pochowano z bochenkiem zakrwawionego chleba...

Na pierwszy dzień Zielonych Świąt (1. VI.) SS urządziło na Rudce w Zwierzyńcu pogrom Żydów. Bito ich i zabierano wszystko, co się dało. Przy sposobności dostało się i niektórym Polakom. To samo było i w Gorajcu. Zabito przy tym trzech Żydów.

4 czerwca

W związku z ucieczką Cichońskiego, który był kwatermistrzem, przyszedł do mnie komendant obwodu kpt. „Piotr" [1]). Chciał dowiedzieć się, co pozostało w pokoju Cichońskiego i czy ewentualnie można stamtąd wydostać fotografie, które Cichoński miał u siebie, jeżeli nie zostały jeszcze zabrane przez gestapowców. Komendanta widziałem już kilka razy, jak przychodził do Cichońskiego, rozmawiałem z nim jednak dzisiaj po raz pierwszy. Tęgi mężczyzna, doskonale zbudowany, wysokiego wzrostu, łysy, pewny siebie, robi wrażenie zawodowego oficera. W całej postaci i w sposobie mówienia ma dużo stanowczości. Przyjąłem go w szpitalnym gabinecie ambulatoryjnym przy zamkniętych drzwiach, jako rzekomo chorego i nawet napisałem jakąś fikcyjną receptę na wypadek, gdyby go zatrzymano i pytano, po co był w szpitalu.

Prowadzimy nędzny żywot zaszczutych, osaczonych zwierząt, które lada chwila schwycić może wróg. Z powodu tak licznych aresztowań wszędzie panuje straszna dezorganizacja i chaos, a ludziom pozostałym na wolności brak energii, żeby to opanować, bo wiedzą, że i ich nie dziś to jutro spotkać może to samo. Mężczyźni pracują dorywczo, możliwie mało ukazując się na ulicy, a na noc ukrywają się. Ja nie ruszam się z domu. O uciekaniu i ukrywaniu się słyszeć nie chcę. Jestem przygotowany na najgorsze. W nocy mam przy sobie wszystko pod ręką, żeby w jednej chwili być gotowym do drogi. Wszyscy jesteśmy straszliwie psychicznie zmęczeni i nerwowo wyczerpani. Na szczęście mam bardzo dużo pracy w szpitalu.

Gestapowcy przyjeżdżają do nas codziennie. W danej chwili są na posterunku żandarmerii w ratuszu. Może znów będzie obława?!

5 czerwca

Rano zjawił się w szpitalu gestapowiec wyższej szarży, ten sam, który przeprowadzał rewizję u intendenta. Oddawał mi klucz od jego pokoju. Nie chciałem wziąć, motywując, że z polecenia Kreishauptmanna ma być komisyjne protokólarne przyjęcie tego, co się tam znajduje. Gestapowiec ciskał się, powiedział dosłownie, że niech mu Kreishauptmann dupę liżę, pytał gdzie jest Cichoński. „Wy dobrze wiecie, gdzie on się ukrywa" itp. Zaraz potem przyjechał z Biłgoraja zastępca starosty, Nie-

---

[1]) Późniejszy „Adam".

miec, z inspektorem samorządu Hulakiem i kierowniczką rachuby Podolińską. Nadjechał ponownie ten sam gestapowiec, a z nim jeszcze i drugi, też rangi oficerskiej. Poznałem go. Był to jeden z zeszłorocznych naszych oprawców z zamojskiej Rotundy. Do szpitala nie wchodzili, boją się tyfusu plamistego. Cała rozmowa z władzami biłgorajskimi odbywała się na ulicy przed wejściem do szpitala. Oddali klucz inspektorowi i z dumną miną odjechali. Czułem, że jestem blady jak nigdy.

Weszliśmy do pokoju Cichońskiego, bez zastępcy starosty, bo ten od razu poszedł przejść się, też bał się tyfusu! W pokoju zastaliśmy straszny nieład, jak zwykle po każdej rewizji. Zabraliśmy księgi i dowody kasowe, różne rzeczy szpitalne, sprzęty, bieliznę. Co można było z prywatnych cenniejszych rzeczy, też usunęliśmy. Potem pokój został zamknięty i klucz zabrano do Biłgoraja. Spisano szczegółowy protokół.

Wczoraj i dziś w nocy aresztowano miejscowych komunistów, względnie ich sympatyków, Żyda Goldmana, ojca czołowego komunisty, który znajduje się obecnie po stronie radzieckiej i tytułującego się felczerem Sawica ze Szperówki.

Wieczorem, jak zwykle w ostatnich dniach, przyjechali gestapowcy i żandarmii, zapewne na nową robotę. Dano nam znać, że mają ze sobą tę ciężarówkę, którą przewożą aresztowanych. Czekamy na kogo los padnie. Tych, co nocują teraz w domu, na palcach można policzyć. Ja rzeczy mam teraz spakowane w plecaku, nie w walizce, bo przy wywożeniu z więzienia można mieć tylko plecaki.

Na szosie głównej i koło szpitala samochody jadą dziś prawie bez przerwy.

6 czerwca

Mam strasznie dużo pracy. Od rana do nocy jestem w szpitalu, pod wieczór ze zmęczenia ledwie włóczę nogami. W ciągu dnia nie było żadnych ważniejszych nowin. Nadchodzi noc i oczekiwanie nocnej obławy. Ludzie wychodzą z miasta na nocną tułaczkę, do cna wyczerpują się i fizycznie i nerwowo.

7 czerwca

Przez cały dzień na szosie panował tak silny ruch samochodowy, że na kilka godzin wstrzymano nawet przejazd furmanek. Można było widzieć najrozmaitsze zmotoryzowane formacje wojskowe, wszystkie rodzaje broni. Cały ten nieprzerwany sznur samochodów pędził w stronę Zamościa. W kierunku na Zwierzyniec jechały tylko pojedyncze lub grupami puste samochody ciężarowe, czasem jakiś samochód osobowy lub motocykl. Miało się zupełnie takie wrażenie, jak podczas wojny, gdy przesuwają się aktywne grupy bojowe.

Od aresztowanych przed tygodniem dochodzą wieści, że w więzieniu zamojskim wybuchła epidemia tyfusu plamistego i że zawszenie jest tam okropne.

Słabnie nadzieja na to, że puszczą dra Likowskiego i mojego medyka.

8 czerwca

Dzień dzisiejszy, niedziela, przeszedł nam wyjątkowo spokojnie.

10 czerwca

Dwa dni zeszły bez ważniejszych wydarzeń. Dochodzą nas głuche wieści o aresztowanych. Podobno mój medyk podczas przesłuchiwania został pobity do utraty przytomności. Wciąż o nim myślę. Całe miasto mówi o znęcaniu się głównie nad nim. Jego najwięcej wszyscy żałują.

W Zwierzyńcu aresztowano niejaką Ribenbauerową, żonę oficera, wysiedloną z Poznańskiego. Prowadziła ona małą kawiarenkę w Zwierzyńcu i była w dobrych stosunkach z dawniejszym plenipotentem O. Z. Niemcem Streichem, co stało się powodem jej aresztowania.

11 czerwca

Na szosie ruch samochodowy utrzymuje się bez przerwy dzień i noc. Czegoś podobnego nigdy w życiu nie widziałem. W Szczebrzeszynie na 4 tygodnie odwołano jarmarki wtorkowe.

12 czerwca

W nocy, wojsko (konnica i piechota) waliło niepowstrzymanym potokiem i główną szosą i drogą koło szpitala. Wszystko szło na Zamość. O godz. 2 w nocy w czasie przemarszu przez miasto grała orkiestra. Śpiewy, okrzyki, hałas trwały całą noc. A od rana jechały już tylko samochody, też bez przerwy.

Na szosach publicznych ograniczono ruch dla osób cywilnych jadących furmankami i rowerami.

Miałem dziś ciekawe zdarzenie. Mianowicie zjawił się u mnie jegomość lat około 30, wysokiego wzrostu, porządnie po sportowemu ubrany i prosił o rozmowę w cztery oczy. Znałem go z widzenia, ponieważ często przychodził do Cichońskiego i wiedziałem, że jest to jeden z czołowych członków organizacji. Gdyśmy się zamknęli w gabinecie, od razu przystąpił do rzeczy: Cichońskiemu przy rewizji gestapowcy zabrali teczkę z 4.000 zł. Pieniądze te były własnością organizacji. Otóż mam natychmiast na jego ręce wpłacić całą tę sumę. Byłem zaskoczony i zdumiony tak samym żądaniem, jak i pewnością siebie mojego interlokutora. Wyraziłem mu swoje zdziwienie z powodu tak nieuzasadnionego i nielogicznego żądania i oczywiście kategorycznie odmówiłem spełnienia go. Gość patrząc na zegarek oświadczył, że daje mi 10 minut czasu, w ciągu których mam wpłacić pieniądze. Jeżeli tego nie zrobię, to przyśle tu swoją bojówkę. To już mnie zirytowało. Zapewniłem go, że terroru się nie boję i w żadnym wypadku nie ulegnę. Wywiązała się między nami bardzo

długa dyskusja. On mówił tonem stanowczym, w sposób wysoce arogancki. Ja go biłem swoim opanowaniem i spokojem. M. in. powiedziałem mu, że właściwie powinienem wyrzucić go za drzwi, lecz uwzględniam pobudki jakie nim kierują, poświęcenie się dla sprawy, jego niebezpieczną ideową pracę konspiracyjną i dlatego z nim rozmawiam. Powoli zupełnie zmienił ton. Zaczął mi opowiadać o sobie, jak siedział w więzieniu, jak go Niemcy bili, o ciężkich warunkach obecnej pracy podziemnej i o wyjątkowo dużych potrzebach materialnych wobec konieczności wspierania rodzin aresztowanych itd. W rezultacie obiecałem mu dać 500 zł jako dobrowolną ofiarę na organizację, a ulegając jego usilnej i już całkiem uprzejmiej i grzeczniej prośbie zgodziłem się na udzielenie pożyczki w kwocie zł 700, które pod słowem honoru miał mi zwrócić najdalej po 3 tygodniach. Po pewnym czasie zakończyliśmy naszą zbyt długą rozmowę i rozstaliśmy się w dobrej komitywie. W godzinę potem zgłosił się do mnie po pieniądze Antoś Koczon („Górny") przynosząc dwa pokwitowania wypisane na bibułkach papierosowych: jedno na 500 zł i drugie na 700 zł. Podpisany na nich był „dowódca powiatu Wisman".

Jednak ta próba wymuszenia na mnie pieniędzy i pierwotna postawa owego „dowódcy powiatu" nie sprawiły na mnie dobrego i przyjemnego wrażenia. Całość trąci jakimś szantażem [1]).

13 czerwca

Dziś rano gestapowcy aresztowali szofera Feliksa Krukowskiego, tego samego, którego kazali mi szukać po aresztowaniu w dniu 1. VI. Zawieźli go do Zamościa.

Z zasięgniętych dość pewnych informacji wynika, że wieści o biciu medyka były mocno przesadzone, to znaczy, że bito go podczas przesłuchania, ale nie tak już do utraty przytomności, jak to opowiadano. O zwolnieniu jego i dra Likowskiego na razie nie ma mowy.

Z Oświęcimia nadeszły wiadomości o śmierci Michała Adamca, gospodarza z Kawenczyna, dyrektora spółdzielni w Biłgoraju, Huzara i innych.

Intensywność ruchu wojsk na szosie, w dzień i w nocy nie maleje. Jesteśmy oszołomieni nieprawdopodobną ilością wojsk zmotoryzowanych. Do Szczebrzeszyna wojska przybywa coraz więcej. Kazano opróżnić kilka kamienic, usuwając wszystkich mieszkańców. Nawet magistratowi kazano wynieść się z zajmowanego budynku do tzw. małej szkoły.

W piwnicy szpitalnej, z polecenia żandarmerii, a na rachunek magistratu zrobiono nowe schody z poręczą i założono telefon. Aparat telefoniczny ustawiają i na wieży kościelnej obok szpitala. Sądzimy, że w na-

---

[1]) W kilka miesięcy potem dowiedziałem się, że był to osławiony Jerzy Wisman, ówczesny dowódca szturmówki w obwodzie zamojskim, który po aresztowaniu w Warszawie zaczął sypać organizację zamojską i w końcu sam stał się gestapowcem. W tym charakterze, w gestapowskim mundurze, zjawił się ku ogólnemu przerażeniu w Zamojszczyźnie i był sprawcą niejednego ludzkiego nieszczęścia. Zlikwidowanie samego Wismana, a przedtem jeszcze jego rzekomej żony, pięknej Magdy, kosztowało Norberta niemało trudu i zachodu. Ogólną i wnikliwą charakterystykę Wismana oraz przebieg całej działalności opisał Norbert w doskonałej pracy pt. „Afera Wismana".

szej piwnicy będą się chronić jacyś oficerowie sztabu, a na wieży będzie chyba siedział jakiś obserwator.

Wypadki w czasie Zielonych Świąt, moje aresztowanie i nieustanne oczekiwanie ponownego aresztowania tak wytrąciły mnie z równowagi, że przez całe 12 dni nie tknąłem nawet mojej księgi pamiątkowej, w której szkicuję wspomnienia zamojskie z ubiegłych 20 lat. Dopiero wczoraj wieczorem wydobyłem tę księgę z ukrycia i zacząłem kreślić dalej zaczęty już drugi rozdział o Zwierzyńcu. Ale pisanie idzie mi jak po grudzie, z trudem skupiam uwagę, by napisać parę zwykłych zdań. Przeżycia aktualne dominują nad przeszłością i całkowicie człowieka pochłaniają.

14 czerwca

Stałem dziś na murze szpitalnym i obserwowałem ruch na szosie. W ciągu godziny przejeżdża średnio od 500 do 600 samochodów i motocykli.

Pod wieczór drogą koło szpitala i szosą zaczęła sunąć piechota też bez przerwy. Zadajemy sobie pytanie, skąd te całe masy wojska idą i dokąd? Kiedy już nareszcie zacznie się ta nowa wojna? I co ona nam przyniesie?

Wczoraj rano gestapowcy przeprowadzili rewizję w fabryce inż. Kobielskiego i u niego w mieszkaniu. Wszyscy Kobielscy wyjechali, została tylko koleżanka Kobielskiej, nauczycielka Stefania Lewandowska, chora, z trudem poruszająca się. Gestapowcy dopytywali się o Kobielskich, zachowywali się niezwykle brutalnie, 3 razy uderzyli ją w twarz, wymyślali od polskich świń itp.

18 czerwca

Kilka dni przeszło spokojnie. Ruch na szosie znacznie mniejszy. Ubiegłą noc mieliśmy dziwnie cichą, nikt nie jeździł i nawet patrole nie chodziły. W dzień coraz więcej widzimy samolotów, zapewne dlatego, że na lotnisku w Klemensowie jest już ich sporo.

Szalenie wzrasta drożyzna. Ceny na wszystkie artykuły idą w górę z dnia na dzień. Sklepy przeważnie pozamykane, bo kupcy nie chcą pozbywać się towaru.

Ludzie w dalszym ciągu wyjeżdżają z rzeczami na wieś. Panuje ogólne przekonanie, że w Szczebrzeszynie będzie bardzo niebezpiecznie ze względu na bliskie sąsiedztwo z lotniskiem. Jednak ci, co się urządzili na wsi, żyją pod groźbą innego niebezpieczeństwa, bandytyzmu. Już były wypadki napadania i rabowania wywiezionych ze Szczebrzeszyna rzeczy. Słowem tak źle i tak niedobrze.

19 czerwca

Dziś mija rok od masowych aresztowań w czerwcu ub. r. Przypominam sobie szczegóły tak aresztowania, jak i późniejszego pobytu w Rotundzie

zamojskiej, a przede wszystkim tych, którzy byli wówczas aresztowani i których już nie ma. Ogarnia mnie niewypowiedziany smutek na myśl, ilu już ludzi zginęło w obozach przez ten jeden straszny rok. Znów myślę o Rosińskim, o jego męczarniach i nigdy nieodżałowanej śmierci.

Dziś przez cały dzień ruch samochodowy wzmożony. Również samoloty ukazywały się w dzień bardzo często. Ogólny nastrój niepokoju. Wszyscy, nawet sami Niemcy, mówią, że wojna zacznie się lada dzień.

Z Cieszanowa przyjechał nowo mianowany burmistrz m. Szczebrzeszyna Andreas Kraus, rodem Ukrainiec, obecnie Volksdeutsch. Już parę razy był u mnie. Robił wrażenie zwykłego galicyjskiego małego urzędnika prowincjonalnego.

21 czerwca

Wczoraj od godz. 10 wieczorem zaczęły jechać olbrzymie czołgi, pancerki i inne samochody. Przez całą noc sunęło to wszystko jedną nieprzerwaną wstęgą.

O godz. 7 min. 30 rano otrzymałem z Biłgoraja za pośrednictwem lekarza powiatowego rozkaz Kreishauptmanna i komendanta żandarmerii, aby postawić szpital na stopie bojowej i to od zaraz. Mam być przygotowany do przyjęcia większej ilości rannych, przy czym chorych zakaźnych, w pierwszym rzędzie Żydów, chorych na tyfus plamisty, mam przenieść w odpowiedniej chwili do dwóch domków żydowskich naprzeciw szpitala. Żandarmeria niemiecka, przez policję polską, nakazała mieszkańcom tych domków, Żydom, opróżnić mieszkania „w ciągu pół godziny". Nadmiernie gorliwym w wykonywaniu tego zarządzenia okazał się starszy przodownik P. P. Tatuliński.

Poszedłem do magistratu dla omówienia niektórych spraw. Tam podniecenie niezwykłe. Zastałem miejscowych żandarmów, którzy wydawali pewne zarządzenia dotyczące ostrego pogotowia wszystkich działów służby ratowniczej.

Na szosie ruch niesamowity. Samochody pędzą z ogromną szybkością w obydwóch kierunkach, na Zamość i na Zwierzyniec. Czasem powstają zatory i zatrzymuje się cała kolumna. Nastrój całkowicie wojenny. Do szpitala przychodzili żandarmi sprawdzić, czy wszystko w porządku, zwłaszcza interesują się piwnicą. Drużyny ratownicze zostały zmobilizowane. Kazano usunąć z hali targowej wszystkie stragany i tam urządzono lokal dla drużyny przeciwpożarowej i jednej drużyny sanitarnej. Na rynku kopią jeszcze jeden schron. Wszystko robi się w gorączkowym tempie.

Pod wieczór nastąpiło jak gdyby odprężenie. Na szosie mniejszy ruch. W ciągu dnia nic się nie stało. Członkom drużyny pozwolono na noc pójść do domu, pozostali tylko dyżurni. Rozkazu zaciemniania okien dotychczas nie wydano. Pomimo tego około godz. 10 wieczorem do drzwi wejściowych od ulicy zaczęli dobijać się z wrzaskiem żołnierze, dlaczego w jednym oknie pali się światło. Równocześnie naprzeciw w domu zajętym przez oficerów niemieckich zaczęto zapuszczać czarne rolety.

22 czerwca 1941

godz. 8 rano

Od 1 w nocy ruszyły z lotnisk bombowce i inne samoloty. Do godz. 4 słychać było w powietrzu nieustanny huk o zmiennym nasileniu. Można było rozróżniać głuchy huk pojedyńczych, ciężko naładowanych bombowców i zlewające się z tym warczenie mniejszych samolotów. Wszystko to razem sprawiało kolosalne wrażenie. Te trzy nocne godziny przy ogłuszającym chwilami huku były pełne grozy.

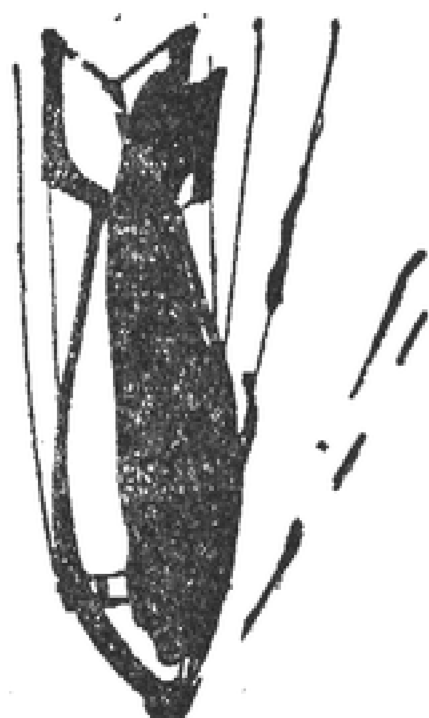
Byliśmy przekonani, że są to pierwsze chwile rozpoczynającej się wojny.

Rano o 6 wyszedłem na ulicę. Spokój zupełny. Ruch samochodów minimalny. Nikt nic nie wie. Same domysły.

Niektórzy obawiają się, że dziś będzie nalot radziecki na lotnisko.

Godz. 9 wiecz.

Do południa nic nie było wiadomo. Jedni twierdzili, że w nocy odbywała się próba generalna, drudzy dowodzili, że wojna już się zaczęła.



Na szosie w ciągu dnia ruch szalony. Samoloty niemieckie krążyły nad nami bardzo często. Dopiero po południu dowiedzieliśmy się z całą pewnością, że wojna jednak już się rozpoczęła. Jeden z kolejarzy, Borowicz, mąż akuszerki szpitalnej, otrzymał rozkaz natychmiastowego udania się do Rawy Ruskiej dla objęcia służby. Nie mieliśmy już żadnej wątpliwości, ponieważ Rawa Ruska leży po stronie sowieckiej. Podobno w tym miejscu oddziały radzieckie nie stawiają żadnego oporu.

Na mieście obębniono nowe zarządzenie władz niemieckich, że chodzić można po ulicach tylko do godz. 7 wieczorem i że okna muszą być szczelnie zaciemnione. Wszystkie drużyny ratownicze są w stałym pogotowiu. Taki przynajmniej był rozkaz. Nie wszyscy jednak do tego się stosują.

Niektórzy obawiają się, że dziś będzie nalot radziecki na lotnisko w Klemensowie.

W danej chwili na szosie jadą i jadą samochody z wojskiem i z amunicją. Samoloty też gęsto, nisko i głośno latają.

Czekamy — co dalej?

23 czerwca

W nocy o 4 znów piekielna muzyka samolotów, lecz już nie o takim nasileniu jak nocy ubiegłej.

Nadsłuchujemy wieści z frontu. Plotek krąży jeszcze więcej niż zwykle. Gdybym chciał je notować, z pewnością wiele stron nimi zapełniłbym.

Faktem jest, że wojska radzieckie stawiają opór. Kolejarze, którzy wczoraj dostali przydział do Rawy Ruskiej, siedzą w Zawadzie i czekają, aż można będzie tam dojechać. Jak się okazało, sytuacja zmieniła się i pociągi nie dochodzą nawet do Bełżca, tylko do Krasnobrodu.

24 czerwca

W nocy jechały olbrzymie czołgi. Obudził mnie straszny huk i dudnienie. Myślałem, że to samoloty, lecz wyjrzawszy przez okno przekonałem się, iż były to potwornej wielkości czołgi. Siła i ciężar ich były takie, że na zakręcie koło szpitala zniszczona została szosa. Klinkier się wywrócił. A dotychczas bez żadnych poprawek wytrzymywał cały wściekły ruch samochodowy. Poza miastem słychać strzały armatnie i inne detonacje. Żadnych pewnych wieści nie ma, lecz jakoś o sukcesach niemieckich głucho. Wszystkich zastanowiło to, że dziś rano nagle wyjechali ze Szczebrzeszyna wszyscy oficerowie sztabowi z generałami na czele. Dokąd? oczywiście nie wiadomo. W każdym razie wyjazd ich był niespodziewany. Na szosie ruch ogromny w obydwu kierunkach, głównie jednak na Zamość. Często powstają zatory i żołnierze wskazujący i regulujący ruch mają ciężkie zadanie.

Pod wieczór wojska w Szczebrzeszynie bardzo mało. Nastrój jakiś dziwny i niewyraźny. W danej chwili (godz. 10) żołnierze zdejmują kable telefoniczne przed szpitalem.

25 czerwca

Dzień przeszedł spokojnie. Ruch na szosie wybitnie mniejszy. Żołnierzy w mieście mało. Kwatery zajęte uprzednio przez wojsko stoją puste. Właścicielom niektórych mieszkań oddano nawet klucze. Żandarmi pakują swoje rzeczy przy pomocy Żydów z Judenratu! Ortskomendant powiedział, że wyjeżdżają wszyscy.

Gubimy się w domysłach, co to wszystko ma znaczyć. Pewnych wiadomości o sytuacji na froncie zupełnie nie mamy, same tylko plotki.

Dziś latało samolotów więcej niż wczoraj. Nad lotniskiem w Klemensowie był samolot radziecki. Zarządzono tam alarm. Ogłoszono nowe zarządzenie zabraniające zbliżania się do terenu lotniska. Żołnierze mają rozkaz strzelania bez uprzedzenia. Rozklejono i drugie zarządzenie, aby mieszkańcy koło każdego domu mieli wykopane rowy przeciwlotnicze, przykryte grubą warstwą ziemi lub darniny.

Panuje ogólne przekonanie, że jednak wojska radzieckie mogą przyjść i do nas.

26 czerwca

Noc była dziwnie spokojna, samochodów nie słyszeliśmy zupełnie, samoloty latały, lecz nie tak jak poprzednich nocy. Ale za to w dzień sunęła nieprzerwana wstęga samochodów, tworząc czasem wielkie zatory. Wiadomości nie mamy żadnych, gazety też nie podają nic o sytuacji na nowym niemiecko-sowieckim froncie.

28 czerwca

Wczoraj w dzień jechało znów bardzo dużo samochodów, prawie wszystkie w kierunku na Zamość. Samolotów latało mało. Dzień przeszedł spokojnie.

Otrzymałem z Biłgoraja polecenie przygotowania się na przyjęcie do szpitala 50 rannych jeńców radzieckich.

Wczoraj o 3 wyjechała z miasta cała komenda placu. Koszary i wszystkie w ogóle budynki zajęte dotychczas przez wojsko zostały opróżnione. Koszary (dawne gimnazjum) pozostawiono otworem. Ludność rzuciła się od razu do zabierania znajdujących się tam przedmiotów. Chwytano sienniki, wynoszono słomę itp. Zwróciłem się do żandarmerii, żeby mi dano do szpitala 50 sienników i słomy dla rannych żołnierzy radzieckich. Odpowiedzieli, że oni tym nie rozporządzają, bo to jest własność wojska. Późnym wieczorem nowy burmistrz Kraus przysłał mi 28 sienników odebranych od ludności cywilnej i trochę słomy.

Wczoraj, od 10 wieczorem zaczęły przejeżdżać drogą koło szpitala w kierunku na Błonie czołgi. Ile ich było, nie wiem. Stałem w oknie do północy, czołgi sunęły bez końca, więc położyłem się spać i zasnąłem ogłuszony piekielnym hałasem. Czołgi były rozmaitego typu, niektóre potwornej wielkości, zajmowały całą szerokość szosy. Zniszczyły one kawałek szosy na zakręcie i prawie cały chodnik przed szpitalem. Krawężniki poszczerbiono, niektóre całkiem wywrócono, część płytek betonowych chodnika rozbito na drobny szaber. Na klinkierze, na szosie znać szczerby po odłupanych kawałeczkach cegły. W szpitalu przeważnie nikt nie spał, stare mury trzęsły się i trzeszczały, wszystko w domu brzęczało. Zadajemy sobie pytanie, skąd i dokąd te czołgi jadą? — Dziś dowiedziałem się, że zatrzymały się one na Błoniu i w Kawenczynie, połamano przy tym płoty, poniszczono sady w okropny sposób. Dochodzą nas dziwne wieści, że w okolicznych wsiach i dookoła Szczebrzeszyna Niemcy kopią okopy, ustawiają działa. Nie rozumiemy, co to znaczy, bo wciąż słyszymy, że się posuwają powoli naprzód, oddziały zaś radzieckie cofają się.

Dziś rano otrzymałem z Biłgoraja nowe polecenie, abym był przygotowany do przyjęcia już nie 50 lecz 100 rannych żołnierzy radzieckich. Na salach układam już sienniki wprost na podłodze, bo na ustawienie tylu łóżek zabrakłoby miejsca.

Na szosie głównej i koło szpitala nieustanny ruch samochodów i motocykli. Wszyscy mamy wrażenie, że w całym tym szalonym ruchu jest jakieś zdenerwowanie i wyjątkowe napięcie, czego dawniej nigdy nie

obserwowaliśmy. Bardzo nas męczy i irytuje taka kompletna nieświadomość tego, co się dookoła nas dzieje, a od Niemców niczego dowiedzieć się nie można. Milczą jak zaklęci.

29 czerwca

Dzień dzisiejszy nic nowego nam nie przyniósł. Samochody pędzą bez ustanku, nieprzerwanym sznurem. Ten ciągły warkot motorów nawet najspokojniejszych ludzi zaczyna drażnić, mniej wytrzymałych nerwowo wyczerpuje do reszty. Wiadomości z frontu żadnych, same plotki. Dziś już mija tydzień, jak się toczy krwawa wojna, a my nic konkretnego jeszcze o niej nie wiemy.

Sanitarki wojskowe wciąż wiozą rannych w kierunku na Zamość. W zamojskim szpitalu powiatowym u dra Boguckiego było dziś rano już 160 rannych żołnierzy radzieckich. Lada chwila oczekuję ich u siebie.

Wieczorem obębniono, że wszyscy mężczyźni, tak Żydzi jak i Polacy, od lat 15 do 60, mają stawić się do roboty na lotnisku.

30 czerwca

Przyszedł dziś komendant żandarmerii, oglądał piwnice i chce, żeby w jednej piwnicy urządzić salę operacyjną, a ponadto każe przygotować zupełnie osobne pomieszczenie dla 30 zatrutych gazami.

1 lipca

Pisma podały pierwszy oficjalny, długi komunikat o przebiegu wojny z Rosjanami i o osiągniętych sukcesach. Zdobyte zostały miasta Kowno, Wilno, Brześć, Dynaburg, Kowel itd. Ludzie trochę posmutnieli, bo wszyscy przede wszystkim chcieliby, ażeby klęskę ponieśli Niemcy.

Na naszym odcinku nie ma dotychczas żadnych widocznych zmian. Strzały armatnie słychać tak, jak i dawniej, samoloty niemieckie przejawiają ożywioną działalność, bombowce całymi kluczami przelatują nad miastem, dążąc na wschód.

3 lipca

Żadnych pewnych wiadomości nie mamy, powszechnie jednak mówią o tym, że Wilno, Kowno, Lwów i szereg innych miast Sowieci odbili. Na naszym odcinku, zdaje się, nie ma żadnych zmian.

Dziś wrócili z więzienia w Zamościu aresztowani 1 czerwca Kriukow, Michałowski, Gałka i Poździk.

W mieście pusto zupełnie. Wojska nie ma. Magistrat powrócił już do dawnego lokalu, również wielu mieszkańców zajęło z powrotem swoje mieszkania. Na szosie ruch nieznaczny.

4 lipca

Dzisiejszej nocy bandyci napadli na dwór Wróblewskich w Gorajcu, został przy tym ranny w klatkę piersiową jeden ze służby folwarcznej. Drugi napad, tylko już o innym charakterze, tejże nocy, miał miejsce w Sułowie. Tu zaatakowano gminę, wywiązała się strzelanina z miejscową policją, przy czym jeden z uczestników napadu został zabity [1]).

W szpitalu mieliśmy dziś „miłą" wizytę gestapowca, który pytał o Cichońskiego, gdzie mieszka jego żona itd.

O przeciwnatarciu Armii Czerwonej dzisiaj mniej się już mówi, gazety natomiast przyniosły wiadomości o dalszych sukcesach niemieckich. W mieście zupełnie spokojnie, samochodów mało, sądzimy, że już wszystkie rezerwy wojskowe przeciągnęły przez Szczebrzeszyn. Dość często widzimy duże platformy z rozbitymi samolotami.

5 lipca

Jeździłem dziś do nadleśnictwa w Kosobudach, po drzewo dla szpitala. W lesie cicho, pięknie, spokojnie, a już w samym nadleśnictwie cisza jest upajająca, żadnych śladów wojny, czasem tylko przeleci wysoko jakiś samolot. Trudno uwierzyć, że są jeszcze w Polsce takie rozkoszne, ciche zakątki.

6 lipca

Dzisiaj jest niedziela i choć nie różni się ona niczym w pracy szpitalnej od dni powszednich, to jednak nie lubię niedziel. Drażni mnie widok ludzi świątecznie ubranych i łażących bez celu. Czytamy pilnie gazety, słuchamy co ludzie mówią, studiujemy mapy i rozważamy wszelkie możliwości dalszego przebiegu wojny niemiecko-rosyjskiej. Wojna ta jest głównym tematem wszystkich rozmów, o niczym innym nie mówi się.

Czuję się tym wszystkim okropnie zmęczony. Staram się oderwać od przeżywanej rzeczywistości i w wolnych chwilach kreślę swoje notatki pamiętnikarskie o dawnych czasach lub przepisuję je na maszynie. Jednak pisanie przychodzi mi z trudem. Nie mogę skupić uwagi, nie mam odpowiedniego nastawienia, lecz pomimo wszystko staram się pisać, bo czuję, że trzeba z tym śpieszyć. Chciałbym bardzo dokończyć swoje wspomnienia, może kiedyś przydadzą się na coś, jakiemuś historykowi

---

[1]) Jak się potem dowiedziałem, napadu tego dokonali członkowie organizacji pod dowództwem Norberta. Zginął „Dolina" czyli Kazimierz Doleżal ze Szczebrzeszyna.

Zamojszczyzny lub obyczajów, a nie mam pewności, czy los i okoliczności pozwolą mi doprowadzić je do końca. Byłoby mi szkoda, gdyby uległy zniszczeniu. Przepisuję w dwóch egzemplarzach. Może choć jeden się uchowa.

8 lipca

Przed paru dniami nauczyciel szkoły powszechnej na Brodach, Tukendorf, znalazł jakiś pocisk, zaczął coś majstrować, nastąpił wybuch, przy czym odłamek ugodził go w okolicę serca, co spowodowało natychmiastową śmierć. Wczoraj odbył się jego pogrzeb przy udziale licznego tłumu ludzi.

Wczoraj późnym wieczorem, w dzielnicy żydowskiej lotnik niemiecki wystrzałem z rewolweru zabił na ulicy młodą 22-letnią Żydówkę. Oczywiście ludność żydowska do głębi wstrząśnięta jest tym nowym barbarzyństwem niemieckim. W dzisiejszym pogrzebie zabitej wzięły udział chyba wszystkie Żydówki z miasteczka, tak ich było dużo.

Poza tymi zdarzeniami właściwymi dla czasu wojny, panuje u nas zupełny spokój. Na szosie teraz ruch stosunkowo niewielki. Widocznie przeszły już wszystkie rezerwy, lub też idą do linii frontu innymi drogami. Zapowiedzianych rannych jeńców radzieckich jakoś mi nie przysłano i mam wrażenie, że chyba już ich nie dadzą.

11 lipca

W ciągu kilku ostatnich dni nie miałem do zanotowania żadnych ważniejszych wypadków na naszym terenie. Sądząc po zmniejszonym ruchu wojskowym i spokoju ogólnym, wnioskujemy, że linia frontu znacznie oddaliła się od nas. Większa uwaga zwrócona jest znów na „front wewnętrzny". Dochodzą nas wieści o aresztowanych i przebywających w więzieniu w Zamościu. Sytuacja mojego medyka o tyle się poprawiła, że pracuje u ogrodnika więziennego, jest więc cały dzień na powietrzu i nie dusi się w celi więziennej. Wśród więźniów zdarzają się coraz to nowe wypadki tyfusu plamistego. Aresztowany przed kilkoma miesiącami Piłat z Brodów Małych, właściciel małego sklepiku przy stacji kolejowej, umarł na tę chorobę. Obecnie ciężko chorują ks. Gomółka z Zamościa i Podwiński, urzędnik Ub. Społ. Nie odesłano ich do szpitala, tylko przeniesiono do celi izolacyjnej. Inż. Aleksandra Waligórę przewieziono do więzienia w Lublinie. W zeszłym tygodniu w Biłgoraju aresztowano dyrektora Kasy Komunalnej, Kucharskiego, b. legionistę, cieszącego się jak najlepszą opinią.

Dziś rano rozeszła się u nas pogłoska, że ma być jakaś amnestia dla więźniów. Wszyscy na gwałt śpiesznie pisali podania do Głównej Rady Opiekuńczej w Krakowie, prosząc o wyjednanie amnestii dla członków swoich rodzin. Napisałem i ja od szpitala takie podanie o medyka, choć nie mam nadziei, żeby to cokolwiek pomogło.

Przywieźli mi z Józefowa kilku Żydów, chorych na tyfus plamisty. Jeden z nich nazywa się Wulf Bądźzdrów.

14 lipca

Wobec powodzeń na froncie, wydano nowe zarządzenie łagodzące niektóre dotychczasowe przepisy. Zniesiono przepustki kolejowe, godziny policyjne przesunięto tak, że możemy chodzić do 10 wieczór i od 4 rano. Co prawda w ostatnich dniach jakoś nikt tych godzin nie przestrzegał i ludzie łazili do późnego wieczora.

17 lipca

Do zanotowania są tylko złe wiadomości. Przyszła nowa fala aresztowań. W Zamościu, jak mi mówiono, aresztowano głównie byłych legionistów i peowiaków, z nazwisk wymieniono mi tylko Stanisława Czerskiego, technika drogowego i Tracza, woźnego gimnazjum. Podwiński, o którym wspominałem, umarł na tyfus plamisty. Na naszym terenie wciąż myszkują. Przed kilkoma dniami byli na Brodach u kierownika szkoły Kopyciaka, b. legionisty, lecz nie zastali go w domu. Przeprowadzili tylko ścisłą rewizję w mieszkaniu.

Znów wzmógł się niepokój i niepewność jutra.

18 lipca

W Szczebrzeszynie, na ulicy aresztowano Wróblewskiego, dzierżawcę Gorajca. Szukano też u nas młodych nauczycieli: Turowskiego, Pożdzika, Koczona i Kryka, czynnych członków organizacji. Żadnego w domu nie zastali. Wszyscy zdążyli ulotnić się.

19 lipca

Dziś rano Gestapo ponownie było u tych, których wczoraj nie zastało, lecz również bezskutecznie.

25 lipca

Kilka dni przeszło spokojnie, chociaż gestapowcy nie raz byli w Szczebrzeszynie i starali się przyłapać tych samych, co przed paru dniami oraz nauczycielkę Turowską, która niedawno wyszła za mąż za Rajewskiego. W sądzie pytali o zastępcę sekretarza Postulskiego. Wszyscy zwiali.

Wczoraj przybył do mnie na praktykę nowy medyk Tadeusz Błachuta z warszawskiej szkoły Podchorążych Sanitarnych. Przez cały ostatni rok pracował jako gajowy w pow. biłgorajskim.

28 lipca

Dni są jednostajne, nie było nic godnego zanotowania. Wczoraj jeździłem do Zwierzyńca. Cisza tam zupełna. Niemców nie ma. Na szosie

też ruch minimalny. Nasłuchałem się trochę miejscowych plotek, głównie dotyczących urzędników ordynackich. Kilka osób z oburzeniem opowiadało mi o nietaktownym zachowaniu się niektórych zwierzynieckich pań, w pierwszym rzędzie Marii Kosteckiej, żony naczelnika wydziału lasów, która ciągle przebywa w towarzystwie Niemców, urządza dla nich przyjęcia w swoim domu itd. Przypadkowo sami na własne oczy widzieliśmy ją wczoraj w towarzystwie pijanych, awanturujących się Niemców. Zadziwiający jest brak godności u pewnej kategorii ludzi.

Krążą jakieś głuche, lecz dość uporczywe wieści o rzekomych niepowodzeniach niemieckich na wschodnim froncie.

4 sierpnia

Kilka dni nic nie pisałem, bo nie było u nas nic ważniejszego, godnego zanotowania. Zresztą pisałem zawzięcie nowy rozdział swych wspomnień sprzed kilkunastu lat i całkowicie przeniosłem się myślami w niedawną przeszłość, — jakże odmienną od teraźniejszości! Życie było bujne, praca intensywna i twórcza. Żyliśmy naprawdę pełnią życia, dziś wegetujemy z myślą, aby tylko przetrzymać, z wiarą i nadzieją na przyszłość. Życie jest nudne, jednostajne, pełne obaw i niepokoju, nie daje żadnych radości i gdyby nie ta niezłomna wiara w przyszłość, stałoby się wręcz nie do zniesienia. Wielkim szczęściem dla mnie jest to, że mogę pracować nie tylko w swoim zawodzie, lecz i poza tym, pisząc dawne wspomnienia, które rosną z każdym dniem i będą stanowiły do pewnego stopnia monografię o Zamojszczyźnie z okresu między jedną wojną a drugą.

Konkretnych wiadomości o sytuacji politycznej i wojennej nie mamy. Gazetom wierzyć nie możemy, plotkom tym bardziej. Czujemy tylko, że front od nas oddalił się, bo na szosach ruch nieznaczny i drużyny sanitarne bezterminowo zostały urlopowane od 1. VIII. Znaczy to, że nie zachodzi już większa obawa jakiegoś nalotu ze strony radzieckiej, lecz równocześnie wydane zostały przez władze niemieckie zarządzenia, które świadczą, że przewidują one możliwość zastosowania gazów trujących. Polecono mianowicie przećwiczyć drużyny w obchodzeniu się z maskami przeciwgazowymi i wydano w tym celu nowe, bardzo ładne maski.

Wojska w mieście prawie nie ma. Od czasu do czasu zjawiają się lotnicy z Klemensowa, popiją się i wyczyniają w nocy różne awantury, naturalnie, z Żydami.

6 sierpnia

Po kilku dniach spokojnych, wczoraj od rana mieliśmy w mieście dużo niepokoju, strachu, płaczu i lamentu. Na 8 rano mieli zameldować ci, którzy poprzedniego dnia otrzymali wezwania do stawienia się celem wywiezienia do robót. Nikt się dobrowolnie nie zgłosił. Zaczęła się łapanka. Dzień był targowy, dużo ludzi przyjechało i przyszło ze wsi. Łapano ludzi na rynku i spędzano do hali targowej, wielu przy tym pobito.

W obławie brali czynny udział policjanci polscy, ściągnięci z okolicznych posterunków. Zatrzymano przeszło 200 osób. Niektórych wkrótce puszczono, lecz podobno około 100 wywieziono samochodami ciężarowymi w kierunku na Zwierzyniec, jak mówiono, na stację. Przeważały młode kobiety i dziewczęta. W mieście panował straszny popłoch, ludzie uciekali, chowali się gdzie kto mógł, tłoczyli się do szpitala, uważając, że tu bezpieczniej. Patrzyliśmy na to wszystko zaciskając zęby i pięści.

9 sierpnia

Wczoraj poruszony byłem wiadomością, że rano nagle wywieziono z więzienia w Zamościu w niewiadomym kierunku 20 osób, w tej liczbie mojego medyka Cieleckiego, dra Likowskiego, Kobielskiego, burmistrza m. Zamościa Wazowskiego i in. Teraz to już nie mam żadnej nadziei, żeby ich wypuszczono.

Wczoraj po południu niespodziewanie wręczono wezwane 20 wykwalifikowanym robotnikom cukrowni Klemensów, przeważnie pracującym w warsztatach mechanicznych. Dzisiaj mieli stawić się w Urzędzie Pracy. Dyrektor cukrowni stara się jakoś ich wyreklamować. Nie wiem, czy to się uda. — Spodziewamy się nowej łapanki i aresztowań.

10 sierpnia

Uporczywie trzyma się straszna wiadomość, jakoby wywiezionych z więzienia w Zamościu rzekomo do Lublina, w rzeczywistości miano rozstrzelać. Nie mogę w to uwierzyć. Jestem pewien, że to plotka, a jednak jestem do głębi poruszony i zgnębiony, bo po barbarzyńcach wszystkiego można się spodziewać. Dużo osób sądzi, że jednak to jest prawda. Ludzie są przygnębieni, znów nie będą nocowali w domu.

Ale często strach ma wielkie oczy. Tak np. robotnicy z cukrowni byli pewni, że wywiozą ich do Niemiec, tymczasem wezwano ich do Urzędu Pracy tylko po to, żeby wręczyć książeczki służbowe zabezpieczające przed łapaniem...

21 sierpnia

Dawno już nie pisałem, bo dni schodziły nam wyjątkowo bezbarwnie, bez żadnych wydarzeń. Plotka o rozstrzelaniu naszych więźniów na szczęście nie potwierdza się, chociaż brak o nich wiadomości bezwzględnie pewnych.

Otrzymałem nowe zarządzenie, ażeby po wyleczeniu nie wypisywać kobiet wenerycznie chorych, lecz zawiadamiać Urząd Pracy w Biłgoraju i czekać na decyzję stamtąd. Dzisiaj właśnie po raz pierwszy przyjechał urzędnik z „Arbeitsamtu" i zabrał ode mnie trzy takie chore. Mają je zaraz wywieźć do Niemiec na roboty.

Wczoraj był u mnie profesor higieny Witold Gądzikiewicz z Warszawy; jechał do znajomych na wieś, na urlop. Bardzo miły starszy jegomość, z którym kilka godzin spędziłem na ciekawej rozmowie. Nie zaprzestał pracy naukowej i pomimo bardzo ciężkich warunków, zwłaszcza aprowizacyjnych, napisał już kilka prac, które będą czekały, aż można będzie je drukować. M. in. opracował nowy podręcznik higieny.

3 września

Po dwóch latach nieprzerwanej, męczącej i wyczerpującej pracy, głównie ze względu na warunki w jakich się ona odbywała, zdecydowałem się na urlop. Musiałem zwrócić się o to drogą służbową do Kreishauptmanna w Biłgoraju. Po pewnym namyśle udzielił mi go na 12 dni. Postanowiłem pojechać do Warszawy, w której nie byłem od chwili wybuchu wojny. Obawiałem się trochę tej wyprawy, bo wiedziałem, że jazda koleją nie należy teraz do przyjemności.

Dnia 24 sierpnia, w niedzielę, wyruszyłem na stację, na pociąg, który miał odejść o godz. 4 min. 50 rano. Publiczności zastałem już bardzo dużo, przy kasie biletowej stał drugi ogonek, lecz nigdzie nie było widać ani jednego kolejarza, biuro stacji zamknięte, z oknami szczelnie zasłoniętymi czarnym papierem. Gdy już minęła normalna pora odejścia pociągu, wszedłem przez wejście służbowe do biura. Dyżurny urzędnik spał na jednym stole, zwrotniczy na drugim. Od urzędnika, którego znałem osobiście, dowiedziałem się, że pociąg utknął w Bełżcu z powodu zepsucia się lokomotywy i może być w Szczebrzeszynie najprędzej za trzy godziny. Wróciłem więc do domu. Po paru godzinach znów pojechałem na stację, lecz po drodze spotkałem ludzi idących z kolei i ci poinformowali mnie, że pociąg został w ogóle odwołany. Jak niepyszny jeszcze raz wróciłem do domu. W południe już po raz trzeci tego dnia udałem się na stację. Sprzedano mi bilet II klasy z zastrzeżeniem, że mogę do niej nie dostać się, jeżeli będą jechać Niemcy. Jakoś doczekałem się wreszcie pociągu i wpakowałem się do przedziału II klasy. Pasażerów było już pełno i musiałem wraz z innymi stać na korytarzu. Na każdej stacji jadących przybywało coraz więcej, zwłaszcza do kl. III. Pociąg szedł bezpośrednio do Chełma, w Rejowcu trzeba było przesiąść się na pociąg idący z Chełma do Warszawy. W Rejowcu wysiadła z naszego pociągu taka chmara ludzi, że wprost nie odważyłem się opuścić naszego wagonu i wraz z kilkoma innymi pasażerami pojechałem dalej w kierunku na Chełm i wysiadłem na pierwszej stacyjce, Zawadówce. Tu doczekaliśmy się pociągu chełmskiego i wsiedliśmy do wagonu II klasy jeszcze nie całkiem zapełnionego. W Rejowcu zaś, przy wsiadaniu działy się niesamowite rzeczy, ludzie pchali się, wymyślali sobie, kłócili, wrzeszczeli, Niemcy z policji kolejowej bili, kto im nawinął się pod rękę. Prawie wszyscy jadący, to handlarze, stale zajmujący się „szmuglem”, obeznani ze wszystkimi sposobami przewożenia towarów, wyjadacze obdarzeni mniejszym lub większym sprytem i zręcznością. Kobiety bodajże stanowiły większość i one to głównie nadawały ton całemu towarzystwu kolejowemu, celując w do-

borze odpowiednich słów i soczystych wyrażeń, dostosowanych do okoliczności.

Czułem się szczęśliwy, że zdobyłem sobie miejsce siedzące, we wspomnianej Zawadówce. Nie ruszyłem się z niego aż do samej Warszawy, a przyjechaliśmy już po północy. W miarę zbliżania się do Warszawy pasażerów przybywało do naszego przedziału coraz więcej, wielokrotnie przewyższając zwykłą normę. Wagony były całkiem ciemne ze względu na OPL i to jeszcze bardziej utrudniało orientację ogólną w przedziale.

Cała Warszawa pogrążona była również w ciemności. Z trudem, przy pomocy jednego ze znajomych, który stale mieszka w Warszawie i teraz jechał razem ze mną, udało mi się znaleźć tzw. rikszę. Jest to wymysł wojenny, wózek rowerowy o 3 kołach na 2 osoby z kierowcą siedzącym z tyłu. Zupełnie ciemne ulice sprawiały dziwne wrażenie, co chwila zadawałem pytanie jaką ulicą jedziemy, bo sam w żaden sposób nie mogłem tego rozpoznać. Wreszcie wymęczony 12-godzinną jazdą w takich warunkach, dostałem się do mieszkania bratanka inż. Jana Klukowskiego przy ulicy 6 Sierpnia.

Nazajutrz od rana zacząłem wędrówkę po Warszawie. Wychodząc z mieszkania zobaczyłem naprzeciwko spalony gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych. Widok pojedyńczych zburzonych lub spalonych domów nie sprawia takiego wrażenia jak całe dzielnice leżące w gruzach, np. na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, ul. Świętokrzyskiej, placu Marszałka Piłsudskiego itd. Obecnie ruiny te są uporządkowane, okna przeważnie zamurowane, ale łatwo sobie wyobrazić jak to wyglądało bezpośrednio po wypadku. Bardzo przykre wrażenie zrobiły na mnie ruiny Zamku Królewskiego.

Kilka razy przejeżdżałem tramwajem przez ghetto. Jest to coś tak dziwnego, że naprawdę trudno jest zrozumieć, żeby coś podobnego można było wymyśleć i zrobić. Rogatki z policjantami polskimi i Niemcami, wysokie mury w poprzek ulicy, czasem mostek drewniany przerzucony od jednego chodnika na drugi, wszystko to zamyka całą dzielnicę niby zapowietrzoną, oddzielając ludność żydowską od aryjskiej. Zgiełk tu panuje straszliwy. Rzuca się w oczy wyjątkowo mała liczba Żydów. Ruch wszędzie bardzo ożywiony, sklepy pełne towarów, tak przynajmniej wydaje się patrzącemu z tramwaju, który przejeżdża całą dzielnicę żydowską bez zatrzymywania się. Podobno śmiertelność panuje tu ogromna, oczywiście wśród najbiedniejszych, którzy żyją w strasznych warunkach.

Jadąc do Warszawy wciąż słyszałem o trudnościach aprowizacyjnych, o bardzo wysokich cenach na produkty spożywcze itd. Rzeczywiście ceny są wygórowane, wiele artykułów jest zupełnie niedostępnych dla ogółu, lecz zasadniczo wszystko można dostać. Sklepy kolonialne są pełne, byle tylko mieć pieniądze. W restauracjach po cenach urzędowych jedzenie jest nawet wcale niezłe, tylko bardzo małe porcje. Poza kartą oficjalną można otrzymać wszystko tak, jak w czasach normalnych, trzeba jednak odpowiednio zapłacić. Najtrudniej jest o tłuszcze, chleb i kasze, za to jarzyn mnóstwo i nawet są znacznie tańsze, aniżeli u nas. W każdym razie mogę powiedzieć, że przez 7 dni, które spędziłem w Warszawie, głodny nie byłem, chociaż wcale tak znów dużo pieniędzy na jedzenie nie wydałem.

Najgorsza jest sytuacja inteligencji i pracowników, żyjących tylko z pensji miesięcznej, bo te są niewspółmiernie niskie w stosunku do panującej drożyzny. Bardzo wiele osób formalnie głoduje, żywiąc się byle czym, zupkami Maggi, jakimiś obiadami komitetowymi itd. Ogół mieszkańców chodzi mniej starannie ubrany niż przed wojną, widocznie ludzie donaszają stare ubrania i obuwie, bo ceny na te rzeczy są nieprawdopodobnie wysokie. Lecz nie brak elegancko i wytwornie ubranych pań i panów, bo też wiele osób sprytnych potrafiło wykorzystać koniunkturę wojenną i ciągnie niemałe zyski z różnych machinacji handlowych i innych.

Dużo ludzi rozmaicie ułatwia sobie życie. Niepomiernie zdziwiły mnie np. zwyczaje tramwajowe. Ogromna liczba pasażerów nie płaci za bilet i konduktorzy wcale nie śpieszą się z pobieraniem opłaty za przejazd. Niektórzy płacą, lecz nie biorą biletów, inni zaś przy wysiadaniu zwracają konduktorowi kupiony bilet. Nie mogłem zrozumieć, co to ma znaczyć, aż ludzie miejscowi objaśnili mnie, że to czyni się celowo, ażeby zmniejszyć dochody dyrekcji tramwajów, ponieważ pewna część ich rzekomo idzie na cele niemieckie. Nikt nie wie z pewnością, czy rzeczywiście tak jest, lecz ogół chętnie korzysta z tych przesłanek i jeździ za darmo.

Najtrudniej jest żyć i utrzymać się ludziom nauki, artystom i innym, pozbawionych zmysłu praktycznego. Na różne sposoby zarabiają na życie, aby tylko przetrwać czas wojny. Tak np. b. rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Włodzimierz Antoniewicz przez kilka miesięcy pracował jako palacz przy centralnym ogrzewaniu w jakimś gmachu szkolnym, obecnie zajmuje bardzo skromną posadę w magistracie. Prof. Henryk Mościcki żył głównie z rozsprzedaży swych książek, teraz otrzymał koncesję wódczaną, znakomity grafik Tadeusz Cieślewski — syn, jest kelnerem w cukierni Puchalskiego na rogu Chmielnej i Zgody. Któregoś dnia specjalnie poszliśmy tam, żeby z nim się zobaczyć. Oczywiście ma już dosyć tej pracy, lecz jest zadowolony, bo przynajmniej ma już jaki taki zarobek, poza tym dorabia jeszcze trochę i grafiką. Równocześnie bardzo dużo pisze, próbuje swych sił i na polu beletrystyki. Podobno rękopisy jego rosną z każdym wolnym dniem i czekają, aż będą mogły ukazać się w druku zaraz po wojnie.

Takich przykładów można by przytoczyć znacznie więcej.

Zetknąłem się z bardzo wieloma dawnymi moimi znajomymi, poznałem też sporo ludzi nowych. Spotkałem b. starostę zamojskiego Pryzińskiego. Przed wojną był rejentem, we wrześniu 1939 r. jako b. pułkownik znalazł się w wojsku, został ciężko ranny w głowę. Pokazywał mi bliznę na czole po przebytej trepanacji czaszki. Obecnie razem z synem prowadzi biuro sprzedaży nieruchomości. Zawsze pewny siebie i jak najlepszej myśli.

Widziałem się też z Zubowiczem, w swoim czasie bardzo popularnym adwokatem w Zamościu i senatorem, obecnie rejentem w Warszawie. Ten znów, jak zwykle, mocno jest przekonany o ważności swej roli w społeczeństwie, wygłasza zdania w sposób apodyktyczny i wyraźnie stara się zaimponować słuchaczowi.

Najwięcej miałem jednak sposobności widzieć się i rozmawiać z ludźmi ze środowiska bibliofilów i zbieraczy.

Oglądałem i podziwiałem wspaniałe zbiory Ludwika Gocla. Są tam książki, pisma, ulotki, ryciny i najrozmaitsze przedmioty dotyczące powstania 1831 r. Jest to zbiór, podług opinii znawców, nie mający sobie równego. Dalej zbiór exlibrisów prof. Tadeusza Wolskiego, bardzo bogaty i stale uzupełniany. Odwiedziłem też i dra Konopkę. Ten znów ma bardzo piękny zbiór książek z zakresu historii medycyny, poza tym i inne kolekcje. Wszystko to w największym porządku, skatalogowane, posegregowane, odpowiednio ułożone. Najwięcej jednak zaimponował mi zebranymi przez siebie materiałami do polskiej bibliografii lekarskiej, obejmującej już przeszło pół miliona kartek. Jest to rzadki fenomen, zdumiewający swoją benedyktyńską pracą.

Płk. Englert, dyrektor archiwum miejskiego, oprowadzał nas po arsenale i pokazywał całe archiwum wzorowo utrzymane, pomimo wojennych warunków. Ma również bardzo ładne prywatne zbiory, m. in. gromadzi pamiętniki i oglądając je mogłem stwierdzić, że jednak mój zbiór jest co najmniej dwa razy bogatszy.

Byłem też na kolejnej 49 środzie bibliofilskiej u Stefana Rygla. Tu co środa schodzą się bibliofile dla wspólnej pogawędki. Tego dnia zebrało się chyba z 15 osób: Marian Gumowski, numizmatyk, Stanisław Dąbrowski historyk kultury, sztuki, teatru, grafik, reżyser itp., Królikowski dyrektor szkoły graficznej, Adam Englert dyr. Archiwum Miejskiego, Słonecki art. malarz, Adam Solecki numizmatyk, Ludwik Gocel, Wdowiszewski, Gieysztor, Kram, Ciołek, inż. Gerquin, dr Konopka.

W dużym albumie każdy z uczestników ma sobie poświęconą kartę. Są tu fotografie, exlibrisy, bilety wizytowe, rysunki, autografy itd. Oprócz tego każda środa ma swoją osobną kartę, w której wpisane są zasadnicze tematy rozmów i podpisy wszystkich obecnych. Ostatnia środa poświęcona była mojej osobie. Dąbrowski wykonał monotyp z literami Z. K., a ja musiałem coś tam napisać. Parę godzin zeszło mi w nadzwyczajnie przyjemnej atmosferze, od której zupełnie odzwyczaiłem się w Szczebrzeszynie.

Odwiedziłem też mjra Wszelakiego, komendanta szpitala, do którego byłem przydzielony we wrześniu 1939 r. Długo rozmawialiśmy na temat wspólnych przejść w tym nadzwyczajnie ciężkim dla nas okresie. Opowiadał mi o dalszych losach szpitala od chwili, gdyśmy się rozstali. Wiele rzeczy przedstawił zupełnie inaczej aniżeli mi to opowiadał Bohun [1]), po powrocie do Szczebrzeszyna. Przede wszystkim o samym Bohunie wyraził opinię bardzo niepochlebną, mówiąc dosadnie, że „po wojnie będzie wisiał, bo obrabował nas" w krytycznym momencie, zabierając konie i wozy szpitalne i uciekając wraz z kilkoma innymi. A Bohun chwalił mi się swoimi bohaterskimi wyczynami i dwoma awansami, jakie zdążył w ciągu tego czasu otrzymać.

---

[1]) Bohun, pseud. „Gromski", był podczas okupacji niemieckiej nauczycielem szkoły powszechnej na wsi niedaleko Szczebrzeszyna i brał czynny udział w organizacji. Gdy go Niemcy przyszli aresztować, stawiał czynny opór strzelając do nich i został wówczas zabity. Nie wdaję się dziś w roztrząsanie, czy przytoczona o nim opinia mjra Wszelakiego jest słuszna. Podaję ją jednak, ponieważ tak mam zapisane w swym dzienniku kreślonym doraźnie i nie chcę nic zmieniać pierwotnego tekstu.

13 września, płka Maszadry, szefa sanitarnego armii, wraz ze świtą. Teraz dopiero widzimy, jak mało i źle byli oni poinformowani co do ogólnej sytuacji i co do poszczególnych ludzi. Opowiadali np. jako o fakcie, że Tadeusz Korniłowicz zginął od bomby lotniczej na ulicy w Lublinie, tymczasem znajduje się on w niewoli, ubolewali nad stratą takiego chirurga jak płk Tadeusz Sokołowski, który miał ponieść śmierć również od bomby w Warszawie na terenie swojego szpitala, a on przebywa w Anglii itd. Tak mi przynajmniej teraz mówiono o losie Korniłowicza i Sokołowskiego. Z lekarzy, z którymi byliśmy razem w szpitalu wojskowym, zginął chirurg Witkowski, w jednym z obozów niemieckich umarł dr Wroński, ginekolog z Radomia. Całe archiwum i kancelaria szpitala zostały zniszczone, odtworzenie więc historii jego krótkiego istnienia będzie możliwe tylko na podstawie opisów niektórych uczestników. Z pewnością będzie w nich dużo sprzeczności, o czym sądzę z rozmowy z mjr. Wszelakim, który wiele momentów przypomina sobie i przedstawia nieco inaczej aniżeli ja to robiłem, pisząc swoje notatki na gorąco, dzień po dniu. Tak np. twierdzi on, że w chwili, gdy szpital miał opuszczać Włodzimierz, wydał rozkaz demobilizacji z poleceniem powrotu do domu mnie i dr Modzelewskiemu z Zamościa. W rzeczywistości jednak tak nie było, bo to nie był rozkaz, lecz tylko propozycja, z pozostawieniem wolnego wyboru, zależnego od nas samych. I dlatego właśnie powzięcie ostatecznej decyzji tak drogo mnie wówczas kosztowało.

Widziałem się jeszcze z Janem Gadomskim, adwokatem, i bratem jego Jerzym, b. kuratorem lwowskim, moimi dawnymi kolegami z czasów moskiewskich. Przypominaliśmy wspólny okres naszego życia w Moskwie. Pozostawiłem im do przejrzenia i ewentualnego uzupełnienia moje „Wspomnienia z Moskwy". Kto wie, czy nie zbierze się odpowiedni materiał na wydanie po wojnie dużej księgi zbiorowej o Moskwie.

Spędziłem w Warszawie pełnych 7 dni i kapitalnie odpocząłem i odżyłem duchowo. Zaimponowała mi Warszawa swoją postawą wobec okupantów, z których mało co sobie ludzie robią. W każdym razie znacznie mniej, aniżeli u nas na prowincji, gdzie terror zgnębił wszystko i wszystkich. Prasy nielegalnej mnóstwo, dosłownie codziennie są świeże komunikaty, podawane z rąk do rąk nawet bez nadzwyczajnych ostrożności. Najnowsze wiadomości radiowe notowane są kilka razy dziennie. Wszędzie, nie wyłączając tramwajów, kawiarń, ulicy, sklepów, głośno mówi się o niedługim już panowaniu Niemców, o ich niechybnej klęsce. Bardzo wielu ludzi nie myśli już tylko o „przetrzymaniu" wojny i okupacji, jak jeszcze przed kilkoma miesiącami, lecz poważnie przygotowuje się do pracy, która ich czeka zaraz po wojnie. Profesorowie piszą podręczniki i różne dzieła naukowe, pisarze wykańczają swe utwory beletrystyczne, na które z niecierpliwością oczekują nakładcy i dają nawet zaliczki, oceniając należycie prawdziwy głód książki wśród całego społeczeństwa, pozbawionego w ciągu pełnych dwóch lat dopływu świeżej literatury. Robota przygotowawcza wre w najrozmaitszych dziedzinach. Widziałem np. dużą pracę napisaną na zamówienie przez mego bratanka inżyniera, dotyczącą polityki mieszkaniowej w ostatnich 20 latach, przewidującą zawczasu planowe ujęcie zagadnienia zaraz po wojnie w odpowiednie ramy.

pagandowe, które mają duży wpływ na szerokie masy ludności i świadczą o tym, że pomimo straszliwego terroru, ogół społeczeństwa, z małymi wyjątkami, zachowuje postawę zdacydowanie odporną i nieprzejednaną w stosunku do Niemców. Wszędzie, wprost na każdym kroku, widzimy wypisaną przez Niemców literę „V", jako symbol ich zwycięstwa („Victoria"). Zjawiły się zaraz przy tej literze różne dodatki, najczęściej „Deutschland „V"eloren", na słupach tramwajowych widziałem karteczki z pięknie wydrukowanym zdaniem: „Sojusz polsko-sowiecki to rękojmia zwycięstwa nad Hitlerem", na plakatach propagandowych przedstawiających strącanie przez bolszewika figury Chrystusa z krzyża, widnieją nalepki lub stemple z objaśnieniem: „Tak wygląda pomnik Chrystusa-Króla w Poznaniu", gdzie, jak wiadomo, Niemcy zniszczyli ów pomnik niedawno postawiony. W pobliżu kin, zasadniczo bojkotowanych przez szanującą się publiczność, czytamy takie sentencje jak „Tylko świnie siedzą w kinie", albo „Swołocz-dziewczyna z Niemcem zaczyna" itp.

Odniosłem wrażenie, że Warszawa, z bardzo małymi wyjątkami, a wyrzutków w żadnym społeczeństwie nie brak, zachowuje postawę doskonałą i nawet najwięksi pesymiści nie mają już wątpliwości, jaki będzie ostateczny wynik wojny. Ludzie spierają się jedynie o to, kiedy to nastąpi. Równocześnie można zauważyć, wyraźnie zaznaczające się, objawy rozpoczynającego się rozkładu w armii niemieckiej. Przede wszystkim oficerowie i żołnierze coraz więcej piją, wieczorami często słychać awantury, hałasy, a nieraz i okrzyki „Deutschland kaput". W pobliżu koszar odbywają się całe targi, gdzie od żołnierzy można kupić nie tylko tak jak dawniej, jakieś przedmioty zrabowane na okupowanych terenach, np. kawę, herbatę, bieliznę, biżuterię, pledy, patefony itp., lecz i poszczególne części ekwipunku żołnierskiego, koce, płaszcze, nieprzemakalne peleryny, rowery, a nawet pistolety. Wszystko to za bezcen. Coraz częstsze są wypadki dezercji tak oficerów, jak i żołnierzy, oraz scysje wojskowych z gestapowcami.

Suma wrażeń, jakich doznałem w Warszawie, sprawiła, że wracałem do domu duchowo odnowiony, w jak najlepszym nastroju, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek umocniony w swej wierze w nieuniknioną klęskę Niemców. Psuł mi jedynie humor przedsmak powrotnej drogi koleją. Rzeczywiście była ona okropna. Najprzód kolejką elektryczną pojechaliśmy z żoną na dworzec Zachodni, gdzie łatwiej jest dostać się do wagonu. W kasie sprzedano mi bilety III klasy zaznaczając, że dla Polaków II klasy nie ma. Na Dworcu Głównym można nabyć bilety II klasy, lecz nie ma się pewności, czy się będzie nią jechało, bo to zależne jest od liczby jadących Niemców. Wepchnęliśmy się jakoś do wagonu i zdobyliśmy nawet miejsca siedzące. Wyjechaliśmy o północy spóźnionym pociągiem w ciągłej obawie, że w Rejowcu nie złapiemy pociągu i trzeba będzie cały dzień czekać tam na następny. Ścisk w przedziale na każdej stacji stawał się coraz większy, nie można nawet nogą poruszyć i trzeba było siedzieć zdrętwiałym, przygniecionym ciężarem tłoczących się pasażerów i ich bagażu. Do Rejowca dojechaliśmy z opóźnieniem przeszło 2-godzinnym, lecz na szczęście pociąg z Chełma na Bełżec jeszcze czekał i zdążyliśmy się przesiąść. Do wagonu dostaliśmy się z wielkim trudem i sta-

liśmy aż do Zawady. W południe byliśmy w domu. Żadnej rewizji po drodze w naszym wagonie nie było. Ja dojechałem cało, żona miała porwany płaszcz i pończochy.

6 września

Po powrocie z Warszawy pojechałem na 3 dni na wieś, do Widniówki, do pp. Siemiątkowskich. Tu najzupełniej zapomina się o wojnie, błogi spokój, żadnych widomych znaków okupacji. Gdy wróciłem do domu, od razu owiała mnie, zwykła u nas, przygnębiająca atmosfera.

Na wstępie dowiedziałem się, że umarł w Oświęcimiu Tomasz Kietliński, inspektor lasów O. Z., aresztowany w Zwierzyńcu 1. VI. br., w Biłgoraju zaś aresztowano inspektora samorządu Hulaka, jak twierdzą, za zorganizowanie zbiórki na rzecz rodziny pozostałej po kimś zmarłym w obozie dla internowanych. O aresztowanych w Szczebrzeszynie drze Likowskim, medyku Cieleckim, Kobielskim i in. są nowe wiadomości potwierdzające dawne pogłoski o ich rozstrzelaniu. Są to potworne rzeczy, w które trudno uwierzyć.

Od jutra zarządzono 5-tygodniowe ćwiczenia OPL dla drużyn ratowniczych, sanitarnych i przeciwpożarowych. Widocznie liczą się z tym, że mogą być jeszcze potrzebne. Nastrój ogólny u nas pomimo wszystko, bardzo dobry. Większość ludzi sądzi, że Niemcy zimy nie wytrzymają, że się załamią. Mnie osobiście też tak się zdaje, tylko czy my wytrzymamy??

13 września

W Oświęcimiu umarł nadleśny O. Z. Michalik, aresztowany w Zwierzyńcu 1. VI. br.

Z więzienia w Lublinie wypuszczono felczera Sawica ze Szperówki i Ribenbauerową ze Zwierzyńca, a dziś rano wrócił do Szczebrzeszyna z obozu w Dachau, Grzeszkowiak, wysiedlony poprzednio z Wągrowca, aresztowany przeszło rok temu.

15 września

Sprawdziła się straszna wiadomość o rozstrzelaniu w Zamościu około 20 zupełnie niewinnych ludzi. Nie mamy już żadnej wątpliwości. Na dzisiaj Gestapo wezwało do Zamościa żony niektórych aresztowanych i tam oświadczono im oficjalnie, że mężowie ich zostali rozstrzelani za działalność na szkodę państwa niemieckiego i sabotaż.

Ze Szczebrzeszyna zostali straceni:

1) Dr Władysław Likowski, lat 54, lekarz powiatowy w Wągrowcu, wysiedlony stamtąd wraz z całą rodziną do Szczebrzeszyna w grudniu 1939 roku.

2) Zdzisław Cielecki, lat 24, student medycyny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

3) Jan Kobielski, lat 30, urzędnik prywatny z Warszawy, obecnie zatrudniony w fabryce chemicznej brata swego Stanisława, w Brodach Małych.

4) Ksawery Leszczyński, dowborczyk, kasjer magistratu.

5) Lucjan Drozd, sekretarz Sądu Grodzkiego.

6) Piasecki, kierownik hurtowni spółdzielczej.

7) Brzesciński, milicjant miejski.

8) Mrozowski, szklarz.

9) Józef Waszczuk, lat 75, emerytowany furman szpitalny.

10) Jan Borucki, burmistrz m. Szczebrzeszyna.

11) Buhaczkowski, magister farmacji, właściciel składu aptecznego.

Z Zamościa rozstrzelani zostali: burmistrz m. Zamościa Michał Wazowski i jego 15-letni syn, uczeń gimnazjum oraz ks. Gomółka. Reszty nazwisk jeszcze nie ustaliłem.

Mimo woli przychodzi mi do głowy myśl, że gdybym był w dniu aresztowania 1. VI. w ostatniej chwili nie wyrwał się z rąk oprawców, to prawdopodobnie podzieliłbym z nimi ten sam los...

Lecz kto wie, co mnie jeszcze czeka?!

24 września

Zeszło już bez mała 10 dni i nic nie pisałem. Nie miałem nic do zanotowania, tylko wciąż jedno i to samo, kto został aresztowany, kogo szukają, kto umarł w obozie itd.

Oczywiście nie wiem o wszystkich aresztowanych, nie znam ich nazwisk, dowiaduję się tylko o niektórych. W Zamościu aresztowano przedstawiciela cukrowni Klemensów, Przegalińskiego, w Sułówku właściciela młyna Hajera, który był prezesem Spółdzielni Mleczarskiej w Szczebrzeszynie, w Tarnogrodzie starego Oleńskiego, obrońcę sądowego i jeszcze kilka osób, w tym dwóch lekarzy. Wczoraj wieczorem w tutejszym magistracie żandarmi zażądali spisu ludności i w ciągu $1^1/_2$ godziny coś wynotowywali. Stąd możemy wnosić, że należy spodziewać się nowych aresztowań. Każdy zadaje sobie pytanie, na kogo teraz padnie los?...



Wczoraj przez Szczebrzeszyn przeprowadzono 600 jeńców radzieckich. Obserwowałem ich z bliska. Wyniszczeni, wymizerowani i zmęczeni, lecz nie tak znów krańcowo, jak to opowiadają. Na noc ulokowano ich w barakach wojskowych w Szczebrzeszynie. Ludność miasta, tak chrześcijańska jak i żydowska, zaczęła znosić im jedzenie i to nawet w dużych ilościach. Jednemu z jeńców, Żydowi, udało się uciec.

Z Oświęcimia nadeszła wiadomość, że umarł tam Sierpiński, b. komendant Policji Polskiej w Zwierzyńcu.

30 września

Przeżyliśmy kilkanaście godzin pełnych niepokoju i trwogi. Wczoraj około godziny 6 po południu dano mi znać, że kilkoma dużymi samochodami przyjechali żandarmi i gestapowcy. Byliśmy pewni, że na jakąś większą obławę. Wielu ludzi na noc wyszło z domów, dużo nie kładło się spać. W nocy słyszeliśmy szybkie kroki żandarmów przechodzących kilka razy koło szpitala, latarkami świecili w okna, czytali szyld i tablice ostrzegawcze przed tyfusem. Wyjechali dopiero dzisiaj w południe, uwożąc ze sobą sporą grupę aresztowanych.

Ze Szczebrzeszyna zabrali tylko jednego Romanowskiego, fryzjera, człowieka niezupełnie normalnego pod względem umysłowym, typową tzw. ofermę.

Poza tym aresztowali:

Ks. Masztalerza, proboszcza w Mokrem Lipiu. Szukano wikarego, lecz ten zdążył ukryć się;

Gałęzowskiego, młynarza w Zakłodziu, znanego z hucznych zabaw i przyjęć;

Płanetę, oficera rezerwy, zatrudnionego w gminie w Radecznicy;

dr Gawlika, b. nauczyciela języka niemieckiego w kolegium serafickim, obecnie tłumacza przy gminie w Radecznicy;

Nowosińskiego, dyrektora tartaku ordynackiego w Zwierzyńcu, pepesowca, b. więźnia politycznego i Sybiraka sprzed wielkiej wojny;

Latomskiego, dyrektora fabryki mebli w Zwierzyńcu.

Poza tym wzięto w Zwierzyńcu dwóch braci Wysockich, Roga, właściciela małej kawiarenki i Wandzio, b. lokaja ordynata, obecnie prowadzącego małą restaurację.

Oprócz tego aresztowano bardzo dużo chłopów z okolicznych wsi, lecz nie znam ich nazwisk.

Podobno wszędzie wzmogła się fala aresztowań. Łapią ludzi i wywożą na roboty do Niemiec.

Wszyscy mamy wrażenie, że Niemców spotkało jakieś poważniejsze niepowodzenie na froncie lub może otrzymali jakieś nowe wiadomości o armii polskiej w Rosji i te aresztowania są reakcją z ich strony. Tak przynajmniej już nieraz bywało w ostatnich czasach, lecz są to tylko przypuszczenia.

4 października

Wczoraj przechodziła znów większa partia jeńców radzieckich, około 15.000 ludzi. Były to szkielety, cienie ludzkie, poruszające się ostatnim wysiłkiem. Czegoś podobne nigdy nie widziałem. Ludzie padali na szosie z wyczerpania, silniejsi podejmowali ich i ciągnęli, trzymając pod ręce. Były to zgłodniałe zwierzęta, nie ludzie. Rzucali się nawet na ogryzki jabłek leżące w rynsztokach, bito ich przy tym pałkami niemiłosiernie. Gdy ktoś z tłumu rzucił im jakieś jabłko lub kawałek chleba, to wszczynała się formalnie bójka o to, przewracali się, wyrywali sobie z rąk i tłukli nawzajem. Niektórzy żegnali się, składali błagalnie ręce prosząc o ka-

wałek chleba. Lecz żołnierze z konwoju byli nieubłagani. Pałkami odpędzali publiczność, strzelali w powietrze dla postrachu i bili nieszczęsnych jeńców bez miłosierdzia, bez litości. Na końcu, na kilku furmankach jechali ci, którzy o własnych siłach nie mogli już się ruszyć, pomimo bicia. Byli to prawie umierający, błędnym wzrokiem wodzili dookoła i tylko wyciągali ręce, żebrząc jedzenia. W ogóle widok był okropny, przerażający. Do tej chwili nie mogę zapomnieć ani przytłumić wrażenia. Znęcać się w tak wyrafinowany sposób, zagładzać na śmierć tysiące ludzi, potrafią chyba tylko jedni Niemcy. Ta partia jeńców nocowała również w Szczebrzeszynie w barakach wojskowych, jak i poprzednia, lecz obchodzono się z nimi znacznie gorzej. Tylko w drodze wyjątku pozwolono ludności dać im coś do zjedzenia. Podobno było wśród nich sporo Polaków. Dziś rano poprowadzono ich dalej, w stronę Zamościa.

5 października

Po południu znów przechodziła duża partia jeńców. Przy niedzieli zebrało się na ulicach znacznie więcej ludzi niż zwykle, wielu miało przygotowane do rozdania jabłka, chleb i inne jedzenie. Zawczasu ułożono to po brzegach szosy długim sznurem, żeby nie narażać się potem przy rzucaniu. Żołnierze z konwoju zaczęli strzelać i odpędzać publiczność, jeńcy rzucali się na jedzenie nie bacząc, że ich za to strasznie bito pałkami. Powstało zamieszanie i Niemcy wstrzymali cały pochód. Zmusili ludność do zebrania z szosy ułożonego jedzenia. Pozwolili potem złożyć wszystko na ostatniej furmance obiecując, że na postoju sami rozdadzą to jeńcom.

Wśród publiczności polskiej, nie mówiąc już o Żydach, najwyraźniej przebijała się sympatia i współczucie dla jeńców. Wygląd ich i stan poruszał nawet najbardziej zatwardziałych ludzi. Widok tych zgłodniałych ludzi-zwierząt nie dawał mi spokoju, wytrącał z równowagi, odpędzał sen.

12 października

W ubiegłym tygodniu przeszła tylko jedna partia jeńców. Strzelania było jeszcze więcej niż zwykle. Po noclegu w Szczebrzeszynie wyruszyli dalej, zabierając ze sobą trzech konających. Zmarli oni na odcinku pomiędzy Szczebrzeszynem a cukrownią i pochowani zostali przy samej szosie. Mówił mi burmistrz, że jeńcy dostają na dzień 1 kg chleba i trochę marmolady. Nic więcej, żadnej zupy lub czegoś gorącego. Prawie z każdej partii ktoś uciekał.

Wypuszczono z więzienia w Lublinie dyr. Nowosińskiego i dyr. Latomskiego ze Zwierzyńca.

Wszyscy z napięciem śledzą przebieg operacji wojennych na wschodzie. Co będzie dalej, jeżeli Niemcom uda się rzeczywiście zniszczyć całą potęgę militarną Sowietów? A obiecują to uczynić jeszcze przed nadejściem zimy.

15 października

Rozlepiono nowe obwieszczenia, że chodzić można tylko do 9 wieczór i od 5 rano. Nie wiemy, czy to są jakieś obostrzenia specjalne, czy też zwykłe zarządzenia na okres zimowy. Zaciemnianie okien też jest teraz ściślej przestrzegane.

16 października

Zjawiła się dziś u mnie delegacja od Judenratu w dość dziwnej sprawie. Mianowicie prosili mnie o interwencję u władz w Biłgoraju, żeby do Szczebrzeszyna nie wyznaczano żadnego lekarza Żyda, bo Żydzi wcale sobie tego nie życzą. Chodzi o to, że jeżeli w miasteczku jest lekarz Żyd, to już nikomu z lekarzy aryjczyków nie wolno udzielać porad chorym Żydom, a oni widocznie nie mają zaufania do swoich współwyznawców, zwłaszcza osadzonych przymusowo.

17 października

Dzisiejszej nocy umarł nagle na serce dr Bolesław Modzelewski w Zamościu, jeden ze starszych kolegów, znany ginekolog, bardzo popularny obywatel m. Zamościa. Chociaż znałem go przeszło 20 lat, nigdy nie łączyły mnie z nim bliższe stosunki. W czasie obecnej wojny, we wrześniu 1939 r., zostaliśmy przydzieleni do tego samego szpitala wojskowego, przez cały czas mieszkaliśmy w jednym pokoju i potem wędrowaliśmy razem po opuszczeniu szpitala aż do Hrubieszowa. Od tego czasu już go więcej nie widziałem.

W obozie internowanych umarł Zygmunt Syrek, b. nauczyciel Semin. Nauczycielskiego w Szczebrzeszynie, ostatnio nauczyciel gimn. w Zamościu, poza tym umarli Żółciński i Stasiak z Zamościa. W nieskończoność ciągnie się lista ofiar.

20 października

Obchodziłem dzisiaj 22 rocznicę objęcia szpitala w Szczebrzeszynie. Wcale ładny kawał czasu. Już drugą wojnę przeżywam na jednym miejscu.

23 października

W powiecie szerzy się w niepokojący sposób tyfus plamisty, zwłaszcza wśród Żydów. Do szpitala przybywa ich coraz więcej. Władze niemieckie zarządziły konferencję u mnie w szpitalu, dla obmyślenia środków zaradczych, z udziałem lekarzy, burmistrza, komendanta policji i Judenratu, pod przewodnictwem lekarza powiatowego dra Snackiego. Zjawił

się też i nowy lekarz, Żyd, przysłany do Szczebrzeszyna, dr Bołotny. Z rozkazu starosty, Judenrat ma się zająć natychmiast uruchomieniem łaźni. Wszyscy Żydzi mają ostrzyc włosy i zgolić brody, tak jak to zrobiono w Biłgoraju. Opornych czeka surowa kara. Ma być zaprowadzona kontrola kąpieli, odwszawiania itp. W ogóle zarządzenia są bardzo ostre. Ciekaw jestem, czy będą przestrzegane. Trochę w to wątpię.

Od pewnego czasu wciąż mówi się u nas o zamierzonym jakoby wysiedlaniu stąd wszystkich Polaków za Bug, daleko na wschód. Słyszałem to dzisiaj z ust dość autorytatywnych. Ile w tym jest prawdy, pokaże przyszłość. W każdym razie jesteśmy tym mocno zaniepokojeni, bo przecież po Niemcach wszystkiego można się spodziewać. Nowa niepewność jutra ujemnie wpływa na bardzo wielu ludzi, zniechęcając ich do wszelkiej pracy. Odczuwam to poniekąd i na sobie.

Wszystkich aresztowanych niedawno w Tarnogrodzie, w tym dwóch lekarzy, Wojciechowskiego i jeszcze jednego, wypuszczono na wolność. Zatrzymano tylko nauczyciela.

W Oświęcimiu umarł Tadeusz Burzmiński, długoletni sekretarz Wydziału Powiatowego w Zamościu, jeden z najpopularniejszych ludzi w powiecie.

2 listopada

Już 10 dni nic nie pisałem, tak jednostajnie płynie nam teraz życie. Z ważniejszych wydarzeń można chyba zanotować to, że tyfus plamisty rozszerza się w dalszym ciągu. Musimy czasem kłaść po dwóch chorych na jednym łóżku. W okolicy zachorowało kilku lekarzy, w Komarowie dr Kuczyński, w Zamościu dr Rozenbusz-Szpigelglas, w Tyszowcach dr Atlas i jeszcze jeden lekarz Żyd w Goraju.

Od kilku dni zaczęła się kampania w cukrowni Klemensów. Opowiadano mi, że Niemcy zabierają dziennie 2 wagony wytłoków i karmią nimi jeńców radzieckich.

6 listopada

Przed dwoma dniami przyszedł komendant żandarmerii i pytał, gdzie znajduje się rodzina mojego b. praktykanta Cieleckiego, lecz nie powiedział po co potrzebna mu ta wiadomość. Zaraz potem był u doktorowej Likowskiej i wręczył jej za pokwitowaniem drobiazgi pozostałe po mężu. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że zostali oni rozstrzelani, a tak trudno w to uwierzyć!

Upadł dziś pierwszy śnieg. Na dworze zimno, błoto i najchętniej każdy siedzi w domu. O zimie wszyscy myślą ze strachem z powodu braku opału. Dochodzą nas głuche wieści, że Niemcy na froncie dotkliwie odczuwają rosyjską zimę i że do Warszawy przychodzą całe transporty żołnierzy niemieckich z odmrożonymi kończynami. Stugębna plotka mówi o nieuchronnej i rychłej wojnie z Ameryką.

8 listopada

Wczoraj rozeszła się w mieście pogłoska, że ubiegłej nocy wysiedlono mieszkańców osady Skierbieszów i kilku sąsiednich wsi powiatu zamojskiego. Nic pewnego nie wiedzieliśmy, lecz ogarnął ludzi pewien niepokój. Dziś stało się wiadome, że to jednak prawda i że dzisiejszej nocy wysiedlono gospodarzy — Polaków z Sitańca, Białobrzegów i innych wsi w pobliżu Zamościa. Po południu chłopi w Niedzieliskach, położonych o 7 km od Szczebrzeszyna, otrzymali zawiadomienie, że nie wolno im ruszyć się z miejsca i mają być gotowi do ewentualnego wysiedlenia. Wszystkie te wiadomości wywołały w miasteczku formalny popłoch, ludzie zbierali się na ulicach i tylko o tym mówili. Wiele osób na gwałt zaczęło się pakować, ażeby mieć wszystko gotowe na wypadek nagłego wysiedlenia w nocy. My też zebraliśmy cieplejsze i ważniejsze rzeczy, żeby mieć je pod ręką. Największą troskę stanowią dla mnie moje rękopisy, z którymi za nic nie chciałbym się rozstać. W każdym razie zapanował taki nastrój, że nikt nic nie chce robić. Wszyscy zadają sobie pytanie, czy warto coś zaczynać, jeżeli „wisimy" tu na włosku. Nawet w szpitalu daje się to odczuć. Mnie zaś ogarnia szał pisania i chcę możliwie jak najdalej posunąć swoje wspomnienia z Zamojszczyzny, w nadziei, że może jakoś uda mi się je przechować. W każdym razie nastrój fatalny, tym bardziej, że na dworze zimno, pada ni to deszcz ni to śnieg i wiatr rwie na wszystkie strony. A wysiedlają zawsze w nocy i na spakowanie rzeczy dają bardzo mało czasu.

Przed paru dniami wyjechała ze Szczebrzeszyna cała policja niemiecka, tzw. „granatowcy", w pełnym rynsztunku. Dokąd? — nie wiemy. Niektórzy sądzą, że na front, do wojska, a może do roboty przy wysiedlaniu.

Wypuszczono z więzienia ks. Masztalerza, młynarza Gałęzowskiego, prof. Gawlika i Płanetę.

9 listopada

W dalszym ciągu mówi się tylko o wysiedleniu. Ludzie wymieniają coraz to nowe nazwy wsi, z których rzekomo miano już wszystkich wysiedlić, czego dotychczas nie zdołałem sprawdzić. Plotek krąży mnóstwo i pomimo tak bliskiego sąsiedztwa z Zamościem nie możemy dowiedzieć się nic pewnego. Każdy zastanawia się, kiedy na niego przyjdzie kolej. Gospodarze przewożą rzeczy z okolicznych wsi do znajomych lub krewnych w Szczebrzeszynie, lecz i tutejsi mieszkańcy czują się bardzo niepewnie, zwłaszcza wobec pogłoski, że nawet sam Zamość jest zagrożony.

Nastrój jest więc fatalny, optymiści pocieszają się jednak, że Niemcy nie zdążą już przeprowadzić swych okrutnych planów zniszczenia i zrujnowania wszystkich Polaków, bo ich własna sytuacja pogarsza się z każdym dniem. Niemcy sami coraz częściej o tym mówią.

Mam w szpitalu duże zmartwienie, bo zachorował na tyfus plamisty intendet Ludwik Adamski. Pracuje u mnie zaledwie kilka miesięcy, od czasu ucieczki Cichońskiego. Jest to oficer rezerwy, ma lat 30 i pomimo

tak młodego wieku przebieg choroby zapowiada się bardzo ciężko i stan chorego wzbudza poważne obawy.

10 listopada

Zgłosił się do mnie z prośbą o opatrunek młody chłopiec z Przedmieścia m. Szczebrzeszyna, Jan Radziszewski. Był zabrany przez Niemców z wozem i z końmi i pod Kijowem został ciężko ranny. Ma amputowaną prawą rękę i kawałek stopy.

Szerzą się pogłoski o wysiedlaniu. Mówią już nawet i o Szczebrzeszynie. Ludzie w dalszym ciągu pakują się, zbierają najpotrzebniejsze i najcenniejsze rzeczy.

11 listopada

Od rana już było wiadome, że na niespodziewany rozkaz z góry, dalsze wysiedlanie zostało wstrzymane. Nastąpiło jakby odprężenie, lecz ludzie boją się podstępu. Opowiadają dużo o tym, jak Niemcy obchodzą się z wysiedlonymi, o zabieraniu butów nawet dzieciom, o warunkach w jakich trzymają ludzi w koszarach w Zamościu, o umieraniu dzieci itd. Ile w tym prawdy — nie wiemy.

12 listopada

Mam lekką grypę, leżę w łóżku. Z zewnątrz dochodzą mnie wiadomości skąpe i niepewne. Mówią, że chłopi z zagrożonych wsi zacięli się, zaczęli wszystko niszczyć, zabijać żywy inwentarz, polewać naftą kartofle i zboże itd., żeby tylko nic nie zostawić Niemcom i porzucili swoje rodzinne zagrody. Niektórzy sądzą, że taka postawa chłopów może i była przyczyną chwilowego wstrzymania dalszego wysiedlania.

14 listopada

Stan mojego intendenta jest bardzo groźny. Ratujemy go wszelkimi możliwymi sposobami, ale nadziei utrzymania go przy życiu mamy coraz mniej.

Niemieccy „granatowcy" powrócili jednak do Szczebrzeszyna. Okazuje się, że jeździli wysiedlać. Do akcji pomocniczej Niemcy użyli kolonistów niemieckich z Brodów Dużych. Coraz ich więcej przyznaje się do narodowości niemieckiej, bo to daje im duże korzyści materialne.

Do składów w Zawadzie Niemcy zwożą nowe duże transporty bomb lotniczych. Co to ma znaczyć?

O wysiedlaniu, pomimo wstrzymania akcji, mówi się nieustannie. Zastanawia wszystkich to, że zupełnie nie ma mowy o wysiedlaniu Żydów.

21 listopada

Przechodzi dzień za dniem szaro, jednostajnie i nie mam chęci nototować codziennych, nic nie znaczących, wydarzeń. A gdybym chciał spisywać ludzkie plotki i gadania, to pamiętnik mój objąłby już grube tomy. Najbardziej aktualną u nas sprawą wciąż jeszcze jest ewentualne wysiedlanie. O tym mówi się najwięcej, chociaż równocześnie ludzie twierdzą, że zostało ono wstrzymane na czas nieograniczony. Niepewna stała się sytuacja Żydów, zebrali ich trochę w areszcie miejskim i mają dokądś wywieźć.

Do gminy Zwierzyniec przyszło zawiadomienie, żeby wykreślić z księgi ludności Jana Kobielskiego, do zarządu m. Szczebrzeszyna takież zawiadomienie o drze Likowskim, medyku Cieleckim, Drozdzie, Leszczyńskim, Piaseckim, Waszczuku, Boruckim, Buhaczowskim, Brześcińskim i Mrozowskim.

25 listopada

W sobotę 22. XI. obchodziliśmy w szpitalu pewną uroczystość, z powodu przyjęcia w tym roku tysiącznego chorego, czego za moich czasów nigdy jeszcze nie było. Nazajutrz nagle zachorowałem. Ku zdziwieniu i mojemu i kolegów okazało się, że mam dyfteryt, co w moim wieku zdarza się bardzo rzadko. Przez dwa dni czułem się źle, dziś już trochę lepiej i dlatego piszę.

Wczoraj nadeszła telegraficzna wiadomość, że w Oświęcimiu umarł Feliks Wiatrowski, rzeźnik ze Szczebrzeszyna, jeden z aresztowanych w czerwcu br.

Dziś rano w magistracie zjawił się niemiecki inspektor szkolny i zażądał pokazania mu biblioteki miejskiej oraz katalogu. Ale burmistrz Kraus wkrótce po objęciu urzędowania usunął z niej wszystkie książki treści „podejrzanej". Obawiałem się, że może przyjść obejrzeć i moją bibliotekę.

1 grudnia

Zaczynam pomału poprawiać się, lecz będę musiał jeszcze dość długo leżeć, żeby doprowadzić serce do jakiej takiej normy. Jestem zupełnie odseparowany od ludzi, mało wiem co się dzieje nawet na naszym terenie. Wiadomości dochodzą do mnie bardzo skąpe i tylko przygodnie.

Z więzienia w Lublinie wypuszczono nareszcie plenipotenta O. Z. Dębczyńskiego. Z Oświęcimia powrócił, po stosunkowo niedługim tam pobycie, adwokat Tomasz Czernicki z Zamościa, a do Szczebrzeszyna Andrzej Przysada, aresztowany wraz ze mną w czerwcu 1940 r. Był w Oranienburgu, potem w Dachau, wreszcie jeszcze w jakimś mało znanym obozie.

Z Warszawy przyjechał dziś do szpitala, na zastępstwo, młody lekarz Stefan Matuszewski, który ostateczne egzaminy składał już w czasie wojny.

9 grudnia

Wczoraj odbył się ślub niejakiej p. Rajewskiej z p. Kozłowskim. W czasie kolacji weselnej niespodziewanie zjawili się gestapowcy z żandarmami. Powstał oczywiście straszny popłoch. Szukano brata panny młodej, który niedawno ożenił się z siostrą Jana Turowskiego, mocno zaangażowanego w organizacji. Poszukiwano ich oboje już od dawna i kilkakrotnie przeprowadzano rewizje w opuszczonym domu. Pan młody w ostatniej chwili jakimś sposobem zwiał, kilka osób zatrzymano, lecz po paru godzinach wypuszczono, aresztowano natomiast młodą Rajewską-Kozłowską. Trzymano ją przez całą noc na posterunku, bito i poniewierano, lecz o godz. 9 rano i ją puszczono. Nie zdążyła jeszcze przyjść do siebie, gdy o godz. 10 przyjechali od strony Zamościa gestapowcy z żandarmami, ponownie ją aresztowali i wywieźli — nie wiadomo dokąd, w każdym razie nie do zamojskiego więzienia. Gestapowcy podczas rewizji w mieszkaniu nowożeńców i u pp. Gramzów mieszkających w tym samym domu zachowywali się bardzo brutalnie. P. Gramzową, osobę już starszą, matkę dorosłych dzieci, jeden z gestapowców z całej siły uderzył w twarz. W ciągu kilku godzin, podczas pobytu gestapowców, w mieście panował niepokój.

Nadeszła wiadomość o wybuchu wojny japońsko-amerykańskiej. Wywołało to duże podniecenie — wzsyscy tylko o tym mówią.

10 grudnia

Z obozu w Oświęcimiu zawiadomiono telegraficznie p. Gulińską w Zwierzyńcu o śmierci jej syna Bohuna. Był to młodzieniec 27-letni, doskonale zbudowany, w pełni zdrowia i rozwoju sił fizycznych. Został aresztowany 1. VI. br. razem z młodszym bratem Marianem. Po kilku tygodniach pobytu w więzieniu w Zamościu i w Lublinie przewieziono ich do obozu w Oświęcimiu. Nawet tak mocny mężczyzna, okaz zdrowia, nie wytrzymał warunków tego potwornego obozu. Bohun był tak lubiany w Zwierzyńcu, że wiadomość o jego śmierci wstrząsnęła wszystkimi i wywołała powszechny, głęboki żal.

13 grudnia

Wojna Ameryki z Niemcami! Nastrój wspaniały, wszyscy nabrali otuchy i pełni są nadziei, że przyśpieszy to zakończenie wojny, która musi przynieść zupełną klęskę Niemiec.

16 grudnia

Był dziś w szpitalu lekarz powiatowy dr Snacki z referentem sanitarnym starostwa, Pradelokiem. Jest to Niemiec mówiący wcale znośnie po polsku, bardzo niebezpieczny typ. Z jego opowiadania wywniosko-

waliśmy, że przed wojną był w wywiadzie i mieszkał przez pewien czas w Warszawie, gdzie nawiązywał stosunki z różnymi osobami, należał do stałych bywalców „Adrii", „Gastronomii" itp., a pracował w jakimś niemieckim biurze turystycznym i krajoznawczym, którego prowadzenie w ciągu krótkiego czasu kosztowało 2½ miliona marek.

W obozie w Oświęcimiu umarł inspektor samorządu pow. biłgorajskiego, Hulak.

21 grudnia

Śledzimy uważnie przebieg walk na wszystkich frontach. Pomimo bardzo skąpych i kłamliwych wiadomości, jakie podają gazety, widzimy, że na froncie sowieckim i w Afryce półn. ustały już powodzenia niemieckie i że sytuacja Niemców staje się coraz bardziej poważna. Jednak zima rosyjska swoje robi. Poufne wiadomości podawane z ust do ust mówią o cofaniu się Niemców na całej linii, zresztą i oni sami piszą o konieczności „wyrównania" i „skrócenia" frontu.

Tyfus plamisty u nas nie ustaje. Wciąż przybywają nowi chorzy. Mój intendent Adamski jakoś z wielkim trudem wygrzebał się, teraz natomiast zachorowała gospodyni szpitala, Helena Osipowiczówna. Z tego powodu daje się odczuwać w gospodarce szpitala nie lada bałagan.

Przed paru dniami jeździłem do Zamościa na prześwietlenie Rentgenem. W szpitalu zamojskim pełno chorych, bardzo dużo tyfusu plamistego, lecz Żydów na oddział zakaźny nie przyjmują. Lokują ich w specjalnych barakach w dzielnicy żydowskiej. Zamość robi smutne wrażenie. Ulice puste, obce. Czułem się bardzo nieswojo. Byłem przyjemnie zdziwiony dowiedziawszy się, że Muzeum Zamojskie, usunięte z lokalu zajmowanego w ratuszu, dostało teraz dobre pomieszczenie w starej kamienicy przy ul. Ormiańskiej i pozostaje nadal pod troskliwą opieką dotychczasowego kustosza Kabata. Było to dla mnie wielką niespodzianką. Burmistrzem Zamościa jest Otto Werner, b. nauczyciel gimnazjum. Nie widziałem wielu osób, mogłem jednak zauważyć, że ludzie są bardzo przygnębieni, wyczerpani nerwowo i wymęczeni długo ciągnącą się wojną. Każdy ma na ustach pytanie — kiedy to się skończy?

31 grudnia

Zaczynamy jutro nowy rok. Wierzymy prawie wszyscy, że będzie to ostatni rok wojny. Ze wszystkich stron, w różnej formie, dochodzą nas coraz to nowe wieści o ciężkiej sytuacji Niemców na froncie. Zima jest podobno wyjątkowo ciężka, mróz tęgi, opady śnieżne obfite. Zmotoryzowane oddziały w znacznej części unieruchomione. Niemcy cofając się, zostawiają ogromną ilość sprzętu wojennego, którego nie są w stanie wywieźć. Ze wschodu przychodzą całe pociągi z żołnierzami, którzy mają odmrożone ręce, nogi, uszy i genitalia. Na każdym kroku widzimy objawy rozkładu, czujemy doskonale, że cała ta potęga militarna zaczyna się chwiać i wyraźnie załamywać. O powadze sytuacji świadczy i to, że sam

Hitler objął naczelne dowództwo nad armią, licząc zapewne na swój autorytet.

Daje się zauważyć pewna dezorganizacja w administracji i w urzędach. W starostwie np. coraz trudniej załatwić jakąś sprawę, bo urzędnicy mają głowę zajętą czym innym i odkładają wszystko na później.

Żandarmeria ma dużo roboty ze ściąganiem futer od Żydów. 26 grudnia ogłoszono, że Żydzi mają natychmiast, pod groźbą kary śmierci, oddać wszystkie futra, kołnierze, rękawice, czapki i mufki. Powstało wielkie zamieszanie, jedni zaczęli na gwałt chować gdzieś futra, inni oddawali wszystko co mieli. Tak np. dr Bołotny odniósł do Judenratu futra i swoje i żony, wszystko co tylko posiadał futrzanego, na ogólną sumę, jak oceniono, do 12 tysięcy złotych. Lada dzień oczekujemy takiego samego zarządzenia w stosunku do aryjczyków. Już były wypadki, np. w Zamościu, że zabierano ludziom futra na ulicy. Z jednej strony ludzie się martwią, bo trudno jest obejść się bez kożucha, zwłaszcza jeżeli wypada gdzieś jeździć, lecz z drugiej strony widzą w tym również i objaw pocieszający. Musi być źle na froncie, jeżeli teraz dopiero zaczynają ściągać kożuchy. Kiedy zdążą zrobić z nich należyty użytek? Mrozy mamy dość duże, po kilkanaście stopni, opału wszędzie brak, ludzie marzną, a równocześnie wciąż słyszymy życzenia, aby mrozy były jeszcze większe, zwłaszcza tam, na wschodzie.

Duże zapasy węgla mają u nas tylko żandarmi, bo zabrali do siebie wszystko to, co pozostawiło wojsko. Dwa dni temu żandarmi, którzy wciąż przychodzą do szpitala na opatrunki z powodu rozmaitych owrzodzeń i czyraków, zauważyli, że u nas jest bardzo zimno i zapytali, czy mamy dość węgla. Gdy im wytłumaczyłem, że już mi się opał kończy i muszę go bardzo oszczędzać, powiedzieli, że nam trochę dadzą i kazali przysłać furmankę. Wczoraj posłałem wóz i poszedł na posterunek mój medyk Błachuta. W rezultacie dostaliśmy trochę węgla, ale najciekawsze jest to, że stary żandarm, który wydawał węgiel z piwnicy, powiedział: „bierzcie sobie, bierzcie, nam i tak będzie to niepotrzebne, bo prędko stąd wyjedziemy" i po chwili dodał z całą rezygnacją machnąwszy ręką: „w ogóle jest całkiem źle".

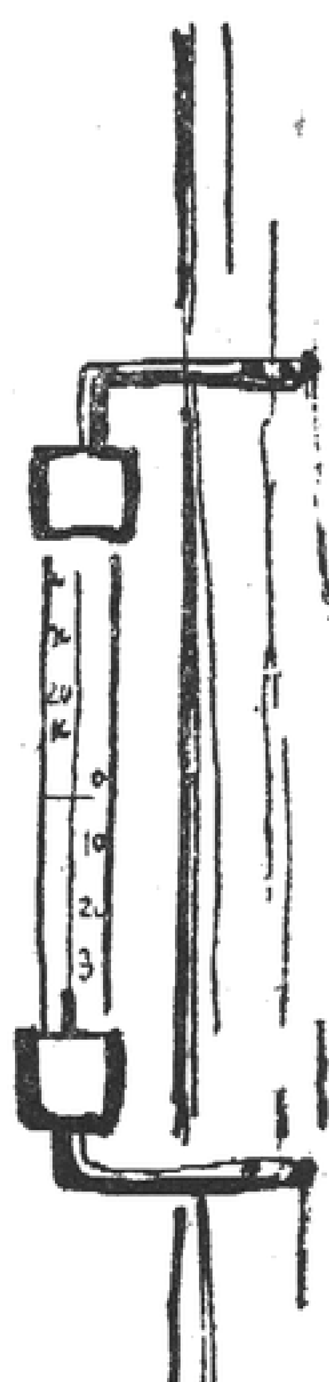
O ogólnej sytuacji orientujemy się jeszcze i z kursu waluty na czarnej giełdzie. Tak np. dolary i ruble złote w ciągu ostatnich dni gwałtownie poszły w górę — dolary powyżej 100 zł, 5-rublówki po 600 zł i więcej.

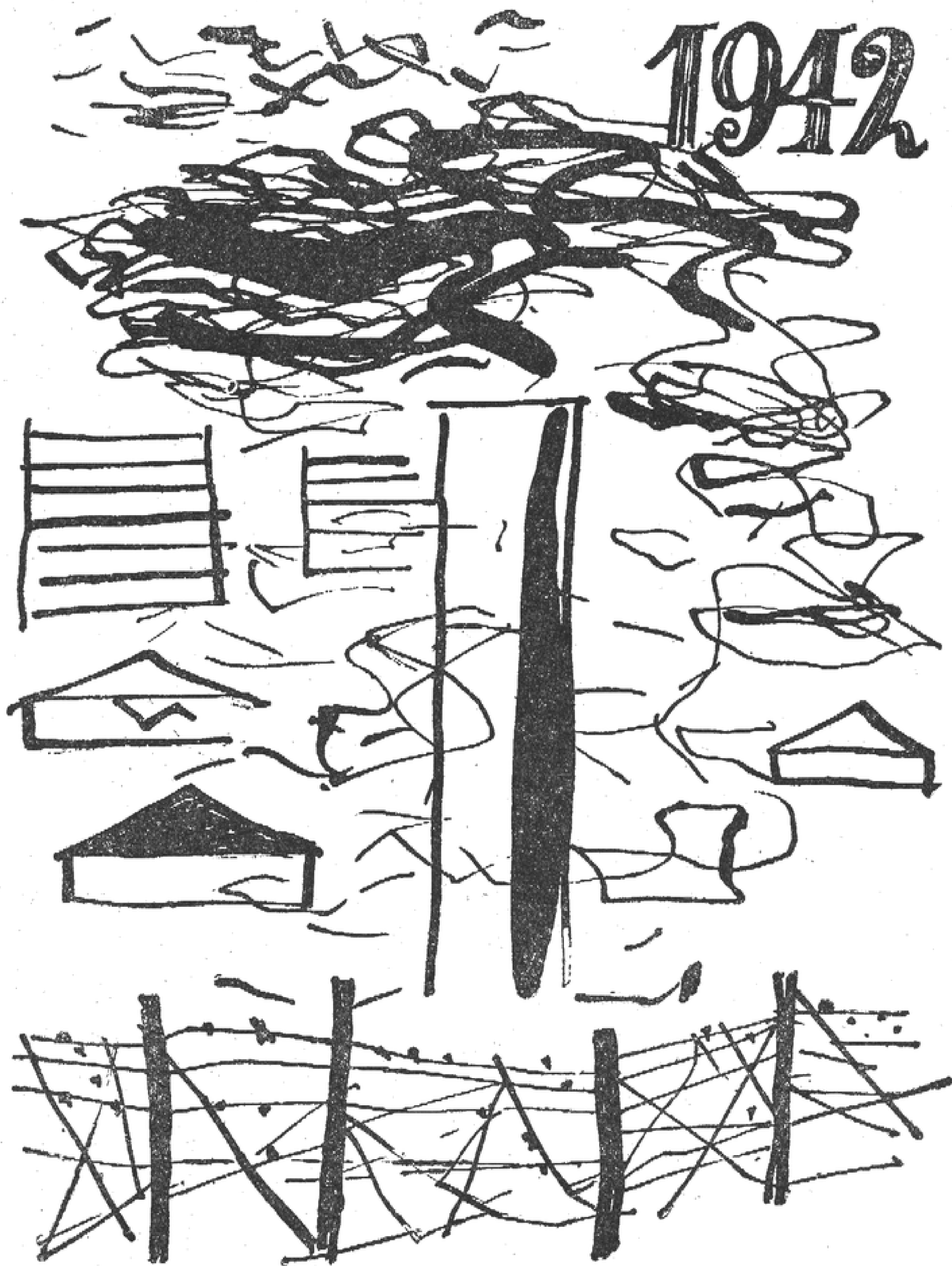
Akcja przesiedleńcza na razie utknęła. Znaczną część gospodarzy usuniętych z gospodarstw w Skierbieszowie rozmieszczono w powiecie biłgorajskim. Za Bug nie puszczają ich władze wojskowe, nie chcąc mieć na tyłach tak niepewnego i z rozpaczy na wszystko gotowego elementu. W Gorajcu wyrzucono z mieszkań niektórych Żydów i osadzono w nich wysiedleńców.

Przed paru dniami, w Lipowcu aresztowano wielką liczbę chłopów za niedostarczenie kontyngentu i za to, że się uchylali od „forszpanu" i nie jeździli do lasu po drzewo. Aresztowanych osadzają w więzieniu w Biłgoraju, a potem pędzą codziennie do Hedwiżyna na roboty w kamieniołomach. Obchodzenie się z więźniami jest, podobno, okropne, zresztą w niemieckim stylu.

Do Zwierzyńca nadeszła wiadomość o śmierci Komosy, urzędnika O. Z., aresztowanego 1. VI. br. Tym sposobem z pięciu aresztowanych tego dnia w Zwierzyńcu, pozostał przy życiu jeden tylko Maciek Guliński.

Ginie mnóstwo ludzi, lecz ci, którzy jeszcze żyją, mają niezłomną wiarę, że zbliża się godzina wyzwolenia i zemsty.


0
10


1942

5 stycznia 1942 r.

Dziś ogłoszono w mieście, że trzeba oddać Niemcom wszystkie narty powyżej 170 cm długości i buty narciarskie, poczynając od numeru 41. O futrach ogłoszenia jeszcze nie ma, ale spodziewamy się go lada chwila. Po wsiach chodzą już sołtysi z policjantami i zabierają niektórym chłopom kożuchy. W mieście rzadko już teraz można spotkać chłopa w kożuchu, bo bywały wypadki, że odbierano je na drodze, pozostawiając chłopa w jednym tylko ubraniu.

7 stycznia

Wczoraj wieczorem w Sułowcu zabity został komendant Policji Polskiej („granatowej") z Sułowa, Józef Siuda, posterunkowy zaś, Franciszek Olszewski ranny w nogę. Sprawcą zabójstwa był znany bandyta Matfiej. Przyjechali żandarmi niemieccy, wpadli na trop bandytów, pochodzących prawdopodobnie z Sułowca, czego dowodem było to, że uciekli oni wraz ze swymi rodzinami opuszczając swoje gospodarstwa. Żandarmi spalili w Sułowcu jeden dom, a dwa zupełnie zdemolowali.

Odwiedził mnie dzisiaj nowy lekarz, przysłany dla zwalczania tyfusu plamistego w gminie Sułów, dr Bronisław Niżewski, młody 28-letni jegomość o niepokaźnej powierzchowności, zdradzający pewne objawy rozstroju nerwowego. Opowiadał mi o swoich tragicznych przejściach i o pobycie w Oświęcimiu.

12 stycznia

W Zamościu w szpitalu umarł na ciężką niedomogę serca Roman Niedźwiecki, woźny magistratu, zwany powszechnie Romciem, mały garbusek, jeden z najpopularniejszych ludzi w Szczebrzeszynie, ponieważ stale roznosił po domach, od długiego szeregu lat, wszelkiego rodzaju wezwania, nakazy płatnicze itp. Dziś rano odbył się jego pogrzeb przy bardzo licznym udziale obywateli miasta.

14 stycznia

Wśród Żydów silne zdenerwowanie i poruszenie. Dwóch Żydów, u których znaleziono schowane futro, aresztowano i prawdopodobnie już rozstrzelano. Dziś wzięto 6 Żydów, jakoby zakładników, ponieważ za mało zebrano w mieście futer. Za to samo aresztowano cały Judenrat w Biłgoraju i w Tarnogrodzie.

15 stycznia

Silne mrozy. Dziś nad ranem było 31° poniżej zera. Dochodzą nas wieści o ogromnej liczbie odmrożonych na froncie, jak również i o wciąż zwiększającej się liczbie zachorowań na tyfus plamisty w wojsku niemieckim. U nas też wśród ludności wiejskiej epidemia rozszerza się coraz bardziej. Chorych Żydów jest już teraz znacznie mniej.

20 stycznia

Mrozy nie ustają. Zimno daje się ludziom silnie we znaki, zwłaszcza, że z opałem w tym roku wszędzie jest bardzo źle. Szerzy się tyfus, chorych przybywa do szpitala coraz więcej. M. in. zachorowała przebywająca w Szczebrzeszynie czasowo dr med. Franciszka Stanochowa, żona pułkownika, lekarza z Krakowa, znajdującego się obecnie gdzieś daleko, poza granicami kraju.

Widoczne jest znaczne zaostrzenie stosunku do Żydów. W ostatnich tygodniach zastrzelono kilku Żydów ze Szczebrzeszyna za wydalanie się poza granice miasta, za przewożenie cielaka, za ukrywanie kożucha, za brak opaski na rękawie, za sprzedanie mąki. Wciąż słyszy się o podobnych krwawych rozprawach i w sąsiednich miejscowościach. Wśród niektórych Żydów, zwłaszcza wysiedlonych, nędza okropna. Byłem dziś u chorego Winawera (bliskiego krewnego znanego literata Brunona Winawera). Mieszka w straszliwych warunkach, w jakiejś komórce oszalowanej deskami, z barłogiem, na którym oprócz chorego śpi żona jego i kilkunastoletnia córka. Judenrat nie chce udzielić im żadnej pomocy, bo są niemeldowani, a po wtóre neofitami, do których społeczeństwo polskie też nie przyznaje się. A ja nie mogę przyjąć go do szpitala — nie mam miejsca, ani bielizny, ani pościeli, gdyż wszystko zajęte jest przez chorych na tyfus.



Denerwuje nas to, że właściwie nie wiemy, co się dzieje na świecie naprawdę, bo przecież gazetom „gadzinowym" i „szmatławcom" wierzyć nie możemy.

21 stycznia

Przyjechał z Warszawy już na stałe dr Stefan Matuszewski na drugiego lekarza w szpitalu. Będzie mi teraz lżej i będę miał więcej czasu dla siebie.

Brałem dziś udział w komisji, która oglądała kamienicę upatrzoną na dom izolacyjny dla Żydów chorych na tyfus. Nie wyobrażam sobie jak ten „szpital" będzie wyglądał. W Zwierzyńcu szpital ordynacki ma być również przeznaczony dla chorych tyfusowych. Wszędzie dookoła nic tylko tyfus i tyfus.

Z obozu w Oświęcimiu został wypuszczony inż. Aleksander Waligóra, właściciel „Alwy". Nadeszła od niego depesza z Krakowa.

22 stycznia

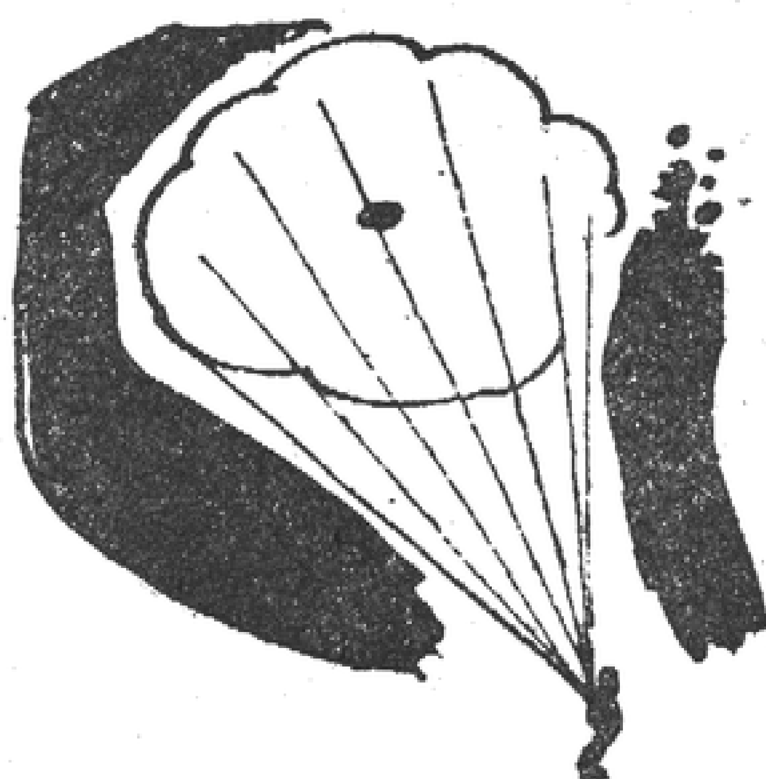
W Zamościu zachorował na tyfus plamisty dr Jan Hauslinger, b. zawodowy lekarz wojskowy, dr Domaradzki — kierownik oddziału zakaźnego w szpitalu powiatowym i absolwent medycyny Królikowski, również pracujący w szpitalu.

27 stycznia

Jesteśmy zapracowani z powodu tyfusu plamistego. Szerzy się on gwałtownie wszędzie, w ostatnich dniach zwłaszcza wśród Żydów w Szczebrzeszynie. Nigdy nie widziałem takiej nędzy jak obecnie. I takiego brudu. Pracujemy w bardzo ciężkich warunkach. Brak pościeli, bielizny, naczyń, obsługa bardzo niedostateczna. Ludzie boją się tyfusu i pomimo dobrych warunków nie chcą iść do szpitala na służbę; zepsuł się motor w studni, pozamarzały rury wodociągowe, nie ma monterów, którzy by mogli naprawić (z Zamościa zabrano wszystkich monterów do Chełma do jakiejś pilnej roboty wojskowej), nie mamy więc wody, nie możemy chorych kąpać. Kończy się opał, trudno o takie artykuły, jak kasza itp. Słowem kłopotów mam wyżej uszów, bo każdy ze wszystkim biegnie do mnie, uważając, że wszystko powinno być. Nikt nie chce uwzględnić, że ja też nie wszystko mogę zrobić, że okoliczności są wyjątkowe i w ogóle warunki całej naszej dzisiejszej egzystencji są nienormalne. Calutki dzień od świtu do nocy zajęty jestem sprawami szpitala, dla siebie nie mam nic czasu, piszę bardzo mało, tylko między 6 a 8 rano przed wstaniem. Toteż praca moja o Zamojszczyźnie posuwa się teraz bardzo powoli, a tak bardzo chciałbym doprowadzić ją do końca.

Mrozy bez przerwy trzymają silne, pociągi chodzą z ogromnym opóźnieniem, poczta dochodzi nieregularnie, coraz częściej bywają dni, że nie

mamy żadnych gazet. Żyjemy więc w nieświadomości tego, co się dzieje na świecie. Czasem miewamy sensacje miejscowe. Tak np. przed kilkoma dniami pod Nieliszem opuścił się jakiś skoczek na spadochronie, który zawisł na drzewie. Zjechała żandarmeria, zdjęła tylko część spadochronu z numerem, żeby ustalić jego pochodzenie. Po spadochroniarzu nie było już ani śladu. Spadochron był prawdopodobnie sowiecki.



Niemcy wydają coraz to ostrzejsze zarządzenia. Tak np. w Gorajcu zamieszkałym tam Żydom nie wolno oddalać się więcej jak na 10 metrów od swojego mieszkania, nikomu nie wolno chodzić ścieżkami, tylko drogami publicznymi. Pod Chłopkowem przejeżdżający żandarmi zastrzelili chłopa idącego ścieżką polną. Każdego napotkanego Żyda zabijają na miejscu.

Był u mnie inż. Waligóra, który dopiero co wrócił z Oświęcimia. Wygląda na pozór nieźle, lecz to złudzenie, bo twarz ma z lekka obrzękniętą. Oczywiście nic nie mówił o swoich przeżyciach, ja go też o nic nie pytałem.

2 lutego

Przeżywamy znów ciężkie dni. W piątek rano, 30. I. niespodziewanie zjawili się gestapowcy w Zwierzyńcu i aresztowali geometrę ordynackiego Stanisława Brandta. Dotkliwie pobili go jeszcze w mieszkaniu, żonę jego uderzyli w twarz tak, że wybili jej ząb. Jemu nałożyli ręczne kajdanki i zawieźli do lasu, gdzie w wiadomym sobie miejscu zaczęli kopać i znaleźli ukrytą broń — kilkanaście karabinów, w tym parę maszynowych. Aresztowali jeszcze niejakiego Świąteckiego, zatrudnionego w tartaku, lecz ten, podobno, zdołał wyrwać się z rąk gestapowców i uciekł. Byli jeszcze w paru miejscach, lecz poszukiwanych nie zastali już w domu.

Nikt nie ma wątpliwości, że Brandt będzie rozstrzelany. Był to oficer rezerwy, lat 30 kilku, syn emerytowanego pracownika ordynackiego, skromny, cichy człowiek. Ożenił się przed kilkoma laty, ma dwoje dzieci. W Zwierzyńcu wszyscy są przygnębieni tym aresztowaniem, uważając, że Brandt jest stracony, że nie ma dla niego ratunku. W dodatku spodziewają się dalszych aresztowań.

Wczoraj z rana przyjechali gestapowcy do Szczebrzeszyna i aresztowali dwóch zawodowych plutonowych: Stanisława Rybickiego, b. ucznia seminarium nauczycielskiego, obecnie pracującego w drukarni miejskiej i Romana Kołodziejczyka, syna kowala. Obydwaj należeli do organizacji.

Gestapowcy przyszli też po młodego Doleżala, nie wiedząc, że on już nie żyje.

Z powodu tych aresztowań w mieście duże zdenerwowanie, ludzie są pełni niepokoju.

Wrócił do Zamościa Stefan Bauer, b. dyrektor Szkoły Rolniczej w Janowicach, aresztowany w dniu masowej branki w czerwcu 1940 r. Przebył w Oranienburgu całe 1½ roku.

Na szosach znacznie wzmożony ruch samochodów. O faktycznym stanie rzeczy na froncie wschodnim nie mamy żadnych wiadomości. Gazetom, oczywiście, nikt nie wierzy.

4 lutego

Wczoraj znów zjawili się w mieście gestapowcy. Byli u of. rez. Siciarza, b. urzędnika pocztowego i u Józefa Kołodziejczyka, emerytowanego naczelnika poczty. Żadnego nie zastali.

Dowiedziałem się bardzo ważnych szczegółów. Wsypa jest poważna i ofiar może być jeszcze o wiele, wiele więcej. W zeszłym roku przybył na Zamojszczyznę młody oficer, który wszedł do tajnej organizacji, zyskał pełne zaufanie i zajął nawet odpowiedzialne stanowisko dowódcy szturmówki. Znany był jako „Wisman" albo „Rust". W Szczebrzeszynie bywał bardzo często, utrzymywał stosunki z wieloma ludźmi, korzystał z gościnności, z noclegów itp., uczestniczył w tajnych zebraniach, m. in. w mieszkaniu wspomnianego Józefa Kołodziejczyka. Często przychodził do szpitala do intendenta Cichońskiego, po którego ucieczce był u mnie i otrzymał ode mnie pieniądze na organizację. Nagle zjawił się w mundurze gestapowca i zaczął od nieszczęsnego Brandta, z którym razem zakopywał broń w lesie i sypie teraz po kolei, podobno głównie tzw. „magazynierów", których znał wszystkich z racji swego stanowiska w organizacji.

Sporo osób wyjechało z miasta lub ukryło się. Wszystkich ogarnął strach i niepokój. Ja też czuję się niewyraźnie i niepewnie. Jednak ukrywać się nie mam zamiaru. Co będzie, to będzie.

9 lutego

Przyjechał wczoraj niespodziewanie Jerzy Płomieński z jakiejś zapadłej dziury w hrubieszowskim powiecie, gdzie pracuje obecnie w nadleśnictwie. Spędziłem z nim dwa dni na rozmowie o różnych interesujących mnie kwestiach. Mamy dużo wspólnego, rozumiemy się doskonale. Czytał mi parę ustępów ze swej obszernej monografii o Edwardzie Dembowskim. Ja dałem mu do przeczytania kilka rozdziałów moich wspomnień zamojskich. Gorąco zachęcał mnie do pisania w dalszym ciągu, upewniając, że praca moja ma dużą wartość, że piszę całkiem ciekawie i interesująco. Ponadto czytał opracowany przeze mnie pamiętnik Bohdanowicza o V Syberyjskiej Dywizji. Bardzo go chwalił jako rzecz pisaną realistycznie, szczerze, lecz barwnie, którą czyta się przez cały czas z niesłabnącym

zainteresowaniem. Dodał mi chęci do dalszej pracy. Nie żal mi poświęconego na pisanie czasu. Jestem bardzo zadowolony, że mogłem wreszcie usłyszeć bezstronne zdanie zawodowego krytyka i takiego znawcy, jakim jest Płomieński. Wyjeżdżając powiedział, że przystąpi też do pisania swych wspomnień, ja ze swej strony obiecałem mu, że własnoręcznie przepiszę je w dwóch egzemplarzach na maszynie w miarę nadsyłania mi kolejnych rozdziałów. Żona przyrzekła przepisać jego rękopis o Dembowskim.

W ciągu tych 2 dni zapomniałem o Niemcach, o Gestapo i o ostatnich aresztowaniach. Jakoś zupełnie o tym nie myślałem, żyłem w innym świecie.

Wczoraj wrócił z Oświęcimia Michał Pawlik. Jeszcze go nie widziałem. Gestapowcy wciąż kręcą się w naszej okolicy, co dzień są w Zwierzyńcu. Przed paru dniami aresztowali gajowego Wandycza. Niepokój nie przemija, ludzie są wystraszeni, w nocy nasłuchują, czy kto po nich nie idzie, w każdej chwili gotowi są do ucieczki. W dodatku dochodzą nas wieści o nowych aresztowaniach w Krasnymstawie, Chełmie, Krzeszowie itd.

Dopiero teraz dowiedziałem się, że przed kilkoma miesiącami umarł w Oświęcimiu Zygmunt Pomarański.

Ludzie są okropnie wyczerpani nerwowo, wciąż zadają sobie pytanie, kiedy to się nareszcie skończy, bo już sił im brak, a tymczasem tego upragnionego końca nie widać.

16 lutego

Dzień dzisiejszy przeżyliśmy w silniejszym niż zwykle napięciu nerwowym. W południe wpadł do szpitala przerażony, blady, ks. Kapalski, mieszkający w domu naprzeciwko i pędem pobiegł na strych, ażeby ukryć się przed gestapowcami, którzy właśnie dopiero co u niego byli i jeszcze są w kamienicy Guzowskiego. Zapanowało u nas zrozumiałe poruszenie.

Synka wysłaliśmy do miasta na wywiad, żona stanęła przy oknie, żeby obserwować, czy nie idą do nas, ja włożyłem biały fartuch, żeby w chwili ewentualnego zjawienia się gestapowców w szpitalu być na oddziale zakaźnym przy chorych na tyfus plamisty. Co jakiś czas z miasta przychodziły meldunki o tym, co się dzieje. Aresztowań nie było, chodzili po różnych domach, coś oglądali, czegoś szukali, potem długo siedzieli w restauracji u Malinowskiego. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć. Pod wieczór dopiero wyjaśniło się, że podobno szukali pozostawionych przez adw. Paprockiego mebli, które w swoim czasie stały w kasynie oficerskim na plebanii. Wszyscy z ulgą odetchnęli, gdy gestapowcy wyjechali z miasta.

W takich wypadkach podniecenie przejawia się u mnie w specyficzny sposób. Ogarnia mnie jakaś pasja wykorzystania, być może, ostatnich godzin wolności i przepisywania na maszynie tylko dla mnie zrozumiałych moich notatek rękopiśmiennych, żeby zostawić po sobie jak najwięcej materiału uporządkowanego. I dlatego spędziłem dziś przy maszynie znacznie więcej czasu niż zwykle. Takie pisanie zawsze działa bardzo kojąco na nerwy i daje odprężenie, przeszkadza tylko nasłuchiwanie, czy nie idzie ktoś obcy.

18 lutego

Ubiegłej nocy gestapowcy znów byli w Szczebrzeszynie, lecz nikogo z poszukiwanych nie zastali w domu. Wczoraj wywieźli część mebli Paprockiego od Krzeszowskiej. Podobno meblują w Zamościu jakieś nowe mieszkanie dla siebie.

Przed paru dniami żandarmi zatrzymali na ulicy młodą 20-letnią Żydówkę, u której nie zauważyli opaski na ramieniu. Wywieźli ją za miasto w stronę Zwierzyńca i tam rozstrzelali.

19 lutego

Przed paru dniami aresztowano w Zamościu 8 osób, samą młodzież, w tej liczbie Tadeusza Bajkowskiego, młodszego syna adwokata zmarłego w Dachau, dwóch braci Wojtasów i in. Nastrój wszędzie okropny, ludzie snują się jak zaszczute zwierzęta, oglądając się na wszystkie strony, czy ich kto nie śledzi, w domu nie nocują, w dzień niby pracują, ale żadna robota nie idzie sprawnie. Nie dochodzą nas żadne pocieszające wieści, które zwykle dodają tyle otuchy i podtrzymują wiarę. Niektórzy zanadto już poddają się przygnębieniu i rezygnacji, zaczynają załamywać się duchowo, przed czym każdy musi bronić się wszelkimi siłami. Ja nie tracę pewności, że będzie dobrze, tylko zadaję sobie pytanie, czy ja osobiście doczekam się jeszcze wolności i niepodległości Polski.

Staram się nie marnować czasu, kilka godzin dziennie spędzam przy maszynie do pisania, a rano leżąc w łóżku parę godzin przed wstaniem kreślę swoje wspomnienia o Zamojszczyźnie. Tego rodzaju praca znakomicie wpływa na moją równowagę duchową.

23 lutego

W ostatnich dniach dokonano kilku napadów: na ks. Masztalerza w Mokrem Lipiu, na młyn Tomaszewskiego w Michałowie, na stację kolejową w Zwierzyńcu itd. W cukrowni aresztowano Śwista, prawdopodobnie w związku z aresztowaniem Wróbla, który mieszkał w tym samym domu, w Szczebrzeszynie zaś młodego Kafarskiego.

Wczoraj jeździłem do Zwierzyńca. Tam nastrój pełen przygnębienia, ludzie wciąż jeszcze są pod wrażeniem aresztowania Brandta, żyją w niepewności i oczekują dalszych aresztowań. Bardzo wiele osób ukrywa się. I nawet niektórzy dziwią się, że tak mało było aresztowanych, bo przecież Wisman mógłby zasypać znacznie więcej osób.

25 lutego

W obozie w Oświęcimiu umarł młody nauczyciel gimn. zamojskiego, polonista Cieśliński, w Dachau (lub w Weimarze) zmarł b. dyrektor Ub. Społ. w Zamościu Jan Kozłowski, aresztowany w czerwcu 1940 r.

Kilku tzw. kolonistów niemieckich z Brodów Dużych, którzy zgłosili się jako Volksdeutsche, powołano do czynnej służby w wojsku niemieckim. Wyjechali już do Berlina. Zdaje się, że grozi to samo i naszemu obecnemu burmistrzowi Krausowi.

4 marca

Od kilku dni posterunki żandarmerii znajdują się w ostrym pogotowiu. Po mieście żandarmi i „granatowcy" chodzą z karabinami. Podobno w Janowie Lub. dokonano napadu na posterunek i zabito kilku żandarmów, w Izbicy poprzecinano kable telefoniczne i zwalono kilka słupów telefonicznych.

Przed paru dniami w biały dzień, o godz. 1 w południe, dokonano napadu na pociąg kolejki wąskotorowej między Zwierzyńcem a Biłgorajem. Zabrano pasażerom bez mała 100.000 zł. Zapewne te właśnie napady i akty sabotażu zmuszają Niemców do większej czujności.

W Lublinie w więzieniu zmarł na tyfus plamisty dyrektor KKO w Biłgoraju Kucharski, bardzo przyzwoity człowiek, cieszący się ogólną sympatią i poważaniem. W jakimś obozie umarł młody Krzywdziński, wnuk zmarłego przed kilkunastu laty rejenta w Szczebrzeszynie.

Brak wiadomości politycznych wielu ludzi wprowadza w zły humor. Gazetom mało kto wierzy. Żydzi twierdzą, że jest dobrze.

5 marca

Byłem dziś na konsylium u Pawlika. Nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, jakie na mnie zrobił. Jest to cień człowieka, niegdyś zupełnie zdrowego, ruina kompletna. Stan jego jest bardzo ciężki, właściwie prawie beznadziejny. Wypompowaliśmy mu 3 litry płynu ropnego z jamy opłucnej. Prawdopodobnie zaczyna się zgorzel płuc, ma obrzęknięte nogi i ręce do łokcia. Ileż to tysięcy ludzi zmarnowano w taki nieludzki sposób po różnych obozach!

15 marca

Znacznie rzadziej spisuję teraz swoje notatki, bo życie strasznie jednostajne. Wciąż jedno i to samo i tylko coraz to nowe wiadomości o dalszych ofiarach. Dnia 8. III. umarł Pawlik. Nie dało się go uratować. Liczył zaledwie 37 lat i przed aresztowaniem był zupełnie zdrów. Dn. 11. III. odbył się jego pogrzeb przy udziale tłumu ludzi. Przeważały kobiety, mężczyzn było znacznie mniej.

Nadeszła telegraficzna wiadomość, że w Oświęcimiu umarł Roman Romanowski fryzjer ze Szczebrzeszyna.

W Zwierzyńcu p. Gulińska otrzymała z Oświęcimia depeszę o śmierci drugiego syna, Mariana. Tak więc w ciągu 9 miesięcy straciła w Oświęcimiu dwóch dwudziestokilkuletnich synów. Matka nie wierzy, że nie żyją, łudzi się, że to nieprawda, ale my nie mamy żadnej wątpliwości.

Częściej łapią teraz Niemcy ludzi na roboty. W Zawadzie już parę razy z pociągów zabierano wszystkich, którzy nie mieli dokumentów stwierdzających, że gdzieś pracują. Co się z nimi stało, nie wiadomo.

Chorowałem jeden dzień na anginę. Pod wieczór miałem silną gorączkę i serce jak zwykle u mnie w takich wypadkach zaczęło nawalać. Chwilami miałem wrażenie, że jeżeli taki stan przeciągnie się parę dni, to już będzie ze mną koniec. Dziś już czwarty dzień leżę w łóżku, nie mogąc doprowadzić swego serca do zwykłej jego normy. Mam tylko duże zadowolenie, czując, że jeszcze żyję i mogę pracować. Cały dzień jestem zajęty, piszę, przepisuję na maszynie, poprawiam cudze rękopisy i cieszę się, że potrafiłem innych zachęcić do pisania. Tak bardzo chciałbym doprowadzić do końca swe prace. Moje wspomnienia o Zamojszczyźnie już dziś rozrosły się do rozmiarów ogromnego dzieła, a przecież jeszcze nie koniec. W toku swych prac zapominam o ogólnej sytuacji politycznej, co do której zresztą nie mamy żadnych pewnych wiadomości, zapominam o różnych kłopotach w związku z administrowaniem szpitalem, o drożyźnie itd., żyję w ściśle zamkniętym swoim świecie duchowym.

25 marca

Wrócił z obozu nauczyciel Kilarski, aresztowany w czerwcu 1940 r. Z najdawniej aresztowanych mieszkańców Szczebrzeszyna pozostał w obozie w Oranienburgu jeden tylko dyr. Wiktor Jóźwiakowski.

Życie nasze przebiega teraz w atmosferze śmierci, gwałtu i bezprawia. Ludność jest sterroryzowana, gnębiona coraz mocniej. Bez końca mnożą się ofiary.

Przed paru dniami przyjechała ekspedycja karna do Deszkowic. Wójt szczęśliwie uciekł, sołtys Wojciech Kobylarz w czasie ucieczki został zabity. Dziś odbył się jego pogrzeb. Stawiła się na nim dosłownie cała wieś. Było chyba do 1.000 osób. Tym sposobem wieś zamanifestowała swoje uczucia w stosunku do Niemców.

Ekspedycja grasowała na terenie Deszkowic, Kulikowa i Rozłop. Rabowano wszystko w straszliwy sposób. Aresztowany został w Deszkowicach nauczyciel Padziński, którego dawno już poszukiwano, lecz zawsze jakoś szczęśliwie wykręcał się.

Przy próbie ucieczki z obozu karnego w Dylach pod Biłgorajem zabity został Józef Okoń, b. stróż szpitalny, zatrzymany ze szmuglem na stacji w Szczebrzeszynie.

Pozawczoraj zjawili się gestapowcy w Szczebrzeszynie. Byli w bardzo wielu domach, obchodzili wszystkie pokoje, lecz nic nigdzie nie wzięli i nikogo nie aresztowali. Szukają podobno lepszych mebli i nowych kołder puchowych, a niektórzy twierdzą, że jakichś pereł i złota. W jednym domu — u Grochulskich — kazali wyprać dla siebie firanki i zapowiedzieli, że zgłoszą się po nie w krótkim czasie.

Pomimo wszystko wielu ludzi dobrowolnie zgłasza się do pracy u Niemców. Tak np. ze Szczebrzeszyna poszło na wartowników przy barakach kilku młodych chłopców; m. in. Wójtowicz i Byk. Dumnie paradują w czarnych płaszczach i furażerkach niemieckich, podobni do nie-

mieckiej straży kolejowej, nawet już nauczyli się trochę mówić po niemiecku. Niektórzy jadą dobrowolnie do Niemiec. Pojechał np. taki młody fryzjer Wacław Żelazko, miał tam pracować gdzieś w swoim zawodzie, tymczasem od razu wzięli go do pracy rolnej. Pisał teraz żaląc się na swą dolę, zwłaszcza, że ma już połamane dwa żebra, nie wiadomo tylko przy jakiej okazji.

Bardzo zaostrzył się kurs w stosunku do Żydów. Z różnych stron dochodzą wiadomości o wysiedlaniu ich na wschód. Na naszym terenie 250 Żydów z Biłgoraja wysiedlono do Tarnogrodu. Częste są wypadki zabijania Żydów za nieprawne wydalanie się z miejsca stałego zamieszkania i na kolei.

Na szosie widzimy teraz więcej samochodów wojskowych, motocykli itp. Całymi pociągami lub pojedyńczymi wagonami wywożą gdzieś mężczyzn cywilnych, przeważnie Żydów — jak w jednym, tak i w drugim kierunku. Dokąd — nie wiadomo. Są przypuszczenia, że gdzieś na wschód bliżej frontu, do jakichś robót. W ogóle ze wszystkich stron czyha na ludzi jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiadomo co kogo czeka i kiedy skończy się ta męka. Coraz większe są trudności i ograniczenia aprowizacyjne. Już nawet kartofli nie można swobodnie przewozić, bez specjalnej przepustki. Ceny na wszystkie artykuły wzrosły niepomiernie, tak np. za masło płacimy już 60 zł za kg, chleb — 8 zł, słonina po 45—50 zł itd. Żydom w niektórych miejscowościach np. w Biłgoraju, sprzedają już tylko koninę. Mimo takich ograniczeń handel wśród Żydów jest bardzo ożywiony. Wszystko u nich można dostać. Chociaż sami siedzą na miejscu, to jednak mają znakomicie zorganizowaną dostawę produktów ze wsi. Chłopi i baby chętnie wszystko do nich znoszą. Przy wszystkich uliczkach wjazdowych do miasta stoją Żydzi i kupują wszystko, co tylko chłopi wiozą lub niosą. Ze swego okna mam możność obserwowania jak to się odbywa przed szpitalem od świtu do zmroku.

Na lotnisku w Klemensowie przekopują jakieś rowy, nie wiadomo dobrze po co.

26 marca

Wśród Żydów panuje jednak ogromne przygnębienie, przestrach i niepokój. Ze wszystkich stron dochodzą wiadomości o niesłychanych gwałtach dokonywanych na Żydach. Koleją przywożą całe pociągi Żydów z Czechosłowacji, z Niemiec i ostatnio nawet z Belgii. U nas też wysiedlają Żydów z różnych miasteczek i miast i wiozą przeważnie gdzieś w okolicę Bełżca. Słyszałem dziś opowiadanie o tym, co robili z Żydami w Lublinie. Trudno uwierzyć, żeby to była prawda. Dziś wysiedlono Żydów z Izbicy i wywieziono też do Bełżca, gdzie ma być podobno jakiś potworny obóz. Bardzo dużo Żydów przy tym ginie, bo rozstrzeliwują ich na miejscu za byle głupstwo.

Dzisiaj nad miastem przelatywało wyjątkowo dużo samolotów transportowych. Na szosie coraz większy ruch samochodowy. O sytuacji na froncie pewne jest tylko to, że toczą się tam walki o niezwykłej zaciętości.

29 marca

Przyszła wiadomość z Oświęcimia, że umarł tam Jan Łazorczyk, gospodarz z Kawenczyna, bardzo inteligentny i solidny chłop.

W Szczebrzeszynie został wczoraj aresztowany niejaki Szwed, za nielegalny handel mąką, a w cukrowni — tapicer Otłowski za potajemne zabicie krowy. Doniósł o tym żandarmerii sąsiad jego, młody garbusek Franczak. Gdy po aresztowaniu Otłowskiego przyszedł na posterunek po zapłatę, Niemcy dotkliwie pobili go i wyrzucili. Komendant żandarmerii miał się wyrazić, że gdyby dawano wiarę wszystkim donosom, to już chyba połowa mieszkańców Szczebrzeszyna byłaby aresztowana lub rozstrzelana. Niestety, tak jest. Dla zdobycia kawałka chleba ludzie upodlają się.

Żydzi wysyłają specjalnych posłańców aryjczyków na wywiady. Z Izbicy nadeszły wiadomości, że przywieźli tam około 2.000 Żydów z Czech, najzupełniej zasymilowanych, a Żydów izbickich wywieziono do Bełżca, bo już nie podobna było wszystkich pomieścić. Dziś wyprawiono posłańca do Bełżca, żeby dowiedzieć się, co się tam dzieje. Żydzi w miasteczku są zupełnie zdezorientowani, nie wiedzą, co robić, czy się gdzie ukrywać, czy siedzieć spokojnie i czekać. Nawet za miasto boją się wyjść, bo spotkanych Żydów na drodze Niemcy zabijają bez gadania. Wciąż słyszymy o podobnych wypadkach.

Wszędzie panuje straszny terror. Życie staje się coraz cięższe, coraz trudniejsze. Trzeba mieć bardzo dużo sił i fizycznych i duchowych, żeby to wszystko przetrzymać.

4 kwietnia

Kościół św. Katarzyny obok szpitala w Szczebrzeszynie oddali Niemcy prawosławnym. Wczoraj kazano księżom oddać klucze, dziś zwożą jakieś swoje rzeczy. Zapewne jutro, w pierwszy dzień Wielkanocy, odbędzie się pierwsze nabożeństwo. Oburzenie wśród ludności katolickiej ogromne. Tak więc kościół ten już po raz drugi od czasu swego istnienia (pierwsze lata XVII wieku) przechodzi w ręce prawosławnych, bo już w roku 1883 zabrał go na cerkiew słynny pop Tracz i dopiero w r. 1917 cerkiew prawosławna została ponownie przekształcona na kościół. Historia się powtarza. Lecz wszyscy są pewni, że nie długo będą tu gospodarowali prawosławni, że szybciej opuszczą ten kościół, aniżeli wczoraj zajmowali.

Podczas jakiejś obławy został wczoraj zabity w Zakłodziu żandarm z tutejszego posterunku Himler, pochodzący podobno z Katowic. Ma być pochowany na miejscowym cmentarzu. Magistrat złożył koło jego zwłok olbrzymi wieniec. Pogrzeb odbędzie się pojutrze, w drugi dzień świąt. Dziś w nocy aresztowano Mieczysława Kamińskiego ps. „Miecz", b. dependenta rejenta Warchałowskiego. Polowali na niego już chyba z półtora roku. Dotychczas ukrywał się skutecznie, aż wreszcie wpadł przez własną nieostrożność, zjawiwszy się w Szczebrzeszynie, zamiast siedzieć w domu, łaził po mieście i wszyscy go widzieli.

Mam bardzo duże kłopoty w szpitalu. Otrzymałem zawiadomienie, że w myśl zarządzenia władz niemieckich, szpitale nie będą dostawały żadnych przydziałów produktów spożywczych i mają gospodarować jak chcą, na własną rękę i na własne ryzyko, bez prawa nabywania artykułów żywnościowych w wolnym handlu. Jak w takich warunkach potrafimy prowadzić szpitale — nikt z nas nie wie. Mieszkańcy miast przy przyjęciu do szpitala mają oddawać swoje karty żywnościowe. Ale na wsi kart takich nie ma, więc jak postępować z chorymi ze wsi? Na to znów jedyna odpowiedź: róbcie sobie jak chcecie, my żadnych przydziałów nie damy.

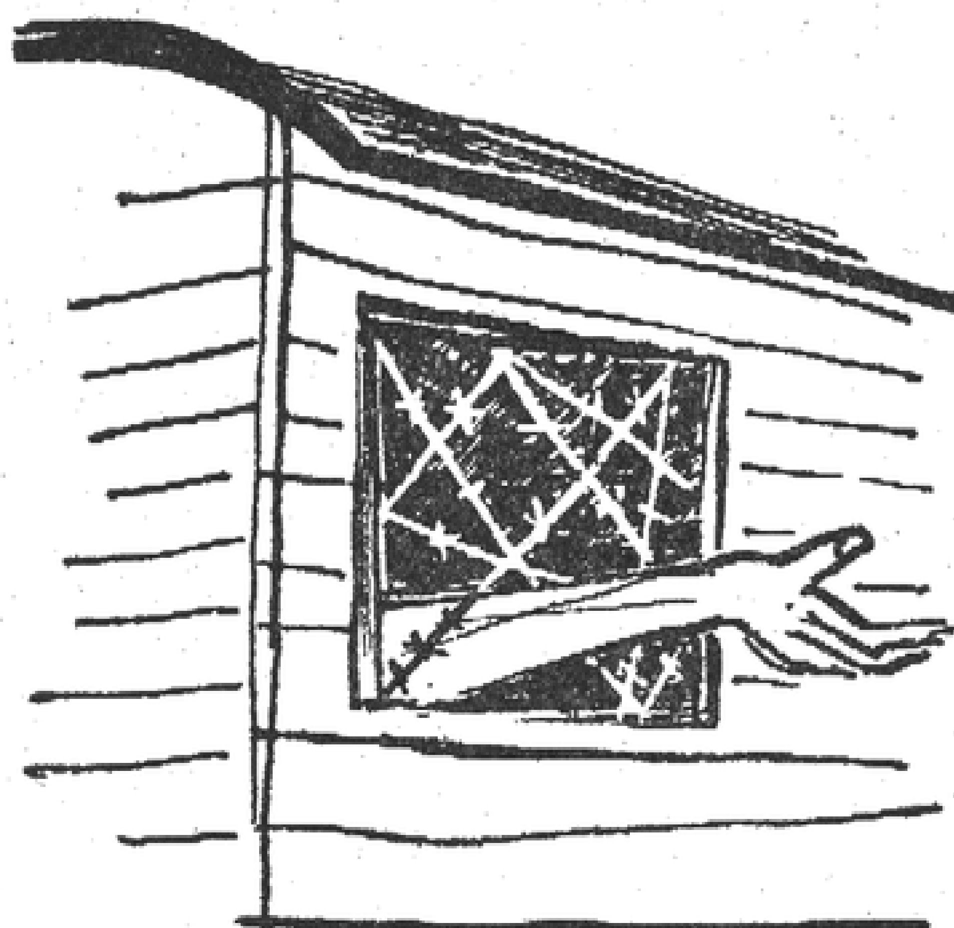
8 kwietnia

W sobotę 4. IV. poświęcono nową cerkiew. W nocy i w pierwszy dzień Wielkanocy słychać było charakterystyczne śpiewy cerkiewne. Przez okno wychodzące ze schodów szpitalnych do kościoła dawniej klasztornego, patrzyłem na prawosławne obrządki w b. kościele i przy całym moim indyferentyzmie religijnym zaciskałem pięści z oburzenia na podobny gwałt.

W pierwszy dzień świąt o godz. 10 wieczór zdarzyła się wielka sensacja. Do miejscowego aresztu przyszli dwaj młodzieńcy i grożąc rewolwerami zmusili woźnego do otworzenia aresztu i wypuścili stamtąd aresztowanego przed paroma dniami Kamińskiego, który skuty w kajdany oczekiwał aż go wywiozą. Ten był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie chciał wychodzić. Wyprowadzając Kamińskiego młodzieńcy owi zamknęli w areszcie woźnego i jego żonę. Po jakimś czasie woźny przez okno zaalarmował kogoś przechodzącego przez podwórze magistrackie i wszczął się alarm. Przybiegli żandarmi, zaczęła się bezładna i bezcelowa strzelanina. Woźny naciśnięty przez żandarmów zeznał, że zna tych młodzieńców i że mieli to być Wejler i Marczewski z Brodów Dużych. Żandarmi i policjanci granatowi natychmiast pojechali do Brodów. W mieszkaniu Wejlera znaleźli dwa rewolwery, a gdy młody Wejler zaczął uciekać, posterunkowy Gał wystrzałem z karabinu położył go trupem. Młody Marczewski zwiał, aresztowano tylko jego ojca. Czy rzeczywiście oni to uprowadzili Kamińskiego — nie wiadomo. Zaraz po wypadku żandarmeria aresztowała żonę Kamińskiego, siostrę jej i 12-letniego syna, pozostawiając w domu 4-letnią córeczkę pod opieką właścicieli domu. Na ślad Kamińskiego nie natrafiono.

W drugi dzień świąt, 6. IV. odbył się uroczysty pogrzeb zabitego żandarma Himlera. W tym czasie wyjechałem do Zwierzyńca, pogrzebu na własne oczy nie widziałem, opowiadano mi tylko o nim, że było dużo żandarmów, cywilnych Niemców z Biłgoraja, cały magistrat w komplecie i bardzo dużo gawiedzi. Było kilka wianków, m. in. od magistratu miasta Szczebrzeszyna, od policji granatowej i... od Judenratu. W tym samym dniu pochowano zwłoki zabitego Wejlera, lecz Niemcy nie pozwoli nawet włożyć ich do trumny, ani też ludności wziąć udziału w pogrzebie. W mieście ogromnie obawiają się aresztowań i represji. Wieczorem, gdy się ściemniło, nikt już na ulicy się nie pokazywał.

Wśród Żydów straszne przygnębienie. Wiemy już teraz z całą pewnością, że codziennie przychodzi do Bełżca jeden pociąg od strony Lublina i jeden od Lwowa, po 20 kilka wagonów każdy. Tu Żydów wysadzają, zapędzają poza ogrodzenie z drutu kolczastego i zabijają prądem elektrycznym lub zatruwają gazami a następnie zwłoki palą. Po drodze widzą ludzie — przede wszystkim kolejarze, straszne sceny, ponieważ Żydzi wiedzą już dobrze dokąd i po co ich wiozą, a przy tym nie dają im nic jeść ani pić. Na stacji w Szczebrzeszynie kolejarze na własne oczy i uszy widzieli i słyszeli jak jakiś Żyd przez okno wagonu dawał 150 zł za kg chleba, a Żydówka zdejmowała z palca złoty pierścionek wzamian za szklankę wody dla umierającego dziecka. Mieszkańcy Lublina opowiadali mi o zupełnie nieprawdopodobnych rzeczach, jakie się tam dzieją z Żydami, o wyrzucaniu małych dzieci przez okno, rozstrzeliwaniu na miejscu chorych, a poza miastem zdrowych, o wywożeniu ich tysiącami do Bełżca itd.



11 kwietnia

Żydzi otrzymali wiadomość — a wywiad mają dobry — że dziś wywieziono Żydów z Chełma i po wyładowaniu ich w Bełżcu pusty pociąg, tzw. Judenzug, poszedł do Zamościa. Pod wieczór rozeszła się wieść, że Zamość jest już otoczony. Wszyscy są pewni, że zacznie się wyłapywanie i wywożenie na śmierć Żydów zamojskich. U nas w miasteczku przerażenie nie do opisania. Niektórzy są pełni rezygnacji, inni znów w obłędzie biegają po ulicach, szukają ratunku. Wszyscy są przekonani, że lada dzień będzie to samo i w Szczebrzeszynie. Do mnie zgłasza się bardzo dużo Żydów z prośbą o przyjęcie do szpitala. Niestety, muszę odmówić, żeby uniknąć podejrzenia o ukrywanie u siebie Żydów. Będę przyjmował tylko kobiety rodzące i nagłe wypadki, ponieważ takie mam zarządzenie.

12 kwietnia

Z Zamościa różnymi drogami dotarły do nas wiadomości, że działy się tam — jak to było do przewidzenia — straszne rzeczy. Wywieziono jak mówią, około 2.500 Żydów. Paruset zabito na miejscu. Podobno niektórzy Żydzi mieli stawiać opór. Szczegółów nie mamy żadnych i w ogóle nie wiemy nic pewnego. Wśród naszych Żydów nastrój wręcz paniczny. Stare Żydówki nocowały gdzieś na kirkucie. Wolą zginąć tu na

miejscu, w swoim miasteczku, wśród grobów swych bliskich, aniżeli gdzieś w Bełżcu po uprzednich męczarniach. Niektórzy ryzykują i uciekają na wieś. Bardzo wielu przygotowuje kryjówki na miejscu. Inni znów wysyłają dzieci pod opieką zaufanych aryjczyków do Warszawy.

13 kwietnia

Noc przeszła spokojnie, lecz panika wśród Żydów jeszcze bardziej się wzmogła. Od rana oczekiwali lada godzina zjawienia się żandarmów i gestapowców. Znaczna część Żydów gdzieś znikła — wyszła za miasto lub ukryła się nie wiadomo gdzie. Niektórzy gorączkowo coś wynosili, załatwiali jakieś swoje pilne sprawy. Na miasto wyległy wszystkie szumowiny, zjechało się sporo furmanek ze wsi i wszystko to niemal cały dzień stało w oczekiwaniu, kiedy można będzie przystąpić do rabunku. Z różnych stron dochodzą wiadomości o skandalicznym zachowaniu się części ludności polskiej i rabowaniu opuszczonych żydowskich mieszkań. Pod tym względem nasze miasteczko z pewnością nie pozostanie w tyle.

Żydzi mnóstwo rzeczy oddali na przechowanie mieszczanom i chłopom. Przez cały dzień ludzie nosili jakieś toboły, kosze, maszyny do szycia itp. Za przechowanie w ciągu kilku dni dzieci i dorosłych dawano ogromne pieniądze, lecz chłopi z bliskich wsi boją się, bo za ukrywanie Żydów grozi kara śmierci, a donosicieli wszędzie jest pełno. Więcej wyworzą dzieci do dalszych wsi, o czym wiem z pewnością.

Po południu Żydów prawie nie było widać. Wpłynęło to od razu na znaczne obniżenie cen na produkty wiejskie, bo zabrakło kupujących Żydów. Wśród ogółu mieszkańców napięcie też ogromne. Wiele osób chciałoby, żeby to już prędzej się skończyło — albo tak, albo tak, bo jednak ten paniczny nastrój Żydów udziela się wszystkim.

15 kwietnia

Wczoraj pod wieczór wśród Żydów nastąpiło nieznacznie odprężenie, ponieważ do Bełżca nie poszedł żaden pociąg i nie nadchodziły złe wieści z sąsiednich miast i miasteczek. Dzisiaj to samo, chociaż większość ukrywa się w dalszym ciągu i na ulicach widać Żydów bardzo mało. Za to rozmównica telefoniczna w urzędzie pocztowym jest formalnie oblężona. Wprost trudno przecisnąć się przez tłum Żydów oczekujących na połączenie z najrozmaitszymi miastami.

Wczoraj wieczorem ze stacji w Szczebrzeszynie ktoś dał znać do żandarmerii, że wśród publiczności jest kilku Żydów. Żandarmi złapali pierwsze napotkane konie, a przypadkowo były to szpitalne, i pośpieszyli na stację. Zatrzymali tam 8 Żydówek i Żydów odjeżdżających nielegalnie w kierunku na Warszawę. Podobno już 5 z nich rozstrzelano dzisiaj w Zwierzyńcu, gdzie zwykle odbywa się egzekucja.

Wczoraj rano wpadł do mnie pop prawosławny z pretensją, że mu już trzeci dzień z rzędu podczas nabożeństwa ktoś wybija kamieniami szyby w obecnej cerkwi. Podejrzewał, że może ktoś ze szpitala. Ale wkrótce wyjaśniło się, że łobuzy z ulicy strzelają kamieniami z procy.

19 kwietnia

Kilka dni przeszło zupełnie spokojnie. Pociągi z Żydami do Bełżca nie idą. Żydzi nabierają otuchy i mają nadzieję, że może ta nawałnica już minęła. Ale pewności jeszcze nie ma. Gubią się w domysłach, co wpłynęło na to nagłe wstrzymanie masowego tępienia.

Z obozu w Oświęcimiu wrócił Król, b. tłumacz magistracki, aresztowany rok temu. Wypuszczono też Romana Waligórę, który przesiedział w Oświęcimiu prawie pełne dwa lata.

O północy z 17. na 18. IV. usłyszeliśmy nagle wściekłą strzelaninę w mieście, gdzieś blisko szpitala. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć. W pierwszej chwili sądziliśmy, że zaczęło się łapanie Żydów, lecz wkrótce wszystko ucichło. Jak się okazało, upił się policjant granatowy Gał, wszczął jakąś awanturę i zaczął potem strzelać. Najwięcej strachu mieli Żydzi.

23 kwietnia

Wczoraj jeździłem do Biłgoraja wyjaśnić różne sprawy szpitalne, głównie aprowizacyjne, w związku z wstrzymaniem przydziałów. I właściwie nic nie załatwiłem, bo nikt nic nie wie i nie może udzielić żadnych ścisłych informacji. Najczęstsza odpowiedź: róbcie jak chcecie. Miałem wrażenie, że bałagan staje się coraz większy. Nowy starosta, Kreishauptmann, wprowadza jakieś swoje nowe porządki, zaczynając od chodnika przed budynkiem starostwa. Miasto ospałe, na ulicach bardzo mało ludzi, zwłaszcza niewielu widzi się Żydów, do których oko było tak przyzwyczajone. Eksmitowano właśnie z lepszych domów rodziny aryjskie — tak się dzisiaj już przyzwyczajono określać nie-Żydów — dla rodzin gestapowców, które mają przyjechać z Niemiec. Dochodzą nas wiadomości o silnym bombardowaniu Niemiec przez lotników amerykańskich i angielskich i o tym, że kto tylko ma możność, wyjeżdża na bezpieczniejsze tereny.

Zachodziłem do szpitala w Biłgoraju. Dyrektora Pojaska nie zastałem, wyjechał do Warszawy, rozmawiałem z siostrą przełożoną i z jednym z urzędników. Na wiele pytań nie mogli udzielić mi odpowiedzi. Nie wiedzieli nawet, albo może nie chcieli mi powiedzieć, ile gramów chleba dziennie dostają chorzy, służba i personel.

Dzisiaj mieliśmy u siebie niemałą emocję. Około godz. 10 rano w mieście wszczął się ruch i bieganina, łapano jakichś trzech rzekomych „bandytów", którzy byli u księdza kanonika i jeden z nich zaczął strzelać. Wkrótce przywieziono mi do szpitala rannego żołnierza niemieckiego z lotnictwa. Trzech Niemców jechało samochodem ciężarowym. Widząc,

że żandarmii i policja kogoś gonią, zatrzymali samochód i szofer wyskoczył chcąc strzelać, lecz uciekający uprzedził go i strzelił pierwszy, raniąc w udo. Kość udowa została przy tym naruszona. Nałożyłem pierwszy opatrunek i unieruchomiłem kończynę w szynie. Po godzinie karetka niemieckiego Czerwonego Krzyża zabrała go do szpitala niemieckiego w Zamościu. Przez ten czas uganiano się za uciekającymi. Jednego w końcu zabito gdzieś koło rzeki na łąkach, drugi wskoczył na przejeżdżającą furmankę, zrzucił z niej chłopa i sam popędził w kierunku na Zwierzyniec, trzeci uciekł podobno na rowerze. W obławie brała udział policja żydowska, która czynna tu jest od wczorajszego dnia. Należy do niej ośmiu młodych Żydów w czapkach z niebieskim otokiem i zaopatrzonych w pałki gumowe. Mają nawet jakieś szarże, oznaczone dwiema lub trzema gwiazdkami na czapkach.



Wkrótce po odjeździe rannego Niemca zjawiło się czterech żandarmów polowych, dwóch oficerów i dwóch podoficerów w hełmach i z półksiężycowymi blachami na łańcuchu, na piersiach. Pytali mnie o różne szczegóły, zapisali moje personalia itp. Było w mieście trochę obawy, żeby nie wzięto jakichś zakładników lub coś w tym rodzaju, ale jakoś dzień przeszedł spokojnie.

Spotkałem na ulicy Króla, który przed kilkoma dniami wrócił z Oświęcimia. Wygląda wcale dobrze i jakoś nie znać na nim tego, co przeżył w ciągu roku.

24 kwietnia

Mówił mi dzisiaj burmistrz Kraus, że żandarmi polowi byli wczoraj i u niego i pytali jakim prawem udzieliłem pomocy lekarskiej rannemu żołnierzowi niemieckiemu, kto mnie do tego upoważnił itd. Burmistrz wytłumaczył, że zrobiłem to z polecenia oficera, który przywiózł rannego do szpitala i że w mieście nie ma lekarza Niemca. Dziś rano ów oficer sam osobiście przyniósł mi zaświadczenie, że udzieliłem pierwszej pomocy rannemu, z wyrażeniem mi za to podziękowania.

Od rana przed magistratem gromadziły się tłumy Żydów. Z Urzędu Pracy w Zamościu przyjechał inspektor Niemiec, żeby zabrać 350 Żydów do obozu pracy w Kulikowie, gm. Nielisz, gdzie mają prowadzić jakieś roboty melioracyjne. Wzięto zaledwie 63 Żydów. Wobec niedostatecznej liczby należy spodziewać się łapanki i innych represji. Tak przynajmniej mówił mi dziś burmistrz, który jako Niemiec dobrze jest o wszystkim poinformowany.

28 kwietnia

Jeździłem do Zamościa. Po drodze między Szczebrzeszynem a cukrownią liczne baraki wojskowe tak zmieniły wygląd okolicy, że trudno ją poznać. Pod Zamościem między Janowicami a stacją kolejową, po prawej stronie szosy, Niemcy stawiają jakieś duże budynki murowane, przeznaczone na warsztaty i chyba jakieś składy kolejowe. Sam Zamość jakby wymarły, na ulicach ruch minimalny. Sklepów w ogóle mało, spożywcze puste, trochę jakichś namiastek, jarzyn i podejrzanych cukierków. Przybyło sporo nowych sklepów niemieckich.

Ubiegłej nocy aresztowano w Zamościu większą liczbę osób, wyłącznie ze sfer robotniczych, komunizujących, przeważnie tych, którzy w czasie krótkotrwałego pobytu wojsk radzieckich w październiku 1939 r. byli w czerwonej milicji.

29 kwietnia

Wczoraj wydano w Biłgoraju zarządzenie, zabraniające Żydom chodzenia po głównej ulicy. Dziś rano zastrzelono na ulicy 4 Żydów, którzy zlekceważyli ten zakaz.

Masowe wywożenie Żydów do Bełżca ustało, natomiast coraz więcej ze wszystkich stron słyszymy o rozstrzeliwaniach ich na ulicach, na drogach itd. Przed kilkoma dniami w Zwierzyńcu rozstrzelano 4 członków Judenratu.

1 maja

Wczoraj, podobnie jak w zeszłym roku, uciekł z domu mój 11-letni Tadzio. Dziś przed wieczorem wrócił. Mieliśmy dużo niepokoju, szukaliśmy go na wszystkie strony. Poszedł do lasu „do partii". Ktoś tam rzeczywiście spotkał. Potem udał się do Kosobud, tam zobaczył go znajomy urzędnik nadleśnictwa O. Z., zaopiekował się nim i namówił, żeby wrócił do domu.

5 maja

Najważniejszym tematem rozmów są obecnie napady dywersantów, desanty itp. Po lasach, a właściwie po wsiach położonych wśród lasów, gromadzi się coraz więcej uzbrojonych ludzi. Różne są tam grupy: i polityczne polskie i radzieckie i zwykli bandyci. Nieraz trudno jest zorientować się, kto dokonał danego napadu. Ostatnio większy napad był na wieś Chłopków. Ranna kobieta przebywa u mnie w szpitalu.

Przed paru dniami do Turobina przyjechało 3 gestapowców i ich szofer. We czterech zabili 107 Żydów. Teraz dochodzą nas, niesprawdzone jeszcze, wiadomości o zabiciu 2 gestapowców w Izbicy. Faktem jest tylko, że Niemców obleciał strach. Posterunek żandarmerii w Szczebrzeszynie jest tak zamknięty, że nikt tam nawet w dzień nie może dostać się bez specjalnego wylegitymowania się.

7 maja

Dzis rano policja granatowa, z policją żydowską, przy pomocy kilku cywilów Polaków aresztowała 5 Żydów i 8 Żydówek, w tej liczbie dentystę Natana Bronszteina i jego 75-letniego ojca. Zabrano ich najpierw na posterunek policji, potem odprowadzono do aresztu przy magistracie. Nikt dobrze nie wie, czy wzięto ich jako zakładników za tych, których nie mogli znaleźć, czy też jako podejrzanych o komunizm lub coś w tym rodzaju. W każdym razie los ich jest bardzo niepewny. Telefonowałem do lekarza powiatowego w Biłgoraju, dra Snackiego, prosząc o ewentualną interwencję w sprawie dentysty Bronszteina, który z aresztu napisał do mnie błagalny, rozpaczliwy „gryps".

W Zwierzyńcu przed kilkoma dniami aresztowano Edwarda Newlaczila i Świąteckiego, robotnika z tartaku, ojca młodego Świąteckiego, który zwiał już po aresztowaniu w tym samym dniu, kiedy zabrano Brandta.

8 maja

Dziś przeżyliśmy okropny dzień. Nie mogę przyść do siebie i ochłonąć z wrażenia. O godz. pół do czwartej w nocy wywieziono z miasta w kierunku na Zwierzyniec 2 Żydówki i 5 Żydów: ojca i syna Bronszteinów, starego bogatego kupca Bronszpigla, bogatego młodego kupca Ferszta i skromnego krawca Szera. Tuż koło swego domu Ferszt zeskoczył z furmanki i zaczął uciekać, lecz został zabity na miejscu. Nikt nie ma wątpliwości, że wywiezionych rozstrzelano w Zwierzyńcu.

Około godz. 3 po południu zaczęło się w mieście istne piekło. Przyjechało z Zamościa paru uzbrojonych gestapowców. Najpierw zażądali stawienia się w ciągu godziny 100 Żydów do pracy, po czym przy pomocy miejscowej żandarmerii zaczęli wśród Żydów swą krwawą robotę. Strzały słychać było bez ustanku. Strzelano do ludzi jak do kaczek, zabijano też i po mieszkaniach, bez wyboru, mężczyzn, kobiety i dzieci. Liczby zabitych i rannych niepodobna obliczyć ściśle. Z pewnością można powiedzieć jedynie to, że nie było ich mniej niż sto. Gdy już byli pierwsi ranni, przylecieli Żydzi do mnie prosząc o ratunek, o doraźną pomoc, o przyjęcie do szpitala. W pierwszej chwili bez namysłu dałem nosze i kazałem przynosić rannych do szpitala. Potem zastanowiłem się, czy nie pociągną mnie za to do odpowiedzialności. Zatelefonowałem do policji prosząc o informacje. Otrzymałem stamtąd odpowiedź, żeby rannym Żydom nie udzielać żadnej pomocy do czasu wyjaśnienia ze strony gestapowców. Nie mogłem się uspokoić i zatelefonowałem jeszcze do lekarza powiatowego. Ten kategorycznie oświadczył mi, że pod żadnym pozorem nie wolno przyjmować Żydów rannych z tego rodzaju akcji masowej. Postawiłem przed szpitalem parę osób ze służby, ażeby wszystkim zgłaszającym się, i to w coraz większej liczbie, tłumaczono, że zabroniono nam udzielać pomocy rannym Żydom.

Całe moje szczęście, że nie uległem błaganiom Żydów. Nie uratowałbym nikogo z nich i sam z pewnością zginąłbym. Około godz. 4 zjawili się u mnie dwaj gestapowcy, jeden żandarm miejscowy i policjant gra-

natowy, wszyscy z karabinami, jak gdyby dymiący jeszcze krwią i w brutalnej, ostrej formie pytali, czy nie udzieliłem pomocy jakiemukolwiek rannemu Żydowi i czy nie ukrywam Żyda w szpitalu. Upewniłem, że nie mam ani jednego. Obeszli cały szpital. Zagrozili mi, że jeżeli kogo znajdą, to wezmą mnie ze sobą. To samo powiedzieli intendentowi. Wyszli głównym wejściem i za chwilę przez przełaz w murze od tyłu znów przyszli na teren szpitala. Złapali jednego Żyda, który pracował tu zupełnie legalnie przydzielony do nas przez tzw. Arbeitsamt. Wzięli go na posterunek, ale zaraz puścili.

Około godz. 5 gestapowcy, syci krwi, wyjechali ze Szczebrzeszyna. Żydzi pogrążeni są w rozpaczy. Żydówki wyrywają włosy z głowy i lamentują, ale jakoś inaczej niż zwykle: cicho, bez krzyku, bez charakterystycznych wrzasków. Żydzi z łopatami poszli na kirkut kopać mogiły. Zaczęto furami wywozić zabitych. Lekarz Żyd dr Bołotny przybiegł do mnie prosząc o pomoc, bo jest zupełnie bezradny wobec dużej liczby rannych i w dodatku bardzo ciężko. Stosując się do surowego zakazu zmuszony byłem odmówić, lecz ta niezgodność z moim sumieniem lekarskim roztrzęsła mnie nerwowo jak rzadko kiedy. Przed oczyma wciąż widzę wóz z rzuconymi byle jak trupami zabitych, Żydówkę słaniającą się w niemej rozpaczy z nieżywym dzieckiem na ręku, na noszach przed szpitalem skrawionych rannych, do których nie wolno mi było nawet podejść.

9 maja

Oczywiście w mieście o niczym innym się nie mówi, jak o wczorajszym pogromie. W Żydowskim Domu Izolacyjnym dla chorych na tyfus plamisty, gdzie umieszczono rannych, już paru dzisiaj umarło. Wciąż przychodzili do mnie i do innych lekarzy Żydzi i dr Bołotny, prosząc o ratunek dla rannych, lecz nikt z nas nie mógł pójść nawet na konsylium, nie mówiąc już o operowaniu. Ja w końcu zgodziłem się, ale pod jednym, nieodzownym, warunkiem, że przyniosą mi odpowiednie pismo od miejscowej żandarmerii, upoważniające do udzielenia pomocy Żydom. Lecz takiego pisma nie zdołali uzyskać.

Dzisiaj o świcie niektórzy Żydzi zaczęli uciekać z miasta, inni stali na drogach i zatrzymywali ich, żeby nie ściągnąć na siebie jeszcze większego nieszczęścia. O 8 rano 60 kilku Żydów stawiło się przed magistratem. Zabrano ich do Kulikowa do robót melioracyjnych.

Wszyscy mamy wrażenie, że to jeszcze nie koniec.

Dowiedziałem się dzisiaj, że wczorajszą wizytę gestapowców w szpitalu zawdzięczam niejakiemu Wójtowiczowi, który podszedł do granatowego policjanta towarzyszącego gestapowcom i powiedział, że ja w szpitalu ukrywam Żydów, wymienił nawet parę nazwisk. W ogóle zachowanie się pewnej części ludności polskiej pozostawiało wiele do życzenia. Śmiano się, żartowano, wielu łazików poszło na tzw. „zatyły" czyli do dzielnicy żydowskiej, wypatrując, czy nie da się czegoś zrabować w opuszczonych domach.

Jako ciekawy szczegół opowiadano mi, że po zakończonej akcji gestapowcy zażądali od Judenratu 3 kg kawy i 2.000 zł za zużyte kule.

11 maja

W sobotę 9. V. w Zwierzyńcu aresztowany został Mirosław Rybicki, urzędnik ordynacki, popularnie zwany „dziadziem". Starego Świąteckiego wypuszczono.

Dziś przed godz. 8 rano, po wyprowadzeniu z aresztu, rozstrzelano tuż przed magistratem Żyda Kligiera, drukarza, b. właściciela małej drukarenki.

13 maja

W mieście sensacja. Zatrzymał się tu na kilka godzin oddział konnych żandarmów w liczbie około 130 ludzi. Jechali w szyku bojowym, po bokach szosy, w dużych odstępach. Prawdopodobnie pojechali gdzieś na obławę na dywersantów, których w całej okolicy jest coraz więcej.

W poniedziałek 11. V., po południu 3 gestapowców urządziło straszliwy pogrom Żydów w Józefowie Ordynackim, zabijając sto kilkadziesiąt osób. Nawet Niemiec Becker, träuhender „Alwy", który przypadkowo znalazł się wówczas w Józefowie, opowiadał potem w biurze, że to było coś potwornego, coś, czego nie da się opisać i nie mógł ochłonąć z wrażenia, pomimo że zawsze pienił się na Żydów i mówił, że należałoby ich wszystkich wytępić.

15 maja

Wczoraj w ciągu dnia przechodziło przez Szczebrzeszyn dużo zmotoryzowanych oddziałów wojskowych w kierunku na Zamość. Przypuszczamy, że ma to związek z rozpoczętą nową ofensywą niemiecką na froncie wschodnim.

Wczoraj po południu dwaj miejscowi żandarmi i jeden „granatowiec" pojechali na wyprawę na Żydów do Gorajca. Wysłany przez tutejszych Żydów umyślny posłaniec przywiózł wiadomość, że zabito tam 14 Żydów.

16 maja

Dziś nad ranem żandarmi zastrzelili 3 Żydów. Siedzieli oni w areszcie, a gdy ich wyprowadzono, rzucili się do ucieczki. Wolą paść trupem na miejscu w rodzinnym miasteczku, aniżeli jechać na egzekucję do Zwierzyńca. Wśród zabitych jest żona b. ławnika Bergera, bogatego kupca żelaznego, który z Armią Czerwoną wyjechał na wschód. Jednemu, jednak, Dajlesowi, udało się uciec.

17 maja

Wciąż słyszymy o napadach bandyckich, dywersyjnych itd. Pozawczoraj wieczorem był napad na pałac ordynata Zamoyskiego w Zwierzyńcu. Podobno brało w nim udział 8 uzbrojonych ludzi, wśród nich je-

den Żyd z opaską na ramieniu. Przed paru dniami dokonano napadu na stację Susiec. Wczoraj pod Korytkowem ostrzelano z karabinu maszynowego auto starościńskie. Po wsiach pełno dywersantów, chłopom zabierają przede wszystkim żywność. Trudno zorientować się co to za jedni. Są tam różne typy: polscy partyzanci, radzieccy, niemieccy dezerterzy, zwykli bandyci itd. Policja granatowa jest właściwie bezradna, żandarmeria niemiecka też. Nie mogą w żaden sposób opanować groźnego ruchu dywersyjnego, który rozszerza się w skali zastanawiającej.

18 maja

Na rozłopskiej szosie żandarmi zastrzelili dziś dwie Żydówki, córki starego malarza Lemera.

19 maja

Dziś w nocy zabity został przed magistratem Żyd Gelernter. Wyprowadzono go z aresztu, żeby zawieźć do Zwierzyńca na egzekucję. Nie chciał wejść na furmankę, wolał umrzeć na miejscu. Zwłoki zabitego leżały przed magistratem do godz. 8 rano.

Nad ranem przywieziono mi do szpitala dwóch rannych chłopów. Jednego postrzelili na szosie żandarmi, ponieważ zobaczywszy ich zaczął uciekać, drugiego zaś, sołtysa wsi Sąsiadka — bandyci, którzy obrabowali najpierw sklep spółdzielczy, a potem przyszli do niego.

Dziś o godzinie 6 wieczorem zarządzono za pomocą syreny próbny alarm przeciwlotniczy. Widocznie znów zaczynają myśleć o możliwości nalotu. Poza tym Niemcy coraz więcej boją się dywersantów. „Nasi" żandarmi siedzą zamknięci jak w fortecy, nawet w dzień nikt nie ma do nich dostępu.

21 maja

Jeździłem dziś do Zwierzyńca i przy sposobności wstąpiłem do Archiwum O. Z. Przyjemnie mi było zobaczyć, że znajduje się ono w stanie nienaruszonym. Opiekuje się nim stary Galiński, a pracują stale dwie osoby bardzo porządnie wszystko prowadząc, sprawdzając, porządkując itd. Znacznie większy panuje tam teraz ład, aniżeli przy Potockim. Archiwum podlega niemieckiemu „Archivamt"-owi w Lublinie. Naczelny kierownik tego urzędu przyjeżdżał kilka razy do Zwierzyńca i bardzo dobrze ustosunkował się do Archiwum. Interesował się specjalnie kolonistami niemieckimi na terenie Zamojszczyzny i odnośne akta zabrał do Lublina. Niektóre materiały dotyczące tej kolonizacji jeszcze przedtem wziął starosta biłgorajski.

Wśród starych urzędników ordynackich panuje wielkie niezadowolenie i niepokój i z powodu mianowania na zastępcę plenipotenta, Niemca, inż. Molińskiego, obecnego dyrektora cukrowni Klemensów, znanego już ze swej bezwzględności i nie cieszącego się sympatią. Spodziewają się

dużych redukcji personalnych i wprowadzenia szeregu zarządzeń oszczędnościowych.

Szczebrzeszyn jest pod wrażeniem napadu rabunkowego, dokonanego dzisiejszej nocy na współwłaściciela dużego młyna, Drożdżyka. Takież napady miały miejsce na gajowych w nadleśnictwie kosobudzkim: Kawkę i Lota, na spółdzielnię w Korytkowie i w szeregu innych miejscowości. Napastnicy kpią sobie z policji i żandarmerii, polecając poszkodowanym zawiadomić o swojej wizycie żandarmerię.

W Zamościu wczoraj, w godzinach przedpołudniowych zabrano z biur, urzędów itp. około 200 ludzi. Część ich wypuszczono, resztę podobno wywieziono na roboty do Niemiec. U nas wezwania do wyjazdu do Niemiec otrzymało kilkaset osób. Mają stawić się w Urzędzie Pracy 27 maja. Młodzież będzie uciekać.



Jakaś poważniejsza sprawa zaszła w Krasnobrodzie. Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że w klasztorze mieli znaleźć broń i amunicję ukryte tam jeszcze we wrześniu 1939 r. W związku z tym aresztowano kilkanaście osób. Wielu uciekło.

22 maja

Wczoraj jakaś grupa dobrze uzbrojonych ludzi zaczepiła dwóch policjantów koło wsi Podlesie. Jeden zdołał uciec, drugi — Soroka został ciężko ranny.

Żyjemy w denerwującej atmosferze. Co dzień rano, gdy ludzie się spotykają i witają, zadają sobie przede wszystkim pytania: „Kogo dziś aresztowano? Ilu Żydów rozstrzelano? Na kogo był napad?" itp. Są to u nas wydarzenia absolutnie codzienne i przestały już być sensacją. Powoli do wszystkiego można się przyzwyczaić. Teraz ludzie specjalnie obawiają się nadchodzących pojutrze Zielonych Świąt.

24 maja

Pierwszy dzień Zielonych Świąt. Wczoraj wieczorem o godz. 11 usłyszeliśmy bardzo silny wybuch. Zerwaliśmy się z łóżek do okna, lecz nic nie było widać, ruchu żadnego, cisza zupełna. Dziś rano dowiedziałem się, że w małej uliczce naprzeciw kościoła wybuchł granat ręczny. Są różne przypuszczenia, że rzucili go dywersanci, podobno widziano dwóch cywilów z karabinami. Po wybuchu nikt z policji ani z żandarmerii na mieście się nie pokazał. Jeden szczegół jest całkiem komiczny. Zaraz po ogłuszającym wybuchu posterunek żandarmerii zapytywał dyżurną tele-

fonistkę, czy ona przypadkiem nie wie, co to było. Dopiero dzisiaj rano prowadzono długie badania na miejscu, szukając odłamków granatu.

Dochodzą wiadomości o nowej fali likwidowania Żydów w Krasnobrodzie, w Zamościu, w Tomaszowie. Wśród naszych Żydów znów przerażenie i niepokój. Lecz nie lepiej jest i z nami. Wciąż spodziewamy się aresztowań i łapanki. Już parę razy widziano na mieście gestapowca Mazurka i b. bernardyna z Radecznicy, gestapowca Maksymiliana. Jest to zły znak. Ludzie znów w domu nie nocują i tułają się po różnych dziurach. Gdybym tylko mógł, chętnie wyjechałbym ze Szczebrzeszyna.

27 maja

Jeździłem dziś do Zamościa, parę godzin spędziłem w szpitalu. Mogłem naocznie przekonać się, że pomimo dużych braków mój szpital pod wieloma względami jest lepiej wyposażony, aniżeli zamojski. Tak np. nie mieli dziś ani jednej ampułki kamfory, ani kawałka waty, ani odrobiny gipsu itd. Zdziwiłem się bardzo, że dotychczas nie mają żadnego zarządzenia ograniczającego przyjmowanie Żydów do szpitala. Przyjmują więc ich w dalszym ciągu, tak jak i dawniej, na wszystkie oddziały. Wyjątek stanowi tyfus plamisty, ponieważ istnieje specjalny żydowski dom izolacyjny dla tego rodzaju chorych. Nawet Żydów rannych podczas ostatniego strasznego pogromu przyjmowano bez żadnych kwestii.

Cały Zamość żyje głównie pod wrażeniem napadów. Jak dochodzą wiadomości ze źródeł zbliżonych do zamojskiego Gestapo, otrzymuje ono ze swego terenu przeciętnie około 30 meldunków dziennie o dokonanych w różnych miejscach większych i mniejszych napadach. W akcji odwetowej Niemcy mszczą się w ten sposób, że z poszczególnych wsi rozstrzeliwują kilku chłopów za rzekome przechowywanie u siebie dywersantów, potem palą kilkanaście chałup. Tak było w Sitnie, w Horyszowie i innych wsiach pod Zamościem. Po różnych miasteczkach i w Zamościu na nowo biorą masowo Żydów, przeważnie starszych, po sześćdziesiątce i wywożą gdzieś w niewiadomym kierunku.

Dowiedziałem się przy sposobności, że w Krasnobrodzie, w czasie masowej obławy na ludność polską, został aresztowany dr Łastawiecki, lecz wypuszczono go tego samego dnia, po dotkliwym pobiciu.

28 maja

Dziś o godz. 13 min. 20, czyli w biały dzień, dokonano napadu na biuro cukrowni Klemensów. Wszyscy urzędnicy byli wówczas w biurze. W napadzie brało udział zaledwie trzech mężczyzn. Zabrali z kasy 50.000 złotych i zupełnie spokojnie opuścili teren fabryki, udając się w kierunku stacji Klemensów. Kilku robotników rzuciło się za nim w pogoń, wówczas jeden z nich cisnął ręcznym granatem i tym odstraszył goniących [1].

[1] W roku 1944 omawiałem z komendantem Adamem tematy, jakie należałoby opracować do późniejszej historii walk podziemnych w Zamojszczyźnie podczas

Przed kilku dniami zjawili się nieproszeni goście w nadleśnictwie na Floriance pod Zwierzyńcem u Paprockich i we dworze u Zakrzewskich w Górecku. W obydwóch wypadkach byli to rzekomo Rosjanie, którzy nic nie zrabowali, zachowywali się przyzwoicie i żądali dla siebie tylko jedzenia. Tych napadów dookoła jest już takie mnóstwo, że nawet niepodobna prowadzić jakiejś ściślejszej ich ewidencji.

Wśród Żydów w Szczebrzeszynie panuje wciąż silne przygnębienie i niepokój o dalszy los. Wszyscy — i starzy i młodzi, i mężczyźni i kobiety, starają się o to, żeby zatrudnić ich gdziekolwiek na miejscu. Tym sposobem chcą zabezpieczyć się przed ewentualnym wywiezieniem. Do szpitala ciśnie się mnóstwo Żydów, prosząc o przyjęcie do roboty. Wprost nie można się opędzić. Nie chcę z nikim rozmawiać, bo każdy zwraca się przede wszystkim do mnie, powołując się na dobrą znajomość, i odsyłam do gospodarza. W rezultacie w ogrodzie pracuje teraz około 15 Żydów, bez żadnego wynagrodzenia i nawet bez żywienia, bo tylko trzech biedaków dostaje z kuchni coś do jedzenia. I wszyscy uważają to za wielkie szczęście dla siebie.

Mam do zanotowania bardzo przykry fakt świadczący o ludzkiej podłości. Mieszka w Szczebrzeszynie już od szeregu lat nauczyciel szkoły powszechnej Leopold Rytko, który zawsze miał opinię człowieka mało wartościowego. Od dłuższego czasu mówi się o nim jako o typie mocno podejrzanym i niepewnym. Nie miałem jednak żadnych konkretnych dowodów przeciwko niemu i dlatego zawsze puszczałem mimo uszów to, co o nim mówiono. Otóż dowiedziałem się teraz z ust dentystki Bronszteinowej, wdowy po rozstrzelanym dentyście Natanie, że przychodził do niej kilka razy ów Rytko w towarzystwie niejakiego Hałochy i żądał 5.000 zł, grożąc, że w przeciwnym razie i ona będzie rozstrzelana. Bronszteinowa stanowczo odmówiła, twierdząc, że pieniędzy nie ma i że po straceniu męża śmierć nie jest dla niej straszna. Zaczęli wówczas obniżać żądaną sumę najpierw na 3.000 zł, potem na 1.000, wreszcie tak przyparli do muru nieszczęsną kobietę, że dała im na odczepnego 500 zł i zobowiązała się leczyć bezpłatnie zęby wstawiając koronki itp. całej rodzinie Rytki

1 czerwca

Kilka dni przeszło spokojnie, bez żadnych wydarzeń. Ale ludzie w dalszym ciągu spodziewają się aresztowań, o czym wciąż wszyscy mówią, jak również łapanki młodzieży, ponieważ pomimo wezwań na 27. V. prawie nikt się nie stawił. Z Żydami, u nas przynajmniej, też jakoś ucichło.

Dzisiaj minął rok od masowych aresztowań w Szczebrzeszynie. Daty te są tak dla mnie pamiętne, że chyba nigdy ich nie zapomnę. Przeżycia były zbyt silne. Nie zrozumie tego nikt, jeżeli na własnej skórze nie poczuje ciężkiej, brutalnej, podłej niemieckiej łapy.

W Tomaszowie po powrocie z więzienia w Lublinie umarł na chorobę serca bardzo popularny lekarz tamtejszy dr Stefan Cybulski.

okupacji niemieckiej. W wykazie szeregu akcji dokonanych przez zamojską dywersję umieściłem m. in. i ten napad na kasę cukrowni. Major Adam jednak oświadczył mi, że ten temat trzeba wykreślić, ponieważ napadu dokonał jeden z dywersantów bez rozkazu, na własną rękę, dla swojej korzyści.

3 czerwca

Wczoraj koło godz. 10 wiecz. żandarmi przywieźli do szpitala ze Szperówki rannego partyzanta radzieckiego. Podobno postrzelili go jacyś bandyci, gdy przechodził drogą koło wsi. W szpitalu była wielka sensacja. Ja miałem dużo kłopotu, ponieważ oddano mi go pod opiekę z surową odpowiedzialnością w razie gdyby uciekł. W nocy wstawałem i kontrolowałem służbę, czy dobrze go pilnuje. Dziś po południu zjawili się z Biłgoraja trzej gestapowcy dla przesłuchania go. Jeden z nich, Mrozik, mówił bardzo dobrze po polsku i trochę po ukraińsku. Mieli ze sobą ręczny karabin maszynowy. Zachowywali się zupełnie przyzwoicie, nawet czapki zdjęli na sali chorych. Na noc dzisiaj postawiono na warcie policjanta granatowego. Przy sposobności kierownik policji granatowej zażądał pokazania spisu chorych, znajdujących się w szpitalu, oraz wykazu pracowników szpitalnych. Zapytywał o jakiegoś pana lub panią Samborską. Widać było, że kogoś szukają.

4 czerwca

Wczoraj wieczorem na ulicy aresztowano Stanisława Bryłowskiego, b. studenta Uniwersytetu Lubelskiego, i młodego chłopca Kitę z Przedmieścia Zamojskiego. U tego znaleziono karabin maszynowy i sporo amunicji. Parę tygodni wstecz w cukrowni aresztowano Łasochę, b. ucznia 3 klasy gimnazjum.

5 czerwca

Dziś o godz. 6 rano żandarmi zabrali ze szpitala rannego partyzanta sowieckiego. Rozstrzelano go w polu koło stacji Szczebrzeszyn.

W mieście nastrój przygnębienia. Na ulicach pustki. Młodzież dostała już po raz drugi wezwania do stawienia się w Urzędzie Pracy celem wywiezienia do Niemiec. Za pierwszym razem zgłosiło się zaledwie parę osób. Każdy kto może ukrywa się lub wyjeżdża. Spodziewamy się bowiem łapanki ogólnej; jesteśmy pewni, że Niemcy nie przejdą nad tym do porządku dziennego. Dochodzą też wiadomości o pojawieniu się w mieście kilku nowych tajniaków gestapowskich, którzy łażą po mieście i coś węszą. Wszystko każe przypuszczać, że czekają nas różne niespodzianki.

Dowiedziałem się trochę szczegółów o Krasnobrodzie. Znaleziono tam na terenie b. klasztoru broń i aresztowano 4 osoby, które trzymają dotychczas. Wójta, komendanta policji i dra Łastowieckiego wypuszczono. Wszyscy żyją tam pod grozą codziennych prawie napadów bandyckich. Policja i żandarmeria są zupełnie bezsilne.

6 czerwca

Wczoraj aresztowano strycharza cegielni ordynackiej koło cukrowni — Prokopa z żoną, starszych już ludzi, u których podczas rewizji znaleziono sztandar szczebrzeskiego „Sokoła", rewolwer i aparat radiowy. Córka ich zdołała uciec.

Jesteśmy wstrząśnięci niespodziewaną śmiercią inż. Kazimierza Środulskiego z fabryki „Alwa". Ostatnimi czasy mocno popijał, poprzedniego dnia nawet bardzo, dziś do godz. 4 był zupełnie zdrów i pracował normalnie, nagle zaczął skarżyć się na jakieś zaburzenia wzrokowe, po kilkunastu minutach stracił przytomność, a po paru godzinach już nie żył. Zmarł wskutek bardzo ostrej uremii i obrzęku płuc. Miał lat zaledwie 37, był zdolny, pełen życia i energii, której nie miał gdzie wyładować.

15 czerwca

Przeszło tydzień minął zupełnie spokojnie i nie miałem nic ważniejszego do zanotowania. Jednak wszyscy żyjemy z myślą, co nam przyniesie jutrzejszy dzień, bo wciąż oczekujemy jakichś niezwykłych wydarzeń.

Ale za to dzisiaj miasto zostało poruszone nie byle jakim wypadkiem. Wczoraj około godz. 10 wiecz. we własnym mieszkaniu został zabity nauczyciel Leopold Rytko [1]), o którym od pewnego czasu było wiadome, że współpracuje z Gestapo. Weszli do niego dwaj mężczyźni i oddali kilkanaście strzałów, kładąc trupem na miejscu. Następnie opuścili mieszkanie i odjechali na rowerach w stronę cukrowni. Wiadomość o tym rozeszła się dopiero dzisiaj rano. Przyjechało Gestapo, zatrzymali na ulicy kilku młodych ludzi jadących rowerami, niektórych wypuścili, a Leonarda Jurczykowskiego, Czesława Kołodziejczyka i Stanisława Janickiego osadzili w areszcie miejskim. Przez cały dzień kręcili się gestapowcy po mieście. Były poważne obawy, że będą brali zakładników. Bardzo wiele osób zwiało. Zabitego Rytki nie żałuje w mieście nikt, przeciwnie, panuje ogólne zadowolenie, bo uważano go za niebezpiecznego szkodnika. Padł tylko niesamowity strach na jego najbliższych kompanów. Ale nastrój w mieście jest bardzo niepewny, ludzie są zdenerwowani, nie śpią po nocach, nasłuchują, czy Niemcy nie idą.

17 czerwca

Przeżyliśmy dwa dni okropne. Wczoraj zjawili się w mieście gestapowcy, chodzili przebrani po cywilnemu, czuliśmy, że zanosi się na coś poważniejszego. W pewnym momencie rozeszła się wiadomość, że aresztowano w cukrowni Jana Baca, którego zabrano za nieobecnego syna, i młodego Antoniego Franczaka ps. „Cięciwa" [2]), syna byłego burmistrza Szczebrzeszyna, studenta Politechniki Lwowskiej, a w Szczebrzeszynie pracownika magistrackiego Galanta. Wśród mieszkańców można było wyczuć silny niepokój. Pomimo tego, wieczorem zebrało się trochę publiczności w cyrku wędrownym, który od kilku dni rozbił tu swoje namioty. Przed końcem przedstawienia weszli do cyrku gestapowcy i miejscowa żandarmeria. Kobietom i dzieciom kazali wyjść, po czym przystąpili do legitymowania wszystkich mężczyzn. Zatrzymano — jak mówią — kilkanaście osób. Dokładnej liczby nie udało mi się ustalić.

---

[1]) Jak się później dowiedziałem, napadu tego dokonali Podkowa i Osa.
[2]) Podchor., wywieziony do Oświęcimia, przepadł bez wieści .

W nocy ludzie nie spali. Czuwano przy oknach. U mnie w domu to samo. Gdy już ściemniło się, zaczął się specyficzny ruch. Chodzili po mieście gestapowcy, żandarmi i granatowa policja. Około godz. 2 w nocy żona usłyszawszy strzelaninę w pobliżu szpitala obudziła mnie. Za chwilę jakaś grupa przeszła pod naszymi oknami. Przyczaiłem się i patrzyłem, dokąd pójdą. Zatrzymali się naprzeciw bramy szpitalnej, świecąc latarkami dość długo odczytywali coś i wreszcie poszli dalej w kierunku młyna. Po pewnym czasie wracali. Były chwile, kiedy zamieraliśmy w oczekiwaniu, czy nie skierują się ku drzwiom wejściowym szpitala. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, że w bliskim naszym sąsiedztwie zabito męża i żonę Byków, u których szukano ich młodszego syna i nie zastano go w domu. Rozstrzelano dalej starego Konstantego Turowskiego [1]), bo też nie zastali tych, po kogo przyszli. Z aresztu wyprowadzono aresztowanych pozawczoraj: Kołodziejczyka, Jurczykowskiego i Janickiego i wszystkich trzech rozstrzelano na miejscu. Poprzedniej nocy projektowali oni ucieczkę z aresztu i w tym celu zaczęli rozbierać cienką ścianę oddzielającą areszt od sąsiedniego pokoju. Wartownicy usłyszeli, że coś się dzieje i rzecz cała się wykryła. Łącznie więc zabito tej nocy 6 osób.

W ciągu dnia nadchodziły wiadomości o nowych aresztowaniach, rewizjach itd. Po południu wyprowadzono z aresztu miejskiego 12 mężczyzn, ustawiono ich parami i przywiązano do długiego sznura. Byli to: 1. Jan Bac, 2. Antoni Franczak, 3. Palikot, właściciel restauracji w Szczebrzeszynie, wyróżniający się wyjątkowo małym wzrostem, 4. Kucharczyk, kierownik spółdzielni mleczarskiej, 5. Wincenty Bryłowski, b. kolejarz, obecnie współwłaściciel sklepu z konfekcją, 6. Józef Okoniewski, kierownik sklepu „Społem", 7. Jan Kitowski, urzędnik magistratu, 8. Galant, pracownik magistracki, 9. młody Adamczyk, zatrudniony w mleczarni, 10. Leon Koczon, brat poszukiwanego od roku nauczyciela, 11. jakiś czeladnik zakładu mechanicznego i 12. NN.

Przez miasto prowadzono ich powiązanych w ten sposób do ratusza, gdzie mieści się posterunek żandarmerii. Tu wsadzono do ciężarówki i wywieziono w kierunku na Biłgoraj. Są pewne obawy, czy nie spotkał ich los Żydów wywożonych do Zwierzyńca i tam rozstrzeliwanych. Ciężarówka i żandarmi, którzy przedtem pojechali bryczką do Zwierzyńca, dziwnie prędko wrócili do Szczebrzeszyna. Po Niemcach wszystkiego można się spodziewać.

W rannych godzinach zabity został jeszcze i Żyd Gelernter, brat rozstrzelanego przed paru tygodniami, który na podwórzu magistrackim rąbał drzewo.

Kogo jeszcze aresztowano — nie wiem. Ludzie są tak oszołomieni i przerażeni, że albo nic nie chcą mówić ze strachu, albo plotą niestworzone bujdy. Przez cały dzień miasto było jak wymarłe. Wszystkie sklepy pozamykane, na ulicach prawie nikogo nie widać — bardzo niewiele kobiet, trochę dzieci i starszych mężczyzn. U mnie w mieszkaniu jedno okno zamieniło się w punkt obserwacyjny. Przez cały dzień żona, synek, a często i ja, patrzyliśmy, co się dzieje na naszej ulicy i na rynku od strony szosy zamojskiej. Gestapowcy krążyli po mieście bez przerwy, byli w wielu domach, lecz mało kogo zastali. Gdzieniegdzie przeprowadzili

---

[1]) Ojciec „Norberta".

rewizje, przewracając wszystko do góry nogami. Na ulicach zatrzymywali czasem nielicznych przechodniów i legitymowali ich. Na rynku pobito majora rez. Malinowskiego i emerytowanego płka Zielińskiego.

Dzień dzisiejszy był naprawdę straszny. To co piszę, wypada bardzo blado w porównaniu z rzeczywistym nastrojem, jaki panował w mieście.

Gdyby nie szpital, którego opuścić nie mogę w żadnym wypadku, z pewnością zabrałbym rodzinę i wyjechał ze Szczebrzeszyna, w każdym razie nie siedziałbym tutaj w takich gorących, krytycznych, dniach i nie nocował w domu, podobnie jak to czasem czynią młodsi koledzy: Spoz i Jóźwiakowski.

Panuje ogólne przekonanie, że cała ta krwawa akcja jest zemstą za zabitego Rytkę i że jeszcze na tym nie koniec, że będą dalsze ofiary. Ludzie ze strachem myślą o nadchodzącej nocy. Co nam ona przyniesie, jaki kogo los czeka...

18 czerwca

Noc jakoś przeszła spokojnie. Po przeżyciach ostatniej doby wyczerpani nerwowo, pomęczeni, spaliśmy dobrze, nic nam snu nie przerywało. Rano dowiedziałem się, że istotnie w mieście panuje zupełny spokój. W ciągu dnia powoli wszystko wracało do normy, ożywił się ruch na ulicach, pootwierano sklepy, zamknięta była tylko spółdzielnia w ratuszu z powodu braku kierownika Okoniewskiego. Żony wywiezionych wczoraj wyjechały do Biłgoraja. Na szczęście wczorajsze obawy okazały się płonne, bo jednak wszystkich dowieziono do Biłgoraja i osadzono w więzieniu. Burmistrz pojechał do Zamościa starać się o zwolnienie pracowników magistrackich: Kitowskiego i Galanta. Po południu odbył się pogrzeb Janickiego. Innych zabitych pochowano wczoraj. Tak było do wieczora. Mieliśmy wrażenie, że może już dadzą miastu spokój. Koło godziny 7 był w szpitalu w jakiejś sprawie służbowej komendant post. pol. granatowej, Marunowski [1] zapytany przeze mnie upewnił, że dzisiejszą noc możemy spać spokojnie. Naraz koło godz. 9 min. 30 przyjechały dwie ciężarówki z żołnierzami w mundurach lotników i zaczęła się łapanka na ulicach. Ludzie, którzy jeszcze byli na ulicach, w popłochu rzucili się do ucieczki. Znów w jednej chwili wszystko w mieście zamarło, mężczyźni poza opłotkami uciekli lub chowali się, gdzie kto mógł. U mnie w szpitalu ukrył się i intendent Spozowski i sekretarz Nawrocki. W takich chwilach wygląd miasta i nastrój staje się pełen grozy. Nigdy czegoś podobnego przedtem nie bywało. Staram się w szpitalu wszystko opanować i utrzymać jako tako w porządku, żeby się służba nie rozleciała. Obszedłem cały teren, przekonałem się, że drzwi są pozamykane, uspokoiłem trochę ludzi i kładę się spać. Jest godzina 11 wiecz. Żona czuwa przy oknie.

19 czerwca

Noc była najzupełniej spokojna. Rano dowiedziałem się, że wczorajszy popłoch powstał całkiem przypadkowo. Przyjechali lotnicy i łażąc po mieście doszli do tzw. wygonu, na którym chłopcy paśli konie i prawdopodobnie grali w karty. Gdy zobaczyli Niemców, zerwali się i zaczęli

uciekać. Część Niemców popędziła za nimi, część zaś pobiegła na posterunek żandarmerii i zameldowała, że na wygonie odbywało się jakieś tajne zebranie. Żandarmi chwycili karabiny i pędem pognali na wygon. W rezultacie aresztowano 6 osób, lecz wkrótce wszystkich wypuszczono, gdy została wyjaśniona cała historia.

Jeździłem dziś do Zwierzyńca, gdzie zachorował na tyfus plamisty dr Wróblewski. Zaalarmowałem kolegów z Zamościa. Przyjechali na konsylium dr Bogucki, dr Branicki i dr Wieczorkiewicz, lekarz naczelny Ub. Społ. dr Branicki przywiózł mi napisane przez siebie w ostatnich miesiącach wspomnienia o V Syberyjskiej Dywizji, w której był lekarzem. Skreślił je, ulegając moim usilnym namowom. Wkrótce zacznę je opracowywać.

20 czerwca

Dzień przeszedł najzupełniej spokojnie.

22 czerwca

Wczoraj tak wszystko było w porządku, że pojechałem na kilka godzin do Zwierzyńca. Zdawało się, że spokój ustali się na dłuższy czas, jak to zwykle bywało po masowych aresztowaniach. Tymczasem dzisiaj rano dowiedziałem się, że w nocy znów zaczęły się aresztowania i równocześnie nagonka na Żydów. Wyciągano ich z mieszkań i zabrano potem na roboty na lotnisko. Zabito przy tym dwóch starych Żydów: chorego Gelerntera, ojca rozstrzelanych poprzednio dwóch synów i jeszcze jakiegoś szewca. Do godziny 6 wieczór trwały aresztowania. Gestapowcy zachodzili do bardzo wielu mieszkań, sklepów itd. Potem wywieźli aresztowanych w stronę Biłgoraja. Dokładnie nie wiem jeszcze kogo. W areszcie zatrzymano 53 Żydów.

Nastrój w mieście okropny.

23 czerwca

Noc przespaliśmy normalnie, lecz od rana zaczęło się to samo co wczoraj. Gestapowcy przez cały dzień łazili po mieście, zachodzili do mieszkań, do sklepów, legitymowali ludzi na ulicy. Kogo dziś aresztowali jeszcze nie wiem. Wczoraj wywieźli do Biłgoraja: 1) starego felczera, niedołężnego, na wpół sparaliżowanego Leonarda Tałandę, 2) syna jego, Aleksandra — gorliwych Ukraińców i wyznawców kościoła prawosławnego, 3) Władysława Cichockiego, urzędnika Sądu Grodzkiego, 4) Czesława Trusza, właściciela straganu w hali targowej, 5) Hysę, właściciela budki z sodową wodą i słodyczami, 6) Michała Jurczykowskiego, b. urzędnika pocztowego, obecnie współwłaściciela małej cukierenki, 7) Piotra Rypina, rzeźnika, sprzedającego mięso kontyngentowe, 8) Aleksandra Michalskiego, mieszczanina i jeszcze 4 mężczyzn przyjezdnych.

Około godziny 3 po poł. wyprowadzono z aresztu przy magistracie 20 co najstarszych Żydów i poprowadzono ich na wygon u wylotu ulicy Frampolskiej. Wśród Żydów w miasteczku wszczął się płacz, lament i nie-

samowity popłoch. Wszystkich 20 rozstrzelano na wygonie, resztę zwolniono z aresztu.

Z Biłgoraja nadeszła wiadomość, że rozstrzelano tam Jana Prokopa, aresztowanego przed paru tygodniami w cegielni koło Klemensowa.

Już dziewiąty dzień trwa ta straszna nagonka Niemców na Szczebrzeszyn i jego mieszkańców. Miasto w znacznym stopniu opustoszało, jarmarku nie było dziś żadnego, ludzie unikają tej miejscowości jak zapowietrzonej. Nie wiemy, czy to już koniec, czy też jeszcze będzie dalszy ciąg. A tymczasem nerwy ludzkie wyczerpują się do cna. Ale wytrwać trzeba do końca.

24 czerwca

Dowiedziałem się w jaki sposób rozstrzeliwano wczoraj Żydów. Dół na wygonie był wykopany zawczasu przez kilku Polaków. Gdy przyprowadzono oszalałych ze strachu, lamentujących, modlących się, błagających o darowanie życia starców, kazano im po kilku kłaść się na dnie dołu twarzą do ziemi. Po rozstrzelaniu ich salwą z karabinu maszynowego kazano kłaść się na nich następnym kilku. I tak trzema warstwami ułożono wszystkich.

3 lipca

Jakoś u nas trochę się uspokoiło, życie powoli wraca do normy. Zastanawiamy się tylko na jak długo. Teraz z kolei zajmuje umysły sprawa dywersantów, partyzantów radzieckich i zwykłych bandytów. Nie wiem, czy tak jest wszędzie, ale na terenie Zamojszczyzny, a więc powiatów zamojskiego, tomaszowskiego, biłgorajskiego a także hrubieszowskiego dzieją się dziwne rzeczy. Krążą legendy o jakichś oddziałach leśnych, nawet konnych, o odbywających się musztrach, ćwiczeniach itp. Wciąż dookoła słyszy się tylko o napadach i napadach. Z ważniejszych warto zanotować próbę wykolejenia pociągu pomiędzy Krasnobrodem a Długim Kątem, a ostatnio wielki napad na tartak w Długim Kącie. Zasadniczo jest on własnością Ordynacji Zamojskiej, lecz obecnie prowadzi go firma niemiecka Andersa. Kierownikiem był Niemiec, Reichdeutsch Leśnikowski (!). Został on podczas napadu od razu zabity. Główną halę tartaczną spalono i tym sposobem tartak został unieruchomiony. W naszym najbliższym sąsiedztwie dzisiejszej nocy dokonano napadu na właściciela młyna w Kawenczynie, Łysaka.



Zjechało w nasze strony bardzo dużo żandarmów, całe oddziały z pełnym bojowym rynsztunkiem. Mają za zadanie wystąpić „bandytów", ale

zdaje się, są bezsilni i opanować sytuacji już nie potrafią. Przez te dni słychać było jakieś detonacje, jak gdyby strzały armatnie, ale pochodzenia ich nikt nie może wytłumaczyć. Przed kilkoma dniami na szosach przy wjeździe do miasta żandarmi odbierali rowery właśnie dla tych żandarmów z ekspedycji karnych. Na zarekwirowane rowery wydawali zaświadczenia z wcale, nawet, wysokim oszacowaniem, np. Stanisławowi Bohdanowiczowi ze Zwierzyńca oceniono zabrany rower na 1.400 zł.

Jeździłem dziś do Zamościa specjalnie po to, żeby obejrzeć nowe Muzeum. Zobaczywszy odnowioną, dawniej żydowską kamienicę przy ul. Ormiańskiej, byłem zachwycony. Obszerne sale z belkowanymi stropami, z rozetami i datą 1634, odrzwia i obramowania okien z kolumnami pomiędzy nimi — bogato rzeźbione w kamieniu, freski na ścianach itp. dają całość wspaniałą. Odnowieniem kamienicy zajął się z całym pietyzmem inż. Zaremba. Zasługą znów kustosza Kabata jest to, że Muzeum nasze nie tylko nie zmarnowało się, lecz bardzo wzbogaciło i dziś odpowiednio ułożone eksponaty przedstawiają się całkiem poważnie. W Muzeum włożono już przeszło 60.000 zł. Obecny burmistrz Otto Werner, b. nauczyciel gimnazjum zamojskiego, sprawę muzeum lekceważył i tak dalece nim się nie interesował, że w czasie robót budowlanych ani razu tam nie był i nie miał pojęcia, co się tu robi i jak będzie wyglądało. Dowiedziawszy się o jego obojętnym stosunku do muzeum, poszedłem zaraz do niego i złożyłem mu gratulacje z racji stworzenia w mieście, którego jest gospodarzem, tak pięknego dzieła. Pochwałą moją był zaskoczony i zaproponował, żebyśmy jeszcze raz poszli do muzeum i wspólnie je obejrzeli. Zgodziłem się chętnie. Po zwiedzeniu pierwszych kilku sal, Werner zaczął ściskać i całować inż. Zarembę i kustosza Kabata, który jest buchalterem w magistracie, dziękując im za stworzenie naprawdę pięknej rzeczy. Teraz jesteśmy pewni, że stosunek jego do muzeum będzie całkiem inny, a to ma duże znaczenie na prowincji i to zwłaszcza w dzisiejszych warunkach. Radziłem niektóre rzeczy ukryć, np. nie pokazywać cenniejszych monet. Oglądając szczegółowo muzeum wciąż myślałem o Rosińskim. Jakże on cieszyłby się widząc to wszystko.

Lecz równocześnie dowiedziałem się i o smutnej nowinie. Mianowicie umarł w Oranienburgu Stanisław Przybyłowicz, b. kierownik szkoły powszechnej w Zamościu, zamiłowany przyrodnik, który poważnie przyczynił się do stworzenia muzeum, organizując jego dział przyrodniczy.

4 lipca

Dziś w godzinach przedpołudniowych dokonano napadu na fabrykę mebli w Zwierzyńcu. Zabity został przy tym bardzo popularny — w ujemnym znaczeniu oczywiście — ogromnie szkodliwy gestapowiec z Biłgoraja, Mrozik, Polak, który mieszkał w tych stronach jeszcze przed wojną. Należał on do najbardziej wpływowych ludzi w biłgorajskim Gestapo, miał na sumieniu niezliczoną ilość ofiar. Szczegółów jeszcze nie znam, spodziewać się jednak należy dużych represji i aresztowań tak w Zwierzyńcu, jak i w okolicy. Wiem tylko, że Zwierzyniec przeżywa ciężkie chwile niepokoju.

Ze Zwierzyńca mamy bardzo skąpe wiadomości. O jakichś aresztowaniach na razie nic nie słychać. Żandarmeria, policja licznie zjechała w okolice Zwierzyńca i przeszukuje lasy. Nie odstraszyło to jednak ani partyzantów radzieckich, ani dywersantów, bo dzisiejszej nocy był napad na stację kolejową w Szczebrzeszynie, przy czym zabrano z kasy około 500 zł i ostrzelano mieszkanie gajowego w Kawenczynie.

6 lipca

Dzisiejszej nocy — napad i pożar tartaku w Turobinie. Wczorajszej nocy również spalono tartak w Tereszpolu. Z napadów na obiekty fabryczne i zniszczenia ich widać, że jest to, jednak, akcja sabotażowa, nie zaś zwykłe rabunki.

7 lipca

Dziś w nocy, już po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni, napadnięto na stację kolejową w Szczebrzeszynie i zabrano kilkaset złotych. Wszelkie środki przedsiębrane przez władze niemieckie okazują się zawodne. Napadów „bandyckich" coraz więcej i Niemcy nie są już w stanie tego opanować. Na niektórych fabrykach i tartakach wystawiono dobrze uzbrojone posterunki żandarmerii i tzw. Sonderdienstu, lecz zdaje się, że to niewiele pomoże.

Po południu jeździłem do Zwierzyńca, dowiedziałem się trochę szczegółów o napadzie na fabrykę mebli. Mrozik rzeczywiście przypadkowo znalazł się w tym czasie na terenie fabryki. W czasie przetrząsania sąsiednich pól i lasów Niemcy zastrzelili młodego Łokaja ze Zwierzyńca i jakąś kobietę, która pełła w polu. Jeden z napadniętych został ranny, dobili go potem współtowarzysze, lub też popełnił samobójstwo. Wczoraj aresztowano dwóch młodych robotników fabrycznych: Opiłę i Ciećkę. Niepokój w Zwierzyńcu jeszcze nie minął, spodziewają się bowiem dalszych aresztowań.

8 lipca

Wczoraj przed północą jeden z żandarmów, znajdujący się na stacji kolejowej w Szczebrzeszynie, zauważył, że kręcą się koło budynku stacyjnego jacyś podejrzani ludzi. Zaalarmował zaraz żandarmerię w Szczebrzeszynie, wzywając ją do przyjazdu z karabinami maszynowymi. I rzeczywiście, natychmiast cały samochód z żandarmami wyjechał z miasta, niedługo jednak tam bawili i wkrótce wrócili. Ledwie tylko odjechali, dokonano na stację napadu, już trzeciego z rzędu w ciągu 4 dni. Zabrano około 2.000 zł.

Przed kilkoma dniami wrócił z więzienia w Biłgoraju Piotr Rypin.

9 lipca

Około północy wybuchł pożar na Błoniu pod Szczebrzeszynem. Zjawili się w mieście liczni żandarmi i policja niemiecka. Legitymowali wszystkich spotkanych w nocy, nawet strażaków.

Pozawczoraj obębniono na mieście wezwanie do ludności, aby zajęła się odświeżeniem i wykopaniem nowych schronów przeciwlotniczych; wczoraj zaś podano do wiadomości publicznej, że w ciągu 4 dni nie wolno wchodzić do lasu. Przypuszczamy, że może będzie jakaś obława, lecz równocześnie jesteśmy przekonani, że nie da ona żadnego rezultatu. W naszej okolicy partyzanci tylko przypadkowo wpadali w ręce Niemców.

11 lipca

Wczoraj późnym wieczorem jeździłem na poród do Zwierzyńca, do bliskiej kuzynki ordynatowej Zamoyskiej. Przy sposobności dowiedziałem się, że aresztowano w Zwierzyńcu 11 osób. Z urzędników biurowych wzięto tylko jednego starego Tadeusza Rogowskiego, budowniczego, reszta to mało znani dla mnie, przeważnie ci, którzy byli kiedyś w czerwonej milicji. Poznałem hr Żółtowskiego, ożenionego z córką Fudakowskich z Krasnobrodu. Opowiadał mi o bardzo częstych wizytach partyzantów radzieckich we dworze u Fudakowskich i o tym, jak z jednym oficerem musieli grać w szachy. Oficer przez cały czas gry trzymał w prawej ręce rewolwer i czasem nawet lufą posuwał figury na szachownicy.

12 lipca

Do Szczebrzeszyna przyjechało dziś kilkudziesięciu żandarmów, którzy mają tu być jakiś czas celem zwalczania bandytyzmu. Wszyscy jesteśmy ciekawi, jaki będzie rezultat ich działalności. Czy coś wskórają, mamy duże wątpliwości.

17 lipca

Przez kilka dni nic nie notowałem, bo nic u nas specjalnie ważnego się nie działo. Byliśmy tylko poruszeni wiadomością, że w Hamerni zabity został przez Niemców młody inż.-leśn. Kiełczewski ze znanej w Zamojszczyźnie rodziny ziemiańskiej.

Dziś przez Szczebrzeszyn przewożono z Biłgoraja, prawdopodobnie do Lublina, wszystkich aresztowanych tu przed paru tygodniami. Nadzieje na wypuszczenie, choćby niektórych, zawiodły.

Przed kilkoma dniami Niemcy urządzili straszliwy pogrom Żydów w Józefowie. Miało tam zginąć przeszło 1.500 osób, głównie kobiet i dzieci. Mężczyzn wywieźli.

Przyjechał do mnie i spędził u nas dwa dni Jerzy Płomieński. Całkowicie oderwałem się od rzeczywistości; obydwaj pogrążyliśmy się wy-

łącznie w atmosferze literackiej. Trochę odetchnąłem i zapomniałem o wszystkich naszych troskach i niedoli. Jechał z Warszawy, bezdomny tułacz, z resztkami swych książek w jednej niewielkiej walizce i z bielizną w drugiej. W osobnej paczce wiózł zachowane listy najwybitniejszych naszych literatów i pisarzy. To jest cały jego majątek. Jechał do Uhrynowa pod Hrubieszowem do Ścibor-Rylskich, którzy ofiarowali mu gościnę na czas dłuższy.

18 lipca

Dziś w nocy zabito u nas 6 Żydów. Aresztowano Jana Skórę.

24 lipca

Tydzień przeszedł zupełnie spokojnie. Wyjeżdżam dziś na urlop.

4 sierpnia

Urlop spędziłem w Warszawie. Odetchnąłem tam w zupełnie innej atmosferze. Zetknąłem się z ludźmi ze świata intelektualnego, których wojna i warunki dzisiejszego życia nie załamały, którzy pracują umysłowo, oddają się swoim zainteresowaniom i umiłowaniom. Kapitalnie odświeżyłem się duchowo. Byłem na zwykłej środzie bibliofilskiej u Rygla. Solecki miał pogadankę o medalach poświęconych zbieraczom polskim, poczynając od Zygmunta III. Pokazał przy tym medale ze swego prywatnego zbioru. Od Rygla dostałem parę starych rycin z widokami Zamościa i rękopis Al. Brücknera o Krucygierze ze Szczebrzeszyna — krótki, na jednej kartce napisany artykulik do jakiejś encyklopedii. Poznałem jednego z nowych bibliofilów inż. Jana Pomorskiego. Dwa razy byłem u niego w domu. Zainteresował mnie szczególnie tym, że namiętnie gromadził pamiętniki polskie i wszelkie druki dotyczące kultury polskiej. Ma przy tym piękny zbiór rycin i sztychów [1].

Ogólne wrażenie Warszawa sprawiła nieco inne, niż w zeszłym roku. Oko oswoiło się trochę z ruinami, daje się zauważyć wyraźne ożywienie handlu, przybyło sporo nowych sklepów. Artykułów spożywczych wszędzie dużo i można wszystko dostać, trzeba tylko mieć pieniądze, bo ceny są bardzo wysokie. Tak samo drogie są ubrania i obuwie, których zresztą na wystawach sklepowych nawet i nie widać. Inne rzeczy natomiast są stosunkowo tanie, np. rozmaite szkła, kryształy, drobiazgi damskie, jakieś broszki, wisiorki, bransoletki, torebki itp. Książki są znacznie droższe niż w zeszłym roku. Panuje coraz większy głód książki; we wszystkich księgarniach kupują i sprzedają książki używane, czyli zamieniły się one poniekąd na antykwarnie. Zaczynają ukazywać się książki drukowane teraz, prawie wyłącznie dla dzieci. Ale są i wydawnictwa niele-

---

[1]) Wszystkie jego zbiory uległy całkowitemu zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

galne. Dostałem np. „Pieśń niepodległą", antologię poezji wydaną anonimowo w 1942 r. w 1.600 egzemplarzach, zawierającą 127 stron druku, wydaną bardzo dobrze, z barwną okładką. Książka jest rozchwytywana, oczywiście w drodze prywatnej. Świadczy ona o naszej żywotności i o tym, że najcięższy terror nie zdoła zgnębić wolnego ducha polskiego.

Od księgarza Antoniego Trepińskiego dostałem nielegalnie wydane wspomnienia jego z 6-tygodniowego pobytu na Majdanku.

Na ulicach ruch mniejszy niż przed wojną, zwłaszcza kołowy. Samochodami, z małymi wyjątkami, jeżdżą tylko Niemcy. Tych wszędzie jest pełno, zwłaszcza w niedziele na głównych ulicach. Bardzo dużo widać mężczyzn ubranych po cywilnemu ze znaczkami ze swastyką w klapach. Na każdym kroku słyszy się język niemiecki i widzi się napisy w języku niemieckim. Nieprzyjemnie rażą szyldy pisane w dwóch językach. Więcej niż w zeszłym roku zauważyłem kalek, bez rąk, bez nóg — ofiar bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 r.

Żydów na ulicach nie ma zupełnie. Z rzadka przejdzie jezdnią jakaś grupa prowadzona na roboty. Przyjechałem do Warszawy właśnie w początkowym okresie straszliwego mordowania Żydów w ghetcie. Opowiadano nieprawdopodobne, niesamowite historie o tym, co się tam dzieje, jak co noc ginie około 5—6 tysięcy ludzi. W nocy rzeczywiście sam też słyszałem ciągłe strzały, dolatujące z dzielnicy żydowskiej. W tych dniach cała Warszawa do głębi była wstrząśnięta wiadomością, że został zabity w ghetcie, znany profesor poznański dr Raszeja, chirurg ortopeda, z którego wiedzy sami Niemcy też stale korzystali. Został on wezwany na konsylium do chorego, znanego antykwariusza warszawskiego Gutmajera, miał ze sobą specjalną przepustkę wydaną przez władze niemieckie i w tej chwili, gdy był przy chorym wraz z dr Kazimierzem Polakiem, weszli Niemcy i Litwini. Bez gadania, bez legitymowania zabili i chorego i obydwóch lekarzy.

Dużo słyszałem różnych opowiadań, lecz opiszą to miejscowi kronikarze i pamiętnikarze.

Drogę powrotną na kolei, pomimo strasznego tłoku, miałem zupełnie dobrą, ale tylko dlatego, że po opłaceniu konduktorów zawsze dostawałem się do przedziału służbowego. Puszczają tu tylko publiczność wyborową, nie zajmującą się szmuglem.

W domu zastałem wszystko w porządku. W czasie mojej nieobecności nie zaszło tu nic godnego zanotowania. Raz tylko przyjechali z Zamościa trzej gestapowcy, obeszli cały szpital, byli nawet na oddziale zakaźnym, w mieszkaniach prywatnych, łazienkach, kuchni, spiżarni itp. i dopiero wychodząc zapytali, czy nie był tu jakiś mężczyzna ranny w płuca. Mówili po polsku, zachowywali się zupełnie poprawnie.

Dzisiejszej nocy dokonano bardzo zuchwałego napadu na KKO w Szczebrzeszynie, bez włamywania. Ściągnięto najpierw z mieszkań tych, którzy mieli klucze od kasy i kazano ją sobie otworzyć. Zabrano przeszło 60.000 zł. Cała ulica była obstawiona. Warto zanotować charakterystyczny szczegół: właściciel hurtowni tytoniowej, Materna, mieszkający prawie naprzeciw KKO zobaczywszy, że uzbrojeni ludzie stoją na ulicy w pobliżu kasy zatelefonował na pocztę, lecz dyżurny urzędnik bał się zameldować o tym na posterunek policji lub żandarmerii.

6 sierpnia

W wiosce pod Turobinem zabito żandarma. Kazano zgłosić się sprawcy. Oczywiście nikt się nie stawił. Wówczas aresztowano 25 najpoważniejszych gospodarzy wsi, rozstrzelano ich publicznie na rynku w Turobinie i zwłoki wrzucono do dołu kloacznego nie pozwalając rodzinom pochować ich.

8 sierpnia

Godz. 11 rano

W mieście panuje silne napięcie i rozpaczliwe przygnębienie wśród Żydów. Już wczoraj pod wieczór stało się wiadome, że z Żydami jest coś niepewnego. Trwożne wieści dochodziły z Biłgoraja i ze Zwierzyńca. Z wieczora krążyły po mieście liczne patrole, legitymowano przechodniów. Około godz. 1 w nocy obudził nas hałas na ulicy naprzeciw szpitala. Dobijano się do żydowskiego domu. Słychać było krzyki, lament, nawoływania w języku niemieckim, polskim i żydowskim. W jednym mieszkaniu byli dość długo, w drugim po wywaleniu drzwi nie zastali nikogo. Żydówka z czworgiem dzieci ukryła się na strychu. Na szczęście tam nie szukano. Od rana na mieście nie widać ani jednego Żyda. Wyszedłem, żeby dowiedzieć się, co się właściwie dzieje. Wszystkim Żydom bez wyjątku kazano stawić się przed 8 rano na rynku koło Judenratu. Pozwolono zabrać ze sobą 15 kg bagażu, jedzenie na 5 dni i 1.500 zł. Burmistrz mówił mi, że ze Szczebrzeszyna mają wywieźć na „Ukrainę" 2.000 Żydów, a kolejarze opowiadali, że na stacji jest już przygotowany pociąg o 55 wagonach. Dobrowolnie nikt z Żydów nie stawił się, zaczęto łapać ich i odprowadzać do hali targowej. Zapytałem żandarma z tutejszego posterunku, doskonale mówiącego po polsku, co będą robić, gdy Żydzi sami nie przyjdą. Odpowiedział krótko: „to się wystrzela".

Dochodzi godzina 7 wieczór. Przez cały dzień od południa chodzą po mieście żandarmi, gestapowcy, żołnierze z Sonderdienstu, policjanci granatowi, woźni z magistratu, członkowie Judenratu, milicjanci żydowscy, wyszukują po domach Żydów, wyciągają ich z rozmaitych kryjówek i pędzą do hali. Wygląd Żydów okropny, przeważnie w łachmanach, kobiety z małymi dziećmi na rękach. Na twarzach maluje się wprost zwierzęcy strach i beznadziejna rozpacz. Zachowują zupełną ciszę, nie słychać ani płaczu ani lamentu. Domy żydowskie opustoszały, niektóre mieszkania stoją otworem. Woźni z magistratu wywożą pozostawione rzeczy i ukryte towary. Widziałem pełne fury naładowane workami i tobołami z najrozmaitszymi rzeczami. Jednak większość Żydów ukryła się tak, że znaleźć ich nie mogą. Sporo ludności polskiej, zwłaszcza chłopaków, gorliwie pomaga przy wyszukiwaniu Żydów. W całym mieście silne podniecenie.

Godz. 9 wiecz.

Przed godziną 8 wieczór zaczęto wyprowadzać Żydów z hali. Niektórzy rzucili się do ucieczki, wszczęła się wówczas gęsta, bezładna strzelanina, m. in. wzdłuż naszej ulicy. Wśród ludności polskiej

dość licznie zebranej na ulicach, powstał straszny popłoch, wszystko co żyje zaczęło uciekać co sił i chować się do domów. Wkrótce potem poprowadzono, a właściwie popędzono, wszystkich Żydów w kierunku stacji kolejowej, trochę kobiet i niedołężnych starców jechało na końcu, na kilku furmankach. Ociągających się bito pałkami, batem itp. Widziałem wszystko na własne oczy — stałem na murze szpitalnym przy samej szosie. Było to tak wstrząsające, tak straszliwie nieludzkie, że trudno opisać. Z Biłgoraja i okolicznych miasteczek wyprowadzono około 1.000 Żydów. Pognano ich na stację w Zwierzyńcu. Nikt nie wierzy w to, że wywożą ich na Ukrainę, wszyscy są pewni, że na wymordowanie. Po dzisiejszym koszmarnym dniu trudno jest przyjść do siebie. Mamy wrażenie, że to jeszcze nie koniec. Ogółem w Szczebrzeszynie zastrzelono dziś 13 Żydów.

10 sierpnia

Wczoraj Żydzi nie pokazywali się jeszcze na mieście, tylko wyjątkowo przemknęła jakaś postać żydowska. Pod wieczór zastrzelono 3 Żydówki, które wylazły z domu. O wywiezionych przedwczoraj wiadomo tylko tyle, że pociąg z nimi poszedł w kierunku na Bełżec. Wszyscy są pewni, że oni już nie żyją.

11 sierpnia

Targu nie ma dziś żadnego. Wieś boi się jechać do miasta. Żydom nic sprzedawać nie wolno. Z opuszczonych przez nich mieszkań woźni magistraccy wywożą wszystkie rzeczy: meble, pościel itd. i gromadzą to w jednym miejscu. W mieście mają pozostać tylko Żydzi zatrudnieni gdziekolwiek i rzemieślnicy, wszyscy inni będą „wywiezieni", to znaczy wymordowani.

Ogłoszono „stan wyjątkowy". Żadnych specjalnych przepisów i ograniczeń on nie wprowadza, daje tylko możność żandarmom i in. strzelać do ludzi bezkarnie za byle głupstwo.

Wszystko u nas bardzo podrożało, bo chłopi nic nie dostarczają do miasta. Ogólne warunki życia stają się coraz cięższe.

12 sierpnia

Dziś w nocy zastrzelono na ulicy Żydówkę z dzieckiem i jednego Żyda. Po południu przyjechał z Biłgoraja lekarz powiatowy dr Snacki z referentem od rekwizycji. Opieczętowali urządzenie żydowskich gabinetów dentystycznych Sztreichera i Bronszteinowej. Część gabinetu Sztreichera zabrali ze sobą. Gabinet lekarski dra Bołotnego opisali i wydali zarządzenie, że nic już nie wolno mu sprzedawać. Pozostaje więc nadal jedynie użytkownikiem swojej własności.

Burmistrz Kraus i dr Snacki upewniali mnie, że Żydzi będą tu całkowicie zlikwidowani.

20 sierpnia

Rzadko przejdzie dzień, żeby nie zastrzelono kilku Żydów. Ludzie tak do tego przywykli, że już nie przejmują się tym tak jak przedtem. Strzały w nocy nie robią już takiego wrażenia. Prawie codziennie rozstrzeliwano i po jednym Polaku. Młodych chłopców ze wsi, mających opinię złodziei i rzezimieszków, znanych ze swej nagannej konduity jeszcze przed wojną.

Prawie wszystkich aresztowanych po zabiciu Rytki wywieziono już z więzienia w Lublinie do Oświęcimia. Wobec ich rodzin mają być zastosowane wyjątkowe represje. Niektórych już wywłaszczono np. rodzinę Tałandów. W ogóle terror jest coraz większy, coraz cięższy do zniesienia. Każdy zadaje sobie pytanie, czy wytrzyma do końca wojny. Niektórzy wciąż jeszcze wierzą, że wojna skończy się w tym roku i nie przejmują się rzekomymi sukcesami Niemców na Kaukazie. Wszyscy jak zbawienia oczekują „drugiego frontu". A zima zapowiada się pod każdym względem niesłychanie ciężka. Jest bardzo poważna obawa, że w miarę niepowodzeń na froncie i pogorszenia się sytuacji gospodarczej Niemców wewnątrz kraju, będzie jeszcze więcej wzmagał się terror stosowany u nas. Żyjemy w dosłownym znaczeniu z dnia na dzień i cieszymy się z każdego dnia, który jest już poza nami.

22 sierpnia

Dziś rano przyjechało z Z mościa dwóch gestapowców. Byli najpierw w magistracie, gdzie przeglądali księgi ludności, potem w kancelarii parafialnej szukali kogoś w księgach metrykalnych, wreszcie znów pojechali do magistratu i dalej szperali w księgach ludności. Jeden z gestapowców pozostał w Szczebrzeszynie, drugi odjechał. W mieście silne zaniepokojenie. Ludzie znów się spodziewają aresztowań. Dużo mężczyzn nie będzie dziś nocowało w domu.

26 sierpnia

Dziś nad ranem Gestapo aresztowało Michalskiego, b. kierownika Urzędu Pracy w Szczebrzeszynie i Kruka, studenta Uniwersytetu Lubelskiego, zatrudnionego w Sądzie Grodzkim w Szczebrzeszynie. Przed kilkoma dniami wypuszczono z więzienia w Lublinie Jana Baca z cukrowni „Klemensów".

29 sierpnia

Od wczesnego ranka zaczęły się nowe aresztowania prowadzone przez Gestapo zamojskie. Zatrzymano ogółem kilkanaście osób, lecz niektórych wypuszczono. Aresztowano woźnego sądu, Niedzielskiego, podchorążego Bortkiewicza, Podsiodłową z pasierbem Kowalskim i organistę Złomańczuka. Żonę nauczyciela Józefa Kołłątaja silnie pobito przy badaniu, lecz w końcu puszczono. W mieście panuje ogólne przygnębienie, zwła-

szcza wobec krążących plotek, że Szczebrzeszyn ma być wysiedlony, że magistrat przygotowuje już odpowiednie spisy. Dołączają się do tego wiadomości z Warszawy, że całe Generalne Gubernatorstwo ma być podobno wkrótce przyłączone do Rzeszy. Wieści podnoszących na duchu żadnych.

30 sierpnia

W szpitalu mieliśmy nie byle jaką sensację. Ubiegłej nocy żandarmeria przywiozła do szpitala niejaką Jadwigę Hornowską, zamieszkałą w Szczebrzeszynie, z powodu rany postrzałowej głowy z naruszeniem mózgu. Miał ją postrzelić jakiś młodzieniec w chwili, gdy mu otworzyła drzwi swego mieszkania. Hornowska, rzekomo wdowa po jakoby rozstrzelanym policjancie polskim, mieszkała tu z jakimś podoficerem i w domu ich zbierały się niepewne typy dla hazardowej gry w karty. Przed kilkoma dniami podoficer ów zwiał, gdyż żandarmeria już zaczęła go szukać. Hornowska w szpitalu składała żandarmerii jakieś zeznania, lecz nam wszystkim kazano wówczas wyjść z sali opatrunkowej. Otóż dziś o godz. 9 wieczór wszedł do szpitala jakiś cywil lat około 30, stróżowi stojącemu przy drzwiach przystawił do skroni rewolwer i kazał zaprowadzić się na salę Nr 12, gdzie właśnie leżała ranna Hornowska. Sterroryzowany stróż posłusznie spełnił co mu kazano i razem poszli na salę kobiecą. Tu napastnik ów zaświecił latarkę elektryczną, przesunął światłem po łóżkach i zatrzymał się przy Hornowskiej. Podszedł do niej i dał dwa strzały, po czym szybko wybiegł z sali i przez długi korytarz wyszedł na ulicę. Zawiadomiłem zaraz żandarmerię i zaczęło się szczegółowe dochodzenie. Rany okazały się nieszkodliwe. Kule przeszły tylko przez części miękkie przedramienia i policzka. Cały wypadek przedstawia się dość zagadkowo. Widocznie dla kogoś niepożądane są jej zeznania. Obawiamy się, że będą dalsze próby zabicia jej. Musiałem przenieść ranną do osobnego pokoiku na piętrze i trzymamy ją pod kluczem, nikogo do niej nie dopuszczając.

1 września

Dzisiaj mijają trzy lata od początku wojny. Ostatni rok był znacznie cięższy od poprzednich. Terror wzmaga się coraz bardziej i mimo woli człowiek zastanawia się, czy wytrzyma do końca wojny. Prawie każdy dzień przynosi teraz coś nowego. I dziś miasto jest niezwykle poruszone, bo zarządzono przeprowadzenie w szybkim tempie spisu ludności i ruchomego inwentarza gospodarczego. Magistrat wyznaczył po dwóch ludzi na każdą ulicę i ci zaczęli spisywanie. Właśnie dopiero co byli u mnie w szpitalu. Ja z żoną i synkiem figurujemy na pierwszym miejscu. Właściwie oficjalnie nie wiemy w jakim celu to się robi, ale panuje powszechne przekonanie, że jest to wstępna praca przygotowawcza do przesiedlenia. Łatwo sobie wyobrazić, jak tego rodzaju wiadomość wpływa na wszystkich deprymująco, ludziom opadają ręce, nie mogą i nawet nie chcą pracować normalnie. Każdy myśli tylko o tym, jaki los czeka jego i jego najbliższych. Ja osobiście jestem przygotowany na wszystko najgorsze, nie mogę tylko pogodzić się z myślą, że prze-

padną wszystkie moje zbiory, moja biblioteka, moje rękopisy. Włożyłem w to wszystko tyle pracy, oddałem swym umiłowaniom całą swą duszę i utrata tego byłaby dla mnie strasznym ciosem. Przepadłoby tyle naprawdę cennych rzeczy przeznaczonych przeze mnie do bibliotek publicznych w Warszawie i w Zamościu. To gnębi mnie znacznie więcej, aniżeli myśl o tułaczce i przyszłej niedoli.

Piszę teraz te notatki i sam nie wiem, po co właściwie to robię. Przecież jeżeli trzeba będzie opuścić Szczebrzeszyn, nie zabiorę ich ze sobą, zostawić na przechowanie też nie będę miał u kogo. A więc zniszczyć!? Bez mała 800 stronic rękopisu obejmującego tylko jeden okres od początku wojny do chwili bieżącej. Nie opuszcza mnie nadzieja, że może do tego nie dojdzie i może jeszcze da się to uratować.

A moja olbrzymia praca o Zamojszczyźnie w latach 1918—1939! Już całkowicie gotowa do druku. Pięćset pięćdziesiąt dwie strony maszynopisu! I tyle innych mniejszych prac i tek z materiałami rękopiśmiennymi i notatkami. O tym nie mogę spokojnie myśleć.

2 września

Dziś w południe zjawił się w szpitalu jeden gestapowiec w mundurze, Niemiec, i drugi ubrany po cywilnemu Polak Majewski z Biłgoraja. Przeprowadzali dochodzenie w sprawie Hornowskiej. Wychodząc kilka razy powtórzyli mi, że „w Szczebrzeszynie jest niedobrze". W tym powiedzeniu można było wyczuć, że uważają za konieczne zrobić tu wreszcie porządek. Cały dzień chodzili po mieście. Znów coś wypatrują, czegoś szukają.

Przed kilkoma dniami miał miejsce napad na „Alwę", o czym zapomniałem napisać. W nocy obudzono kasjera, kazano mu zaprowadzić się do kasy i zabrano z niej 32.000 złotych.

3 września

Doszły nas alarmujące wieści o bombardowaniu lotniczym Warszawy. Linia telefoniczna jest tak przeciążona, że zwykłych rozmów z Warszawą nie dają, tylko „pilne".

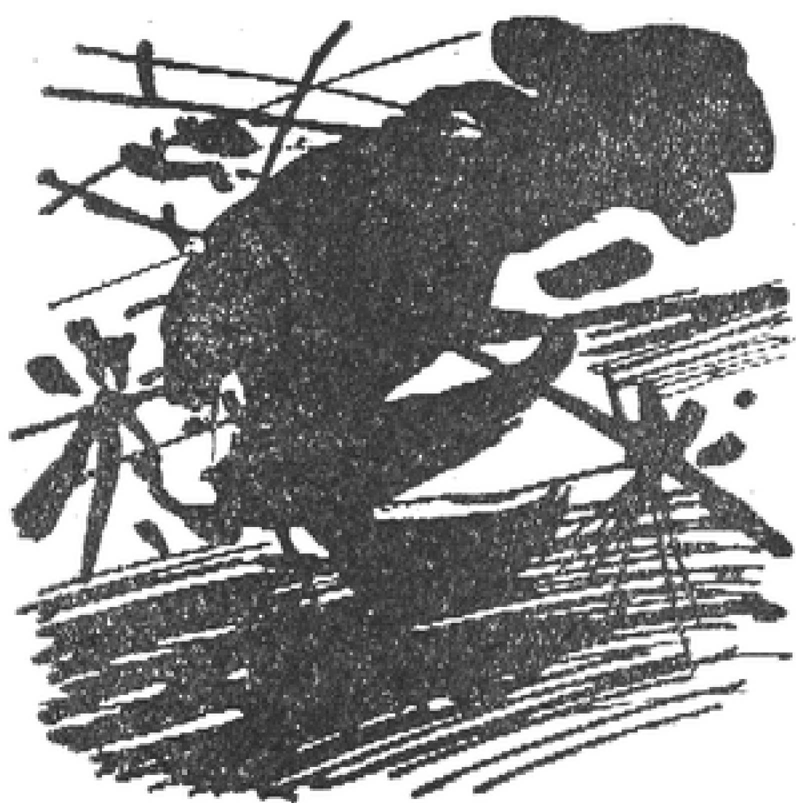
Po mieście znów łazili dziś gestapowcy. Wyczuwamy, że będą nowe aresztowania.

5 września

Godz. 7 rano

Pod świeżym wrażeniem opisuję zdarzenia ubiegłej nocy. Wczoraj o godz. 10 wieczór usłyszeliśmy huk przelatujących nad nami bombowców. Szły kilkoma falami, jedna za drugą. Na tych, którzy byli świadkami ostatnich nalotów w Warszawie podziałało to ogromnie deprymująco.

Około 11 min. 30 wpadli do szpitala żandarmi wzywając mnie do udzielenia natychmiastowej, szybkiej pomocy rannemu komendantowi



miejscowego posterunku żandarmerii, leutnantowi Foersterowi. Schwyciłem przygotowane na wszelki wypadek zawczasu torby z materiałem opatrunkowym, narzędziami, zastrzykami itp. i w asyście 4 żandarmów i policjantów udałem się na posterunek. Zobaczyłem tam stękającego leutnanta z przestrzelonym lewym stawem biodrowym. Został on postrzelony podczas obchodu miasta. Nałożyłem mu opatrunek i powiedziałem, żeby natychmiast wezwali karetkę Czerwonego Krzyża z Zamościa i przewieźli go do szpitala wojskowego. Do godziny 2 w nocy czekałem przy rannym na przybycie sanitarki. Przez prawie trzy godziny siedziałem na posterunku i miałem możność obserwować panujący tam ruch. W czasie, gdy wszyscy byli zgromadzeni na posterunku, dano znać, że jest napad na spółdzielnię mleczarską. Zerwali się żandarmi i policjanci, schwycili karabiny i pobiegli na miasto. Wrócili przed drugą. Na stole stała litrowa flaszka wódki i coraz to któryś z żandarmów nalewał sobie kieliszek i wypijał, niczym nie zagryzając. Przynieśli potem piwo i każdy pił je wprost z butelki. W ogóle zdenerwowanie było silne. Wszędzie dookoła widać było karabiny gotowe do strzału, niektórzy stale trzymali je w ręku. Mnóstwo też było granatów ręcznych porozkładanych na stołach, półkach, łóżkach itd. Wreszcie doczekałem się przybycia sanitarki. Sanitariusze wnieśli nosze i zaczęli przenosić na nie rannego. Podziwiałem jak robili to źle, niezdarnie i niefachowo. Omal nie upuścili rannego. Chciałem zaraz wracać do domu, ale nie puścili mnie samego. Odprowadzało mnie 4 żandarmów i policjantów. Ustawili się przy tym tak, że jeden szedł obok mnie, drugi z tyłu, a dwóch o kilka metrów po bokach.

W domu słyszałem znów warkot powracających z wyprawy bojowej samolotów.

Obawiam się, że mogą być bardzo liczne ofiary w związku z postrzeleniem leutnanta żandarmerii.

Godz. 10 wieczór

Jakoś dzień przeszedł spokojnie. W mieście są tylko gestapowcy poprzebierani po cywilnemu. Aresztowań żadnych jeszcze nie było. Pomimo tego miasto przeżywa przykre chwile niepokoju, oczekując łapanki. Kto może wychodzi z miasta. Ja wciąż mam wrażenie, że nad tym zdarzeniem Niemcy nie przejdą spokojnie do porządku dziennego. Przed kilkoma dniami przeprowadzono masowe aresztowania w Turobinie. W liczbie aresztowanych są i lekarze: dr Kwit i dr Bedałek, trzeci lekarz, dr Mączka, zdołał uciec. W danej chwili Turobin pozostał bez lekarza. Za-

trzymano i lekarza weterynarii, dwóch księży, ogółem — jak mówią — do 40 osób. Jaka była przyczyna tych aresztowań, nie wiemy. Plotek na ten temat oczywiście krąży bardzo dużo.

7 września

Dwa dni przeszły spokojnie, na razie nie ma żadnej reakcji po postrzeleniu komendanta Foerstera. Nikt jednak nie wierzy w to, żeby tego rodzaju zdarzenie mogło przejść bez następstw. Wszyscy wciąż trwają w oczekiwaniu aresztowań.

9 września

Wczoraj od rana zaczęły się w mieście aresztowania, byli obcy żandarmi i paru gestapowców. W rezultacie zabrano około 12 mężczyzn, przeważnie nigdzie nie zatrudnionych, bezrobotnych, uprawiających handel pokątny, poniekąd „ptaków niebieskich", a więc Hojdę, Czerwia, Wybacza, Wójtowicza, Kowalika, z Przedmieścia starego Misiarza, ojca znanego awanturnika, wciąż wymykającego się z rąk policji i żandarmerii i in. Zabito przy tym jakiegoś chłopa, który przywiózł ze wsi trochę wapna na sprzedaż. Zatrzymano go na rynku, nie miał przy sobie żadnych dokumentów, przesłuchano go na posterunku i potem jeden z żandarmów prowadził go do aresztu miejskiego. W drodze na ulicy, nie wiadomo właściwie z jakiego powodu, ów żandarm zastrzelił go.

Wieczorem przyjechał duży samochód pełen gestapowców. Miasto zamarło w niepokoju i strachu. Dziś rano dowiedziałem się, że już od godz. 3 w nocy zaczęły się aresztowania. Trwały one do południa. Z lubelskiego więzienia przywieziono aresztowanych niedawno: Złomańczuka i Tykwińskiego, prawdopodobnie w zamiarze wydobycia od nich na miejscu dodatkowych informacji i wskazówek. Aresztowano kilka osób w cukrowni: Osickiego, Cebrykowych i jeszcze kogoś, w Szczebrzeszynie: kolejarkę Bielecką z córką, szewca Augustowskiego i jeszcze kilka osób, których nazwisk nie udało mi się dotychczas ustalić. Byli w wielu domach, lecz przeważnie nikogo z poszukiwanych nie zastali. Z Tykwińskim jeździli na Szperówkę, aresztowali tam Dziocha i Hadama. Tym razem nie wzięto nikogo z inteligencji. Byli już nie wiadomo który raz u Firmantych i znów nikogo nie zastali. Wobec tego zabrali całe urządzenie mieszkania i całą zawartość ich dobrze zaopatrzonego sklepu kolonialnego. Wszystkie te aresztowania stoją w związku z postrzeleniem leutnanta Foerstera.

Przed południem rozeszła się wiadomość, że dzisiaj rano umarł on w szpitalu wojskowym w Zamościu. Żandarmi i policjanci mówią poufnie, że będą jeszcze dalsze aresztowania. W miasteczku ciężka atmosfera przygnębienia.

Wieczorem przed godz. 10 znów przelatywały nad nami ogromne bombowce.

10 września

Dzień dzisiejszy przeszedł zupełnie spokojnie. Jutro rano ma się odbyć pogrzeb Foerstera. Jesteśmy pewni, że nie minie nas nowa fala aresztowań, zwłaszcza, że młody Misiarz chodzi zupełnie jawnie po mieście i odgraża się, że jeszcze paru żandarmów i policjantów musi być sprzątniętych.

Dzisiejszej nocy znów był napad na młyn i mieszkanie Łysaka w Kawenczynie.

Wczoraj aresztowano w Biłgoraju Wojdata, absolwenta z podchorążówki sanitarnej, który w Szczebrzeszynie pracował w firmie handlowej i uprawiał różne interesy na własną rękę. Z medycyną nie miał u nas nic wspólnego, znany był z tego, że zbyt często się upijał. Gestapo nie zastało go w domu, był w Biłgoraju. Natychmiast dano mu znać, żeby już do Szczebrzeszyna nie wracał. Zamiast ukryć się gdzieś i siedzieć cicho lub wyjechać, ten upił się, łazil po mieście i w końcu został aresztowany. Na szeregu przykładów widzimy, że wódka niejednego już zgubiła i oddała w ręce Gestapo.

Z Oświęcimia zawiadomiono rodzinę, że umarł tam b. komendant policji w Szczebrzeszynie Franciszek Antczak.

Po południu całe miasto zostało nagle silnie poruszone wiadomością, jaka wyszła ze sfer magistrackich, że ma być wysiedlonych i to w szybkim tempie 300 rodzin. Każdy myśli tylko o tym, czy jego to nie dotknie.

15 września

Jakoś kilka dni przeszło spokojnie. W mieście nastąpiło pewnego rodzaju odprężenie, ludzie mniej mówią o wysiedlaniu, mają nadzieję, że może nie będzie więcej represji w związku ze śmiercią Foerstera. Natomiast więcej boją się masowych łapanek przeprowadzanych wszędzie dookoła, zwłaszcza w Zamościu. Młodzież stara się bez potrzeby nie wychodzić z domu i nie jeździć koleją. Szczebrzeszyna chłopi wciąż jeszcze unikają, w niedziele i w dni targowe w mieście jest zupełnie pusto, całkiem inaczej niż było dawniej. Chłopi bardzo zajęci się młóceniem zboża. Śpiesznie dostarczają kontyngent tzw. przymiałowy i główny. Całe sznury furmanek naładowanych workami ze zbożem ciągną do młyna Perety i do gimnazjum, gdzie jest główny skład zboża. Wyznaczone zostały specjalne warty do pilnowania tych składnic. Do pełnienia służby wartowniczej przymusowo ciągną po kolei wszystkich mężczyzn. Coraz więcej mamy trudności ze zdobyciem produktów żywnościowych. Ogólne warunki życia stają się coraz cięższe. Wszyscy ze strachem myślą o nadchodzącej zimie.

17 września

Mieliśmy wczoraj straszny dzień. Już od północy zaczęły się aresztowania.

Na głównej ulicy, Zamojskiej, nie opuszczono ani jednego domu. Całą akcję zakończono dopiero po południu. Bardzo wiele osób nie zastano w ogóle w domu, niektórzy uciekli w ostatniej chwili. Gdzieniegdzie zabierano kobiety za nieobecnych mężów lub braci. W sumie wywieziono do Biłgoraja około 40 osób. Nie wszystkie nazwiska udało mi się ustalić, dlatego też spis, który podaję, nie jest pełny: 1) Jóźwiakowska, żona Antoniego, 2) murarz Kołodziejczyk, 3) zarządzający młynem Perety, Albin Grabowski, 4) syn jego Zygmunt Grabowski, zatrudniony w aptece, 5) murarz Czesław Biziorek, 6) szewc Jan Kalinowski, 7) właściciel warsztatów tkackich, Antoni Ostowicz, 8) stary mieszczanin Krzeszowski, 9) Złomaniec, 10) Książkowa, 11) Stanisław Hysa, 12) Kryk, 13) Trzcińska, 14) Marszycki, 15) Tadeusz Kot z Przedmieścia, 16) Mikołaj Tymczak, 17) adwokat Wilk, 18) właściciel sklepu monopolowego Materna, 19) Stanisław Danieluk z Przedmieścia, 20) kominiarz Górniak, 21) Antoni Stropek, 22) Aleksander Stropek, 23) Maria Pomianowska-Czernicka, 24) Hasiec, 25) młynarz Czerniakowski, 26) młynarz Jan Bender, 27) właściciel cukierenki Kucharski, 28) gospodyni księdza Lucja Świca, 29) Rubaj, 30) i 31) dwóch Kowalików. Reszty nazwisk nie ustaliłem. Oprócz wymienionych aresztowano dwóch braci Sztreicherów Żydów: technika dentystycznego i fryzjera.

Opowiadano mi dzisiaj, że policjanci granatowi, a nawet miejscowi żandarmi, zachowywali się wyjątkowo przyzwoicie, bo tak hałasowali, krzyczeli, dobijali się do niewłaściwych mieszkań, że wielu ludzi zdążyło przez to ukryć się lub uciec.

Rozmawiałem z burmistrzem. Sądzi, że to jeszcze nie koniec. Ludzie pozostali na wolności są tak rozbici psychicznie, że nie mogą pracować normalnie. Nawet burmistrz Kraus jest całkiem wytrącony z równowagi.

Trwamy dalej w niepewności i w oczekiwaniu nowych ofiar.

19 września

Wczoraj wypuszczono z więzienia w Biłgoraju obydwóch Grabowskich, Górniaka i Kołodziejczyka, dzisiaj oddano do dyspozycji Arbeitsamtu Kalinowskiego i Hysę, członków drużyny ratowniczej OPL. Ciasnota w więzieniu straszna, ludzie z trudem mogą pomieścić się, śpią na gołych pryczach i na podłodze.

Wczoraj wieczorem rozstrzelano braci Sztreicherów.

W nocy w więzieniu biłgorajskim w celi nr 1 powstał bunt. Trudno dowiedzieć się dokładnych szczegółów. Wiem tylko tyle, że zabity został syn dozorcy więzienia, stojący na warcie. Niektórym więźniom udało się zbiec, w tym dwom szczebrzeszakom. Nad ranem rozstrzelano podobno 17 więźniów. Byli wśród nich Kuczyński, Skóra i Biurko ze Szczebrzeszyna.

Chciałbym prowadzić dokładną kronikę wszystkich wypadków, staram się dowiadywać różnych szczegółów, ustalać nazwiska itp., lecz na każdym kroku spotykam przeszkody, trudne do przezwyciężenia. Relacje świadków często są bardzo sprzeczne, ludzie fantazjują, plotkują, snują domysły i nieraz niepodobna wyłuskać z tego wszystkiego istotnej praw-

dy. Lecz pomimo tych nieścisłości i ogromnych braków mam wrażenie, że zapiski moje mogą posłużyć za materiał orientacyjny i ułatwić w przyszłości ustalenie wielu faktów.

Po zajściu w więzieniu biłgorajskim ogromnie obawiano się u nas represji i aresztowań. Wielu mężczyzn nawet takich, którzy dotychczas stale siedzieli w domu, wyszło pod wieczór z miasta i gdzieś się ukryło. O zmroku ulice miasta były zupełnie puste. Dawno już nie widziałem takiej martwoty. W ogóle całe życie u nas zamarło. W mieście żadnego ruchu, w szpitalu mam zaledwie kilkunastu chorych, sklepy w znacznej części pozamykane, ludzie nie mogą przystąpić do normalnej pracy.

Na słupach rozlepiono nowe, duże czerwone plakaty z odezwą do wszystkich „mężczyzn i kobiet" głoszącą, ze „cierpliwość Niemców się wyczerpała" i że za ukrywanie i współdziałanie z „rozbójnikami i bandytami" będą palić i niszczyć całe wsie. Tymczasem tych „rozbójników i bandytów" wszędzie jest coraz więcej. Jesienne chłody zmuszają ich do częstego i dłuższego przebywania po wsiach. Czynią to śmiało, drwiąc sobie z żandarmów i policji. Wiedzą dobrze, że ci pozostają głusi na wszelkie meldunki chłopów, sołtysów i wójtów. Chłopi nieraz znajdują się w sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony terroryzują ich uzbrojeni od stóp do głów różni partyzanci i zwykli bandyci, z drugiej mszczą się za to Niemcy. Warunki życia są coraz cięższe. Niektórzy zaczynają się już załamywać psychicznie, bezradnie opuszczają ręce, tracą wiarę nie w ostateczne zwycięstwo — bo w to nikt nie wątpi — lecz w możliwość przetrzymania tego wszystkiego oraz doczekania się końca wojny i straszliwej niewoli.

22 września

Dzisiejszej nocy uzbrojeni bandyci napadli na kilku zamożniejszych gospodarzy w Kawenczynie. Zabity został bardzo solidny młody gospodarz Władysław Łazorczyk i mieszkające u niego dwie wygnanki: matka z córką. Jednego z bandytów chłopi złapali. Był to młody 19-letni chłopak z Topólczy Leon Szpuga. Oddano go w ręce żandarmerii.

Wypuszczono z Biłgoraja i z Lublina, gdzie odbyła się jakaś komisja, Jóźwiakowską, Czernicką-Pomianowską i Książkową. Część aresztowanych wywieziono do Lublina. Na razie nie wiadomo, co z nimi zrobią: wyślą ich na roboty do Niemiec, czy też będą traktowani jako zwykli aresztowani i ewentualnie wysłani do obozów koncentracyjnych.

U nas kilka dni przeszło spokojnie. Ludzie zaczynają mieć nadzieję, że może na jakiś czas ustaną takie ostre represje.

24 września

Wczoraj rano aresztowano w cukrowni młodego Januszewicza, kierownika cegielni ordynackiej.

Opowiadano mi dzisiaj o zdarzeniu, jakie miało miejsce 22. IX. pod Komarowem pow. zamojskiego. Jechał inspektor samorządu Kośmiński, technik drogowy Szabliński i jeszcze ktoś trzeci. W pewnym momencie

jacyś cywile zatrzymali bryczkę i wylegitymowali wszystkich jadących. Dwóch puścili, Szablińskiego zaś, mającego legitymację Volksdeutscha, wystrzałem z rewolweru zabili na miejscu. Zrobiło to ogromne wrażenie. Volksdeutschów obleciał nie byle jaki strach.

30 września

Kilka dni przeszło u nas tak spokojnie, że aż się dziwimy. Żadnych aresztowań, żadnych napadów. Parę pożarów w okolicy nie wchodzi w rachubę.

Wczoraj zwieziono do Szczebrzeszyna wszystkich Żydów z gminy Radecznica, głównie z Goraja i z samej Radecznicy, w sumie około 400 — jak mnie poinformował burmistrz.

5 października

Wciąż wszyscy oczekują łapanki na roboty do Niemiec. Na ulicach pustki, ludzie, zwłaszcza młodsi, wychodzą z konieczności. Z różnych stron dochodzą wieści niewesołe. W Komarowie, w związku z zabiciem Szablińskiego, aresztowano 50 Polaków, tyluż Żydów od razu rozstrzelano. W Goraju był duży pożar od podpalenia, spłonęły magazyny zbożowe, aresztowano sto kilkadziesiąt osób.

11 października

Przed tygodniem wypuszczono z więzienia w Biłgoraju Januszewicza.

Wbrew oczekiwaniom, ubiegły tydzień przeszedł u nas spokojnie, dopiero wczoraj od wczesnego rana zaczęło się łapanie młodzieży. Chodzili po domach granatowi policjanci i brali młode dziewczynki podług jakiejś listy. Zatrzymano około 15 panienek, z których część zaraz wypuszczono. Wczoraj wieczorem mieli je wywieźć pociągiem, jak niektórzy przypuszczają, do Włoch, bo złapani przed paru tygodniami już stamtąd pisali, lecz ze stacji w Szczebrzeszynie uciekły wszystkie. Popłoch w mieście był straszny. Spodziewano się, że Niemcy lada chwila sami wezmą udział w łapaniu. Sklepy były pozamykane, ulice i rynek puste zupełnie. Po południu jakoś się uspokoiło, ale obawa trwa w dalszym ciągu.

Żandarmi uganiają się za bandytami i szaleją na swój sposób. Korzystają z praw stanu wyjątkowego i zabijają ludzi przy lada sposobności. Rzadko kiedy przejdzie teraz dzień, żeby kogoś nie rozstrzelano, czasem po kilku ludzi na raz. A bandyci różnego autoramentu sieją dookoła coraz większy strach. Październikowe chłody wypędzają ich z lasu do wsi, chłopom coraz więcej dają się we znaki, przeszkadzają w kopaniu kartofli i innych pracach. Zwłaszcza nie dają spokoju chłopom w Kawenczynie, mszcząc się za złapanie i wydanie Szpugi. Prawdopodobnie z powodu tych bandytów wyjechały z Brodów nauczycielki Niemki i żadnej szkoły niemieckiej już tam nie ma od kilku miesięcy.

Wczoraj dowiedziałem się, że 13. X. Niemcy zarekwirowali szpital powiatowy w Zamościu. Wydane zostało polecenie, aby w ciągu dwóch tygodni chorych odesłać do domu, część przewieźć do Szczebrzeszyna i nowych chorych więcej nie przyjmować. Szpital ma być przeznaczony wyłącznie dla chorych cywilnych, narodowości niemieckiej.

Jesteśmy dzisiaj silnie poruszeni rozstrzelaniem Lejzora Zero. Był to nasz rzeźnik, który od kilkunastu lat dostarczał szpitalowi mięso, dzierżawił sad, załatwiał nam najrozmaitsze interesy i był u nas uważany za swojego człowieka. Ostatnio oficjalnie został przydzielony do szpitala przez Arbeitsamt i stale tu przebywał, i w dzień i w nocy. Był to wyjątkowo sympatyczny Żyd, wszyscy ogromnie go lubiliśmy, mnie w czasie tej wojny w różnych okolicznościach okazał bardzo dużo życzliwości, toteż i mój stosunek do niego był serdeczny. Co dzień wieczorem przychodził do mnie i przynosił najświeższe wiadomości radiowe i inne. Dziś rano stał sobie spokojnie na rynku, w pewnym momencie podszedł do niego żandarm Syring („Łebniak") i wezwał, żeby udał się z nim na posterunek. Ponieważ często go tam wzywano, bo dostarczał mięsa żandarmom, więc poszedł, nie podejrzewając nic złego. Po pół godzinie wyprowadziło go 3 żandarmów, poszli razem w kierunku magistratu, tam z aresztu wzięto jeszcze aresztowanego przed paru dniami drugiego Żyda, fryzjera Tuchsznejdera i wsadziwszy na oczekującą furmankę powieźli obydwóch w stronę cukrowni. Po paru godzinach już wiedzieliśmy, że zostali oni rozstrzelani pod Michalowem, w lasku zwanym „remizą". Jeszcze wczoraj wieczorem długo rozmawialiśmy z Lejzorem o sytuacji ogólnej. Stale dowodził, że „un" wojnę przegrał i zaraz zadawał pytanie, „ale czy my wytrzymamy?". Śmierci Lejzora towarzyszy nasz szczery żal.

18 października

Przed paru dniami w Zamościu wykończono Żydów do reszty. Zostało tylko kilkunastu rzemieślników. Starszych rozstrzelano na miejscu, tych, którzy mogli iść popędzono do Izbicy. Dzisiejszej nocy likwidowano Żydów w Turobinie. Jesteśmy pewni, że i szczebrzeszyńskich Żydów czeka to samo.

Przed dwoma dniami rozstrzelano Marię Misiarzową z Przedmieścia Zamojskiego, matkę znanego awanturnika, który obecnie znajduje się w jakiejś grasującej w okolicy bandzie.

Od wczorajszego dnia, od godz. 12 w południe, posterunki żandarmerii i policji granatowej znajdują się w stanie ostrego pogotowia. W nocy wciąż krążą po mieście patrole.

19 października

Dziś rano pojechałem tzw. budą, czyli konnym autobusem na samochodowych oponach, do Zamościa. Chciałem sam przekonać się, jak tam jest w rzeczywistości i upewnić się, czy nic nie grozi zbiorom Rosińskiego

złożonym w pakach w pewnym miejscu. W razie czego chciałem przewieźć je do Zwierzyńca i umieścić jako depozyt w Archiwum O. Z., na co uzyskałem już przed paru dniami zgodę ordynata i kierownika archiwum Galińskiego. Gdy zbliżaliśmy się do Zamościa, zauważyliśmy, że dużo stosunkowo ludzi idzie od strony miasta. Niektórzy dawali znać ręką, żeby wracać, jakiś chłopak jadący rowerem krzyknął „łapią", wreszcie furman zatrzymał konie i od idących kobiet dowiedzieliśmy się, że cały Zamość otoczony jest przez wojsko, do miasta wpuszczają wszystkich, z miasta zaś nie wypuszczają już nikogo, łapią na ulicach kogo się da, chodzą po domach, spędzają zatrzymanych na rynek. Pojechaliśmy trochę dalej do Janowic, tu od różnych ludzi usłyszeliśmy potwierdzenie tego, co nam opowiadano, wobec czego pasażerowie i furman za nic nie chcieli jechać dalej, więc zawróciliśmy z powrotem. Tak więc po kilku godzinach wróciłem do domu, nie dowiedziawszy się nic konkretnego o istotnym stanie rzeczy w Zamościu. Telefonicznie boimy się rozmawiać ze względu na podsłuchiwanie.

U nas w mieście nastrój znów ciężki. Żydzi obawiają się likwidacji, Polacy łapanki. Dookoła na potęgę grasują bandy. W takich warunkach niepodobna normalnie pracować, bo wciąż trwamy w oczekiwaniu jakichś nadzwyczajnych wydarzeń, wypatrujemy i nasłuchujemy, czy się już coś nie dzieje.

21 października

Miałem dziś znów jechać do Zamościa. Wstałem wcześnie, żeby przygotować się do jazdy. Nagle usłyszałem i zobaczyłem przez okno jakiś niezwykły ruch w mieście, pomimo że ulice były właściwie zupełnie puste. Okazało się, że od godz. 6 rozpoczęła się już akcja „przesiedlania" Żydów, a właściwie likwidowanie ich w Szczebrzeszynie. Przez cały dzień, do zmroku, działy się niesamowite rzeczy. Uzbrojeni żandarmi, SS i policjanci granatowi uganiali się po mieście tropiąc i wyszukując Żydów. Spędzono ich na rynek i grupowano przed ratuszem. Wydobywano ich z najrozmaitszych kryjówek, rozbijano bramy, drzwi, wywalano okiennice, do niektórych piwnic i mieszkań wrzucano ręczne granaty. Strzelano z rewolwerów, z karabinów i z karabinów maszynowych ustawionych w różnych miejscach. Bito, kopano i w ogóle znęcano się w nieludzki sposób. O godz. 3 wyprowadzono z miasta około 900 Żydów — mężczyzn, kobiet i dzieci. Popędzano ich pałkami, kolbami i cały czas strzelano. Tylko członkowie Judenratu i żydowskiej policji jechali na furmankach. Po wyprowadzeniu ich, akcja jeszcze nie ustała. Łapano ukrywających się w dalszym ciągu. Obębniono na mieście, że za przechowywanie Żydów lub ich rzeczy grozi kara śmierci, za ujawnianie kryjówek żydowskich obiecywano specjalne nagrody. Złapanych Żydów rozstrzeliwano teraz na miejscu, bez żadnego pardonu. Ludność polską zapędzono do grzebania zabitych. Ilu ich jest — trudno powiedzieć. Obliczają, że od 400 do 500. Postaram się w magistracie zdobyć liczbę dokładną. Z podanych cyfr można jednak przypuszczać, że ukrywa się jeszcze około 2.000. Złapanych poprowadzono na stację. Dokąd ich wywieźli — nie wiem.

Straszny mieliśmy dzień. Nie potrafię opisać tego co się działo, trzeba mieć specjalne zdolności literackie, żeby dać należyty, prawdziwy obraz okrutnego barbarzyństwa Niemców. Nigdy nikomu nawet się nie śniło, że coś podobnego jest możliwe. Jestem wytrącony z równowagi, nie mogę sobie miejsca znaleźć, nie mogę nic robić.

Ze wszystkich stron słyszymy o napadach bandyckich. W ostatnich czasach miałem kilka wypadków zgwałcenia przez bandytów, a nawet zajścia w ciążę. Przed paru dniami zgłosiła się do mnie z tym jedna pani ze wsi, ze dworu, dzisiaj — młoda nauczycielka wiejska.

22 października

Wciąż jeszcze trwa tropienie Żydów. Obcy żandarmi i SS-owcy wyjechali wczoraj. Dzisiaj działają „nasi" żandarmi i granatowi policjanci, którym kazano zabijać na miejscu każdego złapanego Żyda. Rozkaz ten wykonują bardzo gorliwie. Od rana zwożą furmankami z różnych stron miasta, a najwięcej z żydowskiej dzielnicy zwanej „zatyły", trupy zabitych Żydów. Na kirkucie kopią duże doły i tam grzebią. W ciągu całego dnia wynajdywano Żydów w najrozmaitszych kryjówkach. Rozstrzeliwano ich na miejscu lub odprowadzano na kirkut i tam zabijano. W areszcie miejskim zgromadzono trzydziestu kilku Żydów. Widziałem na własne oczy, jak wyprowadzono ich z aresztu i popędzono ulicą Zamojską przez rynek na kirkut. Pędzili dwaj żandarmi Pryczing i Syring oraz jeden policjant granatowy.

Wyprowadzonych wczoraj z miasta trzymano przez całą noc w fabryce „Alwa" pod gołym niebem. Koło godz. 9 doprowadzono jeszcze Żydów ze Zwierzyńca. Dopiero dzisiaj w południe załadowano ich do wagonów. Około godz. 4 jeszcze pociąg stał na stacji. A na dworze zimno, pada drobny jesienny deszcz. Robotnicy fabryczni znajdowali na placu pieniądze, złoto, biżuterię, perły.

Mieszkania żydowskie są częściowo opieczętowane, pomimo tego rabunek idzie na całego. W ogóle ludność polska nie zachowywała się poprawnie. Niektórzy brali bardzo czynny udział w tropieniu i wynajdywaniu Żydów. Wskazywali, gdzie są ukryci Żydzi, chłopcy uganiali się nawet za małymi dziećmi żydowskimi, które policjanci zabijali na oczach wszystkich. W ogóle działy się straszne rzeczy, potworne, koszmarne, od których włosy stają na głowie. I to jeszcze nie koniec. Prawnie Żydzi w Szczebrzeszynie już nie istnieją, nie pozostawiono nawet najpotrzebniejszych rzemieślników, których brak już dzisiaj daje się odczuwać. A jednak ukrywa się ich jeszcze bardzo dużo. Wszyscy oni będą zabici przy wychodzeniu z kryjówek, w których przecież nie mogą siedzieć bez końca.

Byłem dziś w magistracie. Dokładnej liczby zabitych i „wysiedlonych" — bo tak oficjalnie nazywa się ta akcja — nie ustalono.

23 października

Jeździłem do Zamościa. W szpitalu było już tylko 7 chorych, wszystko myją, czyszczą, przygotowują do przekazywania w inne ręce. Nikt jed-

nak nie wie, jakie będzie dalsze przeznaczenie szpitala. Lekarze i cały w ogóle personel wymówienia pracy nie dostał.

Nastrój w Zamościu niezbyt dobry, ludzie żyją pod strachem możliwego wysiedlania. Szereg sklepów Niemcy kazali opróżnić, pozwalając zabrać towar. W czasie łapanki 19. X. zatrzymano, jak obliczają, do 3.000 osób, m. in. i lekarzy dra Boguckiego i dra Branickiego, lecz po kilku godzinach, po wylegitymowaniu, wypuszczono niemal wszystkich. Wzięto około 300 ludzi, przeznaczając ich do robót, w miejsce zlikwidowanych Żydów. Tych w Zamościu już nie ma, chyba, że gdzieś się jeszcze ukrywają. Dr Rosenbusz-Szpigelglas wyszła ze wszystkimi do Izbicy, dr Roseman na razie pozostał, lecz dzisiaj też wyjechał do Izbicy, dr Skotnicki, okulista, zdążył gdzieś uciec. Na ulicach, jak zwykle w ostatnich czasach, pusto zupełnie. Zamość robi bardzo przykre wrażenie, toteż z przyjemnością wracam do domu.

Tymczasem w Szczebrzeszynie działało Gestapo przy pomocy miejscowych żandarmów, granatowych policjantów i przy czynnym udziale niektórych obywateli miasta. Popisywał się też młody policjant z Sułowa, Matysiak. Woźny Skórzak nie mając karabinu ani rewolweru, siekierą rąbał głowy wyciąganych z kryjówek Żydów. Inni cywile z amatorstwa też gorliwie pomagali, wyszukiwali Żydów, pędzili ich do magistratu lub na posterunek, bili, kopali itp. Przez cały dzień jedni tropili tych nieszczęśliwych, drudzy zwozili trupy i kopali na kirkucie doły. Od czasu do czasu słychać było strzały.

24 października

Wszystko trwa w dalszym ciągu. Gestapowcy z Biłgoraja szaleją. Przy pomocy ludności cywilnej żandarmi i policjanci wyciągają Żydów z najrozmaitszych dziur, rozstrzeliwują na miejscu lub prowadzą na kirkut i tam zabijają. Niektórych gromadzą w miejskim areszcie i potem wyprowadzają na cmentarz większymi grupami. Widziałem jak prowadzili takie grupy. Po bokach szli żandarmi, policjanci i Polacy zaciągnięci do pomocniczej służby wartowniczej, bez broni, w czarnych niemieckich mundurach. Ci pałkami wciąż walili Żydów po plecach, po głowie i gdzie się dało. Wygląd prowadzonych okropny.

Przed południem obębniono na mieście zarządzenie Gestapo, żeby na godzinę drugą stawili się z łopatami bez wyjątku wszyscy mężczyźni od lat 15. Aż do odwołania zabroniono sprzedawać w mieście wódkę. Do restauracji mężczyznom w ogóle nie wolno wchodzić. Usłyszawszy to poszedłem na posterunek żandarmerii i zapytałem, czy lekarze i męski personel szpitalny też ma się stawić do kopania dołów na kirkucie. Tu mi wyjaśniono, że lekarzy i intendenta to nie dotyczy, ale służba męska musi przyjść do roboty.

Bezustannie prowadzono Żydów na cmentarz, furmankami przez cały dzień bez przerwy zwożono trupy, a z mieszkań żydowskich zabierano do hali targowej żydowskie graty. Sporo mieszkańców miasta bez żadnego wstydu rabowało przy tym, co się tylko dało. Wciąż stoją mi przed oczami bici pojedynczy Żydzi, grupy prowadzonych na śmierć i trupy rzucone byle jak na furmanki, posiniaczone, pokrwawione. Wśród tych ofiar w znacznym stopniu przeważają kobiety, dzieci i starcy. Mężczyzn

w sile wieku stosunkowo jest najmniej. Albo lepiej się ukrywają, albo zdążyli uciec do lasu. Jak mówią, właśnie ci odgrażali się, że będą się mścić i podpalą miasto za takie zachowanie się ludności cywilnej. Tak więc przybywa nowa obawa pożaru.

Dzień dzisiejszy był koszmarny i to już czwarty z rzędu. Nikt chyba nie zliczy ilu Żydów już zabito. I zapewne jeszcze nie koniec, bo jutro rano kazano stawić się znów wszystkim mężczyznom z łopatami, a chłopom, którzy wozili dziś trupy, z furmankami.

26 października

Wczoraj, w niedzielę, przez cały dzień nieliczni cywile wyłapywali Żydów i odprowadzali ich do aresztu przy magistracie. Pod wieczór wywieziono około 50 trupów uduszonych i zmarłych z wycieńczenia. Na cmentarz prowadzono dziś osobno mężczyzn (około 100) i osobno kobiety i dzieci. I w dalszym ciągu tropiono wszędzie Żydów. Widziałem jak w pobliżu szpitala, w zabudowaniach znanych powroźników Dymów, wynaleziono i wyprowadzono 50 Żydów. Liczyliśmy, gdy pędzono ich do aresztu. Tłum gawiedzi stał i przyglądał się. Niektórzy „z amatorstwa" pomagali: rozbijali dachy i ściany szukając Żydów, a potem bili ich pałkami. Mówił mi jeden z czynniejszych w całej akcji urzędników magistrackich, Kuczer, że dwóch Żydów chorych na tyfus plamisty w domu izolacyjnym zabito i zakopano wraz z pościelą i łóżkami w dole głębokim na 4 metry. Wiadomość tę podał mi oficjalnie dla zakomunikowania lekarzowi powiatowemu. O losie dra Bołotnego nic pewnego nie wiadomo. Dentystka Bronsztejnowa z dwiema córeczkami wyszła w pierwszym dniu i została wywieziona do Bełżca. Dentystkę Sztrejcherową zabito przed domem. Ludność z otwieranych żydowskich domów rozchwytuje wszystko, co jest pod ręką, ludzie bezwstydnie dźwigają całe toboły z nędznym żydowskim dobytkiem lub towarem z małych sklepików.

Przy sposobności notuję nazwiska żandarmów niemieckich i skład posterunku policji granatowej:

Komendantem żandarmerii w chwili rozpoczęcia akcji likwidowania Żydów był „meister" Frymer. Obecnie przyjechał jakiś nowy, którego nazwiska, jak również i dwóch innych żandarmów, jeszcze nie znam. Poza tym są Niemcy: Pryczing i Schulz oraz doskonale mówiący po polsku: Mędykowski, Wisenberg, Bot, Prestlaw i Syring („Łebniak") najbardziej znienawidzony ze wszystkich. Ma on — jak mówi — 19 lat, jest typem zupełnie zwyrodniałym, odznacza się okrucieństwem bez granic. Trudno zliczyć, ile ofiar ma na sumieniu, tak Polaków, jak i Żydów [1]). Komendantem posterunku P. P. jest Marunowski, przyzwoitszy — przynajmniej na pozór — i najspokojniejszy, dalej Tatuliński, Hajduczak [2]) — stary pijaczyna, bardzo niebezpieczny typ, Jan Gał — jeden z najgor-

---

[1]) Na jesieni 1945 złapano go w Katowicach. Następnie przewieziono do Zamościa. Wyrokiem sądu został skazany na karę śmierci. Powieszony w Zamościu.

[2]) W r. 1945 został zatrzymany przez milicję szczebrzeszyńską i oddany w ręce Urzędu Bezpieczeństwa w Zamościu.

liwszych oprawców, który już i młodocianego syna zaprawia do niecnej roboty [3]), i jeszcze jeden policjant niedawno tu przybyły.

Godz. 6 wieczorem

Przychodzą ludzie z miasta i opowiadają o coraz to nowych okrucieństwach niemieckich w stosunku do Żydów. Siostrzenica widziała na własne oczy jak żandarmi dopędzili uciekającą młodą Żydówkę, powalili ją na ziemię, skopali nogami w straszliwy sposób, a potem za włosy powlekli przez cały rynek do posterunku. Kol. Matuszewski był świadkiem jak gestapowiec Majewski z Biłgoraja wystrzałem z rewolweru zabił po kolei 5 Żydówek. Na chodnikach w różnych miejscach miasta widać kałuże krwi. W areszcie w magistracie wciąż słychać płacz, lament, jęki i przekleństwa. Na podwórzu magistrackim co jakiś czas rozstrzeliwują pojedynczych Żydów. Urzędnicy w magistracie zdenerwowani są do najwyższego stopnia, kobiety płaczą i oczywiście nikt nic nie robi. Pracują tylko sekretarz Babiarz zastępujący chorego burmistrza i zatrudnieni bezpośrednio przy samej akcji. Niektórzy urzędnicy uciekają z biura, bo już nie wytrzymują nerwowo. Inni znów zobojętnieli na wszystko.

Przed wieczorem wielu mieszkańców z jeszcze większą pasją rzuciło się do rabunku. W końcu żandarmi za rabowanie zastrzelili jednego chłopaka i Felkę Sawicównę, mieszkającą naprzeciw szpitala. Przez cały dzień furmanki zwoziły do hali żydowskie rzeczy, a od czasu do czasu na żydowski cmentarz — trupy zabitych.

Wszystko to razem daje niesamowity obraz, trudny do opisania. Czegoś równie strasznego, koszmarnego, nikt nigdy nie widział i o czymś podobnym nie słyszał. Kreślę swe wrażenia chaotycznie, niezdarnie, jestem mocno wytrącony z równowagi, mam jednak przeświadczenie, że nawet takie notatki stanowić będą kiedyś swego rodzaju dokument przeżywanej obecnie chwili.

27 października

Jeszcze nie koniec. Akcja tępienia Żydów trwa w dalszym ciągu. Widok leżących na ulicach trupów tak już spowszedniał, że ludzie stosunkowo mało zwracają na nie uwagi, przechodzą obok obojętnie. Trup chłopaka zabitego wczoraj za rabunek leżał na chodniku prawie całą dobę, zanim go sprzątnięto.

28 października

Dwa razy byłem w mieście i za każdym razem spotkałem grupę Żydów prowadzonych na śmierć. Widziałem jak starą Żydówkę, która już nie mogła iść o własnych siłach, gestapowiec zabił wystrzałem z karabinu. Mierzył dość długo, strzelił raz, lecz nie zabił, strzelił ponownie i dopiero poszedł dalej dopędzając prowadzoną grupę. Ludzie patrzyli na to jak na rzecz zwykłą, codzienną. Nie wiem dlaczego, ale i na mnie nie sprawiło to już tak silnego wrażenia jak dawniej.

[3]) W r. 1945 obydwaj Gałowie, i ojciec i syn, zostali równocześnie zlikwidowani przez polską organizację podziemną.

29 października

Z Żydami w dalszym ciągu to samo. Furmanki wciąż zwożą do hali żydowskie rzeczy. Już nie mieszczą się wewnątrz budynku i na rynku koło hali urosła olbrzymia góra z tych gratów. Żandarmi sporo rzeczy, bielizny i sprzętów gospodarskich, oddali do użytku szpitalowi, jak to czyniono w innych miastach. Nie sprawia mi to przyjemności, ale wcielam do inwentarza szpitalnego, bo naprawdę bardzo nam te rzeczy przydadzą się.

30 października

I dziś od czasu do czasu prowadzili Żydów na kirkut. Przywieźli do Szczebrzeszyna trochę Żydów złapanych po wsiach.

Zjawiło się Gestapo z Zamościa. Przyjechali z samochodem ciężarowym i w niektórych polskich domach rekwirowali lepsze meble mówiąc, że „pożyczają je czasowo".

31 października

Wciąż jeszcze wyciągają z rozmaitych zakamarków wynędzniałych Żydów. Oprócz „pomagierów" polskich kręci się przy tym czterech wyrostków żydowskich. Znają oni lepiej od innych różne kryjówki swych współrodaków. Mają nadzieję, że darują im przez to życie. Nadzieja złudna, bo na końcu rozstrzelają i ich. W Zamościu popędzono do Izbicy nawet inż. Braunszteina (b. członka Koła Miłośników Książki), który prowadził gestapowcom wszystkie ich budowy.

Poinformowano mnie dzisiaj ze źródła policyjnego, że w sumie zlikwidowano już około 3.000 Żydów. Obliczają, że uciekło i ukrywa się w mieście jeszcze około 1.500.

2 listopada

Jeździłem wczoraj do Zwierzyńca. Tam Żydów zlikwidowano podobnie jak u nas. W Szczebrzeszynie jeszcze czasem kogoś wyciągną, ale nie tak już masowo jak przedtem. „Pomagiery" chodzą teraz do lasu i tam wyłapują Żydów. Przyprowadzili już kilkunastu.

W Lublinie w restauracji aresztowano Jana Firmantego, którego od dawna szukano w Szczebrzeszynie.

4 listopada

Do aresztu miejskiego wciąż przyprowadzają pojedynczych Żydów złapanych w mieście, po wsiach, w lesie itp. Mówił mi dzisiaj burmistrz Kraus, a więc osoba dobrze poinformowana, że pierwszego dnia wywieziono, dokładnie, 934 Żydów, rozstrzelano zaś po domach, na ulicy i na cmentarzu około 2.300. Tu już ściślej liczby nikt nie jest w stanie podać. Niektórych Żydów chłopi zabijają po wsiach bojąc się ukrywać ich u sie-

bie. To samo robią z nimi i różni „bandyci". Czasem zdjąwszy ubranie puszczają nago. Tylko Rosjanie wcielają ich do swoich grup.

Dziś Gestapo zlikwidowało u nas dość dużą grupę Żydów, przeważnie mężczyzn. Na ostatku rozstrzelano na ulicy 4 wyrostków żydowskich, którzy najwięcej Niemcom pomagali przy wynajdowaniu ukrywających się Żydów. Na cmentarzu żydowskim są trzy duże mogiły zbiorowe, ostatni dół nie jest jeszcze zasypany. Leżą w nim trupy nie przykryte, czekając na dalsze ofiary. Rozstrzeliwano przeważnie każąc ludziom kłaść się w dole twarzą do ziemi. Opowiadali mi naoczni świadkowie, że nie wszyscy Żydzi ginęli od razu, niektórzy jeszcze się unosili, krzyczeli, wołali ratunku, a już kładziono na nich następną warstwę.

Od trzech dni likwidują Żydów w Biłgoraju i w Tarnogrodzie. Tu, w jednym domu Żydzi stawili opór, rzucili się na gestapowca i mocno go poturbowali.

Cała szosa od Biłgoraja do Zwierzyńca, dokąd pędzono Żydów na stację, usiana jest trupami. Tak samo wykończono Żydów i w Józefowie.

Wszędzie działy się potworne rzeczy, w które trudno jest uwierzyć. I naprawdę nie wierzyłbym, gdybym sam nie patrzył własnymi oczami na to wszystko, co się działo u nas w Szczebrzeszynie.

W ostatnią niedzielę w Krasnobrodzie podczas nabożeństwa otoczono kościół i zabrano całą młodzież na roboty, osadzając zatrzymanych na razie w koszarach, w Zamościu. Wszyscy spodziewają się, że po zakończeniu akcji przeciwżydowskiej zaczną się znów większe represje w stosunku do Polaków.

Napady bandyckie dookoła na porządku dziennym. Są zabici i ranni. A Niemcy mszczą się za rzekome pomaganie i sprzyjanie bandytom, zabijając całe rodziny, jak np. ostatnio w Niedzieliskach. Zdarzają się ofiary całkiem przypadkowe. Przed 3 dniami np. w Rozłopach policja granatowa z Sułowa zabiła Aleksandra Makarę i tak ciężko postrzeliła Annę Siemczyk, że musieliśmy jej amputować nogę powyżej kolana.

Pomimo przygnębienia z powodu wypadków miejscowych i ciągłego strachu i niepewności o własną skórę, ludzie są jak najlepszej myśli co do przyszłości. Wielu jeszcze się łudzi, że wojna skończy się w tym roku. Ofensywa angielska w Afryce napawa ludzi radością i dodaje im nie byle jakiej otuchy, a nawet pewności co do bliskiego zwycięstwa.

10 listopada

Jeszcze wynajdują czasem Żydów po różnych kryjówkach. Zasadniczo Żydzi zostali zlikwidowani we wszystkich osadach na terenie całego obecnego powiatu biłgorajskiego. Pozostali jeszcze tylko ci, którzy ukrywają się po lasach, wąwozach itp. Przychodzą oni czasem do miasta w nocy po jedzenie, ale warty na drogach i patrole nocne wyłapują ich.

14 listopada

W ciągu ostatnich kilku dni było u nas zupełnie spokojnie. Co dzień wynajdywano gdzieś po paru Żydów, ale ludność tak się z tym oswoiła,

że wprost uważa to za zjawisko zupełnie normalne. Przyzwyczajono się też do tego, że cała uwaga gestapowców i żandarmów była zwrócona na Żydów.

Tym większą niespodzianką było zjawienie się w domach polskich gestapowców i nagłe aresztowania. W mieście powstał zrozumiały popłoch, wielu mężczyzn zdążyło skryć się, tak, że gestapowcy nie wszystkich zastali w domu. Aresztowane zostały następujące osoby: 1) mgr Jan Szczygłowski za nieobecnego syna, 2) Józef Kołodziejczyk, b. naczelnik poczty, 3) Franciszek Rypin, rzeźnik, 4) Kitowski, 5) Tadeusz Żelazko [1]), fryzjer, 6) Tadeusz Niedźwiedzki [2]), 7) Zwyccewicz. Ci dwaj ostatni młodzi chłopcy, należeli do bardzo czynnych „pomagierów" w czasie akcji antyżydowskiej. Z cukrowni wzięto: 8) Kukułowicza i 9) Dwornika, obecnego gospodarza cukrowni. Oprócz wymienionych aresztowano jeszcze w Szczebrzeszynie młodego Zbigniewa Biedrzyńskiego, który próbował uciec, lecz został zastrzelony na ulicy. Dostał 5 strzałów. Głowę miał rozwaloną całkowicie. Pochować go normalnie nie pozwolono. Zwłoki kazano wywieźć i zakopać zwyczajnie na cmentarzu, bez trumny. Ojciec malarz pokojowy wysiedlony z Poznańskiego, zbierał potem drobne szczątki i cząsteczki syna pozostałe na miejscu, gdzie ten został zabity. Aresztowanych zatrzymano na kilka godzin w areszcie miejskim, potem wywieziono do więzienia w Biłgoraju.

Przed paru dniami nadeszły wiadomości z Oświęcimia, że zmarli tam: Okoniewski, Wincenty Bryłowski, Zgnilec i czeladnik od Barańskiego.

16 listopada

Wczorajszy i dzisiejszy dzień przeszły u nas spokojnie. Dochodzą wieści — na razie bardzo niedokładne — o masowych aresztowaniach w Biłgoraju, Zamościu i innych miasteczkach Lubelszczyzny. O Zamościu wiem tylko tyle, że został tam zabity b. woźny gimnazjum Tracz i jakiś sędzia. Wśród aresztowanych jest b. nauczyciel seminarium Drożdż.

Dziś nadeszła depesza o śmierci Michalskiego w Oświęcimiu. Przed miesiącem w jednym z obozów umarł ks. Samolej z Biłgoraja.

Po zlikwidowaniu Żydów w Szczebrzeszynie niektórzy biedniejsi mieszkańcy Polacy otrzymali przydziały na mieszkania pożydowskie, pozapłacali za nie niewielkie czynsze w magistracie, doprowadzili do porządku, obielili, powstawiali okna, ponaprawiali piece itd. i jako tako w nich się urządzili. Naraz dziś rano obębniono na mieście zarządzenie, że do godziny 12 w południe wszystkie te mieszkania mają być opróżnione. Na razie nie możemy dowiedzieć się, co to ma znaczyć i dla kogo przeznaczone są te mieszkania.

Ludzie są przygnębieni, wyczerpani nerwowo i wciąż zadają sobie pytanie, czy my to wszystko wytrzymamy. Panuje ogólne przekonanie, że w miarę wzrastania niepowodzeń niemieckich na frontach będzie się zwiększał terror na terenach okupowanych.

---

[1]) Zwolniony po paru godzinach. Na jesieni 1944 r. zlikwidowany jako szpicel.

[2]) Zwolniony po paru godzinach. Na wiosnę 1945 r. zostały rozstrzelany przez swoich za wielokrotne napady bandyckie i gwałty.

17 listopada

Z więzienia w Biłgoraju wypuszczono mgra Szczygłowskiego, Rypina i Zwycewicza. Podobno bardzo liczne były aresztowania wśród nauczycieli po wsiach. M. in. zatrzymano b. uczniów tutejszego seminarium nauczycielskiego Kimaka i Weilera.

Dochodzą nas poufne wiadomości, że w najbliższych dniach należy się spodziewać łapanki na roboty do Niemiec.

Wciąż jeszcze wyciągają z różnych kryjówek pojedynczych Żydów. Żałosny jest ich wygląd.

Około dwóch lat gospodynią na posterunku żandarmerii była niejaka Oberweis, kobieta lat 30 kilku, przechrzta, pochodząca z licznej rodziny żydowskiej, która przed paru laty przeszła na katolicyzm i osiadła na wsi w Gorajcu. Dogadzała żandarmom jak mogła, zawsze byli z niej bardzo zadowoleni i darzyli ją specjalnymi względami. Zdawało się, że może być o siebie zupełnie pewna i spokojna, zwłaszcza gdy już minęła główna fala akcji przeciwżydowskiej. Tymczasem wczoraj zastrzelono ją. Posłano ją po coś do miasta, poszedł za nią żandarm i strzelił z tyłu w głowę. Przynajmniej oszczędzono jej świadomości, że idzie na śmierć.

18 listopada

O Zamościu dowiedziałem się na razie tylko tyle, że zabity został sędzia Wacław Trybalski, poza tym, że wśród aresztowanych był hrabia Szeptycki z Łabuń i sekretarz gminy, Kamiński.

Dziś znów rozstrzeliwano złapanych Żydów. Wynajdują ich teraz głównie po wsiach, po lasach, w stogach w polu, w mieście znacznie mniej. Opowiadano mi dzisiaj, że dwie Żydówki z małymi dziećmi same zgłosiły się do aresztu miejskiego, bo już nie mogły dłużej wytrzymać bez jedzenia i bez ubrania, które im w lesie zrabowano. Dzieci były już ledwie żywe.

Z rozmaitych stron dochodzą wiadomości o bardzo licznych aresztowaniach. Wszyscy są przekonani, że zwiększone represje dowodzą niepowodzeń niemieckich na frontach.

19 listopada

Jeździłem do Zwierzyńca. Po drodze spotykaliśmy bardzo dużo żandarmów i SS-owców na samochodach i na furmankach. W osadzie zadziwiająca pustka. Dopiero tu dowiedziałem się, że ubiegłej nocy w czasie obławy na „bandytów" został zabity w Kawenczynie komendant zwierzynieckiego posterunku żandarmerii „meister" Bauer, drugi żandarm jest ranny. W danej chwili odbywa się nowa obława na „bandytów" na większą skalę. Oczywiście wszyscy są przerażeni, spodziewając się, że zabójstwo to może pociągnąć za sobą większą liczbę niewinnych zupełnie ofiar. Mężczyźni przeważnie nie będą dziś nocowali w domu.

W Zwierzyńcu ogłoszono publicznie, że wszyscy muszą przy spotkaniu na ulicy kłaniać się niemieckim żandarmom.

20 listopada

Dziś rano zgłosił się do szpitala niejaki Tadeusz Smoła, lat 23, z Brodów Dużych, z raną postrzałową twarzy. Szedł do pracy w cukrowni, zatrzymał go po drodze jakiś nieznany mu mężczyzna, zapytał, czy on jest Smoła i na twierdzącą odpowiedź strzelił z rewolweru. Po kilku godzinach wyjaśniło się, że ten Smoła jest Volksdeutschem. Wyprawiłem go zaraz do szpitala w Zamościu. Miejscowi żandarmi przeprowadzili dochodzenie. Próba zabójstwa ma wyraźny charakter polityczny. Siostra rannego Tadeusza Smoły zapytana przeze mnie jakiej narodowości jest jej brat, odpowiedziała mi bez wahania: „niemieckiej".

Widziałem dziś na ulicy dwoje Żydów prowadzonych przez miejscowych „pomagierów". Byli krańcowo wychudzeni i wycieńczeni. On chwiał się na nogach, zataczał się i szedł z wielkim trudem. Gdy z aresztu miano wyprowadzić kilku Żydów, ci nie mogli już iść o własnych siłach. Żandarmi zatrzymali przejeżdżającą furmankę, wpakowali na nią nieszczęsne ofiary i powieźli na kirkut. Coraz częstsze są wypadki, że Żydzi sami zgłaszają się i proszą, żeby ich zabić.

21 listopada

Dowiedziałem się o licznych aresztowaniach w pow. krasnostawskim. M. in. wzięto wielu właścicieli ziemskich, dzierżawców, oficerów rezerwy itd., w tej liczbie Witolda Mogilnickiego z Bzowca, mego dobrego znajomego, zbieracza exlibrisów, człowieka wyjątkowo inteligentnego, wśród dziedziców wyróżniającego się wybitną kulturą umysłową.

22 listopada

Przed tygodniem aresztowano w Zamościu około 40 osób, m. in. Wiśniewskiego, oficera rezerwy, dyrektora „Snopu", Salomona b. majora, też zatrudnionego w „Snopie", Piotra, emerytowanego oficera, Staraka b. urzędnika skarbowego. Innych nazwisk nie mogę ustalić.

Mam nadzieję, że chyba znajdzie się w Zamościu ktoś taki, co notuje wszystkie tamtejsze wydarzenia. Wyobrażam sobie jak trudno będzie po wojnie odtworzyć dokładnie historię tych kilku lat, ustalić nazwiska wszystkich ofiar itd. Relacje naocznych świadków przeżywanych wydarzeń będą miały pierwszorzędne znaczenie. Ważne są przede wszystkim notatki pisane „na gorąco", sposobem kronikarskim, aby tylko zawierały wiadomości prawdziwe. Niestety, ludzie boją się teraz pisać, liczą na swoją pamięć i projektują skreślić swoje wspomnienia już po wojnie. Jeżeli mój pamiętnik zachowa się, to Szczebrzeszyn będzie miał stosunkowo dość dokładną kronikę lat wojny i okupacji, co w znacznym stopniu ułatwi zadanie jakiemuś historykowi regionalnemu.

26 listopada

Wezwano mnie dziś wieczorem na posterunek do chorego żandarma. Przy tej sposobności poznałem paru nowych żandarmów. Dla mnie są bardzo uprzejmi. Zauważyłem przy każdym łóżku mały stojak drewniany i w nim karabin. Dużo przewija się żandarmów przyjezdnych, ponieważ w okolicy wciąż odbywają się różne obławy, łapanki, egzekucje itp. Napady są tak częste, że trudno nawet prowadzić ich ewidencję. W ostatnich dniach był napad na „Alwę" i na pociąg, gdzieś niedaleko Bełżca.

Wśród „bandytów" sporo jest Żydów. Chłopi w obawie przed represjami wyłapują Żydów po wsiach i przywożą do miasta albo nieraz wprost na miejscu zabijają. W ogóle w stosunku do Żydów zapanowało jakieś dziwne zezwierzęcenie. Jakaś psychoza ogarnęła ludzi, którzy za przykładem Niemców często nie widzą w Żydzie człowieka, lecz uważają go za jakieś szkodliwe zwierzę, które należy tępić wszelkimi sposobami, podobnie jak wściekłe psy, szczury itd.

27 listopada

Dziś rano odbyła się w mieście łapanka wśród młodzieży, prawdopodobnie na roboty do Niemiec. Zabrano ogółem 26 osób z przewagą dziewczynek i popędzono na stację. Całą akcję przeprowadzono brutalnie, po swojemu, zrozpaczonym matkom nie pozwolono nawet podać chleba na drogę przemocą wywożonym dzieciom. Ludność jest oburzona, ale i bezradna.

Wciąż mówi się o tym, że w Szczebrzeszynie będą nowe, liczne aresztowania.

30 listopada

Ze złapanych i wywożonych na roboty przed kilkoma dniami, już niektórzy wrócili i chodzą dalej po mieście.

W Suścu aresztowano nadleśnego O. Z. Kazimierza Pożerskiego.

W powiecie zamojskim zaczęła się na większą skalę akcja wysiedlania mieszkańców różnych wsi. Dokładnych szczegółów nie znam, mówią ludzie przyjeżdżający z terenu, że wysiedlono kilka wsi pod Skierbieszowem, dalej Złojec, Zarudzie, Stary Zamość i in. Z gminy Nielisz brano po 20 furmanek z każdej wsi na przewożenie wysiedlonych, lub na przywożenie jakichś obcych przybyszów Volksdeutschów.

2 grudnia

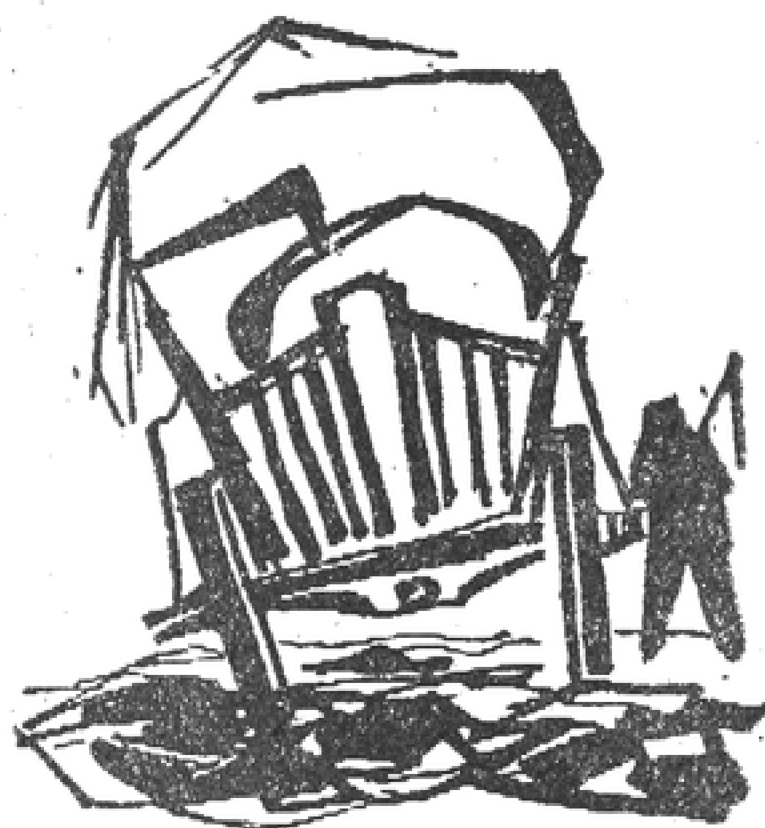
Wszyscy są pod przygnębiającym wrażeniem wysiedlania. Od wczorajszego dnia — nawet i w nocy — prawie bez przerwy ciągną furmanki od strony Zamościa w kierunku na Zwierzyniec. Uciekają ludzie z zagrożonych wsi: z Wielączy, Zawady i dalszych, wszystko zostawiają na pastwę losu, starając się tylko uniknąć przejściowego po-

bytu „za drutami" w Zamościu, a potem dalszego wywożenia niewiadomo dokąd. Zapewne i w samym Zamościu spodziewają się tego samego, bo zapytywała mnie dziś rano telefonicznie doktorowa Bogucka, czy nie wziąłbym do siebie na przechowanie trochę ich osobistych rzeczy, bielizny i pościeli. Do szpitala w Zamościu pozwolono znów przyjmować Polaków — na oddział chirurgiczny i wewnętrzny, na zakaźny — nie.

Byłem dziś na posterunku u chorego żandarma Niemca Kurtza. Ma nerwicę serca, nie sypia po nocach, nerwowo jest bardzo wyczerpany. Skarżył mi się na ciężkie warunki służby i mówił, że już ma wszystkiego dosyć. Opowiadał, że prawie wszyscy jego „kameraden" wyjechali do Zamościa i okolicy na wysiedlanie.

A w Kawenczynie z polecenia władz niemieckich strażacy złapali dziś w nocy dwudziestu kilku ludzi na ewentualne wysłanie na roboty do Niemiec. Zawiadomili o tym posterunek żandarmerii i policja granatowa pojechała zabrać tych zatrzymanych. Notuję ten fakt jako wielce charakterystyczny dla obecnych stosunków na wsi.

Ciężki jest nastrój. Wciąż słyszę furkot jadących po szosie furmanek. Myśl moja uparcie wraca do tej nowej fali tułaczy idących na poniewierkę, a częściowo na zagładę, bo małe dzieci w zimowych miesiącach umierać będą masami.



Żadna robota mi się nie klei. Przed kilkoma dniami zacząłem przygotowania do opracowywania zbieranych przeze mnie, jeszcze przed obecną wojną, bardzo obfitych materiałów dotyczących dziejów medycyny w Zamojszczyźnie, głównie na terenie Ordynacji Zamojskiej. Przeglądam 4 duże teki ze swoimi notatkami, wyciągami ze starych aktów, staram się obudzić w sobie odpowiednie nastawienie do tematu, ale idzie mi to opornie. Aktualne przeżycia są zbyt silne i nie pozwalają na skupienie uwagi nad sprawami tak odległymi od zagadnień dnia dzisiejszego. Trudno jest całkowicie zagłębić się w epoce sprzed 100 i więcej lat i pisać o ówczesnej medycynie, nie mając pewności, czy samemu nie wypadnie któregoś dnia nagle porzucić wszystko i iść w świat z jedną walizką w ręku, w której wszystkie moje rękopisy nawet by się nie zmieściły. Ale siedzieć bezczynnie też nie mogę. Przejrzałem jeszcze parę fascykułów z aktami i zamierzam w tych dniach odwieźć je do Archiwum O. Z. do Zwierzyńca i przywieźć trochę nowych.

Otrzymałem dzisiaj list od Stanisława Dąbrowskiego, który nie zaprzestał pracy nad malowanymi skrzyniami w Biłgorajszczyźnie i prosi mnie o ewentualne zebranie pieśni okolicznościowych, śpiewanych we wsi Wielączy w czasie wesela i wręczania skrzyni posażnej. Tymczasem trudno mi będzie nawet odpisać mu, że właśnie ta Wielącza dzisiaj opu-

stoszała, bo prawie cała ludność uciekła i nie da się na razie nic dowiedzieć o interesujących go skrzyniach ludowych. Ucieszyła mnie jednak wiadomość, że jeszcze nie wszyscy ludzie opuścili ręce, i że mogą pracować.

5 grudnia

Pozawczoraj łapano młodzież na roboty. Wczoraj późno wieczorem zaczęło się to samo. Z rozporządzenia władz użyto do akcji straż ogniową. Strażacy, niestety, gorliwie wywiązali się z poruczonego im zadania. Ogólne kierownictwo spoczywało w rękach policji granatowej. Strażacy chodzili po domach prywatnych i brali przede wszystkim tych, którzy mieli już kiedyś karty powołujące na roboty, poza tym i innych, kto tylko nawinął się pod rękę. Ile wzięto — nie mogłem dokładnie się dowiedzieć. Mówią, że około 50. W sumie ma być dostarczonych 250 robotników. Dopóki nie osiągną tej liczby, łapanki będą trwały.

Dzisiejszej nocy był poważniejszy napad na Pawłowskiego i na Dawida w Brodach Dużych. Przy sposobności obrabowano podobno i nauczycielkę Niemkę. Może w związku z tym zjawiło się u nas dzisiaj rano Gestapo i kręci się po mieście.

Poza tym wszyscy są pod wrażeniem masowego wysiedlania całych wsi. Dzisiaj wysiedlają Płoskie, Zawadę i Wielącze. Naokoło ludzie są przerażeni, wyjeżdżają zawczasu ze wsi, wywożą rzeczy, śpią w ubraniach w oczekiwaniu przybycia żandarmów i wyrzucania z mieszkań. W Szczebrzeszynie nastrój też nie jest różowy wobec tych łapanek i obaw, że może przyjść kiedyś kolej i na nas.

Na mieście rozklejono zarządzenie dotyczące linii kolejowych i zabezpieczenia ich przed aktami sabotażu. Podzielono tory kolejowe na poszczególne odcinki i powierzono sołtysom, wójtom i burmistrzom zorganizowanie straży, która by tych odcinków strzegła i była odpowiedzialna za ich całość. W razie „nieujawnionego aktu sabotażu" surowo ma być karana cała ludność mieszkająca w pobliżu. Wszyscy przybywający do miejscowości położonych do 5 km od linii kolejowej muszą być meldowani przed upływem 12 godzin.

Czujemy się wobec tego wszystkiego bardzo niepewnie. Każdy zadaje sobie pytanie, jaki los czeka jego samego i jego najbliższych.

Dostałem zawiadomienie, że Izba Lekarska w Lublinie przydziela do szpitala w Szczebrzeszynie chirurga. Burmistrz twierdzi, że będzie to Niemiec, który zajmie stanowisko „Leitera". Trochę w to wątpię.

6 grudnia

Tak panicznego nastroju jeszcze chyba u nas nie było. O niczym ludzie nie mówią, jak tylko o wysiedlaniu. Coraz uporczywiej krąży pogłoska, że lada dzień ma być wysiedlony i Szczebrzeszyn. Ludzie snują rozmaite domysły i przypuszczenia, opierając je na chwiejnych podstawach, na jakichś niewyraźnych powiedzeniach żandarmów, policjantów, burmistrza. W wielu domach gorączkowo pakują rzeczy, a nawet zaczynają

wywozić je z miasta. Oprócz wysiedlenia obawiają się ludzie i łapanek na roboty do Niemiec. Dotychczas złapano 90 kilka osób, a ma być dostarczonych 250.

Przez miasto wciąż ciągną furmanki z zagrożonych wsi. Dzisiaj żandarmi zatrzymywali je i gromadzili na rynku przed posterunkiem. Co z nimi zrobili — nie wiem.

Atmosfera męcząca, przygnębiająca.

7 grudnia

Panika trwa w dalszym ciągu. Ludzie się pakują, niektórzy wysyłają gdzieś w bezpieczniejsze miejsce swoje rodziny. Przez miasto jadą fury naładowane rzeczami uciekinierów z okolicznych wsi powiatu zamojskiego. W mieście mówi się tylko o wysiedlaniu. Ludzie wciąż pytają jeden drugiego: wysiedlą nas, czy nie wysiedlą?

I nikt nic nie wie. Ja osobiście dlaczegoś nie wierzę, żeby wysiedlili całe miasteczko i sam do wyjazdu się nie przygotowuję. Odwiozłem tylko dzisiaj do Zwierzyńca wszystkie akta z Archiwum O. Z., jakie miałem jeszcze u siebie. Nie wziąłem nowych, żeby w razie czego nie wypadło ich tu pozostawić. W Zwierzyńcu też mówią o możliwości wysiedlania, ale nie w taki sposób jak u nas.

A po lasach gromadzi się coraz więcej mężczyzn z wysiedlonych wsi, z przewagą b. wojskowych. Uzbrojeni są w karabiny i ręczne granaty. Wszyscy oni opanowani są żądzą zemsty. Rwą się do jakiejś roboty, przede wszystkim do palenia i niszczenia tego co pozostało w ich wsiach i zagrodach, żeby Niemcy nie korzystali z ich własności. Jak słyszałem, dowódcy, którzy w lasach skupiają koło siebie ludzi, z trudem powstrzymują ich od bezplanowej akcji. Czekają na rozkazy z góry. Należy się jednak spodziewać, że wkrótce zacznie się jakaś działalność na większą skalę, skierowana przeciw zaborcom. Oczywiście pociągnie to za sobą jeszcze większe represje, może więc być u nas bardzo gorąco. Jest to nieuniknione, ale chyba jeszcze gorsza jest absolutna bierność, z jaką ludzie pozwalają się masowo wysiedlać, wywozić, znęcać się nad sobą, nad kobietami, nad dziećmi.

8 grudnia

Znać pewne odprężenie, chociaż obawy w dalszym ciągu nie ustają. Dochodzą wieści z wysiedlonych wsi. Niemcy mało kogo w nich zastają. Co ciekawsze, że sprowadzeni tu obcy przybysze — jakieś cygańskie typy Volksdeutschów z Besarabii, mówiących przeważnie po rosyjsku — uciekają z wyznaczonych im siedzib z powrotem do Zamościa. Przede wszystkim boją się zemsty wysiedlonych, po drugie zastają tu pustki. Wysiedleni wracają czasem do swoich wsi i jeszcze grożą nowym mieszkańcom.

Teraz ludzie zadają sobie pytanie, dokąd właściwie wywożą z Zamościa całe transporty wysiedlonych. Wiadomo tylko, że w kierunku na Lublin. Są przypuszczenia i obawy, że gdzieś w głąb Rzeszy, do miejscowości podobnych do naszego Bełżca. Jeżeli przypuszczenia te sprawdzą się, żadna siła nie powstrzyma chłopów organizujących się po lasach.

Dziś nadeszła z Oświęcimia depesza zawiadamiająca o śmierci Jana Kitowskiego, b. urzędnika magistrackiego.

9 grudnia

Dzień dobiega końca. Przeszedł jakoś spokojnie. O wysiedlaniu w najbliższej okolicy nic nie było słychać. Chłopi jednak boją się w dalszym ciągu i wyjeżdżają. Niektóre wsie są podobno całkiem puste, jak np. Źrebce. Opowiadano mi, że w Kitowie zabrano dziś wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 30 lat. Co prawda opowieściom nie zawsze można wierzyć, bo ludzie fantazjują, a nieraz plotą jawne bujdy. Notuję jednak niektóre ludzkie gadania dla ilustracji nastroju i tematów, które teraz niemal wyłącznie wszystkich interesują.

10 grudnia

Nastrój w mieście jest dość trwożny; ludzie nie przestają mówić o wysiedleniu. Dzisiejszej nocy był napad na wysiedlony dopiero co Nawóz. Podpalono 5 chałup, w tym 3 zajęte już przez nowych gospodarzy. Jakieś niepewne, niepokojące wiadomości dochodzą z Zamościa.

11 grudnia

Coraz popularniejsze staje się nazwisko Edwarda Misiarza z Przedmieścia Zamojskiego. Mówią o nim, że stoi na czele większej grupy dobrze uzbrojonych mężczyzn. Krążą już legendy o różnych jego wyczynach, o odezwach nawołujących wszystkich chłopów do lasu i obiecujących opiekę nawet kobietom i dzieciom. Ze wszystkich stron dochodzą wieści, że chłopi opuszczają swoje wsie, że nie dają się wysiedlać i masowo uciekają do lasu. Odgrażają się przy tym, że wszystko będą palić i niszczyć. U nas dzisiaj jakoś mniej się mówi o wysiedleniu Szczebrzeszyna, natomiast więcej ludzie zaczynają bać się wystąpienia chłopów i późniejszej reakcji Niemców.

Dziś w nocy wysadzono jakiś most kolejowy, gdzieś w okolicy Długiego Kąta i rozkręcono szyny kolejowe koło Suśca.

13 grudnia

Przez parę dni nie wychodziłem ze szpitala i nikogo prawie nie widziałem. Dlatego mało mam wiadomości z terenu. Pewnego rodzaju sensacją było to, że przed dwoma dniami z lotniska w Klemensowie uciekło dwóch, czy nawet trzech wartowników Polaków, ubranych w czarne mundury, zabierając ze sobą 2 karabiny zwykłe i 1 maszynowy. Dochodzą nas wieści o krwawej rozprawie przeprowadzonej przez Niemców

w Kitowie, rzekomo w związku z podpaleniem Nawoza. Rozstrzelano tam około 160 ludzi, których następnie pochowano we wspólnej mogile.

Obawa wysiedlenia Szczebrzeszyna wyraźnie zmalała. Jeżeli będzie, to w czasie późniejszym. Ludzie na razie trochę się uspokoili. O Zamościu nic pewnego nie wiemy.

Do szpitala przyjechał nowy lekarz chirurg dr Jerzy Jentys, mianowany przez Lubelską Izbę Lekarską na stanowisko ordynatora oddziału chirurgicznego. Był on chirurgiem w Łukowie (pow. Radzyń). Zrzekł się zajmowanego tam stanowiska ze względu na miejscowe stosunki i z obawy przed Gestapo, które przed miesiącem aresztowało jego młodego asystenta dra Szczerbę.

14 grudnia

Byłem dziś w Zwierzyńcu. Tam zawsze mają najświeższe i zupełnie pewne wiadomości radiowe. Każdy oczekuje jakichś nadzwyczajnych, rewelacyjnych nowin, rokujacych szybkie zakończenie wojny — takich, które by dodały ludziom otuchy i nadziei przetrwania strasznych lat. Tymczasem radiowe komunikaty są powściągliwe, nic nie mówią o jakiejś zwycięskiej akcji aliantów w większym stylu, nakazują uzbrajać się w cierpliwość i czekać, czekać, czekać... A nam się zdaje, że społeczeństwo polskie w kraju goni resztkami sił, że skazani jesteśmy na planową zagładę i że tylko rychły koniec wojny może nas jeszcze uratować. Zwłaszcza gdy patrzymy na to, co się dzieje u nas, jak wysiedlają całe wsie, a potem pełnymi pociągami wywożą gdzieś w nieznane, osobno mężczyzn, osobno kobiety i dzieci, jak systematycznie tępią całą naszą inteligencję i elitę umysłową. Trwamy własną siłą wewnętrzną, opartą na niezachwianej wierze w zwycięstwo, lecz niestety, nie wszystkim to wystarcza, ludzie słabego charakteru załamują się, u niektórych instynkt samozachowawczy zbyt wyraźnie bierze górę nad godnością narodową. Nie zdają sobie sprawy z tego, jak to się kiedyś na nich zemści.

A „w lasach" ludzi moc. Jest to bezsprzecznie wartościowy element, przeważnie chłopski, który nie chciał biernie poddać się zarządzeniom niemieckim i zawczasu sam usunął się z zagrożonych wsi, zdecydowany na czynny, zbiorowy opór, a w odpowiednim momencie nawet na walkę z bronią w ręku, pomimo całej świadomości, jak nierówne są siły. Ale rozkaz z góry każe czekać — jeszcze za wcześnie. Londyn na meldunki o tym, co się dzieje w kraju odpowiedział, że na pomoc z zewnątrz można liczyć dopiero za 4 miesiące... Chłopom opuszczającym swoje gospodarstwa polecono wszystko niszczyć. I tysiące ludzi idzie na poniewierkę, na tułaczkę, tym uciążliwszą, że władze niemieckie wydały zarządzenie zabraniające gminom meldować osoby przybyłe z powiatu zamojskiego. Tym sposobem wielu uciekinierów, którzy zatrzymali się w Szczebrzeszynie, musi jechać gdzieś dalej.

Wśród wysiedlonych z Udrycz pod Zamościem i ewentualnie już wywiezionych (do Oświęcimia?) znalazł się nauczyciel Stefan Dybowski, znany bibliofil, jeden z założycieli Towarzystwa Miłośników Książki

w Kaliszu, bardzo dzielny i inteligentny człowiek, o wyjątkowo silnych zainteresowaniach umysłowych [1]).

Pod Zwierzyńcem zabity został — prawdopodobnie przez bandytów — leśniczy Książek.

16 grudnia

Była doktorowa Bogucka z Zamościa. Zawsze jednakowo pełna żywotności, energii i hartu ducha. Dyrektorem szpitala w Zamościu jest obecnie Niemiec Breitfus, stary chirurg, urodzony w Petersburgu, przez długie lata mieszkający w Rosji. B. dyrektor dr Bogucki jest ordynatorem jednego z oddziałów. Bardzo dużo osób wyjechało z Zamościa w obawie przed wciąż jeszcze grożącym aresztowaniem.

W Szczebrzeszynie żandarmi i policjanci wyszukiwali dziś ludzi, którzy przyjechali z miejsc zagrożonych wysiedleniem i tu się zatrzymali. Byli też i u mnie w szpitalu. Chcieli wziąć dwie posługaczki, ale jakoś udało mi się je obronić. Muszę przy tym zaznaczyć, że polski policjant Tatuliński był bardziej nieprzejednany i stanowczo nalegał, żeby choć jedną zabrać. Na szczęście obydwaj żandarmi Niemcy byli moimi pacjentami i tych bez trudu przekonałem, że wyszkolona służba jest w szpitalu niezbędna. Ci byli wyjątkowo grzeczni i uprzejmi.

25 grudnia

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia

Przeszło tydzień nic nie pisałem w swym dzienniku. Już mnie samemu znudziła się jednostajność tych zapisków, bo też tak układają się warunki obecnego naszego życia, że notować wypada wciąż jedno i to samo. Zmalał u nas strach przed wysiedlaniem, tempo całej akcji było wolniejsze, chłopi zaczęli już wracać do opuszczonych wsi. Ale w Wielączy czekała ich przykra niespodzianka, bo po kilku dniach Niemcy otoczyli wieś i złapali nawet więcej ludzi, aniżeli za pierwszym razem. Mamy wrażenie, że jednak Niemcy nie mają jakiegoś dobrze przemyślanego planu przesiedlania, bo nawet swoich Volksdeutschów przerzucają czasem po kilka razy ze wsi do wsi.

29 grudnia

Dziś od wczesnego rana słychać strzały armatnie i karabiny maszynowe gdzieś od strony Niedzielisk z kosobudzkich lasów. Powiadają, że Niemcy prowadzą jakieś ćwiczenia. Ze wszystkich stron dochodzą wiadomości o codziennych napadach bandyckich i niebandyckich. Dochodzą też do nas jakieś głuche wieści o oporze i zaciętej walce chłopów z Niemcami pod Komarowem. Po lasach, a właściwie po wioskach leśnych, gromadzą się i organizują chłopi w coraz większej liczbie. Po wsiach pro-

[1]) Jednak udało mu się zbiec przed więzieniem. Po wyzwoleniu był posłem do Sejmu, wojewodą w Białymstoku, wreszcie Ministrem Kultury i Sztuki.

wadzi się obecnie odpowiednią akcję przygotowującą, zwłaszcza młodzież męską, do ewentualnego wystąpienia czynnego z bronią w ręku. Odnosi się wrażenie, że dalsze wysiedlanie nie pójdzie już tak gładko. Chłopi będą stawiali opór lub pójdą do lasu, do partyzantki. Dużo rzeczy się słyszy, trudno jednak sprawdzić to, co ludzie mówią, a niepewnych wiadomości nie chcę notować, zwłaszcza, że opowiadania o jednym i tym samym zdarzeniu często zawierają wiele sprzeczności.

Nadeszły depesze, że w Oświęcimiu zmarli: młody Kafarski, Stanisław Rybicki ps. „Ryk" i Roman Kołodziejczyk ps. „Warta" lub „Zbrojny" ze Szczebrzeszyna.

30 grudnia

Atmosfera u nas coraz bardziej się zagęszcza. Terror ze strony Niemców przybiera na sile, napady i akty sabotażu coraz liczniejsze. Podpalono wieś Złojec, zamieszkałą obecnie przez Volksdeutschów. Wczoraj wieczorem bandyci podpalili Kawenczyn. Onegdaj w lesie pod Zwierzyńcem jakaś większa partia zagarnęła około 30 furmanek wysłanych „na forszpan" po tramy do tartaku. Ubiegłej nocy w Zwierzyńcu został zlikwidowany przez „niewykrytych sprawców" niejaki Kulik z żoną. Był on najgorliwszym oprawcą, zabijał przede wszystkim Żydów, a potem i Polaków przywożonych przez żandarmów na stracenie. Wczoraj żandarmi zabili w Kosobudach 6 gospodarzy. Obiecują spalić całą wieś za rzekomy kontakt z „ludźmi z lasu". A ci chodzą po wsi w biały dzień z orzełkami polskimi na czapkach.

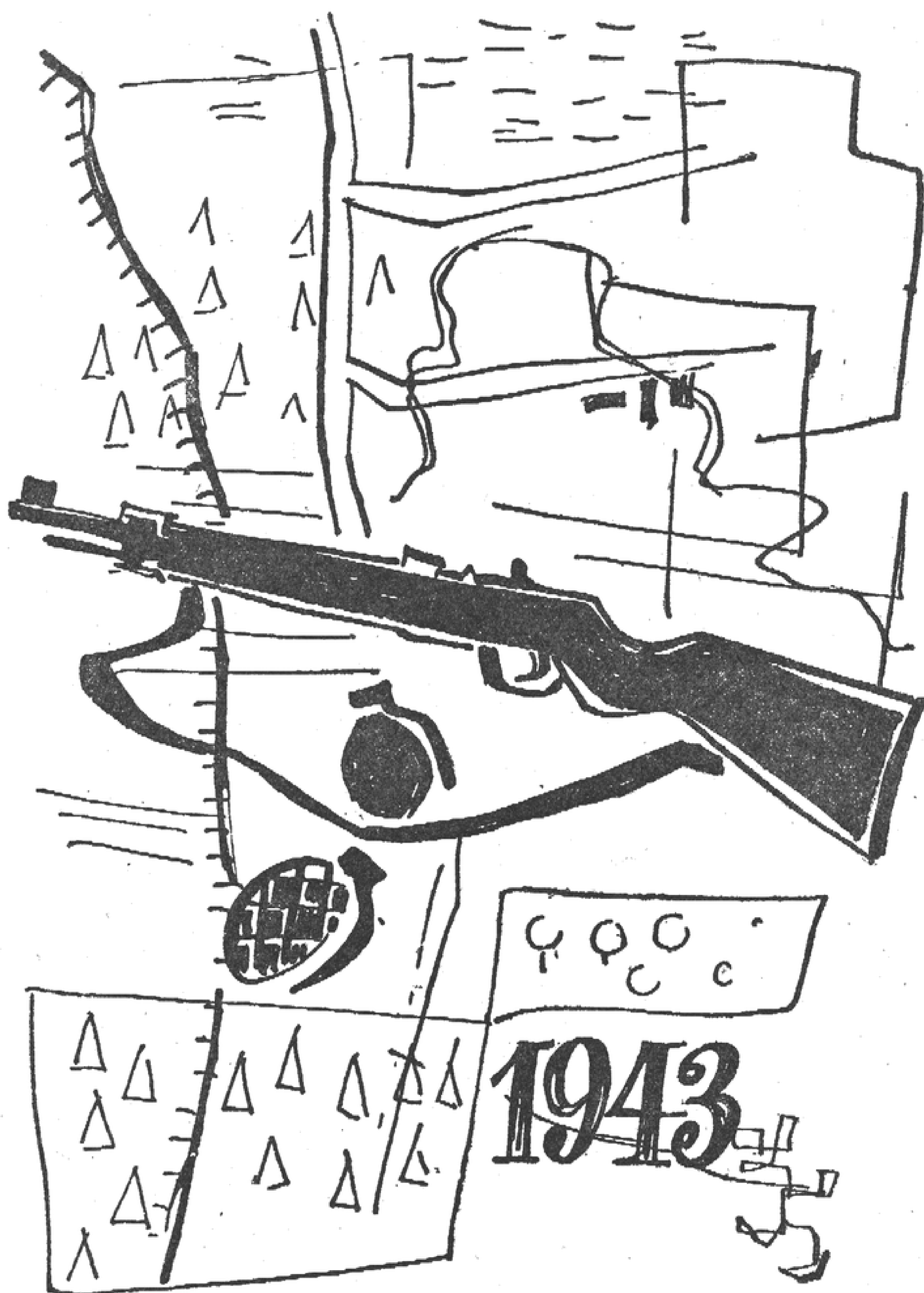
Wczoraj pod wieczór żandarmi aresztowali w Szczebrzeszynie kierownika tutejszej filii firmy „Bartha i Koenekamp", Grodzickiego. W cukrowni „Klemensów" Niemcy skonfiskowali cały zapas węgla. Wszyscy przewidujemy możliwość poważniejszych nawet wydarzeń na naszym terenie, które ewentualnie pociągnęłyby za sobą nieobliczalne konsekwencje. I wciąż żyjemy z dnia na dzień, a budząc się rano, cieszymy się, że noc przeszła spokojnie. Strzały, które tak często słyszymy, nie sprawiają już na nas takiego wrażenia, jak dawniej. Ludzie powoli do wszystkiego się przyzwyczajają.

31 grudnia

Grodzickiego wczoraj wieczorem wypuszczono. Około godz. 2 po południu zostałem wezwany na posterunek do chorego żandarma. Przy tej sposobności zaczęli mi opowiadać i chwalić się, że w kosobudzkim lesie zabito 24 „Banditen", zabrano 40 wozów, 20 koni, pewną ilość karabinów. Podczas tej akcji został zabity jeden Niemiec (żandarm czy SS-owiec — nie wiem), rannych czterech. Walka, jak mówili, trwa dalej [1].

---

[1]) a) Była to bitwa pod Wojdą stoczona z Niemcami przez „Bataliony Chłopskie". Patrz artykuł Marcina „Gwiazdy" Olchowskiego w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944". Zamość 1947, str. 21—23. — b) „Bataliony Chłopskie w obronie Zamojszczyzny". — Warszawa 1957.


1943

1 stycznia 1943 r.

Ogólny nastrój dobry. Wszyscy są pewni, że zaczął się ten upragniony rok, w którym wojna nareszcie się skończy.

Wczoraj o północy, jakby na zapoczątkowanie nowej zbrojnej akcji przeciwko okupantowi, dokonano napadu na stację kolejową w Szczebrzeszynie. Zjawiło się tu około 60 dobrze uzbrojonych ludzi, rzucili 6 granatów. Wszystkim obecnym na stacji kazali położyć się i leżeć spokojnie, zapewniając, że nie zrobią im żadnej krzywdy. Wyszli następnie do biura stacyjnego, zabrali z kasy pieniądze i kazali otworzyć magazyn z naftą. Obleli nią wieżę wodociągową i podpalili. Gdy już paliła się na dobre, pozwolili ludziom ze stacji wyjść i zobaczyć jak się pali. Jak mi opowiadali świadkowie, wszystko odbyło się sprawnie, bez żadnego zamieszania. Treuhänder Becker z fabryki „Alwa", przerażony, telefonował do szczebrzeszyńskiej żandarmerii, lecz bezskutecznie. Przede wszystkim byli w większości pijani, a po drugie w takich wypadkach nie kwapią się spieszyć z pomocą. Istnieje tylko obawa, czy nie będzie zemsty ze strony Niemców na niewinnych mieszkańcach sąsiednich osiedli. Dowiedzieliśmy się również, że w tym samym czasie wysadzony został most kolejowy między Izbicą a Ruskimi Piaskami. Informowałem się telefonicznie na stacji, czy pójdą wieczorem pociągi. Odpowiedziano mi, że pociąg od strony Bełżca dojdzie tylko do Zawady; do niej też tylko sprzedają bilety. Od strony Rejowca zaś pasażerowie dojadą tylko do Izbicy. Tak więc między Zawadą a Izbicą żadnej komunikacji kolejowej nie ma i kolejarze przypuszczają, że stan taki może potrwać 3—4 dni. Jak zareagują Niemcy na te akty sabotażu? Chyba nie przejdą nad nimi do porządku dziennego. Ale z drugiej strony ich odwet z pewnością pociągnie za sobą jeszcze większą aktywność „ludzi z lasu".

W noc sylwestrową odbyły się napady nie tylko na stację Szczebrzeszyn [1]). Pod Mińkowicami w Hrubieszowskiem wysadzono jeden mostek, koło Ruskich Piask drugi. Tu pasażerowie musieli przechodzić przez rzekę po kładce i dopiero wsiadali do drugiego pociągu. Tym sposobem dostał się do Szczebrzeszyna z Warszawy dr Matuszewski pracujący u mnie

1) Porównaj serię opisów akcji w czasie Nocy Sylwestrowej w Zamojszczyźnie w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów......" Zamość 1947, str. 23—33.

w szpitalu. Swiadkowie opowiadali, że dowódca grupy operującej pod Ruskimi Piaskami miał na piersiach krzyż Virtuti Militari (?). Dowódcą grupy w lasach kosobudzkich jest jakiś kapitan. Przynajmniej ten tytuł usłyszano, gdy mu któryś z podwładnych składał meldunek.

5 stycznia

Jak było do przewidzenia, napady nie ograniczały się tylko do nocy sylwestrowej. Sporadycznie mają miejsce w różnych miejscowościach. Pociągi między Długim Kątem a Krasnobrodem prawie stale są ostrzeliwane. Wysadzono pociągi pod Kraśnikiem, pod Trawnikami itd. W Zaburzu zabity został niejaki Kopcrski, wysiedlony z Poznańskiego, dobrze znający język niemiecki i nie cieszący się sympatią ze względu na stosunki i współpracę z Niemcami.

Wczoraj i dzisiaj Niemcy mszcząc się za napad na Ruskie Piaski wyprawili ekspedycje karne do sąsiednich wsi: do Stawu Ujazdowskiego, do Krzaku, Nielisza, Deszkowic i innych. Wszędzie jest dużo zabitych. Teraz z kolei można spodziewać się odwetu ze strony partyzantów.

Wiemy dobrze, że na naszym terenie wszyscy Niemcy ogromnie tego się boją. Volksdeutsche wyraźnie o tym mówią. Posterunek żandarmerii w Ratuszu zabezpiecza się coraz solidniej. Nawet na piętrze założono kraty w oknach, wszędzie przeprowadzono dzwonki elektryczne. Wczoraj żandarmi szukali i zamawiali w warsztatach mechanicznych jakieś sztaby żelazne itp. Burmistrz Kraus już teraz zamierza wyprawić w rodzinne strony — do Lubaczowa — żonę i dzieci i zastanawia się nad tym, co będzie jeżeli — jak powiada — „karta się odwróci". A w lesie ludzie gromadzą się i organizują ściśle po wojskowemu. Przychodzi mi na myśl analogia pomiędzy dzisiejszymi czasami i okresem powstania styczniowego 1863 roku. I wtedy — też w styczniu — młodzież poszła do lasu uciekając przed branką Wielopolskiego. Dzisiaj również idą „do lasu" mężczyźni w różnym wieku, unikając aresztowań, łapanek i uciekając przed wysiedlaniem. Zdawało się, że ta forma walki, polegająca na organizowaniu po lasach oddziałów partyzanckich, przeszła już całkowicie do historii i nie powtórzy się nigdy. Tymczasem zaczyna się teraz dziać to samo. Krążą opowieści o różnych wyczynach oddziałów leśnych, powstają legendy. Dużo mówi się o niektórych dowódcach, o „Podkowie", o „Gromie", o ich nieustraszonej odwadze, zimnej krwi podczas akcji itp. Życie na wolności, w lesie, w oczach młodzieży nabiera uroku, niejeden z byłych wojskowych woli znosić pewne niewygody życia obozowego nawet podczas zimy, aniżeli ginąć w męczarniach i poniewierce w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych na Majdanku, w Oświęcimiu lub innych. Należy się spodziewać, że z wiosną młodzież masowo pójdzie do lasu i wówczas już nikt nie zdoła powstrzymać ludzi od czynnych wystąpień. Z założonymi rękami z pewnością siedzieć nie będą.

W Szczebrzeszynie znać duże zaniepokojenie. Mówi się o mających nastąpić masowych aresztowaniach. Najwięcej ludzie obawiają się nieja-

kiego Kuczera, b. urzędnika magistrackiego, który po Kitowskim objął dział aprowizacji. Wyjechał on do Lublina na nową posadę kontrolera młynów w dystrykcie lubelskim. Wyjeżdżając chwalił się, że wkrótce wróci do Szczebrzeszyna, lecz już jako mundurowy gestapowiec i wówczas będzie aresztowane „pół Szczebrzeszyna"! Ile w tym jest prawdy — nie wiem. Notuję tylko to, o czym tu ludzie teraz mówią i czego naprawdę boją się bardzo poważnie. A wspominał o tym i przestrzegał w zaufaniu niektórych ludzi przed Kuczerem nawet sam burmistrz Kraus.

Mówił mi jeden z żandarmów, który był w szpitalu jako pacjent, że wczoraj w kryjówce znaleziono dwóch Żydów.

6 stycznia

Jak twierdzą mieszkańcy gminy Nielisz, w kilku wsiach, gdzie była ekspedycja karna, zabito ogółem około 50 osób. Dzisiejszej nocy na Przedmieściu Zamojskim, na strychu, nad stajnią u Kołodziejczyka wykryto 5 Żydów, przechowywanych i żywionych przez tego gospodarza.

Widziałem dziś parę osób ze Zwierzyńca. Nadeszły tam z Oświęcimia zawiadomienia o śmierci geometry ordynackiego Stanisława Brandta i gajowego Wandycza.

10 stycznia

Jesteśmy do głębi poruszeni i oburzeni z powodu napaści, jakiej uległ wczoraj wieczorem nasz nowy kolega dr Jerzy Jentys, chirurg, mianowany na kierownika oddziału chirurgicznego naszego szpitala. Mianowicie, wpadli do niego dwaj ubrani po cywilnemu Niemcy w towarzystwie Kuczera, o którym już wspomniałem, zaczęli mu wymyślać za rzekome wyrzucenie z mieszkania poprzedniej lokatorki Okoniewskiej i dotkliwie pobili go po twarzy. Następnie zaprowadzili do mieszkania burmistrza, który zdecydowanie stanął w obronie doktora, tłumacząc, że on sam przydzielił mu to mieszkanie, dając Okoniewskiej inne, i że doktor nikogo nigdy znikąd nie usuwał i nie wyrzucał. Dowiedziawszy się o tym barbarzyństwie poszedłem zaraz do kol. Jentysa, żeby mu wyrazić swoje współczucie i oburzenie z powodu tego, co go spotkało. Całą twarz ma posiniaczoną, miejscami obrzękniętą i prawdopodobnie przełamaną chrząstkę nosową. Opisuję to nad wyraz przykre zdarzenie, żeby nie pominąć ani jednego faktu, świadczącego o bezprzykładnej podłości i barbarzyństwie Niemców.

16 stycznia

Jeździłem wczoraj do Zwierzyńca. Przywiozłem z Archiwum O. Z. do przejrzenia 15 fascykułów z aktami. Poznałem bardzo miłego, młodego

jegomościa (niestety, nie wiem, jak się nazywa), który interesuje się pamiętnikarstwem. Obiecałem dostarczyć mu szereg rzeczy [1]). Nastrój w Zwierzyńcu dobry, pomimo że ludzie żyją pod strachem napadów bandyckich i łapanek. Nadleśnego Pożerskiego z Suśca po parotygodniowym pobycie wypuszczono z więzienia w Zamościu. Wczoraj w Zawadzie zabrano pasażerów z trzech pociągów m. in. Kalitę, właściciela małego sklepu kolonialnego w Szczebrzeszynie.

18 stycznia

Wczoraj aresztowano w Szczebrzeszynie kilka osób, wyłącznie ze sfer komunizujących i niepewnych dla Niemców pod różnymi względami, w tej liczbie murarza Hysę z synem i młodego Zankina. Wyliczając przed kilkoma miesiącami aresztowanych pominąłem Edwarda Otłowskiego, mieszkającego w Szczebrzeszynie, a zatrudnionego w warsztatach mechanicznych w cukrowni. Otóż dopiero teraz dowiedziałem się, że niedawno umarł w obozie na Majdanku. W mieście nastrój trwożny. Z różnych stron dochodzą wieści o masowych aresztowaniach i łapankach. Ludzie obawiają się tego samego i u nas. Jak zwykle w takich okresach mężczyźni nie nocują w domu.

19 stycznia

Łapanki nie ustają. Wciąż dochodzą wiadomości o różnych ludziach, którzy wyjechawszy z jakiegoś miasta przepadli gdzieś bez wieści. Ze Szczebrzeszyna „wsiąkło" w ten sposób około 10 osób. Oprócz Kality, Florkiewicz, Gąska, Kraus — wszyscy wracali z Warszawy i Lublina z towarem do swoich sklepów. Dziś rano ze stacji Szczebrzeszyn przywieziono na trzech furmankach do aresztu w Szczebrzeszynie zatrzymanych pasażerów. Na Przedmieściu Zamojskim miano aresztować niejakiego Drabika, lecz ten zdążył uciec. Zabrano jednak żonę jego i córkę. Z jednej strony ludzie są pełni niepokoju o swoją skórę, z drugiej zaś nie mogą ukryć radości z powodu niepowodzeń niemieckich na froncie wschodnim, z odebrania Niemcom Wielkich Łuków itd., z tęgich mrozów (u nas było dziś rano 28° poniżej zera), z lotniczego bombardowania Berlina, z ożywienia akcji bojowej w Afryce. Niektórzy wróżą nawet rychłe zakończenie wojny.

Byłem dziś na konsylium u młodego Kucharskiego, który przed kilkoma tygodniami wrócił z obozu na Majdanku i dotychczas nie może przyjść do zdrowia. Dziś wrócił z więzienia w Lublinie stary Materna, właściciel sklepu monopolowego tytoniowego, aresztowany razem z innymi w lecie ub. roku.

---

[1]) Był to Tadeusz Kuncewicz „Podkowa", oficer sztabu komendanta obwodu AK — Adama. Z góry umówione spotkanie nastąpiło w mieszkaniu Wacława Skuratowicza. Omawialiśmy sprawę zaopatrywania oddziałów leśnych w leki i materiały opatrunkowe. Podjąłem się tego zadania bez wahania, przekazując do dyspozycji Adama większy zapas opatrunków osobistych, które starannie przechowywałem u siebie jeszcze od roku 1939.

Wśród aresztowanych wczoraj nie wymieniłem jeszcze dwóch: Hysy i Kościka z Przedmieścia Zamojskiego. Aresztowano też kilka osób na Szperówce, lecz jeszcze nie wiem kogo.

20 stycznia

W Lublinie w szpitalu więziennym umarł stary felczer ze Szczebrzeszyna Leonard Tałanda, aresztowany wraz z synem w lecie ub. roku. Dziś rano od strony stacji kolejowej żandarmi znów wieźli na 3 furmankach jakichś cywilów, zapewne zatrzymanych pasażerów.

21 stycznia

Dzisiejszej nocy złapano sporo osób, przeważnie młodzieży żeńskiej, prawdopodobnie na roboty do Niemiec.

22 stycznia

W mieście nastrój fatalny, ludzie lada chwila spodziewają się jakichś aresztowań lub łapanki. Na ulicach mężczyzn bardzo mało, snują się przeważnie starsze kobiety, zatrzymują się po dwie, po trzy i coś omawiają. W pobliżu aresztu miejskiego w budynku magistratu widać więcej ludzi. To rodziny aresztowanych, których łącznie ze złapanymi na kolei siedzi 28 osób. Wczoraj żandarmi przyprowadzili mi do szpitala z aresztu 3 kobiety, lat około 50 każda, jako chore. Wszystkie trzy to handlarki ze Lwowa i Żółkwi.

23 stycznia

W dniu dzisiejszym skończyłem 58 lat. Mimo woli przychodzi mi do głowy, czy będzie mi sądzone doczekać końca wojny?

Dziś po południu wywieziono z aresztu wszystkich uwięzionych. Zabrano i te trzy kobiety, które były u mnie w szpitalu. Ze wszystkich stron dochodzą wieści o masowych łapankach. Nastrój ciężki, wszędzie znać przygnębienie, bo nikt, naprawdę nikt teraz nie jest pewien ani dnia ani godziny.

W ostatniej łapance w Szczebrzeszynie brali udział strażacy. Do jakiego stopnia doszła demoralizacja w niektórych sferach, można sądzić po następującym fakcie. Po południu był w szpitalu służbowo burmistrz Kraus. Odnalazł go tutaj dyrektor cukrowni Moliński, który przyjechał specjalnie do niego skarżąc się, że kilku strażaków zjawiło się na terenie cukrowni i pokazując rzekomą listę tych, którzy mają być łapani, ofiarowywali się nie brać ich, wzamian za litr wódki.

24 stycznia

W nocy przyprowadzili mi do szpitala żandarma postrzelonego w rękę, ale nie z tutejszego posterunku. Podczas jakiejś akcji w Żrebcach w chałupie został ranny, przy czym od tej samej kuli była zraniona i kobieta, którą mąż też przywiózł do szpitala. Ci znów opowiadali o tym wypadku nieco inaczej aniżeli żandarm. Szczegółów zajścia jeszcze nie znam.

25 stycznia

Dziś znów przybyło dwoje rannych postrzelonych przez Niemców. Na Szperówce żandarmi zabili młodego chłopaka — Tadeusza Strzałkowskiego. Wątpię, czy da się kiedyś ustalić dokładną liczbę ofiar z okresu obecnej okupacji. Jak dochodzą wieści, wywiezionym ostatnio z aresztu w Szczebrzeszynie udało się zbiec z wagonu kolejowego, w którym byli zamknięci.

26 stycznia

Wczoraj około północy, gdzieś pod Zamościem, nastąpił bardzo silny wybuch. Detonację dobrze u nas słyszano. Kolejarze twierdzą, że z samolotu została zrzucona bomba. Jest to bardzo możliwe, chociaż jeszcze tego nie sprawdziłem. W każdym razie zastanawia nas to, że już dzisiaj wieczorem latarni na ulicach nie zapalono.

28 stycznia

Przez dwa dni my, lekarze, mieliśmy dużo emocji. Wczoraj rano w aptece zjawili się dwaj żołnierze z Sonderdienstu, celem przeprowadzenia nowej rejestracji. Na specjalnych kwestionariuszach spisali dokładnie wszystkich pracowników i wypełnione dali im do podpisania. Farmaceuci, nie zorientowawszy się o co właściwie chodzi, wszyscy podpisali. Z lekarzy pierwszego odwiedzili dra Spoza. Ten widząc, że chodzi o przyznanie legitymacji narodowości niemieckiej nie chciał podpisać, lecz przedstawiciele „władzy" tak napierali, tłumacząc, że to jest konieczne, iż w końcu uległ i podpisał. Przybiegł jednak zaraz do nas do szpitala strasznie zdenerwowany, żeby nas poinformować i zasięgnąć w tej sprawie zdania wszystkich kolegów. Natychmiast zebraliśmy się wszyscy i odbyliśmy długą, poufną naradę. Dowiedzieliśmy się, że mają być spisani wszyscy lekarze, farmaceuci, weterynarze, dentyści i akuszerki. Żadnej uchwały obowiązującej nie powzięliśmy, pozostawiając każdemu możność decydowania się samemu.

Dziś rano jeden taki mundurowy Niemiec był u dr Warchałowskiej. Ta, wraz z mężem, po wypełnieniu całego kwestionariusza, zgodziła się podpisać, ale pod warunkiem, że w nagłówku będzie przekreślone, iż jest to wniosek o przyznanie niemieckiej legitymacji, co — jak się zdaje — jest równoznaczne ze zgłoszeniem się na Volksdeutscha. Na to znów Niemiec nie chciał się zgodzić, tłumacząc, że w kwestionariuszu nic nie wol-

no ani przekreślać, ani dopisywać. Wobec tego oboje Warchałowscy stanowczo odmówili i nic nie podpisali. Niemiec, zły, napomknął o ewentualnych konsekwencjach i poszedł. Po południu przyszedł do szpitala. Oprócz mnie zastał w kancelarii dra Jentysa, dra Matuszewskiego i dra Spoza. Zażądał zaraz, żeby przyszła moja żona. Zaczął od wypełniania mojego kwestionariusza. Udało mi się ukradkiem zatrzymać jeden taki blankiet. Nagłówek jego brzmi: „Antrag auf Erleitung eines Ausweises für Deutschstämmige", pod spodem zaś po polsku: „Wniosek o wydanie legitymacji dla osób pochodzenia niemieckiego". Zawiera on cały szereg pytań dotyczących danego osobnika, jego rodziców, dziadków itd. Gdy podyktowałem Niemcowi wszystkie dane, podsunął mi arkusz do podpisania. Wówczas dopiero zapytałem, do czego to ma służyć? Niemiec wyjaśnił, że potrzebni im są lekarze, więc przeprowadzają odpowiednią rejestrację dla tym lepszego zorientowania się, jakimi siłami lekarskimi rozporządzają, a nagłówek wymieniony wyżej do niczego nie obowiązuje, to tylko dlatego, że w danej chwili nie mają innych blankietów. Oświadczyłem mu wówczas, że w tej formie kwestionariusza nie podpiszę. Po dłuższej rozmowie — w języku polskim — przystał w końcu na to, że cały przepisany tu nagłówek przekreśliłem czerwonym atramentem i podpisałem, własnoręcznie dodając tuż pod nazwiskiem dosłownie: „narodowości polskiej. Ankietę podpisuję nie w celu uzyskania legitymacji przysługującej osobom pochodzenia niemieckiego". I podpisałem to jeszcze raz. Żona zrobiła tak samo pisząc: „nie proszę o legitymację dla narodowości niemieckiej". W podobny sposób postąpił i dr Matuszewski. Dr Jentys podpisał bez jakiegokolwiek sprzeciwu, bez przekreślania nagłówka i bez żadnego dodatku. Obecny przy tym dr Spoz parokrotnie prosił Niemca, żeby mu pozwolił na wczorajszym jego kwestionariuszu dopisać w ten sam sposób, lecz ten nawet słyszeć o tym nie chciał. Podczas końcowej naszej rozmowy w kancelarii znajdował się burmistrz Kraus. O ile mi wiadomo, w Zamościu zbyt wiele osób podpisało te wnioski bez zastrzeżeń, co nawet zostało napiętnowane w tajnej prasie. Zastanawiamy się teraz nad tym, czy nie będzie jakich niepożądanych następstw zajętego przez nas stanowiska.

Dziś rano był na inspekcji w szpitalu Kreishauptmann z Biłgoraja. Był tak uprzejmy, że aż mnie to dziwiło. A ubiegłej nocy odbył się napad na gminę w Zwierzyńcu. Zabrano około 30.000 zł, wypuszczono z aresztu wszystkich uwięzionych a zamknięto tam wójta Paszkowskiego. Wartownikom kazano zabrane rzeczy nieść za sobą aż na Biały Słup.

29 stycznia

Jeździłem do Zwierzyńca. Tam wczoraj wieczorem otrzymano z Warszawy odpowiednią, drukowaną instrukcję, wzywającą w formie kategorycznej do odmawiania podpisywania wniosków, o jakich wczoraj wspominałem. Dzisiaj Niemcy znowu obchodzili zwierzynieckich lekarzy, dentystów i farmaceutów. Natknąłem się na nich w aptece. Wiem z całą pewnością, że odmówił podpisania dr Wróblewski i jego córka lek.-dentysta Kira Wróblewska, dr Saciuk, lek.-dentysta Śmieciuszewska. —

W Szczebrzeszynie bez zastrzeżeń podpisał lekarz weterynarii Cebula, akuszerka Słomska, akuszerka Nowińska.

W Zwierzyńcu złożyłem naszym władzom podziemnym sprawozdanie o stanowisku, jakie zajęli w tej sprawie poszczególni lekarze w Szczebrzeszynie.

Dr Spozowi wystawiłem zaświadczenie, stwierdzające, że Niemcy przyszedłszy do niego pierwszego z lekarzy z żądaniem podpisania wspomnianego „Antragu" wprowadzili go w błąd, twierdząc, że jest to tylko zwykła ankieta, dotycząca lekarzy. Zaskoczony i zdezorientowany podpisał ten „Antrag", lecz zaraz przybiegł do szpitala informując mnie, co się stało i prosząc o radę, jak ma się z tego wycofać. Zaświadczenie moje w zalakowanej butelce zakopał w ogrodzie.

Dochodzą nas wieści, że ubiegłej nocy był jakiś napad w niemieckiej dzielnicy w Zamościu. Wywiązała się strzelanina. Żadnych szczegółów jeszcze nie znamy. Burmistrz mówił dziś dr Matuszewskiemu, że na jego ręce wpłynęły już 142 podania o przyznanie Volksdeutschostwa, zaznaczył przy tym, że nigdy nie przypuszczalibyśmy, czyje nazwiska znajdują się na liście podań. Ile w tym prawdy — nie wiem. Notuję to tylko dla pamięci i ewentualnego sprawdzenia.

Ja osobiście mam dzisiaj niewyraźne uczucie. Z jednej strony w moim najgłębszym przekonaniu jestem najzupełniej w porządku, jeżeli podpisałem ten kwestionariusz dopisując przytoczony dodatek, jaskrawo podkreślający moje stanowisko i narodowość. Z drugiej znów strony wobec wydanego wezwania nawołującego do bezwzględnego powstrzymywania się od podpisywania, byłbym dziś bardziej zadowolony, gdybym w ogóle nie podpisywał tego blankietu.

30 stycznia

Wczoraj pod wieczór był Niemiec u dentysty Zielińskiego. Rozmowa była długa i bardzo burzliwa, tak dalece, że Niemiec wyciągnął już nawet rewolwer, wymyślał, odgrażał się, a co najgorsze, przypisywał odmowę podpisania wniosków w Zwierzyńcu i tutaj „temu staremu z bródką ze szpitala", dowodząc, że jakobym ja telefonował do Zwierzyńca i wszystko mu popsuł. Sytuacja moja przez to jest niezbyt pewna, zwłaszcza, że ów Niemiec rzeczywiście widział mnie wczoraj w aptece w Zwierzyńcu. W końcu Zieliński i technik dent., Szafrański podpisali wnioski po przekreśleniu nagłówka. Tak samo zrobił i dr Jóźwiakowski. Akuszerka Maria Borowiczowa podpisała, Szewczykówna również. Ta, co prawda dopisała „na żądanie władzy", lecz Niemiec rzucił się i napisał nowy arkusz, nie zgadzając się na żadne dopiski. I znów wygadywał na mnie i odgrażał się. Niektórzy radzą mi teraz na tydzień, dwa wyjechać, bo mogą się do mnie przyczepić. Jestem w rozterce. Sam nie wiem co robić. Z jednej strony bardzo nie mam ochoty ruszać się z domu, lecz z drugiej tym bardziej nie chciałbym wpaść w ręce gestapowców, i to teraz, jak się zdaje, w końcowym okresie wojny.

1 lutego

Dziś był u mnie „Piotr" [1]), radził mi, żebym z domu się nie ruszał i nigdzie nie wyjeżdżał. Postanowiłem zastosować się do jego rady. Opowiedział mi szczegółowo o okolicznościach, w jakich zmarł Edward Cichoński, b. intendent szpitala. Jak już na innym miejscu pisałem, 1 czerwca 1941, w czasie masowych aresztowań w Szczebrzeszynie, uprzedzony, że gestapowcy przyszli już po niego, dosłownie w ostatniej chwili uciekł przez okno. Pełniąc funkcje kwatermistrza przez cały czas ukrywał się w różnych miejscach, aż w końcu w Łabunach wpadł w ręce Niemców wraz z dwoma braćmi Maszadro. Gdy wieźli ich samochodem do Zamościa, jeden z braci Maszadro, w czasie chwilowego postoju samochodu, nagle otworzył drzwiczki auta i wyskoczył. Miał przy sobie rewolwer, bo osobistej rewizji nie przeprowadzono, chciał strzelać, lecz rewolwer się zaciął. Niemcy zabili go na miejscu. Na ręce drugiego Maszadry i Cichońskiego, którzy pozostali w samochodzie, nałożyli wówczas kajdanki i skutych powieźli dalej do Zamościa. I tu w więzieniu Cichoński, nie czekając aż go wezmą na śledztwo, czy też po pierwszym badaniu, popełnił samobójstwo za pomocą trucizny (cjanek potasu), jaką zawsze miał przy sobie, a którą ja mu w swoim czasie dostarczyłem. Obawiając się, że trucizna ta może już być bez wartości, zwrócił się jeszcze drogą konspiracyjną do dra Jóźwiakowskiego, który przesłał mu świeżą porcję cjanku potasu i większą dawkę luminalu. Jestem pod wrażeniem tej wiadomości. Swoim czynem Cichoński oczyścił się w moich oczach z szeregu zarzutów, jakie mu kiedyś stawiałem i w zupełności się zrehabilitował. Lecz to, co już kilkakrotnie o nim pisałem, pozostawiam w mym pamiętniku bez zmiany, żeby notatek swoich nie pozbawiać charakteru właściwego dla aktualnych przeżyć i wydarzeń. Obecnie widzę, że pomimo wszystko był to człowiek idei i miał dość siły woli, ażeby samemu w krytycznej chwili odebrać sobie życie, jak to często zapowiadał. Umarł 15 listopada 1942 roku.

2 lutego

Ubiegłej nocy grupa policjantów jadąca na jakąś obławę, czy na coś podobnego, natknęła się na tzw. „bandytów" koło stacji kolejowej Klemensów. W rzeczywistości byli to ludzie „z lasu". Wywiązała się strzelanina, w wyniku której zabici zostali policjanci Antoni Kletowski i Antoni Szczygielski z posterunku zwierzynieckiego i policjant Stanisław Cedler ze Szczebrzeszyna. Policjant z Sułowa — Matysiak, ten, który brał tak gorliwy udział w akcji przeciwżydowskiej, został ciężko ranny. Również ranny w rękę jest żandarm niemiecki, kierujący całą grupą policjantów „granatowych". Do mnie przywieziono w nocy furmana, który jechał z policjantami, młodego, 19-letniego chłopaka Józefa Kiryło z Bodaczowa ze śmiertelną raną brzucha i nogi. Był już w agonii, zmarł wkrótce po przywiezieniu. Zabitych policjantów dziś w południe przywieźli do kostnicy szpitalnej w Szczebrzeszynie, a mnie wezwano do przeprowadzenia oględzin zewnętrznych zwłok. Dlatego tak dobrze jestem

[1]) Późniejszy „Adam".

poinformowany o wszystkim i mam dokładnie zanotowane nazwiska. Miałem możność zauważyć, że wśród miejscowych żandarmów niemieckich i policjantów polskich wydarzenie to wywołało ogromne wrażenie.

3 lutego

Dzisiejszej nocy bandyci napadli na dom rzeźników Dworniczaków w Szczebrzeszynie i obrabowali wszystkich doszczętnie. W Topólczy też bandyci napadli na zamożnego gospodarza Józefa Świstka. Pobili go bardzo dotkliwie. Rodzina przywiozła go rano do szpitala w ciężkim stanie, z połamanymi żebrami. Ludzie przybywający od strony Zamościa mówią o jakiejś krwawej walce większej grupy partyzantów radzieckich z Niemcami w okolicach Skierbieszowa i o dużych stratach w szeregach niemieckich żandarmów.

4 lutego

W nocy jechało przez miasto dużo samochodów z wojskiem, jak powiadają, w kierunku na Krasnobród i Tomaszów przez Zwierzyniec. Dochodzą głuche wieści o staczanej tam ciężkiej walce. Nie wiem, ile w tym prawdy. Notuję tylko to, o czym ludzie mówią dzisiaj w mieście.

Opowiadano mi też dzisiaj, że ci sami Niemcy, którzy chodzili do lekarzy, aptekarzy i innych, wymuszając podpisy na wnioskach o wydanie legitymacji niemieckich, udali się do młynarza Lenarta w Kawenczynie i zażądali od niego podpisania takiego wniosku. Jak zareagował na to Lenart i na czym sprawa się zakończyła — nie wiem. Krążyło na ten temat wiele plotek, które uważam za zbyteczne przytaczać.

6 lutego

Już trzeci dzień trwa jakaś walka w okolicach Krasnobrodu, Józefowa, Bondyrza itd. Przez Szczebrzeszyn przejeżdżają samochody z żandarmami, z wojskiem, z amunicją, pędzą sanitarki w stronę Zwierzyńca puste, a z powrotem z rannymi. Opowiadają ludzie całe legendy o licznym desancie radzieckim, o doskonałym uzbrojeniu partyzantów. Mówią też, że wśród Niemców dużo jest zabitych i rannych. Dziś wstrzymana jest, a w każdym razie mocno utrudniona, komunikacja na szosie pod Zwierzyńcem. Niemcy zatrzymują wszystkie furmanki i legitymują jadących. W Żurawnicy sprawdzono dziś u wszystkich mieszkańców dowody osobiste. Sporo mężczyzn zatrzymano i wywieziono w kierunku na Zamość. W Krasnobrodzie aresztowano bardzo dużo osób, w tej liczbie i dra Konstantego Łastawieckiego. Jednak wczoraj wieczorem telefonowano do nas, że już został wypuszczony. Wszyscy żyjemy jak w gorączce, oczekujemy i spodziewamy się różnych możliwości.

7 lutego

Akcja „przeciwleśna" jeszcze nie ustała. W nocy wciąż jeździły samochody, jak i poprzednio. Chorzy przybywający od strony Krasnobrodu i Józefowa opowiadają straszne rzeczy o tym, co się tam dzieje. W miasteczkach tych i we wszystkich okolicznych wsiach położonych wśród obszarów leśnych, zabrano prawie wszystkich mężczyzn. Wypuszczono potem starszych i mających jakieś stałe zatrudnienie, np. w Krasnobrodzie: dra Łastawieckiego, urzędników gminy i innych. Dużo ludzi zabito, głównie uciekających i ukrywających się, a także niestałych mieszkańców, nie mogących się należycie wylegitymować.

8 lutego

Samochodów już mało. Podobno walka w lasach ustała. Niemcy wrócili na swoje kwatery, Rosjanie i różni ludzie leśni przesunęli się gdzieś jeszcze głębiej w lasy za Józefowem.

W Szczebrzeszynie werbują ludzi na Volksdeutschów. Niektórym wręczają wezwania, inni znów zgłaszają się sami. Mam nadzieję, że kiedyś dokładne spisy tych Volksdeutschów wpadną jeszcze w nasze ręce.

12 lutego

Pilnie obserwujemy, co się dookoła nas dzieje, wysnuwamy różne wnioski, ale w rzeczywistości orientujemy się bardzo mało. W nocy przejeżdżają jakieś kolumny samochodów w kierunku na Zamość — jak przed wojną ze Związkiem Radzieckim. Wczoraj po południu przyjechało około 10 ciężarówek z cywilami, prawdopodobnie zabranymi z różnych wiosek. W ogóle słyszymy o licznych łapankach po wsiach i wywożeniu ludzi do Niemiec.

Mówiono mi z pewnego źródła, że Gestapo zażądało od magistratu podania dokładnych wymiarów hali targowej i całkowitego jej opróżnienia. Zadajemy sobie pytanie: w jakim celu? Tak samo zastanawiamy się, po co Niemcy kopią jakieś rowy, czy też doły, w brodzkim lesie?

Wciąż jeszcze nie wiemy, w jakim celu Niemcy zapisują niektórych ludzi na Volksdeutschów. Wiem dokładnie, że wezwali parę kobiet z niemieckimi nazwiskami panieńskimi. Na pytanie, czy mają dzieci, jedna odpowiedziała, że ma syna w Oflagu, druga zaś, że ma cztery córki. Na to Niemcy machnęli ręką, powiedzieli, że im takie niepotrzebne i dali spokój. Byli też i w cukrowni Klemensów. Zapisali tam kilka osób. Wielką dla wszystkich niespodzianką była postawa Zieleniewskiego, którego unikano, uważając za niezbyt pewnego. Nie chciał podpisać wniosku, dowodząc, że jest Polakiem, wreszcie podpisał, dodając, że czyni to pod przymusem. Wówczas Niemcy go spoliczkowali.

14 lutego

Opowiadano mi o dużej konsternacji w starostwie w Biłgoraju, kiedy przed kilkoma dniami jeden z szoferów starostwa, niejaki Hołowiński (czy nazwisko prawdziwe — nie wiadomo), zbiegł wraz za samochodem osobowym, benzyną i kożuchem szoferskim. Był to podobno porucznik, pilot W. P. Dokąd się udał — nikt nie wie. Istnieje tylko przypuszczenie, że „do lasu".

Wczoraj telefonowano do mnie z polecenia niemieckiego zawiadowcy stacji w Zawadzie z zapytaniem o nazwiska wszystkich lekarzy szpitalnych i o numery ich telefonów, o oficjalną nazwę szpitala i jakimi środkami rozporządza szpital dla przewożenia chorych. Co to ma znaczyć — nie wiemy. Wczoraj po południu przyjechali gestapowcy z Zamościa. Obeszli kilka domów, zabrali ze ściany kilim w mieszkaniu sędziego Mazurkiewicza i odjechali. Miałem dziś wizytę Teresy Szałowskiej, córki ostatniego biłgorajskiego starosty oraz agronoma Jarocińskiego. Szałowska przywiozła mi glinianą figurkę Chrystusa Frasobliwego, niestety, rozbitą na trzydzieści kilka kawałków. Okaz jest bardzo ciekawy, zwłaszcza, że figury gliniane na naszym terenie są dość rzadkie. Najważniejsze części są, więc da się poskładać. Prezentem tym zrobili mi wielką przyjemność. Mam obiecane dwa stare obrazy malowane na szkle.

22 lutego

Przez cały tydzień nic nie notowałem, bo nie było u nas ważniejszych wydarzeń wartych zapisania. Całe społeczeństwo z napięciem śledzi przebieg operacji wojennych na wschodzie. Gazety są rozchwytywane. Rano przed sklepem Michalskiej tłum ludzi oczekuje na świeże pisma. Czytając o niepowodzeniach niemieckich, ludzie nie mogą ukryć swojej radości. Dziś coraz uporczywiej z ust do ust podawana jest wiadomość, że wojska radzieckie zajęły już Kijów. Patrzę na mapę i nie mogę w to uwierzyć. Pojawiają się na naszym terenie pierwsze jaskółki — uciekinierzy z obszarów przyfrontowych, np. burmistrz miasta Charkowa, to znów obywatel ziemski spod Połtawy i inni.

Wobec ważności tego, co się dzieje na froncie wschodnim, znacznie maleje znaczenie wydarzeń w naszej okolicy. A jednak Niemcy w dalszym ciągu „działają" tu po swojemu. Pozawczoraj wysiedlono Grabowiec, w Zamościu zajmują poszczególne mieszkania, wciąż trwa jeszcze akcja zapisywania ludzi na Volksdeutschów, z tą tylko różnicą, że u lekarzy od razu sami zakreślają całą treść nagłówka ankiety. Tak przynajmniej było u dra Zawrotniaka w Radecznicy. Nie wiemy czemu przypisać to, że z Majdanka wypuszczono ostatnio bardzo dużo ludzi. Czy mamy uważać to za objaw złagodzenia kursu, czy też za przygotowywanie miejsca na nowe ofiary.

Napady bandyckie dookoła nie ustają. W niektórych wsiach, zwłaszcza w Topólczy są one zjawiskiem niemal codziennym. Rabunkom towarzyszy bardzo często gwałcenie kobiet i dziewcząt. Wciąż zwracają się do mnie o poradę kobiety obawiające się zarażenia lub ciąży. W stra-

chu przed zemstą bandytów, chłopi nie meldują już teraz ani policji polskiej ani żandarmerii niemieckiej o dokonanych napadach.

Wszyscy trwamy w emocjonującym wyczekiwaniu przeczuwanych wydarzeń o wielkim, decydującym znaczeniu. A ja tymczasem z właściwą mi pasją zabrałem się do pisania pierwszych rozdziałów monografii o dawnej medycynie w Zamojszczyźnie. Praca ta pochłania mnie silnie. Poświęcam jej prawie cały swój czas poza spełnianiem obowiązków zawodowych.

25 lutego

W Zwierzyńcu przy rejestrowaniu ludzi z niemieckimi nazwiskami Niemcy pobili Milbrandta, urzędnika ordynackiego, który nie chciał podpisać odpowiedniego kwestionariusza.

W Biłgoraju aresztowano 4 osoby, w tym zastępcę inspektora samorządu, Ziembę.

Wczoraj miałem pacjenta, młodego chłopca, który przed kilkoma dniami wrócił z obozu w Majdanku. Był tam niecałe dwa miesiące, z domu zabrany był zupełnie zdrów, obecnie znajduje się w stanie rozpaczliwym, tak jest wyczerpany i wyniszczony. Miałem też w szpitalu pacjentkę, która przed trzema laty została wraz z rodziną wysiedlona z Poznańskiego. Przed paru tygodniami podczas wysiedlania mieszkańców ze wsi Kąty pod Zamościem męża jej zabrano i wysłano do Oświęcimia, ją trzymano w Zamościu „za drutami", pięcioro dzieci zaś wywieziono z całym transportem w okolice Garwolina. Wreszcie i ją samą wywieziono do Niemiec na roboty. Dzielna kobieta w drodze uciekła z pociągu, dostała się do Garwolina, odnalazła tam wszystkie pięcioro dzieci, porozmieszczane u różnych gospodarzy i powróciła do Zamojszczyzny. Wszystkie te jej ciężkie przejścia wywołały poronienie w czwartym miesiącu ciąży i bardzo silny krwotok.

Wczoraj była w szpitalu p. Podolińska, kierowniczka buchalterii w Związku Gmin przy Starostwie w Biłgoraju, doskonale znająca niemiecki język i będąca w kontakcie ze wszystkimi Niemcami w starostwie. Opowiadała dużo ciekawych rzeczy, m. in. o „bolszewikach" w powiecie biłgorajskim, np. jak przed kilku dniami zjawili się w liczbie 20 we młynie Iwańczyka (4 km pod Biłgorajem) i zniszczyli całe urządzenie. Wszyscy byli w hełmach, jednakowo umundurowani i uzbrojeni. Z jej słów widać, jak strasznie niektórzy boją się przyjścia tu oddziałów radzieckich.

27 lutego

Jesteśmy poruszeni wiadomościami z naszego terenu. Były duże aresztowania w Józefowie, nie wiemy tylko z jakiego powodu. A w Biłgoraju Niemcy dzisiaj rano wzięli ze szkoły handlowej całą młodzież, tak chłopców jak i dziewczynki, poczynając od lat 13 i od razu wywieźli wszystkich na stację kolejową do Zwierzyńca. Po drodze bardzo dużo uciekło.

W Zamościu pozawczoraj pijany SS-man Bińkowski spotkał na szosie pod miastem jakiegoś b. nauczyciela z brodą i wziąwszy go za Żyda zastrzelił na miejscu [1]). Była też strzelanina w Kulikowie, przy czym podobno kilka osób zostało zabitych. Na lotnisku w Klemensowie Niemcy zabili jakiegoś mężczyznę (nie wiem jeszcze w jakich okolicznościach), zwłoki zaś kazali odwieźć do kostnicy szpitalnej. I tak niemal co dzień w kółko: nic, tylko aresztowania, morderstwa lub inne zbrodnie. I pomimo niepowodzeń na froncie jakoś nie widać końca tej straszliwej mordowni.

Zwierzyniec też ma swoją sensację. Przed paru dniami naczelnik wydziału lasów Ordynacji Zamojskiej, Stanisław Kostecki jechał z jakimś inspektorem Niemcem ciężarówką w stronę Józefowa. Niedaleko za „Białym Słupem" „bolszewicy" [2]) najpierw ostrzelali samochód, a potem doszczętnie obrabowali Kosteckiego i owego Niemca, pozostawiając ich tylko w spodniach i koszulach. I pobili ich przy tym rzetelnie. Szofera i robotników nie tknięto.

2 marca

Opowiadano mi trochę szczegółów o zajściach w Józefowie. Aresztowano tam młodego komendanta rejonu AK, ps. „Wir" Konrada Bartoszewskiego, syna lekarza weterynarii, który przed wojną praktykował w Zamościu, a wraz z nim jeszcze jakiegoś młodzieńca, podobno byłego oficera [3]). Osadzono ich na razie w areszcie gminnym. Wywieźć ich nie zdążyli, bo przyszli „ludzie z lasu" i obydwóch odbili [4]). Wówczas zjechała tu większa liczba Niemców, aresztowano całą rodzinę Bartoszewskich — starego weterynarza z żoną i dorosłą córką. Wszystkich troje rozstrzelano na rynku, na oczach spędzonej ludności [5]). Oprócz tego aresztowano około 60 osób, przeważnie mężczyzn. Niemcy zachodzili po kolei do wszystkich domów i zabraliby znacznie więcej, gdyby ludzie nie zdążyli uciec.

Opowiadał mi burmistrz Kraus, że jeździł wczoraj do Biłgoraja i całe starostwo zastał pod silnym wrażeniem nowego napadu na Hutę Krzeszowską, podczas którego zginęło czterech granatowych policjantów. Piąty jest ciężko ranny w głowę.

U nas obębniono dziś, że w tych dniach ma być jakieś ostre strzelanie, ćwiczenia itp. i w związku z tym ruch na szosie do Zwierzyńca chwilami będzie wstrzymany. Ludność ogromnie obawia się nowych, masowych łapanek na roboty do Niemiec.

---

[1]) Był to nauczyciel wysiedlony z zachodu Władysław Roman Trzeciak ps. „Andrzej Janicki".

[2]) W rzeczywistości byli to partyzanci z AK.

[3]) Por. Hieronim Miąc ps. „Korsarz", b. naczelnik Urzędu Pocztowego w Józefowie. Zginął w sierpniu 1943 r. pod Dębowcami.

[4]) Patrz w III tomie „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny" (Zamość 1945) artykuły: Wir. „Jestem wolny!" (str. 117—123) i Selim (Wraga) — „Odbicie Wira" (str. 123—128).

[5]) Patrz w tomie III „Wydawnictwa do Dziejów Zamojszczyzny w latach wojny" (Zamość 1946) artykuły: M. Piasecka „Egzekucja rodziców i siostry Wira w Józefowie" (str. 128—129) i Z. Jakubika „Pierwsza egzekucja w Józefowie" (str. 130—132).

8 marca

Przed kilkoma dniami dokonano napadu na dyrektora browaru w Zwierzyńcu — Zienkiewicza. W następstwie przeprowadzono łapankę, przy czym na razie zatrzymano dużo osób, lecz wkrótce wypuszczono, wywożąc gdzieś tylko nielicznych.

W Stawie Noakowskim przed paru dniami został zabity jakiś jegomość wysiedlony z Poznańskiego, będący tu tłumaczem [1]) oraz w Stawie Ujazdowskim — młody chłopak Jan Balicki, który niedawno przyjechał tu z Niemiec, gdzie był na robotach. Zapisał się ostatnio na ochotnika do wojska niemieckiego, żeby walczyć z Rosjanami. Wieść o tym wypadku szybko rozniosła się po okolicy. Zrobiła ona bardzo dobre wrażenie i jeszcze mocniej ustaliła negatywną postawę miejscowej ludności wobec prób Niemców wciągnięcia Polaków do walki ze Związkiem Radzieckim.

U nas zaczęto wręczać imienne wezwania do wyjazdu na roboty do Niemiec. Z młodzieży, jak mi mówiono, nie stawił się nikt. Do magistratu zgłosiło się dziś tylko troje zupełnie starych ludzi. Jesteśmy pewni, że jeżeli nie zbierze się odpowiednia ilość ludzi, to będzie jakaś większa łapanka. Na dworze ciepło, ładnie, słonecznie. Wiosnę czuć już nie na żarty. O ile wiem, „do lasu" idzie coraz więcej ludzi, a jeszcze więcej przygotowuje się do wymarszu z chwilą, gdy zaczną się jakieś masowe łapanki lub aresztowania.

11 marca

Przed kilkoma dniami w godzinach rannych zjawili się Niemcy w Topólczy i wyprowadziwszy z mieszkania za stodołę rozstrzelali tam całą rodzinę Panasów, składającą się z 6 osób.

W „Biuletynie Informacyjnym" AK z dnia 4 marca br. Nr 9 (164) na pierwszej stronicy umieszczono następujący „komunikat":

„W początku lutego Niemcy zorganizowali w rejonie Krasnobrodu obławę na ukrywającą się po akcji wysiedlenia ludność i będące w lasach polskie oddziały partyzanckie. Walki rozpoczęły się 4 lutego i trwały do 12 lutego. Stronie polskiej przyszedł z pomocą oddział interwencyjny Sił Zbrojnych w kraju, który — uderzając z zewnątrz — rozerwał pierścień obławy i otworzył drogę otoczonym oddziałom. Według dotychczasowych meldunków nasze straty wynoszą ponad 20 zabitych". — 26. II. 1943. Kier. Walki Konspiracyjnej.

Na str. 5 tegoż Biuletynu znajduje się nieco dłuższy opis przebiegu walk pod Krasnobrodem.

W ostatnich tygodniach ogromnie wzrosła drożyzna. Widać najwyraźniej, że ludność traci coraz bardziej zaufanie do złotego, wypuszczonego przez Bank Emisyjny i wyzbywa się tego niepewnego pieniądza kupując wszystko co się da. Kupcy natomiast niezbyt chętnie sprzedają swój towar. W Warszawie to samo. Dla przykładu i dla pamięci zapisuję, że za wieczne pióro Watermana kupione w Warszawie zapłaciłem 1.500 złotych.

---

[1]) Stefaniak.

14 marca

Z Oświęcimia przez Starostwo w Biłgoraju nadeszła wiadomość o śmierci Stanisława Adamczyka, kontrolera sanitarnego w Szczebrzeszynie, aresztowanego jeszcze na wiosnę 1941 r. Umarł również i Złomaniec, jeden z czołowych członków tutejszego „Sokoła" [1]).

W nocy z piątku na sobotę był jakiś duży napad na tartak w Długim Kącie, zginęło przy tym paru Niemców. Okoliczna ludność spodziewa się bezmyślnych, zwierzęcych egzekucji na niewinnych i bezbronnych ludziach. Wielu też opuszcza swoje siedziby i ucieka przed siebie lub do lasu.

20 marca

W poniedziałek 15. III. wieczorem, między 7 a 8 dokonano napadu na Rapy pod Biłgorajem. Spalono tartak i stację kolejki wąskotorowej. Przed rozpoczęciem całej akcji ostrzelano samochód z wracającym z Biłgoraja Treuhänderem „Alwy" — Beckerem. Rozbito szybę, przestrzelono oponę. Przerażony szofer dodał gazu i na 3 oponach pędził aż do Zwierzyńca. W Różańcu (między Biłgorajem a Tarnogrodem) zabito na folwarku obecnego właściciela czy też Treuhändera Niemca i spalono wojskowe baraki. W odwecie Niemcy spalili prawie całą wieś Różaniec, mieszkańców zaś spędzili do Zwierzyńca, gdzie w barakach koło szpitala przebywa obecnie około 800 ludzi, w tym dużo kobiet i dzieci. Wczoraj wieczorem spodziewano się próby odbicia uwięzionych, podobnie jak było w Józefowie z Bartoszewskim i Miącem.

Spodziewamy się wciąż masowej łapanki na roboty do Niemiec. Wieści z frontu nie wróżą rychłego zakończenia wojny, jak tego oczekiwaliśmy przed miesiącem w związku z sukcesami radzieckimi. Odbija się to na ogólnym nastroju ludności. Zdenerwowanie daje się zauważyć zwłaszcza wśród młodzieży, której najwięcej grozi łapanie i wywożenie do Niemiec.

22 marca

Przywieźli mi wczoraj ciężko rannego chłopa z Gruszki Zaporskiej. Przechowywał on u siebie w oborze sześciu Żydów z Radecznicy. Gdy zjawiła się policja zaczął uciekać i wówczas został postrzelony. Dziś w nocy umarł. Żandarmeria nie pozwoliła wydać rodzinie zwłok i poleciła magistratowi pochować go jak bandytę. Żydów rozstrzelali polscy policjanci w Radecznicy, żandarmi zaś wkrótce po wypadku pojawili się w Gruszce i tu rozstrzelali żonę tego chłopa i dwoje dzieci: ośmioletnią dziewczynkę i trzyletniego chłopczyka.

Opowiadano mi o napadzie na posterunek żandarmerii w Łukowej pod Józefowem. Miano tam rozbroić i uprowadzić do lasu żandarmów niemieckich, policjantów i tzw. „czarnych łebków" czyli „eksrosjan", będących obecnie w służbie niemieckiej [2]). Wczoraj w lesie pod Józefowem zabito Volksdeutscha niejakiego Marta i dwie kobiety.

---

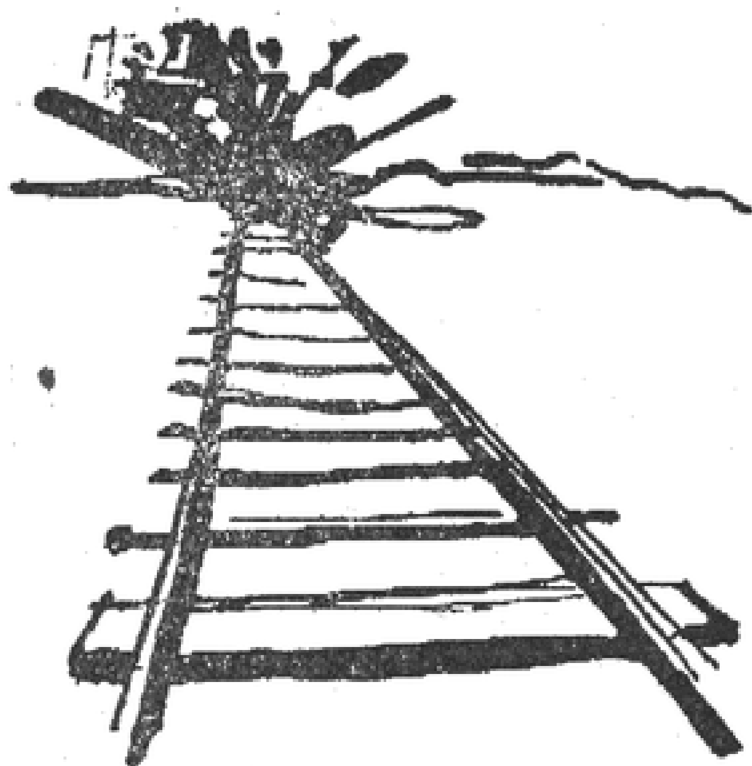
[1]) Adolf Stanisław Złomaniec — zmarł w Majdanku 25 listopada 1942.
[2]) Patrz w tomie II „Wydawnictwa Materiałów....." Rżewski Zbigniew „Fernando" ppor. „Łukowa" str. 125—131.

26 marca

Dzisiejszej nocy był napad na stacji „Biały Słup" pod Zwierzyńcem. Zabrano z wagonu transport wieprzy. W starciu zabito dwóch Turkmenów. Napadu dokonał oddział AK [1])

29 marca

W ubiegłym tygodniu wzięto „za druty" p. Kowerską, jedną z najpopularniejszych osób w Zamościu [2]).



W sobotę 27 marca o godz. 11 w południe dokonano śmiałego napadu na oddział Kasy Komunalnej w Zwierzyńcu, mieszczący się na parterze w gmachu Zarządu O. Z. Zabrano około 53.000 zł [3]).

Dziś przed południem lotem ptaka rozeszła się u nas sensacyjna wiadomość o rzekomym wysadzeniu jakiegoś transportu kolejowego między Zwierzyńcem a Krasnobrodem. Żadnych szczegółów jeszcze nie znamy.

30 marca

We wczorajszym wypadku kolejowym rozkręcono szyny na torze i przez to wykoleiły się i spadły z nasypu dwie lokomotywy i sześć wagonów towarowych. Wczoraj aresztowano paru gajowych ordynackich. Dzisiaj na stacji w Krasnobrodzie widziano kilkanaście trupów zabitych mężczyzn, w tym kilku było w mundurach ordynackiej służby leśnej.

31 marca

Wczoraj Niemcy pod Józefowem spalili wieś Pardysówkę Dużą, dzisiaj zaś rano podpalili Wywłoczkę pod Zwierzyńcem [4]), przy czym spaliła się też część Bagna. Z sąsiednich wsi: z Turzyńca i Topólczy chłopi

---

[1]) Patrz w II tomie „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w latach wojny" artykuł Osy „Rekwizycja świń na stacji Zwierzyniec Biały Słup" (str. 121—125).

[2]) W roku 1943 została zabita przez Niemców we dworze w Zbydniowie około Sandomierza.

[3]) Napadu dokonali na własną rękę i na własny rachunek dwaj żołnierze z oddziału Podkowy.

[4]) Patrz w I tomie „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w latach wojny" (Zamość 1945) artykuł Jana Pacześnego „Akcja pacyfikacyjna w Wywłoczce w roku 1943".

uciekają, bo spodziewają się tego samego. Jadą przeważnie same kobiety z dziećmi i rzeczami, mężczyźni pozostali we wsiach, żeby w ostatniej chwili schronić się do lasu. Palenie wsi pod Zwierzyńcem tłumaczą Niemcy tym, że z tych właśnie osiedli najwięcej bywa „bandytów". Nastrój trwożny.

1 kwietnia

Dzisiejszej nocy aresztowano w Zwierzyńcu kilkanaście osób. Wszystkich nazwisk jeszcze nie znam. Wiem tylko z pewnością, że wzięto dwóch braci Skuratowiczów: Józefa i Wacława. Strasznie mi żal Wacława Skuratowicza, którego znałem bardzo dobrze jako młodego naukowca przyrodnika, wybitnie uzdolnionego, autora kilku już ogłoszonych drukiem prac przyrodniczych i szeregu leżących w rękopisie. Jeszcze w zeszłym tygodniu dał mi do przeczytania i do poczynienia ewentualnych poprawek redakcyjnych najświeższą swoją monografię o ssakach Zamojszczyzny. Człowiek o dużej wartości pod każdym względem.

5 kwietnia

Jeszcze dokładnych danych o aresztowaniach w Zwierzyńcu nie mam. Tylko stopniowo dochodzą nas pewne szczegóły. Otóż aresztowano jeszcze dwóch braci Rzeszutków, dwie siostry Krasulanki i ich matkę, parę osób z Urzędu Pocztowego i in. Opowiadają ludzie, że aresztowanych strasznie bito, zwłaszcza znęcano się nad Wackiem Skuratowiczem. Myśl o jego losie nie daje mi spokoju [1]).



W sobotę 3 kwietnia „ludzie z lasu" strącili nad Józefowem samolot niemiecki. Spadł tuż przy szkole powszechnej. Opowiadał mi o tym kierownik szkoły.

8 kwietnia

Chodziła dziś po mieście jakaś komisja sklepowa z gestapowcem, żandarmami i policją granatową. Zamknięto około 14 sklepów. Właścicieli zaprowadzono na posterunek. Niektórych mają podobno wy-

[1]) Patrz w I tomie „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w latach wojny" (Zamość 1945) artykuły: W. Skuratowicz „Ze wspomnień więźnia" (str. 21—34) i Maria Krasulanka „Z więziennych wspomnień" (str. 34—68).

wieźć na roboty do Niemiec. Ubiegłej nocy strażacy polscy łapali ludzi na roboty, lecz większość zawczasu się ukryła.

Już czwarty dzień leżę w łóżku. Miałem bardzo lekką grypę z gorączką trwającą zaledwie kilkanaście godzin. Pomimo tego serce nawaliło, jak zwykle u mnie przy grypie i leżę bez sił, wyczerpany, niedołężny. Ciężkie myśli przytłaczają mi umysł. Wiem jak dużo mam jeszcze w życiu do zrobienia, a tymczasem czuję, że siły mnie opuszczają. Trudno pogodzić się z myślą, że może wypadnie zakończyć życie przed ponownym odzyskaniem niepodległości. Właśnie teraz piszę swą pracę, która mogłaby być habilitacyjną... Pozostawiam po sobie tysiące stron rękopisów, cenny dla Zamojszczyzny materiał historyczny. Czy się wszystko uchowa, gdy mnie już nie będzie? A może w ogóle wszystko to nic nie warte, nikomu niepotrzebne...

11 kwietnia

W nocy z 9 na 10 zabity został w Zwierzyńcu szpieg Tudorowski [1]). Opowiadano mi dzisiaj szczegóły i okoliczności w jakich odbyły się ostatnie aresztowania. Wacka Skuratowicza katowano w nieludzki sposób. Bito go do utraty przytomności, potem oblewano zimną wodą, a gdy odzyskał przytomność znów bito. W Zamościu wszystkich aresztowanych w Zwierzyńcu trzymano przez tydzień w piwnicy domu Czerskiego, gdzie znajduje się Gestapo. Dopiero przed paru dniami przeniesiono ich do baraków „za druty", a nie do więzienia. Z kobiet najwięcej znęcano się nad Marią Krasulanką.

15 kwietnia

Wczoraj przed południem na szosie biłgorajskiej niedaleko Panasówki ostrzelano z karabinu maszynowego samochód z gestapowcami. Dwóch zostało rannych — jeden w głowę, drugi w rękę. Nie wiem jeszcze, kto dokonał tego napadu. Mniej więcej przed 10 dniami na szosie koło Rozłop żandarmi z zasadzki zastrzelili jadących furmanką 7 mężczyzn. Mówiono, że byli to bandyci, tymczasem dziś już wiemy, że byli to członkowie organizacji (AK) [2]).

Znów krążą plotki o grożącym wysiedlaniu wszystkich mieszkańców dystryktu lubelskiego. Ale ogólny nastrój jest bardzo dobry wobec wiadomości o niepowodzeniach niemieckich w Tunisie.

18 kwietnia

Przyszedł do mnie sekwestrator Urzędu Skarbowego w Zamościu, ze swastyką w klapie, powitał mnie podniesieniem ręki do góry, zaczął mó-

[1]) Patrz w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w latach wojny" (Zamość 1947) str. 41—43 artykuł Wita „Jak zlikwidowano Tudorowskiego w Zwierzyńcu".

[2]) Z oddziału „Doliny".

wić po niemiecku. Zaraz jednak przeszedł na język polski, którym włada doskonale, ma tylko wybitnie lwowski akcent. Po załatwieniu swej czynności urzędowej, tj. ściągnięciu podatku, zaczął mówić o Zamościu i Tomaszowie i wreszcie pochwalił się, że jest rodzonym bratem dra Borzęckiego, b. lekarza szkolnego w Zamościu, mającego opinię bardzo dobrą. Starałem się zasięgnąć informacji o tym sekwestratorze Borzęckim. W mieście wszędzie mówi się, że jest Niemcem. Niektórzy twierdzą nawet, że pozostaje w bliskich stosunkach z Gestapo.

Z Majdanku przyszły zawiadomienia, że zmarli tam: Marcin Krzeszowski, mieszczanin tutejszy i Józef Kołodziejczyk, b. naczelnik poczty w Szczebrzeszynie.

21 kwietnia

Ubiegłej nocy z mieszkania w Biłgoraju grupa bojowa organizacji wyprowadziła konfidentkę Gestapo Jadwigę Możdżeńską, pracownicę cukrowni „Klemensów". Pracowała tu zaledwie od lutego. Przy śledztwie podała dużo cennych wiadomości. Po jego zakończeniu została rozstrzelana.

22 kwietnia

Dzisiejszej nocy wybuchł duży pożar w Bodaczowie. Ogień wszczął się w stodole przy pędzeniu tzw. samogonu. Około godz. 5 po południu paliła się Żurawnica.

23 kwietnia

Wczoraj w południe koło Suśca dokonano napadu na pociąg towarowy. Spalono cysterny z benzyną. Przez kilkanaście godzin trwała przerwa w ruchu kolejowym [1]).

Opowiadano mi dzisiaj, że ze szpitala w Biłgoraju wyprowadzono przebywającego tam, rannego podczas aresztowania w Zwierzyńcu, Jana Tyszkę. W Zamościu z baraków przewieziono do szpitala powiatowego Józefa Skuratowicza chorego na zapalenie płuc. Gdy wyzdrowieje, mają go puścić. Pani Skuratowiczowa ma nadzieję, że może uda się uratować i drugiego syna, Wacława. Pieniędzmi i wódką uzyskano to, że przynajmniej już ich nie bito w Zamościu.

2 maja

Ostatnie dni przeszły bez ważniejszych wydarzeń na naszym terenie. Często jeździli gdzieś w jedną i drugą stronę żandarmi na ciężarówkach, w hełmach i w pełnym uzbrojeniu. Dokąd i po co — nie wiemy. Gdzieś w okolicach Suśca pożar zniszczył duży obszar lasu. Dzi-

---

[1]) Patrz w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny" (Zamość 1947) artykuł „Zięby" pt. „Akcja sabotażowa na pociąg z benzyną pod Suścem" (str. 43—50).

siejszej nocy był napad na stację kolejową w Klemensowie, przy czym spalono biuro stacyjne.

Z więzienia na Zamku w Lublinie wypuszczono kilka osób ze Szczebrzeszyna i z cukrowni „Klemensów", m. in. młodego Cebrykowa, Osickiego i Ziętka. Mówią oni, że w ostatnich czasach wyraźnie zmieniły się tam stosunki na lepsze i obchodzono się z więźniami znacznie łagodniej niż przedtem. Na naszym terenie też zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Opowiadano mi — ale czy to prawda? — że Niemcy kazali odnowić, bardzo zniszczony wewnątrz podczas akcji wysiedlania, kościół w Wielączy i że mają być postawione nowe krzyże na miejscu zburzonych. Tłumaczymy to sobie jako wstęp do coraz wyraźniej projektowanego werbowania Polaków do jakiegoś legionu przeznaczonego do walki z oddziałami radzieckimi.

6 maja

W niedzielę 2 maja o godz. 11 wieczorem wracał z imienin u młynarza Szymańskiego w Zwierzyńcu Jan Fleisner, kontroler młynów, w towarzystwie niejakiego Nahajki. Szli przez park, lecz do domu nie doszli. Przez parę dni nie można było się dowiedzieć, co się z nimi stało. Dopiero wczoraj znaleziono gdzieś w lesie w pobliżu Białego Słupa czapkę i chusteczkę do nosa należące do Nahajki. Na ślad Fleisnera dotychczas nie natrafiono. Był to student Politechniki Warszawskiej. W Wojsku Polskim służył jako podchorąży, przez pewien czas pracował w Szczebrzeszynie w firmie tekstylnej razem ze swym szwagrem Wojdatem. Ostatnio zajmował posadę inspektora młynów i mieszkał w Zwierzyńcu. Opinię miał fatalną. Upewniano mnie, że już dawno zgłosił się na Volksdeutscha, lecz tego stanowczo nie twierdzę, bo legitymacji jego nie widziałem. Natomiast młynarze wciąż uskarżali się na niego jako na strasznego łapownika, który stale żądał od nich rozmaitych świadczeń, czy to w naturze czy w pieniądzach. Nie wątpię, że został on zabity z wyroku organizacji [1]). Oczywiście wypadek ten wywołał silne wrażenie, zwłaszcza na różnych odszczepieńcach i „gorliwcach". W dniu 3 maja we Fryszarce pod Józefowem został zabity leśniczy ordynacki Klemens Nazarewicz wraz z żoną Zofią. Ale to już robota wyłącznie bandycka, bo oboje uchodzili za bardzo przyzwoitych i porządnych ludzi.

Na naszym najbliższym terenie, tzn. w Szczebrzeszynie, zupełny spokój. Aż się wszyscy dziwimy, bośmy przywykli do różnych ewenementów. Ciągle oczekujemy, że lada chwila może stać się coś takiego, co przerwie nasze spokojne bytowanie i znów w całej pełni odczujemy terror okupantów.

Od kilku dni z rozkazu władz wojskowych elektromonterzy zdejmują na linii kable miedziane, zastępując je żelaznymi. Dowiedzieliśmy się dzisiaj o nalotach, jakie miały miejsce wczorajszej nocy na Lublin

---

[1]) Przeprowadzone śledztwo i badanie zatrzymanego Fleisnera dowiodły niezbicie, że był on niebezpiecznym konfidentem Gestapo. Rozstrzelano go na mocy wyroku sądu podziemnego, co zostało podane do wiadomości członków organizacji przez inspektora Kalinę w jednym z jego rozkazów dziennych.

i Chełm. Pomimo pozornego spokoju daje się u nas zauważyć wyraźne podniecenie, na co wpływają różne wiadomości, które przedostają się z biur magistratu i gmin. Wiemy mianowicie, że Niemcy zażądali podania im w szybkim terminie spisu 4 roczników młodzieży męskiej, którą rzekomo mają zamiar wcielić do organizacji Todt. Młodzież przygotowuje się do wymarszu, ale przeważnie „do lasu". Równocześnie potwierdzają się wiadomości o znacznie łagodniejszym traktowaniu więźniów. Z aresztowanych przed miesiącem w Zwierzyńcu wypuszczono na wolność Józefa Skuratowicza, który jest już w domu.

7 maja

Wczoraj pod wieczór postrzelono w Zwierzyńcu jakiegoś Niemca. Doszły nas wiadomości, że aresztowano kilka osób, w tym Felę Piórównę [1]), pracującą w aptece, niezmiernie popularną na terenie Zwierzyńca.

8 maja

Wczoraj późnym wieczorem przyjechało do Szczebrzeszyna kilka ciężarówek z żandarmami, którzy potem już furmankami pojechali gdzieś w stronę Błonia. Dziś rano w tym samym kierunku przejechało koło szpitala 11 samochodów żandarmskich: 3 osobowe z żandarmami i 8 pustych ciężarówek z ławkami. Po pewnym czasie wszystkie te samochody jechały z powrotem, ale już z żandarmami. Wkrótce zobaczyliśmy jak prowadzą około 20 mężczyzn. Byli to gospodarze z Kawenczyna. Otoczono tam wieś, wszystkich mieszkańców spędzono na plac, po czym zabrano mężczyzn. Kobiety z Kawenczyna opowiadają, że wymordowano całą rodzinę gajowego Jana Gumieniaka — dwoje staruszków rodziców, żonę i dwoje dzieci, jego samego zaś zabrano z innymi [2]). Aresztowanych natychmiast wywieziono dalej w stronę Zamościa. Żandarmi w dużej liczbie pozostali w mieście. Z tego powodu panuje u nas wielkie zaniepokojenie, krążą różne fantastyczne pogłoski o wysiedlaniu, o łapankach, aresztowaniach itp. Od czasu do czasu słychać jakieś strzały.

9 maja

Jeździłem dziś do Zwierzyńca. Odwiedziłem leżącego jeszcze w łóżku Józefa Skuratowicza. Wygląda okropnie. Żywy trup. Fela Piórówna siedzi w więzieniu w Biłgoraju, korzysta jednak z wyjątkowych przywilejów, np. jada w prywatnym mieszkaniu naczelnika więzienia. Jest nadzieja, że ją wypuszczą. Fleisnera dotychczas nie znaleziono, ale w Zwierzyńcu ludzie nie mają wątpliwości, że już nie żyje. Do lasu ucieka coraz

[1]) Zmarła w 1957 roku.
[2]) Zginął na Majdanku 24 grudnia 1943 r.

więcej mężczyzn. Ucieka również dużo Armeńczyków, przebywających tu w oddziałach jeńców radzieckich, którzy poszli na służbę do Niemców.

Opowiadano mi, że władze niemieckie zarządziły ekshumację zwłok chłopów zamordowanych w Kitowie i pochowanych we wspólnej mogile w liczbie 165. Mają ich chować w grobach indywidualnych. Mówiono mi również, że Niemcy odkopują pod rotundą w Zamościu zwłoki rozstrzelanych tam ofiar i gdzieś wywożą. Mają to czynić Żydzi, których garstka pozostała jeszcze w Zamościu. Czy tak jest w rzeczywistości, dotychczas nie miałem jeszcze możności sprawdzić. Wobec jednak głośnej sprawy katyńskiej z wykryciem masowych grobów oficerów polskich, jest to całkiem możliwe. Notuję tę wiadomość dla pamięci i ewentualnego późniejszego sprawdzenia jej prawdziwości.

12 maja

Bardzo dużo osób, przeważnie młodzież poczynając od 14 lat, otrzymało wezwania do stawienia się natychmiast w Urzędzie Pracy, celem wywiezienia na roboty do Niemiec. Oczywiście w mieście zrozumiałe poruszenie. Jesteśmy pewni, że zgłosi się bardzo niewielu i w rezultacie będzie znowu jakaś łapanka.

Z Oświęcimia nadeszła wiadomość, że zmarł tam młody obywatel szczebrzeszyński Michał Jurczykowski.

13 maja

Wiadomość o wzięciu Tunisu przez aliantów wywołała powszechną radość, której ludzie nie mogą ukryć. Korzystając z takiej okazji pito wczoraj w mieście ponad zwykłą miarę, wódkę, nazwaną okolicznościowo „tunisówką".

Dziś rano przyjechali z Zamościa gestapowcy i zabrali sędziostwu Mazurkiewiczom lepsze meble, pozostawiając trochę starych gratów.

Do Zamościa wrócili wpuszczeni z więzienia w Lublinie Wiśniewski, Salomon i inni pracownicy „Społem", aresztowano zaś kilka nowych osób, w tym buchaltera drukarni sejmikowej Jana Siedleckiego, b. intendenta szpitala i czynnego członka POW [1].

14 maja

Wczoraj i dzisiaj na szosach powiatu biłgorajskiego zatrzymano i spalono kilka samochodów ciężarowych i osobowych. Opowiadał mi burmistrz Kraus, że jakaś większa „banda" w sile około 300 (!) doskonale uzbrojonych ludzi posuwa się od strony Biłgoraja w kierunku na Zwierzyniec i Szczebrzeszyn, oczywiście lasami, i ona to niszczy owe samochody. Burmistrz wybierał się do starostwa w Biłgoraju z dyrektorem cukrowni — Molińskim, lecz ten boi się jechać teraz samochodem. Kraus mówił, że nie może nigdzie dalej ruszyć się z miasta, bo obawia się łe-

---

[1]) Zmarł 4 kwietnia 1943 w Gestapo wskutek pobicia w czasie badania.

gitymowania, a ma dowody osobiste jako Niemiec. Urzędnicy starostwa również są unieruchomieni, co fatalnie wpływa na ogólny nastrój w urzędach, zwiększając jeszcze bardziej bałagan, jaki w nich coraz wyraźniej panuje. W cukrowni tak się obawiają napadu, że zorganizowano tam specjalną ochronę z Sonderdienstu w pełnym uzbrojeniu, z granatami itp. Jak mnie informowano, po lasach krąży kilka różnych mniejszych „band" i większych grup bojowych, a więc rosyjscy dywersanci, komuniści polscy, Żydzi, oddziały partyzanckie AK i BCh oraz grupki zwykłych bandytów. W ostatnich czasach dochodziło nawet do krwawych starć pomiędzy poszczególnymi grupami. Dowództwo AK stara się utrzymać „w lesie" jaki taki ład i zwalcza zwykły bandytyzm. Zadanie jest bardzo ciężkie. Wszystkie wspomniane grupy zaczynają przejawiać coraz większą aktywność i agresywność. Akcje mające na celu zdobycie żywności oraz zwykłe napady bandyckie są zjawiskiem tak powszechnym i codziennym, że o nich, jako o rzeczy zwykłej, nawet już mało się mówi. Coraz częstsze są też napady na Volksdeutschów, gestapowców, żołnierzy Sonderdienstu, a nawet i żołnierzy formacji wojskowych.

Na naszym terenie Niemcy piją na umór, w czym przodują żandarmi i policjanci granatowi. Widać, że czują się coraz bardziej niepewnie, jeżeli wciąż coraz lepiej ubezpieczają dostęp do budynku, w którym mieszkają. Burmistrz Kraus też pokazywał mi dzisiaj różne okucia i drągi przy swoich drzwiach wejściowych do mieszkania. W tym wszystkim widzimy wyraźne objawy rozpoczynającego się rozkładu w administracji niemieckiej, co oznacza, że wchodzimy w końcowy okres wojny. Jesteśmy mocno poruszeni wiadomością o wczorajszym dużym nalocie radzieckim na Warszawę.

15 maja

Wczorajszej nocy wysadzono koło Suśca pociąg pancerny, dzisiejszej pociąg kolejki wąskotorowej koło Tereszpola. Spalono również most na Tanwi w powiecie biłgorajskim. Te akty sabotażu mocno irytują Niemców, którzy są bezradni i w żaden sposób — pomimo stosowanych dotychczas represji — nie mogą opanować sytuacji i utrzymać w jakim takim porządku chociażby głównych dróg publicznych i ważniejszych środków komunikacji. Panami lasów stali się obecnie „leśni ludzie", którzy uniemożliwiają normalną gospodarkę leśną, utrudniają albo wręcz nie pozwalają na wywożenie z lasów drzewa do tartaków i karpiny do fabryki „Alwa" w Brodach Małych. Chłopi nie chcą jechać do lasu po drzewo. Szosami wśród lasów jeżdżą ludzie zmuszeni tylko konie-



cznością. Czegoś podobnego jeszcze u nas nie było. Lecz ogół ludności na to nie bardzo narzeka, uważając, że im gorzej, tym lepiej.

16 maja

Przyszedł dziś do mnie jeden z urzędników pocztowych [1]) i pokazał mi przechwycony na poczcie list anonimowy ze Szczebrzeszyna, adresowany do Gestapo w Biłgoraju na imię gestapowca Majewskiego. Anonim podpisany literami X. Y., pisany ręcznie, niezbyt ortograficznie. Pierwsze oskarżenie jest przeciwko mnie, jako rzekomo zdeklarowanemu „bolszewikowi". M. in. pisze autor, że prowadziłem agitację komunistyczną w Seminarium Nauczycielskim, że to ja doprowadziłem do zguby ucznia Eugeniusza Kowalika, który został aresztowany jako komunista, uciekł potem z więzienia w Zamościu do Rosji, skąd wrócił, dostał kilka lat więzienia i umarł w nim na gruźlicę. Dalej, że w 1939 roku w czasie pobytu u nas wojsk radzieckich osobiście zjawiłem się w magistracie i ofiarowałem im swą współpracę. Na zakończenie autor upewnia, że pochodzę z Żydów i że moje prawdziwe nazwisko jest „Kluk". W drugiej połowie anonimu autor wymienia kilku innych rzekomych komunistów, którzy mieli chodzić po mieście z czerwonymi opaskami: Goleniaka, Gąskę i jeszcze paru. Na zakończenie patriotyczne frazesy. Z jednej strony list ten ubawił mnie z powodu swej bezsensownej treści — zwłaszcza gdy dowiedziałem się o moim żydowskim pochodzeniu! — lecz z drugiej strony jestem pod nieprzyjemnym wrażeniem ludzkiej głupoty i podłości.

Ale za to możemy być dumni z ludzi innej kategorii — ofiarnych, szlachetnych i niezłomnych. Do takich należy matka Wacka Skuratowicza, z której ust nikt nie usłyszał słowa skargi i która własnoręcznie, na wszelki wypadek, zaszywała synowi w ubraniu truciznę (cjanek potasu).

17 maja

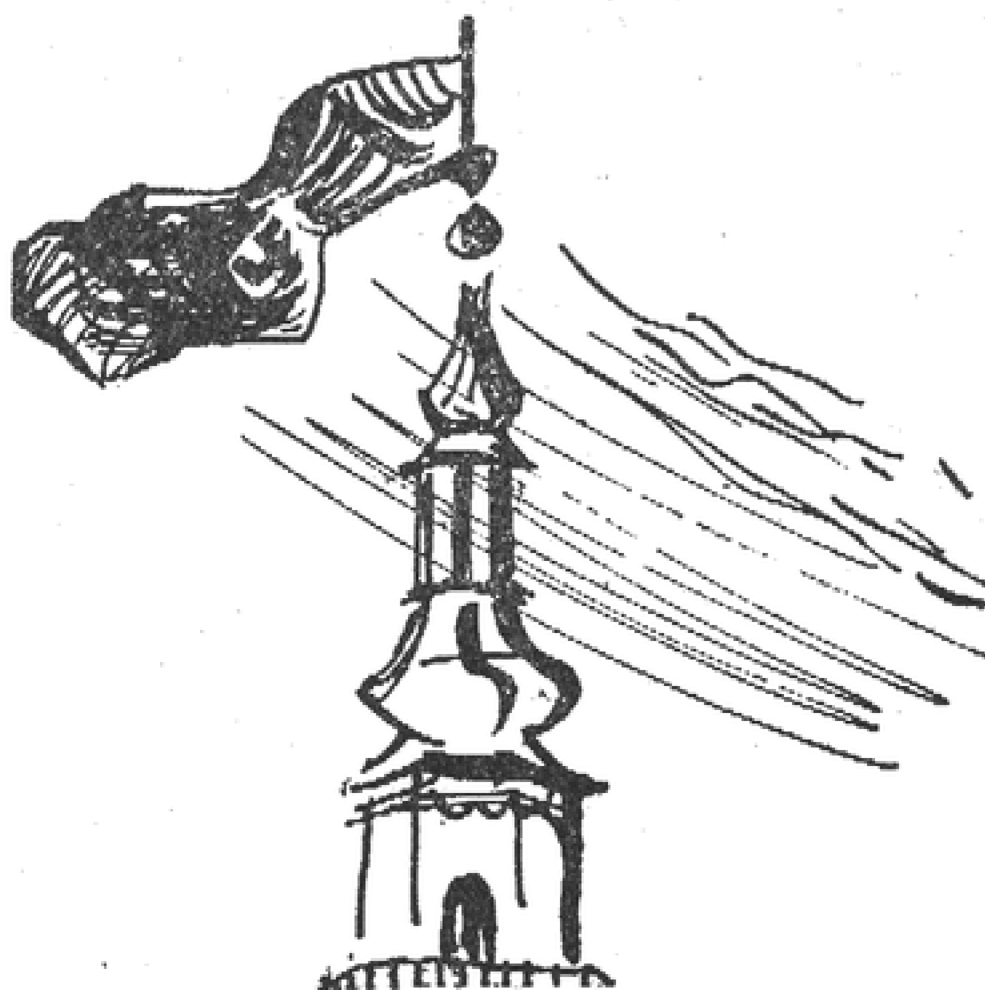
Jeździłem do Zamościa korzystając z okazji, bo jechał właśnie samochodem starostwa lekarz powiatowy z Biłgoraja dr Jan Snacki. (Notuję przy tym charakterystyczny szczegół: wyjeżdżając z domu wziął ze sobą do kieszeni dwa opatrunki osobiste). Przykre wrażenie robią wysiedlone wsie Wielończa i Zawada. Zupełna pustka. Obok szosy kręcą się wyrostki z Hitlerjugend ze swastyką na ramieniu. Gdzieniegdzie widać rozbierane chałupy i stodoły, lub też ślady po usuniętych już całkowicie.

Jakże inaczej niż przed wojną wygląda teraz sam Zamość! Swastyki, niemieckie napisy, na każdym kroku niemieckie sklepy, niemieckie urzędy i dużo osób mówiących po niemiecku. Na ulicach bardzo mało ludzi. Byłem w drukarni. Tam pozostali jeszcze wszyscy pracownicy przedwojenni. Drukarze witali mnie bardzo serdecznie, pytając, kiedy na-

---

[1]) Kapuśniak

reszcie zaczniemy drukować coś swojego. Od kustosza Muzeum Kabata dowiedziałem się, że przed miesiącem Niemcy wzięli klucze od Muzeum i nikt z naszych ludzi na razie nie ma tam dostępu. Jest to tym smutniejsze, że przewieziono do Muzeum na skład zbiory pozostałe po Rosińskim — 13 dużych skrzyń. Pocieszamy się, że Niemcy będą mieli teraz ważniejsze sprawy na głowie i przestaną Muzeum się interesować.



Miałem chwilę emocji. Zatrzymał mnie na ulicy gestapowiec w mundurze. — „A, doktor!" „Jawohl, aus Szczebrzeszyn". „To pan doktor mnie nie poznaje? Jestem Mazuryk". — I zaczął mi przypominać jak w 1941 roku zostałem aresztowany i tylko jemu zawdzięczam, że mnie wówczas puszczono, bo rzekomo miał natychmiast przedstawić sprawę szefowi Gestapo, że wzięto mnie przez nieporozumienie. Na zakończenie rozmowy niezwykle serdecznie ściskał mi rękę. Byłem zaskoczony, bo w pierwszej chwili nie poznałem go. Muszę przyznać, że takie spotkanie i rozmowa niby towarzyska z mundurowym gestapowcem i to z osławionym Mazurykiem nie należy do przyjemności. Słyszałem już z kilku ust, że Mazuryk bardzo się zmienił, staje się nadzwyczaj uprzejmy i sporo osób ma jemu dużo dobrego do zawdzięczenia.

Opowiadano mi, że w ostatnich dniach spalono parę wsi oddanych Niemcom, w tym i Łabunie.

18 maja

Na stacjach Krasnobród i Długi Kąt, w pobliżu tartaków, Armeńczycy zabili kilku Niemców i policjantów granatowych i przeszli do radzieckich oddziałów do lasu. Większe napady były w Tarnogrodzie na posterunek żandarmerii, w Żółkiewce zaś, w Turobinie i Wysokiem na urzędy gminne, gdzie zniszczono księgi ludności. Nie ustają też napady na samochody na szosach. Każdy zadaje sobie pytanie: co też nowego przyniesie nam dzień jutrzejszy?

20 maja

Znów mam do zanotowania kilka świeżych wydarzeń. A więc w nocy z 18 na 19 zatrzymano pociąg pośpieszny idący od strony Lwowa gdzieś koło Suśca i podobno wystrzelano trochę Niemców. W Tarnogrodzie przeprowadzono napad na większą skalę. Miasteczko otoczono dookoła, rozstawiono karabiny maszynowe, sterroryzowano ludność, zabrano artykuły żywnościowe ze sklepu spółdzielczego i szukano kierownika spółdzielni Darmochwała, osławionego działacza ukraińskiego, komendanta policji

ukraińskiej, gorliwie współpracującego z Niemcami na szkodę Polaków. Niestety, nie zastano go w domu, był w tym czasie w Warszawie. Zdemolowano mu tylko całe mieszkanie. W Korytkowie spalono w tartaku deski złożone na placu. Niemcy zdezorientowani i speszeni, widzą sami, że sytuacji już nie opanują. Czują się coraz bardziej niepewni. Na naszej linii boją się jechać nawet koleją.

21 maja

Wczoraj wypuszczono „zza drutów" w Zamościu wszystkich dwudziestu kilku chłopów, aresztowanych niedawno w Kawenczynie, z wyjątkiem jednego tylko gajowego Gumieniaka.

23 maja

Byłem dziś w Zamościu z racji wczorajszych imienin doktorowej Boguckiej. Zebrało się kilkanaście osób, niemal wyłącznie pań. Zwróciło moją uwagę jak w czasie tych lat wojny wszystkie one postarzały. Niektóre siwiutkie, pomimo stosunkowo młodych jeszcze twarzy. Nasłuchałem się różnych nowin miejscowych. Przed paru dniami „zlikwidowano" w Zamościu niejakiego Pawła Kudyka, właściciela restauracji, wraz z żoną i córką, za nazbyt gorliwą i szkodliwą współpracę z Niemcami. Opowiadano mi o świeżo upieczonych Volks- i Stamm-Deutschach. Należą do nich m. in.: prezes Sądu Okręgowego Stanisław Cybulski, przedwojenny wiceprezes sądu, komisarz ziemski przy starostwie inż. Sekutowicz, magister farmacji Marian Suchański i również mgr farm. Leon Czernicki, pochodzący ze starej, bardzo znanej i zamożnej rodziny mieszczańskiej. Najwięcej mówiono o p. Irenie Kuncewiczowej, żonie adwokata Czesława Kuncewicza, który zresztą już się z nią rozszedł. Nie tylko sama jest Volksdeutschką, ale i kilkuletniego syna oddała do niemieckiej szkoły. Chłopak chodzi dumny w mundurku Hitlerjugend z czerwoną opaską ze swastyką na ramieniu. Na tle postawy tych stuprocentowych przecież Polaków zwraca powszechną uwagę zachowanie się nauczyciela gimnazjum, a obecnie burmistrza, Ottona Wernera, który pomimo swojego niezaprzeczenie niemieckiego pochodzenia, o czym świadczy chociażby jego imię i nazwisko, twardo i niezłomnie broni swojej polskości i jak dotychczas nie uległ żadnym ponętnym obietnicom a nawet groźbom, chociaż niektórzy zarzucają mu, że jest zanadto lojalny w stosunku do Niemców. Spośród lekarzy definitywnie zarejestrowano jako Volksdeutschów dra Ryttera i dra Hauslingera — byłych zawodowych lekarzy wojskowych oraz drów Lorensa, Gumińskiego i starego Korczaka. Mocno niepochlebną opinię ma dr Gumiński. Jednak jeżeli chodzi o dra Hauslingera, to zapisał się on na listę Volksdeutschów po długim oporze i wahaniach, za wiedzą i zgodą komendanta Adama, który ma u niego tym pewniejszą kwaterę w czasie pobytu w Zamościu. Dr Hauslinger pozostaje nadal bardzo czynnym członkiem organizacji.

24 maja

Chodziłem dziś do magistratu. Wśród urzędników nastrój zdenerwowania. Mówiono mi tu, że w powiecie krasnystawskim zniszczono księgi ludności w 14 gminach i urzędach parafialnych. Obawiają się tego samego i tutaj. Księgi w żelaznej kasecie chowają gdzieś w komórce. Warta w dzień pilnuje wejścia i obserwuje wchodzących interesantów, w nocy też rozstawione są warty cywilów z pałkami. W razie potrzeby dzwonki alarmowe mają ściągnąć Armeńczyków, ulokowanych w gmachu szkolnym naprzeciw magistratu. Opowiadają różne historie o tym, co się dzieje dookoła. W Biłgoraju np. mają kopać, czy też nawet już kopią, jakieś schrony, doły i okopy dookoła dzielnicy, gdzie się mieszczą wszystkie urzędy niemieckie i mieszkania Niemców. Krąży legenda o jakiejś kilkutysięcznej grupie, posuwającej się w szyku bojowym ku Biłgorajowi. Z ust do ust podają sobie ludzie wiadomości o wyrokach śmierci wydawanych na Niemców w wielu miastach i częściowo już wykonanych. Niemcy są naprawdę przerażeni. Wojną nerwów zaczyna już i ich dotykać bezpośrednio. Nikt już nie wierzy w możliwość opanowania sytuacji i wszyscy widzą w tym chaosie objawy zbliżającego się szybkimi krokami końca wojny. Czujemy doskonale, że zaczyna się nowy okres, który może być dla nas bardzo ciężki, a który musimy przetrzymać, jak i wszystkie inne.

26 maja

Nadeszła z Zamościa sensacyjna wiadomość, że ubiegłej nocy została tam „zlikwidowana" we własnym mieszkaniu Kuncewiczowa, o której pisałem przed paru dniami. Nikt z tego powodu się nie oburza, przeciwnie, ludzie nie mogą ukryć swego zadowolenia, że usunięto ze społeczeństwa polskiego szkodliwą i hańbiącą jednostkę. W godzinach rannych była w Zamościu jakaś łapanka, ale nie wiem jeszcze o jakim charakterze. Widziałem dziś na ulicy w Szczebrzeszynie niejakiego Haśca, b. żołnierza polskiego, rodzonego brata nauczycielki Lodzi Haścówny, jak dumnie paradował w nowym mundurze i płaszczu Schutzpolizei. Przyjechał z Francji na urlop do rodzinnego miasta.

27 maja

W Zamościu dokonano nieudanego napadu na Korolkową, żonę b. oficera, zawodowego garnizonu zamojskiego. Jej zachowanie się i jawny kontakt z gestapowcami od dawna już zwracały uwagę i gorszyły opinię publiczną. Niestety, w ostatniej chwili uciekła przez okno i nie udało się jej zlikwidować. W zeszłym tygodniu w Topólczy jacyś nieznani sprawcy zabili Genowefę z Bębenków Świstkową.

28 maja

O 7 rano przywieźli mi do szpitala 5 rannych Armeńczyków. Wkrótce zjechała niemiecka żandarmeria polowa. Jeden Armeńczyk ciężko ran-

ny w brzuch był u nas operowany i pozostał w szpitalu, resztę zabrano do Zamościa. W południe przywieźli mi do kostnicy 2 zabitych Niemców i 4 Armeńczyków. Z rozmów z żołnierzami dowiedziałem się, że w nocy był duży napad na gminę w Sułowie, gdzie dzisiaj miał odbyć się przegląd koni. Urząd gminny zarzucono granatami i ostrzelano z karabinów maszynowych. A w tym czasie znajdowało się tam 2 Niemców i 14 Armeńczyków. Murowanego budynku gminy nie udało się jednak spalić. W czasie napadu ze strony partyzantów zginął „Wilk" [1]) Drugi napad był na gminę w Radecznicy, trzeci w Nieliszu. Obie te gminy spalono. Pojechało już tam dużo żandarmów. Armeńczycy twierdzą, że te wsie będą spalone. Niemcy też mówią o zemście. W napadach brała podobno udział jakaś większa grupa konno i na furmankach. Jeden z żandarmów polowych patrząc w kostnicy na zabitego Armeńczyka powiedział kiwając głową: „i mnie to czeka". Jesteśmy w oczekiwaniu dalszych wydarzeń.



Przez dłuższy czas nic nie słyszeliśmy o Żydach na naszym terenie. Teraz przez stację Szczebrzeszyn znów przechodzą długie pociągi z Żydami w kierunku na Chełm. Wiozą ich całkiem nago w połamanych towarowych wagonach. Po drodze Żydzi w biegu wyskakują z pociągów, żandarmi strzelają do nich i przeważnie zabijają lub ranią. Wzdłuż toru kolejowego leżą gdzieniegdzie nagie żydowskie trupy. Przed paru dniami wyskoczyła z pociągu tuż koło fabryki „Alwa" młoda Żydówka z 7-letnim dzieckiem. Żandarmi wystrzałem z karabinu zabili ją na miejscu, dziecko tylko potłukło się padając. Robotnicy z „Alwy" nakarmili je, lecz zawiadomili posterunek żandarmerii w Szczebrzeszynie. Po paru godzinach przyjechali żandarmi, zastrzelili dziecko na oczach robotników i kazali na miejscu ciało zakopać.

29 maja

Mam do zanotowania kilka dokładnych wiadomości z Biłgoraja i okolicy. A więc tak się boją tam „bandytów", że Gestapo odgrodziło swoją siedzibę z jednej strony murem, z innych zaś faszyną z piaskiem, strzelnicami itp. Przed kilku dniami aresztowano w Biłgoraju Mrozika, pracującego w policji kryminalnej. Jest to rodzony brat zabitego w Zwierzyńcu gestapowca Mrozika. W Goraju została zabita nauczycielka Pającz-

[1]) Marcin Paprocki z Sułowa.

kowa za szkodliwe stosunki z Niemcami [1]), Spalono urzędy gminne lub też tylko księgi ludności w Goraju [2]), Kocudzy i Frampolu [3]).

30 maja

Ubiegłej nocy wysadzono pociąg pośpieszny między Suścem a Maziłami. Do dzisiejszego wieczora jeszcze linii nie naprawiono, bo żadnego pociągu od strony Bełżca nie było. Są to, zdaje się, akty dywersyjne tylko radzieckie, w których polskie organizacje udziału nie brały. Działalność ich sprowadza się obecnie głównie do niszczenia wszelkich ksiąg po gminach, czego następstwem jest ogromny chaos w administracji, oraz do tępienia szkodliwych Polaków - odszczepieńców, współpracujących z Niemcami.

Nadeszła wiadomość o śmierci starego Antoniego Stropka i Czesława Biziorka ze Szczebrzeszyna. Obydwaj byli na Majdanku. Felę Piórównę przewieziono przed dwoma dniami z więzienia w Biłgoraju do Lublina. Dotychczas nikt nie wie za co ją w ogóle aresztowano i o co oskarżają.

Słyszymy coraz częstsze opowiadania o Niemcach, o ich strachu przed napadami i niedwuznacznym zachwianiu wiary w zwycięstwo. M. in. osławiony gestapowiec Mazuryk w Zamościu też czuje się coraz bardziej niepewnie. Ostatnio przywiózł do Zwierzyńca jakieś wyjątkowo cenne skrzypce i prosił swego dawnego nauczyciela Splewińskiego o przechowanie ich. Mówił przy tym, że nie wierzy już, aby sam mógł wyjść cało i chciałby choć te skrzypce przekazać synowi.

Między godz. 7 a 8 wieczór słyszeliśmy dość dużą strzelaninę gdzieś od strony cukrowni lub Brodów.

W mieście na serio spodziewają się lada dzień napadu i na nasz magistrat. Z tego powodu panuje widoczne podniecenie. Wszyscy czegoś wyczekują. Gdy porównuję obecną sytuację z tym jak było np. przed rokiem, to widzę ogromną różnicę. Dawniej tylko my żyliśmy w ciągłej niepewności i obawie, a dzisiaj my boimy się Niemców, a oni jeszcze więcej zemsty z naszej strony. I nerwowo wyczerpują się teraz podobnie jak my. Jesteśmy więc świadkami prawdziwej wojny nerwów. Nabieramy coraz większej pewności, że w tej wojnie zwyciężymy my, nie oni. Ludzie zaciskają zęby i pięści, ażeby tylko doczekać się odpowiedniej chwili.

W Sułowie i sąsiednich wsiach w związku z napadem na gminę i zabiciem ogółem 7 Armeńczyków i Niemców, aresztowano przeszło 60 mężczyzn. Na razie wywieziono ich do Zamościa.

Dowiedziałem się, że wśród odbitych w Celestynowie więźniów przewożonych z Lublina do Warszawy znaleźli się dwaj ze Szczebrzeszyna: Bortkiewicz i Tykwiński.

---

[1]) Patrz w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944" (Zamość 1947) artykuł „Czerwienia" pt. „Fragmenty z Dziennika działań drużyn dywersyjnych obwodu biłgorajskiego" str. 50—57.

[2]) loc. id. str. 51.

[3]) loc. id. str. 52.

1 czerwca

Godz. 3 po poł.

Przed kilkoma dniami obębniono na mieście, że zgodnie z zarządzeniem władz niemieckich można chodzić od godz. 4 rano do godz. 10 wieczór.

Dziś w południe niespodziewanie obębniono nowe zarządzenie cofające godziny policyjne znów do godz. 8 wieczór. Rano można chodzić dopiero od godz. 5. W letnich miesiącach stanowi to ogromne skrępowanie i utrudnienie normalnego życia i pracy. W godzinę po ogłoszeniu tego zarządzenia, nie wiem z jakiego powodu, wszczął się na mieście straszny popłoch. W jednej chwili wszystkie furmanki i handlarze zgromadzeni na zwykłym, tygodniowym jarmarku rzucili się do ucieczki. Miasto od razu opustoszało. Nikt nie może mi wytłumaczyć co się stało. Ogarnęła ludzi jakaś psychoza. Tak mało dziś potrzeba, ażeby wśród tłumu wywołać panikę.

Dziś od rana Niemcy palili wieś Sochy pod Zwierzyńcem. Krążyły nad nią niemieckie samoloty.

Z każdym dniem wzmaga się powszechne zdenerwowanie. Ludzie z napięciem czegoś oczekują. Krążą coraz bardziej fascynujące plotki.

Godz. 8 wieczór

Przyczyna dzisiejszej paniki była całkiem błaha. Do posterunku żandarmerii podjechała ogromna ciężarówka z żandarmami, a że w tym miejscu stało dużo furmanek, więc jeden z żandarmów chcąc oczyścić 30 metrów przestrzeni koło posterunku zaczął krzyczeć na chłopów: „weg!". Wówczas wszyscy rzucili się do ucieczki.

Samoloty, jakie widzieliśmy rano, zbombardowały Józefów, który od piątku był w rękach „bandytów" [1]).

Wczoraj w okolicach Biłgoraja zabito dwóch gestapowców i spalono ich samochód. Prawdopodobnie z tego powodu cofnięto godziny policyjne.

2 czerwca

Oprócz dwóch gestapowców zabitych, został jeszcze ranny w nogę szef biłgorajskiego Gestapo — Kolb.

---

[1]) Patrz artykuł Stara „Wysiedlenie i pacyfikacja gminy Aleksandrów w 1943 roku" w I tomie „Wydawnictwa Materiałów do dziejów Zamojszczyzny" (Zamość 1947), str. 132—138.

Z Józefowa przywieziono dziś do szpitala ranną odłamkiem bomby żonę aptekarza. W miasteczku zostali tam tylko nieliczni mieszkańcy. Są zabici i ranni.

Straszne rzeczy działy się wczoraj w Sochach. Najpierw otoczono wieś, po czym wybijano ludzi i podpalono zabudowania. Następnie nadleciały samoloty i obrzuciły bombami palącą się wieś. Zginęło bez mała dwustu ludzi [1]). Dziś jeszcze trupy leżą nie pogrzebane. Opowiadał mi o tym m. in. i ordynat Zamoyski, który widział te trupy na własne oczy.

W rozmowie z ordynatem zapytałem go, czy często jeździ samochodem do Biłgoraja i czy był już kiedy ostrzelany. Dotychczas nie miał jeszcze żadnej przygody, a urządził się dość sprytnie: sam prowadzi samochód, szofer zaś w wysuniętej przez okno ręce trzyma niewielką, biało-czerwoną chorągiewkę.

Mówiono mi dziś, że w Zamościu szereg osób dostało wyroki śmierci. Ciekaw jestem, czy zostaną one wykonane.

4 czerwca

Zmarli w Majdanku Józef Hasiec i Aleksander Stropek, obydwaj ze Szczebrzeszyna. Ludzie wciąż mówią o tym, co się działo w Sochach. Z polecenia władz niemieckich gmina pogrzebała zabitych we wspólnych mogiłach koło wsi. Ogółem pochowano około 180 osób.

6 czerwca

Dzisiejszej nocy spalona została wieś Siedliska, położona tuż pod Zamościem. Przed wojną mieszkali w niej przeważnie prawosławni, mieli tu cerkiew i parafię. W roku 1942 wysiedlono wszystkich mieszkańców i osadzono przywiezionych z daleka Niemców oraz Volksdeutschów z okolicznych wsi. Napadu dokonał duży oddział partyzantki polskiej (AK) w odwecie za rzeź w Sochach. Zginęło tu sporo Niemców i niestety kilku Polaków, którzy w tym czasie byli we wsi [2]). U nas słychać było strzały nawet podobne do armatnich. We wsi Kąty koło Zamościa widziano potem jedną grupę wracającą na furmankach czymś naładowanych. Prowadzono też kilka krów. Jak widać, z ucieczką nie bardzo się śpieszono.

Dzisiejszej nocy zabity został koło Topólczy konfident miejscowej żandarmerii Leon Niechaj rodem z Błonia.

Godz. 8 wieczór

Po wsiach straszny popłoch. Z Topólczy i sąsiednich osiedli chłopi powychodzili z rodzinami, gdzie kto może, aby tylko nie być w domu.

---

[1]) Patrz w tomie I „Wydawnictwa......" artykuł K. Świtajowej „Pacyfikacja wsi Sochy", str. 130—131 i w tomie III (Zamość 1946) artykuł Bruzdy „Sochy", str. 86—91.

[2]) Patrz w III tomie „Wydawnictwa......" (Zamość 1946) artykuł Adama „Siedliska", str. 107—111.

Tak się boją, żeby nie powtórzyła się historia podobna do tego, co było w Sochach. To samo z wsiami położonymi w okolicy Siedlisk.

Dziś po południu leciały w szyku bojowym dwiema trójkami bombowce niemieckie w kierunku na kosobudzkie lasy. Z pewnością na jakąś haniebną robotę nad polską wsią lub miasteczkiem.

Przyjeżdżają ludzie od strony Rawy Ruskiej i z Wołynia. Opowiadają okropne rzeczy o tym, jak układają się tam stosunki między Polakami a Ukraińcami, o masowych rzeziach, o najrozmaitszych bandach, rabunkach, morderstwach itp. U nas o niczym innym teraz się nie mówi jak tylko o tych napadach i masowych morderstwach. Zdajemy sobie sprawę, że weszliśmy już w okres, w którym panować będzie zasada „oko za oko, ząb za ząb". U nas wszyscy chodzą podnieceni i podenerwowani, z niepokojem oczekując co przyniesie najbliższa noc, czy przypadkiem i nasze miasteczko nie stanie się z kolei widownią jakiegoś poważniejszego wydarzenia, które by mogło zburzyć ten względny spokój, jaki panował u nas w ostatnich czasach.

7 czerwca

Dziś rano na łąkach pod Szczebrzeszynem Niemcy zastrzelili młodego Zdzisława Jóźwiakowskiego ps. „Huzar" i po długiej gonitwie złapali postrzelonego w nogę młodego Gdulę. Obydwaj pochodzą ze Szczebrzeszyna. Podobno mieli przy sobie broń. W magistracie, gdy usłyszano strzały i zobaczono pędzących z karabinami Armeńczyków, wszczęła się zupełna panika. Urzędnicy z burmistrzem na czele uciekli, zatarasowując za sobą drzwi i pozostawiając wewnątrz zdezorientowanych interesantów.

Opowiadano mi ciekawe szczegóły o Józefowie. Nie ma tam obecnie żadnych władz — ani żandarmerii, ani policji, ani nawet władz gminnych. Kto mógł, ten wyjechał. Opuścili swą parafię i księża. Do miasteczka przychodzą tylko z lasu różni „alianci". W ostatnich walkach pod Józefowem zginął komendant radzieckiego oddziału partyzanckiego, popularny „Miszka". Wczoraj o godz. 11 wieczór pochowano go na cmentarzu w Hamerni, oddano przy tym wielką ilość strzałów.

W Abramowie pod Frampolem zabity został konfident Volksdeutsch Edward Motte, który był monterem w Zwierzyńcu [1]).

Od wczoraj znów przesunięto nam godzinę policyjną — można chodzić do 9 wieczór.

Wczoraj w Kosobudach Niemcy zabrali z kościoła kilkudziesięciu mężczyzn [2]).

9 czerwca

Prawdopodobnie w odwecie za Siedliska Niemcy zabrali z Wieprzyc i Szewni niemal wszystkich mężczyzn, którzy nie zdążyli uciec. Tym sposobem oddziały partyzanckie mają stale świeży dopływ ludzi.

---

[1]) Patrz w tomie IV „Wydawnictwa......" artykuł Czerwienia „Fragmenty z dziennika działań drużyn dywersyjnych Obwodu Biłgorajskiego", str. 56.

[2]) Patrz w tomie III „Wydawnictwa......" artykuł J. Bełza „Jak Niemcy zabrali nas z kościoła w Kosobudach", str. 91—94.

10 czerwca

Z samolotów zrzucono ulotki, których treść przedrukował dzisiejszy „Nowy Głos Lubelski". Władze niemieckie wyrażają oburzenie z powodu napadu na Siedliska i grożą bardzo dużymi represjami na przyszłość. Za zniszczone mienie kolonistów niemieckich ma być wyznaczona kontrybucja na sąsiednie wsie polskie, za każdego zabitego Niemca ma być rozstrzelana kilkakrotnie większa liczba Polaków. Ogłoszenie to wywołuje duże wrażenie wśród ogółu ludności. Nie wiadomo jak się ustosunkują do tego organizacje „leśne" i czy na pewien czas nie zaprzestaną akcji terrorystycznej. Na dzisiaj rano zwołano do Biłgoraja zjazd wójtów, sekretarzy gmin, sołtysów i księży z całego powiatu. Odczytano im wspomnianą odezwę władz i zapowiedziano o grożących represjach. Wszystko to wyglądało bardzo surowo i groźnie. Ludzie wyszli z zebrania zgnębieni. Tak mi przynajmniej opowiadali księża, którzy byli na tym zjeździe.

14 czerwca

Dwa dni Zielonych Świąt spędziłem w Zwierzyńcu, ażeby choć trochę odpocząć i oderwać się od atmosfery szczebrzeszyńskiej. Co prawda Zwierzyniec w ostatnich czasach nie należał do miejscowości zbyt bezpiecznych, ale te dwa dni przeszły wyjątkowo spokojnie, chociaż nadal bardzo boją się wysiedlenia i ludzie mają nawet przygotowane w walizkach niezbędne rzeczy. W sobotę przyjechała wypuszczona z więzienia w Lublinie Fela Piórówna, owacyjnie witana przez cały Zwierzyniec. Puszczono również aresztowanego jednocześnie z nią Kozłowskiego. Z obozu w Dębicy zwolniono młodych robotników fabrycznych Opiłę i Ciećko. W rodzinie dra Wróblewskiego było dużo niepokoju, bo uciekała im z domu 15-letnia córka Lilka, która wyruszyła w świat („do lasu") wraz ze swoją koleżanką w tym samym wieku. Na drugi dzień doktorowa Wróblewska znalazła córkę w Bondyrzu i przywiozła ją do domu. Nasłuchałem się sporo różnych plotek i opowiadań nie nadających się do zanotowania.

15 czerwca

Notuję dość ciekawy fakt dla charakterystyki niektórych naszych „paniuś". Otóż przyszła dziś do mnie jedna taka paniusia, której mąż był kiedyś naczelnikiem Urzędu Pocztowego w Szczebrzeszynie, a przed kilku miesiącami umarł w obozie na Majdanku, prosząc o radę i poufne informacje. Mianowicie do jej dorastającej córki zaczął przychodzić Ormiańczyk, utrzymujący, że jest studentem IV roku medycyny i że obecnie pełni w kompanii Armeńczyków funkcje felczera. Koniecznie chce się żenić z córeczką i to zaraz. Pyta więc mnie kochająca mamusia, czy ja nie znam tego Armeńczyka i radzi się, co ma robić. Że to jest osobnik całkiem obcy — mało ją obchodzi, jej zależy tylko na tym, żeby był „dobry człowiek". Nie mogłem paniusi powiedzieć wszystkiego, co myślę

o niej i o córce, poinformowałem tylko, że z podobnymi propozycjami ów Armeńczyk zwracał się już do kilku sióstr szpitalnych i do sekretarki w dniach, kiedy przychodził do nas przeprowadzać w naszej komorze dezynfekcję rzeczy swojej kompanii.

16 czerwca

Z więzienia w Lublinie wypuszczony został medyk Wojdatt.

17 czerwca

W Hrubieszowie aresztowano dra Paszkiewicza i lekarkę z Ubezpieczalni Społecznej. W Wysokiem (pow krasnostawski) w tajemniczych okolicznościach przepadł bez wieści tamtejszy lekarz. Opowiadano mi, że w Leżajsku rozstrzelano kilkadziesiąt osób, w tym jednego lekarza.

Po mieście krążą niepokojące plotki o mających nastąpić u nas masowych aresztowaniach, o grasującej na Lubelszczyźnie jakiejś ekspedycji karnej, która rzekomo zbliża się ku Zamojszczyźnie, o niebezpieczeństwie jakie grozi zwłaszcza inteligencji i wszystkim mężczyznom do lat 60 itp. Wszystko to ludzi przygnębia, wytrąca z równowagi, zniechęca do pracy.

18 czerwca

Wczoraj w Biłgoraju aresztowano Lucjana Wawryka, b. długoletniego sekretarza magistratu m. Szczebrzeszyna. Ostatnio mieszkał on w Gorajcu, pojechał do starostwa starać się o przepustkę do Warszawy. W chwili wydawania przepustki zjawił się w starostwie gestapowiec i aresztował go. Założono mu na ręce kajdanki i odprowadzono do więzienia.

19 czerwca

Ubiegła noc obfitowała w wydarzenia, o których dowiedzieliśmy się dzisiaj rano. A więc większa grupa partyzantów AK dokonała napadu na „Alwę". Zdemolowano mieszkanie Treuhändera Beckera, który zdążył jednak wyskoczyć przez okno z I piętra i ukryć się w karpinie, zniszczono w biurze centralkę telefoniczną, maszynę do pisania itd. [1]). Następnie zdemolowano niektóre aparaty na stacji kolejowej. We wsi Brody Małe został postrzelony z rewolweru podsołtys Michał Harkot, Volksdeutsch. Przywieziono go do szpitala.

---

[1]) Wit i Kama „Akcja rekwizycyjna w fabryce „Alwa". „Wydawnictwo Materiałów . . . . . ." t. IV, str. 61—68.

W Stawie Noakowskim został zabity niejaki Lemański, wysiedlony z Poznańskiego, żonę jego Bronisławę, ranną w twarz i szyję, dostarczono do szpitala. W Stawie Ujazdowskim zabito jakiegoś Kwapisza.

W Suścu tzw. „banda" zabrała zawartość magazynu zbożowego.

Lasy są w danej chwili niemal całkowicie opanowane przez różne „bandy". Nie ma możliwości wywiezienia drewna do tartaku czy też opałowego. Chłopi nie chcą jechać do lasu za żadne pieniądze. Siłą też nie można ich do tego zmusić. Do rozporządzenia kierownictwa „Holztransportunternehmen" w Zwierzyńcu spędzono większą liczbę furmanek nawet z powiatu hrubieszowskiego. Dziś o świcie wszystkie te furmanki, co do jednej, samowolnie opuściły miejsce swego postoju w Zwierzyńcu i zamiast po drzewo do lasu, pojechały do domu.

Dzisiejszej nocy spalono biuro Urzędu Gminnego w Tereszpolu.

21 czerwca

Wczoraj na odpuście w Szczebrzeszynie zgromadziło się mniej ludzi niż zwykle, ponieważ obawiano się łapanki, jak to było w Kosobudach, w Krasnobrodzie i w innych miejscowościach, gdzie zabierano mężczyzn z kościoła. Lecz dzień przeszedł spokojnie. Aresztowano tylko dwóch dziadów odpustowych, żebraków siedzących przed kościołem. Ludzie mówią, że dziś rano rozstrzelano ich na szosie Rozłopskiej koło młyna Bryłowskiego.

Wczoraj pod wieczór kilkanaście dużych ciężarówek z żandarmami przejechało przez miasto w stronę Zwierzyńca. U nas atmosfera nieco podniecona. U wylotu miasta, koło Rozłopskiej szosy żandarmi legitymują przechodniów. Zatrzymano nawet dr Warchałowską. Poza tym jeszcze jedna nowość: dozwolone są tylko wojskowe i policyjne rozmowy telefoniczne z Zamościem.

Godz. 2 w południe

W mieście wybitnie wzmaga się niepokój. Żandarmi i polscy policjanci bez przerwy legitymują wszystkich idących i jadących, zatrzymują nawet samochody. Około godz. 11 w Urzędzie Pocztowym zjawili się jacyś Niemcy, zabrali cały zapas znaczków pocztowych, pieniądze itp., oświadczyli, że Urząd przestaje funkcjonować, telefon zaś ma obsługiwać tylko wojsko i żandarmerię. Gubimy się w domysłach, co to wszystko ma znaczyć. Na ulicach i na rynku prawie nie widać przechodniów.

22 czerwca

Dzień przeszedł zupełnie spokojnie. Sensacją jest zlikwidowanie urzędów pocztowo-telegraficznych. Całe miasto głównie o tym tylko mówi. Żadna korespondencja dziś nie przyszła. Jesteśmy zupełnie odcięci od świata, a nawet od najbliższych miasteczek. Przypomina mi się wrzesień i październik 1939 roku.

Późno wieczorem przyniesiono mi jeden (czerwcowy) numer „Ech Leśnych", wydawanych na terenie Zamojszczyzny. Tekst obejmuje 17 stronic niewielkiego formatu, pisanych na maszynie na cienkim papierze. Miłe wrażenie robi barwna okładka wykonana w swoistej technice przypominającej monotyp. Dotychczas wyszły 3 numery. Obiecano mi dostarczyć do moich zbiorów regionalnych i pierwsze dwa.

24 czerwca

Przez całą noc szło przez miasto jakieś wojsko z taborami w kierunku na Zwierzyniec. Dawno nie widzieliśmy przemarszu takiej ilości wojska. Dziś rano obiegła miasto sensacyjna wiadomość: w nocy niespodziewanie wyjechali z miasta wszyscy żandarmi i polscy policjanci. Pozostał tylko jeden, najmłodszy żandarm i jeden, najstarszy wiekiem, policjant Hajduszczak. Dokąd wyjechali i po co, oczywiście, nie wiadomo. Jest przypuszczenie, że wszystko to ma związek z akcją oczyszczania Lubelszczyzny od „band". Wczoraj byli w mieście gestapowcy i kazali w magistracie przygotować na poniedziałek rano furmanki do wywiezienia wszystkich rzeczy pożydowskich na stację kolejową. Od lekarza powiatowego otrzymałem ostrzeżenie, żeby nigdzie się nie ruszać, nie wyjeżdżać, siedzieć w domu, w szpitalu. Krążą głuche wieści o zajęciu przez jakieś olbrzymie „bandy" Stalowej Woli, Rzeszowa i innych sąsiednich miejscowości, że grupy te posuwają się w naszym kierunku. Znikąd nie można dowiedzieć się prawdy. W sytuacji nie orientujemy się zupełnie, czujemy tylko, że dzieje się coś niezwykłego. Cała ludność u nas i po wsiach jest silnie zaniepokojona, zwłaszcza że i poruszać się swobodnie nie można. Na kolei wymagane są specjalne przepustki. W godzinach nocnych nie wolno opuszczać miejsca stałego zamieszkania. W każdym domu muszą być wywieszone spisy wszystkich mieszkańców powyżej lat 14. Słowem, jesteśmy ściskani coraz mocniej. Dla ludzi, którzy chcą lub muszą ukryć się pozostaje właściwie tylko jeden sposób: pójście „do lasu", „do bandy".

Telefony wyłączono nawet dla żandarmerii i dla policji.

25 czerwca

Wczoraj o godzinie 10 wieczorem żandarm Bot, ten, który pozostał jeszcze w Szczebrzeszynie, zjawił się koło remizy strażackiej, wywołał pełniącego dyżur strażaka Leopolda Gąskę i rozstrzelał go tuż obok remizy. Jest przypuszczenie, że był jakiś donos. Brat jego, Bolesław Gąska, znany był ze swoich prokomunistycznych sympatii. Poza tym dzień u nas przeszedł spokojnie. Mówiono mi, że Niemcy okopali się i wystawili działka m. in. i w Panasówce przy szosie. Dochodzą nas wieści o wysiedlaniu niektórych wsi pomiędzy Zwierzyńcem a Biłgorajem. Z pewnością wiemy tylko, że wysiedlona została wieś Bukownica. Jednak wszystkie te wiadomości, nawet niepewne, ogromnie ludzi niepokoją, zwłaszcza mieszkańców wsi. Dużo kobiet z dziećmi, o ile tylko są jakieś możliwości, ucieka do miast. Ludziom się zdaje, że tam jest bezpieczniej.

26 czerwca

Przez stację Szczebrzeszyn przejechało już 10 wagonów z wysiedlonymi, — jak mówią — do Zamościa. Irytuje nas to, że właściwie nie wiemy nic, co się dzieje nawet w naszych bliskich okolicach. Telefony wciąż nieczynne. Żona komendanta policji tłumaczyła mi dzisiaj, że wyłączono telefony dlatego, że „bandyci" włączyli się gdzieś na linii i podsłuchiwali wszystkie rozmowy. Opowiadała mi, jaka panika powstała na posterunku żandarmerii i na policji, gdy nadszedł niespodziewany rozkaz wymarszu wszystkich w teren walki. Żandarm Kurtz prosił gospodynię z posterunku, żeby mu dała obrazek Matki Boskiej taki, który by można było powiesić na szyi. To najlepiej ilustruje nastrój. Poczta zwykła dochodzi, gazety też mamy, ale to nam nie wystarcza.

28 czerwca

Otrzymałem wczoraj rano przysłaną mi przez jakiegoś chłopa kartkę pisaną w pośpiechu w wagonie przez „Gajewskiego", Tadeusza Gumińskiego z obwodu Biłgoraj, mojego dobrego znajomego z konspiracji, który w Józefowie prowadził kuchnię Polskiego Komitetu Opiekuńczego dla wysiedlonych. Prosi, żeby ratować żonę i 15-miesięczną córeczkę, zabrane przy wysiedlaniu Aleksandrowa, dokąd przeniesiono kuchnię ze względu na niemożliwe warunki w Józefowie. Pojechałem do Zwierzyńca, byłem u ordynata Zamoyskiego, prezesa Powiatowego Komitetu Opiekuńczego. Napisał on zaraz list do Biłgoraja, żeby tam interweniowano u starosty i w policji niemieckiej, obiecał poczynić starania przez „swego" Niemca Grossemika, który obok plenipotenta Bünscha stoi obecnie na czele administracji Ordynacji Zamoyskich. Oprócz tego zawiadomiłem komitet zamojski prosząc p. Kopcińską, prezeskę Komitetu, o zajęcie się tą sprawą. O ile mogłem się dowiedzieć, to już przewieziono je do Zamościa, „za druty". W toku obecnej akcji „zwalczania bandytów" wysiedlono wsie Aleksandrów, Górecko Kościelne (tu nawet księży), Bukownicę, część Hedwiżyna oraz jakiś Majdan i Wolę pod Biłgorajem. Na razie wiozą ludzi do Zamościa, co z nimi potem robią — jeszcze nie wiemy. Wczoraj na szosie panował bardzo ożywiony ruch, samochody jechały przeważnie od strony Biłgoraja w kierunku na Zamość. Wracali żandarmi. Wróciło też kilku żandarmów z tutejszego posterunku z leutnantem na czele. Duże oddziały żandarmerii i SS zatrzymały się w pałacu w Klemensowie.

Dziś w dalszym ciągu odbywa się przemarsz wojsk na Zamość. Intendent i jedna pielęgniarka ze szpitala jeździli do Biłgoraja. Nie wszystkim dają przepustki kolejowe i tylko na kilka dni. W Biłgoraju masa wojska. Panuje tam silny niepokój. Obawiają się wysiedlenia. Wiadomość ta, po powrocie kilku ludzi z Biłgoraja, w jednej chwili rozniosła się po mieście i jeszcze bardziej wzmogła ogólne zdenerwowanie. I znów żadna robota nie idzie, uwaga wszystkich skierowana jest wyłącznie na to, co nas czeka.

Dziś wywożono z hali targowej na stację rzeczy pozostałe po Żydach. Oczywiście ludność starała się kraść, co się tylko da. W związku z tym

koło mostu na Wieprzu została zabita przez żandarmów jakaś kobieta i rozstrzelany gospodarz z Przedmieścia Zamojskiego Kowalik, Volksdeutsch. We wszystkich domach kazano wywiesić jak najdokładniejszy spis mieszkańców. W magistracie przez parę dni i nocy bez przerwy pracowano nad sprawdzaniem tych spisów. Każda zmiana musi być zaraz odnotowana. W szpitalu przy wejściu na osobnej tablicy wiszą dwa spisy: pracowników i chorych. W magistracie spodziewają się, że lada chwila żandarmi i SS mogą przystąpić do sprawdzenia — i to bardzo dokładnego — wszystkich mieszkań w mieście.

Nastrój ogólny udzielił się poniekąd i mnie, o tyle, że już parę dni nic nie pisałem. I w ogóle w ostatnich czasach rękopis mój bardzo powoli posuwał się naprzód. Chętnie za to grałem dzisiaj w bridża, żeby tym sposobem oderwać myśl od rzeczywistości. Jeżeli taki stan niepewności i ciągła obawa wysiedlenia potrwa dłużej, to wielu ludzi załamie się psychicznie. Właściwie niektórych to już dziś można zaliczyć do nerwowo chorych.

29 czerwca

Dowiedziałem się dziś wczesnym rankiem, że noc ludzie spędzili w większym zdenerwowaniu, aniżeli wczoraj przypuszczałem. Większość mieszkańców nie spała, ludzie na gwałt pakowali się, nie bacząc na godziny policyjne coraz to wychodzili na ulicę i lada chwila oczekiwali rozpoczęcia akcji wysiedlania. Dziś od świtu niepokój jeszcze bardziej się wzmógł. Posterunki żandarmerii i policji nie wpuszczały do miasta nikogo od strony Rozłop i od cukrowni, nikogo też nie wypuszczali z miasta, nawet robotników zatrudnionych na lotnisku i w cukrowni. W nocy aresztowano niejaką Romanowską z dwojgiem dzieci. Nie cieszyła się ona zbyt dobrą opinią. Wzięto również Tałandę, nienormalnego pod względem umysłowym; przed wojną dłuższy czas przebywał on nawet w szpitalu psychiatrycznym w Chełmie. Wczoraj po południu wszystkim dzieciom z 7 oddziału Szkoły Powszechnej, i chłopcom i dziewczynkom, wręczono karty powołujące na roboty do Niemiec. Oczywiście w wielu rodzinach wywołało to przerażenie, ale nikt nie myśli dopuścić do zabrania 13 i 14-letnich dzieci. Każdy na swój sposób stara się wykręcić je od tego. Do wieczora ludzie trwali bez zmiany w niepokoju, ale nic niezwykłego nie zaszło.

30 czerwca

Noc przeszła szczęśliwie. Na szosie duży ruch samochodów. Jakieś oddziały wojskowe dążą głównie w kierunku na Zwierzyniec. Od czasu do czasu przejeżdżają szybko pojedyncze samochody osobowe i motocykle — zupełnie jak w jakimś pasie przyfrontowym. Dotychczas nie wiemy, co się dzieje w najbliższym sąsiedztwie, a przecież wszyscy ci żandarmi, SS, Gestapo, zwykłe wojsko itp. bez powodu nie kręciliby się tak po szosie. Irytuje mnie taka nieświadomość, lecz nic na to poradzić nie możemy. Oczywiście nie brak najróżnorodniejszych plotek, ale tym nic

wierzyć nie można. Ze sfer magistrackich wychodzą przypuszczenia, że w najbliższym czasie odbędą się w mieszkaniach prywatnych szczegółowe rewizje i kontrola wszystkich mieszkańców. Ludzie obawiają się głównie rewizji, bo z pewnością nie obejdzie się przy tym bez rabunku. Nastrój w dalszym ciągu podniecony.

Godz. 7 wiecz.

Niektórzy trochę się uspokoili, inni zaś nadal trzęsą się ze zdenerwowania i niepokoju o dalszy los. Ja zabrałem się na nowo do przerwanej przed kilkoma dniami pracy i już parę godzin pisałem dziś o dawnej medycynie w Zamojszczyźnie, poza tym więcej teraz czytam.

Dziś uruchomiono pocztę, jednak telegraf i telefon nadal pozostają nieczynne.

1 lipca

Wczoraj wieczorem nagle, wskutek nadeszłych wiadomości o rzekomym wysiedlaniu Tarnogrodu i wobec zjawienia się w mieście gestapowców, ogarnęło ludzi przerażenie. Lecz noc przeszła zupełnie spokojnie, jechało tylko dużo samochodów w stronę Zwierzyńca.

Godz. 11 rano

Zaczęła się jakaś akcja „kontrolna", gdzieś na „Domkach" pod cukrownią. Są aresztowani. W mieście nad wyraz ciężki nastrój.

2 lipca

Wczoraj od godz. 4 po południu pełno już było na ulicach i na rynku żołnierzy „Schupo", żandarmów itd. Na szosie od mostu do szlakówki i dalej stał długi sznur dużych, pustych ciężarówek przeznaczonych do przewożenia wojska. Na drodze z Brodzkiej Góry ukazała się pierwsza liczna grupa zatrzymanych mężczyzn, potem co jakiś czas prowadzono grupami od strony Brodów aresztowanych, wyłącznie mężczyzn. Jedna grupa składała się prawie z samych kolejarzy. Na razie wahano się i nie wiedziano, gdzie tych aresztowanych umieścić. Część poprowadzono koło szpitala w stronę młyna Perety, lecz wkrótce zawrócono z powrotem. Wreszcie zaczęto wprowadzać wszystkich do starej, zniszczonej bóżnicy żydowskiej.

Prowadzono też małymi grupkami mężczyzn z miasta. Brano z mieszkań, biur, urzędów, sklepów, po kolei, bez wyjątku wszystkich mężczyzn, pozostawiając na miejscu tylko starców powyżej 65 lat, chorych, niedołężnych. Wzięto urzędników magistratu, sądu, pracowników „Rolnika", spółdzielni mleczarskiej, księży, lekarzy: dra Jentysa, dra Spoza, dra Jóźwiakowskiego itd. Przed bóżnicą postawiono dwa stoły i zaczęto przeprowadzać rejestrację, sprawdzać dowody itp. Niektórych wkrótce puszczono. Przede wszystkim zatrudnionych we wspomnianych urzędach i instytucjach, lekarzy, robotników z cukrowni, z „Alwy", z lotniska i in.

Trudno opisać co się działo w mieście. Byliśmy całkowicie w rękach Niemców. Właściwie nie było wyjścia. Uciekać ludzie nie mogli, bo całe miasto było otoczone. Szosy, boczne drogi, a nawet pola uprawne obstawiono żołnierzami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Żołnierze obchodzili również systematycznie wszystkie domy, wszystkie mieszkania i zabierali mężczyzn. Załatwiano to stosunkowo łagodnie, bez żadnego bicia, potrącania, popychania i krzyku. Małej tylko garstce udało się gdzieś ukryć. Patrzyliśmy na to, co się dzieje, bezsilni i bezradni, przygotowani na wszystko oczekując, że lada chwila przyjdą i po nas. Ja odpowiednio się ubrałem i miałem pod ręką jesionkę oraz plecak z najniezbędniejszymi rzeczami i zmianą bielizny. Lecz jakoś szczęśliwie szpital ominęli. Przechodzili koło niego dużo razy, czytali szyld, byli we wszystkich domach naprzeciw szpitala i w sąsiednich, a do nas nie weszli. Nie wiem, czy odstraszyła ich tablica wisząca na drzwiach wejściowych z napisem „Achtung! Fleckfieber"!, czy też nie leżało to w ich z góry ułożonym planie, dość że u nas nie byli. Żandarmeria miejscowa wiedząc co ma być w mieście, a chcąc uchronić niektórych potrzebnych i wygodnych dla nich ludzi, wezwała ich na posterunek i kazała piłować i rąbać drwa. Tym sposobem znaleźli się tutaj młynarze Filipkowski, Łysak, Koszel, mechanicy bracia Budzyńscy, rzeźnicy bracia Rypiny, piekarze i inni, w sumie około dwudziestu kilku osób.

Kobiet nie ruszano zupełnie. Swobodnie kręciły się po mieście, grupowały po rogach ulic i w pobliżu bóżnicy, gdzie bez przerwy segregowano zatrzymanych, posługując się przy tym jakimiś listami. Oddzielono 11 mężczyzn, którym ołówkiem chemicznym wypisano na czole literę W. Byli to: 1) Dominik Amborski urzędnik „Rolnika", b. nauczyciel tutejszego gimnazjum, 2) Tadeusz Postulski urzędnik miejscowego Sądu Grodzkiego, b. dependent adwokata Paprockiego, 3) Wit Naszyński długoletni buchalter magistratu, 4) Dworniczak rzeźnik, 5) Jan Doleżał emerytowany leśniczy Ord. Zam., bogaty tutejszy gospodarz, 6) Adolf Cichocki urzędnik, 7) Feliks Krukowski szofer, 8) Marian Fedorowicz urzędnik z „Alwy", 9) Kazimierz Wawrzkowicz pracownik „Alwy", 10) Głowacki i jeszcze jeden, którego nazwiska nie mogłem ustalić. Wszystkich innych po sprawdzeniu dokumentów odprowadzono do byłej cerkwi, zupełnie zrujnowanej. Do północy słychać było krzyki Niemców, nawoływania i lamenty kobiet.



W szpitalu wyznaczyłem na noc dyżury, w tym i dla siebie od godz. 4 rano. Ale i bez tego prawie nikt z nas nie spał. Dla pozostałych na wolności noc przeszła jednak zupełnie spokojnie.

Od świtu widać było na ulicach tylko pojedyncze sylwetki kobiet, ostrożnie posuwających się ku cerkwi.

Po godz. 5 rano wyprowadzono wszystkich zatrzymanych i ustawiono w szeregu czwórkami. Na przedzie odrębną grupkę, pilnie strzeżoną przez gęsto rozstawionych Schupowców, stanowili oznaczeni literą W, z Naszyńskim w pierwszym szeregu. W pewnej od nich odległości ustawiono całą ogromną partię, na oko liczącą chyba do 1.500 ludzi. Szli, można powiedzieć, w formie doskonałej. Nie znać było zbytniego przygnębienia, mieli tylko wygląd nieco zmęczony po nieprzespanej nocy. Pomimo tego wrażenie było okropne. Stałem za dużą, starą lipą w ogrodzie szpitalnym i wszystko pilnie obserwowałem. Szli — popędzani przez żandarmów — krokiem szybkim, tak, że trudno było mi rozpoznać wszystkich znajomych. W ostatnich szeregach, drepcąc drobnym krokiem, starał się nadążyć za innymi dość korpulentny ks. kan. Masłowski z butelką kawy w ręku. Obok ks. Kowalczyk, nawet bez kapelusza, dźwigał dużą, ciężką walizę. Szedł też i ks. Winnicki z Mokrego Lipia. A tłum kobiet po obu stronach szosy stał złorzecząc, lamentując i miotając straszliwe przekleństwa na Niemców. Kobiety już niczym się nie krępowały.

Mimo woli przypomniały mi się sceny z okresu likwidacji Żydów. Była jednak ogromna różnica. Przede wszystkim Żydów wykańczało kilku gestapowców przy pomocy miejscowej żandarmerii i polskiej policji, tu zaś była trudna do obliczenia masa różnorodnego wojska z karabinami maszynowymi. Nie było widać takiej bezgranicznej rezygnacji, jak u Żydów, przeciwnie — patrząc na te liczne szeregi pewnie idących mężczyzn, otoczonych żołnierzami niemieckimi z karabinami gotowymi do strzału, czuło się, że jest w nich jakaś utajona moc i potęga. Prowadzonych i pozostających na wolności aż nazbyt wyraźnie jednoczyło wspólne, przemożne uczucie nienawiści do Niemców, pogardy dla nich i nienasycona żądza zemsty.

Psychicznie byłem całkiem rozbity i roztrzęsiony. Gnębiło mnie jeszcze i to, że wzięto w mieście dwóch pracowników szpitalnych, parobków z gospodarstwa rolnego, a ja dotychczas nic jeszcze nie mogłem zrobić, żeby ich ratować. Po ósmej poszedłem na posterunek żandarmerii, przedstawiłem rzecz komendantowi i prosiłem go o interwencję. Nad moje spodziewanie leutnant ustosunkował się do całej sprawy bardzo życzliwie i sam napisał na maszynie pismo z wnioskiem o natychmiastowe zwolnienie moich parobków, jako niezbędnie potrzebnych dla szpitala. W tym samym czasie dowiedzieliśmy się, że zatrzymanych popędzono do Zwierzyńca i umieszczono za drutami w barakach koło szpitala. Pismo komendanta posterunku zawiózł tam zaraz sekretarz magistratu Babiarz, który pojechał starać się o zwolnienie strażaków. Po kilku godzinach moi parobcy uszczęśliwieni powrócili do szpitala.

Od godziny 1 po południu zaczęli powoli zjawiać się wypuszczeni zza drutów w Zwierzyńcu. Pierwsi przybyli księża. Ks. Masłowski trochę mizerny i blady, lecz w zupełnie dobrej formie. Z werwą, a poniekąd i z humorem opowiadał przejścia z ostatniej doby.

Przez całe popołudnie tłum, składający się przeważnie z kobiet, stał na skręcie szosy na rogu ogrodu szpitalnego, wypatrywał i spotykał powracających, zasypując ich pytaniami. Powiadają, że zwolniono już paręset osób.

11 „piętnowanych" osadzono w osobnym baraku i rozpoczęto już zwykłe katowanie, bicie, kopanie itp. Niektórzy z tych, co powrócili, np. ks.

Winnicki, sami byli tego świadkami. Mamy nadzieję, że jeszcze sporo ludzi zostanie wypuszczonych.

Miasteczko w rannych godzinach wyglądało jak po jakimś pogromie, na ulicach pustki, sklepy pozamykane, wystraszeni ludzie nieśmiało wychodzili z domów i z trudem przystępowali do swych zwykłych zajęć. Po południu już miasto zaczęło trochę się ożywiać, rodziny tych co powrócili przychodziły do siebie.

3 lipca

Jednak w mieście panuje duże przygnębienie. Dzisiaj nikogo ze Zwierzyńca nie wypuścili. Sekretarz Babiarz, zastępujący burmistrza, który jest na urlopie, pojechał tam jeszcze z rana czynić odpowiednie starania i dotychczas nie wrócił. Tymczasem przez miasto wciąż przejeżdżają duże ciężarówki z wysiedlonymi, przeważnie kobietami i dziećmi. Wiozą ich do Zamościa. Z różnych stron dochodzą nas wiadomości o wysiedlaniu całych wsi lub poszczególnych rodzin, np. w Biłgoraju i w Tarnogrodzie albo też o masowym zabieraniu mężczyzn. Baraki w Zwierzyńcu są przepełnione. Ludzie opowiadają okropne rzeczy o tym, co się tam dzieje. W Zamościu, podobno, jest znacznie gorzej, bo zwożą tam wysiedlonych z jeszcze dalszych okolic.

Sytuacja ogólna u nas nad wyraz ciężka. Bardzo dużo wsi albo wysiedlono, albo całkiem ogołocono z mężczyzn: jednych zabrano, drudzy poszli do lasu. Nie ma roboczych męskich rąk, a tu trzeba łąki kosić, a tylko patrzeć zaczną się żniwa. Całe gospodarstwa w tych wsiach przeszły w ręce kobiet lub w ogóle zostały opuszczone.

Niestety, nie widać końca tej potwornej akcji „oczyszczania" Lubelszczyzny. Gestapowcy szaleją, cały dzień przelatują w szybkim pędzie przez miasto w różnych kierunkach, w otwartych samochodach z karabinami maszynowymi w ręku. Już dawno nie widziałem tak powszechnego zdenerwowania, jak obecnie. Ludzie się trzęsą i nie mogą zapanować nad sobą. Staram się nie poddawać ogólnemu nastrojowi. Dzisiaj przez godzinę próbowałem nawet pisać, ale praca idzie mi wyjątkowo opornie. Zresztą w danej chwili nie daje mi ona zwykłego zadowolenia.

Przeżywamy naprawdę wyjątkowo ciężki okres. Ludzie giną tysiącami, kraj niszczy się doszczętnie. Za dużo już mamy ludzkiej niedoli i nieszczęścia. Chwilami zdaje się, że przetrzymanie tego wszystkiego jest ponad nasze siły. A jednak pomimo wszystko nie opuszcza mnie niczym nie zachwiana pewność, że wytrwamy, bo naród nasz w całości jest twardy, a chłop nieugięty. Wierzę święcie, że po wojnie kraj nasz odrodzi się w bardzo szybkim tempie. Tylko że ofiar będzie jeszcze dużo.

4 lipca

Wciąż jadą samochody z wysiedlonymi w stronę Zamościa. Z powrotem pędzą puste ciężarówki. W mieście zatrzymują się czasem jacyś żandarmi. Zza drutów w Zwierzyńcu zwolniono dziś tylko kilka osób. Wrócił z urlopu burmistrz Kraus i sam pojechał dziś do Zwierzyńca, starać

się o zwolnienie niektórych obywateli naszego miasteczka. Wśród ludności okolicznych wsi i u nas w mieście krąży uporczywa pogłoska o grożącym wysiedleniu. Bardzo wielu ludzi jest spakowanych. Siedzą w domu i czekają, kiedy rozpocznie się nowa akcja. Ja osobiście nie mogę długo trwać w takim nastroju wyczekiwania. Mam już tego dość. Całe popołudnie siedzę dziś przy biurku w swoim zacisznym gabinecie i piszę. Mam właśnie na warsztacie opis pierwszej operacji dokonanej w uśpieniu eterowym w tutejszym szpitalu przez dra Wieniawskiego w r. 1847. Do moich uszu bezpośrednio nie dochodzi nic z tego, co się dzieje na szosie i w mieście. Pochłonięty tematem na dłuższe chwile zapominam o koszmarnej rzeczywistości. Kilka godzin intensywnej pracy umysłowej nadzwyczaj kojąco oddziaływa na system nerwowy. Jestem już zupełnie opanowany i spokojny.

5 lipca

Dzień u nas przeszedł spokojnie. Pomimo tego ludzie denerwują się, i o niczym innym nie mówią tylko o ewentualnym wysiedleniu.

6 lipca

Od rana panuje w mieście fatalny nastrój. Chociaż mamy dziś dzień targowy, na ulicach pustki. Przeważnie tylko kobiety wychodzą z domów na zwiady. A to dlatego, że „Alwa" została otoczona i spośród pracowników wybrano podług jakiejś listy kilkunastu robotników. Na Małych Brodach chodzą patrole żołnierzy.

Godz. 3 po poł.

Przed chwilą gestapowcy z burmistrzem Krausem byli u księży mieszkających w kamienicy naprzeciw szpitala. Szukano ks. Kapalskiego, lecz w domu go nie zastano.

Godz. 10 wiecz.

Jakaś niewyraźna historia. Przyjechali gestapowcy, przyszli do ks. Kowalczyka na plebanię i kazali mu zwołać wszystkich księży rzekomo na jakąś konferencję do restauracji Króla w pobliżu szpitala. Jednak nikt z księży się nie stawił. Wówczas gestapowcy wraz z burmistrzem zjawili się u ks. Kowalczyka i wszyscy razem udali się do popa prawosławnego, mieszkającego w domu koło sądu. Tu gestapowcy weszli do wnętrza domu, na ulicy zaś pozostał ks. Kowalczyk z burmistrzem. W pewnym momencie ks. Kowalczyk podkasawszy sutannę zaczął uciekać. Burmistrz stropił się, zaalarmował gestapowców, lecz już śladu księdza nie było. Gestapowcy wściekli się, jeden mówiący po polsku wygrażał burmistrzowi, że go zastrzeli itd. Poszli potem po ks. Kapalskiego, który w tym czasie przezornie siedział u nas w szpitalu, zabrali ks. kan. Masłowskiego i pojechali z nim i burmistrzem w kierunku na Zwierzyniec. Niektórzy powracający ze Zwierzyńca twierdzili, że widzieli obydwóch wraz z gestapowcami koło baraków, a nawet jak wprowadzano już księdza za druty. Od burmistrza nie było żadnej wiadomości. Pod wieczór

zaniepokojona burmistrzowa pojechała w towarzystwie popa do Zwierzyńca. Tam powiedziano im, że nikogo nowego ze Szczebrzeszyna dziś nie przywożono i o żadnym burmistrzu Krausem nic nie wiedzą.

7 lipca

Godz. 10 rano

Dotychczas o burmistrzu żadnej wieści. Na posterunku żandarmerii też nic o nim nie wiedzą i nie mogą się nic nigdzie dowiedzieć. Dla miasta jest to, oczywiście, nie lada sensacja, wszyscy o tym tylko mówią. Nie wątpię jednak, że nic mu się złego nie stanie, bo kruk krukowi oka nie wykole. Ale wszystko to wygląda jakoś dziwnie i tajemniczo. Po co potrzebni byli gestapowcom księża? Gdyby chcieli ich aresztować, to wzięliby od razu i nie kazali przychodzić na jakąś konferencję. Może wszystko wzięłoby inny obrót, gdyby nie ucieczka ks. Kowalczyka?

Godz. 10 wieczór

Coraz większą sensacją staje się aresztowanie burmistrza. Siedzi za drutami w Zwierzyńcu, nie pozwolono nawet podać mu żadnej paczki z jedzeniem.

Ruch na szosie wybitnie zmalał. Sztab z pałacu w Klemensowie wyjechał. Oddziały przeprowadzające akcje przesunęły się na Janów.

Był dziś u mnie dr Bieńkowski z Zamościa. Mówi, że za drutami siedzi tam około 12.000 ludzi.

Ciężkie wrażenie na ludności wywarła niespodziewana śmierć generała Sikorskiego.

8 lipca

Wczoraj przed północą Niemcy (niektórzy twierdzą, że gestapowiec Majewski z Biłgoraja) zastrzelili niejaką Chrzanową, starszą już kobietę, znaną z niepowściągliwego pyskowania. Uważano ją za konfidentkę i jej przypisywano zgubę kilku ludzi. Ostatnio wygadywała różne historie o tych, których żandarmi przechowywali u siebie w czasie akcji w Szczebrzeszynie. W końcu i żandarmi mieli jej już dość.

Burmistrz w dalszym ciągu siedzi w Zwierzyńcu za drutami. Wszelkie starania i interwencje pozostają na razie bez skutku.

W Zwierzyńcu gestapowcy zajęli dom, w którym mieściło się nadleśnictwo państwowe i mieszkał inż. Pruszkowski, naprzeciw szpitala. Urządzili tu swoje biuro, gdzie prowadzą dochodzenia, katując ludzi w straszliwy sposób. Dziś widziano, jak wynoszono na noszach okrwawionego Postulskiego.

Księża pozostali w Szczebrzeszynie na wolności, ks. Kapalski i ks. Przysucha, ukrywają się, jednak dziś raniutko nabożeństwo po cichu odprawili. Po ks. Kowalczyku i śladu nie ma, zaś ks. Masłowski — jak się zdaje — bezpowrotnie ugrzązł w obozie zwierzynieckim.

10 lipca

Godz. 9 wiecz.

Nie wiem jak przystąpić dziś do pisania. Obawiam się, a właściwie jestem pewien, że moje pióro jest zbyt nieudolne, ażeby mogło wiernie i dokładnie odtworzyć przeżycia dzisiejszego dnia.

Przed godz. 6 rano zaczęto bębnić na mieście. Zorientowaliśmy się, że musi być coś ważnego, jeżeli o tak wczesnej porze podają coś do publicznej wiadomości. Okazało się, że wszyscy bez wyjątku mieszkańcy, niezależnie od płci i wieku, mają niezwłocznie stawić się na rynku, gotowi do drogi. W jednej chwili ulice opustoszały. Ludzie rzucili się do domów, nie wiedząc właściwie co robić: uciekać, chować się, czy iść. Rzeczy prawie wszyscy mieli już przygotowane w tobołkach, koszach i walizkach, ponieważ od kilku dni wciąż mówiło się o możliwości wysiedlenia. Naprędce ubrałem się i poszedłem na posterunek żandarmerii. Na schodach oprócz miejscowych żandarmów z leutnantem na czele stali już Niemcy (gestapowcy?) prowadzący całą akcję. Zwróciłem się do leutnanta z zapytaniem, co mam robić z chorymi i z całym personelem szpitalnym. Leutnant porozumiał się z Niemcami przyjezdnymi i oświadczył mi, że mamy wszyscy pozostać na miejscu i nigdzie się nie ruszać.

Pośpieszyłem z tą wiadomością do szpitala. Tu wszyscy już byli na nogach, pełni niepokoju i niepewności o dalszy los. Uspokoiłem personel i służbę, kazałem wszystkim przystąpić do normalnej pracy, obszedłem sale chorych upewniając, że nic nikomu nie grozi.

Tymczasem ludzie zaczęli powoli wychodzić z domów i leniwie wlec się na rynek, dźwigając mniejsze i większe toboły. Kazałem zamknąć drzwi wejściowe i postawiłem przy nich stróża, wiedząc z doświadczenia, że zaraz zaczną cisnąć się chorzy i zdrowi, aby ich przyjąć i przechować. I rzeczywiście, ludzie, zobaczywszy, że ze szpitala nikt nie wychodzi, rzucili się ku drzwiom wejściowym, starając się schronić na naszym terenie, uważanym — poza posterunkami żandarmerii — za najbezpieczniejsze miejsce. Pomimo najszczerszych chęci ratowania jak największej liczby ludzi, nie mogłem wpuścić wszystkich, żeby nie narażać szpitala i całego personelu, bo za przechowywanie zdrowych ludzi, nie zatrudnionych w szpitalu groziła wielka odpowiedzialność. Dobrze pamiętałem, jak w czasie likwidowania Żydów przyszli gestapowcy sprawdzić, czyśmy ich nie ukryli i w jaki sposób mi grozili. Wpuściłem więc przede wszystkim rodziny pracowników szpitalnych. Zaroiło się od dzieci dra Jentysa, akuszerek i in., następnie wpuściłem dzieci chorych leżących w szpitalu. Przyjąłem parę kobiet do porodu, kilku pozwoliłem przesiedzieć w poczekalni, w stosunku do innych musiałem być bezwzględny. Ile mnie to kosztowało, to tylko mnie jednemu wiadomo... Robiłem to jednak w głębokim przekonaniu, że nie wolno mi narażać powierzonej mi instytucji i że tylko tym sposobem może uda mi się uratować tych stu kilkudziesięciu ludzi, których miałem na swoim terenie.

Pomimo wszystko nie czuliśmy się bezpiecznie. Żona z synkiem na wszelki wypadek ubrali się jak do drogi, zabrali do toreb najniezbędniejsze rzeczy i trwali w pogotowiu.

A ludzie coraz większymi grupami z różnych stron ciągnęli na rynek. Żołnierzy i żandarmów stosunkowo było bardzo mało. Cała akcja odby-

wała się na ogół spokojnie. Tylko niektórzy obcy żandarmi popychali i bili gumowymi pałkami. Bezstronnie muszę oddać sprawiedliwość, że „nasi" (szczebrzescy) żandarmi zachowywali się nadzwyczaj poprawnie i okazywali mieszkańcom dużo życzliwości. Bardzo wielu ludzi ukrywali w obrębie posterunku, następnie starali się zwalniać kogo tylko się dało. To jest powszechne zdanie. Po paru godzinach większość mieszkańców naszego miasteczka stała już na rynku. Inteligencja z małymi wyjątkami stawiła się niemal w komplecie. Z lekarzy wyszli dr Warchałowska z mężem i dr Spoz z rodziną, poza tym dentyści, cała apteka, urzędnicy magistratu, pracownicy spółdzielni itp. Zaczęto zgromadzonych legitymować, segregować i stopniowo puszczać do domów. Zwolniono wszystkich zatrudnionych w urzędach, spółdzielniach, w cukrowni, w fabryce „Alwa", na lotnisku, lekarzy, dentystów, rzemieślników itd. wraz z członkami rodzin. Do Zwierzyńca wywieziono kilkanaście dużych autokarów z ludźmi nie mającymi kart pracy, a więc gospodarzy, mieszczan, sklepikarzy, bezrobotnych wraz z rodzinami. Ile wywieziono z samego miasta trudno jest powiedzieć. Nawet burmistrz nie mógł mi podać ich liczby, chociażby w przybliżeniu. Prawdopodobnie około 300 do 400 osób. Bardzo dużo gospodarzy wzięto z Przedmieścia Zamojskiego. Wszyscy Ukraińcy pozostali na miejscu. Pod wieczór niespodziewanie jedna ciężarówka przywiozła z powrotem do Szczebrzeszyna kilkanaście osób. Byli to robotnicy „Alwy" z rodzinami, których zwolniono zawdzięczając interwencji Treuhändera Beckera.

Jaki był nastrój w mieście — łatwo sobie wyobrazić. Jednak pomimo brutalności niemieckiej, pomimo potwornej treści takiego gwałtu nad ludnością miasteczka, cała akcja odbyła się naprawdę dziwnie spokojnie i bez hałasu. Ludzie z rezygnacją poddali się losowi. Pewna tylko część mieszkańców ukryła się gdzie mogła, bezwzględna zaś większość wyszła na plac przed posterunkiem żandarmerii.

Już od wczesnego ranka ukazali się na ulicach miasta nowi ludzie — mężczyźni ubrani po cywilnemu z karabinami na ramieniu i kobiety z dziećmi, mówiący po niemiecku. Rozglądali się ciekawie dookoła, przypatrywali się lepszym domom. W ciągu dnia przybywało ich coraz więcej. Większa grupa takich nasiedleńców do samego wieczora stała na rogu szosy koło szpitala. Niektórzy z nich mówili między sobą po polsku. Co za jedni — nie wiemy. W końcu zabrano ich i gdzieś poprowadzono.

Przeżyliśmy nad wyraz ciężki dzień. Ludzie są do cna przekonani, że to jeszcze nie koniec, że akcja będzie trwała w dalszym ciągu, że będą nas jeszcze wysiedlać, wyrzucać z mieszkań itd. I właściwie nie ma żadnego wyjścia, bo wszędzie dookoła dzieje się to samo. Do Warszawy dostać się nie można. Zresztą tam nie wolno zameldowywać nowo przybywających. Bez meldunku zaś nikt nikogo nie zechce trzymać ze względu na dużą odpowiedzialność. Pozostaje więc jedynie droga „do lasu". Lecz tam mogą iść tylko mężczyźni w pełni swych sił fizycznych.

11 lipca

Ludzie spędzili noc nie bardzo pewni spokoju. Wczoraj do późnego wieczora wynoszono walizy, kosze itp., zwłaszcza z lepszych mieszkań. Dziś od rana to samo. Bardzo dużo rzeczy wziąłem na przechowanie

w szpitalu. Zaczęła już działać komisja mieszkaniowa. Niektóre domy pozajmowano, wiele innych też mają zabrać. Dzisiaj to już i my przygotowaliśmy na wszelki wypadek parę walizek do drogi z najważniejszymi i najpotrzebniejszymi rzeczami. Ja do swojej walizki włożyłem teczkę ze wszystkimi moimi drukowanymi pracami naukowymi po jednym egzemplarzu. Niestety, rękopisów nie mógłbym zabrać ze sobą, ze względu na bezpieczeństwo.

Dookoła wysiedlono wczoraj kilka wsi, a więc Bodaczów, Deszkowice, Rozłopy, Sułów, Kolonię Sułowską i in. Na miejscu zostawiono tylko nielicznych mieszkańców, w pierwszym rzędzie pracowników cukrowni. Jak słyszałem, dziś odbywa się podobna akcja w okolicach Turobina, w pow. krasnostawskim. Trudno jest w danej chwili objąć ogrom klęski, jaką sprowadza na Zamojszczyznę zbrodnicza akcja wysiedlania. I to w okresie żniw i sianokosów.

Chłopów z wymienionych osiedli wywożą do innych, niezbyt nawet odległych wsi, np. z Rozłop do Gorajca itp. Do Zwierzyńca kierują głównie ludzi z tych wiosek, które rzekomo miały kontakt z „bandytami". Obywateli Szczebrzeszyna osadzono za drutami w Zwierzyńcu dlatego, że Szczebrzeszyn, podobno, ma w oczach Niemców opinię miasteczka o sympatiach komunistycznych. W Zwierzyńcu wciąż trwają badania aresztowanych, w dniu 1. VII, przy stosowaniu okrutnych męczarni. Nie wytrzymał tego katowania Stanisław Węgierski, ostatnio nauczyciel, a poprzednio kierownik szkoły powszechnej w Szczebrzeszynie, człowiek już starszy i schorowany. Przed paru dniami umarł — jak mówią — podczas badania.

Godz. 10 wieczór

Około 5 po południu wszczął się w mieście nowy popłoch; zaczęto usuwać niektórych ludzi z mieszkań. Jednemu z pierwszych kazano opuścić dom dr Jóźwiakowskiemu z rodziną. Pozwolono mu zabrać urządzenie gabinetu lekarskiego i część rzeczy, polecono natomiast zostawić meble, 4 łóżka i pościel na 4 osoby. Zarekwirowano kilka domów przy ul. Zamojskiej. Jutro ma się odbywać w dalszym ciągu usuwanie z mieszkań. Do szpitala znów zwieziono kufry, toboły itp.

Po południu przybyło do miasta dużo furmanek naładowanych różnym dorobkiem, z uwiązanymi krowami itd. Są to nowi nasiedleńcy skierowani na nasz teren. Niektórzy pochodzą z okolic Tomaszowa, ze wsi Sabaudii.

Wszystkie te wydarzenia i przejścia fatalnie wpływają na ludzi i na ich zdolność do pracy. Trudno utrzymać wszystkich w karności i posłuszeństwie oraz zmusić do wykonywania zwykłej pracy. Zwłaszcza tych, którzy mają za drutami kogoś z rodziny. Przysparza to kłopotów administracyjnych. Dziś np. zaszedł taki wypadek: gospodarz szpitala pojechał do Zwierzyńca starać się o zwolnienie dwóch dziewczyn, które na dniówkę pracowały u nas w polu i wpadły w ręce Niemców z własnej winy, bo nie chciały zostać na terenie szpitala. Niespokojne o swoje rodziny poszły do domu i tam je złapano. Z gospodarzem zabrała się do Zwierzyńca jedna z naszych posługaczek, której oboje rodzice siedzą uwięzieni w barakach zwierzynieckich. Tam, chcąc koniecznie zobaczyć rodziców i coś im przerzucić przez druty (podawać paczek nie wolno),

tak się pchała, że w końcu schwytano ją i również wsadzono do jednego z baraków.

Wyczerpany i fizycznie i psychicznie położyłem się wreszcie do łóżka. Bezładne myśli trudno mi jest zebrać w jedną całość. Zmuszam siebie, żeby chociaż najważniejsze wydarzenia dnia zanotować w swym pamiętniku. Robię to z głęboko zakorzenionej u mnie „żyłki historyka", z przekonania, że te rzeczy nie mogą pójść w zapomnienie, że muszą być przekazane przyszłym pokoleniom w całej swej nagiej, brutalnej rzeczywistości.

W gruncie rzeczy nic mi się nie chce, chwilami wszystko mi dziwnie obojętnieje, myślę o wyzwoleniu, jakie przyniesie śmierć, lecz w tym samym momencie bierze mnie w posiadanie błogie uczucie zadowolenia z możności wyciągnięcia się wygodnie na własnym łóżku. Czytam „Żywoty męczenników" Duhamela. Zanotowuję w pamięci jedno zdanie: „...obcowanie ze śmiercią, nadające wartość życiu, niekiedy wywołuje wstręt do życia, a częściej jeszcze — znużenie". To właśnie uczucie wielkiego znużenia stale ogarnia mnie teraz pod koniec każdego dnia.

12 lipca

Godz. 7 rano

Noc przespałem znakomicie, jestem wypoczęty, wstaję z poczuciem swej zwykłej żywotności, energii oraz zdecydowanej chęci wytrwania i przetrzymania wszystkiego co nas jeszcze czeka.

Godz. 10 wieczór

Działała komisja mieszkaniowa, rozlokowując nowych obywateli miasta. W samym mieście jest ich jeszcze stosunkowo niedużo, znacznie więcej na Przedmieściu. Zabierają różne rzeczy, nawet z furmanek, gdy ludzie przewożą swe mienie do innego mieszkania. Część tych rzeczy składają w kościele parafialnym. Złoszczą się, że prawie nigdzie nie ma pierzyn.

Rzuca się w oczy zjawisko o zasadniczym znaczeniu. Mianowicie koło dzisiejszej cerkwi (przed wojną kościół Św. Katarzyny obok szpitala) od rana można widzieć dużo ludzi z przewagą kobiet i dzieci. To chłopi, np. z Błonia i innych nie wysiedlonych jeszcze wsi, masowo przechodzą na prawosławie. Ponieważ Ukraińców i prawosławnych w naszej okolicy nie usuwano, więc chcą oni tym sposobem zabezpieczyć się przed wysiedleniem. Mówił mi dzisiaj ks. dziekan Szepietowski ze Zwierzyńca, że to jest objaw powszechny i wymienił szereg wsi w pow. biłgorajskim, gdzie cała ludność zmieniła wyznanie, zapisując się równocześnie na Ukraińców. m. in. w Kosobudach, w których ksiądz katolicki nie ma już właściwie co robić. Te objawy nadspodziewanie małego przywiązania do wyznawanej religii są wielce zastanawiające. Mimo woli nasuwa się porównanie z tak stosunkowo niedawnym okresem prześladowania unitów przez Rosjan i twarda postawa większości chłopów wobec przymusowego nawracania na prawosławie. Trudno to wszystko pogodzić z objawami wybitnie wzmożonego życia religijnego w latach wojny, kiedy to ludzie tak tłum-

nie cisnęli się na nabożeństwa do kościołów, że te nie mogły pomieścić wszystkich „wiernych". Z tego widać na jak kruchych i wiotkich podstawach oparte są wśród wielu naszych chłopów uczucia religijne i przywiązanie do kościoła katolickiego. Można to traktować jako jeden z objawów silniejszego niż zwykle działania instynktu samozachowawczego, panicznego strachu przed okrucieństwem Niemców, jak również ogólnej depprawacji, spowodowanej przez warunki obecnej wojny. Postaram się o dane cyfrowe, które by zilustrowały to, co piszę.

Pomimo ciężkich przeżyć i silnych wrażeń, ogólny nastrój wśród ludności dzisiaj nieco się poprawił. Wpłynęła na to wiadomość, że wojska alianckie wkroczyły już do Sycylii i że na froncie wschodnim znów toczą się bardzo ciężkie walki, a więc działania wojenne nie utknęły na martwym punkcie i dzieje się na świecie coś takiego, co przyśpieszy ostateczną, niechybną klęskę naszych śmiertelnych wrogów.

13 lipca

Umarł w Zwierzyńcu za drutami Menderski, murarz ze Szczebrzeszyna. Zmarła też Barbara Waszczuk, staruszka bez mała 80-letnia, dawna gospodyni ks. Wadowskiego, sparaliżowana, którą jednak Niemcy zabrali i razem z innymi wywieźli do obozu w Zwierzyńcu. Część ludzi ze Szczebrzeszyna przewieziono dzisiaj ze Zwierzyńca do obozu w Zamościu.

14 lipca

Wciąż jeszcze urządzają się niemieccy nasiedleńcy. Na Przedmieściu jest już nowy sołtys. W mieście też mają być jakieś zmiany w administracji.

Ciekawe historie dzieją się z przechodzeniem na prawosławie. Dotychczas 552 osoby zgłosiły chęć zmiany wyznania. Naraz ten owczy pęd ustał, a nawet niektórzy starają się wycofać swoje zgłoszenia. A to dlatego, że — jak się okazało — owe metamorfozy religijno-narodowościowe wcale nie zabezpieczają przed wysiedleniem, lecz mogą spowodować przesiedlenie gdzieś na wschód za Bug, na tereny czysto ukraińskie. Odstraszająco podziałał przykład wsi Soli pod Biłgorajem. Tam większość ludzi zapisała się na Volksdeutschów, młodzież poszła zaraz do wojska w przekonaniu, że dzięki temu nie ruszą ich rodzin. Tymczasem przed paru dniami niespodziewanie cała wieś została wysiedlona.

Przed wieczorem nieoczekiwanie powróciło do domu 22 mężczyzn zwolnionych zza drutów w Zwierzyńcu. Wszyscy oni zabrani byli 1. VII. Wypuszczono ich z tym, że mają natychmiast zgłosić się do pracy na lotnisku. Ponieważ było już późno, nikogo z nich nie widziałem i z nikim nie rozmawiałem.

15 lipca

Miejscowe wieści i nastrój niewesołe. Widziałem jednego z wypuszczonych wczoraj. Całe pośladki ma twarde i koloru dojrzałej śliwki wę-

gierki, tak był zbity na badaniu przeprowadzonym na parę godzin przed zwolnieniem.

Rozmawiałem z burmistrzem. Szczebrzeszyn zasadniczo i teoretycznie został wysiedlony. Będą go teraz zamieszkiwać nowi ludzie. Wszystko stopniowo będzie przechodzić w ręce niemieckie. Zarząd miasta będzie zmieniony. Właściwie Szczebrzeszyn przestał być już miastem. W oficjalnych pismach figuruje „Dorf Szczebrzeszyn, Kreis Zamosc". Mamy z powrotem być włączeni do powiatu zamojskiego. Polacy będą tolerowani tylko jako pracownicy zatrudnieni w instytucjach i fabrykach potrzebnych Niemcom. Wszyscy więc jesteśmy bardzo niepewni swoich stanowisk, a równocześnie tak skrępowani, że nie możemy ruszyć się z miejsca i wyjechać tam, gdziebyśmy chcieli.

16 lipca

W mieście nastąpiło wyraźne odprężenie. Ludzie nieco się uspokoili. Rozlepiono ogłoszenie podpisane przez zastępcę burmistrza, że „akcja wysiedlania została zakończona", wobec czego wzywa się ludność do przystąpienia do swych zwykłych zajęć i do racjonalnego prowadzenia gospodarstwa. Kto będzie zaniedbywał swe gospodarstwo, zostanie wysłany do obozu. Co prawda gospodarowanie jest niezmiernie trudne, o czym przekonałem się na naszym polu szpitalnym. Nasiedleńcy zabierają z pola wszystko co się da — w danej chwili koniczynę — nie tylko w nocy, lecz w biały dzień, wprost spod rąk kosiarzy i gospodarza pilnującego robotników. Jesteśmy zupełnie bezradni i tylko złość bierze, że cała praca idzie na marne bez przewidywanej korzyści dla szpitala.

W Mokrem Lipiu zatrzymano ks. Przysuchę, który ukrywał się tam po ucieczce ks. Kowalczyka. Skutego powieźli go do Zamościa.

Dziś znów wróciło trochę ludzi, przeważnie kobiet, zwolnionych z obozu w Zamościu.

17 lipca

Jednak życie wraca do normy. Ludzie zabierają się do zaniedbanej pracy i starają się odrobić stracony czas. W „Nowym Głosie Lubelskim" ukazała się odezwa „Do Społeczeństwa Polskiego", podpisana przez „Wyższego dowódcę SS i Policji na Okręg Lubelski". Jest w niej mowa o konieczności przeprowadzenia radykalnej „likwidacji band bolszewickich" i w związku z tym „ewakuacji pewnych miejscowości, leżących w rejonach, gdzie grasują bandy". „Pacyfikacja kraju" będzie prowadzona nadal i dlatego „władze administracyjne wzywają wszystkich, którzy dotychczas uchylali się od zarządzeń, aby wrócili do swych rodzin" zapewniając powracającym dobrowolnie „całkowitą niekaralność". Osoby, które nie zgłoszą się do dnia 31. VII. będą uważane za członków „band bolszewickich". Odezwę tę przepisano w magistracie na maszynie i rozlepiono na mieście.

18 lipca

Na mieście pusto, chociażby dlatego, że kościół jest nieczynny. Stoi nadal zamknięty, a i księdza żadnego w mieście nie ma. Niemcy zabrali z kościoła ornaty, kielichy, monstrancje itp. zapewne do zniszczonych kościołów w Niemczech, a może i w innym celu.

Dziś rano przyszedł do szpitala żandarm zapytując, czy mamy odpowiednie pomieszczenie, gdzieby w razie niebezpieczeństwa nalotu można było ukryć narzędzia chirurgiczne, lekarstwa i inne cenniejsze rzeczy szpitalne. Pokazał mi przy tym okólne pismo, jakie posterunek otrzymał w tej sprawie. Dawno już nie było zainteresowania się Niemców w tym kierunku. Widocznie możliwość nalotów jest brana w rachubę, troska zaś o dobro szpitala wyraźnie wypływa z potrzeby dbania o własne interesy.

19 lipca

Wznowiono działalność, tzn. wezwano, ażeby były w pogotowiu drużyny przeciwlotnicze, pożarowe, sanitarne itd. Wydano zarządzenie, żeby co tydzień ogłaszać w mieście godziny, w których muszą być zaciemnione okna.

Z baraków zwierzynieckich wypuszczono Cichockiego, jednego z 11 „piętnowanych".

21 lipca

Wczoraj przyjechało do Szczebrzeszyna dużo żandarmów. Pozajmowali pokoje w prywatnych mieszkaniach, nawet w aptece zabrali całe piętro z pełnym urządzeniem. Zwrócono za to mieszkanie wraz z umeblowaniem dr Jóźwiakowskiego, ale to na skutek odpowiedniej interwencji plenipotenta O. Z. — Niemca Bünscha.

Dziś rano wywieziono w okolice Tarnogrodu wszystkich Ukraińców zamieszkałych w Szczebrzeszynie i w sąsiednich wioskach. Odbywało się to jednak inaczej, aniżeli z Polakami, bo każdej rodzinie wyznaczono furmankę i można było zabrać tyle rzeczy, ile kto na niej zmieścił. Tak dalece nie robiono wyjątków, że nawet dwie moje posługaczki szpitalne musiały wyjechać. Wszelkie moje zabiegi i starania, żeby je zatrzymać nie odniosły skutku. Dziś rano przyjechało jeszcze więcej żandarmów. Podobno organizują jakąś obławę, bo w ostatnich dniach znów było kilka napadów: w Tereszpolu ograbiono sklep spółdzielczy i raniono Niemca, w Żurawnicy zabrano krowy, w Kawenczynie jałówki, w Zawadzie ubiegłej nocy, podobno, zabito 3 Armeńczyków i 2 Niemców itd. Słowem, jak widać, cała dotychczasowa akcja niemiecka nie dała spodziewanych rezultatów. Ludność pozostała w Szczebrzeszynie nie czuje się dość pewna. Wszyscy sądzą, że po pewnym czasie znów zaczną się jakieś przesiedlania, aresztowania lub coś podobnego.

23 lipca

W poniedziałek 19. VII. zabici zostali: burmistrz m. Żółkiewki, Ukrainiec i wójt osady Turobin Polski, Fik. Na jadących samochodem rzucono dwa granaty. Fik padł ofiarą przypadkowo. Miał opinię bardzo dobrą. Wójtostwo było mu narzucone przed paru miesiącami. Natomiast ów Ukrainiec był już od dawna na oku, tylko zawsze szczęśliwie wychodził z opresji.

Na mieście rozlepiono ogłoszenie, że żony przebywających za drutami w Zamościu mają obowiązkowo zgłosić się same, żeby połączyć się ze swoimi mężami. Zapewne wyślą ich gdzieś razem.

Dziś magistrat przeprowadza — od początku wojny już nawet nie wiem, po raz który — nowy spis wszystkich mieszkańców Szczebrzeszyna.

26 lipca

Wczoraj po południu — nie wiadomo z jakiego źródła — rozeszła się po mieście wieść, że Niemcy znów mają wysiedlać ze Szczebrzeszyna pozostałych Polaków. Ludzie zaczęli się pakować, chować rzeczy w bezpieczniejszych miejscach, a nawet wielu w ogóle wyszło z miasta na wieś. Popłoch był silny. Ale szczęśliwie doczekaliśmy się ranka. W nocy spokój zakłócili tylko pijani żandarmi i policjanci, krzycząc i kłócąc się między sobą.

A dzisiaj w rannych godzinach szybko rozeszła się podawana z ust do ust wieść o ustąpieniu Mussoliniego. Każdy rozumie, że jest to wydarzenie pierwszorzędnej wagi, jako zwiastun zbliżającego się końca. Ludzie nie mogą ukryć swego zadowolenia, o czym świadczą rozjaśnione twarze przechodniów.

27 lipca

Dziś rano przyjechał na inspekcję do szpitala Amtarzt z Zamościa, ubrany po cywilnemu, z karabinem na ramieniu. Towarzyszyło mu 2 żołnierzy. Obejrzał dokładnie szpital, powiedział, że mamy przyjmować Niemców i przygotować dla nich 2 osobne sale, nie przestrzegając zresztą zbyt ściśle odgraniczenia od chorych Polaków ze względu na przepełnienie szpitala. Musimy też mieć oddzielny pokój dla kobiet, chorych wenerycznie.

Po południu obębniono na mieście, że jutro na godz. 7 rano mają stawić się pod „Arbeitsamtem" wszyscy mieszkańcy miasta od 14 do 60 lat z wyjątkiem zatrudnionych na lotnisku. W wyniku moich starań pracownicy szpitalni nie będą musieli iść tam osobiście, tylko intendent przedstawi zbiorową listę personelu i służby. Wyjaśniono mi przy tym, że tu chodzi o wyłowienie ludzi zdolnych do pracy na roli, żeby zatrudnić ich zaraz przy żniwach. Oczywiście miasto było zaniepokojone, węsząc jakąś nową niemiecką kombinację.

Z Biłgoraja nadeszła sensacyjna wiadomość, że wczoraj zabici zostali: biłgorajski Kreishauptmann Adam i biłgorajski Kreislandwirt Geier. Jechali samochodem z Lublina i gdzieś koło Kraśnika dokonano na nich napadu. Zginął przy tym i mój były szofer Leon Brutt, który w czasie wojny teraz był szoferem u starosty. Kreishauptmann Adam cieszył się stosunkowo dość dobrą opinią i podobno energicznie protestował przeciwko wysiedlaniu a zwłaszcza znęcaniu się nad bezbronną ludnością w swoim powiecie.

28 lipca

Dowiedziałem się o istnieniu w Zamościu dwóch „sympatycznych i kulturalnych" instytucji. Mianowicie, przysłano nam do szpitala dwie prostytutki: jedną z odpowiednim pismem „aus Armenienbordel in Zamosc" i drugą „aus Wermachtbordel in Zamosc". W Szczebrzeszynie podobnych zakładów nie ma, ale Armeńczycy jakoś dają sobie radę korzystając z uprzejmości tzw. po rosyjsku „czestnych dawałok".

29 lipca

Wojskowym Niemcom stacjonującym obecnie w Szczebrzeszynie wydano surowy zakaz przebywania na ulicach po godz. 9 wiecz. Nie wolno też chodzić im w pojedynkę, lecz zawsze po dwóch. Oficer niemiecki, zapytany co spowodowało wydanie takiego zarządzenia, wyjaśnił mi, że nie może na to dać odpowiedzi, dodając, że na naszym terenie ciągle grozi im niebezpieczeństwo.

31 lipca

Onegdaj wysadzono pociąg między Suścem a Krasnobrodem. Wczoraj po południu wysadzono pociąg kolejki wąskotorowej koło Bukowicy, przy czym zginęło 10 Armeńczyków i 2 Niemców.

Wczoraj w Biłgoraju odbył się bardzo uroczysty pogrzeb Kreishauptmanna Adama, Kreislandwirta Geiera i jednego oficera żandarmerii. W starostwie zupełny chaos. Już sami urzędnicy nazywają swój urząd „Kreisbałaganschaft".

1 sierpnia

Jeździłem do Zwierzyńca. Widziałem na własne oczy potworną ludzką nędzę i niedolę. Szosą koło baraków mogą przejeżdżać tylko smochody, furmanki muszą objeżdżać po drugiej stronie, brzegiem lasu. Za drutami snują się wynędzniałe postacie ludzkie, kilka osób kłaniało mi się i machało ręką, lecz z daleka nie mogłem ich poznać, zwłaszcza że z tej strony słońce świeciło prosto w oczy. Zresztą kłanianie się jest niebezpieczne. Jest to wzbronione i wartownicy niemieccy strzelają lub chwytają za druty, a uwięzionych biją pałkami. W aptece spotkałem

dawnego dobrego znajomego Smutka, nauczyciela szkoły powszechnej. Wysiedlili go z Tarnogrodu z żoną i córką i internowali w Zwierzyńcu w barakach „za drutami". Tu udało mu się dostać do tzw. szpitala obozowego. Obecnie jest nawet jego kierownikiem. Wypuszczają go samego bez wartownika do apteki po lekarstwa. Wygląda okropnie. Brudny, wynędzniały, chociaż warunki ma znacznie lepsze od innych, bo może pożywić się, gdy wyjdzie poza druty.

Ale największe wrażenie, z którego nie mogę się otrząsnąć, sprawiły na mnie dzieci w szpitalu ordynackim. Było ich tu dzisiaj około 40, najwyżej w wieku do 5 lat. Chorują przeważnie na czerwonkę i odrę. W małych, naprędce skleconych drewnianych łóżeczkach leżą po dwoje, wyniszczone i wychudzone tak, że podobne są raczej do trupków. Niektóre, zdrowsze, leżą w cieniu na podwórzu, na trawie. Resztę dzieci umieszczono w ochronce ordynackiej. Wszystkich ich udało się zabrać z obozu 214, lecz tylko do lat 5. Główną opiekę nad nimi objęła młoda ordynatowa. Bardzo dużo pań i panien zwierzynieckich po kilka godzin dziennie pełni tu dyżury, gorliwie zajmując się tymi nieszczęsnymi ofiarami niemieckiego barbarzyństwa. Karmią je, myją, niemowlęta noszą na rękach. Chciałem parę dzieci wziąć do siebie, lecz Niemcy nie zgadzają się na wywożenie ich poza Zwierzyniec.

Gdy patrzyłem na te półtrupki dziecięce, mimo woli przypominał mi się Katyń. Dziś za drutami w Zwierzyńcu było około 3.000 ludzi, — z tego część aresztowanych, część zaś tylko „przesiedlonych". Wczoraj wywieźli do Lublina dużo mężczyzn.

Lecz równocześnie widać, że Niemcy nie czują się tu nazbyt pewnie. W barakach i na posterunku żandarmerii czynią różne przygotowania do obrony w razie jakiegoś napadu, układając worki z piaskiem itp.

A w lasach też trwają odpowiednie przygotowania do zbliżającej się chwili ostatecznej rozgrywki i czynnego wystąpienia przeciwko Niemcom. Oczywiście akcja „oczyszczania Lubelszczyzny od bandytów" wprowadziła pewien zamęt, rozproszyła trochę ludzi, lecz z drugiej strony zasiliła młodszym elementem oddziały leśne. Można się spodziewać, że już w niedługim czasie nastąpią wydarzenia, które wstrząsną całym krajem. Wszystko zależy od sytuacji na frontach. Niemcy to doskonale czują. Są wyraźnie przygnębieni, nie chcą nic mówić i piją znacznie więcej niż zwykle.

2 sierpnia

W lasach pod Biłgorajem zabity został Forstinspektor Knisling (?) i jeszcze jeden Niemiec. Niestety, zginął przy tym i nadleśny Sikorski, Polak, jak mówią ludzie, bardzo porządny człowiek.

3 sierpnia

Byłem na posterunku żandarmerii u chorego. Zauważyłem siatki druciane — takie, jakich używa się do ogrodzeń — przyczepione do okna. Na moje zapytanie, do czego mają one służyć, wytłumaczono mi, że jest to zabezpieczenie od ręcznych granatów. Naturalnie o nic więcej nie pytałem...

7 sierpnia

Z obozu w Zwierzyńcu wywieziono do Zamościa i Lublina bardzo wielu aresztowanych i wysiedlonych. Dużo też osób wypuszczono na wolność. M. in. wrócili do Szczebrzeszyna aresztowani dnia 1. VII. i „piętnowani" na czole: Doleżał, Dworniczak i Amborski. Niektórzy figurują już jako Volksdeutsche i to, zdaje się, pomogło im w uzyskaniu zwolnienia. Do nich należy Amborski i Dworniczak.

Niemcy przystąpili do naprawy i budowy lotnisk w Mokrem i Łabuniach. Czynią to w wyjątkowo szybkim tempie. Oprócz robotników dostarczonych przez Urzędy Pracy biorą mężczyzn zza drutów. Wniosek stąd jest jasny: nadszedł czas przygotowywania baz lotniczych na bardzo głębokich tyłach wobec mocno niepewnej sytuacji na froncie wschodnim.

9 sierpnia

Kierownictwo nasiedlonych Niemców oświadczyło mi dzisiaj, że zabierają szpitalowi całe gospodarstwo rolne wraz z inwentarzem żywym i martwym. Urodzaj w tym roku mamy wyjątkowy, pozbawienie nas całego plonu wraz z końmi, krowami, świniami itd. byłoby dla szpitala kompletną ruiną gospodarczą. Jutro jadę w tej sprawie do starostwa do Biłgoraja. Nowi Niemcy rządzą się u nas coraz bezczelniej, zabierają sklepy polskie, wielu obywateli usunęli z mieszkań, przeznaczając je na hotele, restauracje i inne swoje potrzeby. Poznałem przy tej sposobności Hauptdorfführera leutnanta Maiera. Młody człowiek, bardzo pewny siebie, krzykliwy i typowo po niemiecku butny, mający za żonę jakąś wściekłą Niemkę, która rządzi się wszędzie jak szara gęś. Chodzi po domach prywatnych, zabiera wszystko co jej wpadnie w oczy, zagląda nawet do wnętrza szaf, bierze z nich co jej się podoba, poluje zwłaszcza na dywany i kilimy.

10 sierpnia

Jeździłem do Biłgoraja zaopatrzywszy się w kilka prezentów dla urzędników Niemców: parę krążków kiełbasy, parę butelek spirytusu. I wszystko załatwiłem bardzo pomyślnie. Nowy Kreislandwirt, któremu inspektor Furman (dostał kiełbasę i spirytus) odpowiednio przedstawił sprawę, wydał bez namysłu stanowczą decyzję, że szpitalowi nie wolno nic zabierać i wszystko ma pozostać tak jak jest.

W Biłgoraju nowego starosty jeszcze nie ma, na każdym kroku widać ogólne odprężenie. Nikt nic nie wie i boi się cokolwiek sam decydować. Na większości pism przeznaczonych do załatwienia figuruje napis „abwarten". Na stołach wyższych urzędników widziałem specjalne teczki z pismami „oczekującymi załatwienia".

W drodze powrotnej wstąpiłem do Zwierzyńca. Tam duży ruch. Szpital po brzegi przepełniony chorymi. Ostatecznie likwidują obóz internowanych, pozostawiając miejscowemu komitetowi RGO w spadku 150 cho-

rych. Znaczna ich część ma pozostać na miejscu, reszta będzie odesłana do szpitala w Biłgoraju i Szczebrzeszynie.

Dano mi do przeczytania okólnik rozesłany przez Zarząd Główny RGO do wszystkich oddziałów prowincjonalnych. Zawiera on szczegółowe sprawozdanie z przebiegu audiencji u GG Franka w Krakowie, na której przedstawiciele RGO z Ronikierem na czele przedstawili sprawę sławetnej pacyfikacji Lubelszczyzny. Oczom własnym nie wierzyłem czytając streszczenia przemówień niektórych członków rządu GG i samego Franka. Była w nich mowa o „błędach, które Niemcy w stosunku do Polaków dotychczas tak obficie popełniali" i o „niedorzecznościach" szefa policji lubelskiej Globotznika i o „fatalnych zarządzeniach", a na ostatku obietnica całkowitej zmiany metod rządzenia.

Powróciwszy do domu dowiedziałem się, że na jednej wsi w okolicach Szczebrzeszyna został zabity niejaki Stanisław Radwan Głuchowski, były obywatel ziemski, prowadzący na naszym terenie dział kontyngentu na bydło. Odznaczał się ogromnym wzrostem przy odpowiedniej tuszy, a przede wszystkim niezwykłą brutalnością w obchodzeniu się z chłopami, których wyzyskiwał z rzadko spotykaną bezwzględnością. Mając do zabrania kilka krów, wyznaczał do dostawy dziesięciokrotną ich liczbę i potem zwalniał, biorąc od chłopów łapówkę po 500 zł od krowy. Chłopi go nienawidzili.

11 sierpnia

Pod wieczór przywieziono do szpitala kilku chorych na czerwonkę z obozu w Zwierzyńcu. Stan i wygląd ich jest okropny. Zwłaszcza silne wrażenie robi para małżeńska Sieńków z Krasnobrodu. Ona ma lat 70, i jest niewidoma, on — 78. Oboje starają się resztkami sił opanować i nie pokazać swego krańcowego niedołęstwa wskutek wyczerpania.

Gdyśmy patrzyli na te nieszczęsne, najniewinniejsze ofiary opanowała nas taka bezgraniczna nienawiść do Niemców, że w danej chwili moglibyśmy z nich żywcem pasy drzeć, mścić się w nieludzki sposób. Jakże mocno wierzymy, że w szybkim tempie zbliża się chwila, w której nareszcie polskie ręce po łokcie zanurzą się w niemieckiej krwi — i nic się przez to nie splamią!

12 sierpnia

Wczoraj i dzisiaj bardzo dużo internowanych wróciło z obozów, głównie z Zamościa. Na ulicach od razu można ich poznać po wyglądzie zewnętrznym. Szara, ziemista cera, wychudzenie lub obrzęki, ociężałość ruchów — oto najbardziej charakterystyczne ich cechy.

13 sierpnia

Do szpitala przywieźli mi kilku chorych zwolnionych z obozów, między nimi i Feliksa Krukowskiego, szofera straży ogniowej w Szczebrzeszynie, aresztowanego dnia 1. VII. i piętnowanego wówczas na czole.

Przez cały czas był w obozie w Zwierzyńcu. Podczas badania bito go więcej niż innych. Obecny jego stan jest bardzo ciężki. Trudno wprost poznać tego dobrze zbudowanego i odżywionego 38-letniego mężczyznę. Żółty i sczerniały leży całkiem bezwładny na boku lub na brzuchu. Wskutek strasznego bicia wytworzył się na lewym pośladku ropień, zmartwiałe tkanki odpadły, odsłaniając mięśnie tuż przy kości i tworząc rany wielkości dużego talerza. „Kieszenie" i przetłoki rozchodzą się na całe udo. Trzeba jeszcze do tego dodać krańcowe wyniszczenie całego organizmu.

W Zwierzyńcu obóz zlikwidowano już ostatecznie. Nie ma już w nim ani jednego internowanego. Wszyscy oprawcy wyjechali. W Zamościu za drutami pozostało jeszcze około 600 ludzi. Wszystkich innych wypuszczono na wolność, przewieziono gdzieś dalej lub wzięto do robót na lotniskach.

Po ciężkich przejściach lipcowych miasteczko nasze jakoś powoli przychodzi do siebie. Bardzo dużo ludzi wróciło, inni poniekąd przystosowali się do zmienionych, wskutek przybycia nasiedlonych Niemców, warunków bytowania. A dobre wiadomości z frontów, jako też coraz gorsza sytuacja Niemców wewnątrz kraju, dodają ludziom otuchy i wiary w bliski już koniec wojny.

14 sierpnia

Dziś rano aresztowano w Brodach Małych Stanisławę Piłatównę, b. uczennicę tutejszego gimnazjum. Zachodzi obawa, że mogą aresztować jeszcze kilka jej koleżanek, które częściej ją odwiedzały.

18 sierpnia

Kilka dni przeszło u nas zupełnie spokojnie, bez ważniejszych wydarzeń, które warto byłoby zanotować. Wciąż wałkuje się sprawa ewentualnego przydzielenia Szczebrzeszyna z powrotem do pow. zamojskiego. Na mieście nieprzyjemne wrażenie robi stosunkowo duża liczba cywilnych Niemców, kobiet i dzieci, dla których zorganizowano już nawet na plebanii coś w rodzaju przedszkola.

Opowiadano mi, że dnia 15.VIII. w lesie, partyzanci uroczyście obchodzili Święto Żołnierza, z mszą polową itd.

W Tereszpolu Niemcy w zeszłym tygodniu zabili Czesława Jóźwiakowskiego — „Mosta", bardzo czynnego w konspiracji. Pochodził on ze Szczebrzeszyna, przed wojną był sierżantem zawodowym. Przed paru miesiącami zginął w Szczebrzeszynie również od kuli niemieckiej rodzony jego brat Zdzisław.

19 sierpnia

Przywieźli mi naraz 14 chorych na tyfus plamisty z Frampola. Wszyscy byli za drutami w Zwierzyńcu.

Był u nas ks. Masłowski, wypuszczony przed tygodniem z obozu w Zamościu, dokąd przewieźli go ze Zwierzyńca. Opowiadał nam o swoich

przejściach i z ubolewaniem wspominał o ludzkiej słabości i załamaniu się niektórych uwięzionych, np. o D. ze Szczebrzeszyna, którego całe zeznanie dokładnie słyszał poprzez cienką ściankę.

21 sierpnia

Ubiegłej nocy słyszano jakąś silną detonację od strony Zamościa. Podobno radziecki samolot zrzucił parę bomb na Hrubieszów. W związku z tym zaostrzono przepisy dotyczące zaciemniania okien.

22 sierpnia

Po południu przyjechał niespodziewanie zastępca Kreishauptmanna z Zamościa z Amtarztem, z Biłgoraja zaś lekarz powiatowy dr Snacki. Dokładnie oglądali szpital, a ów zamojski Leiter zapowiedział, że za parę dni przyjedzie znów dla oficjalnego, protokólarnego przejęcia szpitala. Tak więc wracamy do powiatu zamojskiego.

Jeździłem do Zwierzyńca. Z więzienia w Lublinie wrócił budowniczy ordynacki Rogowski. Dochodzą tu odgłosy trwającej już kilka dni bitwy z jakimś większym oddziałem radzieckim w okolicach Krzeszowa. Baraki za drutami stoją zupełnie puste. Ludzie snują domysły, jakie będzie ich dalsze przeznaczenie. Onegdaj jakaś większa grupa radziecka, licząca do 500 ludzi, o godz. 7 wieczór weszła do Tereszpola, zabierając niektórym chłopom krowy, świnie itp. Dowódcę tytułowano „towariszcz major". Wczoraj w dzień w tymże Tereszpolu jacyś dwaj cywile „z lasu" zabili agronoma wiejskiego, Swachę.

27 sierpnia

Miasto jest silnie poruszone następującym wydarzeniem. Dziś rano znaleziono w jednym z sadów przy ul. Zamojskiej 8-letniego Michasia Bugałę ze strzaskanym podudziem, nieprzytomnego, lecz jeszcze żywego. Przywieziono go do szpitala, gdzie w pół godziny potem zmarł. Rana była postrzałowa. Noga poniżej kolana — same strzępy. Chłopak wczoraj z wieczora zakradł się na jabłka do sadu, który obecnie należy do nasiedlonego kowala Niemca. I ten go właśnie postrzelił. Nieszczęśliwe dziecko przeleżało całą noc na dworze i skrwawiło się doszczętnie. A w dodatku dziś w nocy w ciągu 5 godzin panowała szalona burza z grzmotami, piorunami i ulewą, jakich dawno już u nas nie było. Nieludzki kowal o tym co zaszło nie zawiadomił nikogo. Zbrodnię jego nasi ludzie dobrze zapamiętają i w odpowiedniej chwili przypomną mu w należyty sposób.

Epidemia tyfusu plamistego rozszerza się w gwałtowny sposób. Dotychczas niemal wyłącznie wśród tych, którzy wrócili z obozów, lub wśród ich rodzin. Ogólna liczba chorych w szpitalu przekroczyła już 100, czego nie było od czasu epidemii w latach 1919—1921.

Dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że w Zamościu po badaniu w Gestapo, zmarł aresztowany tam przed kilkoma miesiącami Siedlecki, dawny intendent zamojskiego szpitala św. Mikołaja, ostatnio buchalter drukarni sejmikowej.

30 sierpnia

Mieliśmy dziś wypadek, który postawił nas w trochę kłopotliwej sytuacji. Pijany chłop z Kawenczyna przywiózł do szpitala na opatrunek młodego chłopaka, dowodząc, że zranił się on widłami. Rana w udo była jednak najwyraźniej postrzałowa. Udawałem, że wierzę, iż jest to rana od wideł. Chłop rannego nie chciał zostawić w szpitalu. Przy zapisywaniu do księgi ambulatoryjnej podał jakieś nazwisko fikcyjne. Tymczasem myśmy chłopaka od razu poznali, a zresztą on sam powiedział przy siostrach i służbie, że nazywa się Tadeusz Jóźwiakowski, lat 19, brat zabitych poprzednio Zdzisława i Czesława. Wszyscy też dobrze wiedzą, że bracia Józwiakowscy są w „bandzie". O każdym rannym lekarze pod surową odpowiedzialnością muszą natychmiast zawiadomić miejscową żandarmerię lub policję. Oczywiście tego nie zrobiłem. Jednak obawiam się, że ktoś ze służby może donieść żandarmerii i miałbym wówczas ogromną nieprzyjemność, a może nawet wsadzono by mnie do jakiegoś obozu,

31 sierpnia

Dziś odbył się uroczysty akt utworzenia nowej niemieckiej gminy Szczebrzeszyn i włączenia jej do powiatu zamojskiego. Od dziś Szczebrzeszyn nosi oficjalną nazwę: „Dorfgemeinde Szczebrzeszyn Kreis Zamosc". W skład jej wchodzi m. in. gmina Sułów, niektóre wsie gminy Zwierzyniec, a więc Brody Małe, Brody Duże, Kawenczyn, Kawenczynek itd. Ogółem oprócz Szczebrzeszyna, około 25 wsi. Burmistrzowi kazano przygotować przyjęcie na 150 osób. Magistrat od rana udekorowano trzema flagami hitlerowskimi. Po południu zjechali się przedstawiciele administracji niemieckiej z dwóch zainteresowanych powiatów tj. zamojskiego i biłgorajskiego, poza tym różni Dorfführerzy itp. Przyjęcie urządzono w sali kinowej Krzeszowskich. Ku naszemu wielkiemu zadowoleniu nikogo z Polaków nie proszono. Postaram się jednak dowiedzieć trochę szczegółów o przebiegu całej uroczystości. Dla Szczebrzeszyna jest to bądź co bądź epizod historyczny.

Kończy się czwarty rok wojny, zaczyna się piąty. Mimo woli robimy ogólny bilans tych strasznych 4 lat, wszystkich naszych nieszczęść i klęsk narodowych i osobistych, wszystkiego tego, cośmy przeżyli i przecierpieli. Każdy rok był inny. Z biegiem czasu i w miarę nasilania się śmiertelnej walki największych światowych potęg militarnych, wzmagał się u nas niemiecki terror.

Wielkim naszym szczęściem było to, żeśmy od samego początku wojny łudzili się, a nawet mocno wierzyli, że ona długo trwać nie może, że musi prędko się skończyć. Łatwiej nam było dzięki temu przeświadcze-

niu wszystko znosić. Gdyby w pierwszych miesiącach wojny było wiadome, że ta niewola i potworne, okropne niedole rozciągną się na całe lata i dosięgną takich rozmiarów, wielu ludzi załamałoby się od razu. Im bliżej końca wojny, tym jednak jest ciężej. Wszystko na to wskazuje, że ten koniec naprawdę jest już niedaleki. I narasta w narodzie żądza zemsty.

Trudno jest objąć ogrom naszego nieszczęścia. Niebywałe jest zniszczenie całego kraju, nie do obliczenia ofiary w ludziach. Mordowano przecież całe wsie, zwłaszcza na Lubelszczyźnie. Na prowincji wytępiono większość inteligencji. W takim np. Zamościu z przodującego dawniej pod względem społecznym elementu pozostało zaledwie kilkanaście osób. Wszyscy albo już nie żyją, albo w najlepszym razie rozproszyli się po całym kraju, zrujnowani materialnie, rozbici psychicznie. A iluż jeszcze męczy się i dogorywa w obozach i więzieniach.

Lecz choćby nie wiem jak wzmogły się represje niemieckie, to jednak całego naszego narodu nie wygubią. Odrodzi się on szybciej od innych. To przeświadczenie dodaje nam sił i ugruntowuje w nas potrzebę przetrwania, wytrzymania wszystkiego, nawet czegoś jeszcze gorszego i cięższego niż było dotychczas.

1 września

Jeździłem do Zamościa dla załatwienia spraw służbowych w związku z przyłączeniem Szczebrzeszyna do powiatu zamojskiego. Ostatni raz byłem tu w maju. Od tego czasu Zamość — i tak już nie do poznania — zmienił się jeszcze bardziej. Przerażająco wielka jest liczba Niemców, zwłaszcza cywilnych. Na ulicach pełno typowych Niemek i dzieci ze swastyką. Wszędzie widać niemieckie sklepy, niemieckie szyldy i słychać niemiecki język. I wszystko to na tle zawsze pięknego rynku zamojskiego, który trochę poszarzał i posmutniał. Nawet nazwy niektórych ulic pozmieniano. Tak np. na ogrodzeniu szpitala Św. Mikołaja wisi tablica „Robert Koch Strasse".

Miasto wzięło w swe ręce SS i chce go koniecznie w szybkim tempie zniemczyć. Mówił mi dzisiaj burmistrz Werner, że Zamość, liczący przed wojną 28.000 mieszkańców, łącznie z Żydami, których teraz nie ma, obecnie liczy 21.000, a w tym 3.000 takich, co zdeklarowali się jako Reichsdeutsche, Volksdeutsche i Stammdeutsche. Właśnie wśród tych nowo kreowanych Niemców nastąpiła teraz ogromna konsternacja, ponieważ rozklejono na mieście odezwę, wzywającą wszystkich miejscowych pseudo-Niemców do stawienia się w dniu 4 września do jakiejś nowej formacji SA, celem utworzenia szturmówki zamojskiej. Czyli, innymi słowy, mają ich wziąć do wojska.

3 września

Dziś po południu przyszedł do szpitala Dorfführer i z polecenia Reichskommisara zajął całe nasze gospodarstwo szpitalne. Zabrano nam od razu wszystko: konie, krowy, wozy, bryczki, wszystkie zupełnie nowe na-

rzędzia rolnicze i cały tegoroczny plon. Zgodzono się zostawić tylko słomę po wymłóconym życie i jęczmieniu. Tak więc w ciągu paru godzin doszczętnie nas ogołocono. Najdotkliwiej odczujemy brak koni i wozów. Będziemy musieli korzystać z tzw. forszpanu. Ze smutkiem i żalem patrzyłem jak uprowadzono nasz żywy inwentarz i pełnymi furami wywożono cały nasz plon i sprzęt rolniczy. Prawo pięści silniejsze jest od wszystkich praw pisanych.

4 września

Dowiedziałem się, że wrócił do Zwierzyńca Wacek Skuratowicz. Korzystając z okazji, jaka mi się nadarzyła, pojechałem do Zwierzyńca, żeby go zobaczyć i uściskać. Nie zastałem jednak w domu i tylko z daleka widziałem go w lesie, gdy już wracałem. Wywieziono go z Zamościa na Majdanek i dopiero stamtąd po kilku dniach wypuszczono. Usilne starania o zwolnienie go odniosły jednak pożądany skutek.

9 września

Dziś rano szybko rozniosła się wieść o kapitulacji Włoch. Radość jest powszechna. Wszyscy są przekonani, że to znacznie przyśpieszy koniec wojny. Młodsi i bardziej zapaleni myślą już o jakiejś czynnej akcji u nas.

Do szpitala wciąż przebywają chorzy, wypuszczeni z rozmaitych obozów. Sporo było chorych na tyfus plamisty. Teraz częściej przywożą z biegunkami i krańcowym wyniszczeniem całego organizmu. Niektórzy są w stanie beznadziejnym. Ostatnio przybył z Kosobud 49-letni chłop Jakub Mogilnicki, przed paru dniami wypuszczony z Majdanka, gdzie siedział 3 miesiące. Był to żywy trup. Umarł po kilkunastu godzinach.

12 września

Ludzie nie mogą dość nacieszyć się z powodu upadku Włoch. Objawia się to przede wszystkim w nadmiernym spożyciu alkoholu. Pod te Włochy wypito ogromne ilości wódki. Tak samo w Zwierzyńcu i nawet po wsiach. Wszyscy w naprężeniu oczekują dalszych wydarzeń. Irytujący jest brak pewnych wiadomości, o które bardzo trudno. Plotek natomiast kursuje aż za dużo, zwłaszcza z najpopularniejszego dzisiaj źródła „JPP" czyli „Jedna Pani Powiedziała".

14 września

Nie wiem dlaczego ludzie obawiają się 15 września. Jedni sądzą, że będą aresztowania, drudzy spodziewają się wysiedlania lub czegoś podobnego. Dość, że dużo osób wywędrowało dziś na noc z miasta lub gdzieś się ukryło, aby nie zastano ich w domu. Przyczyniają się do tego wiadomości o trwających od kilku dni aresztowaniach w Zamościu. Ilu

wzięto i kogo — nie wiemy. Mówiono mi tylko o aresztowaniu m. in. emerytowanego nauczyciela muzyki Bryka i kierownika mleczarni Hajduka.

15 września

Noc jakoś minęła spokojnie. Teraz czekamy co nam dzień przyniesie. W mieście w dalszym ciągu daje się zauważyć duże zaniepokojenie.

20 września

Chociaż 15-ty przeszedł bez żadnych wydarzeń, to jednak nastrój ogólny nie uległ zmianie. Nawet przeciwnie, od paru dni w niektórych kołach jest tak silne zaniepokojenie, że coraz więcej osób spośród młodzieży i b. wojskowych nie nocuje w domu, oczekując zjawienia się w mieście niepożądanych gości. Ale obecna obawa ma pewne podstawy, ponieważ gdzieś w okolicy Krasnobrodu przed kilkoma dniami aresztowano komendanta obwodu Zamość kapitana „Bartosza" (Staszewski). Podczas badania w Gestapo w Zamościu, gdzie go bito i męczono w okrutny sposób, powiedział, że wskaże pewne miejsce w lesie, gdzie zakopana jest broń i dziennik wydarzeń. Uczynił to w nadziei, że go partyzanci po drodze odbiją. Jednak, niestety, do tego nie doszło. Zachodzi teraz obawa, żeby przy pomocy straszliwych tortur nie wydobyto od niego jakichś wiadomości dotyczących organizacji podziemnej, co mogłoby pociągnąć za sobą fatalne następstwa dla naszego terenu.

Z Zamościa dochodzą wiadomości o dalszych aresztowaniach. M. in. osadzono w więzieniu p. Hrebieniukową-Jacewiczową, dawną nauczycielkę gimnazjum zamojskiego i nauczyciela szkoły powszechnej Juśko. Poza tym szereg osób ze sfer wojskowych, oficerów i podoficerów. Nazwisk ich jednak nie znam.

Ubiegłej nocy zorganizowano duży napad na więzienie w Krasnymstawie. Udał się całkowicie, ponieważ uwolniono — jak fama głosi — do 500 więźniów. Sądzę jednak, że liczba ta jest nieco przesadzona.

Już trzeci miesiąc kościół parafialny w Szczebrzeszynie jest zamknięty i nie ma żadnego księdza. W koniecznych wypadkach miasto korzysta z usług księdza w Topólczy. Warto zaznaczyć, że cerkiew prawosławna (b. kościół św. Katarzyny) nie jest zamknięta i pop od czasu do czasu bez żadnych przeszkód odprawia nabożeństwa, chociaż liczba prawosławnych jest całkiem znikoma.

Otuchy dodaje ludziom jedynie przeświadczenie, że weszliśmy już w końcowy okres wojny i że Niemcy coraz bardziej się wyczerpują. Powoli załamuje się ich potęga, o czym niezbicie świadczą ich niepowodzenia na wszystkich frontach, zwłaszcza na wschodzie.

25 września

Przed kilkoma dniami przyjechała komisja składająca się z dwóch gestapowców i zajęła się tymi, którzy zgłosili się na Volks- i Stamm-

deutschów. Przebywali dwa dni w Brodach. Teraz obchodzą Szczebrzeszyn. Wręczają na piśmie nakazy udania się w określonym dniu do Hrubieszowa na jakąś specjalną komisję. Z tego powodu w mieście wśród niektórych rodzin duże poruszenie. Jest obawa, że będą brali do obozów w celu „utrwalenia" niemieckości lub wysyłali do Niemiec. W Szczebrzeszynie komisja jeszcze swej czynności nie zakończyła.

Po południu doszła do nas sensacyjna wiadomość, że dzisiejszej nocy, a właściwie wczoraj wieczorem, dokonano doskonale zorganizowanego napadu na więzienie w Biłgoraju i wypuszczono wszystkich więźniów, chorych zabierając na furmankach. Jak mówią, całe najbliższe otoczenie więzienia było bardzo silnie przez partyzantów obstawione i ubezpieczone. Robota poszła, podobno, nadzwyczaj gładko i sprawnie.

28 września

Powoli dochodzą do nas niektóre szczegóły dotyczące napadu na więzienie w Biłgoraju. Jednak nie będę tego notował, sądzę bowiem, że któryś z uczestników tej akcji z pewnością napisze mi bardzo dokładne sprawozdanie o jej przebiegu. Uwolniono około 70 więźniów. W ich liczbie był leśniczy ordynacki Bolesław Usow i prof. Ludwik Ehrlich „Ferley" [1]).

Dziś rano powiesił się w Zamościu niejaki Bogusław Hertz. Pochodził on z Zamojszczyzny, ze znanej tu rodziny. Jeszcze w roku 1939 zdeklarował się jako Niemiec i przez całe 4 lata czynnie występował przeciwko Polakom. Na gruncie zamojskim w latach wojny był bardzo popularny. Samobójstwo jego wywołało w Zamościu wielką sensację, zwłaszcza, że wieszając się w ustępie pozostawił karteczkę pod adresem Niemców, zaczynającą się od słowa „Skurwysyny..." i przepowiadającą im, że za 3 tygodnie będą tak samo wisieć jak on dzisiaj.

29 września

Wczoraj późnym wieczorem przywieziono do szpitala ze Zwierzyńca dwóch poważnie rannych w szyję. Obydwaj bardzo popularni na terenie Zamościa i Zwierzyńca: Jacek Jakimowicz — współwłaściciel znanej firmy wyrobów drzewnych „Czerski, Jakimowicz i K-o" i Adam Wyczółkowski, przed wojną student weterynarii, a obecnie pracownik jakiejś prywatnej firmy w Zwierzyńcu. W czasie przyjęcia u Kalwejtów w Zwierzyńcu weszło do pokoju dwóch uzbrojonych ludzi. Kazali obecnym położyć się na podłodze i zachowywać się spokojnie. Jakimowicz rzucił się na jednego z napastników, Wyczółkowski zaś jakimś sposobem przywrócił na nich szafę. Wówczas padły dwa strzały i powaliły obydwóch. — Wkrótce potem, gdy zaalarmowana żandarmeria, policja i Armeńczycy byli na miejscu wypadku, dokonano napadu na browar ordynacki w Zwierzyńcu, gdzie zabrano z kasy około 10.000 zł. Mniej więcej w tym samym

---

[1]) **Jan Smarzewski:** „Ze wspomnień o więzieniu w Biłgoraju". „Wydawnictwo Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny..." tom I. Zamość 1945. Str. 78—79.
Jemioła: „Odbicie więźniów w Biłgoraju (24 września 1943)". „Wydawnictwo Materiałów......" tom IV. Zamość 1947. Str. 65—71.

czasie koło Suśca zerwano tor kolejowy. Oto najważniejsze wypadki ubiegłej nocy. Mamy wrażenie, że wchodzimy w okres, który coraz bardziej będzie obfitował w różne wydarzenia. Jesteśmy przekonani, że wojna szybkimi krokami zbliża się ku końcowi.

1 października

Dzisiejszej nocy wybuchł pożar na terenie cukrowni Klemensów. Miejscowa straż pożarna energicznie zajęła się gaszeniem. Ze Szczebrzeszyna nadjechali pijani żandarmi, zaczęli bić i strzelać nie wiadomo po co, nawet do strażaków zajętych gaszeniem. Został przy tym ranny 18-letni Tadeusz Pulikowski, pomocnik magazyniera, który stał podczas pożaru z wężem w ręku. Nad ranem rodzice przywieźli go do szpitala.

Pod Kraśnikiem w czasie jakiegoś napadu został zabity Tadeusz Ossowski, dyrektor zamojskiej filii Banku Rolnego. Pochodził on z bardzo bogatej rodziny na Ukrainie. Po rewolucji przyjechał do Polski i szereg lat pracował w Ordynacji, najpierw w Zwierzyńcu potem jako rządca Klucza Księżpolskiego.

Komisja do spraw Volksdeutschów wyjechała już ze Szczebrzeszyna. Z lekarzy dostali wezwanie do stawienia się w Hrubieszowie tylko dr Spoz i lekarz weterynarii Cebula. Żaden z nich jednak tam nie pojechał. Staram się ustalić listę tych, którzy jeździli na tę komisję do Hrubieszowa. Podobno liczba ich jest stosunkowo dość pokaźna.

2 października

Przed paru dniami strzelano do Dorfführera w Rozłopach. Kula trafiła w kolbę karabinu i bardzo lekko zraniła go w palec i klatkę piersiową. Dziś wieczorem wystrzałem z karabinu zabito jego pomocnika, nasiedlonego Niemca. Do szpitala przywieziono już trupa. Niemcy tak są znienawidzeni, że płacz i lament matki i żony zabitego nie wywołały żadnego współczucia.

3 października

Dookoła codziennie nic, tylko napady, napady i napady. Przed paru dniami na Kosobudy, wczoraj na Tereszpol, przy czym odebrano sołtysom pieniądze zebrane na podatki. We Floriance granatami rozbito młocarnię, ubiegłej zaś nocy jakaś większa grupa dokonała napadu na „Alwę", zabierając z magazynu produkty żywnościowe. Otoczona była nie tylko fabryka „Alwa", lecz i cała wieś Brody Małe. Uprowadzono ze sobą niejakiego Cichockiego, fotografa, zabierając mu aparat fotograficzny [1]).

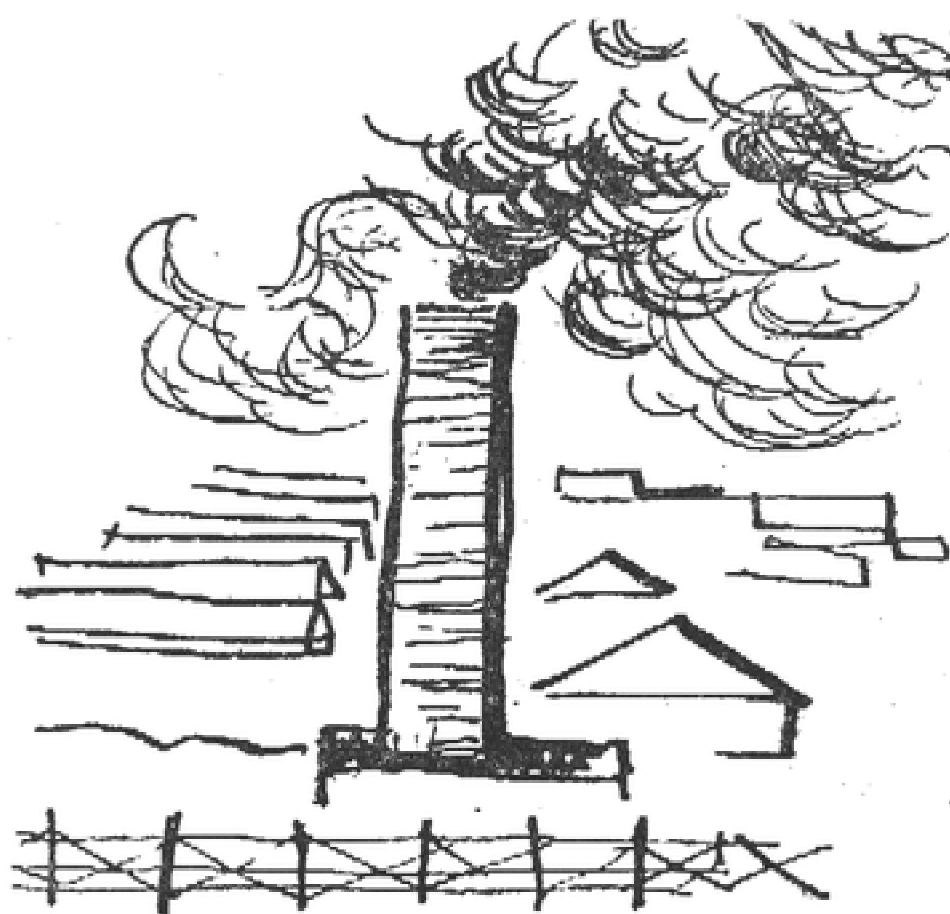
[1]) Został on potem w drodze do placówki partyzanckiej zabity przez „Wiewiórkę".

„Bartosz" - Staszewski popełnił samobójstwo. Gdy przyprowadzono go na drugie piętro gmachu Gestapo, wyskoczył przez okno na ulicę, ponosząc śmierć na miejscu.

Jak już wspomniałem, wśród uwolnionych z więzienia w Biłgoraju znajdował się prof. Ludwik Ehrlich ze Lwowa, który przebywał w naszych stronach i zbierał materiały historyczne, m. in. do pracy o okrucieństwach Niemców.

10 października

W poniedziałek 4. X. sanitarką Niemieckiego Czerwonego Krzyża z Zamościa odwiozłem do Warszawy postrzelonego Jacka Jakimowicza. Drogę mieliśmy doskonałą. Jechaliśmy bez przeszkód 5 i pół godziny. Podjeżdżając do Lublina z ciekawością oglądałem obóz na Majdanku. Na olbrzymiej przestrzeni baraki w niezliczonej ilości i druty. Więźniów prawie nie widać, tylko gdzieniegdzie małe grupki ludzi zajętych jakąś pracą i wszędzie mnóstwo wartowników. Patrząc z dołu, z pędzącego samochodu, na cały ten osławiony Majdanek trudno uwierzyć, ile tam było i jest ludzkiej niedoli, cierpienia i nieszczęścia.



W Warszawie byłem 3 dni. Doznałem wielu różnorodnych wrażeń. Zauważyłem ogólne podniecenie, jakiego w zeszłym roku jeszcze się nie wyczuwało. Na drugi dzień po moim przyjeździe Niemcy próbowali zdjąć pomnik lotnika na placu Unii Lubelskiej, lecz zaczęto do nich strzelać z karabinów maszynowych i musieli wycofać się. To znów w Alei Szucha zabito jakiegoś bardzo wybitnego Gestapowca. Na ulicach strzelanina, w otwartych samochodach pędzą żandarmi z karabinami gotowymi do strzału, niektóre domy obstawione są przez żandarmów niemieckich i policjantów polskich. Kilka razy dziennie można to widzieć i słyszeć. Raz, gdy jechałem tramwajem, na Placu Narutowicza padł strzał. Pasażerowie od razu rzucili się na podłogę. Widać, że jest to na porządku dziennym i ludzie wiedzą już dobrze, jak należy się w takch wypadkach zachować. Miałem możność zauważyć, że w szeregach organizacji wre gorączkowa robota. Ale najwięcej zaimponowała mi praca nad przygotowaniem przyszłej działalności wydawniczej. Ma powstać nowe wydawnictwo „Wisła". Zgromadziło już ono bardzo dużo utworów literackich najwybitniejszych pisarzy polskich, którzy jeszcze jakoś utrzymali się na wolności. Pierwsza publikacja pt. „Pierwsza Książka" ma być wydana natychmiast po wyjściu Niemców. Będzie to swego rodzaju prezentacja pisarzy polskich. Ukażą się w niej drobne utwory wszystkich niemal literatów, którzy coś tworzyli w czasie wojny. U kierownika artystycznego tego wydawnictwa malarza i karykaturzysty Eryka Lipińskiego, mego bliskiego kuzyna, wi-

działem cały szereg rysunków do poszczególnych książek [1]). Wielu profesorów i uczonych pisze dzieła naukowe. Prof. Antoniewicz np. opracowuje duże dzieło zbiorowe pt. „Dzieje Kultury", prof. Orłowski pisze dalszy ciąg swego znakomitego podręcznika chorób wewnętrznych itd. Byłem na jednej „środzie bibliofilskiej" u Stefana Rygla. Spotkałem tu swoich dobrych znajomych ze świata książki. Dowiedziałem się też sporo szczegółów o obecnym nielegalnym „podziemnym" ruchu wydawniczym [2]). Po całej beznadziejności życia w niszczonej i straszliwie gnębionej Zamojszczyźnie ten ruch umysłowy w Warszawie ogromnie podniósł mnie na duchu. Wyjechałem z Warszawy zmęczony fizycznie i niewyspany, lecz naprawdę odrodzony psychicznie, pełen wiary w jak najlepszą naszą przyszłość.

Wracałem koleją. Drogę miałem fatalną. Na dworcu musiałem być przed godziną policyjną, tj. 20. Czekałem trzy godziny na odejście pociągu. Jechałem całą noc. Do Rejowca przybyliśmy z opóźnieniem, ponieważ pociąg nasz często musiał na małych stacjach przepuszczać transporty wojskowe. W Rejowcu nie zastaliśmy już pociągu idącego z Chełma do Lwowa i trzeba było czekać na następny. W rezultacie przyjechałem do domu zamiast o 10 rano o 8 wieczorem, czyli podróż z Warszawy do Szczebrzeszyna trwała pełne 24 godziny.

Jeszcze nie dojechałem ze stacji do miasteczka, a już dowiedziałem się, że w czasie mojej nieobecności Niemcy najechali na Tereszpol, zabrali proboszcza i wielu mężczyzn, w Panasówce zaś aresztowali nadleśnego Piątkowskiego i wszystkich urzędników nadleśnictwa.

Z Majdanku wypuszczono znów kilku mężczyzn aresztowanych w Szczebrzeszynie 1 lipca, w ich liczbie buchaltera magistratu Naszyńskiego, piekarza Ćwika, Pilipa i nauczyciela Franciszka Głowackiego.

Dzisiaj, po przeszło 3 miesiącach, po raz pierwszy zostało odprawione przez ks. Kapalskiego nabożeństwo w Szczebrzeszynie, ale nie w kościele parafialnym, bo ten jest w dalszym ciągu zamknięty, lecz w kościele św. Leonarda na cmentarzu.

14 października

Piątkowskiego i urzędników nadleśnictwa wypuszczono. Pomimo to w Zwierzyńcu spodziewają się aresztowań. Parę osób na wszelki wypadek stąd wyjechało. U nas coraz bardziej panoszą się nasiedleni Niemcy. W dalszym ciągu zajmują mieszkania, zabierają Polakom sklepy, warsztaty itp. Z każdym dniem wyraźnie maleje polski stan posiadania. Ukonstytuowała się już ostatecznie gmina Szczebrzeszyn, nazywana

[1]) Projektowane wydawnictwo jednak się nie ukazało. Zgromadzone materiały prawdopodobnie uległy zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego.

[2]) Warto pokrótce wspomnieć o tych ryglowskich środach. Od dłuższego czasu co tydzień we środy odbywały się w mieszkaniu Ryglów zebrania z odczytami, referatami, różnymi pokazami itp. Brali w nich udział najpopularniejsi bibliofile i naukowcy stale mieszkający w Warszawie oraz jako goście bibliofile przyjezdni. Właśnie w tym charakterze i ja tam bywałem. Tych „śród" u Ryglów odbyło się przeszło 100. Każdemu uczestnikowi i każdej „środzie" poświęcano osobne karty w 2 księgach pamiątkowych z autografami, rysunkami itp. Stefan Rygiel zginął w obozie w Oświęcimiu, syn zaś jego w Powstaniu Warszawskim.

„Hauptdorf Szcz." albo „Stadtgemeinde Szcz.". Jak widać z wykazu przysłanego przez magistrat szpitalowi, składa się ona z 31 wsi — 13 niemieckich i 18 polskich. A więc:

Deutsche Dörfer: 1. Szczebrzeszyn, 2 Rozłopy, 3. Sułów kol., 4. Źrebce, 5. Tworyczów, 6. Kitów, 7. Deszkowice, 8. Bodaczów, 9. Wielończa, 10. Zawada, 11. Gross Brody, 12. Sułów, 13. V. Zamojskie.

Polnische Dörfer: 1. Marynówka, 2. Kąty I, oraz Kąty II, 3. Niedzieliska, 5. Klemensów, 6. Brody Małe, 7. Kawenczyn, 8. Kawenczynek, 9. Sułowiec, 10. Sułówek, 11. Kulików, 12. Michalów, 13. Szperówka, u. Doroszewszczyzna, 14. Sąsiadka, 15. Mokre Lipie, 16. Błonie, 17. Kol. Kawenczyn, 18. Kol. Rozłopy.

Przysłano mi dziś chorą z Deszkowic z odpowiednim pismem. Figurują na nim oficjalne pieczęcie: u góry po stronie lewej — podłużna, koło podpisu Dorfführera okrągła: „Deutsches Dorf Deszkowice. — Der SS Dorfführer — Hauptdorf Szczebrzeszyn. Kreis Zamość G. G.". — Pismo z tymi pieczęciami włączyłem do mojego archiwum regionalnego.

Lecz ze wszystkiego widać, że Niemcy nie czują się tu nazbyt pewnie. Dorfführerzy boją się nocować w domu. Wszyscy nasiedleni wciąż mówią o tym, że chcieliby jak najprędzej powrócić już „do domu". A polscy Volksdeutsche też mają nie mniejszego stracha. Z jednej strony śmiertelnie obawiają się „Sowietów", z drugiej Polaków. Niektórzy szukają mieszkań w Warszawie lub gdzieś w innych miejscowościach „G. G." i przygotowują się do wyjazdu.

17 października

Poznałem jednego urzędnika, b. rotmistrza, Eberhardta, zatrudnionego obecnie na lotnisku w Mokrem. Pracuje tam w danej chwili 1.400 ludzi, w tym około 800 Żydów przywiezionych z Poniatówka pod Warszawą. Praca idzie bez przerwy dzień i noc w przyśpieszonym tempie. Robią twardą asfaltową nawierzchnię do startowania samolotów. — W Klemensowie też idą przygotowania do pilnych robót na lotnisku. — Z Zamościa Niemcy zaczynają już wywozić zapasy różnych materiałów wojennych. Wszystko wskazuje, że front radziecki się przybliża.

19 października

Ubiegłej nocy jakaś większa grupa partyzantów dokonała napadu na Brody Duże pod Szczebrzeszynem, zamieszkałe w znacznej części przez Volksdeutschów, rekrutujących się z dawnych kolonistów niemieckich. Otoczono całą wieś, następnie według spisu zabrano rodzinom „niemieckim" konie, krowy, świnie itd. Polaków nie ruszano. Przy sposobności niektórym „Niemcom" sprawiono lanie. Dowodził grupą młodzieniec w mundurze porucznika [1]). Na odchodnem zapowiedziano, że jeśli za ten napad ucierpią Polacy, to wszyscy Niemcy w Brodach będą zabici.

---

[1]) „Dolina".

20 października

Niespodziewanie zjawił się u nas dzisiaj rano Jerzy Płomieński. Przez dłuższy czas korzystał z gościny Ścibor-Rylskiego w Uhrynowie w pow. hrubieszowskim, a teraz, gdy dwór spalili nacjonaliści ukraińscy, ucieka stamtąd i jedzie do Warszawy. Opowiadał nam straszne rzeczy o tym, co się dzieje na Wołyniu, o niesłychanym znęcaniu się Ukraińców nad ludnością polską. Fala terroru ukraińskiego doszła już do powiatu hrubieszowskiego. Polacy — kto tylko może — uciekają. Nawet w Szczebrzeszynie widzieliśmy dzisiaj furmanki z uciekinierami z Sokala.

27 października

Cały dzień przeszedł u nas spokojnie. W okolicy były różne napady, ale bez większego znaczenia.

Dzisiaj synek mój, 12-letni Tadzio, w przeddzień swoich imienin składał na ręce Tadeusza Gumińskiego („Łowicki", „Szyszka") uroczyste przyrzeczenie - przysięgę na wzór harcerski. Chciałem tym sposobem wciągnąć go w krąg pewnej konspiracji, w granicach dostępnych dla jego gorącego, lecz dziecinnego jeszcze umysłu i usankcjonować prowadzone z nim często bardzo poufne rozmowy. Chciałem tą drogą w jego wrażliwej duszy jeszcze głębiej i mocniej utrwalić przeżywane obecnie wręcz wyjątkowe czasy. Niech też ma przeświadczenie, że w pracy podziemn j będzie brał jakiś udział, że może się na coś przydać, że w odpowiedniej chwili mogą mu być poruczone różne funkcje i zadania. Cały ceremoniał odbył się w mojej obecności, u mnie w gabinecie, przy szczelnie zamkniętych drzwiach. W pewnym momencie, podczas składania przysięgi, gdy spojrzałem na mego chłopczyka stojącego w pozycji na baczność z ręką i dwoma palcami podniesionymi do góry, wiernymi, jasnym oczami wpatrzonego w Gumińskiego, powtarzającego głośno i dobitnie słowa przysięgi, tak mnie coś nagle ścisnęło za gardło, że nie mogłem się opanować i szybko wyszedłem z pokoju, żeby nie ryknąć na cały głos. Pięćdziesiąt miesięcy wojny i potwornej niewoli zbyt wyraźnie wycisnęły piętno na systemie nerwowym niejednego z nas. Z każdym dniem coraz bardziej odczuwam to na samym sobie.

28 października

Wczoraj w nocy w Rozłopach postrzelono jednego z nasiedlonych Niemców, 17-letniego chłopca, pełniącego nocną wartę. Przywieziono go do szpitala. W odwecie Niemcy aresztowali w Rozłopach około 10 mężczyzn, których jednak po kilkunastu godzinach uwolniono. Przez cały dzień po drogach wjazdowych do miasta żandarmi legitymowali podejrzanych przechodniów.

29 października

Był dziś u mnie sekretarz wydziału powiatowego z Zamościa. Dowiedziałem się od niego trochę szczegółów o Zamościu i okolicy. Daje się tam odczuwać coraz wyraźniej zbliżanie się frontu wschodniego i zaniepokojenie z tego powodu Niemców. Gestapowcy wysyłają już swoje rodziny do Rzeszy. Przedstawiciele administracji niemieckiej również przygotowują się powoli do odesłania rodzin. Przez Zamość przechodzą liczne transporty ze wschodu na zachód, tak z ludźmi jak i z najrozmaitszym sprzętem wojennym. — Lotnisko w Mokrem jest już prawie na ukończeniu. Robią też lotnisko w Łabuniach. Do Klemensowa przybyło dziś 45 wagonów z wojskiem i robotnikami do pracy na tutejszym lotnisku, które ma być w szybkim tempie naprawione i znacznie rozszerzone. Przerzucają tu całe lotnisko z Homla. W Łabuniach, w pałacu hr Szeptyckiego, urządzono duży szpital wojskowy. W koszarach zamojskich szpital niemiecki jest już przepełniony rannymi. W administracji coraz większy bałagan. Nawet wyższych urzędników opanowuje zdecydowana rezygnacja. Miałem możność sam przekonać się o tym rozmawiając z „naszym" Leiterem od samorządu — Steinherem.

5 listopada

Dzisiejszej nocy dokonano napadu na Płoskie pod Zamościem, zamieszkałe obecnie przez nasiedlonych Niemców. Zabierano tylko artykuły żywnościowe, krowy, świnie i konie. Stojący na warcie Niemiec z Besarabii zaczął strzelać i tylko on jeden został zabity. Z Niemcami nie stawiającymi oporu obchodzono się, podobno zupełnie grzecznie. Wiadomość o tym napadzie sprawiła na Niemcach w naszej okolicy niemałe wrażenie, zwłaszcza że na razie nie znano szczegółów.

A my w szpitalu mieliśmy dziś miłą niespodziankę. Po południu zaczęły nadciągać furmanki z zabranymi przed dwoma miesiącami narzędziami rolniczymi. Zwrócono nam prawie wszystko — krowy, konie, wozy, bryczki itp. Leiter z Zamościa sam odbierał te rzeczy od Dorfführerów, którzy mieli miny niewyraźne.

10 listopada

Odwiedziłem Naszyńskiego. Już przeszło miesiąc jak wrócił z Majdanku. Wygląda okropnie. Jest tak schorowany i wyniszczony, że nie może nawet jeść o własnych siłach. Wczoraj wrócili z Majdanku Gwiazdowski, Głowacki i Pilip. Wszyscy zabrani byli 1 lipca. Ci jakoś trzymają się stosunkowo nieźle.

U nas w ostatnich dniach jest trochę niepokoju. Ludzie znów zaczynają czegoś się obawiać, spodziewają się aresztowań, niektórzy nie nocują w domu. Oczekujemy też lada dzień łapanki mężczyzn na roboty na lotnisku w Klemensowie. Prace przygotowawcze są tam w pełnym toku. Po mieście, zwłaszcza w niedziele, kręci się bardzo dużo lotników. Wśród

nich wyjątkowo dużo bywa pijanych. Na lotnisku w Mokrem podobno rozstrzelano 150 Żydów niezdolnych już do pracy. Z różnych stron dochodzą wiadomości o likwidowaniu resztek Żydów.

Uwaga wszystkich zwrócona jest głównie na to, co się dzieje na froncie wschodnim. Ludzie pilnie śledzą przebieg walki na froncie południowo-wschodnim i obliczają, kiedy mniej więcej wojska radzieckie mogą już być u nas. Jedni piekielnie tego się boją, drudzy znów chcieliby, żeby to nastąpiło jak najprędzej.

16 listopada

Przez cały tydzień nic nie pisałem, bo też nic ważniejszego na naszym terenie się nie działo. Dopiero w ostatnich dniach dało się u nas wyraźnie odczuć, że na wschodzie z Niemcami jest niedobrze, że front radziecki posuwa się ku nam coraz bliżej. Przed kilkoma dniami komunikaty oficjalne podały wiadomość o opuszczeniu Kijowa przez Niemców, dzisiejszy komunikat mówi już o walkach na ulicach Żytomierza. Toteż dzisiaj od rana panuje w mieście dość silne podniecenie. Umysły zaprzątnięte są głównie pytaniem — kiedy Armia Czerwona może już być u nas i co robić w razie cofania się wojsk niemieckich. Tego momentu ludzie najwięcej się obawiają. Dochodzą nas mniej lub więcej prawdziwe wieści o ewakuacji szeregu miast na wschodzie, o zmuszaniu ludności cywilnej do opuszczania swoich siedzib, o rozstrzeliwaniu opornych itd. Wielu ludzi zawczasu szuka dla siebie miejsca, gdzieby można się było ukryć choć na kilka krytycznych dni, aby tylko nie być w miasteczku położonym przy szosie, na szlaku przemarszu wojska. Od paru dni jesteśmy już, podobno, w strefie wojennej. W związku z tym spodziewamy się wkrótce nowych zarządzeń władz niemieckich. Jak zwykle w podobnych sytuacjach, gwałtownie wzrosło zapotrzebowanie na sól. Wszyscy, zwłaszcza chłopi ze wsi, rzucili się do wykupywania soli. Rozchwytano ją w ciągu paru dni.

Wypatrujemy tylko chwili, kiedy nareszcie nasiedleni Niemcy zaczną opuszczać nasze strony. Przez stację Szczebrzeszyn przechodzą już pociągi z uciekinierami ze wschodu.

Od paru tygodni bardzo intensywnie, po kilka godzin dziennie, pracuję nad dawną medycyną zamojską. Piszę już XVIII rozdział, pozostanie mi jeszcze tylko dwa. Śpieszę się teraz, żeby zdążyć skończyć ją, zanim nadejdą takie wydarzenia, które już nie pozwolą mi wziąć pióra do ręki. Nie wiem tylko, co zrobić z rękopisem, żeby nie przepadł. Maszynowych odpisów jeszcze nie mam. Szkoda by mi było włożonej żmudnej i ogromnej pracy.

23 listopada

Wobec kontrofensywy niemieckiej, perspektywy rychłego przyjścia do nas oddziałów radzieckich nieco zmalały. W każdym razie myśl o tym odsunęła się na drugi plan. Powstało natomiast nowe, silne zaniepokojenie wobec uporczywie krążących pogłosek o mających jakoby nastąpić

u nas nowych represjach, wysiedlaniu itp. Ludzie znów zaczęli się pakować i przygotowywać do ewentualnego usunięcia się z miasta. Wszyscy żyją w ciągłym napięciu i do reszty wyczerpują się nerwowo.

W niedzielę 21. XI. w Zwierzyńcu, w lasku koło „Białego Słupa", w biały dzień zabito dwóch podoficerów niemieckich z kompanii Turkmenów. Z tego powodu cały Zwierzyniec drży ze strachu, bo gestapowcy grożą odwetem.

25 listopada

Szczebrzeszyn ma nową sensację. Na kolei w drodze do Warszawy został aresztowany naczelnik tutejszego urzędu pocztowego, Paździora.

28 listopada

Od pewnego czasu daje się zauważyć w społeczeństwie jakieś przygnębienie. Gazety nie podają żadnych wiadomości o sukcesach wojennych aliantów, wszystko jak gdyby stanęło w miejscu i końca wojny nie widać. Ludzie przestali się już łudzić, że wojna skończy się w 1943 roku. Zawiodły wszystkie przepowiednie. Byłem wczoraj w Zwierzyńcu i tam zauważyłem taki sam nastrój. Tylko piją jeszcze więcej niż u nas.

Niemały niepokój wprowadzają nowe sposoby zabezpieczania się Niemców przed napadami. Biorą zakładników, trzymają ich w więzieniu w Zamościu, następnie ogłaszają publicznie nazwiska pewnej liczby więźniów, którzy będą rozstrzelani w razie jakiegoś napadu na Niemca. Co kilka dni rozlepiają nowe ogłoszenia z nazwiskami tych, którzy zostali dopiero co rozstrzelani, z zaznaczeniem za jaki i gdzie dokonany napad. Każdy z nas lada chwila może być wzięty w charakterze takiego zakładnika.

W Szczebrzeszynie Niemcy coraz bardziej umacniają i rozszerzają swój stan posiadania i swoje wpływy. Odbierają stopniowo Polakom wszystkie warsztaty pracy — stolarzom, krawcom, stelmachom, zabierają sklepy, piekarnie, zakłady fryzjerskie, zakłady mechaniczne itd. Założono nową, niemiecką „Gaststädte" w kamienicy Budzyńskiego i nazwano ją „Neue Heimat". Wsadzili już Niemców po jednym do mleczarni spółdzielczej, do sklepu obuwia „Bata", do Urzędu Pracy itd. Obawiam się, że wkrótce i do szpitala wpakują nam jakiegoś Niemca do działu gospodarczego albo Niemkę na pielęgniarkę.

2 grudnia

Jeździłem wczoraj do Zamościa. Spotkałem przypadkowo kilku dobrych, starych znajomych, których już dawno nie widziałem. Uderzyło mnie to, że wszyscy bardzo się postarzeli. Te lata wojny odbijają się fatalnie na ludziach i wyraźnie przyśpieszają proces starzenia się. — Nastrój w Zamościu niedobry. Wciąż mówi się o tym, co nas czeka w razie cofania się wojsk niemieckich pod naporem armii radzieckiej, o tym,

że prawdopodobnie cała inteligencja skazana jest na zagładę, bo Niemcy odchodząc będą niszczyć nie tylko „obiekty ważne ze względów wojskowych", lecz i wszystkich fachowców polskich, jeżeli ci nie zechcą iść wraz z nimi na zachód. Poza tym — wódka, wódka i wódka. Takiego nadużywania alkoholu nigdy przedtem nie było, nawet w pierwszych latach wojny mniej pito niż teraz. Piją nie tylko w restauracjach, lecz wszędzie gdzie się da. Np. w gabinecie kierownika drukarni pito wczoraj, używając zamiast kieliszka nowego kałamarza. Widok pijących i zupełnie pijanych w biały dzień, w godzinach południowych, przeznaczonych do pracy, robił na mnie wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie. W drukarni dostałem pierwszą wydrukowaną tam w czasie wojny książkę pt. „Towaroznawstwo spożywcze" prof. Gałczyńskiego z Lublina, wydaną na prawach rękopisu. 270 stron druku, czcionka Półtawskiego. Ta czcionka, którą zakupiono 6 lat temu z mojej inicjatywy dla wydawnictw bibliofilskich! Tą czcionką drukowaliśmy naszą „Tekę Zamojską"! Jak rozkoszne i jakże bolesne zarazem wspomnienia!



Dziś rano zjawił się w szpitalu nowy komendant żandarmerii i wydał szereg ostrych zarządzeń w sprawie przygotowania szpitala do obrony przeciwlotniczej. Muszę mieć zorganizowaną drużynę OPL składającą się z 20 pracowników szpitalnych. Jestem osobiście za wszystko odpowiedzialny. Wskazuje to aż nadto wyraźnie, że niebezpieczeństwo od wschodu staje się coraz bardziej realne.

Z więzienia w Lublinie wypuszczono naczelnika poczty Paździorę. Jakoś wyszedł cało z ciężkiej opresji.

Z nowo kreowanymi „Niemcami" sporo jest kłopotu. Dotychczas nie mogę ustalić ich liczby w mieście, bo prawie wszyscy chcą to zataić. Nie wiemy więc dokładnie, kto z ważniejszych obywateli jest Volksdeutschem a kto pozostał Polakiem. Lecz stopniowo samo się to ujawnia. A więc usunięto z polskiej szkoły powszechnej dzieci Volksdeutschów i kazano im chodzić do szkoły niemieckiej. To znów dowiadujemy się kto musi pełnić wartę nocną — a biorą w niej udział wyłącznie Niemcy — kto dostaje niemieckie karty żywnościowe itd. Trudno uwierzyć, ale to jest fakt niezbity, że przeważająca większość tych Volksdeutschów stała się nimi z własnej woli, bez przymusu ze strony Niemców. Są wśród nich byli wojskowi, nawet legioniści i Peowiacy. Taki np. Stanisław Kiszka, legionista I Brygady, Ostrowski, Bielecki, Jan Flak i inni. Usilnie staram się o dokładną i pełną listę tutejszych Volksdeutschów. Warto zanotować te nazwiska. Lecz niepodobieństwem będzie sprawdzić, kto stał się Volksdeutschem z konieczności, pod bezwzględnym przymusem, jak np. dr Hauslinger w Zamościu, a kto całkiem dobrowolnie.

4 grudnia

Notuję dość ciekawy szczegół dotyczący panujących u nas stosunków. Wśród nasiedlonych Niemców dużo jest katolików. Otóż nie wolno im chodzić do miejscowego kościoła. (Kościoła parafialnego Niemcy nie oddali. Księża odprawiają nabożeństwa w małym kościółku św. Leonarda na cmentarzu). — Księżom zapowiedziano, że nie wolno chrzcić dzieci, dawać ślubów itp. nasiedlonym. Księża ogłaszali to niejednokrotnie z ambony. Pomimo zakazu nasiedleni do kościoła chodzą, lecz ksiądz wciąż boi się za to odpowiedzialności. Teraz ten sam zakaz rozciąga się i na miejscowych Volksdeutschów. Dzisiaj miałem tego przykład. W szpitalu odbyła poród neofitka niemiecka, niejaka Kucharska z domu Rybicka, której brat umarł w obozie, a mąż siedział na Majdanku. Mają kłopot, bo nie mogą dziecka ochrzcić w swojej parafii w Szczebrzeszynie. Prawdopodobnie będą musieli jechać z nim aż do Zamościa.

6 grudnia

Dzisiejszej nocy umarł Wit Naszyński, który po powrocie z Majdanka w żaden sposób nie mógł odzyskać zdrowia. Był to człowiek wyjątkowo prawego charakteru i tym się wyróżniał spośród wszystkich urzędników magistratu.

Wczoraj w Żrebcach zabito 3 nasiedlonych Niemców [1]). Nie znam jeszcze żadnych szczegółów. Obawiamy się represji, zwłaszcza brania zakładników. Niemcy gorliwie wzięli się do przygotowania ludności do obrony przeciwlotniczej. Wszędzie każą robić schrony i kopać rowy.

8 grudnia

Mam duży kłopot: Niemcy w Zamościu odmówili szpitalowi przydziału produktów spożywczych na bieżący miesiąc, opierając odmowę na tym, że szpital prowadzi własną gospodarkę rolną. Zupełnie nie biorą pod uwagę, że przecież całe gospodarstwo nam zabrali, a potem zwrócili tylko małą cząstkę. Czym więc będę żywił chorych i pracowników — w sumie przeszło 100 osób — nie wiem. Parę tygodni, do miesiąca, pociągnę. Ale co dalej?

W Zwierzyńcu aresztowano kilku chłopców ze sfer robotniczych. U wszystkich znaleziono karabiny i inną broń. Dużego napadu dokonano w Suchowoli zamieszkałej obecnie głównie przez nasiedlonych Niemców. Zabrano im, podobno, wszystko, samych zaś rozpędzono na cztery wiatry.

W Zamościu na skwerku przed gmachem gimnazjum Niemcy rostrzelali dziś 4 mężczyzn. Spodziewamy się coraz większych represji.

---

[1]) Dwóch młodych mężczyzn i 14-letnią dziewczynkę. — Patrz: Sławian „W noc Św. Barbary. (Relacja uczestnika napadu na Żrebce)". „Wydawnictwo Materiałów......" tom III. Str. 111—117.

10 grudnia

Dziś rano jakaś ekspedycja karna jeździła do Źrebiec. Potem kilka dużych samochodów stamtąd przejechało przez Szczebrzeszyn w stronę Kawenczyna i Topólczy wioząc żandarmów z Zamościa. Widok takich samochodów z żandarmami w hełmach i w pełnym uzbrojeniu, siedzących na poprzecznych ławkach, sprawia przygnębiające wrażenie. Bo wiadomo, że jadą na jakąś obławę, egzekucję lub inną krwawą robotę, to znaczy, znów gdzieś obficie poleje się krew, znów będą liczne ofiary.

W niedzielę 28. XI. w Puławach została aresztowana z bibułą Maria Piasecka „Żar", młoda dziewczyna, odznaczająca się odwagą i dzielnością. Była ona sekretarką przy kuchni RGO, najpierw w Józefowie, potem w Soli pod Biłgorajem. Już raz pół roku siedziała w więzieniu w Krakowie, lecz to nie odstraszyło jej od dalszej, pełnej poświęcenia pracy.

11 grudnia

Wczoraj wczesnym rankiem Niemcy przyjechawszy do Źrebiec kazali wszystkich mieszkańców zebrać się na placu koło kuźni i tu na oczach rozstrzelali 20 przywiezionych ze sobą z Zamościa Polaków. Wyprowadzano ich z samochodu trójkami związanych razem za pomocą drutu. Skazańcy byli w jednej tylko bieliźnie. Ze Źrebiec przez Szczebrzeszyn pojechali do Topólczy i tu rozstrzelali pozostałych mężczyzn, przywiezionych z Zamościa. Wśród rozstrzelanych byli i bardzo młodzi chłopcy i ludzie zupełnie starzy.

14 grudnia

Byłem dziś w Zamościu. Po drodze zauważyłem kilka nowych drogowskazów i tablic z napisem „Krzeszów" i liczbą kilometrów. Ten Krzeszów leży na trasie w kierunku Krakowa, czyli na zachód. Mamy więc wrażenie, że są to tablice orientacyjne przezornie przygotowane na czas odwrotu.

Cały Zamość jest pod wrażeniem nowej egzekucji. Rozlepiono na mieście obwieszczenia z datą 11. XII. podające do publicznej wiadomości nazwiska 29 rozstrzelanych w odwecie za napad na Źrebce i jeszcze na jakąś inną miejscowość w powiecie zamojskim (Cieszanów?). Wszyscy rozstrzelani pochodzili z powiatów biłgorajskiego i zamojskiego. Wśród nich znalazł się pracownik biurowy z kancelarii rejenta Zielińskiego w Zamościu, Stefan Kozłowski: „za należenie do zabronionej organizacji". Wczoraj została aresztowana jego żona. W tymże obwieszczeniu wymienione są nazwiska dalszych 30 więźniów przeznaczonych do rozstrzelania w razie jakiegoś napadu na Niemców. Wśród nich na ostatnim miejscu figuruje Zygmunt Arentowicz z Zamościa, również „za należenie do zabronionej organizacji".

W Zamościu na ulicach ruch znacznie większy niż poprzednio. To samo w urzędach. U Kreislandwirta formalny tłok. Wszędzie słyszy się ję-

zyk niemiecki. Dużo kręci się Niemców nasiedlonych. Pełno też na ulicach Ukraińców, wysokich, mocnych chłopów, w płaszczach granatowo-zielonych w barankowych czapkach. Przywieźli ich tu Niemcy z Połtawskiej guberni. Zapewne będą pełnić jakieś funkcje policyjne.

17 grudnia

Piasecką „Żar" przewieziono z więzienia w Lublinie do więzienia w Biłgoraju. Tu napisała kartkę do towarzyszy pracy: „Albo mnie dobijcie, albo przyślijcie truciznę, bo tego co przeszłam w Lublinie drugi raz nie wytrzymam". Dostarczono jej truciznę. W odpowiedzi napisała list pożegnalny. Nie wiadomo, czy jeszcze żyje. W związku z wsypą Piaseckiej aresztowano 4 osoby z biura RGO w Biłgoraju. Kierownik biura Markiewicz „Skała" umarł w Gestapo podczas badania. Inni siedzą w więzieniu.

Dostałem całą serię fotografii z oddziału Groma. Na obrazkach życie partyzantów w lesie przedstawia się romantycznie i ma swoisty urok. Działają one silnie na wyobraźnię młodzieży.

W Biłgoraju nastąpiła zmiana na stanowisku szefa Gestapo. Nie ma już osławionego Kolba. Jest nowy kapitan, Waldemar Trautwein z Lublina. Zawnętrznie człowiek kulturalny, z wykształceniem uniwersyteckim, ale potrafi bić i znęcać się nad badanymi nie gorzej od innych.

19 grudnia

Dziś o godz. 6 po południu zabity został wystrzałem z rewolweru Bogusław Niezgoda, lat 21, piekarz w piekarni niemieckiej, mieszczącej się w kamienicy Guzowskiego, naprzeciw szpitala. Niezgoda uważany był u nas za konfidenta, mającego ścisły kontakt z gestapowcami. Postrzelony został w brzuch, w mieszkaniu swego chlebodawcy Niemca, na II piętrze, w obecności kilku Niemców. Napadu dokonał jeden mężczyzna, jakiś „elegancki pan" — tak go określiła żona właściciela piekarni. Niezgoda, natychmiast po wypadku przeniesiony do szpitala, zmarł tu w niespełna pół godziny na stole opatrunkowym. Nie ulega żadnej wątpliwości, że padł z wyroku organizacji. Na żandarmach, którzy zaraz się zjawili i Niemcach oraz wszystkich mieszkańcach kamienicy, wypadek ten wywarł wstrząsające wrażenie.

23 grudnia

Przed paru tygodniami w Brodach aresztowano niejakiego Jaworskiego, w Szczebrzeszynie zaś Kołcunową. Jaworski zabił niekolczykowanego wieprza, potem sprzedawał mięso i słoninę, korzystając z pośrednictwa Kołcunowej. W poniedziałek 20 grudnia oboje zostali za to rozstrzelani

w Zamościu. Ponieważ sporo ludzi u nas trudni się tym samym, więc nic dziwnego, że teraz trzęsą się ze strachu.

Dochodzą do nas głuche wieści, że onegdaj znów uprowadzono z więzienia w Biłgoraju pewną liczbę więźniów.

25 grudnia

Wczoraj obchodziliśmy piątą wilię wojenną. Dzisiejszy pierwszy dzień świąt w godzinach przedpołudniowych ściągnął do kościółka na cmentarzu ogromne tłumy ludzi. Księża obliczają, że przewinęło się chyba przeszło 5.000 osób. Po południu, do wieczora — nic tylko pijaństwo. Wszędzie słychać pijackie śpiewy i wrzaski. Niemcy i nowo kreowani Volksdeutsche otrzymali bardzo duże przydziały świąteczne i bodajże po 3 litry wódki na osobę. U wielu wzbudza to zazdrość, zwłaszcza u tych, których komisja odrzuciła i nie zaliczyła do kategorii Volksdeutschów. Bo są i tacy.

W Zamościu przed paru dniami znów rozstrzelano kilkadziesiąt osób.

26 grudnia

Bez rozlewu krwi, bez strzału, znów uwolniono więźniów w Biłgoraju. Partyzanci, z Gromem na czele, dostali się do więzienia i wszystkich wypuścili. Bez walki, bez hałasu. Wśród uratowanych znalazła się i Piasecka, która ociągała się z zażyciem trucizny i o którą najwięcej chodziło [1]).

W Potoku (pow. biłgorajski) ludzie z lasu zlikwidowali bardzo szkodliwego Ukraińca Byka. W odwecie nacjonaliści wymordowali we wsi wielu Polaków. M. in. zginął miejscowy ksiądz Nowosad, organista i 18-letnia córka b. posła Kondysara, który przebywa w obozie w Oranienburgu.

Dostałem nową serię fotografii „z lasu". Przysłano mi również kilkanaście numerów „Powstańca", wychodzącego w 200 egzemplarzach w obwodzie biłgorajskim. Wydawcą i redaktorem jest „Łowicki". W ostatnich czasach moje zbiory regionalne znacznie się powiększyły. Żeby się tylko uchowały!

28 grudnia

Wczorajszej nocy Gestapo biłgorajskie aresztowało w Zwierzyńcu Adama Karpińskiego i kpt. zawodowego Gąsiorowskiego z żoną. Ubiegłej nocy wzięto 2 robotników z browaru, braci Jasinów. Karpiński i Gąsiorowski politycznie nie byli zaangażowani i przyczyną ich aresztowania były, zapewne, jakieś interesy handlowe. Wzięto też Czernicką, córkę policjanta, który zmarł w Oświęcimiu.

---

[1]) Patrz „wydawnictwo Materiałów......" t. II, Zamość 1946. Piasecka Maria: „Kurierka, Gestapo i „bandziory", str. 58—77. — W tomie IV tegoż „Wydawnictwa...", Zamość 1947. Selim (Wraga): „Uwolnienie więźniów w Biłgoraju 20 grudnia 1943 r.", str. 71—82 i Orsza: „Drugie odbicie więźniów w Biłgoraju (20 grudnia 1943)", str. 82—87.

31 grudnia

Poznałem dziś por. „Woynę", popularnie zwanego „małym Adasiem". Przyjechał do nas wraz z innymi gośćmi (wyłącznie z partyzantki). Zrobił bardzo dobre wrażenie.

Karpińskiego i Gąsiorowskiego zwolniono, Gąsiorowską jeszcze trzymają. Czernicką wywieźli do Zamościa.





1944
Ich habe stets
eude an meiner Po
Deutsche Rei
wechselt auch die Erde
unerwarteten Gesichtern. Jedes aber ist
gewaltiger Anstrengungen.
von besonderer
ihr Aussehen
Tarnmaßnahmen
das Bild
erscheinen.
Krieg,
die Menschen.
zeigt sie sich mit
harten Zweckes,
ganze Landstriche
durch Tarnmaßnahmen.
verschwanden.
Verteidigung.
In den Kämpfen gegen kommu-
nistische Banden in den unüber-
sichtlichen Landstrichen West-
sich jüngst
Einsatz unserer Kriegsmarine

2 stycznia 1944

Wczoraj zaczęliśmy nowy rok. Wszyscy są święcie przekonani, że będzie to ostatni rok wojny. Tym więc chętniej go witano.

Dwa dni — wczoraj i dzisiaj — spędziłem w Zwierzyńcu. Niektórzy bawili się ochoczo, głównie przy kieliszku, inni znów są mocno niespokojni, wyczuwając, że coś wisi w powietrzu. Ostatnie aresztowania (Czernicka i Jasinowie) i poszukiwania pewnych osób (Praschilowa) wskazują, że gestapowcy węszą coś nie na żarty. Dużo osób nie nocuje w domu.

Przed paru dniami ze zwierzynieckiej kompanii uciekło 11 Turkmeńczyków.

6 stycznia

Wczoraj w Zwierzyńcu ludzie „z lasu" uprowadzili młodego Tatulińskiego, policjanta, którego ojciec też jest policjantem w Zwierzyńcu, przedtem zaś był w Szczebrzeszynie. Młody Tatuliński miał bardzo złą opinię i dawno już był na oku.

Mieliśmy dziś gości ze Zwierzyńca. Zrobili nam wielką przyjemność przywożąc ze sobą komendanta obwodu „Adama" i dowódcę konnego zwiadu „Sępa". Takie odwiedziny nadzwyczajnie podnoszą wszystkich na duchu.

Wczoraj w Szczebrzeszynie aresztowano b. woźnego sądowego Niedzielskiego. Wzięto go już po raz drugi. Przez pewien czas siedział już na Majdanku.

7 stycznia

Dziś rano spaliły się składy monopolowe z tytoniem i wódką w Zwierzyńcu.

Z Majdanku wypuszczono Postulskiego, aresztowanego 1 lipca 1943 r., ostatniego z grupy jedenastu znaczonych na czole literą „W".

W związku z nową ofensywą radziecką i przekroczeniem przez wojska radzieckie granicy Polski daje się u nas ponownie zauważyć wyraźne

podniecenie. Zwiększa się też obawa przed możliwymi nalotami. Miasteczko nasze podzielono na kilka obwodów, wyznaczając komendantów OPL. Uwaga ludności coraz bardziej zwraca się ku lasowi. Jaka będzie postawa „ludzi z lasu", gdy zaczną stąd wyjeżdżać Niemcy, a zbliżać się Rosjanie?

9 stycznia

Przed paru dniami uprowadzono do lasu wójta z Józefowa Giełczyka, u nas zaś wczoraj wieczorem na Błoniu zabito gajowego Surmacza. Uważany był za szpiega niemieckiego. Zapewne przeczuwał, że spotka go coś złego, bo w domu nie nocował i zawsze wieczorem przychodził do Szczebrzeszyna. — Powszechnym tematem rozmów pozostaje nadal ofensywa radziecka na wschodzie, bo też burza od wschodu przybliża się ku nam coraz wyraźniej.

10 stycznia

Byłem w Zwierzyńcu. U Kalweitów poznałem kpt. „Żegotę" [1]) i rtm. „Miecza" [2]) zastępcę inspektora Kaliny.

Przez trzy godziny siedziałem w Archiwum Ordynacji Zamojskiej przeglądając akta potrzebne mi do mojej pracy.

12 stycznia

Oficjalny komunikat niemiecki podaje dzisiaj, że wojska radzieckie są już na zachód od Sanu. Stugębna plotka, przywieziona z Zamościa, mówi o zajęciu Pińska, o ostrzeliwaniu z artylerii i o pożarze Kowla. Coraz więcej uciekinierów ze wschodu. Każdy co innego mówi. W rezultacie nie wiemy, czy Niemcy zmuszają do ewakuowania się i kogo, czy tylko urzędników, czy też wszystkich, jak obchodzą się z pozostającymi, a dalej, jak zachowują się wojska radzieckie na zajętych terenach. Nastrój ogólny pełen podniecenia. Wszyscy mówią tylko o zbliżaniu się frontu i o możliwości zjawienia się wojsk radzieckich w krótkim czasie i u nas. Niemcy starają się zachować spokój i wszystko na pozór robią tak, jakby im nic nie groziło. Sporadyczne aresztowania na naszym terenie trwają nadal. Ubiegłej nocy aresztowano w Szczebrzeszynie Czesława Guzowskiego, w Zwierzyńcu 6 osób ze środowiska robotniczego.

14 stycznia

W szpitalu umarła dziś stara, bardzo zasłużona pielęgniarka, siostra Zofia Klimczuk. Była ona prawosławną zakonnicą w klasztorze w Radecznicy jeszcze przed pierwszą wojną światową. I przed tą wojną przysłano ją do tutejszego szpitala na pielęgniarkę. Pracowała z bezprzykładnym

[1]) Tadeusz Sztumberk-Rychter.
[2]) Mieczysław Rakoczy.

poświęceniem. W roku 1931 zachorowała na zapalenie opon mózgowych, po czym wywiązały się ciężkie powikłania w rdzeniu i kręgosłupie. Nieruchomo przeleżała w łóżku 13 lat i dopiero dzisiaj życie swe zakończyła. W czasie swej długiej choroby podyktowała mi swoje wspomnienia o klasztorze prawosławnym w Radecznicy. Bardzo ciekawe, zawierające dużo zupełnie nieznanych nam szczegółów.

15 stycznia

Po wsiach Niemcy przeprowadzają aresztowania wśród chłopów. Dzisiejszej nocy przyszli i po nauczyciela w Czarnymstoku Bohuna, który przed wojną był nauczycielem w Szczebrzeszynie. Ten nie dał się wziąć żywcem. Strzelił do żandarma ciężko go raniąc, po czym sam zginął. Jeszcze nie wiemy, czy popełnił samobójstwo, czy też został zabity przez Niemców.

Uciekinierów ze wschodu coraz więcej. Rozmawiałem dziś z młodym urzędnikiem ze starostwa w Ostrogu. Przyjechał do Szczebrzeszyna do rodziny dzisiaj rano. Uzupełnił on różne wiadomości, jakie dochodziły do nas o tym, co się dzieje na kresach. W prostej linii wojska radzieckie są od nas w odległości niecałych 200 km. Dla wojsk zmotoryzowanych jest to przestrzeń stosunkowo bardzo mała. Wszystkie miasta na Wołyniu są w stanie ewakuacji, jednak ludność polska w głównej swej masie pozostaje na miejscu. Wyjeżdżają tylko z konieczności urzędnicy starostwa, poczty, kolei itp., przede wszystkim zaś Volksdeutsche i „gorliwcy", którzy obawiają się rozrachunku za swoją działalność proniemiecką. Panuje ogólne przekonanie, że tym razem Niemcy nie zdołają już zatrzymać wojsk radzieckich. Dają się zauważyć coraz wyraźniejsze objawy dezorganizacji nie tylko w administracji niemieckiej lecz i w wojsku. Niemcy są już na wykończeniu. Chwieje się ich potęga, zbliża się kres panowania niemieckiego niemal nad całą Europą. Takie panuje u nas ogólne przekonanie, lecz bardziej krytycznie myśląca część społeczeństwa zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że czekają nas jeszcze ciężkie przeprawy.

Ja wciąż mam wrażenie, że może Niemcy skapitulują zanim przyjdą tu wojska radzieckie i tym sposobem nie będziemy terenem walk.

U mnie w szpitalu nikt nie ma zamiaru uciekać na zachód wraz z Niemcami. W krytycznej chwili część służby rozpierzchnie się, ale gros pracowników pozostanie. Najtrudniej będzie utrzymać wszystko w jakim takim porządku podczas ewentualnego bombardowania miasteczka przez wojska radzieckie i w chwili wycofania się Niemców. Tego momentu obawiam się najwięcej. — Na terenie naszej obecnej gminy Dorfführerów powołano na front. W magistracie robią dokładne spisy wszystkich Niemców. Wczoraj żandarmeria wzięła z magistratu spisy ludności polskiej.

19 stycznia

U nas właściwie nie bardzo jeszcze znać, że front coraz to się przybliża. Ruch na szosie normalny. Nieliczni uciekinierzy siedzą w domu u swych krewnych. W Zamościu natomiast pełno przejeżdżających w kie-

runku na Lublin i na Lwów samochodów z cywilami i wojskowymi, z rzeczami, walizami itp. Często jeden samochód ciągnie za sobą parę innych na sznurach lub łańcuchach. Typowe objawy odwrotu. Podobnie jak u nas we wrześniu 1939 r.

Wszyscy trwamy w oczekiwaniu decydujących rozstrzygnięć na wschodzie. Spodziewamy się też za kilka tygodni jakiejś akcji ze strony „lasu". Niektórzy są mocno zaniepokojeni krążącymi uporczywie pogłoskami o mających nastąpić aresztowaniach. O sporadycznych aresztowaniach po wsiach dowiadujemy się prawie co dzień.

20 stycznia

Dziś przez Szczebrzeszyn po raz pierwszy w większej liczbie przeszły furmanki z uciekinierami ze wschodu. „Czarni" mają coraz bardziej niewyraźne miny i nie są tak pewni siebie. Wśród ludności duże wrażenie zrobiła wiadomość o zerwaniu pertraktacji między rządem polskim w Londynie a rządem radzieckim.

21 stycznia

Na kolei nowe ograniczenia. Polakom nie wolno jeździć pociągami pośpiesznymi. Zresztą i jazda zwykłymi pociągami bywa wielce utrudniona i nawet niebezpieczna. Dziś np. w rannych godzinach w Zawadzie gestapowcy zatrzymali trzy pociągi osobowe, wysadzili z nich wszystkich cywilów łącznie z Volksdeutschami, legitymowali, przeprowadzili rewizję osobistą, po czym wypuścili tylko niektórych, większość zaś pasażerów powieźli gdzieś samochodami, prawdopodobnie do Zamościa. Wszystkie pociągi przepełnione są Wehrmachtem. Przez Zamość w dalszym ciągu suną samochody z uciekinierami ze wschodu, nawet już z Włodzimierza. U nas na razie spokój.

23 stycznia

Mam do zanotowania parę wydarzeń. W okolicach Krasnobrodu ostrzelano w lesie furmankę, na której jechało kilka osób cywilnych i jeden żandarm niemiecki. Żandarm został zabity, ale zginął równocześnie gajowy Podobiński, bardzo porządny człowiek, „swój".

Wczoraj wieczorem uciekło 26 młodych Żydów spośród 400 zatrudnionych na lotnisku w Klemensowie. Wczoraj między godziną 18 i 19 dokonano napadu na Hurtownię w Zwierzyńcu, położoną w bliskim sąsiedztwie posterunków żandarmerii i policji oraz urzędu gminnego. Zabrano różne artykuły, maszynę do pisania i bez mała 700 litrów wódki. W tym czasie w gminie było Schupo. Do wywiezienia skrzyń z wódką wzięto furmanki stojące przed gminą, zarezerwowane dla Niemców. Robota była wyjątkowo „czysta" i sprawna.

28 stycznia

Wczoraj rano Gestapo ponownie aresztowało Postulskiego, który przed paru tygodniami powrócił z Majdanka. Wywieziono go od razu do Zamościa.

U nas szaleje epidemia grypy. W szpitalu w ciągu tygodnia zachorowało na nią 14 osób spośród personelu i służby. Ja leżę już szósty dzień.

5 lutego

Powoli przychodzę do siebie po grypie, lecz daleko mi jeszcze do względnego zdrowia. Już prawie dwa tygodnie nie wychodziłem z domu i o tym, co się dzieje, wiem tylko z opowiadań. We środę 2 lutego Zwierzyniec przeżył straszne chwile. Niemcy przywieźli z więzienia w Zamościu 20 aresztowanych pochodzących z gminy Zwierzyniec. Spędzili na rynek wszystkich prawie pracowników biur i urzędów, jak również i ludzi z prywatnych mieszkań i tu przystąpili do wykonania publicznej egzekucji przez rozstrzelanie przywiezionych 20 ofiar, najzupełniej zresztą niewinnych. Przed egzekucją oficer Gestapo odczytał czystą polszczyznę wyrok, opiewający, że tacy to a tacy, będą rozstrzelani za to, że niedawno został zabity niejaki Ostaszewski ze Zwierzyńca, b. uczeń gimnazjum w Szczebrzeszynie, a ostatnio szofer w Biłgoraju, który był na usługach Gestapo [1]). Wśród rozstrzelanych było trzech pracowników z fabryki „Alwa", karpiniarz Józef Skiba, wyjątkowo porządny i wartościowy człowiek, robotnicy: Pietruszka - ojciec i 18-letni jego syn, z Tereszpola dwóch Wolaninów (ojciec i syn), z Bagna dwóch Kierowskich i in. Niektórzy ze skazańców błagali o darowanie im życia i rozpaczali. Większość milczała, paru zaś śpiewało „W mogile ciemniej..." [2]). Tak mi opowiadano. Staram się o dokładną relację z przebiegu egzekucji napisaną przez któregoś z naocznych świadków.

We czwartek 3. II. przyszedł do szpitala komendant żandarmerii i zażądał przygotowania 15 łóżek z pościelą specjalnie przeznaczonych dla ewentualnych rannych od wybuchu bomb lotniczych. W każdej chwili muszą być gotowe do użytku i to obowiązkowo na parterze, a nie na piętrze. Z tego wnioskujemy, że Niemcy coraz poważniej obawiają się nalotów radzieckich.

Dzisiejszy komunikat urzędowy przyniósł sensacyjną wiadomość o zajęciu przez armię radziecką Równego i Łucka. Już wczoraj o tym mówiono, lecz nie mogliśmy wierzyć, żeby to mogło być prawdą. Dzisiaj z Zamościa przywieźli ludzie wiadomość, że Rosjanie podchodzą do Włodzimierza. Wśród miejscowych Niemców silne podniecenie i zaniepokojenie. Wszystkich ich zwołano na jakieś zebranie. Jutro dowiem się, o czym tam była mowa. — Gdyby armia radziecka w takim tempie po-

[1]) Patrz w t. IV „Wydawnictwa materiałów..." w pracy Czerwienia „Fragmenty z dziennika działań drużyn dywersyjnych Obwodu Biłgorajskiego" rozdział III pt. „Likwidacja konfidenta Ostaszewskiego" str. 54, 55.

[2]) Patrz w t. I „Wydawnictwa materiałów..." artykuł „Egzekucja w Zwierzyńcu", str. 106—108.

suwała się na zachód, to do nas mogliby przyjść już za parę dni. Chodzi tylko o to, czy zatrzymają się na jakiś czas na Bugu, czy też przekroczywszy go pójdą dalej. Większość ludzi ani myśli ruszać się z miejsca. Przygotowują się do wyjazdu tylko co gorliwsi Volksdeutsche.

W lasach też idą gorączkowe przygotowania. Niektóre tereny leśne są tak obstawione, że nikt obcy nie ma do nich wstępu. W przyśpieszonym tempie gromadzi się broń. W Zwierzyńcu pełno sztabowców partyzanckich. Chodzą po osadzie w biały dzień, niczym się nie krępując. Biorą nawet czynny udział w życiu towarzyskim. W niektórych domach są codziennymi gośćmi.

7 lutego

Żadnych pewnych wiadomości o najwięcej obchodzącym nas terenie, froncie wschodnim za Bugiem, nie mamy. Jedno jest pewne, że wojska radzieckie podchodziły już pod Włodzimierz, ale czy go zajęły — nie wiemy. Wczoraj przez Szczebrzeszyn po południu przejeżdżały długie sznury furmanek z jakimiś półwojskowymi, z cywilami, z rzeczami itp. Wszystko w kierunku na zachód, na Zwierzyniec. Mówili po niemiecku, po ukraińsku, ale nikt nie mógł się zorientować, co to byli za jedni.

Z Łabuń i z całej gminy Krasnobród wyjechali już wszyscy nasiedleni „czarni". Na jedną rodzinę przydzielono po 6 furmanek. Zabierali wszystko co się da, w niektórych wypadkach nawet blachę z dachu, kafle z pieca itp. Hrubieszów prawdopodobnie się ewakuuje, poczta nie przyjmuje już żadnych przesyłek ani depesz adresowanych do tego miasta.

W poniedziałek nie mamy gazet, a więc i oficjalnych komunikatów wojennych. Wszyscy z niecierpliwością oczekujemy wtorkowego ranka — dostaniemy „Nowy Głos Lubelski" z komunikatami z dwóch dni.

Nasi „czarni" denerwują się, ale jeszcze siedzą na miejscu. Na sobotnim zebraniu omawiano tylko konieczność wzmocnienia warty nocnej. Ludzie zaczynają się niecierpliwić, chcieliby, żeby już prędzej nastąpiło to, co zdaje się, że jest nieuniknione. Walki z wojskami radzieckimi toczą się od nas w odległości około 100 km w linii powietrznej. Nie widzimy jeszcze na naszym terenie żadnych rezerw niemieckich. Wszystkich bardzo niepokoi sprawa porozumienia polsko-radzieckiego. Na ten temat krążą najrozmaitsze wieści i plotki. Nic nie wiemy jak te rzeczy stoją w rzeczywistości. A przecież od tego tak dużo zależy.

Prawie całe dnie spędzam teraz przy maszynie, przepisując swą pracę o dawnej medycynie w Zamojszczyźnie.

Wczoraj dostałem miły prezent: kieszonkowy kalendarzyk na rok 1944, oprawny w białe płótno, z rysunkami, cały ręcznie wykonany. To Warszawa przysłała na gwiazdkę takie kalendarzyki dla naszych partyzantów.

8 lutego

Wczoraj ustała wszelka komunikacja pocztowa i telefoniczna z Hrubieszowem. Dzisiaj to samo ze Lwowem. Gdzie faktycznie znajdują się

wojska radzieckie dokładnie w dalszym ciągu nie wiemy. Przez miasto przeciągały dziś jakieś tabory konne, poprzedzane jedną tankietką i kilkoma motocyklistami. Wczoraj w cukrowni „Klemensów" zdjęto wartę składającą się z żołnierzy „Sonderdienstu". Służbę wartowniczą będą pełnili sami robotnicy, którzy dostaną nawet broń. Od paru dni czynny jest już szpital wojskowy w pałacu Zamoyskich w Klemensowie. Rannych przywożono z pociągu nie samochodami, lecz sankami.

Nasiedleni Niemcy całkiem jawnie coraz bardziej denerwują się i niepokoją.

9 lutego

W Zamościu były liczne aresztowania. Na razie wiemy tylko, że wzięto dwóch młodych Fenców, uczniów gimnazjum, których ojciec, nauczyciel gimnazjum, już od r. 1940 przebywa w obozie w Oranienburgu. Innych nazwisk nie znamy.

Wczoraj wieczorem wojska radzieckie zajęły Włodzimierz.

Tabory przechodzące przez Szczebrzeszyn mają wręcz żałosny wygląd. Jakaś nieokreślona mieszanina wojskowych i cywilów z kobietami i dziećmi, a przy tym mnóstwo rozmaitego sprzętu wojskowego i domowego rupiecia. Zamość i szosa hrubieszowska podobno zatłoczone są furmankami z uciekinierami zza Buga i z okolic Hrubieszowa. Prawdziwego, regularnego wojska jeszcze nie widzimy, jak również jakichkolwiek rezerw. Niektórzy twierdzą, że wojska radzieckie całe duże tereny zajmują prawie bez żadnego oporu ze strony Niemców. „Nasi" Niemcy dotychczas siedzą na miejscu i denerwują się, że jeszcze nie mają nakazu do wyjazdu, pomimo szybkiego zbliżania się Rosjan. Z napięciem oczekujemy, co nam przyniosą najbliższe dni.

11 lutego

W Zamościu przed paru dniami aresztowano dwadzieścia kilka osób. Oprócz dwóch młodych Fenców wzięto nauczyciela gimnazjum żeńskiego polonistę Bojarczuka, który zajmował posadę stróża nocnego w jednym z zamojskich młynów. Specjalnie starał się o tego rodzaju zajęcie, żeby nie nocować w domu. Dalej aresztowano nauczyciela szkoły powszechnej Begiełłę, podoficera Kozłowskiego, kupca Kruka, jakąś młodą pannę Jaworską, którą wzięto za brata, 8 osób ze „Snopu", kilku robotników itd. Ustalenie nawet tylko ogólnej liczby jest niemożliwe, a tym bardziej wszystkich nazwisk. Nie można też dojść jaka była przyczyna tych aresztowań. Istnieje przypuszczenie, że wzięto ich jako zakładników, którzy będą rozstrzelani w razie jakichś napadów terrorystycznych na Niemców.

U nas wczoraj i dzisiaj nastąpiło jak gdyby pewne uspokojenie. Nie widać taborów ani furmanek z uciekinierami. Mamy wrażenie, że na najbliższym od nas odcinku ofensywa radziecka utknęła, przynajmniej nic nie słyszymy o jakimkolwiek posuwaniu się wojsk radzieckich.

Wczoraj do Biłgoraja i do Zamościa ściągnięto wszystkich wójtów, księży, przedstawicieli rozmaitych instytucji i urządzono coś w rodzaju wieców. Mówiono o grożącym niebezpieczeństwie „bolszewickim" i zapytywano obecnych czy wolą być pod Niemcami, czy też pod „bolszewikami". Oczywiście obecni albo milczeli, albo zapewniali, że wolą Niemców, bo przecież inaczej mówić nie mogli. Zgłoszone odpowiednie rezolucje zostały jednogłośnie uchwalone i natychmiast przesłane na ręce Generalnego Gubernatora Franka. Niektórzy obawiają się, że takie „spontaniczne wyrażenie chęci współdziałania z Niemcami w walce z bolszewikami" może posłużyć Niemcom za pretekst do jakiejś mobilizacji na ziemiach polskich. Bo po nich wszystkiego można się spodziewać.

13 lutego

Pozawczoraj Niemcy z samolotów zbombardowali 6 wsi w okolicy Lipy w powiecie biłgorajskim. Podobno jest bardzo dużo ofiar. Jakaś większa grupa konnicy rosyjskiej przedarła się przez Kamionkę Strumiłową, Żółkiew na Jarosław. Radzieckie oddziały z naszych lasów poszły w kierunku na Rawę Ruską. A dziś rano koło „Malowanego Mostu" — jakieś 5 km od Zwierzyńca w kierunku Florianki — niespodziewanie zjawił się patrol radziecki. Co to wszystko znaczy — nic nie rozumiemy. Wczoraj i dzisiaj widziałem kilku sztabowców „leśnych". Mogłem zauważyć, że niewiele lepiej od nas orientują się w ogólnej sytuacji. — W lasach ruch ożywiony. W danej chwili odbywa się kurs podoficerski i kurs sanitarny. Prowadzi go jakiś młody lekarz ze Starachowic (?).

14 lutego

Nastrój pełen podniecenia. Wszyscy mówią głównie o wojskach radzieckich, o zbliżaniu się ich do nas i to ze strony całkiem niespodziewanej, bo nie od Bugu, lecz z południa. Ci co przyjechali od Bełżca powiadają, że jakieś oddziały radzieckie zajęły Cieszanów i posuwają się w kierunku na Biłgoraj. Niektórzy twierdzą, że już nawet słyszą jakieś detonacje. Zresztą wrażliwość słuchowa jest taka, że byle stuknięcie wydaje się ludziom detonacją. Ja osobiście nic jeszcze nie słyszałem.

Z Zamościa przywieziono nam wiadomość, że gestapowcy pakują się i przygotowują do ewentualnego wyjazdu.

15 lutego

Sytuacja coraz bardziej naprężona. Dziś w nocy wysadzono dwa mosty kolejowe: koło Suśca i koło Długiego Kąta. Rano pociąg osobowy od strony Rejowca, w składzie zaledwie trzech wagonów, doszedł tylko do Zwierzyńca. Dalej żadne pociągi nie idą. Linia kolejowa, która jeszcze przed kilkoma dniami przepuszczała po kilkadziesiąt pociągów na dobę,

teraz jakby zamarła. Dziś nie mieliśmy żadnej poczty ani gazet, nawet z Lublina. W ciągu dnia napływały różne wiadomości, trudne na razie do sprawdzenia. Mówiono np., że oddziały radzieckie zajęły Józefów, a następnie Łukową i Osuchy. Po południu rozeszła się wiadomość, że „sowieci" są już w Tarnogrodzie i zbliżają się ku Biłgorajowi. Między godz. 4 a 5 po południu przejechały przez Szczebrzeszyn na Zamość liczne samochody z lekarzami i siostrami miłosierdzia ze Zwierzyńca, gdzie ostatnio byli zakwaterowani. Wkrótce potem pokazały się samochody z żandarmami, policją polską i urzędnikami Niemcami, wywożącymi swe rodziny z Biłgoraja. Nie mamy więc już wątpliwości, że Biłgoraj się ewakuuje. „Nasi" Niemcy — nasiedleni z rodzinami i Volksdeutsche niepokoją się coraz bardziej, pakują się i tylko czekają na rozkaz wyjazdu. Jak dotychczas władze niemieckie starają się jednak utrzymać ich na miejscu. Roztoczono nad nimi tak ścisły nadzór, że mieszkający na wsi nie mogą nawet do Szczebrzeszyna przyjechać bez specjalnego zezwolenia swojego Dorfführera.

Tak więc oddziały radzieckie coraz wyraźniej zbliżają się do nas. Prawdopodobnie są to przeważnie oddziały dawno przebywające w naszych lasach, lecz podobno są i oddziały zupełnie regularnego wojska, które przedostały się ze wschodu na tak głębokie tyły niemieckie. Wojsk niemieckich nie widać absolutnie żadnych. Ludność polska z wyjątkowym spokojem oczekuje teraz spodziewanych wydarzeń. Niektórzy tylko niecierpliwią się, żeby już prędzej nastąpiło to, co ma być i żeby już można było dobrać się do niemieckiej skóry. Ludzie kładą się spać z jedyną myślą — co nam przyniesie jutrzejszy dzień?

16 lutego

Wczoraj o 10 rano wysadzono (podobno Rosjanie) most na Tanwi między Biłgorajem a Tarnogrodem, niedaleko Księżopola. Dzisiejszy dzień nie przyniósł nam nic nowego. Od niedzieli nie mamy żadnych gazet i nie wiemy, co się dzieje na świecie i na frontach.

17 lutego

Ubiegłej nocy spalono stację kolejową w Suścu. Dziś rano o godz. 10 minut 20 usłyszeliśmy daleką, lecz bardzo silną detonację. Do wieczora nie mogliśmy dowiedzieć się, co to było. Krążą tylko na ten temat różne plotki i domysły. Poczty i gazet w dalszym ciągu nie mamy. Jesteśmy odcięci od świata. Zresztą nie wiemy nawet dobrze co się dzieje w najbliższych okolicach, w Biłgoraju, Tarnogrodzie, Józefowie, we wszystkich otaczających nas lasach, gdzie są teraz „bolszewicy", dokąd się posuwają, jakie są ich siły itd. A nasi „ludzie z lasu" już od niedzieli się nie pokazują, znikąd więc nie można zasięgnąć pewnego języka.

Po całych dniach piszę na maszynie.

18 lutego

Wczoraj rano w pobliżu lotniska w Mokrem spadł bombowiec niemiecki i rozbił się doszczętnie. Stąd ta detonacja, którą słyszeliśmy wczoraj rano. Tak przynajmniej twierdzą mieszkańcy Zamościa. Dzień dzisiejszy nie przyniósł nam nic nowego, chyba tylko, że otrzymaliśmy wreszcie pocztę i gazety z kilku dni.

19 lutego

Na naszym odcinku nastąpiło jak gdyby pewne odprężenie. „Sowieci" chyba zatrzymali się w swoim pochodzie, lub przesunęli się w inne okolice, bo mniej się o nich słyszy. W Biłgoraju urzędy niemieckie znów zaczęły funkcjonować mniej więcej normalnie. W Zamościu spokój zupełny. U nas też.

20 lutego

Wczoraj 4 samoloty niemieckie zrzuciły bomby koło Osuch pod Józefowem, a potem ostrzeliwały lasy z karabinów maszynowych. Duża liczba żandarmów prowadzi obławę na oddziały radzieckie znajdujące się w lasach Zamojszczyzny. W związku z tym i nasze oddziały partyzanckie znalazły się w bardzo ciężkiej sytuacji. Do komendy w Zwierzyńcu dotąd nie doszły żadne meldunki. „Adam" jest zdenerwowany w najwyższym stopniu. W Zwierzyńcu pełna żandarmów. Jeździć można tylko do godz. 5 po południu, chodzić do 7, lecz już po godz. 5 wszystkich spotkanych Niemcy legitymują.



Ubiegłej nocy wysadzony został duży żelazny most między Izbicą a Krasnymstawem. Pod tym mostem przebiega szosa z tak dobrze znanym wszystkim automobilistom zakrętem.

Oddziały radzieckie podobno przesuwają się z okolic Tarnogrodu dalej na zachód, na teren powiatu janowskiego.

21 lutego

Z lasu nadeszły wiadomości, że nasi wydobyli się z matni. Szczegółów jeszcze nie znamy, wiemy tylko, że sytuacja była bardzo ciężka. Niektórzy odmrozili sobie nogi. Paru przewieziono do wsi pod Szczebrze-

szynem. Posłałem pielęgniarkę dla opatrzenia tych odmrożonych. Jednego jutro przywiozą do szpitala.

Dzisiejszej nocy zlikwidowano w Zwierzyńcu siostrę, matkę i babkę zabitego przed kilkoma tygodniami szofera — konfidenta Ostaszewskiego. W Zwierzyńcu panuje ogólne przerażenie. Ludzie zaczynają się ukrywać, kto może wyjeżdża, bo przy ostatniej egzekucji Niemcy zapowiedzieli, że w razie powtórzenia się jakiegoś napadu mieszkańcy Zwierzyńca będą zdziesiątkowani.

22 lutego

Na terenie całego powiatu biłgorajskiego chodzić można tylko do godziny 6 po południu. Wszystkie mosty są pilnowane. U nas na Wieprzu koło szpitala też stoi warta z jeńców radzieckich. Znowu już piąty dzień nie mamy gazet.

23 lutego

Zabity został burmistrz m. Tarnogrodu Kraus, znany działacz ukraiński i wróg Polaków, rodzony brat naszego burmistrza Ukraińca-Volksdeutscha Andreasa Krausa. Uciekł on z Tarnogrodu przed Rosjanami. Gdzieś go jednak przyłapano.

25 lutego

Wczorajszy dzień minął spokojnie, za to dzisiejszy od rana dawał nam sporo emocji. Najpierw dowiedzieliśmy się, że Rosjanie zajęli Susiec, byli pod Białym Słupem, podchodzili pod sam Zwierzyniec, wreszcie udali się w kierunku na Kosobudy. Zwierzyniec od rana był otoczony przez Niemców. Nikogo — jak mi mówiono — nie wypuszczano i nikogo do osady nie wpuszczano. Po południu przywieźli nam do szpitala kolejarza, który jadąc sankami z Długiego Kątu do Zwierzyńca natknął się na minę podłożoną na drodze przez partyzantów radzieckich tuż w pobliżu Zwierzyńca. Mina wybuchła, kolejarz został ciężko ranny, drugi jadący z nim mężczyzna zabity, trzeci lżej ranny. Rannemu kolejarzowi trzeba było natychmiast amputować nogę powyżej kolana. Pod wieczór wrócił z Zamościa intendent szpitala i przywiózł szereg sensacyjnych wiadomości: dziś rano około godz. 10 radzieckie oddziały zajęły kilka wsi niedaleko Zamościa: Kosobudy, Wieprzec, Wychody, Białowolę, Zarzecze, Lipsko. Starostwo z Biłgoraja już po raz drugi przeniosło się do Zamościa. — Na kolei pomiędzy Szczebrzeszynem a Rawą Ruską tor kolejowy przerwany jest w 3 miejscach. U nas pociągi dochodzą tylko do Zawady. W kierunku na Biłgoraj jedzie trochę wojska i żandarmów. Trafiają się pancerki, czołgi, armaty itp. Trzy czołgi trafiły na miny i wyleciały w powietrze.

Notuję to, co słyszałem i uważam za mniej więcej pewne, bo najrozmaitszych plotek krąży nieskończona ilość. U nas w mieście też podniecenie niemałe. Przecie do Kosobud od nas jest niecałe 12 km. A i w Roz-

łopach (3 km od miasta) dziś w nocy była jakaś „banda", tylko nie możemy się dowiedzieć jaka. W każdym razie zajęcie przez Sowietów na kwatery kilku wsi tuż pod samym Zamościem dla wszystkich jest wielką niespodzianką i zapowiedzią, być może, jakichś decydujących dla nas posunięć.

27 lutego

Wczorajszy dzień minął spokojnie. Było jakieś starcie oddziału radzieckiego z Niemcami w Lipsku, ale szczegółów pewnych nie znamy.

Dzisiaj przybył do szpitala „Grom" ze zranioną prawą dłonią na skutek przypadkowego strzału podczas przeglądu broni w swoim oddziale. Przywiozło go z lasu do Kawenczyna kilku oficerów w pełnym umundurowaniu ze wszystkimi dystynkcjami, uzbrojonych od stóp do głów.

28 lutego

„Grom" jest tak popularny, że wieść o jego zranieniu szybko rozniosła się po lesie i po wsiach. Dla bezpieczeństwa wypisał się dzisiaj ze szpitala i ulokował w jednej z pobliskich wsi.

Byli u nas dzisiaj „Podkowa" i „Sęp", uzbrojeni jakby chodzili po lesie. Nadzwyczajne typy, zwłaszcza Podkowa. Zaprzysiężono dwie moje pielęgniarki.

Bardzo przykre są teraz tarcia w środowisku oficerów partyzanckich. Wzmaga się zwłaszcza niechęć w stosunku do komendanta „Adama". Rośnie natomiast nadzwyczajnie popularność „Groma" i „Podkowy".

Dochodzą nas mętne wiadomości o Tarnogrodzie. Podobno jakaś grupa ukraińska wybiła pewną ilość Polaków, w tym i dra Kryszkiewicza, dyrektora szpitala epidemicznego. Miała to być rzekomo zemsta za zabicie burmistrza Krausa.

2 marca

Wiadomość o zamordowaniu przez Ukrańców w Tarnogrodzie 4 Polaków spośród miejscowej inteligencji potwierdza się. Największe wrażenie zrobiła śmierć dra Kryszkiewicza, młodego, trzydziestoparoletniego lekarza, dalekiego od wszelkiej polityki, oddanego wyłącznie swojemu szpitalowi i zawodowi lekarskiemu. Jesteśmy pewni, że z polskiej strony będzie niemały odwet.

W okolicach Tarnogrodu i Józefowa oddziały radzieckie znów zajęły szereg wsi. Wydaje się, że to jakaś nowa formacja posuwa się ku Biłgorajowi. Okolice Janowa i Kraśnika całkowicie opanowane są przez Rosjan. W hrubieszowskiem też bardzo dużo partyzantów radzieckich. Powoli pierścień się zacieśnia. Niemcom pozostaje jeszcze wolna droga jedynie na Lublin.

Był dziś u mnie mój dawny uczeń z Seminarium Nauczycielskiego Antoni Radzik „Orkisz", adiutant inspektora „Kaliny".

4 marca

Na terenie Tarnogrodu i Biłgoraja działa ukraińskie SS. Oni to zabili w Tarnogrodzie kilku Polaków.

Na naszej linii kolejowej wznowiony został ruch towarowy. Pociągi idą bardzo często w obydwu kierunkach, ale tylko w dzień. W nocy pociągi nie chodzą. Dziś od godziny 2 po południu do wieczora słychać było dalekie strzały armatnie. Trudno jednak określić w jakim kierunku. Faktem jest, że oddziały radzieckie znajdują się w niezbyt dalekiej od nas odległości, wciąż zmieniają miejsca pobytu i naraz zjawiają się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewa. Toteż nic dziwnego, że Niemcy nie czują się tu bezpiecznie. Np. w Zwierzyńcu plenipotent O. Z. Bünsch i główny buchalter Grossemik nie nocują w swoich mieszkaniach, lecz na posterunku żandarmerii.

Wciąż słyszy się o różnych napadach. Niepodobna jednak wszystkich notować. Niektóre napady organizują oddziały partyzanckie, lecz niestety, bardzo wiele przeprowadzają na własną rękę i na własną korzyść poszczególni żołnierze naszych oddziałów. Dowództwo walczy z tą plagą jak może, ale nie jest w stanie całkowicie opanować tego zjawiska.

5 marca

Dzień pełen emocji. Żona z synkiem poszła rano do Kawenczyna odwiedzić „Groma". Synek wkrótce wrócił, żona zaś została i za parę godzin miała przyjechać furmanką razem z moją najbardziej doświadczoną i ofiarną pielęgniarką, Michaliną Wosińską, którą specjalnie przydzieliłem do osoby „Groma" na czas leczenia jego rany. W południe zjawiła się Michalina, a żona jeszcze została na parę godzin. Tymczasem dowiedzieliśmy się, że jakiś podejrzany osobnik wypytuje na mieście, czy był w szpitalu ranny w rękę oficer nazwiskiem Grom. Bezpośrednio potem 6 żandarmów z komendantem na czele, uzbrojonych w karabiny maszynowe, pognało na furmance w stronę Kawenczyna. Byliśmy pewni, że to wyprawa na Groma. Posłałem synka na wywiad do Kawenczyna. W niespełna godzinę potem przyszła żona z synkiem. Okazało się, że żandarmi zatrzymali się przed domem, gdzie był „Grom". Żona pierwsza zobaczyła ich przez okno. „Grom" śpiesznie zaczął wciągać buty. Przywołał jednego ze swych ludzi. Ten zameldował, że 30 partyzantów jest gotowych. „Grom" uspokoił się, zdecydowany, że żaden z żandarmów żywcem nie ujdzie. Tymczasem żandarmi, zapytawszy o coś stojącego przy płocie chłopaka, pojechali dalej, do sołtysa. Rzekomo przybyli do wsi w sprawie zabójstwa gajowego Surmacza. Po pewnym czasie wrócili do Szczebrzeszyna. Odetchnęliśmy swobodnie dowiedziawszy się, że z „Gromem" wszystko w porządku.

Na opatrunek do „Groma" dzisiaj po południu ja pojechałem. Zwykle jeździł dr Jentys lub dr Matuszewski. Po drodze przy każdej chałupie widać stojących chłopów. Martyna, z którym jechałem, objaśnia mnie, że to wszystko „swoi" albo „nasi". Wreszcie przyjechaliśmy na miejsce. Weszliśmy do dużej izby pełnej chłopów i bab. W sąsiedniej małej izdeb-

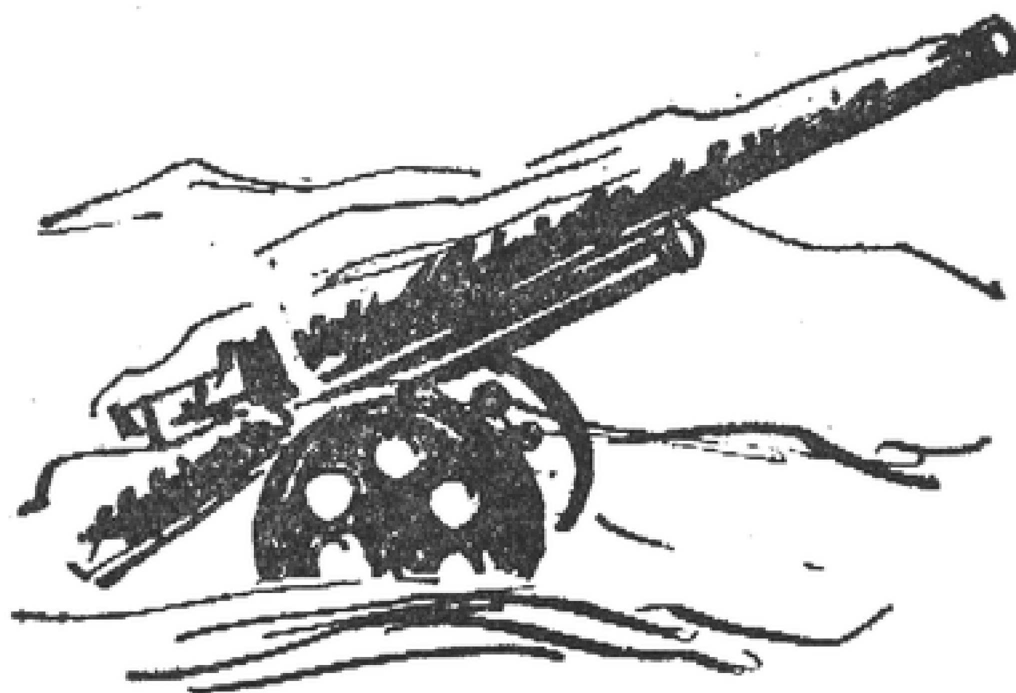
ce znajdował się „Grom", „Sęp", „Kawka" i jeszcze dwóch mężczyzn, znanych mi tylko z widzenia. Wszędzie atmosfera wręcz bojowa, widać, że tu dosłownie niemal cała wieś to jedna silna, ofiarna organizacja. Ręka „Groma" goi się znakomicie. Wróciłem pod silnym wrażeniem tego, co widziałem.

Jesteśmy najzupełniej przekonani, że żandarmi natrafiwszy na ślad „Groma" pojechali na wywiad, lecz bali się zaczynać jakąkolwiek akcję widząc postawę chłopów, których kieszenie wypchane były rewolwerami i ręcznymi granatami. Grupa chłopów stojących na drodze przed domem, w którym znajdował się „Grom" i przed sąsiednimi, to była właśnie dobrze uzbrojona warta, pilnująca go z zamaskowanym karabinem maszynowym w sadzie.

Zachodzi jednak bardzo poważna obawa, żeby Niemcy przy pomocy licznych swych konfidentów nie wykryli w końcu miejsca pobytu „Groma" i nie przeprowadzili większej obławy na niego. Co do „Groma", to jesteśmy pewni, że on w ostatniej chwili ucieknie. W każdym razie żywego go nie wezmą. Ale wieś ucierpiałaby w straszny sposób. Oczywiście łatwo ujawniłby się także bliski kontakt całego szpitala, w szczególności lekarzy, z „Gromem" i jego ludźmi.

6 marca

W południe przyjechał „Adam". Od niego dowiedzieliśmy się, że rozproszone oddziały radzieckie, albo tylko większe lub mniejsze ich patrole, zajęły szereg wsi dookoła Zwierzyńca, mianowicie Bondyrz, Guciów, Obrocz, Tereszpol, Panasówkę, Czarnystok, Lipowiec, Gorajec, niemal całą gminę Radecznicę. Jakieś oddziały przeszły w nocy przez Żurawnicę i przez Kawenczyn. W Radecznicy Rosjanie rozbroili posterunek Policji Polskiej. W dzień zjawiali się w coraz to innych wsiach, m. in. w Kawenczynku. Od rana trwały potyczki z Niemcami, zwłaszcza w Obroczy, gdzie Rosjanie się okopali. Przez cały dzień słychać było strzelaninę artyleryjską od strony Zwierzyńca. Wieczorem huk armat znacznie się wzmógł i przybliżył. W powietrzu przelatywały pociski fosforowe, piękne, jasno świecące kule. Wszystko to w pobliżu Zwierzyńca. Pociski fosforowe szły jedne w kierunku na wsie Kawenczyn, Topólcza itd., drugie na las. Około godz. 9 minut 30 wieczorem ukazał się płomień od pożaru, gdzieś jak gdyby w Żurawnicy. Słychać bardzo blisko karabiny maszynowe. O godzinie 10 minut 30 wieczorem strzelanina nie ustaje, karabiny maszynowe grają coraz bliżej.



W szpitalu silne podniecenie. Ludzie stoją na dworze lub tkwią w oknach. Obszedłem wszystkie sale dla uspokojenia chorych.

Jesteśmy przekonani, że Sowie-

ci tu długo bronić się nie będą. Przesuną się na nowe miejsce i do Szczeszyna tym razem jeszcze nie wstąpią.

Jesteśmy tylko bardzo niespokojni o nasze oddziały w lesie.

Adam został dziś u nas na noc. Denerwuje się i niepokoi o los swoich.

7 marca

Już wiemy trochę szczegółów o przebiegu wczorajszych walk. Grupa radziecka starała się przejść od strony brodzkiego lasu do Kawenczyna, przecinając tor kolejowy i szosę ze Szczebrzeszyna do Zwierzyńca, tuż koło fabryki „Alwa". W tym czasie nadchodził pociąg z transportem wojska od strony Zwierzyńca. „Sowieci" podłożyli minę, lecz większej szkody nie zrobiła. Wówczas „sowieci" z dwóch stron toru ostrzeliwali pociąg, który musiał się zatrzymać. Niemcy wyskoczyli z pociągu, zalegli w rowach przy torze kolejowym i rozpoczęła się bitwa, której przebieg właśnie obserwowaliśmy wczoraj wieczorem. W rezultacie został ciężko ranny maszynista i konduktor pociągu, były też ofiary wśród Niemców. Oddział radziecki pozostawił kilka zabitych koni i porzucił kilka wozów. Rannych i zabitych — jeżeli byli — zapewne zabrali ze sobą. Poza tym większe starcia oddziałów radzieckich z Niemcami miały miejsce koło Obroczy, dalej koło Kosobud, Zarzecza, Wieprzca i Topornicy. Te wsie ucierpiały od ognia artylerii.

Noc przeszła spokojnie. Przez dłuższy czas na szosie nie było widać żadnego ruchu, nie przejechał ani jeden samochód. O godz. 4 nad ranem nadciągnęła niemiecka kolumna samochodowa od Zamościa z pancerkami, sanitarkami, ciężarówkami itp. i zatrzymała się w mieście. Sołtysi z Dorfführerem zaczęli na gwałt ściągać furmanki z Błonia, Kawenczyna i innych pobliskich wsi. Wreszcie około godz. 9 wyruszyła z miasta wspomniana kolumna samochodowa, poprzedzana dwudziestu kilkoma pustymi furmankami, w kierunku na Zwierzyniec. Posuwano się nadzwyczaj powoli i ostrożnie. Jasne było, że Niemcy boją się min, które mogły się znaleźć na szosie i dlatego wysłali naprzód furmanki z polskimi chłopami, a dopiero za nimi jechali sami. Miny rzeczywiście były. Właśnie w tym samym czasie przywieźli do szpitala z Brodów Małych 5 chłopców poranionych od wybuchu miny, na którą jeden z nich nastąpił. Jeden chłopak został zabity na miejscu, drugi miał oberwane obie nogi powyżej kolan, czterech było lżej rannych. — W parę godzin potem przywieziono 2 rannych od pocisków artyleryjskich z Kosobud: ojciec jednego z nich został zabity na miejscu.

Próbowałem porozumieć się ze Zwierzyńcem, lecz połączenie telefoniczne od wczoraj jest przerwane.

Dochodzą do nas wieści, że oddziały radzieckie grupują się głównie na terenie gminy Radecznica zajmując szereg wsi. Linia telefoniczna do Radecznicy zerwana. Jednak prawdopodobnie Niemcy poważnie myślą o zlikwidowaniu tej dywersyjnej grupy Rosjan, bo widzimy coraz więcej wojska niemieckiego przechodzącego przez miasto. Duże oddziały niemieckie znajdują się w Biłgoraju i w Tarnogrodzie.

Wszyscy zadajemy sobie pytanie: „co będzie dalej?". — Ale ludzie tak otrzaskali się ze wszystkim, że choć mocno interesują się tym, co się dzieje, to jednak nie okazują jakiegoś większego strachu i nawet wczorajszy wieczorny bój o 3 km od miasta nie wywołał u nas żadnego zamieszania. Tryb życia się nie zmienił. Jeżeli kto denerwuje się, to tylko nasiedleni Niemcy i domorośli Volksdeutsche.

8 marca

Przez miasto przechodzi coraz więcej wojska, żandarmerii i Schupo. Jedni idą na Zwierzyniec, drudzy na Radecznicę i Gorajec, inni znów pozostają w Szczebrzeszynie. Zajęto w mieście mnóstwo kwater. Dużo żołnierzy Schupo nawet między sobą mówi po polsku. Partyzanci radzieccy usadowili się po wsiach radecznickiej gminy, poniszczyli szereg mostów na bocznych drogach, założyli miny tak, że do Radecznicy np. dostać się jest rzeczą wielce niebezpieczną. Chłopi, którzy przedostają się stamtąd do nas, opowiadają przeróżne historie o Rosjanach, o ich sile, o nadzwyczajnym wyekwipowaniu, o działach ustawionych w kierunku na Szczebrzeszyn itp. Okropnie zdradzieckie są miny, rozrzucone przez Rosjan na drogach publicznych. Wczoraj o 4 po południu w Topólczy wybuchła taka właśnie mina, zabijając jednego mężczyznę na miejscu i raniąc drugiego w oko.

Wieczorem krążą po mieście liczne patrole. Chodzić można tylko do godziny 7.

9 marca

Dzisiejszej nocy „Sowieci", w rzeczywistości zaś zamaskowani Polacy, napadli na Tworyczów i zabili tam 10 nasiedlonych Niemców, w tej liczbie i znanego w całej okolicy Kitzmana, SS-manna, b. nauczyciela w Brodach. Zabito również i jego żonę, z którą wziął ślub zaledwie 2 tygodnie temu. Dwóch rannych — nauczycielkę Niemkę i uciekiniera zza Buga — przywieziono do szpitala. Wiadomość o zabiciu Kitzmana wywołała wśród ludności polskiej powszechną i wyjątkową radość, zgnębiła natomiast miejscowych Niemców, którzy dobrze zdają sobie sprawę, że niejednego z nich czeka to samo, jeżeli zawczasu nie ucieknie.

Przez Szczebrzeszyn przechodzi bardzo dużo wojska. Samochody jeżdżą tam i z powrotem. Ruch gorączkowy o charakterze przyfrontowym.

Z więzienia w Zamościu wypuszczono starszego Fenca, młodszy zaś „Wir", który ostatnio pracował w „Snopie", został przez gestapowców w nieludzki sposób skatowany podczas badania i wrzucony potem do piwnicy, gdzie zmarł w strasznych męczarniach.

10 marca

Do Zwierzyńca przybyli Ukraińcy SS. Dziś byli już we wsiach koło Zwierzyńca. Podobno mają być użyci do akcji przeciwko oddziałom „Groma" i „Podkowy". Oczywiście chłopi są w strachu, bo wiemy wszyscy aż

nadto dobrze, jak odbywa się taka akcja, a Ukraińcy specjalnie znani są ze swego okrucieństwa.

Rozeszła się wiadomość o zajęciu przez wojska radzieckie Tarnopola i Złoczowa, co oznaczałoby silne zagrożenie Lwowa. Mówią też, że jakaś nowa grupa radziecka przedarła się z frontu i przybliża się ku nam. I znów wzmaga się ogólne podniecenie wobec większej możliwości zajęcia Zamojszczyzny przez Armię Czerwoną.

Dziś do kostnicy szpitalnej przywieziono zwłoki 10 zabitych w Tworyczowie Niemców: 4 mężczyzn, 3 kobiety i 3 młodych chłopców. Niektóre zwłoki częściowo opalone, a nawet zwęglone. Widok leżących na słomie rzędem tylu zabitych, a wśród nich tak dobrze wszystkim znanego Kitzmana, zrobił ogromne wrażenie na Niemcach, którzy przybyli obejrzeć trupy.

Wieczorem bardzo dużo samochodów jechało od strony Zwierzyńca na Zamość — całe długie kolumny. Nie możemy jednak zorientować się skąd te kolumny jadą i dokąd.

11 marca

Dzień przeszedł spokojnie. Wojsko wyjechało. W mieście pusto. Ruszają się za to miejscowi „czarni", chodzą grupami z bronią w ręku ,wyraźnie mocno się denerwują. Wszystko wskazuje na to, że Niemcy boją się „sowietów" nie na żarty. Powiadają, że z Tworyczowa wszyscy Niemcy już pouciekali.

12 marca

Odbył się pogrzeb 10 Niemców zabitych w Tworyczowie. Włożono ich do trumien nie myjąc przedtem, lecz tak, jak byli przywiezieni do kostnicy. Byli tak doszczętnie obrabowani, że Kitzman miał na sobie halkę kobiecą zamiast spodni. Na dziesięciu wozach ustawiono trumny przykryte czerwonymi flagami z czarną swastyką. Na podwórzu szpitalnym i na ulicy zebrało się chyba ze 3—4 setki Niemców i polskiej gawiedzi, chociaż tej było stosunkowo mało. Wyczuwało się złowrogie nastawienie Niemców w stosunku do Polaków.

Coraz więcej mówią ludzie o zbliżaniu się nowych oddziałów radzieckich. Wczoraj po południu słychać było dalekie strzały armatnie od północy, dziś znów od południa.

Na kolei zniesiono przepustki. Jedni przypuszczają, że będą łapanki, inni znów sądzą, że gdy więcej Polaków będzie jeździć pociągami, to mniej na nie będzie napadów dywersyjnych.

15 marca

Znów odczuwamy zbliżanie się wojsk radzieckich. Nasiedleni Niemcy otrzymali zarządzenie przygotowania zapasów żywności dla siebie i dla koni, czyli żeby byli gotowi do ewentualnej ewakuacji. Wczoraj odbyło się jakieś ich zebranie, na które miejscowych Volks- i Stammdeutschów

nie dopuszczono. Coraz więcej Niemców ze wsi ucieka do miasta i na przedmieścia. Tu czują się trochę bezpieczniej, aniżeli na wsi. Ludność polska pilnie obserwuje, co się dzieje w obozie Niemców i z niecierpliwością oczekuje chwili, kiedy nareszcie zaczną stąd wiać.

Jeździłem dziś do Kawenczyna odwiedzić „Sępa", który trochę niedomaga.

16 marca

Poznałem komendanta Obwodu Biłgoraj „Bojara" („Orszę")[1]), który był dziś u mnie po raz pierwszy. Omawialiśmy sprawę gromadzenia materałów historycznych. Przy sposobności dowiedziałem się, że rozpowszechniana po całym powiecie wiadomość o pobiciu dr Pojaskowej w Biłgoraju przez ukraińskich SS-owców, to najczystszy wymysł. Nic podobnego nie miało miejsca. Notuję to dla podkreślenia, z jaką ostrożnością trzeba przyjmować to, co ludzie mówią i jak należy wszystko sprawdzać.

U nas wciąż jeszcze spokój. Meldunki jednak donoszą, że patrole radzieckie ukazały się już w Suścu, że w różnych miejscach zrzucony został desant. Można więc w najbliższych dniach spodziewać się jakiejś nowej wzmożonej akcji dywersyjnej.

17 marca

Pozawczoraj Gestapo lubelskie aresztowało w Zwierzyńcu Andrzeja Kosteckiego i młodą Podczacką. Aresztowanie młodego Kosteckiego wywołało wielkie zdziwienie, a równocześnie i ogromną obawę. Był to chłopak bardzo podejrzanej konduity, wciąż zadawał się z Niemcami i w pewnym okresie miał nawet być przez partyzantów „sprzątnięty", lecz wykonanie wstrzymano ze względów taktycznych. Przed kilkoma tygodniami Andrzej dostał się jakimś sposobem do oddziału „Groma", był tam przez krótki czas, ale gdy przekonano się o jego małej wartości, odesłano do domu, przy czym zapowiedziano, że ma siedzieć cicho i w lesie nie pokazywać się. Zagrożono, że w razie nieodpowiedniego zachowania się poniesie konsekwencje nie tylko on sam, lecz i jego rodzina. Zachodzi teraz bardzo poważna obawa, że ten chłopak, chcąc ratować siebie, zacznie sypać. A ponieważ wie co się w Zwierzyńcu dzieje i zna dużo ludzi, więc może narobić nie byle jakiej biedy.

Aresztowania były dziś i w Szczebrzeszynie. Zabrano Rabińskiego i Klemensa Hysę, murarza, który był już raz aresztowany i siedział na Majdanku. Obydwaj uchodzili za komunistów.

Byłem dziś w Zamościu. Miałem trochę wolnego czasu, długo stałem w oknie i obserwowałem ruch na Rynku i na podcieniach. Mogę stanowcza powiedzieć, że więcej snuje się teraz po Rynku Niemców, aniżeli Polaków. Ciągle słyszy się język niemiecki. Sprawia to przygnębiające wrażenie. Człowiek pociesza się tylko tym, że może już niedługo tego panowania Niemców. Opowiadano mi straszne rzeczy o tym, co się dzieje w Hrubieszowskim. Nacjonaliści ukraińscy rżną Polaków, Polacy w od-

[1]) Gniewkowski. Zmarł we Wrocławiu w 1958 r.

wecie w pień wycinają i wytrzeliwują całe wsie ukraińskie. Bardzo dużo Polaków, zwłaszcza ze dworów, rzuca wszystko i ucieka.

Tymczasem w Szczebrzeszynie o godz. 3 min. 30 po południu po raz pierwszy zahuczał sygnał alarmowy. Gdzie były samoloty radzieckie — nikt nie wie, bo tu ich widać nie było.

18 marca

Do godz. 3 po południu był zupełny spokój. Nagle lotem błyskawicy rozniosła się po mieście wieść, że wszystkim Niemcom kazano natychmiast pakować się i przygotować do wyjazdu. Wśród nasiedlonych i miejscowych Volksdeutschów wszczął się nieopisany popłoch. Niemcy rzucili się do pakowania, zaczęli na gwałt sprzedawać różne rzeczy. Płacz, lament, przekleństwa, bieganina po mieście itd. Od nikogo nie można dowiedzieć się, co się właściwie stało, jaka jest przyczyna takiej nagłej ewakuacji Niemców. Do szpitala przybiegł lekarz niemiecki dr Warnowsky (urodzony i wychowany w Petersburgu), próbował telefonować do Zamościa, lecz nie mógł dostać połączenia. On też nic nie wie, tylko przypuszcza, że został gdzieś przerwany front i wojska radzieckie prą na nas całą siłą. Odchodząc i żegnając się z nami powiedział: „Jest to kara Boża, bo trzeba było najpierw wygrać wojnę, a dopiero potem nasiedlać".

O godz. 9 wieczorem w mieście ciągły ruch. Pierwsze furmanki naładowane rozmaitym dobytkiem domowym Niemców: pościelą, tobołami, walizami, koszami itp. nadciągnęły od strony Brodów już pod wieczór. Niektórzy Niemcy nie czekając dalszych zarządzeń wyjeżdżają na własną rękę. Jadą tylko w stronę Zamościa. Pełni są strachu, boją się, że nie zdążą nigdzie uciec, że mogą być ze wszystkich stron otoczeni i odcięci. Niepokój wzrasta przez to, że zerwane zostało połączenie telefoniczne z Lublinem. W Zamościu podobno też ogromne zamieszanie i ruch. Wielką rozterkę przeżywają nasi rodzimi Volks- i Stammdeutsche. Sami nie wiedzą, co robić — zostawać na miejscu, czy jechać. Lecz dokąd? W jakim celu? Gdzie się zatrzymać? Z czego żyć? Niektórzy Polacy też są w strachu, bo się boją, że po wyjeździe Niemców zjawią się tu bandy ukraińskie. Lecz poza tym wszystkich Polaków ogarnęło zgodne uczucie niesłychanej radości. Nareszcie doczekaliśmy się chwili, w której butni Niemcy muszą od nas uciekać. Jesteśmy świadkami tego, jak ich diabli biorą. I to uczucie odsuwa na drugi plan troskę, co będzie z nami, co właściwie czeka nas wszystkich w przyszłości.

19 marca

Od 6 rano w mieście duży ruch. Ciągną furmanki ze wszystkich okolicznych wsi z nasiedlonymi Niemcami. W mieście jeszcze pakują się, ładują wozy, biegają i szukają furmanek. Chciałem uratować konie szpitalne i wczoraj wieczorem wysłałem intendenta do Brodów, gdzie ma rodzinę, żeby tam konie przetrzymać. Tymczasem o godz. 6 min. 30 przyszedł Dorfführer i zażądał koni dla lekarza niemieckiego. Dowiedziawszy

się, że koni nie ma, wściekał się i wrzeszczał jak rzadko kiedy. Zagroził mi, że jeżeli w ciągu godziny nie będzie koni, to mnie zastrzeli. Nie było więc rady, musiałem ściągnąć konie natychmiast do domu i oddać do dyspozycji owego lekarza. Powstał przy tym nowy kłopot, bo żaden z furmanów za nic nie chciał jechać. W końcu zdecydował się pojechać gospodarz szpitala Gurski, któremu obiecałem wypłacić 1.000 zł jeżeli przyprowadzi konie z powrotem. — Naładowane wozy ustawiono po obydwóch stronach ul. Zamojskiej i na rynku. Wczoraj wszyscy Niemcy sądzili, że pojadą w kierunku na Zamość, tymczasem dzisiaj przygotowano furmanki do jazdy w kierunku na Zwierzyniec — Biłgoraj. Trzymano je do godziny 3 po południu, po czym kazano zajechać na podwórza i tam czekać dalej na rozkaz wyjazdu. Będą tu nocować. W ciągu dnia wyjaśniło się, że droga Zamość — Lublin jest odcięta, droga na Biłgoraj też nie bardzo pewna. Nie wiedzą więc, jaką drogą jechać. Burmistrz Kraus z rodziną wyjechał dziś rano pociągiem do swoich rodzinnych stron, do Lubaczowa lub Jarosławia. Prawie wszystkie akta niemieckie w magistracie zostały spalone. Miejscowi Volksdeutsche nie mają przymusu wyjazdu, mogą robić jak zechcą, tylko o konie muszą starać się na własną rękę. Wyjadą więc tylko niektórzy i to nieliczni. Większość pozostaje na miejscu albo wyniesie się gdzieś do sąsiednich wsi. Niemcy zaczęli na gwałt wyprzedawać się. Niektóre artykuły sprzedają za bezcen, tak samo świnie, krowy. Nasi ludzie kręcą się wciąż po mieście. Mam wrażenie, że Niemcy nie odbędą drogi bez przeszkód. A mają podobno jechać przez Radom do Łodzi. Dzisiejszy widok ich całodziennej poniewierki sprawiał ludziom wielką przyjemność. Chcemy już jak najprędzej zobaczyć, jak Niemcy będą opuszczać neue deutsche Stadt Szczebrzeszyn.

20 marca

Niemcy jeszcze nie wyjechali. Naładowane furmanki wciąż stoją na podwórzach i placach, gotowe w każdej chwili wyruszyć w drogę. Nikt jednak nie wie, kiedy wyjadą. Były takie godziny, że wszystko, zdawało się, jest wstrzymane i niektórzy zaczęli już nawet powracać do domów na wieś. Pod wieczór rozeszła się wiadomość, że wyjazd ma nastąpić jutro o godz. 7 rano. Lotnictwo w Klemensowie też się ewakuuje. Szpital dla rannych w pałacu klemensowskim już wyjechał. A nasi chłopcy coraz bardziej się niecierpliwią, żeby tych Niemców wreszcie gdzieś przydybać, przetrzepać im porządnie skórę, odebrać broń, konie, wozy i w ogóle wszystko, co nam zagrabili. Niemcy to czują i boją się wyruszać w drogę. Niektórzy Volksdeutsche z Brodów, koloniści, zamiast na punkt zborny do Szczebrzeszyna pojechali do lasu.

21 marca

Wczoraj wieczorem zabity został w swoim mieszkaniu Franciszek Borowiński, szewc, Volksdeutsch. Kto jest sprawcą tego zabójstwa — nie ustalono. Dzisiaj w rannych godzinach żandarm zastrzelił na ulicy Andrzeja Kurzawskiego z Żurawnicy, zdradzającego pewne objawy nienormalności umysłowej.

Od rana zaczął się w mieście duży ruch. Niemcy szykowali się do wyjazdu. Polacy wyszli na ulice, żeby to widzieć. O godz. 9 wyruszyły pierwsze furmanki. Wywieziono do Zamościa wszystkie kobiety i dzieci do lat 14. Mężczyźni jeszcze pozostali. Kobiety mają jechać dalej pociągiem do Łodzi, mężczyźni furmankami, ale dokąd — sami nie wiedzą. Z powodu takiego rozłączenia rodzin panuje wśród Niemców wielkie rozgoryczenie i niezadowolenie. Oprócz tego panicznie boją się napadu „bandytów". Uzbroili w karabiny i ręczne granaty nawet kilkunastoletnich wyrostków, którzy paradują po mieście i odgrażają się, że przed wyjazdem wymordują jeszcze Polaków i spalą miasto. Lotnictwo przygotowuje się do ewakuacji. Z poufnego źródła przyszła wiadomość, że Niemcy mają przygotowany na lotnisku materiał wybuchowy, przeznaczony do wysadzenia cukrowni „Klemensów" i fabryki „Alwa".

Cały „niemiecki" Zamość wyjeżdża. Urzędy nieczynne. Koleje przeciążone, pociągi przeładowane, na szosach pełno furmanek z Niemcami. Wszędzie gorączkowy ruch. A my nie możemy doczekać się chwili, żeby nareszcie wszyscy Niemcy od nas wyjechali. Dzisiaj cały dzień słychać od wschodu dalekie strzały armatnie. Lecz równocześnie ludność polska jest mocno zaniepokojona i poważnie obawia się nadejścia dzisiejszej nocy.

22 marca

Dziś otrzymałem z magistratu pismo, że na mocy zarządzenia starosty nie wolno Niemcom zabierać Polakom koni i wozów, zabrane zaś należy natychmiast zwrócić.

Zjawił się w Szczebrzeszynie burmistrz Kraus i podjął na nowo urzędowanie w magistracie. W ogóle daje się zauważyć pewnego rodzaju odprężenie. Na mieście mniejsze ożywienie. Fabryce kalafonii „Alwa", która miała już być rozmontowana, polecono wznowić pracę. Lecz równocześnie dowiadujemy się, że lotnisko ewakuuje się w dalszym ciągu i że Niemcy zakładają już tam miny.

Dziś rano poszedłem do Kawenczyna do „Groma". Przy sposobności dowiedziałem się od komendanta placówki „Kawki", że ubiegłej nocy około 15 (?) plutonów partyzantów stało w pogotowiu w mieście i okolicznych wsiach na wypadek rozpoczęcia przez Niemców jakiejkolwiek akcji w Szczebrzeszynie.

23 marca

Dzieją się jakieś dziwne historie. Jedni Niemcy ewakuują się, inni zaś wracają i nawet zabierają się do przerwanej pracy. Tak np. właściciel niemieckiej restauracji sołtys Hepp zaczął dziś przygotowywać swój lokal do ponownego otwarcia. Wszyscy urzędnicy magistratu dostali dzisiaj wezwanie, żeby natychmiast przystąpili do swych normalnych zajęć. A równocześnie mówi się, że wojska radzieckie w kilku miejscach przekroczyły Bug i przybliżają się ku nam. Poczta nie przyjmuje już żadnych paczek, nawet do jeńców w Oflagach, nawet listów poleconych. Można wy-

syłać tylko pocztówki i zwykłe listy. To samo i w Zamościu. Wszystko to razem jest dziwne i niezrozumiałe.

24 marca

Dziś rano miały wyjeżdżać rodziny miejscowych Volksdeutschów i Deutschstämmigów. Ściągnięto 40 furmanek, nikt jednak nie pojechał. Wielu natomiast ukryło się w sąsiednich wioskach. — Urzędy w Zamościu starają się pracować mniej więcej normalnie. Magistrat w Szczebrzeszynie też.

Wrócili wypuszczeni z więzienia w Zamościu Guzowski i Niedzielski. Ludność jest rozczarowana, że Niemcy dotychczas nie wyjechali.

25 marca

Niemcy mężczyźni w dalszym ciągu snują się po mieście i nie wyjeżdżają. Ich naładowane wozy wciąż stoją na podwórzach i w sadach, przysypane grubą warstwą śniegu, który spadł właśnie teraz. A jednak planowa ewakuacja odbywa się bez przerwy. Dziś np. zdejmowano w Szczebrzeszynie wszystkie aparaty telefoniczne, również i w szpitalu. Magistrat urzęduje niby normalnie, lecz zapewne przewiduje możliwość nagłej ewakuacji, wypłacono bowiem wszystkim pracownikom już teraz pobory za miesiąc kwiecień, czego w zwykłym czasie nigdy by nie zrobiono.

26 marca

„Niemcy" nasiedleni tu z powiatu hrubieszowskiego, za nic nie chcą wraz z innymi jechać do Łodzi, do „lagru". Rozmieścili się wraz z dobytkiem na Przedmieściu i czekają. Niektórzy uciekli do sąsiednich wiosek, gdzie mają krewnych i znajomych. Wczoraj żandarmeria przy pomocy „czarnych" otoczyła Przedmieście. Zabrano hrubieszowiakom konie i wiele zapasów. Chcą ich zmusić do wyjazdu. Mówiono mi dzisiaj, że Niemcy w Zamościu oddali z powrotem kolegiatę do użytku ludności polskiej. Byłoby to coś nadzwyczajnego.

28 marca

W ostatnich dniach nic specjalnego nie zaszło. W dalszym ciągu odbywa się ewakuacja, lecz planowo, powoli, chociaż całkiem zdecydowanie. W Zamościu widać to znacznie wyraźniej niż u nas, bo tam koncentruje się cały ruch ewakuacyjny z dalekich nawet okolic. Do Zamościa jadą „czarni" furmankami i dopiero tam ładują ich do pociągów. U nas jakoś spokojnie. Jednak wciąż mam wrażenie, że nasi chłopcy coś knują i że w każdej chwili można spodziewać się jakiejś akcji na naszym terenie.

31 marca

Parę dni mieliśmy zupełnie spokojnych. Dzisiaj natomiast bardzo wyraźnie wystąpiło nasilenie ruchu ewakuacyjnego. Od nas „czarni" wyjeżdżają partiami i stopniowo, w Zamościu zaś wszystko się kotłuje. Ewakuacja idzie na całego.

Spotkała nas dzisiaj nie byle jaka przykrość. Z oddziału Podkowy zwiał szef gospodarczy kompanii, podchorąży Jerzy Palmowski, „Beck", który przed miesiącem zaledwie został przeze mnie wprowadzony do tego oddziału. Po drodze wstąpił do szpitala i u siostry swej, sekretarki szpitala, pozostawił pieniądze kompanijne celem przekazania oddziałowi.

W Zwierzyńcu aresztowano dziś w biurze Podczackiego - ojca, z domu zaś wzięto żonę jego i służącą. Prawdopodobnie oskarżeni są o namawianie Armeńczyków do ucieczki do lasu.

2 kwietnia

Wczoraj wieczorem dokonano napadu pod Panasówką na samochód ciężarowy z żandarmami. 8 żandarmów zabito, około 20 uprowadzono do lasu.

Również wczoraj wieczorem został zabity na Błoniu znany konfident szczebrzeskiej żandarmerii Jan Trusz.

3 kwietnia

Od rana wśród „czarnych" ruch, ładowanie wozów, bieganina. Wyjechali z rzeczami do Zawady, gdzie czekały gotowe już do drogi wagony. Mężczyźni jednak wrócili jeszcze do Szczebrzeszyna. Po co? I na jak długo? Jedni przypuszczają, że dla pełnienia warty w mieście, inni znów sądzą, że wcielą ich do wojska. Najwięcej strachu mają teraz Volksdeutsche, żeby i im nie kazano wyjeżdżać, podobnie jak w Zamościu.

4 kwietnia

Wczoraj wieczorem słyszeliśmy jakąś strzelaninę od strony Błonia. Potem pędzili tam „czubaryki" z karabinami gotowymi do strzału. Po pewnym, niedługim zresztą czasie, wracali. Dopiero dziś rano dowiedzieliśmy się, że usiłowano dokonać napadu na Niemca Hartmana, obecnego sezonowego właściciela młyna Perety i Drożdżyka. Zamach jednak się nie udał, bo zdążono telefonicznie zaalarmować żandarmerię i grupę odpoczynkową wojska. Podczas strzelaniny został zabity leutnant Niemiec. Z tego powodu w mieście panuje duży niepokój i obawa, by nie było jakichś specjalnych represji, aresztowań, brania zakładników lub czegoś w tym rodzaju.

W nocy przelatywały nad miastem liczne samoloty. Podobno zrzuciły jakiś desant. Mamy wrażenie, że front radziecki znów ku nam się przybliża.

6 kwietnia

Rano, przed godziną 7, zjawiły się w Szczebrzeszynie silnie uzbrojone oddziały wojska niemieckiego z tankietkami, działami przeciwpancernymi itp. Żołnierze bardzo szybko rozproszyli się po całym mieście i przedmieściach. Byliśmy przekonani, że to jakaś akcja odwetowa za zabitego przed paru dniami leutnanta. Ludzie byli przerażeni. Wielu mężczyzn ukryło się, gdzie kto mógł. Niektórzy wyszli poza miasto. Po pewnym jednak czasie stało się wiadome, że jakaś konna grupa radziecka dotarła wczoraj do Radecznicy. Patrole podsuwają się już do Zdzielec i to wojsko niemieckie idzie na spotkanie Rosjan. Poza miastem śpiesznie okopano się. Żołnierze byli straszliwie pomęczeni. Mówili, że już piąty dzień uganiają się za nieprzyjacielem. Brudni, nieogoleni, niemyci, niewyspani — wygląd mieli żałosny. Niektórzy szli kulejąc i podpierając się laskami. Po kilku godzinach opuścili miasto i pomaszerowali w kierunku gminy Radecznica. — Żadnych strzałów nie słyszymy. Według wiadomości przywiezionych z Zamościa, w okolicy Starego Zamościa i Izbicy pojawiły się silne grupy radzieckie i walki z nimi trwają już parę dni. Z ogromnym zainteresowaniem śledzimy rozwój wypadków i oczekujemy dalszych wydarzeń.

7 kwietnia

Wszystko się uspokoiło. Nie mamy żadnego wojska, nie wiemy gdzie są Rosjanie. Natomiast doszła do nas sensacyjna wiadomość, że dziś rano na szosie w pobliżu Panasówki dokonano napadu na gestapowców biłgorajskich, jadących samochodem. Został przy tym ciężko ranny osławiony i znienawidzony gestapowiec Majewski. Przewieziono go do szpitala w Zwierzyńcu. Pod wieczór mówiono u nas, że już umarł. Był to gestapowiec niezwykle gorliwy i szkodliwy. Pławił się u nas we krwi żydowskiej. Również niezliczoną ilość Polaków ma na sumieniu. Nic więc dziwnego, że w ślad za nim idą jedynie przekleństwa.

8 kwietnia

Jednak Majewski jeszcze nie umarł. Ma przestrzelone obydwa płuca. Przewieziono go do szpitala w Zamościu.

U nas sytuacja bez zmian. „Czarni" nie tylko nie wyjechali, ale niektórzy nawet wracają. Mają rozkaz powrotu do swoich gospodarstw i zajęcia się nimi. Mają orać, siać itd. Kobiety nie posiadające dzieci też musiały wrócić. Lecz równocześnie mają zarządzenie, że powinni być stale gotowi do wyjazdu w ciągu pół godziny. Już sama sprzeczność tych zarządzeń wskazuje na to, jak niepewnie Niemcy czują się na naszym terenie.

11 kwietnia

Mamy dziś trzeci dzień Wielkanocy, już piątej w czasie wojny. Zamiast tradycyjnych „wesołych świąt" życzymy sobie „spokojnych świąt".

Pomimo drożyzny i stosunkowo ciężkich warunków przeciętnie święta te pod względem jedzenia były wcale niezgorsze i właściwie mało różniły się od przedwojennych. Mniej tylko było mazurków i tortów ze względu na trudność dostania takich artykułów jak migdały, orzechy, rodzynki, czekolada itp.

Byłem wczoraj w Zwierzyńcu. Majewski został ranny w płuca i rękę, poleżał przeszło trzy godziny w szpitalu w Zwierzyńcu, po czym przewieziono go do szpitala w Zamościu. Rana była śmiertelna, zmarł w Zamościu w sobotę wieczorem. W Zwierzyńcu był zupełnie przytomny, mówił o Bogu i parę razy: „co będzie z moimi dziećmi?" [1]).

Po wypadku z Majewskim szosa na Biłgoraj została uznana za specjalnie niebezpieczną. W Zwierzyńcu koło dawnej spółdzielni, tam gdzie szosa skręca na Biłgoraj, ustawiono na słupie olbrzymią tablicę: „Bandengefahr" i dalej wezwanie, żeby samochody jechały pod konwojem a jadący mieli broń w pogotowiu.

Krążą wieści, że Podczacki umarł z pobicia w Biłgoraju, Podczacka zaś jest ciężko chora, również z pobicia. Dwaj młodsi Podczaccy są „w lesie". Starszy, 19-letni chłopak, znany jest z tego, że zdolny jest do wszystkiego. Można być pewnym, że za rodziców będzie się mścił w okrutny i bezwzględny sposób, nawet gdyby mu wypadło działać na własną rękę.

U nas w mieście nastrój dość silnego zdenerwowania i niepokoju. Nie wiadomo skąd rozeszła się pogłoska, że dzisiejszej nocy mają być aresztowania. Wielu ludzi nie nocuje w domu.

13 kwietnia

Wczoraj o godz. 3 po południu oddział składający się z 12 ludzi pod dowództwem „Selima" i jego narzeczonej „Żar", dokonał napadu na pociąg kolejki wąskotorowej koło Tereszpola. Odbito 8 więźniów, poza tym 15 ton zboża. Wylegitymowano wszystkich jadących. Policjantów „granatowych" po rozbrojeniu puszczono wolno. „Do lasu" uprowadzono tylko 4 mężczyzn, w tym 2 policjantów ukraińskich [2]).

Po południu był u mnie „Podkowa". Opowiadał ze wszystkimi szczegółami jak przeprowadzał napad na Majewskiego w Panasówce. Już od dawna polowali na niego, ale zawsze się wymigiwał. Zdawało się, że i tym razem uratuje się, bo samochód nie zatrzymał się i popędził dalej do Zwierzyńca. Lecz spośród kilku jadących, którzy wyszli cało, jeden tylko Majewski został śmiertelnie ranny, a więc sprawiedliwości stało się zadość.

14 kwietnia

Dzisiejszej nocy zabito dwie Ukrainki: Marcową i jej siostrę. Mieszkały one koło stacji Szczebrzeszyn i prowadziły tu mały sklepik wraz z potajemnym szyneczkiem. Oprócz nich zabrano „do lasu" jeszcze

---

[1]) Patrz w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów..." Zamość 1947, str. 92—96, Zięba: „Likwidacja gestapowca Majewskiego".

[2]) Patrz w tymże tomie na str. 96—100, Żar: „Napad na kolejkę pod Tereszpolem".

troje Ukraińców przyjezdnych — podobno jakichś wybitniejszych działaczy. Oczywiście zlikwidowano ich od razu.

15 kwietnia

Dziś rano oddział radziecki dokonał napadu między Zwierzyńcem a Panasówką na żandarmów, jadących pięcioma dużymi samochodami. Zastosowano miny elektryczne. Było paru zabitych i kilku rannych [1]).

Od strony Osuch i Dębowca w kierunku na Tereszpol i dalej na Radecznicę posuwa się nowy oddział radziecki. Dowódcy naszych oddziałów nawiązali już z nimi kontakt i dali naszych oficerów na przewodników. Do mojego archiwum przybyło już nawet kilka kartek pisanych przez dowódców radzieckich grup do „Groma".

U naszych ludzi „w lesie" niebywałe dotąd ożywienie. Ćwiczenia, przeszkolenia, kursy, zbiórki, odprawy itp. odbywają się bez przerwy. Plotka głosi, że od dzisiejszego dnia miała się zacząć akcja dywersyjna na wielką skalę na terenie całej okupacji niemieckiej. Ludzie coraz mniej się konspirują, lekceważą niebezpieczeństwo. Zwłaszcza chłopi czują swoją siłę. Trzeba przyznać, że Niemcy wbrew swej woli dali chłopom wspaniałą szkołę. Dzisiaj każda wieś — to jednolita, silnie zespolona jednostka organizacyjna. Obecnie przez wieś nie przejdzie żaden obcy, nieznany człowiek. Chłopi każdego zatrzymują, legitymują, choć trochę podejrzanych odprowadzają do komendantów placówek. Podejrzanych o szpiegostwo odprowadzają do lasu. Tam już mają odpowiednie sposoby do wydobycia zeznań. Tym sposobem unieszkodliwiono niemało szpiegów, wysyłanych w teren przez Gestapo.

16 kwietnia

Ubiegłej nocy gdzieś w okolicy Suśca wysadzono 2 pociągi — jeden pancerny, drugi ratowniczy. Ruch kolejowy prawie całkiem wstrzymany, bo pociągi dochodzą tylko do Zwierzyńca.

Opowiadano mi, że patrole radzieckie widziano już na Marynówce, w Kątach koło Zawady, w Kosobudach. Chciałbym, żeby którejś nocy, a jeszcze lepiej w dzień, patrol taki przeszedł i przez Szczebrzeszyn. Napędziłby strachu Niemcom, którzy — jak widać — całkiem już tracą u nas grunt pod nogami i nie mogą opanować sytuacji.

17 kwietnia

W nocy przelatywały samoloty radzieckie w dużej ilości. Niemcy przypuszczają, że zrzuciły one jakiś większy desant.

Miałem dziś niespodziewaną wizytę dwóch... Żydów. Nie widziałem ich już tak dawno, że z ciekawością im się przyglądałem, a potem z jednym rozmawiałem. Był to młody Wagner, syn bardzo bogatego przed woj-

---

[1]) Jak później dowiedziałem się, zrobił to w ramach zajęć programowych oddział ćwiczebny kursu młodszych dowódców piechoty z rejonu Józefów.

robotnik na lotnisku w Klemensowie. Przyprowadzili do zbadania chorego kolegę. Pilnował ich żołnierz z lotniska, lecz pozostał na ulicy przed szpitalem, mogłem więc rozmawiać swobodnie, zwłaszcza, że wszystkich Wagnerów znałem dobrze, bo często bywałem u nich w sklepie. Z całej rodziny pozostał on jeden. Na lotnisku w Klemensowie pracowało 250 Żydów, obecnie jest tylko 95. Kilku zdołało uciec, innych wystrzelano na miejscu lub gdzieś wywieziono. Ów Wagner wygląda wręcz doskonale. Odżywia się dobrze, ubrany jest czysto. Jest pewny siebie. Widać że ma gotówkę.

18 kwietnia

Przez cały dzień przejeżdżały dziś przez Szczebrzeszyn pojedyncze furmanki z uciekinierami — Polakami z Hrubieszowskiego. Dochodzą nas straszne wiadomości o tym, co się dzieje w okolicach Hrubieszowa, pod Tomaszowem, pod Sokalem. Nacjonaliści ukraińscy w zupełnie nieprawdopodobny sposób mordują Polaków, potem Polacy w odwecie wycinają w pień całe wsie ukraińskie. Z obydwu stron giną tysiące ludzi.

Sytuacja Niemców widocznie wybitnie się poprawiła. Wczoraj do Rozłop i do Tworyczowa przybyło bardzo dużo Niemców z Suchowoli i Lipska, przetransportowanych tu, ze względu na niebezpieczeństwo ze strony „band". We wszystkich gospodarstwach objętych przez Niemców zaczęła się gorączkowa, wiosenna praca na roli.

Fabryka „Alwa" otrzymała od swego Treuhändera z Lublina rozkaz montowania częściowo już rozebranych maszyn, starania się o surowiec i przygotowania wszystkiego do wznowienia pracy.

19 kwietnia

Wczoraj o godz. 6 wieczór został zastrzelony w polu przy torze kolejowym w Brodach Józef Felendzer, młody 31-letni chłop z Brodów Dużych, pochodzący z rodziny dawnych kolonistów niemieckich. W ostatnich latach stał się gorliwym Niemcem. Zaprzyjaźnił się z zabitym w Tworyczowie Kitzmanem i od dłuższego czasu był już notowany jako osobnik mocno szkodliwy. Już parę razy próbowano zlikwidować go, lecz bezskutecznie. Raz był ranny w klatkę piersiową i przez parę tygodni leżał u mnie w szpitalu. Na wielu miejscowych, co gorliwszych Volksdeutschów znowu padł strach, bo z pewnością jeszcze niejednego czeka to samo. Niestety, nie ma innego sposobu unieszkodliwienia i ukarania tych ludzi.

Mówiono mi, że ubiegłej nocy zniszczono stację kolejową w Suścu i wysadzono w Tworyczowie most kolejki wąskotorowej, będącej własnością cukrowni „Klemensów".

20 kwietnia

Dzisiejszej nocy wysadzono pociąg pancerny między Zwierzyńcem a Suścem. Pociągi dochodzą tylko do Zawady.

Byli dziś u mnie dwaj inteligenci z konspiracji („Rogala" i „Lasocki"), przysłani z Warszawy do naszych oddziałów partyzanckich dla propagandy. „Rogala" jest docentem uniwersytetu we Lwowie [1]).

21 kwietnia

W południe Niemcy zbombardowali z samolotów lasy zajęte przez oddziały radzieckie gdzieś w stronie Józefowa. Wybuchy słychać było u nas tak, że aż szyby drżały. Przywieziono mi paru rannych chłopów z Turzyńca i z Brzezin (gmina Aleksandrów).

Dzisiejszej nocy partyzanci uprowadzili ze Zwierzyńca do lasu troje szpiegów — dwóch mężczyzn i 20-letnią dziewczynę, mianowicie: Zdanowskiego restauratora, Kawałko — blacharza i Kimaczyńską, która miała kiosk z prawem sprzedaży wódki.

23 kwietnia

Wczoraj i dzisiaj byłem w Zwierzyńcu. Tam ludzie jeszcze są pod wrażeniem zaszłych wypadków i dużo mówią o uprowadzonych do lasu. Tej samej nocy miano zabrać jeszcze kilka osób, ale te zdołały ukryć się lub nie nocowały w domu, w tej liczbie tłumacz z tartaku Schilke i Adam Karpiński, jedna z najpopularniejszych osobistości w Zwierzyńcu.

Byłem w Zwierzyńcu na cmentarzu. Po prawej stronie, tuż przy parkanie, długie szeregi mogił przeważnie zmarłych „za drutami" w Zwierzyńcu podczas akcji pacyfikacyjnej i wysiedleńczej lub też zabitych i skatowanych na śmierć przez gestapowców podczas badania. Na wielu tabliczkach napisy „Zmarł śmiercią tragiczną". Prosiłem jedną ze zwierzynieckich znajomych, żeby dokładnie spisała mi treść wszystkich tabliczek po kolei, najpierw żołnierzy poległych we wrześniu 1939 r., potem ofiar niemieckiego okrucieństwa.

Zapomniałem zanotować, że przed paru dniami dokonano napadu na folwark Michalów, skąd uprowadzono konie, krowy itp., a przy sposobności zabrano sporo rzeczy prywatnych obecnego kierownika młyna Tomaszewskiego. Trochę to jest dziwne, bo Tomaszewski ma opinię zupełnie porządnego i ofiarnego człowieka.

Podczas świąt wielkanocnych zlikwidowano w okolicach Frampola leśniczego z Panasówki Kiełczewskiego i jeszcze dwie osoby z jego rodziny. (Nie mieli oni nic wspólnego — poza nazwiskiem — ze znaną rodziną ziemiańską Kiełczewskich z Soli).

---

[1]) „Rogala" Tadeusz Lewicki po paru miesiącach przeniósł się w inne okolice Polski. Przedostał się potem za granicę i był jakiś czas w armii Andersa. Po paru latach powrócił do Polski, osiadł w Krakowie i jest obecnie (1955) profesorem orientalistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyjeżdżając z Zamojszczyzny pozostawił na jednej z kwater trochę różnych szpargałów i notes, w którym notował w skrócie swoje bardzo ciekawe przeżycia i działalność na naszym terenie. Notes ten trafił w końcu w moje ręce.

24 kwietnia

Ruch podziemny ożywia się w niesłychanie szybkim tempie. Wczoraj — w niedzielę wszyscy mężczyźni z okolicznych wsi, z małymi wyjątkami, poszli do lasu na ćwiczenia. Kobiety podążyły za nimi, gotowały im jedzenie. Wytwarza się specyficzny nastrój, zupełnie dotychczas nieznany. W oddziałach wre wzmożona praca. Oddział Norberta z żołnierzami radzieckimi poszedł w stronę Rawy Ruskiej na rozprawę z Ukraińcami. Wczoraj odbyła się koncentracja oficerów. Trwają usilne przygotowania do szerszego rozwinięcia akcji przeciw Niemcom.

Tymczasem nie ma dnia, żeby nie wysadzono gdzieś mostu, pociągu lub coś w tym rodzaju. Dzisiejszej nocy wysadzono pociąg koło Krasnobrodu. Pociągi idą teraz bardzo powoli, do lokomotywy od przodu przyczepione są dwie lory, które jak gdyby torują drogę. W razie uszkodzenia toru lub podłożenia miny przede wszystkim wypadają owe platformy.

Dziś około godz. 6 po południu dwa samoloty niemieckie długo krążyły nad Szperówką i „Cetnarem", na który rzucono sporo bomb. A tam przebywała właśnie nasza podchorążówka. Żadnych szczegółów jeszcze nie znam.

26 kwietnia

O północy wysadzono most kolejowy na Wieprzu pod Zwierzyńcem. — Wśród naszych w dalszym ciągu nadzwyczajny ruch. Koncentracja odbywa się na większą skalę, jakiej dotychczas jeszcze nie było. Oddziały grupują się w kierunku na Tomaszów i Rawę Ruską. Ma rozpocząć się bezwzględna walka z nacjonalistami ukraińskimi. — U nas też wykryto komórkę ukraińską, liczącą około 20 członków. Prawdopodobnie w najbliższym czasie będą zlikwidowani. Niestety, innych sposobów nie ma. Walka idzie na śmierć i życie. Dzisiaj na koncentrację wyruszyło od nas bardzo dużo ludzi. Mają być powoływani i lekarze. Pierwszy poszedł z własnej woli kol. Jóźwiakowski. Ma wrócić za parę dni. Przy następnej koncentracji pójdę ja. Właśnie dzisiaj zgłosiłem się też na ochotnika. By tylko serce mi nie nawaliło. Wezmę ze sobą jedną ze szpitalnych zaprzysiężonych pielęgniarek. Zacząłem dzisiaj uprawiać pewnego rodzaju trening chodząc cały dzień w długich butach z cholewami, od czego zupełnie się odzwyczaiłem. Chciałbym tylko jeszcze przed wymarszem wykończyć swą pracę. Mam nadzieję, że zdążę, bo zostało mi już bardzo niewiele roboty, najwyżej na tydzień.

Już 4 dni nie mamy gazet i nic nie wiemy, co się dzieje na świecie i na frontach. Wiadomości „na lewo" bardzo skąpe i niepewne.

28 kwietnia

Wczorajsza koncentracja w okolicach Guciowa i Krasnobrodu wypadła doskonale. Zgromadziła około 1.000 ludzi niemal z całego powiatu zamojskiego. W ciągu półtorej doby przemaszerowano około 80 km i odbyto ćwiczenia. Oprócz lekarza brały w tym udział dwie sanitariuszki. W wy-

prawie na Łaszczów w zeszłym tygodniu uczestniczył dr Jabłoński z Tomaszowa i 5 sanitariuszek. Natknęli się oni gdzieś na gestapowców. Jedna z sanitariuszek rzuciła się do ucieczki i została zabita. Lekarza z pozostałymi sanitariuszkami aresztowano, ale jakoś szczęśliwie udało mu się wszystkich wykręcić i zostali zwolnieni. Jabłoński tłumaczył się, że jechał do porodu.

Do Szczebrzeszyna stale przybywają uciekinierzy spod Rawy Ruskiej i Bełżca. Mówią, że zjawili się jacyś nowi Ukraińcy, którzy legitymują się polskimi kartami rozpoznawczymi.

Dziś upewniano mnie, że pewien oddział BCh z powiatu krasnostawskiego przed paru tygodniami planował napad na nasz szpital w celu zdobycia pieniędzy i materiału opatrunkowego. Lecz inni mieli do tego nie dopuścić ze względu na nasz stosunek do oddziałów partyzanckich. Bardzo jestem ciekawy, czy to prawda.

29 kwietnia

Komendant miejscowej żandarmerii, ogromny służbista, otrzymał pismo od jednego z naszych oddziałów, z ostrzeżeniem, że jeżeli będzie siedział cicho, to zostanie przy życiu, jeżeli zaś będzie zbyt gorliwy, to go w szybkim czasie zlikwidują.

Oddziały nasze przeważnie wróciły już spod Rawy Ruskiej. Spodziewamy się teraz jakichś nowych wyczynów „Podkowy", który wciąż krąży w pobliżu Szczebrzeszyna.

W mieście zjawiły się nowe, nieznajome twarze. To zaczynają napływać Ukraińcy. Oczywiście nasz wywiad ich obserwuje. Wylegitymowanie często nie daje rezultatu, ponieważ niektórzy z nich są zaopatrzeni w polskie tzw. „Kennkarty".
sprawnie, bez krzyku, bez hałasu, „na sucho".

1 maja

Dziś około godz. 8 rano „zrobiono" kasę „Rolnika" w Szczebrzeszynie. Zabrano przeszło 70.000 zł gotówką i tzw. „punkty" na różne artykuły na sumę przeszło 100.000 zł. Napad przeprowadził por. „Gruda" przy pomocy kilku partyzantów. Wszystko poszło nadzwyczaj

Wczoraj wysadzono pociąg między Krasnobrodem a Długim Kątem.

W Ruskich Piaskach zabito dwóch żandarmów.

Poza tym nic u nas nowego. Trwają gorączkowe przygotowania do jakichś bardziej aktywnych wystąpień.

2 maja

Dużo nowych wrażeń. Wczoraj w Sąsiadce zabito dwóch żandarmów z posterunku w Sułowie. Jednego raniono.

Dzisiejszej nocy dokonano pięknego napadu na cukrownię „Klemensów". W bezpośredniej akcji brało udział 19 ludzi. Zabrano 5 wagonów cukru już zakupionego przez wojsko. Wagony stały załadowane na terenie cukrowni, gotowe do wysłania, z lokomotywą pod parą. Przetoczono

je do stacji Klemensów, gdzie na zarekwirowany cukier oczekiwało 78 furmanek. Ogółem zabrano przeszło 500 kwintali cukru. Zdemolowano urządzenie telefoniczne w cukrowni i równocześnie na stacjach kolejowych w Klemensowie i w Szczebrzeszynie. W tym samym czasie 3 czy 4 partyzantów, którzy byli wyznaczeni do akcji, lecz o niej nie wiedzieli, na własną rękę i na własny rachunek zabrali z kasy 38.000 zł. Dowództwo przeszło nad tym do porządku dziennego, nie wyciągając z tego żadnych konsekwencji.

Druga grupa działała w Michalowie. Tam na folwarku zabrano 14 koni, 10 krów i zabito, zabierając ze sobą wszystkie duże świnie. Małe zostawiono. Konie i krowy wzięto dlatego, gdyż miały być przez Niemców wywiezione, a nawet poprzedniego dnia już część koni Niemcy wyprowadzili.

Koło Ruskich Piask wysadzono jakiś pociąg.

Słowem sensacji mieliśmy dziś sporo. Dodać do tego jeszcze należy, że w nocy nad miasteczkiem trwał w ciągu paru godzin bardzo duży przelot samolotów. W Zamościu w ciągu kilku nocy z rzędu były alarmy lotnicze.

O godzinie 8 wieczór przywieziono do szpitala, w agonii, ciężko rannego w głowę młodego mężczyznę. Postrzelono go — jak mówią — podczas zabierania koni. Nie było przy nim żadnych dokumentów. W kieszeni znaleziono magazynek z dwoma nabojami karabinowymi [1]).

Ja osobiście też przeżywałem dzisiaj niecodzienne wzruszenie. W dniu swoich imienin zakończyłem właśnie całkowicie przepisywanie na maszynie swojej dużej, przeszło 300-stronicowej pracy o organizacji służby zdrowia w Ordynacji Zamojskiej do czasu zniesienia pańszczyzny. Odpowiednie materiały archiwalne gromadziłem od 1936 roku. Opracowanie ich zajęło mi pełnych 18 miesięcy. Wciąż obawiałem się, że pracy tej nie dokończę, że coś mi w tym przeszkodzi. Mam dziś to przyjemne uczucie, że jednak pomimo takich ciężkich warunków, pomimo wszystkich akcji wysiedleńczych, pacyfikacyjnych, masowych aresztowań, łapanek itp. wydarzeń potrafiłem jednak pracować i pracę swą doprowadzić do końca, że czasu nie marnowałem. Pracę tę dedykowałem prof. Wrzoskowi jako najbardziej zasłużonemu historykowi medycyny moich czasów.

Zjawił się w naszych okolicach nieznany bliżej oddziałek partyzancki z niejakim „Lancą" na czele. Jest to inteligent, porucznik, który chciałby uchodzić za żołnierza AK. Ostatnio dokonał napadu na folwark Stefana Huskowskiego w Sułowcu. Teraz miał już podporządkować się naszemu dowództwu.

3 maja

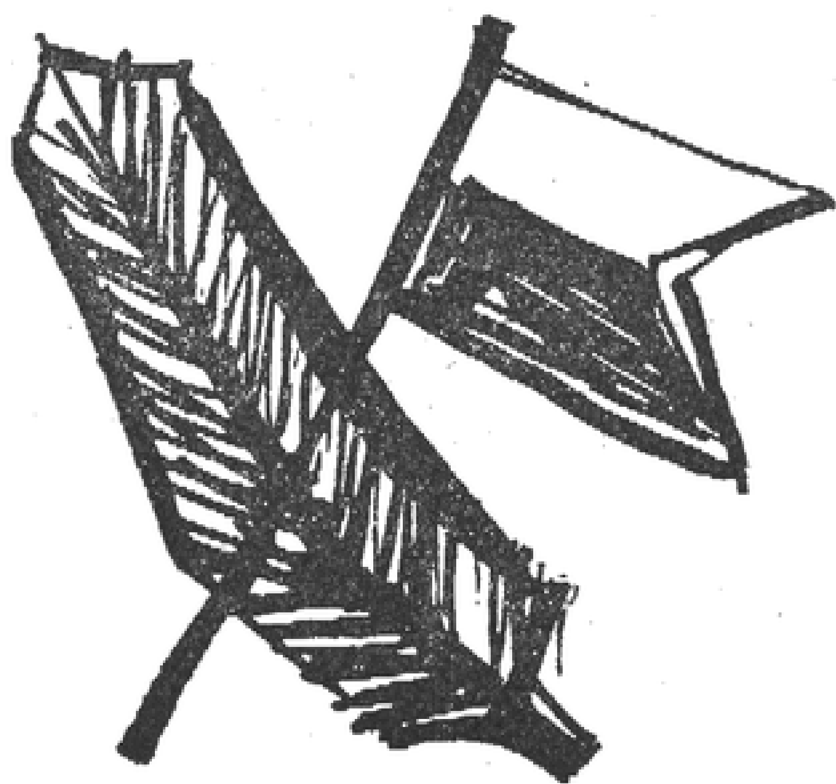
Dzień pełen niezwykłych wrażeń. Trzeci Maj, święto narodowe! — Około godz. 10 rano komendant obwodu „Wyrwa" (Stanisław Książek, z zawodu nauczyciel, mój były uczeń) przysłał mi przez jednego ze swych podkomendnych zaproszenie na obchód dzisiejszego święta do obozu kursu strzeleckiego. Bez namysłu kazałem założyć konie i okrężną drogą

[1]) Jak się potem wyjaśniło, nie był to żaden żołnierz partyzant. Przeprowadzał jakąś „robotę" na własny rachunek.

przez Brody pojechałem sam jeden bez furmana do Kawenczyna. Tam we wsi zostawiłem konie, a spotkawszy por. „Sępa" i o. Wacława Płonkę („Czarnego") zakonnika bernardyna z Radecznicy i równocześnie kapelana O. P. 9, pojechaliśmy dalej zwykłym chłopskim wozem. „Sęp" towarzyszył nam konno. Jego ordynans Boguś Lepienko, bardzo sprytny chłopak ze Szczebrzeszyna, jechał z nami na wozie. Do obozu, zresztą, jest bardzo niedaleko, najwyżej parę kilometrów od wsi. Położony on jest na tzw. Łukaszowcu, na stoku dużego wąwozu, porośniętego sosnowym lasem.

Gdyśmy wjechali do pierwszego parowu, nagle na wysokim jego brzegu spośród krzewów wyłoniła się postać żołnierza z karabinem gotowym do strzału. Zapytał nas o hasło. Jadący z nami młynarz z tzw. Kępy, Lenart podał dzisiejsze hasło: „karabin, kurek", wówczas żołnierz pozwolił nam jechać dalej. To pierwsze zetknięcie z uzbrojonym żołnierzem AK zrobiło na mnie duże wrażenie. O kilkaset metrów dalej furmanka nasza zatrzymała się na skraju lasu. Sądziłem, że wypadnie teraz iść w głąb lasu, tymczasem tuż za pierwszymi drzewami znaleźliśmy się już na terenie obozu. Podszedł do mnie uśmiechnięty, młody, o znajomej twarzy oficer i przedstawił się jako por. „Beton". Dopiero wówczas przypomniałem sobie, że przecież to mój dawny uczeń z Seminarium Nauczycielskiego w Szczebrzeszynie.

Za chwilę byliśmy w samym środku obozu rozłożonego na spadzistym brzegu głębokiego wąwozu, pośród gęstego lasu. — Ciekawie rozglądałem się dookoła. Pomiędzy drzewami widać było gdzieniegdzie małe grupki zaproszonych gości — cywilów i żołnierzy z karabinami. Mnóstwo znajomych twarzy. Witaliśmy się i kłaniali na wszystkie strony. Honory gospodarza pełnił komendant obwodu por. „Wyrwa", a przy nim szereg innych oficerów i podoficerów, wśród których najwięcej uwijali się por. „Gruda" (Stefan Krzaczek, nauczyciel), też dawny mój znajomy i uczeń, kapral „Młot" (Aleksander Łysak) oraz komendant placówki w Kawenczynie sierżant „Kawka" (Kowalczyk).



Wielu spośród żołnierzy i gości znałem osobiście lub tylko z widzenia, lecz nie wszystkie nazwiska mogę sobie na poczekaniu przypomnieć. A więc, oprócz wyżej wymienionych, byli to: 1. Jan Guzowski „Błyskawica", 2. Marian Kleban „Cezary", nauczyciel, 3. Marian Książek „Nieuchwytny", 4. por. Żeleźnicki „Sikora", 5. Krawczyk, kierownik szkoły, 7. Mazurek „Zagłoba", 8. Mikołaj Kapalski, 9. „Orzech" kwatermistrz, 10. Czerwieniec, 11. Niechaj, krawiec z Błonia, 12. „Jabłko" Flis, 13. „Prom", 14. Adam „Rosa", 15. „Gwiazdor", 16. Michalska „Chłopczysko", 17. Fela Sankowska „Kozak".

Oprowadzono mnie po całym obozie. Najpierw poszliśmy do bunkru. Wąskim przejściem weszliśmy do wnętrza bardzo czysto utrzymanej ziemianki o jednym okienku, z piętrowymi pryczami, ze ścianami wyłożonymi odartymi z kory niegrubymi bierwionami. Ziemianka niezbyt duża, z zapasowym wejściem z drugiej strony. Udaliśmy się następnie do kuchni. Tu celebrował obywatel „Stary" — Antoni Jóźwiakowski, legionista I Brygady. W kotłach gotował się barszcz i bigos. Parę panienek ze Szczebrzeszyna pomagało mu krajać mięso. Na poczekaniu znalazła się butelka wódki. Wypiliśmy po kieliszku zagryzając kawałkiem mięsa. — I tak łaziliśmy po całym obozie gawędząc to z tym, to z owym.

Na bardziej otwartej przestrzeni, lecz zawsze pomiędzy drzewami, ustawiono ołtarz polowy. Przykryto go kocami, jakimiś kapami, postawiono krzyże, świece itp. Na pochyłości poniżej ołtarza ułożono z piasku dużą tarczę obramowaną gałązkami jedliny, a na niej orła z takich samych gałązek. Obok postawiono ciężki ręczny karabin maszynowy.

Żołnierze poubierani byli rozmaicie. Tylko na głowach wszyscy mieli jednakowe furażerki uszyte ze zgrzebnego, wiejskiego płótna. Oficerowie przeważnie w mundurach, lecz bez oznak. Czapki polowe z orzełkami, rewolwery, u niektórych ręczne, jajkowate granaty przy pasach. Wszędzie rygor ściśle wojskowy, ciągle meldunki w pozycji na baczność.

Wśród żołnierzy uwijał się mały, tłusty chłopaczek o wyglądzie wiejskiego pastuszka, z torbą płócienną zawieszoną przez ramię. Nazywano go „Antałkiem". Pochodzi z Kawenczyna, ma już 16 lat. Tak się kręcił koło komendanta „Kawki", tak wciąż nie wiadomo skąd wydostawał coraz to nową broń, którą mu zaraz odbierano, że w końcu „Kawka" przyjął go do swego plutonu. A gdy którejś niedzieli oddział miał iść na ćwiczenia, macocha nie chciała go puścić i schowała mu buty, „Antałek" wstydził się iść boso, wyczekał więc chwili, kiedy ojciec wyszedł z chałupy, schwycił karabinek i groźnie skoczył ku macosze: „Dasz ty, cholero, buty, czy nie?". Kobiecina się przelękła, oddała „Antałkowi" buty i ten uszczęśliwiony pobiegł na ćwiczenia.

Wszystko co widziałem zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Takie było realne, a równocześnie takie romantyczne. Szczątki dawnego Wojska Polskiego, niedobitki, starające się skupić i zachować wszelkie cechy wojskowe, a przy nich świeży, młody narybek żołnierski, pełen zapału i entuzjazmu. Ten malutki oddziałek ochotniczy — to jedna z kadrowych komórek przyszłego Wojska Polskiego. A cały ten obóz w lesie jakby żywcem przeniesiony z czasów powstania roku 1863.

Komendant „Wyrwa" wziął mnie na bok i prosił, abym po nabożeństwie przemówił do żołnierzy. Tyle już razy w życiu przemawiałem publicznie w różnych okolicznościach, że nie sprawiłoby mi to żadnej trudności, przeciwnie — mówiłbym do tej garstki żołnierzy — partyzantów ze specjalną przyjemnością ze względu na niezwykłe warunki. Jednak odmówiłem. Otwarcie wytłumaczyłem „Wyrwie" dlaczego i ten mnie zrozumiał. Wrażenie pod jakim się znajdowałem i wzruszeniem jakich co chwila doznawałem, były tak silne, że nie mógłbym się opanować. Prawie 5 lat wojny wycisnęły na naszym systemie nerwowym fatalne piętno. Już mnie dzisiaj kilka razy coś za gardło chwytało. Byłem pewien, że w żaden sposób nie potrafię się opanować, że się „rozkleję" już na sa-

mym początku przemówienia. I żeby się nie kompromitować, — acz z wielkim żalem — odmówiłem.

Obecna wojna i potworny terror okupantów usiłujących zniszczyć nas doszczętnie, dokonały ogromnych przeobrażeń duchowych. Uświadomienie narodowe wśród najszerszych mas ludności osiągnęło niebywały dotychczas poziom. Uczucie patriotyzmu i okrutna żądza zemsty zespoliły cały naród. Żywiołowa nienawiść do Niemców, nawet wśród najobojętniejszych, rozbudziła umiłowanie polskości, nieprzepartą tęsknotę do wszystkiego co polskie. A polskie wojsko, które zawsze było naszą dumą, dzisiaj ma taki urok, jak nigdy przedtem. Nie się teraz nie dziwię, że wielu ludzi, nawet twardych i o silnym charakterze mężczyzn, żyjących pod wiecznym strachem Gestapo i żandarmów niemieckich, zobaczywszy po raz pierwszy od kilku strasznych lat oficera lub żołnierza polskiego w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu, ze wszystkimi dystynkcjami, z doznanego wzruszenia nie może powstrzymać się od łez. Bo ten żołnierz jest w danej chwili symbolem wolnej i niepodległej Polski.

Długo czekaliśmy na zapowiedziane przybycie inspektora „Kaliny", najwyższego stanowiskiem przedstawiciela A. K. na naszym terenie. Nie mógł jednak przyjechać. Tak samo nie stawili się dowódcy poszczególnych oddziałów — „Grom", „Podkowa", „Norbert" i inni, jak również i komendant wszystkich oddziałów partyzanckich naszego inspektoratu mjr „Adam". Pomaszerowali właśnie w Hrubieszowskie. Przez pewien czas lasy zamojskie będą stały puste.

Dopiero o godz. 2 zaczęła się msza polowa. Odprawiał ją ks. Wacław. Żołnierze ustawili się naprzeciw ołtarza, goście w dwóch szeregach po bokach, tworząc tym sposobem czworobok, pośrodku którego stanął komendant „Wyrwa" i paru oficerów. Oficer dyżurny przy raporcie zameldował obecność 41 (!) żołnierzy. Sprezentowano broń, po czym ksiądz rozpoczął nabożeństwo. Razem z kazaniem nie trwało ono dłużej jak pół godziny. Podczas nabożeństwa komendant placówki „Kawka" przyprowadził swój pluton — około 30 żołnierzy z „Antałkiem" w ostatniej parze. — Po skończonym nabożeństwie przemówił do żołnierzy „Wyrwa". Na tym zakończono uroczystość.

Teraz zaproszono nas na żołnierski obiad. Było parę stołów z ławkami pomiędzy drzewami i tu rozmieszczono gości. Żołnierze grupkami rozproszyli się po całym obozie. Dostaliśmy po talerzu doskonałego barszczu, potem bigosu, no i „krupniczku" przyrządzonego przez „Starego". Własnoręcznie z wiadra nalewał kubeczkiem ten trunek do jedynego kieliszka, który krążył dookoła stołu. Rzucono też na stół mnóstwo rozmaitego pieczywa i ciasteczek nadesłanych tu z miasta i cukrowni [1]).

Opuściłem obóz o godz. 5, bo musiałem wracać do szpitala. Wyprowadził mnie poprzez wąwozy aż do końca lasu Boguś Lepionko z karabinem rosyjskim „Pepeszą" na ramieniu. Ten karabin przez dłuższy czas był marzeniem por. „Sępa", aż wreszcie niedawno dostał go w prezencie od Rosjan. Większa część gości pozostała do wieczora. Niektórzy mieli nawet nocować.

---

[1]) Patrz w IV tomie „Wydawnictwa Materiałów..." Zamość 1947, str. 104—107: Dr Zygmunt Klukowski: „Święto narodowe w obozie leśnym 3 maja 1944 r. (Fragment z pamiętnika)".

Byłem niezmiernie wdzięczny „Wyrwie", że zaprosił mnie na dzisiejszą uroczystość. Spędziłem kilka wspaniałych, niezapomnianych godzin. Czułem się wolnym obywatelem odradzającej się już Polski. Wróciłem do domu w doskonałej formie psychicznej, pełen sił i energii.

4 maja

Przed paru dniami na szosie niedaleko Hedwiżyna zatrzymano ciężarówkę i zabrano przeszło 2.000 litrów wódki.

Wczoraj wieczorem w Zwierzyńcu zlikwidowano konfidenta Leśniewskiego.

5 maja

Do Kosobud przybył na odpoczynek i zajął całą wieś duży oddział partyzancki z Wołynia. Zaczyna się u nas ruch naprawdę na większą skalę.

Był dziś u mnie dr Stefan Jóźwiakowski „Jaga", obecna nasza bezpośrednia władza sanitarna [2]), celem omówienia szeregu spraw dotyczących partyzanckiej służby zdrowia. Wszyscy lekarze, nawet ci, którzy nigdy w wojsku nie służyli, mają obecnie podlegać władzy podziemnej. Nikomu z nas nie wolno opuszczać miejsca stałego zamieszkania, każdy lekarz musi własnym kosztem przygotować zestaw najniezbędniejszych narzędzi oraz materiał opatrunkowy i lekarstwa (zastrzyki) konieczne dla opatrzenia średnio 100 rannych. Mamy być gotowi na każde wezwanie. W szpitalu trzeba będzie przeszkolić kilkanaście sanitariuszek.

7 maja

Przed paru dniami obok Sąsiadki zabito Padiasową, a potem jej męża Padiasa, szewca ze Szczebrzeszyna, Volksdeutschów, którzy ostatnio zajmowali się handlem i uchodzili za konfidentów.

W Zwierzyńcu koło Borku przy mijance Wywłoczka wysadzono dziś pociąg. Po kilkunastu godzinach tor już naprawiono.

8 maja

Dzisiejszej nocy zniszczono doszczętnie mały budyneczek z pompą motorową dostarczającą wodę z rzeki na stację Szczebrzeszyn. Potem ponownie zniszczono urządzenie stacyjne — telefony, tablice rozdzielcze, pozabierano klucze itp.

Rano o godz. 8 na skutek podłożonej miny koło semaforu stacyjnego w stronę Zwierzyńca wykoleił się pociąg idący do Zawady. Około godz.

---

[2]) Przed nim szefem sanitarnym obwodu był dr Julian Tyczkowski, lekarz powiatowy w Zamościu.

11 niedaleko tego miejsca wykoleił się pociąg pancerny zdążający to od strony Zwierzyńca. Jak na jedną stacyjkę to chyba dość.

Notuję wydarzenia kolejowe na naszym odcinku — chociaż z pewnością jeszcze nie wszystkie — żeby dać pojęcie o tym co się dzieje na całej trasie kolejowej, zwłaszcza w kierunku na Lwów. A właściwie to połączenia ze Lwowem nie ma. Niektórzy amatorzy dostają się tam sposobem kombinowanym, ale jest to mocno ryzykowne. Po drodze, pomiędzy Zwierzyńcem a Rawą Ruską i Jarosławiem, żołnierze naszych oddziałów wciąż legitymują przechodzących i wszystkich Volksdeutschów i Ukraińców przeważnie bez pardonu „uziemiają".

9 maja

U nas jakieś ożywienie, które można uważać za zwiastuna nowej fali wydarzeń. A więc: Niemcy śpiesznie uruchomiają lotnisko w Klemensowie, przygotowują kwatery dla wojska w domach miejscowej ludności, swoje baraki stopniowo rozbierają. Z lotniska usuwają Żydów, dziś kilku uciekało i zostało zastrzelonych. Wiedzą, że wywożą ich stąd celem ostatecznego zlikwidowania.

Wczoraj i dzisiaj przyjechało bardzo dużo uciekinierów — Polaków z okolicy Rawy Ruskiej, gdzie Ukraińcy w danej chwili są panami sytuacji. Dali oni Polakom termin, ażeby do 10 maja opuścili tamtejsze strony. Do Szczebrzeszyna przybyło dziś 17 rodzin. Większość kieruje się do powiatu krasnostawskiego.

Dziś na mieście obębniono nowe zarządzenie: wszyscy mężczyźni Polacy w wieku od 18 do 65 lat mają się zameldować i będą wyznaczani do pełnienia nocnej warty wspólnie z Niemcami. Ukraińcom, którzy samowolnie opuścili Tarnogród, kazano natychmiast wyjechać z miasta. W ostatnich dniach sporo osób wyjechało z naszych okolic na zachód — z Michalowa administrator Gradowski, żona dzierżawcy młyna Tomaszewskiego (wywożąc parę wagonów rzeczy), ze Zwierzyńca młoda ordynatowa z dziećmi itd. Obawiają się przyjścia „bolszewików". Fabryka „Alwa" została zlikwidowana. Wszyscy pracownicy zwolnieni. Nastrój w mieście znów nieco podniecony. Ludzie czegoś się spodziewają pilnie nasłuchując, co się dzieje na wschodzie.

10 maja

Wczoraj wieczorem „Podkowa" wysadził między Zwierzyńcem a Krasnobrodem pociąg z amunicją.

Napadów na mniejszą skalę nawet już nie notuję.

W okolicach Florianki angielskie samoloty wciąż zrzucają broń i amunicję dla naszych oddziałów.

Po lasach intensywnie odbywa się szkolenie strzelców, podoficerów itd. W ogóle praca konspiracyjna wre.



W ciągu dnia słychać było dalekie detonacje, jak gdyby strzały artyleryjskie.

Od strony Rawy Ruskiej wciąż napływają grupy uciekających przed Ukraińcami.

13 maja

Dzisiejszej nocy obudziły nas silne detonacje, gdzieś od strony Zwierzyńca. Potem chyba z półtorej godziny słychać było strzelaninę z karabinów maszynowych, granatników itp. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, że to „Podkowa" znów wysadził most kolejowy na Wieprzu w Zwierzyńcu, lecz tym razem tak dokładnie, że naprawić go prędko się nie da. Było też jakieś starcie z Azerbejdżanami [1]), lecz szczegółów jeszcze nie znam [2]).

16 maja

Byłem dziś w Zwierzyńcu. W dowództwie zaniepokojenie, ponieważ odebrano wiadomość, że Niemcy większą jakąś grupą rozpoczęli obławę na lasy zamojskie od południa i od zachodu.

Już od kilku dni nie mamy gazet i nie wiemy, co się dzieje na świecie. Komunikaty radiowe — o ile mi wiadomo — też nie przynoszą jakichś ważniejszych nowin.

Opracowałem „Wytyczne ogólne dla piszących notatki pamiętnikarskie w oddziałach partyzanckich", przepisałem je w kilkunastu egzemplarzach i wręczyłem „Adamowi", celem rozdania w oddziałach.

17 maja

Jeździłem do Zamościa. Wszyscy, których spotkałem, niewyspani, bo w nocy 3 razy był alarm lotniczy. Nalotu i bombardowania spodziewają się tu każdej nocy. Naloty są głównym tematem rozmów, zwłaszcza że nadeszły świeże wiadomości o bombardowaniu dzisiejszej nocy Lublina i Chełma.

W Zamościu ruch nadzwyczajnie ożywiony. Furmanek i samochodów bez liku. Urzędy zdecydowanie ewakuują się, wywożą wszystkie akta począwszy od roku 1939, tak samo rozmaite składy, hurtownie itp. Na szosie widać samochody naładowane kopiasto różnymi sprzętami domowymi, meblami, walizami, tobołami itp. W drodze powrotnej spotkaliśmy furmanki z „czarnymi" jadącymi z rzeczami w stronę Zamościa. Poza tym Niemcy wywożą zboże, mąkę, jaja. Wszystko znów przemawia za tym, że przygotowują się do opuszczenia naszych terenów.

---

[1]) Grupa byłych żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy wzięci do niewoli zgodzili się przejść na służbę do Niemców.

[2]) Patrz w t. IV „Wydawnictwa materiałów..." str. 119—121, Sławian: „Wysadzenie mostu kolejowego w Zwierzyńcu (13 maja 1944 r.)".

Przejeżdżając koło gmachu Akademii z przykrością zauważyłem, że tablica pamiątkowa Szymonowiczowska, wmurowana w ścianę obok wejścia, została przez Niemców usunięta. Jeszcze kilka tygodni temu widziałem ją na swoim miejscu nienaruszoną.

Byłem w drukarni. Omówiłem sprawę ewentualnego drukowania niektórych rzeczy, mianowicie „Pieśni oddziałów partyzanckich Zamojszczyzny", oczywiście jako druk konspiracyjny. Z przyjemnością stwierdziłem, że bez zastrzeżeń zgodzono się na spełnienie moich żądań.

Od kolegów dowiedziałem się, że w Krasnymstawie kilka miesięcy temu został zabity dr Szpringer, znany na tamtejszym terenie lekarz, b. członek zamojskiego koła Związku Lekarzy. Ostatnio stał się gorliwym Volksdeutschem.

Spotkałem na ulicy znajomego żandarma ze Zwierzyńca. Był zupełnie przyzwoicie ubrany po cywilnemu, tak że w pierwszej chwili go nie poznałem. Towarzysząca mu gospodyni żandarmów zwierzynieckich, moja stała pacjentka, poinformowała mnie, że wszyscy żandarmi otrzymali rozkaz zaopatrzyć się w ubrania cywilne ze względu na większe bezpieczeństwo osobiste.

Na lotnisku w Mokrem znajduje się kilkadziesiąt samolotów. Wciąż odbywają się loty ćwiczebne. Co pewien czas wystartowuje jakiś samolot, zatoczy stosunkowo niewielkie koło i ląduje. Koło lotniska, po obydwu stronach szosy, widać świeżo wykopane rowy strzeleckie, a poza tym bunkry podziemne rozsiane w wielu miejscach na terenie lotniska.

Niemcy mają, podobno, zamiar bronić Zamościa nie na żarty. Jest to bardzo niepokojące, bo przy tym może pójść w gruzy całe miasto ze swym wspaniałym Rynkiem i ratuszem, tak jak to stało się już z tyloma miastami polskimi na wschód od nas.

18 maja

W danej chwili jesteśmy zupełnie odcięci od reszty kraju. Pociągi całkiem stanęły. Między Lublinem a Warszawą wysadzono jakieś dwa duże mosty (w Puławach i w Dęblinie?). Wczoraj pod wieczór wywalono pociąg pancerny koło Płoskiego pod Zamościem, dziś rano niedaleko Izbicy wysadzono pociąg osobowy, zdążający z Chełma do Zawady. Słowem koleją nie ma ruchu w żadnym kierunku. Szosą jeździć też coraz niebezpieczniej. Dziś rano chłop jadący furmanką natknął się na minę na szosie Zwierzyniec — Biłgoraj i został rozerwany na kawałki. Jak mi mówiono, szosę Zwierzyniec — Biłgoraj zamknięto teraz dla ruchu kołowego całkowicie. Niemcy mogą posługiwać się wyłącznie samochodami, lecz nie mają tyle wozów, żeby móc zabrać nagromadzony cukier, zboże, mąkę i inne artykuły przygotowane do wywiezienia do Rzeszy. Teraz dopiero widzimy, jak wielką rolę może odegrać akcja sabotażowa i dywersyjna, prowadzone coraz intensywniej przez oddziały partyzanckie.

19 maja

Wczoraj wieczorem nagle usłyszeliśmy wściekłą strzelaninę z karabinów maszynowych i zwykłych, wybuchy granatów. Trwało to dość dłu-

go. Jak dziś się okazało, był to napad na „czarnych" na Przedmieściu Zamojskim. Zabrano im jednego byka i dwie krowy. Prócz tego zdjęto pasy we młynie Bendera, Volksdeutscha. W tym samym czasie dokonano napadu na młyn Hajera w Sułówku. Została przy tym zabita Hajerowa, zaś córka jej ranna w nogę.

O godz. 11 min. 20 w nocy alarm lotniczy wielu ludzi wyciągnął z łóżka, jednak przelotu samolotów nie zauważyliśmy.

Jeździłem dziś do Radecznicy. Oddycha się tu zupełnie inaczej aniżeli u nas w mieście. Tu nie czuje się okupacji niemieckiej. Ludzi moc. Wszystko z organizacji. Spotkałem wielu znajomych. Poznałem „Godawę" z oddziału „Groma". Byłem w klasztorze. Tu dowiedziałem się, że drukarnia klasztorna znajduje się w stanie nienaruszonym i można z niej korzystać. Ręczną maszynę drukarską prawdopodobnie uda się zabrać do jednego z obozów. Cisną mi się do głowy różne plany wydawnicze.

20 maja

W południe wysadzono pociąg „ratowniczy" w Żurawnicy. Wykoleiły się dwie puste platformy i lokomotywa. Nawet taka mała katastrofa już wprowadza pewne zamieszanie w ruchu kolejowym.

Szosę między Zwierzyńcem a Biłgorajem niby otworzono dla ruchu kołowego. Natknął się tu na minę stary Piątkowski, emerytowany dyrektor tartaku w Długim Kącie. Został ciężko ranny. Kolejka Zwierzyniec — Biłgoraj nieczynna, bo gdzieś ją rozwalili.

U nas stale powtarzają się napady na domy miejscowych Volksdeutschów, przy czym zabierają im niemal wszystko. Spotkało to już Krausów, Wildhirtów, Wójtowiczów, „Siegmunta" Bieleckiego restauratora, a ostatnio Paula, b. nauczyciela, a obecnie „właściciela" młyna na Kawenczynie i in. Mężczyźni nie nocują w domu i tylko dlatego uniknęli większej nieprzyjemności.

21 maja

Byłem dziś w Zamościu. Jednak w ostatnich czasach wygląd miasta, w porównaniu do stanu np. sprzed roku, zmienił się bardzo. Niemców znacznie mniej. Można nawet powiedzieć, że całkiem mało. W kolegiacie, zwróconej władzom kościelnym i doprowadzonej do jakiego takiego porządku, odbywało się nabożeństwo. Ludzie nia mogli się już zmieścić w kościele i sporo ich modliło się na zewnątrz. Niedawno jeszcze były w kolegiacie składy niemieckie i na cmentarzyku dookoła kościoła widziało się tylko furmanki ze zbożem. Na Rynku Niemców cywilów prawie się nie spotyka, przechodzą nieliczni wojskowi, żandarmi, czasem ukaże się gestapowiec. Na ratuszu, na gmachu Akademii flagi niemieckie już nie wiszą. Patrząc na Rynek z okien II piętra mieszkania doktorostwa Boguckich miałem wrażenie, że jestem w Zamościu przedwojennym. Jednak mogłem zauważyć, że nastrój wśród resztki inteligencji zamojskiej jest inny, aniżeli u nas. W Zamościu nie czuje się tak jak np. w Zwie-

rzyńcu lub nawet w Szczebrzeszynie bliskości „lasu". Widać, że miejscowe społeczeństwo ma stosunkowo bardzo mały kontakt z ludźmi z lasu i niezbyt dobrze orientuje się w obecnej sytuacji w terenie. Stąd zapewne pochodzi znacznie większe przygnębienie i pewnego rodzaju rezygnacja, czego nie można powiedzieć o nas. Najbardziej aktualnym tematem rozmów są w dalszym ciągu naloty i sprawa ewentualnego nakazu opuszczenia miasta w razie ostatecznej ewakuacji. A takowa trwa i w ostatnim tygodniu przybrała nawet żywsze tempo. M. in. z KKO w skrzyniach drewnianych wywieziono do Ostrowia Mazowieckiego wszystkie księgi i akta nie koniecznie potrzebne do bieżących manipulacji kasowych.

Doszły tu wiadomości o dalszym mordowaniu Polaków przez nacjonalistów ukraińskich w okolicy Tyszowiec. Dużo ludzi stamtąd ucieka. Bardzo przykre wrażenie robią spotykane na szosie pojedyncze furmanki z uciekinierami, powoli posuwające się gdzieś na zachód — w nieznane.

Po powrocie do domu dowiedziałem się, że dziś po południu zaszły jakieś niepokojące wydarzenia w Zwierzyńcu i że już są nawet ofiary. Żadnych szczegółów jeszcze nie znamy.

Na szosie Zwierzyniec — Biłgoraj od wybuchu min znów zginęło kilku ludzi, w tym 4 Niemców.

22 maja

Z Zamościa przyjechał dziś Amtarzt dr Zimmer i „Leiter des Gemeindeferbandes" Steinherr. Jest to obecnie bezpośrednia władza szpitalna. Zjawili się nie dla jakiejś inspekcji, tylko z całkiem bezceremonialnym żądaniem „żywnościowego upominku", ponieważ dr Zimmer jedzie na urlop. Kazali nam na poczekaniu zabić świnię, przywożąc na to odpowiedni, oficjalny „Bezugschein".

Wczoraj w Zwierzyńcu około godziny 4 po południu zabito na rynku dwóch Azerbejdżanów, zabrano im buty itp. Raniono przy tym jednego Niemca [1]). Azerbejdżanie wściekli się i zaczęli strzelać na wszystkie strony. Kilka osób zostało rannych. Przywieziono ich do szpitala w Szczebrzeszynie.

23 maja

Przed południem przyjechał na inspekcję szpitalną umundurowany szef sanitarny dystryktu z Lublina. Towarzyszyli mu ci, którzy byli u nas wczoraj, tj. dr Zimmer i Leiter Steinherr z Zamościa. W rezultacie każdy dostał po 6 kg słoniny i mięsa, po bochenku chleba, a nadto szef sanitarny worek kartofli, jaki mógł zmieścić się w bagażniku samochodu. Wczoraj dostali po 3 kg cukru. Notuję ten szczegół jako przykład niesłychanie rozpowszechnionego łapownictwa u Niemców — nawet wśród lekarzy. Niestety, ten przykład jest niezmiernie zaraźliwy i polskim urzędnikom też trzeba wciąż coś dawać.

---

[1]) Była to robota przeprowadzona na własną rękę, bez rozkazu, przez „Wiewiórkę" znanego awanturnika z oddziału „Podkowy".

Po południu jeździłem do Zwierzyńca. Tam Azerbejdżanie tak się boją napadu, że siedzibę swoją (kiedyś mieściło się tam nadleśnictwo), prawie naprzeciw apteki, zamienili w jakąś średniowieczną fortecę. Zamiast parkanu mają dookoła ustawione całe ściany z dużych tramów sosnowych ze strzelnicami u dołu. Posterunek żandarmerii też jest odpowiednio izolowany i ufortyfikowany.

W pewnej akcji pod Suścem zginął młodszy Podczacki „Sajgon" ze Zwierzyńca. Był w oddziale „Podkowy".

24 maja

Był dziś u mnie komendant „Wyrwa". Omawialiśmy różne sprawy. W pierwszym rzędzie moje plany wydawnicze. Jeżeli uda się zmontować ręczną maszynę drukarską z Radecznicy, będziemy co tydzień wydawali krótkie biuletyny radiowe. Poza tym szereg innych rzeczy.

25 maja

Był dziś u mnie ppor. Jan Kryk „Topola", b. nauczyciel [1]). Przywiózł mi napisane przez siebie nuty do zbioru pieśni śpiewanych w oddziałach partyzanckich Zamojszczyzny. Zbiór tych pieśni doręczył mi przy ostatniej bytności „Adam" z prośbą, żebym zajął się ich wydaniem. Z przyjemnością zabieram się do tej roboty, zwłaszcza, że będę drukował w Zamościu.

Od „Topoli" dowiedziałem się, że w Oświęcimiu zmarł brat jego, Leonard Kryk, też nauczyciel szkoły powszechnej, rodem ze Szczebrzeszyna, b. uczeń tutejszego Seminarium Nauczycielskiego.

26 maja

Po mieście rozeszła się pogłoska mająca swe źródło w podsłuchanej rzekomo na poczcie rozmowie telefonicznej, że jeszcze przed niedzielą mają być otoczone niektóre wsie (Błonie, Kawenczyn, Topólcza, Szperówka i in.), celem przeprowadzenia znanej już dobrze wszystkim pacyfikacji. Z tego powodu panuje zrozumiałe zaniepokojenie.

Dziś wczesnym rankiem żandarmi ładowali na ciężarówkę swoje rzeczy i gdzieś je wywieźli. W Zamościu ożywiony ruch ewakuacyjny. — Do Szczebrzeszyna przychodzi jakaś większa grupa wojska. W mieście zajmują kwatery usuwając ludzi z mieszkań. Uporczywie utrzymuje się pogłoska, że ma przyjść do nas ukraińskie SS. A tego ludność najwięcej się boi.

27 maja

W Lublinie rozlepiono plakaty z nazwiskami więźniów, którzy mają być rozstrzelani w razie jakichś napadów na Niemców. Wśród tych nie-

[1]) Zginął pod Osuchami 25 czerwca 1944 r.

szczęsnych skazańców znajduje się i Postulski ze Szczebrzeszyna, o którym już parokrotnie wspominałem.

Przed kilkoma dniami za pomocą bomby zegarowej został zabity we własnym mieszkaniu w Lublinie Treuhänder „Alwy" Becker.

Na naszym terenie ruch ożywiony. W mieście wciąż przygotowują kwatery dla jakiejś większej formacji. M. in. usunięto kuchnię Komitetu Opiekuńczego z oficyny gimnazjalnej. Szosą wciąż przejeżdżają samochody z wojskiem — wszystkie w stronę Zwierzyńca. Ubiegłej nocy aresztowano kilku chłopów z Brodów Dużych, wśród nich niejakiego Czuka z 17-letnim synem. Wszyscy mówią o mającej nastąpić akcji pacyfikacyjnej. Ludzie się denerwują.

Oddziały leśne zaczynają przegrupowywać się i odsuwają się od zagrożonych wsi.

Mam do zanotowania pewne, dość zabawne, zdarzenie. Przed paru dniami wspominałem o inspekcji szpitala, przeprowadzonej przez szefa sanitarnego z dystryktu i dwóch Niemców z Zamościa. Gdy już mieli odjeżdżać, powiedzieli, że są głodni i chętnie by coś zjedli. Trzeba więc było na poczekaniu przygotować jakieś śniadanie, przy czym tak im zasmakował chleb pytlowy z piekarni Basajewskiego, że prosili, aby im po jednym bochenku dać do domu. Otóż dziś przed południem dają mi znać z żandarmerii, że wzywa do telefonu mnie albo intendenta szpitala pewien urząd niemiecki w Zamościu. Okazało się, że szef sanitarny zabrał ze sobą chleb do Lublina, tam zaprosił do siebie na przyjęcie gubernatora i ten z kolei zachwycił się chlebem szczebrzeszyńskim. W rezultacie z Lublina przyszło zarządzenie, ażeby nasz szpital zorganizował dwa razy w tygodniu dostarczanie pięciu bochenków tego chleba do Amtarzta w Zamościu, a ten już będzie je przesyłał dalej do Lublina. Przytaczam ten anegdotyczny epizod dla ilustracji, jak Niemcy u nas dogadzali swoim zachciankom i jak są bezczelni w żądaniu pewnych nieprawnych świadczeń dla swoich osobistych korzyści.

29 maja

Poniedziałek,
drugi dzień Zielonych
Świąt.

Doznałem dziś znowu tak dużo wrażeń i niezwykłych emocji, że nie wiem, czy potrafię odtworzyć wszystko tak jakbym chciał i jakby należało.

W tym roku BCh postanowiło w II dniu Zielonych Świąt zorganizować tradycyjne święto ludowe, połączone z przeglądem Batalionów Chłopskich. Na tę uroczystość zaprosiło całe dowództwo obwodowe AK wraz z nowym kursem strzeleckim, jaki odbywał się w kawenczyńskich lasach i miał być właśnie w dniu dzisiejszym zakończony. Będąc przez komendanta obwodu „Wyrwę" również zaproszeni na to święto, o godz. 8 rano udaliśmy się razem z kol. Jóźwiakowskim końmi do Szperówki, a stamtąd poszliśmy dalej piechotą przez las rozrzucony po dołach i wąwozach. W odległości mniej więcej 2 km od wsi, na łące, w wąskiej długiej kotlinie zewsząd otoczonej pięknym, młodym liściastym lasem już ustawione były plutony partyzanckich oddziałów wojskowych. Na pierwszym planie

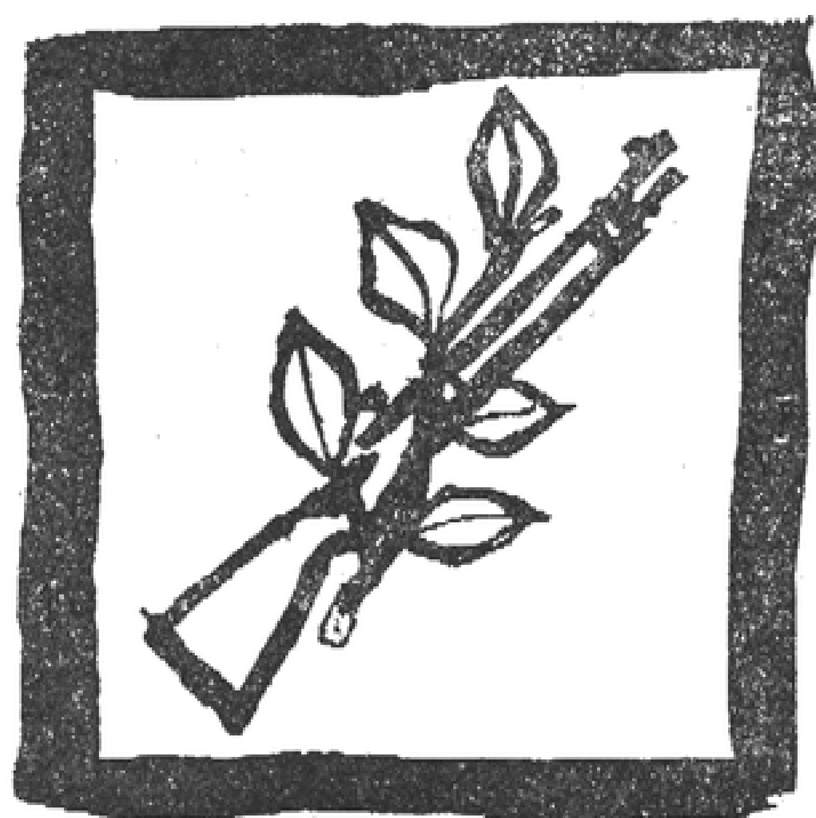
stała w dwuszeregach drużyna kursu strzeleckiego, prowadzonego przez „Nieuchwytnego". Znajdowało się w niej sporo znajomej młodzieży ze Szczebrzeszyna. Zauważyłem tu m. in. Mroczkowskiego, kierownika urzędu pracy, Picia, technika budowlanego, Rzepeckiego, Kapcia i Jurka Jóźwiakowskiego, syna doktora. Na lewym skrzydle stało 11 młodych dziewcząt z Michalską na czele. Wyróżniała się tu uzbrojona od stóp do głowy ochroniarka z Michalowa Radzikówna, dawna POW-iaczka z czasów Wielkiej Wojny, zasłużona działaczka niepodległościowa. Dalej ustawiły się inne plutony, kurs szkoleniowy ppor. Betona, oddział podchorążówki BCh itd.

Powoli zbierało się coraz więcej publiczności, zupełnie jak to bywało w normalnych warunkach przedwojennych podczas rozmaitych zabaw i festynów ludowych. Oficerowie, przeważnie w mundurach, uzbrojeni, z granatami u pasa, lornetkami itp. Większość żołnierzy również w przedwojennych jeszcze mundurach, płaszczach i czapkach z orzełkami. Publiczność cywilna ubrana odświętnie, zwłaszcza dziewczęta wiejskie. Na uroczystość przybyło kilku wybitniejszych działaczy ludowych, a więc: komendant wszystkich oddziałów BCh na okręg lubelski major Kamiński, ubrany jednak po cywilnemu, dalej prezes ugrupowań ludowych województwa lubelskiego, zastępca delegata Rządu, znany działacz ludowy, sędzia Witoszka „Marek", dawny uczeń gimnazjum zamojskiego za czasów dyr. Lewickiego, wójt jednej z gmin z okolicy Zamościa i in. Zaczęły się raporty dowódców poszczególnych plutonów. Po odliczeniu, stwierdzono obecność w szeregu 782 ludzi. Ogółem liczbę zgromadzonych można śmiało i bez przesady określić na przeszło 2.000 osób.

Kapelan O. P. 9 ks. Wacław z Radecznicy odprawił nabożeństwo, podczas którego śpiewał mieszany chór wiejski. Po nabożeństwie odbyło się coś w rodzaju zgromadzenia ludowego. Na zboczu zalesionego wzgórza urządzono prowizoryczną mównicę, a właściwie małą barierkę, na której przemawiający mógł oprzeć ręce. Na polance przed mównicą stanęły oddziały wojskowe, dookoła nich publiczność cywilna. Zagaił zebranie i przewodniczył wspomniany wójt spod Zamościa. Przemawiali potem po kolei wszyscy przyjezdni czołowi działacze ludowi. W imieniu nieobecnego inspektora „Kaliny" powitał zgromadzonych Jaworski „Czeremcha" z cukrowni. Ubrany był na wpół po wojskowemu, z rewolwerem, granatami itp. Wszystkie przemówienia zgodnie podkreślały znaczenie ruchu ludowego. Jako mówca wyróżnił się major Kamiński, a zwłaszcza ów prezes wojewódzkich związków ludowych, wspaniały typ Polaka, z dużymi, jasnymi wąsami. Mówił długo, z ożywieniem, w miarę gestykulując rękami, z dużym przekonaniem, używając mocnych, twardych słów i dosadnych określeń. Mówił głównie o roli chłopa polskiego w obecnej wojnie i w przyszłej Polsce niepodległej, która — jego zdaniem — musi i może być tylko „Polską Ludową". W imieniu kobiet polskich przemawiała też wcale dobrze jakaś przyjezdna, młoda niewiasta. Wreszcie kpt. „Wyrwa" zarządził jedną minutę milczenia dla uczczenia pamięci poległych. Na zakończenie odśpiewano Hymn Narodowy.

Po półgodzinnej przerwie odbyła się defilada oddziałów wojskowych. Przyjmowała ją osobno stojąca grupa, składająca się ze sztabu BCh i „Wyrwy" oraz kilku gości honorowych, do których i ja zostałem zapro-

szony. Prowadził defiladę por. „Rolicz". Najpierw przeszedł poczet sztandarowy z dużą biało-czerwoną chorągwią, potem podchorążówka BCh i dalej poszczególne oddziały — przepisowym ceremonialnym krokiem. Ogólny wygląd i stan żołnierzy bardzo dobre. Postawą wyróżniali się zwłaszcza wyćwiczeni w normalnych warunkach b. żołnierze Armii Polskiej. Większość szeregowców miała na sobie stare mundury lub płaszcze i czapki wojskowe. W ostatnich szeregach można było widzieć stroje różnorodne: mundury strażackie, policyjne, czarne — typu niemieckiego, wiatrówki, bluzy i zwykłe marynarki cywilne. U wielu żołnierzy na lewym ramieniu naszyte były tarcze z orłem polskim i z literami: u góry „W. P." i u dołu „Ch. S.", co znaczy „Chłopska Straż", w skrócie nazywana „Chłostra". Niektórzy mieli u dołu tarczy litery „LSB", tj. „Ludowa Straż Bezpieczeństwa". Broń stanowiły karabiny zwykłe i stosunkowo w bardzo dużej ilości karabiny maszynowe oraz tzw. „fujarki". Wielu żołnierzy miało za pasem ręczne granaty różnego kształtu.



Przyjezdni delegaci przywieźli ze sobą speców-operatorów, którzy filmowali całą defiladę i porobili mnóstwo zdjęć z poszczególnych momentów uroczystości.

Po skończonej defiladzie zespoły wiejskie rozpoczęły produkcje chóralne, tańce ludowe, deklamacje itp. Nas, zaś, gości, zaproszono na obiad żołnierski. Gęsta zawiesista fasolanka i bigos przyrządzone, jak zwykle, przez obywatela „Starego" były znakomite.

Z epizodów nie pozbawionych swoistej pikanterii warto wspomnieć jak por. „Gruda", który przed 4 tygodniami dokonał napadu na kasę „Rolnika" w Szczebrzeszynie, został uroczyście przedstawiony kasjerce tegóż „Rolnika".

Publiczność powoli rozchodziła się i rozjeżdżała. Żołnierze rozleźli się po lesie i od czasu do czasu zaczęli strzelać. Gdy strzały te stawały się coraz częstsze i dolatywały z różnych stron, „Wyrwa" zarządził złapanie i doprowadzenie strzelających. Po krótkim czasie stanęli przed nim winowajcy. Dostali najpierw przed frontem porządną naganę, a potem mieli być odpowiednio ukarani.

W czasie opisywanej uroczystości 4 razy przelatywały nad nami pojedyncze samoloty niemieckie, z tym dwa wywiadowcze bardzo nisko. Wówczas na komendę „Lotnik, kryj się" wszyscy w jednej chwili wpadli w las i polanka świeciła zupełną pustką. Nabożeństwo też raz było przerwane wskutek przelotu bombowca.

O godz. 18 i my z kolegą pożegnaliśmy pozostające z żołnierzami dowództwo i puściliśmy się w drogę powrotną.

Dzisiejsze moje przeżycia, tak niecodzienne w obecnych warunkach ciężkiej niewoli, były bardzo silne i wywarły na mnie głębokie wrażenie. Zaimponowały mi też oddziały BCh, składające się z tęgich, mocnych chłopów i z niedojrzałej jeszcze młodzieży, sprawnie wykonujące ćwiczenia z bronią i maszerujące pewnym równym krokiem w karnych zwartych szeregach.

W ogóle święto dzisiejsze nosiło charakter całkowicie ludowy, podkreślony zwłaszcza przez przemówienia wszystkich przyjezdnych delegatów. Mimo woli wyczuwało się wielką siłę, jaką przedstawia zorganizowana i uświadomiona masa chłopska. Wszystko co dziś widziałem i słyszałem jeszcze mocniej utrwaliło mnie w moim stałym przekonaniu, że w przyszłości, w odrodzonej Polsce, chłop odegra jeżeli nie dominującą, to w każdym razie bardzo wybitną rolę.

Mieliśmy przed oczami rezultaty pracy podziemnej. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, ile trudu, ile poświęcenia trzeba było na to, ażeby przy szalejącym i bezwzględnym terrorze niemieckim tak zorganizować wieś i na nowo stworzyć Wojsko Polskie. Do tego wojska i w ogóle do jakiejkolwiek pracy konspiracyjnej, wyzwoleńczej, z żywiołową siłą rwie się dzisiaj niemal całe społeczeństwo polskie. W tym właśnie widzę najlepszą gwarancję wytrwania i ostatecznego naszego zwycięstwa [1]).

30 maja

Wczorajsza uroczystość odbiła się głośnym echem po całej okolicy. W Szczebrzeszynie dużo o niej mówią. Są jednak i poważne obawy, ponieważ — jak przypuszczają niektórzy — dostali się tam konfidenci, którzy dużo mogli wypatrzyć. Uporczywie krąży pogłoska, jakoby Gestapo zamojskie przygotowało już listę obejmującą 150 nazwisk osób, mających być aresztowanymi w Szczebrzeszynie. Na razie jest to plotka, faktem natomiast jest tylko to, że przed tygodniem Gestapo wzięło z magistratu do przejrzenia spisy ludności. I to jest mocno niepokojące.

31 maja

Mam do zanotowania kilka wydarzeń. A więc: w poniedziałek 29. V. wyszli z domu ze Szczebrzeszyna dwaj młodzi chłopcy — syn szewca wysiedlonego przed 4 laty z Poznańskiego, Augustowskiego i Rytko, syn zabitego przed paru laty nauczyciela, jawnego konfidenta niemieckiego. Dotychczas żaden z nich nie wrócił i nic wiadomo, co się z nimi stało. Jednak z pewnego i bardzo poufnego źródła dowiedziałem się, że Rytko został „uziemiony", Augustowski zaś uprowadzony do lasu i wcielony do oddziału.

---

[1]) Patrz w t. IV „Wydawnictwa Materiałów..." Zamość 1947, str. 124—127, Dr Zygmunt Klukowski: „Święto ludowe w lesie 29 maja 1944 r. (Fragment z pamiętnika)".

Wczoraj nieznani sprawcy natknęli się na znanego Żyda ze Szczebrzeszyna, Millera, którego zabili na miejscu.

W Kitowie dnia 29. V. zabito żandarma.

Dzisiaj o godz. 1 w południe w Brodach Dużych zabito dwóch Volksdeutschów spośród kolonistów: Władysława Mateja i 15-letniego Piotra Paszta. Obydwa trupy przywieziono do kostnicy szpitalnej, gdzie w obecności żandarmów musiałem dokonać oględzin zewnętrznych zwłok. W czasie strzelaniny zostali ranni i dwaj starsi gospodarze Polacy.

Mówią też, że tegoż dnia jadący z uroczystości, na kilkunastu furmankach, uzbrojeni żołnierze natknęli się na szosie biłgorajskiej, niedaleko Panasówki, na Niemców, przy czym wywiązała się strzelanina. Jednej furmanki nie mogą się doliczyć. Plotka głosi, że wpadli w ręce Niemców operatorzy filmowi wraz z aparatami i któryś z delegatów. Gdyby to okazało się prawdą i gdyby taśmy filmowe rzeczywiście znalazły się w rękach Niemców, to byłoby fatalne, bo mogłoby pociągnąć za sobą niezliczoną ilość ofiar.

Pod wieczór zaczęła się na ulicach Szczebrzeszyna łapanka na roboty.

Z Brodów Dużych powoli ściągają furmankami całe rodziny Volksdeutschów wraz z rzeczami. Obawiają się „bandy".

1 czerwca

Zginął bez śladu Volksdeutsch Teofil Lembryk, sołtys z Dużych Brodów. Wiem z poufnego źródła, że został zabity.

Po południu pojechał do Brodów długi sznur próżnych furmanek, konwojowany przez żandarmów i „czarnych" z karabinami, dla zabrania stamtąd wszystkich Niemców. Pod wieczór rzeczywiście wszyscy Niemcy z Brodów Dużych znaleźli się już na Przedmieściu Zamojskim, skąd po paru dniach mają być wywiezieni do Łodzi. Ludność polska na własną rękę uciekła do lasu lub do sąsiednich wiosek. Bogata i dobrze zagospodarowana wieś, jaką były Brody Duże, pozostała zupełnie pusta...

Dochodzą nas wieści o jakichś poważnych starciach pomiędzy chłopami a Niemcami w Wysokiem pod Turobinem i w Browcu. Obawiamy się, że w końcu Niemcy w straszliwy sposób zemszczą się i znów przeprowadzą w Zamojszczyźnie jakąś piekielną akcję pacyfikacyjną.

2 czerwca

Około godz. 8 wieczorem wojsko ustawiło karabiny maszynowe dookoła miasta. Dano nam znać, że Niemcy otaczają miasto ze wszystkich stron. Na ulicach ukazały się grupy żołnierzy w hełmach i w pełnym rynsztunku. Wciąż jeżdżą samochody z żołnierzami, dużo samochodów na gąsienicach. Wśród mieszkańców okropny niepokój. Kilka osób zdążyło przed godziną policyjną przyjść do szpitala, żeby tu przenocować, uważając, że szpital jest pewniejszy od mieszkań prywatnych.

Zupełnie nie możemy zorientować się, co to wszystko ma znaczyć. Czy to przygotowania do jakiejś akcji, czy może ćwiczenia? Z daleka wyraź-

nie słychać detonacje, prawdopodobnie od wybuchów pocisków artyleryjskich.

Dochodzi godzina 11. Zwykle o tej porze już śpię, dzisiaj jeszcze czuwam w oczekiwaniu mogących nastąpić wydarzeń. Na razie na mieście spokój. Pół godziny temu ukazały się gdzieś w stronę cukrowni trzy kolorowe rakiety.

3 czerwca

Noc była wyjątkowo cicha i spokojna, taka, jakiej już dawno nie mieliśmy. Nie latały samoloty, nie jeździły samochody, nie słyszeliśmy żadnych strzałów ani krzyków. Jak się okazało, Niemcy zarządzili próbny alarm, żeby żołnierze lepiej zapoznali się z terenem i wiedzieli, gdzie który ma wyznaczone stanowisko w razie alarmu prawdziwego. Przed godziną 11 za pomocą wspomnianych trzech rakiet alarm został odwołany, o czym my już nie mogliśmy wiedzieć. Po mieście z rzadka tylko krążyły patrole składające się z jednego żandarma i 4 żołnierzy.

Ze źródła poufnego nadeszły dziś rano wiadomości, że na tzw. „Cetnarze" czyli w lasach koło Kawenczyna zatrzymała się jakaś większa grupa radziecka, w sile, podobno, do 1.000 ludzi. Być może dlatego Niemcy tak się przygotowują do odparcia ewentualnego napadu.

W rękach naszych władz podziemnych znalazła się lista osób, które mają być aresztowane w najbliższym czasie w Szczebrzeszynie i w okolicznych wioskach. Otrzymano ją bezpośrednio z Gestapo. Oczywiście wszystkie osoby zainteresowane, w liczbie około 50, zostały już zawiadomione o grożącym im niebezpieczeństwie.

4 czerwca

Jutro mają wyjeżdżać ze Szczebrzeszyna miejscowi Volks- i Stammdeutsche — kobiety z dziećmi do lat 16. Zagrożone rodziny znalazły się w nie lada kłopocie. Wyjazd w nieznane bez ojców rodzin i tułaczka po „lagrach" nie wydają się ponętne, a pozostanie już niemożliwe ze względu na prawdopodobne represje, ucieczka do lasu niebezpieczna, bo renegaci nie będą tam mile widziani.

5 czerwca

Wczesnym rankiem wyjechali w stronę Zamościa Volksdeutsche z Brodów Dużych, chwilowo rozlokowani na Przedmieściu. Potem mieli wyjeżdżać „nasi Stemigi" [1]) z Miasta. Zarezerwowano dla nich wszystkie trzy budy konne („dyliżanse") i sporo furmanek. Czekano kilka godzin, lecz w rezultacie na 54 rodziny stawiło się zaledwie 6 (Menderscy, Wildhirtowie, Paulowie i jeszcze trzy, których nazwisk nie znam). Wszyscy inni poukrywali się i na różne sposoby kombinują, żeby jakoś wykręcić się od tej przyjemności. Strach przed wyjazdem do obozu w Łodzi wzmógł

---

[1]) Tak w skrócie nazywano Deutschstämmig'ów.

się, zwłaszcza, gdy dowiedziano się, że zginął tam od bomby lotniczej restaurator Król ze Szczebrzeszyna z dwoma synami, zaś jego żona została ranna [1]).

6 czerwca

W południe rozeszła się wiadomość, że dziś rano o godz. 6 alianci rozpoczęli inwazję i wylądowali we Francji. Wiadomość ta zelektryzowała wszystkich w niesłychany sposób. Do wieczora mówiło już o tym całe miasto. Radość przejawiła się przede wszystkim w tym, że wypito dziś w Szczebrzeszynie znacznie więcej wódki niż zwykle. Do nas przyszedł Leszcz i pozostał na noc.

7 czerwca

Wczoraj żandarmeria tutejsza aresztowała w Brodach jadącego na urlop Strzygonia, komendanta podziemnej radiostacji, znajdującej się obecnie w lesie w odległości około 7 km od Szczebrzeszyna. Poczyniono natychmiast dpowiednie starania i dzisiaj Strzygonia wypuszczono, pomimo że i na posterunku — jak się zdaje — nikt nie miał wątpliwości, że to „człowiek z lasu". A koło cukrowni stał już w pogotowiu oddział ludzi, którzy mieli dokonać napadu na samochód, gdyby go przewożono do Zamościa.

8 czerwca

Głównym tematem rozmów są postępy inwazji we Francji. Sprawą tą przejmują się wszyscy, tak Niemcy jak i Polacy, tylko reakcja jest krańcowo odmienna.

Znów zostało uruchomione lotnisko w Klemensowie. Wczoraj zwieziono dużo bomb, dziś już przylatują i odlatują samoloty.

Dziś po południu zjawili się gestapowcy i rozpoczęli akcję przeciwko Volksdeutschom, którzy nie zastosowali się do wydanych zarządzeń i nie wyjechali ze Szczebrzeszyna, przy czym niektórych pobito, np. fryzjera Gortnera, Bieleckiego i in.

9 czerwca

Volksdeutsche musieli dziś wyjechać, jednak znów zgłosiło się bardzo mało osób, bo tylko 4 rodziny: b. legionisty I Brygady Stanisława Kiszki, b. woźnego magistratu Czochry, Pilipów i Kołodziejczyków. Przeważająca większość uciekła. Zawczasu odebrano im karty rozpoznawcze. Każdego napotkanego bez „Kennkarty" Niemcy uważali za bandytę.

Dochodzą nas niepokojące wieści z pow. krasnostawskiego, jakoby zaczęła się już tam jakaś akcja po wsiach. Podobno Niemcy zabierają tylko cały żywy inwentarz, ludzie zaś uciekają. O masowych morderstwach — jak to bywało dawniej przy pacyfikacjach — na razie nie słychać.

---

[1]) Wiadomość ta okazała się potem zwykłą plotką.

10 czerwca

Byłem w Zwierzyńcu. Z nowego frontu na zachodzie dochodzą dobre wiadomości o sukcesach aliantów.

Notuję bardzo przykry fakt: został zlikwidowany młody chłopak Zbigniew Cichowicz, b. uczeń gimnazjum w Szczebrzeszynie, syn buchaltera sejmiku zamojskiego. Matka jego, rodem ze Zwierzyńca, pracuje w biurze O. Z. Chłopiec zawsze uchodził za mało wartościowego. Jakimś sposobem dostał się do oddziału partyzanckiego „Lancy". Tam go pilnie obserwowano, w końcu przeprowadzono dochodzenie, które niezbicie wykazało, że od dłuższego czasu pozostawał on na usługach Gestapo w Biłgoraju.

W Szczebrzeszynie i w Zwierzyńcu coraz więcej wojska. Na szosie znacznie większy ruch niż dawniej. Przeważnie jadą samochody wojskowe, gdzieś w stronę Biłgoraja.

Cztery rodziny Volksdeutschów, które wczoraj wyjechały do stacji kolejowej w Zawadzie, powróciły do Szczebrzeszyna. Tak mało zebrało się ich na kolei, że nie dało się zorganizować żadnego transportu. Podobno w poniedziałek, 19. VI. mają znów jechać.

12 czerwca

Wczoraj wieczorem, mówiąc żargonem leśnym, „rąbnięto" pod Kawenczynkiem Wacława Żelazko, dwudziestoletniego fryzjera ze Szczebrzeszyna.

Dowiedziałem się, że osławiony gestapowiec Bolesław Mazurek, tak dobrze znany na zamojskim gruncie, został niedawno przeniesiony z Zamościa do Chełma.

Miałem dziś wizytę miłych gości. Wstąpili do mnie w drodze powrotnej ze Zwierzyńca do Zamościa członkowie konspiracyjnej, szkolnej komisji egzaminacyjnej: Tadeusz Gajewski, Stanisława Żochowska „Antonina" [1]), Woźniakówna i Kucharska. Byli na egzaminach w Zwierzyńcu. Warto zanotować, że w Zamojszczyźnie szkolnictwo podziemne postawione jest całkiem dobrze i młodzież, która tylko chce, ma możność uczenia się w zakresie wszystkich klas gimnazjum i liceum.

Z okolicy dochodzą niepokojące wieści. Zwłaszcza Zwierzyniec pełen jest obaw przed mającą, rzekomo, nastąpić jakąś większą łapanką.

My tu możemy obserwować, jak Niemcy przygotowują się do obrony. W wielu miejscach porobiono gniazda dla karabinów maszynowych i działek przeciwpancernych. Wszędzie pokopano głębokie doły, w których ukryto samochody. W dwóch miejscach intensywnie pracują dwie polowe (w samochodach) fabryki tlenu. W pobliżu tych fabryk - samochodów ułożone są całe stosy metalowych butli z tlenem. U wylotu miasta dzień i noc chodzą wartownicy. Przy moście na Wieprzu koło szpi-

---

[1]) W roku 1954 zmarła w Zamościu.

tala na stałe ustawiono karabin maszynowy z całą obsługą. Słowem, widać, że Niemcy liczą się zupełnie poważnie z możliwością jakiegoś napadu i z koniecznością obrony.

14 czerwca

W Zwierzyńcu coraz większy niepokój i obawa przed łapanką. Wyjechali dosłownie niemal wszyscy mężczyźni nie mający stałego zatrudnienia i kart pracy. U mnie nocuje Kalweit.

16 czerwca

Wczoraj o 11 wieczorem był alarm lotniczy. Odwołano go po godzinie. Przeszedł bez najmniejszego wrażenia. Nikt z mieszkańców się nie ruszył i nikt do schronu nie schodził.

Dziś przed południem Dorführer i „czarni" spędzali Volksdeutschów i zmuszali ich do wyjazdu. W rezultacie wyruszyło w stronę Zamościa około 15 furmanek. Dokładnego spisu tych, którzy opuścili Szczebrzeszyn, jeszcze nie mam, znam tylko nazwiska niektórych rodzin: Hausnerowie, Kucharscy, Kiszkowie, Czochry, Menderscy, Pilipy.

Ze Zwierzyńca dochodzą niedobre wiadomości: osada jest obstawiona i przepełniona wojskiem. Na szosach i drogach, a także w Szczebrzeszynie, żandarmi legitymują wielu mężczyzn, a nawet rewidują. Ze Zwierzyńca ludzie w dalszym ciągu uciekają. Dużo osób przyjechało do Szczebrzeszyna. U nas też dzisiaj cały dzień gwarno i ludno. M. in. był „Leszcz", „Cezary", O. Wacław „Czarny", Kalweit „Borówka".

Nasłuchaliśmy się od nich moc różnych opowiadań i kawałów z życia lasu. Niektóre z nich warte są zanotowania. W lesie jest obecnie tyle ludzi, że baby ze wsi zaczynają już chodzić po lesie i roznosić w koszach bułki, lemoniadę, piwo, papierosy, zapałki itp. sprzedając je, podobnie jak na odpustach.

Gromadzi się w lasach najrozmaitsza zbieranina ludzi. Nie brak też i dezerterów z wojska niemieckiego. Niedawno zauważono w lesie żołnierza niemieckiego, który z granatami i rewolwerem przy pasie szedł bardzo ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony i trzymając karabin zwrócony lufą ku sobie, kolbą zaś w stronę lasu. Od czasu do czasu głośno gwizdał, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Gdy się zmęczył, rzucał karabin na ziemię i stawał pod drzewem z podniesionymi rękami. Potem szedł dalej wciąż pogwizdując i trzymając karabin zawsze w opisany sposób. Gdy wreszcie zobaczył naszych chłopców, daleko odrzucił od siebie karabin, podniósł obie ręce do góry i zawołał: „ja chce bycz polski partyzant". Odprowadzono go do komendy. Okazało się, że był to Ślązak, umiejący po polsku zaledwie parę zdań. Wcielono go do jednego z oddziałów.

Kapitalną scenę odtworzył nam naoczny jej świadek, adiutant komendanta Adama, Cezary. Któregoś dnia kapelan oddziałów partyzanckich odprawiał w lesie mszę polową. W momencie, gdy odwrócony od ołtarza rozłożył ręce i ze słowami „Dominus vobiscum" wzniósł ku górze rozmodlone oczy, zauważył z daleka samolot niemiecki. Bieg my-

śli księdza-żołnierza w jednej chwili uległ przestawieniu na inne tory i wyrwały mu się, tak przedziwnie brzmiące w ustach stojącego u ołtarza kapłana, słowa: „Uwaga, chłopcy, ten skurwysyn już nas szuka!".

Dowiedziałem się też, że tak popularny u nas w swoim czasie b. uczeń tutejszego gimnazjum Misiarz, który poszedł do lasu i tam skupiał koło siebie różnych ludzi, nie wyłączając Żydów, stał się w końcu niemal zwykłym bandytą i zginął, prawdopodobnie, w jakiejś utarczce z Niemcami.

Przed paru tygodniami pod Zwierzyńcem zlikwidowano młodego Zimińskiego, partyzanta i równocześnie niebezpiecznego konfidenta, którego ojciec był niegdyś szlakowym ordynackim w Brodach pod Szczebrzeszynem i cieszył się bardzo dobrą opinią.

Niestety, owe „likwidacje" i „uziemienia" ludzi szkodliwych są teraz na naszym terenie bardzo częste. Robi się to z konieczności. Niepodobna notować wszystkie te wypadki, bo dowiadujemy się tylko o niektórych. Dopiero po wojnie odpowiednie materiały dostarczy nam choć w części prokuratura podziemia.

16 czerwca

Przyszedł dziś do nas por. „Rosa", z zawodu sędzia na Wileńszczyźnie, jeden z oficerów dywersji. Z wielkim zainteresowaniem słuchałem jego opowiadań o licznych napadach, w których rzekomo brał czynny udział i o przygodach, jakie mu się zdarzyły. Miałem przy tym wrażenie, że trochę „buja". Namawiałem go i zachęcałem, żeby mi opisał chociaż niektóre ciekawsze i ważniejsze epizody. M. in. mówiliśmy o konieczności przyśpieszenia sprzątnięcia w Szczebrzeszynie Juliusza Maksy, Volksdeutscha, bardzo szkodliwego konfidenta, który na wielu ludzi sprowadził już dużo zła i nieszczęścia. Miał on już kilka wyroków śmierci, lecz jakoś zawsze zdołał jej uniknąć. Radziłem tylko, żeby nie likwidować go w mieszkaniu, w bliskim sąsiedztwie szpitala, ze względu na możliwą zemstę Niemców.

Oprócz „Rosy" byli dziś jeszcze u nas o. „Wacław", „Cezary" i „Borówka". Korzystając z obecności kapelana i „Rosy" przeprowadziłem zaprzysiężenie dwóch pielęgniarek szpitalnych i intendenta.

17 czerwca

Już o godz. 8 rano z poufnego źródła dowiedzieliśmy się, że mniej więcej przed godziną Maksę schwytano na Błoniu, dokąd chodził po mleko. Nałożono mu na ręce kajdanki, nie pozwolono nic mówić i furmanką odwieziono do Kawenczyna, skąd już piechotą prowadzono do bunkru. Tu przeprowadzono wstępne badanie. Po południu był u mnie oficer wywiadu por. Kołątaj „Ikar", mój były uczeń z Seminarium Nauczycielskiego i opowiadał mi nieco szczegółów z przebiegu badania, przy którym był obecny. Z zadowoleniem mówił, że w ciągu tygodnia z samego tylko Szczebrzeszyna zlikwidowano aż pięciu konfidentów: Żelazkę, matkę i córkę Majchrzak, jeszcze jakąś kobietę, której nazwiska nie znam i dzi-

siaj Maksę. Ten, co prawda, jeszcze żyje, bo chcą od niego wydobyć więcej cennych zeznań, ale śmierci nie uniknie on w żadnym razie.

Zapomniałem wczoraj zanotować, że przed kilku dniami jakimś sposobem uwolniono z więzienia w Zamościu część więźniów. Por. „Rosa" upewniał mnie, że nie była to żadna akcja planowana, nikt z zewnątrz udziału w tym nie brał. Wszystkiego dokonał z własnej inicjatywy jeden z więźniów, młody por. „Lis", który w pewnym momencie rzucił się sam na dozorcę, ogłuszył go i odebrał mu broń. A mając już w ręku karabin i rewolwer szybko przeprowadził rozbrojenie innych dozorców przy pomocy uwalnianych z cel więźniów. Nie zdążono tylko wypuścić kobiet. Staram się teraz dotrzeć do por. „Lisa", żeby bezpośrednio od niego wydostać autentyczną relację o tym, jak się to odbyło.

Dziś rano przywieźli nam do szpitala ciężko rannego w klatkę piersiową Lucjana Rękasa „Udryckiego" z Wierzby nad Zamościem, b. ucznia gimnazjum zamojskiego. W kilka godzin potem zmarł. Był to bardzo dzielny chłopak, wielce ceniony w organizacji. Został ranny podczas jakiejś akcji niemieckiej. Do szpitala w Zamościu nie mogli go przyjąć bez zameldowania w żandarmerii i dlatego przywieźli go do nas, w trzydzieści kilka godzin po zranieniu, w stanie zupełnie beznadziejnym.

19 czerwca

Wczoraj w Bondyrzu miała się odbyć wielka odprawa. Zjechali się niemal wszyscy sztabowcy, dowódcy oddziałów i wielu oficerów mających ważniejsze funkcje. Lecz zanim odprawa się rozpoczęła, nagle nadciągnęły jakieś większe oddziały wojska niemieckiego z czołgami, taborami itp. i zajęły wieś. Dokąd te wojska idą — nie wiadomo. W każdym razie nasze oddziały i sztab musiały śpiesznie się wycofać i dopiero dziś szczęśliwie dotarły do gajówki Krzywe pomiędzy Kosobudami a Szczebrzeszynem.

W Zwierzyńcu pełno wojska i — jak mówią — są tu sztaby aż dwóch niemieckich dywizji, które przybyły z Hrubieszowa. Jest to wojsko frontowe. Na razie żadnej jeszcze akcji pacyfikacyjnej u nas nie było, ale czujność Niemców jest wzmożona. Żołnierze legitymują wszystkich podejrzanych mężczyzn. W Zwierzyńcu m. in. zatrzymano adiutanta inspektora „Kaliny" „Orkisza", popularnie zwanego Antosiem. Udało mu się jednak zwiać. W rękach niemieckich pozostały tylko wszystkie jego dokumenty.

Dziś rano o godz. 9 zaalarmowano stację kolejową Szczebrzeszyn, żeby miała się na baczności, ponieważ spodziewany jest duży nalot radziecki. Ale jakoś dzień przeszedł spokojnie.

Jednak ta duża ilość wojska, przygotowania do obrony, nadzwyczajne umacnianie pozycji, kopanie rowów, schronów, stanowisk dla karabinów maszynowych i działek itp. zaczyna coraz bardziej niepokoić miejscową ludność. W dodatku rozeszła się pogłoska, że Rosjanie przedarli się gdzieś koło Sokala i posuwają się w naszym kierunku. Zachodzi obawa, żebyśmy nie stali się terenem jakichś większych i uporczywych walk, co byłoby dla nas fatalne.

20 czerwca

Oddziały nasze z komendantem „Adamem" szczęśliwie przeszły przez szosę koło Żurawnicy i przez rzekę Wieprz i powędrowały dalej przez Kawenczyn i Turzyniec.

Maksę wczoraj ostatecznie wykończono.

U nas na szosie ruch wojskowy bardzo duży. Wciąż przejeżdżają pojedyncze samochody lub całe kolumny z żołnierzami i różnym materiałem wojennym. Sporo też widzimy sanitarek jadących od Zamościa pustych, a powracających z rannymi. Nie wiemy, gdzie toczą się walki i z kim. Czy z Rosjanami, czy z oddziałami partyzanckimi. Wczoraj wieczorem Niemcy prowadzili jakąś akcję w Bliżowie niszcząc i paląc wieś.

Z napięciem oczekujemy co nam przyniesie dzień następny.

21 czerwca

Mamy dodatkowe wiadomości z lasu. Oddział dyspozycyjny „Woyny" wraz z kilkoma innymi, z inspektorem „Kaliną" i jego zastępcą „Mieczem" znalazły się jednak w kotle, utworzonym przez wojska niemieckie w lasach józefowskich i nie ma od nich żadnych wiadomości. A przy inspektorze znajdowała się część jego archiwum.

W Bondyrzu Niemcy wykryli skład mundurów i obuwia oddziałów dywersyjnych i przewieźli to do Zwierzyńca. Zaginął też i proporczyk 9 pułku.

Po wsiach w okolicy Zwierzyńca Niemcy zabrali jednak sporo ludzi. Część ich przewieźli do obozu w Biłgoraju, część zaś umieścili w barakach za drutami w Zwierzyńcu, gdzie w dalszym ciągu bardzo poważnie spodziewają się aresztowań i kto tylko może wieje, zwłaszcza na noc. U mnie nocuje dziś „Borówka" i „Cezary".

22 czerwca

Nasza tajna administracja funkcjonuje coraz sprawniej i nabiera wśród ludności coraz większego autorytetu. Już nieraz słyszeliśmy, że chłopi w bardzo wielu wypadkach nie udają się do władz niemieckich lub do sądu, lecz starają się załatwić sprawę przy pomocy komendantów obwodu, rejonu lub placówki. Dzisiaj i ja postąpiłem w podobny sposób. Przysłano szpitalowi 4 wagony (81 ton) węgla. Trzeba go natychmiast wyładować i zwieźć ze stacji. Konie szpitalne nie są w stanie tego zrobić, bo obracające 4 razy w ciągu dnia, zwoziłyby węgiel przez całe trzy tygodnie. Wiedziałem, że magistrat furmanek nie da, wynajęcie zaś jest prawie niemożliwe ze względu na brak koni i szalone ceny (100 zł od tony). Posłałem więc intendenta do komendanta „Wyrwy" z prośbą o pomoc. Ten na poczekaniu wydał zarządzenie, żeby 4 wsie — Błonie, Kawenczyn, Topólcza i Brody dostarczyły odpowiedniej ilości furmanek i zwiozły szpitalowi węgiel. Już po kilku godzinach podwórze szpitalne zaroiło się od furmanek z węglem. Nie mogłem wyjść z podziwu, bo gdy-

by sołtysi otrzymali z magistratu, czy z gminy nakaz wysłania tych furmanek na „forszpan", to bez nacisku i interwencji policji lub nawet żandarmerii żaden chłop nie pojechałby i ociągałby się do ostatka.

Tenże komendant „Wyrwa" przysłał mi w tym tygodniu dla szpitala 1 metr cukru i dwa metry mąki celem polepszenia wyżywienia.

23 czerwca

Jeździłem dziś do Zwierzyńca. W barakach za drutami było w dniu dzisiejszym okrągło 200 dzieci i 700 dorosłych, przy czym mężczyzn bardzo mało, przeważnie same kobiety. Tłumaczy się to tym, że mężczyźni poszli do lasu, po wsiach zaś zostały tylko kobiety, dzieci i starcy. Te nowe ofiary zwieziono z Józefowa, Aleksandrowa, Pardysówki, Bondyrza, Tereszpola, Bukownicy. W Józefowie wzięto nawet urzędników z poczty i księży. W ogóle brano wszystkich, kogo tylko zastawano w domu.

Akcja niby słabnie. Ze Zwierzyńca dużo wojska już wyjechało, ale czy to będzie naprawdę koniec — nie wiadomo. W każdym razie do Zwierzyńca nasi ludzie wciąż jeszcze boją się wracać.

24 czerwca

Volksdeutsche, tak miejscowi jak i nasiedleni, otrzymali wezwanie do stawienia się 1 lipca na komisję w Zamościu celem ewentualnego wcielenia do Sonderdienstu.

25 czerwca

Akcja u nas wyraźnie się kończy. Z obozu w Zwierzyńcu wywożą ludzi do Lublina na Krochmalną, do Arbeitsamtu. Nowych transportów na razie nie widać. Ale, niestety, echa ostatniej akcji są bardzo silne. Wieś jest rozgoryczona, że w krytycznych chwilach przywódcy opuścili ją, przenosząc się w bezpieczne miejsce, tak, że nie było komu stanąć w obronie ludności. Zwłaszcza zdecydowanie groźną postawę przybrali niektórzy ludzie z BCh. Oburza ich, że dowództwo oddziałów dywersyjnych AK dopuściło do tego, że Niemcy w Bondyrzu i Trzepiecincach zabrali duże zapasy artykułów żywnościowych, mundurów, obuwia i broni, czego nie wydano przedtem oddziałom BCh. Z tego powodu w niektórych miejscach doszło do ostrych starć, a nawet do rozlewu krwi. W piątek, 23. VI. w lesie koło gajówki Krzywe BCh-owcy zabili Wala „Mściwego" z Wielączy i kilka razy strzelali do dowódcy oddziału por. Stefana Poździka „Wrzosa", lecz jakoś szczęśliwie kule go ominęły. Przy tym wciąż się teraz odgrażają, że pozabijają wszystkich dowódców AK.

Ludzie są wyczerpani psychicznie, zdenerwowani, przewrażliwieni, w stosunkach wzajemnych wybuchają z lada powodu. Wpływają na to warunki obecnej wojny razem wzięte, do czego dzisiaj dołącza się jeszcze świadomość stale zwiększającego się niebezpieczeństwa osobistego

wskutek całkowitego niemal rozluźnienia konspiracji. Obecnie prawie całe nasze społeczeństwo stanowi jednolity front przeciwniemiecki. Jedni są zaangażowani mniej, drudzy nawet bardzo silnie. A mamy dużo dowodów na to, że Niemcy — gestapowcy i żandarmi — są wcale nieźle poinformowani o tym, co się dzieje w naszym obozie. Gdyby tylko zechcieli zrobić z tego użytek, tysiące najwartościowszych ludzi zgniłoby w więzieniach i w obozach. Uratowaliby się przeważnie ci, którzy są w lasach. Ale przecież nie wszyscy mogą iść do lasu, ktoś musi pozostać przy normalnych warsztatach pracy.

27 czerwca

Byłem w Zwierzyńcu. Sytuacja naszych oddziałów w lasach józefowskich jeszcze nie jest wyjaśniona. Wiadomo tylko, że toczą się tam zacięte walki i są duże straty. Oddziały „Podkowy" i „Doliny" miały iść na odsiecz.

Mówiono mi, że jakiś pułkownik wojsk rosyjskich Michał Rodzki, lat 52, polskiego pochodzenia, którego „Grom" niedawno przyjął do swego oddziału, zdradził. Przeszedł wraz z żoną do Niemców i wszystko im teraz objaśnia i pokazuje.

Prawdopodobnie wpadł w ręce Niemców kwatermistrz Przyczynek, „Bór" z większą gotówką (80.000 zł?).

Za drutami w Zwierzyńcu widziałem dziś tylko kilkunastu mężczyzn. Wszystkich internowanych w ostatnich dniach już wywieźli.

28 czerwca

O 6 po południu przyjechali ze Zwierzyńca „Ręczyc" i „Cezary" na skutek meldunku z lasu spod Józefowa, z żądaniem delegowania tam lekarzy z narzędziami chirurgicznymi i materiałami opatrunkowymi. Zresztą ścisłych i pewnych wiadomości stamtąd wciąż jeszcze nie ma. Odnosimy wrażenie, że nasze oddziały zostały rozbite, rozproszone i straciły kontakt z dowództwem. Potwierdza się tylko wiadomość, że straty naprawdę są bardzo bolesne. Rannych jest dużo, od soboty nie mają należytych opatrunków i opieki. Podobno ranni są dwaj lekarze. Jeden to podch. san. Lucjan Kopeć „Radwan" ze szpitala w Biłgoraju.

Naradziliśmy się natychmiast z dr Jagą. W rezultacie pojechał chirurg szpitalny dr Jerzy Jentys „Kamil" i siostra Michalina, zabrawszy ze sobą wszystko co potrzeba. Jutro będziemy już mieli ścisłe wiadomości o sytuacji, jaka tam się wytworzyła.

Wczoraj na szosie koło Rap zabito 4 żandarmów jadących samochodem.

29 czerwca

Rano jeździłem do Kawenczyna. Widziałem się z „Wyrwą", „Wrzosem", „Grudą" i innymi, lecz oni nic jeszcze nie wiedzieli o dalszych losach naszych oddziałów pod Józefowem.

W południe zebrali się u mnie „Komar", „Młot", „Cezary", Szymański „Siwek", Suchodolski „Dniestr", „Orlicz", Huskowski „Harley". Omawialiśmy wytworzoną sytuację, z przykrością stwierdzając zamęt i dezorganizację w naszych szeregach. Przecież utracony został kontakt nawet z komendantem „Adamem". Adiutant komendanta, „Cezary" już od paru dni nie wie, gdzie on się znajduje, gdzie jest miejsce postoju sztabu.

Po południu wrócił dr Jentys. Nie dojechał do miejsca, gdzie są ranni, ponieważ poczynając od Górecka wszędzie jest jeszcze pełno Niemców. Zmuszony więc był zawrócić opatrzywszy tylko jednego rannego, którego w stanie beznadziejnym przywiozła do szpitala siostra Michalina. Nazywa się Tadeusz Szanojca „Szum".

Około godziny 5 spotkali się u mnie kpt. „Adam", który wreszcie zjawił się na naszym terenie, „Borówka" i „Cezary". Znów naradzano się, co dalej robić i w jaki sposób ratować rannych pozostawionych w lesie. Uznano, że ktoś z lekarzy koniecznie musi tam pojechać, żeby jakoś zorganizować przewiezienie rannych. Wobec tego oświadczyłem, że w każdej chwili mogę jechać. Miano mnie niezwłocznie zabrać ze sobą samochodem do Zwierzyńca i jutro rano wyprawić dalej. Przebrałem się i byłem gotów do drogi, lecz „Adam" zmienił decyzję. Polecił mi na razie pozostać w domu, nigdzie się nie wydalać i czekać jutro wiadomości od niego. Wysyła wpierw patrole na wywiad, czy można bez przeszkód dojechać tam, gdzie potrzeba i dopiero jeżeli droga będzie wolna, mam wyruszyć.

Trochę jednak dziwnie to wygląda, że muszą jechać lekarze „cywilni", a dr Ałapin „Kwiatkowski" i „dr Helena" Poradowska siedzą bezczynnie w Radecznicy i nudzą się.

„Adam" pozostawił mi długi wykaz środków lekarskich i opatrunkowych, ułożony przez jednego z lekarzy oddziałowych, z poleceniem dla dra Jagi, żeby wszystko to zdobył. Tymczasem wiemy dobrze, że wśród zrzutów angielskich były piękne zestawy sanitarne, doskonale dobrane, w skórzanych pudłach z mnóstwem najrozmaitszych środków. Mówili mi o tym oficerowie z partyzantki i zapytywali, co do czego służy. Gdzie one się podziały?

Od „Adama" nic nowego nie dowiedzieliśmy się.

Około godz. 10 wieczorem żołnierze niemieccy w hełmach i w pełnym rynsztunku bojowym wyłamali parkany szpitalne przy rzece i przeszli przez ogród z karabinami gotowymi do strzału, w kierunku na Błonie. Część żołnierzy pozostała na naszym terenie. Powiadają, że całe miasto obstawione jest wojskiem. Nie wiemy, czy to są ćwiczenia, czy może początek jakiejś akcji.

W pierwszej chwili wśród pracowników szpitalnych dało się zauważyć silne poruszenie, lecz wkrótce — gdy do wnętrza gmachu nikt z żołnierzy nie wkroczył — wszystko się uspokoiło i o godz. 11 min. 30 położyliśmy się spać.

30 czerwca

Noc przeszła najzupełniej spokojnie, żadne wydarzenie nie przerwało nam snu.

Z lasów józefowskich przyszedł dziś do Zwierzyńca w stanie opłakanym rotm. Rakoczy „Mieczysław", zastępca inspektora. Jest tak wyczerpany, że nie mógł dużo opowiadać. Co się stało z inspektorem „Głogiem" v. „Kaliną" — jeszcze nie wiadomo. Jedni mówią, że został ujęty przez Niemców, drudzy przypuszczają, że sam odebrał sobie życie. Zginął natomiast w boju dowódca nowo utworzonej kompanii dyspozycyjnej przy inspektorze por. „Woyna", popularnie zwany „Małym Adasiem" (w przeciwieństwie do dużego komendanta „Adama"), jeden z najdzielniejszych oficerów, z dawnej kompanii warszawskiej Żegoty, już w czasie tej wojny odznaczony Krzyżem Walecznych. Znaliśmy go dobrze, gdyż wciąż przesiadywał u Kalwejtów w Zwierzyńcu, a i do nas przyjeżdżał kilka razy. Zginął też, podobno, i por. Kryk „Topola". Tak niedawno był u mnie przywożąc mi napisane przez siebie nuty do pieśni śpiewanych w oddziałach dywersyjnych...

Liczba i nazwiska zabitych nie są jeszcze ustalone. Oficerowie wolą o tym nie mówić. Dopiero z czasem wszystko się wyjaśni. Walczących i okrążonych przez Niemców było około 5.000 ludzi: przeszło 3.000 Rosjan, około 1.000 PPR-owców, około 1.000 AK i BCh.

Dowództwo nasze rozesłało dziś do wszystkich placówek rozkaz z zawiadomieniem, że spodziewana jest w najbliższych dniach, a nawet częściowo już się rozpoczęła, nowa akcja niemiecka, która ma objąć Lipowiec, Frampol, Radecznicę i Szczebrzeszyn. Nie jest to dla nas przyjemna wiadomość, lecz nic na to nie poradzimy. Musimy zdać się na los szczęścia i czekać. Kto może, to się na te dni usunie z zagrożonych miejscowości.

Dziś przybył do szpitala nowy ranny z oddziału „Doliny" Piotrowskiego, b. podoficer zawodowy z 9 p. p. l. w Zamościu „Dziewiątka".

„Adam" zawiadomił mnie, że jeszcze w okolice Józefowa nie można jechać. Mam w dalszym ciągu być stale w pogotowiu i oczekiwać wezwania.

Do oddziału Wrzosa pojechała dziś od nas pielęgniarka siostra Kazia Osiecka, niedawno sprowadzona przez „Wyrwę" z Warszawy ze szpitala Ujazdowskiego.

Nasze stosunki z oddziałami dywersyjnymi, dowództwem, obwodem, z oficerami i żołnierzami coraz bardziej się zacieśniają i dlatego silnie przeżywamy wszystko to, co się dzieje. Każdy z nas stara się wziąć możliwie najczynniejszy udział w robocie podziemnej. Nawet nasz synek Tadzio bardzo często teraz rozwozi na rowerze rozkazy i meldunki i jest wszędzie znany, zwłaszcza w Kawenczynie.

W ostatnich dniach dostarczyliśmy oficerom z partyzantki dużo odpowiedniej grubości celofanu do mapników. Nigdzie go nie mogli dostać, nawet w Warszawie. Wpadłem na pomysł i zupełnie łatwym sposobem oczyszczamy błony fotograficzne używane przy zdjęciach rentgenowskich. Otrzymujemy celofan doskonałej jakości.

Przyjęliśmy do szpitala rannego brata „Groma". Był w najcięższych walkach pod Józefowem, a właściwie pod Osuchami. Przed 7 dniami ranił go jeden z naszych żołnierzy, który dostał ostrego obłędu. Tak się wszyscy pogubili, że jeden o drugim nic nie wie. Wciąż słyszymy różne oskarżenia: — na inspektora, że trzymał oddziały przy sobie i zwlekał z przebijaniem się, to znów na kpt. „Adama", że pozostawił oddziały własnemu losowi itd. Trudno dziś wydać sprawiedliwy sąd. Lecz i późniejszy historyk też nie łatwe będzie miał zadanie.

Długo rozmawiałem dziś o pogromie w józefowskich lasach z bratem „Groma". Całą winę — jak powiada „bez reszty" przypisuje on wyłącznie insp. „Kalinie", który był dowódcą otoczonych oddziałów. Stracił on zupełnie głowę, wykazał brak zdolności strategicznych i sprowadził klęskę, jakiej oddziały dywersyjne 9 p. p. nigdy jeszcze nie zaznały.

Mam zamiar opracować już teraz, na świeżo, na gorąco, historię tych smutnych dni. Powoli gromadzę materiał oparty wyłącznie na relacjach uczestników, bo innych źródeł, prócz krótkich, suchych meldunków służbowych, w ogóle, prawdopodobnie, nigdy nie będzie. Chyba jeszcze w archiwach niemieckich, lecz dostęp do nich nawet w przyszłości jest nieco wątpliwy [1]).

Dzisiejszej nocy umarł „Szum" nie odzyskując ani na chwilę przytomności. Był to żołnierz niezwykłej odwagi i dzielności. Taką o nim opinię zgodnie wydają wszyscy oficerowie, którzy byli z nim w różnych akcjach. M. in. on to właśnie brał udział w brawurowym napadzie na szefa Gestapo biłgorajskiego Kolba, który — niestety — wyszedł wówczas cało. Za swoje czyny żołnierskie „Szum" został odznaczony Krzyżem Walecznych. Ciężko ranny w okolicę pęcherza moczowego 4 dni przeleżał w lesie, aż wreszcie znalazły go jego rodzone siostry i przeniosły do wsi, skąd pomału na szósty dopiero dzień przewieziono go do nas do szpitala, lecz już w stanie beznadziejnym, nieprzytomnego wskutek zatrucia moczem. Pochodził z Józefowa.

---

[1]) Opisów walk w lasach józefowskich i pod Osuchami zebrało się już sporo. Część z nich została już ogłoszona drukiem, część leży w rękopisach. W „Wydawnictwie Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w Latach Wojny 1939—1944" ukazały się następujące opracowania:

W t. I. str. 160—165: Stanisław Stefan Tyszka „Z notatnika partyzanta".

W t. II. str. 139—191: Marek st. strz. „Z wrażeń i przeżyć szeregowca partyzanta w lasach biłgorajskich".

W t. III. str. 132—140: Tęcza „W kompanii Woyny".

W t. III. str. 141—156: Anna Danuta Bór-Przyczynkówna „W biłgorajskich lasach i w niewoli u Niemców".

W t. III. str. 156—165: Nina „Wspomnienia sanitariuszki z akcji pod Osuchami".

W t. III. str. 165—177: Mareż „Na drodze do życia".

W t. IV. str. 131—142: Radwan „Szpital leśny 665".

W t. IV. str. 143—160: Korab „Wspomnienia z niemieckiej akcji pacyfikacyjnej w lasach biłgorajskich w czerwcu 1944 r.".

W roku 1954 ukazała się monografia W. Tuszyńskiego pt. „Walki partyzanckie w lasach lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej (czerwiec 1944)". Rozdziały VII i VIII (str. 84—97) poświęcone są „Klęsce oddziałów AK".

2 lipca

Cały dzień spędziłem w Sułowcu u Stefana Huskowskiego. Spotkałem tu Bończę-Pióro „Colta", Leszcza, podch. „Korczaka" z oddziału „Podkowy" i młodziutkiego Jurka Żochowskiego też od „Podkowy". „Korczak" był w kotle józefowskim i szczęśliwie przebił się z kilkunastoma żołnierzami przez linię niemiecką. Z mapą w ręku opowiedział mi pokrótce dzień po dniu wędrówkę oddziałów zgrupowanych koło insp. „Kaliny" [2]).

Przejeżdżaliśmy przez wieś Rozłopy. Robi ona bardzo przykre wrażenie. Wszystkie chałupy stoją zupełnie puste. „Czarni" wyjechali, dawni zaś właściciele jeszcze nie powrócili do swoich gospodarstw. Boją się. Wszędzie widać straszne zaniedbanie, wszystko zapuszczone, zachwaszczone i nigdzie ani żywej duszy. Nie widać też i zwierząt domowych. Wieś zupełnie wymarła, niczym podczas zarazy morowej.

3 lipca

Przyszli dziś do szpitala trzej żandarmi i od razu udali się na oddział zakaźny. Powiedzieli mi, że chcą zobaczyć jednego chorego na tyfus. Zatrzymywali się przy każdym chorym, zadawali różne pytania, oglądali wszystkie karty chorobowe itd. Wreszcie wychodząc zapytali, czy mamy w szpitalu rannych. Nie ulega żadnej wątpliwości, że przyszli sprawdzić, czy na oddziale zakaźnym nie ukrywamy przypadkiem rannych, jak to czasem bywało w innych szpitalach (podobno nawet w Tomaszowie). Jest to dla nas wyraźne ostrzeżenie, że trzeba się pilnować i być ostrożnym, z przyjmowaniem rannych, których nie można meldować na żandarmerii. A takich, niestety, jest coraz więcej.

Dziś w Kawenczynie zlikwidowano Wąskównę ze Szczebrzeszyna, szwagierkę zabitego niedawno Maksy.

4 lipca

Jeździłem do Kawenczyna, żeby zobaczyć się z „Adamem", którego przywiozłem potem do nas na noc. Wciąż jeszcze mówi się tylko o klęsce naszych oddziałów pod Osuchami. Zabici są oprócz „Woyny" i „Topoli", o których już wspominałem, inspektor „Kalina" v. „Głóg", podch. san. Tadeusz Błachuta „Oldan". Prawie przez rok pracował on u mnie w szpitalu, potem w szpitalu w Biłgoraju. Od dawna już należał do organizacji. Ostatnio był bardzo czynny w oddziałach partyzanckich. Niedawno się ożenił. W czasie pobytu w Szczebrzeszynie za moją namową napisał swój pamiętnik z września 1939 r. i zaczął pisać bardzo ciekawe wspomnienia z podchorążówki sanitarnej w Warszawie. Skreślił już kilka rozdziałów, lecz, niestety, nie zdążył napisać całości.

---

[2]) W mojej tece redakcyjnej znajduje się jego szczegółowa relacja o klęsce pod Osuchami.

Zginął również i kwatermistrz „Bór" Przyczynek. Los jego 15-letniej córki na razie nie jest jeszcze wiadomy. Zginęli też leśniczy państwowy Makuch „Kruk" z żoną oraz sanitariuszka Aniela Nowakówna „Agnieszka" z Józefowa.

Do Kawenczyna przywieźli dziś poważnie rannego w nogę ppor. Gołębiowskiego — „Irkę", komendanta obwodu Hrubieszów, który również znalazł się w szeregach walczących w kotle józefowskim.

W danej chwili mogą już tam pracować patrole sanitarne z lekarzami. Ranni rozmieszczeni są w różnych miejscach i już wszyscy mają stałą opiekę lekarzy.

Z „Adamem" przez kilka godzin omawiałem przebieg ostatnich walk, historię poszczególnych oddziałów oraz sprawę wydania piosenek żołnierskich OP9.

5 lipca

Dziś rano w Zwierzyńcu wpadła w ręce żandarmerii kurierka od „Łowickiego" (Gumińskiego), który ostatnio przebywał w Korytkowie pod Biłgorajem. Miała przy sobie 15 kg papieru do powielania i karteczki kompromitujące kilku ludzi, a w ich liczbie i Janisławskiego „Mruka" w Zwierzyńcu. Natychmiast przyjechał on do mnie. Daliśmy znać do obwodu prosząc, żeby niezwłocznie wysłano gońca do „Łowickiego". Teraz wszystko zależy od tego, co ona będzie zeznawała przy badaniu.

Do szpitala przywieziono nam od „Wira" ciężko rannego młodego żołnierza Jakubika „Marka". Przeleżał on w lesie bez opatrunku i bez jedzenia od niedzieli do czwartku! Czterech lżej rannych umieszczono u chłopów w Kawenczynie.

6 lipca

O godz. 2 przyszedł do szpitala komendant żandarmerii leutnant z dwoma żandarmami. Wezwano mnie do rozmowy na osobności. Od razu zorientowałem się, że chodzi o rannych. I rzeczywiście na wstępie zapytano mnie, czy wczoraj przywieziono do szpitala 4 rannych „bandytów". Gdy kategorycznie zaprzeczyłem, komendant oświadczył mi, że zmuszony jest przeprowadzić rewizję w całym szpitalu. Zaczęto od dużej sali męskiej na parterze. Po kolei bardzo szczegółowo oglądano każdego chorego. Niektórych legitymowano. W tym czasie nasi ranni chłopcy, ja i pielęgniarki przeżywaliśmy nie byle jakie emocje. Bałem się, żeby ktoś nie zaplątał się w odpowiedziach i nie wpadł, ale jakoś tym razem wszystko odbyło się pomyślnie. Nie wykryto żadnego. Po przejrzeniu wszystkich sal z chorymi zrewidowano resztę szpitala. Zachodzili do pokoi prywatnych, zajętych przez personel szpitalny, ominęli jedynie moje mieszkanie. Zajrzeli do spiżarni gdzie kazali otwierać szafy, na strych, do zabudowań gospodarczych itd. Wreszcie komendant powiedział mi dosłownie: „Chociaż nie znaleźliśmy nikogo, to nie znaczy, że u was wszystko jest w porządku. My wiemy dobrze, że wy rannych opatrujecie. Radzę mieć się na baczności, bo tu o waszą głowę chodzi". Rewizja ta trwała prawie całą godzinę.

Dziś w brodach zatrzymano dwóch żołnierzy z oddziału „Wrzosa” z bronią w ręku. Na posterunku przy wstępnym badaniu strasznie ich maltretowano. Jak się dowiedziałem, przygotowuje się jakaś akcja celem ich odbicia.

7 lipca

Próby odbicia dwóch aresztowanych wczoraj żołnierzy „Wrzosa” nie udały się. Pod silną eskortą odwieziono ich dzisiaj do Zamościa. — „Wrzos” zawiadomił swą siostrę pracującą w szpitalu, żebyśmy się wszyscy pilnowali, ponieważ jeden z aresztowanych dużo wie i, podobno, sypie. Z tego powodu w szpitalu nastrój wśród personelu pełen niepokoju i obaw.

Z Zamościa od niemieckiego Amtarzta otrzymałem dziś poufne („Vertraulich!”) pismo z następującym zarządzeniem: „W razie ogólnej ewakuacji, obłożnie chorych Niemców należy odesłać do szpitala okręgowego w Lublinie. Chorych zaś Polaków, jeżeli będą sobie tego życzyli, wyprawić do szpitala w Tomaszowie Mazowieckim”.

Z Zamościa nadeszła wiadomość, że wojska radzieckie zbliżają się już do Bugu. Zamość otrzymał znów nakaz przygotowania się do ewakuacji. Wczoraj z ratusza, czyli ze starostwa, wywożono meble.

8 lipca

Jeździłem do Kawenczyna, gdzie miałem wyznaczone spotkanie z „Norbertem”, który w żaden sposób nie może pokazać się w Szczebrzeszynie. Jest on obecnie I adiutantem OP9. Batalion I objął po nim „Dolina”. Przybył też i „Podkowa”. Przejrzeliśmy wspólnie przygotowane przeze mnie do druku pieśni OP9. Podali mi trochę szczegółów dotyczących niektórych piosenek. Namawiałem ich do pisania szczegółowych relacji przynajmniej z ważniejszych wyczynów bojowych. Wszyscy nasi dowódcy dziwnie lekceważą stronę historyczną obecnych walk partyzanckich. Jeszcze „Norbert” ma większe zrozumienie dla tych rzeczy, ale „Podkowa” całkiem ignoruje potrzeby historii. „Norbert” obiecał mi opisać całą aferę Wismana, z początku najczynniejszego konspiratora i organizatora walki podziemnej w Zamojszczyźnie, a potem gestapowca. „Norbert” był jego najbliższym współpracownikiem. On też go w końcu zlikwidował w okolicznościach romantycznych i sensacyjnych.

W przejeździe przez Szczebrzeszyn, śpiesząc się bardzo, wstąpił do nas „Adam”. Ten jest tak zajęty, że — jak sam powiada — „nie ma czasu nawet myśleć”. Czasem przy zetknięciu się z nim odnoszę wrażenie, że ma rację...

Ze Zwierzyńca przyszła p. Janisławska prosząc o zawiadomienie męża, że zupełnie śmiało może wracać do domu. Jak się teraz wyjaśniło, owa kurierka wcale nie była aresztowana, dowiozła wszystko w porządku i wręczyła „Łowickiemu”. Alarm był całkiem niepotrzebny, oparty na

niesprawdzonym doniesieniu jakiejś baby. Notuję jednak to wydarzenie jako ilustrację nerwowego napięcia panującego w naszym przewrażliwionym i sterroryzowanym społeczeństwie.

9 lipca

Z naszego terenu wieści niewesołe. W Biłgoraju rozstrzelano przeszło 60 żołnierzy z oddziałów partyzanckich schwytanych w lasach józefowskich podczas sławetnej akcji. A niektórzy, nawet „Adam", upewniali, że Niemcy będą ich traktowali jako jeńców wojennych. W tymże Biłgoraju aresztowano szereg osób, m. in. piekarza, który dostarczał chleb dla oddziałów. Wzięto go z całą rodziną.

Jeździłem do Zwierzyńca, gdzie załatwiłem sprawę wykonania w linoleum znaku OP9. Mam zamiar umieścić go na okładce projektowanego zbiorku pieśni naszych oddziałów partyzanckich.

10 lipca

Byłem w Zamościu. Zawiozłem do drukarni rękopis piosenek. Nie wiem, czy uda się wykonać druk na miejscu. Po aresztowaniach wśród drukarzy w Lublinie zamojscy drukarze czują się bardzo niepewnie i boją się.

Na szosie ożywiony ruch samochodowy. Głównie w stronę od Zamościa na Biłgoraj suną całe kolumny wozów wojskowych z najrozmaitszymi rzeczami.

U nas coraz wyraźniej słychać detonacje od wybuchów pocisków artyleryjskich.

Dowiedziałem się, że córka kwatermistrza Bóra znajduje się w obozie na Majdanku.

12 lipca

Jeździłem do Żurawnicy do podch. „Waligóry", który leży tam ranny, a obecnie dostał grypy. Był w oddziale „Woyny". Znów dużo nasłuchałem się o przebiegu walk nad Sopotem pod Osuchami.

13 lipca

Już od kilku dni krążyła u nas wiadomość, że Niemcy mają odkopywać na okopisku zwłoki pomordowanych Żydów i palić je. Usunięto z mieszkania rodzinę Niechajów tuż przy cmentarzu żydowskim. Wczoraj nie puszczano ludzi normalną drogą do kościółka na cmentarzu katolickim, a dziś zamknięto wszystkie drogi dookoła cmentarza i sąsiadującego z nim okopiska żydowskiego. Księżom na skutek ich starań oddano klucze od kościoła parafialnego w mieście i zezwolono tam odprawiać nabożeństwa. Uprzedzono jednak, że to tylko na kilka dni. Wieść o tym szyb-

ko rozniosła się po mieście i już na pierwszym nabożeństwie zebrało się stosunkowo bardzo dużo ludzi, przeważnie kobiet. Byłem ciekaw jak wygląda kościół po prawie dwuletnim zamknięciu i poszedłem zobaczyć. Widać zaniedbanie, brud, lecz większego jakiegoś zniszczenia nie zauważyłem. Po południu dowiedzieliśmy się, że Niemcy cofnęli zezwolenie na odprawianie nabożeństwa i na nowo kazali kościół zamknąć.

Na cmentarzu żydowskim dzieją się jakieś tajemnicze rzeczy. Dostęp do niego całkiem niemożliwy. Dookoła stoją żołnierze trzymając w ręku karabiny gotowe do strzału. Tablice ostrzegawcze głoszą, że do podchodzących do zakazanego terenu będą strzelać bez uprzedniego ostrzeżenia. Ulicą cmentarną często przejeżdżają samochody osobowe i ciężarówki. Od strony Zamościa przywieziono dziś w dużym zamkniętym samochodzie ciężarowym grupę mężczyzn cywilów. Prawdopodobnie są to więźniowie skazani na śmierć. Na samym cmentarzu wytyczono coś palikami, potem od strony pola, skąd można cośkolwiek widzieć, ustawiono duże zasłony z mat słomianych i plandek.

Na razie tyle tylko mogliśmy się dowiedzieć.

14 lipca

Ks. Kapalski ze zwykłą sobie energią zaczął od rana czynić zabiegi, żeby otworzono kościół. W rezultacie leutnant żandarmerii pozwolił dziś odprawić nabożeństwo, lecz zaraz potem kościół zamknięto. W niedzielę księża będą mogli odprawiać nabożeństwo w kościółku na cmentarzu, lecz bez udziału publiczności.

Jak się okazało, żydowskich zwłok Niemcy nie palą tu na miejscu, lecz samochodami przewożą do Zamościa i dopiero tam palą je na Rotundzie.

Od wczorajszego dnia bez przerwy słychać silną kanonadę artyleryjską. Jak głosi nie sprawdzona zresztą wieść, wojska radzieckie forsują Bug w okolicy Włodzimierza i Sokala.

W Zamościu Gestapo przyszło aresztować młodego Stanisława Żmindę, syna znanego zegarmistrza. Ten przez strych przedostał się na dach i przechodził na sąsiednie dachy, lecz zaczepił się o druty o dużym napięciu i porażony prądem spadł z II piętra zabijając się na miejscu. W organizacji był bardzo czynny.

15 lipca

Chwilami przy powiewie wiatru od strony cmentarza żydowskiego dolatuje do nas silny fetor rozkładających się zwłok.

Artylerię słychać prawie bez przerwy. Jednak dokładnie nie możemy dowiedzieć się, gdzie strzelają. Jedynie tylko plotka głosi o forsowaniu Bugu pod Sokalem.

Ubiegłej nocy Niemcy przyłapali w Kawenczynku i aresztowali sędziego Witoszkę „Marka", obecnego adiutanta komendanta obwodu „Łysia" v. „Norwega", następnie „Wilczka" ze Zwierzyńca, sołtysa Ćwika, rodzi-

nę Panasów i in. Ogółem około 15 osób. Oczywiście wywołało to wielkie poruszenie i zaniepokojenie. Wszyscy aresztowani są bardzo popularni i w razie dochodzenia może ulec wsypie ogromna liczba ludzi. Szpital też jest zagrożony, ponieważ Panasowa przez dłuższy czas była u nas posługaczką, dopiero przed miesiącem wyszła za mąż. Widziała wszystkich przewijających się przez nasze mieszkanie „ludzi z lasu", których potem spotykała w Kawenczynie w mundurach i w pełnym uzbrojeniu. Ja też czuję się trochę niewyraźnie i niepewnie. Przyczynia się do tego jeszcze i to, że przychodził dziś obcy żandarm (nie z naszego posterunku) i pytał o mnie, mając w notesie zapisane moje nazwisko. Nie wiem, po co byłem mu potrzebny.

16 lipca

Dziś o 10 rano Niemcy zakończyli swoje czynności na cmentarzu żydowskim i wyjechali. Drogi wolne, kościół na cmentarzu dostępny dla wszystkich. Jednak nie wiemy dokładnie, co oni tam robili. Coś kopali, odgrzebywali zwłoki — na co wskazywał smród — coś wywozili, ale czyż mogli w ciągu trzech dni przewieźć parę tysięcy trupów znajdujących się w stanie zupełnego rozkładu?

Strzały armatnie słychać coraz głośniej. Podobno wojska radzieckie zajęły już Sokal.

Aresztowanych wczoraj Niemcy trzymali najpierw na „Cetnarze", potem przewieźli do Zwierzyńca i umieścili w areszcie na posterunku Policji Polskiej. Jest nadzieja, że ich wypuszczą. Usilne starania o to są w pełnym toku.

Przyjechał i nocuje u nas „Adam". Wraca z odprawy w Lublinie. Po Głogu czyli majorze „Kalinie" obejmuje inspektorat zamojski. Zapewne zajdą duże zmiany personalne. Parę godzin rozmawialiśmy o historii oddziałów partyzanckich. Przejrzał pierwszą część mojego pamiętnika wojennego, przepisaną już na maszynie. Dał mi do przeczytania kilka zasadniczych meldunków nadesłanych do inspektoratu, żebym mógł zorientować się, jaki zawierają materiał. Niestety, warunki zmuszają do niszczenia tych niezmiernie cennych dla historii dokumentów. W czasie ostatniej akcji, w końcowych dniach czerwca, w krytycznym momencie zniszczono część archiwum inspektoratu. Jest to strata niepowetowana. Zaginął materiał naprawdę najcenniejszy, ponieważ w archiwum pozostawiano tylko akta i dokumenty najważniejsze, o znaczeniu zasadniczym, co pewien czas systematycznie paląc cały balast archiwalny ze względu na trudności przechowywania go. Ale i ta makulatura z pewnością też byłaby cennym materiałem dla historyka.

„Adam" bardzo narzekał na złą organizację służby zdrowia w obwodzie zamojskim. Dotychczasowy szef sanitarny obwodu dr Tyczkowski — jak mi powiedział „Adam", został usunięty z tego stanowiska „za bezczynność". W tych dniach będzie mianowany nowy szef sanitarny obwodu. Przypuszczam, że zostanie nim dr „Jaga" Jóźwiakowski. Znając wszystkich lekarzy w powiecie uważam, że on byłby najodpowiedniejszym. W tym sensie wypowiedziałem „Adamowi" swoje zdanie, gdy mnie zapytał o Jóźwiakowskiego. Przy sposobności „Adam" upewniał mnie, że dr

Bieńkowski w Zamościu jest jednak Volksdeutschem i do żadnych czynności w organizacji dopuszczony być nie może. To mnie zdziwiło, bo nie tak dawno Bieńkowski był w Szczebrzeszynie i w Radecznicy, gdzie miał do załatwienia pewne sprawy konspiracyjne służby zdrowia, mianowicie zorganizowanie szkolenia sanitariuszy i sanitariuszek.

„Adam" sądzi, że mniej więcej za 3 tygodnie Rosjanie będą już u nas.

17 lipca

„Marka" — Witoszkę i towarzyszy wypuszczono na wolność. Pozostał jeszcze na posterunku tylko sołtys Ćwik i goniec Świstek, ale prawdopodobnie i oni zostaną zwolnieni.

Dziś w szpitalu odbyła się pierwsza odprawa lekarzy w obecności komendanta obwodu „Wyrwy" i komendanta rejonu „Komara". Omawiano sprawy służby zdrowia.

Z komunikatów radiowych i z ustnych relacji wielu ludzi wynika, że wojska niemieckie cofają się ponickąd w nieładzie z frontu wschodniego na zachód. Widać, że Niemcy nie mają dostatecznych sił, żeby powstrzymać tę całą nawałę ze wschodu, która zaczyna już przekraczać granicę Prus Wschodnich. Zdaje się, że Niemcy liczą się z możliwością zastosowania gazów bojowych, ponieważ widziano teraz w paru miejscowościach (w Zamościu i w Zwierzyńcu) forsowne ćwiczenia żołnierzy w maskach na twarzy. W Zamościu nawet konie miały maski na pyskach.

Zestawiając komunikaty ze wszystkich frontów i patrząc na to, co się dookoła dzieje, mamy chwilami wrażenie, że jesteśmy już w przededniu ostatecznego rozstrzygnięcia wojny z Niemcami.

18 lipca

Głównym tematem rozmów jest front wschodni. Wciąż słyszy się o Włodzimierzu, o Hrubieszowie, o Sokalu, o Bełzie itd.

Pod wieczór nagle rozeszła się wieść, że „czarni" już się pakują i ładują rzeczy na furmanki. Okazało się, że otrzymali rozkaz gotowości do wyjazdu w każdej chwili. To samo magistrat. Zarządzeniem niemieckich władz samorządowych w Zamościu na burmistrza wyznaczono bardzo skromnego urzędnika magistrackiego Sygita, na sekretarza zaś Skórczyńskiego, b. sekretarza gminy Sułów. Moment opuszczenia miasta przez Niemców uzależniony jest od postępu ofensywy radzieckiej od strony Sokala, który został zajęty wczoraj wieczorem.

Od Niemców masowo uciekają tzw. „czubaryki". Dzisiejszej nocy zwiało ich przeszło 30. Szukano ich potem po całym mieście, w chałupach na peryferiach.

Ludzie w podnieceniu i napięciu oczekują dalszego rozwoju wypadków.

19 lipca

O 4 rano wyjechał „Arbeitsamt". Urząd pocztowy zlikwidowano, pozdejmowano nawet szyldy i skrzynki pocztowe, pozostała jeszcze tylko centrala telefoniczna.

Magistrat niemiecki od wczorajszego wieczora jest gotów do wyjazdu. Całą noc urzędnicy pełnili dyżury przy telefonie oczekując ostatecznego rozkazu ewakuacji. Przekazanie urzędowania odbywało się formalnie, kasa protokólarnie oddana w porządku.

Żandarmi wysłali swej tabory i akta, sami zostali tylko z bagażem podręcznym.

W dzień rozeszła się pogłoska, że Niemcy podjęli na froncie wschodnim gwałtowną kontrofensywę, wobec czego ewakuacja została wstrzymana co najmniej na kilka dni. Ludność zaczęła się martwić i denerwować. — Lecz po południu nastąpił nareszcie tak upragniony wyjazd „czarnych" i urzędników niemieckich. Popili się przedtem setnie, strzelali nieszkodliwie i samo opuszczenie przez nich miasta odbyło się właściwi spokojnie, bez żadnych ekscesów. Żandarmi jeszcze są.

Starostwo z Zamościa wyjechało. Ewakuacja Zamościa w całej pełni.

Na szosie ruch bardzo duży, głównie samochodowy. Jedni jadą na Zamość — Lublin, drudzy w przeciwnym kierunku — na Biłgoraj — Krzeszów, chociaż mniej, bo ta trasa uważana jest za nie całkiem bezpieczną ze względu na „bandy". Wojskowych samochodów pojedynczych i całych długich kolumn — mnóstwo. Wszystkie maszyny przeładowane najrozmaitszymi rzeczami — wojskowym sprzętem i prywatnym bagażem. Typowy odwrót, jakże miły naszemu oku.

Kilka razy w ciągu dnia wychodziłem na miasto, żeby samemu wszystko widzieć. Nie należy tylko zbyt jawnie okazywać swego zadowolenia, bo można narazić się na nieprzyjemność. Jednej z pracownic szpitala jakiś Niemiec nawymyślał nawet w sklepie za to, że jakoby miała do kogoś znacząco mrugnąć.

Pomimo ogólnej radości z powodu ucieczki Niemców nastrój w mieście bardzo trwożny. Ludzie z ust do ust powtarzają sobie różne plotki o przymusowej ewakuacji, o zabieraniu mężczyzn, o rabunkach itp. Niektórzy zakopują i chowają cenniejsze rzeczy, artykuły spożywcze, inni całkiem opuszczają na pewien czas miasto. My w szpitalu nie czynimy żadnych przygotowań. Wszystko idzie zwykłym trybem. Mamy tylko upatrzone miejsca, gdzieby na terenie szpitala można było w ostatniej chwili ukryć mężczyzn w razie, gdyby nas chciano zabrać, jak to, podobno, robiono w niektórych miastach.

20 lipca

Przyjechała Ortskomendantura. Bez ceremonii usunięto magistrat i zajęto jego lokal. Magistrat przeniósł się do lokalu poczty.

Ruch na szosie znacznie większy niż wczoraj. Ukazały się samochody na gąsienicach, tankietki, czołgi. Wszystko to dąży ze wschodu na zachód.

W mieście zdenerwowanie coraz większe. Ludzie pakują się i przygotowują do wyjazdu.

W obwodzie i w oddziałach partyzanckich wre gorączkowa praca. Do Zamościa posłano dziś rozkaz, ażeby członkowie organizacji wraz z rodzinami opuścili miasto. Przewiduje się mobilizację w szerszym zakresie. Nasze oddziały mają być czynne w końcowej fazie odwrotu Niemców.

21 lipca

Całą noc, prawie bez przerwy, jechały szosą samochody.

Dzisiaj Niemcy uciekają już na całego. U nas wszystko od rana wieje na Biłgoraj. Rzadko kiedy przemknie jakieś auto w kierunku na Zamość. Jadą samochody i długie kolumny wozów konnych. Sporo ludzi idzie pieszo. Niby wszystko odbywa się w porządku, ale znać aż nadto wyraźnie silne zdenerwowanie. Być może przyczynia się do tego wiadomość, która zatacza coraz szersze kręgi, że był zamach na Hitlera, że został on ranny, że rząd przeszedł w ręce Goeringa i Himmlera.

Z więzienia w Zamościu wypuszczono więźniów, jednak pewną liczbę rozstrzelano.

Po południu ruch na szosie coraz większy. Głównie w kierunku na Biłgoraj. Samochody jadą nie tylko szosą, lecz i drogą boczną koło szpitala na Błonie, Topólczę.

O godz. 4 po południu pojechałem do Kawenczyna. Prawie w każdym ogrodzie czołgi i samochody na gąsienicach. Widziałem się z „Wyrwą", „Łysiem-Norwegiem" i całym sztabem. Mają zmienić miejsce postoju ze względu na obecność we wsi wojska. Zalecony jest wyjazd rodzin z naszego rejonu. Lekarze mają pozostać na miejscu.

Pod wieczór narasta nasilenie ruchu na szosie. W mieście zatrzymują się na nocny postój liczne samochody i furmanki po sadach, placach i nawet u nas na podwórzu szpitalnym. Nagle około godz. 8 wszyscy otrzymali rozkaz natychmiastowego opuszczenia miasta. Od razu zakotłowało się jak w mrowisku. Od strony Zamościa nieprzerwaną wstęgą szły kolumny na Zwierzyniec — Biłgoraj. Około godz. 10 zauważyliśmy, że ruch na szosie zaczyna zmieniać kierunek: ukazały się długie kolumny, ale już od strony Zwierzyńca i od Kawenczyna. Zresztą jechały jeszcze samochody i na Zwierzyniec, tylko już było ich znacznie mniej. Oficerowie, przejeżdżający koło szpitala zaczęli wypytywać o drogę na Frampol — Janów lub Turobin — Lublin. W mieście tworzyły się ogromne zatory, słychać było wrzaski, krzyki, nawoływania i przekleństwa. Zrozumieliśmy, że Niemcy mają drogi w niektórych miejscach poprzecinane, że się gubią, że nie wiedzą dokąd jechać, że wpadają w pułapkę.

U mnie w szpitalu zabrano konie, w ogóle chwytano je, gdzie się tylko dało.

Odwrót zamienił się w ucieczkę, której zaczął już towarzyszyć wyraźny popłoch.

Pod wpływem nastroju, jaki się wytworzył, w pewnym momencie chłopcy z piekarni Ćwika, naprzeciw szpitala, zrzucili ze ściany niemiecki szyld z napisem „Beckerei...". Z pewnością jest to pierwszy strącony w Szczebrzeszynie szyld niemiecki. Pomimo całej niepewności sytuacji serca nasze na ten widok wezbrały radością.

22 lipca

Noc mieliśmy okropną. Samochody jechały bez przerwy — wszystkie od strony Biłgoraja.

W szpitalu długo nikt nie kładł się spać, lecz wszyscy byli na swoich miejscach z wyjątkiem jednego dra Matuszewskiego, który wczoraj wieczorem wyjechał na wieś, żeby tam ulokować żonę i wrócił dopiero dzisiaj o godz. 10 rano. W nieprzyjemny sposób naraził przez to swoją opinię wobec wszystkich chorych i pracowników szpitala.

O godz. 2 w nocy wyjechała „nasza" żandarmeria.

Późnym wieczorem na szosie rozłopskiej Niemcy zabili Konstantego Jóźwiakowskiego, młynarza, rodzonego brata dra Jóźwiakowskiego i Stanisława Michalskiego, właściciela tzw. „budy" kursującej pomiędzy Szczebrzeszynem a Zamościem.

Wczesnym rankiem jeszcze pędziły kolumny samochodów i wlokły się tabory konne. Furmani wzięci na „forszpan" mówili, że zawrócili ich od Hedwiżyna i od Rap pod Biłgorajem.

O 10 rano ruch na szosie już jest bardzo mały. Chwilami panuje dziwny spokój. Słychać od południa strzały armatnie chyba najdalej z odległości 20 kilometrów.

Z Zamościem połączenia telefonicznego już nie ma. Ostatnia rozmowa odbyła się o godz. 3 min. 30 w nocy. Telefonistka z centrali wojskowej powiedziała tylko: „do widzenia"!

Na strychu nad wysokim spichrzem szpitalnym Niemcy zainstalowali dziś punkt obserwacyjny dla lornetowania szosy Szczebrzeszyn — Zwierzyniec.

O godz. 5 min. 20 zdjęto z naszego spichrza obserwatorów. Odchodząc powiedzieli nam, że Sowieci zbliżają się i radzili przenieść chorych z pięter na parter.

W tym samym czasie zaczęła się silna kanonada w stronie Zwierzyńca i za Brodzką Górą.

Niemcy przystąpili do wysadzania torów kolejowych.

W szpitalu wszczęła się gorączkowa praca. Przenieśliśmy niektórych chorych z piętra na parter. Z sal parterowych, bardziej od innych narażonych na strzały armatnie, przenieśliśmy chorych na korytarz, najlepiej zabezpieczony przez grube mury i sklepienia.

Godz. 8,30 wieczorem

Kanonada bardzo silna — już znacznie bliżej. Pali się stacja Klemensów.

Od czasu do czasu słychać jakieś silne wybuchy. To Niemcy wysadzają mosty i inne obiekty.

Godzina 9 wieczór.

Zjawił się młody, energiczny „Sztabsarzt" i oświadczył, że chce natychmiast dokładnie zwiedzić cały szpital. Po szczegółowym obejrzeniu kazał w ciągu dwóch godzin, czyli do godz. 11, opróżnić cały parter przenosząc wszystkich naszych chorych na piętro. Ze szpitala nie wolno nic wynieść z wyjątkiem osobistych rzeczy pracowników. Za usiłowanie ukrycia lub wyniesienia produktów spożywczych będzie zastosowana kara

śmierci. W naszym mieszkaniu zajął jeden pokój dla siebie na kwaterę. Wszystkie zarządzenia były wydawane w formie nadzwyczaj kategorycznej, nie dopuszczającej żadnego sprzeciwu.

Rzuciliśmy się do roboty. Trzeba było ze wszystkim śpieszyć się, bo zaraz nadjechały samochody wojskowe i żołnierze kręcili się po całym szpitalu. Oprócz przenoszenia chorych i oczyszczania sal na parterze musiałem zająć się usunięciem ze składu, znajdującego się przy moim mieszkaniu, materiału opatrunkowego i cenniejszych leków. Rozmieściłem to w mieszkaniach sióstr i gospodyni oraz na salach chorych, pod łóżkami.

Na godz. 11 mieliśmy już wszystko gotowe. Oczywiście nieład wszędzie był okropny, napchaliśmy chorych do małych sal na piętrze, najrozmaitsze rzeczy i sprzęty szpitalne porzucaliśmy byle jak, aby tylko zdążyć i nic na dole nie zostawić.

A tymczasem strzelaninę słychać było coraz bliżej. Niektóre wybuchy tak blisko, że szyby drżały, ludzie zaś wrażliwsi przysiadali ze strachu. Po niektórych detonacjach wybuchały pożary. Paliło się dookoła w różnych miejscach i gdy ściemniło się, olbrzymie łuny zaróżowiły całe niebo.

Wojsko zagospodarowało się na dobre, zajęto nam kuchnię i coraz to czegoś nowego żądano. Zaczęto przywozić rannych. Lekko rannych lokowano w kościele św. Katarzyny obok szpitala, na posadzce, ciężko rannych w szpitalu na łóżkach i na siennikach rozłożonych na podłodze. Często nadlatywały samoloty radzieckie i chociaż bomb na naszym terenie nie zrzucały, to jednak żołnierze przerywali pracę, przestawali znosić rannych z sanitarek i szczelnie zamykali drzwi zewnętrzne od ulicy i od podwórza ze względu na światło.

Te ciągłe detonacje, pożary, naloty, widok ciężko rannych Niemców (tzw. „rąbanka") i gorączkowy ruch żołnierzy wytworzyły u nas specyficzny nastrój. W piwnicy, czyli w schronie, zgromadziło się sporo osób nie tylko spośród pracowników szpitalnych, lecz i z domów sąsiednich. Jedni rozłożyli się na ławkach i spali, inni drzemali siedząc, a wszyscy jednakowo się bali. Siostry szpitalne były zupełnie opanowane i znajdowały się cały czas na piętrze w pobliżu swoich chorych i rannych, których pilnowały z wyróżniającą się pieczołowitością. Ja starałem się być wszędzie. Kręciłem się po szpitalu kierując całą akcją przenoszenia i wydając odpowiednie zarządzenia. Dopiero koło 1 w nocy położyłem się, żeby choć trochę się zdrzemnąć — oczywiście nie rozbierając się.

23 lipca

Wstałem o 4 i swoim zwyczajem zacząłem krążyć po całym szpitalu przyglądając się temu, co się dzieje.

Wciąż przywożono coraz to nowych rannych. Przed szpitalem ustawiła się bardzo długa kolumna sanitarek. Nie było widać jej końca. Zapełniono rannymi cały kościół i cały parter gmachu szpitalnego. Około godziny 6 rano zaczęto lżej rannych ładować do samochodów i wyprawiać na Gorajec — Frampol do Janowa. Jednak Niemcy nie mieli pewności, czy tam dojadą, o czym otwarcie mówili.

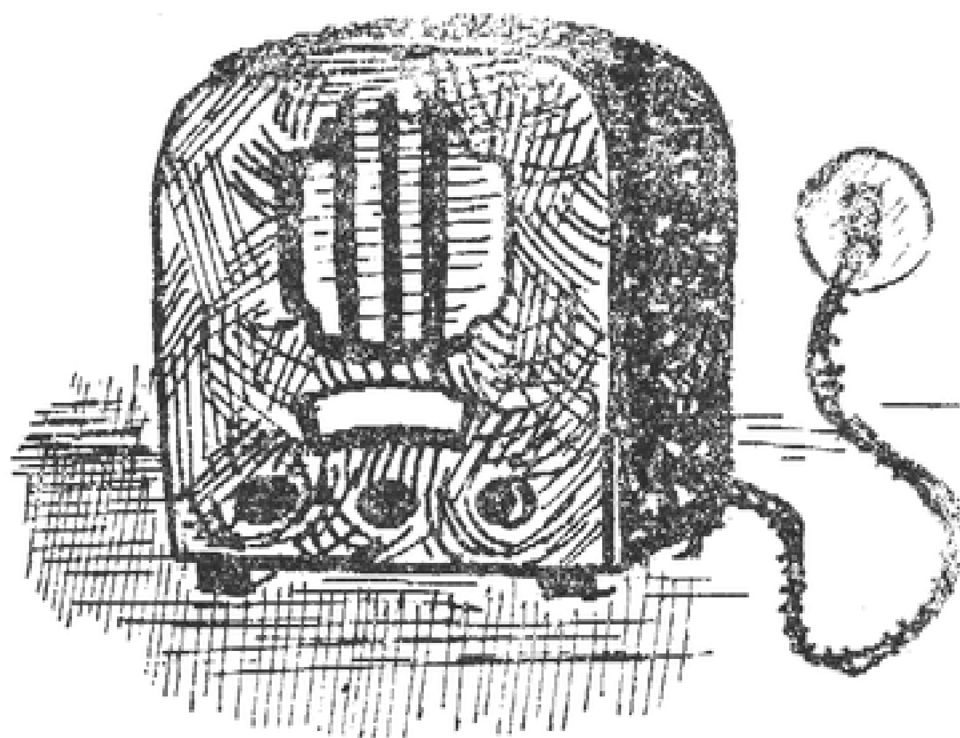
Rannych zwożono przez cały dzień. W miarę możności zaraz odsyłano ich dalej innymi samochodami. Pierwsze transporty rannych przychodziły ze szpitala wojskowego w Zamościu, następne już bezpośrednio z frontu. Ranni ci mieli nałożone tylko pierwsze, prowizoryczne opatrunki. Wygląd ich był żałosny: brudni, obrośnięci, wyczerpani, wyniszczeni, skrwawieni. Opieka sanitarna tutaj prawie żadna. Lekarz tylko jeden, lecz ten do poszczególnych rannych nawet nie podchodził. Zadaniem jego było jedynie rozlokowanie ich i zorganizowanie dalszego transportu. Rannymi zajmowali się tylko dwaj sanitariusze zastrzykując morfinę lub kamforę. Opatrunków nie robiono żadnych, czasem w wyjątkowych tylko wypadkach.

Lekarz okazał się człowiekiem zupełnie sympatycznym, dużo z nami rozmawiał (po francusku), myśmy zaś korzystali z jego uprzejmości i przychylnego nastawienia, żeby cokolwiek dowiedzieć się o sytuacji ogólnej i naszej. Okazało się, że wczorajsze detonacje pochodziły nie od kstrzałów artylerii, lecz od wybuchów min, którymi wysadzano tory kolejowe, stacje itp. Wzięty został Chełm, Rejowiec. Szosa na Lublin między Zamościem a Lublinem przecięta. Nie mają już którędy uciekać.

O godz. 3 min. 30 Rosjanie bombardowali Zamość. Bomby spadły, podobno, tylko na jezdnię, gdzieś koło Ogrodu Zoologicznego.

Bezpośrednio po tym ruch na szosie od strony Zamościa wzmógł się jeszcze bardziej.

U nas miasto wyludniło się w znacznym stopniu. Cywilów na ulicach bardzo mało. Kto tylko mógł usunął się w bezpieczniejsze miejsce. Dr Jentys z rodziną, dr Spoz i dr Warchałowska siedzą na Szperówce. W mieście oprócz mnie i dra Matuszewskiego pozostał jeden tylko dr Jóźwiakowski.



Lekarz niemiecki zajął w naszym mieszkaniu jeden pokój, we wspólnym zaś przechodnim ustawił aparat radiowy. Prawie po 5-letniej przerwie usłyszeliśmy u siebie dźwięki radia. Lekarz zdradzał coraz większe zaniepokojenie i nie mógł opanować zdenerwowania. Pytał moją żonę i kuzynkę, czy nie można by na mieście kupić gdziekolwiek ubrania cywilnego. Jedna z jego sanitariuszek, kupiwszy na mieście jakąś sukienkę cywilną, już uciekła.

24 lipca

Wczoraj wieczorem położyłem się spać zupełnie normalnie, całkowicie rozebrany. Po dwóch poprzednich, nieprzespanych nocach, kiedy wcale się nie rozbierałem, 8 godzin nieprzerwanego snu wzmocniło mnie znakomicie i dzisiaj czuję się bardzo dobrze.

W nocy Niemcy wywieźli wszystkich swoich rannych. Ruch na szosie ogromny. Wszystkie kolumny jadą teraz tylko na Frampol.

Na Brodzkiej Górze ustawiono działa przeciwlotnicze. Widzimy je doskonale.

Godz. 10 rano.

Niemcy bardzo niespokojni, denerwują się. Mówią już otwarcie, że ze wszystkich stron są otoczeni i drogi mają odcięte, jeśli nie przez oddziały radzieckie, to przez polskich partyzantów. Jadą wyłącznie na Frampol z nadzieją, że stamtąd może przebiją się jakoś do Janowa.

Od wybuchu pali się coś w Żurawnicy.

W południe szpital niemiecki opuścił nasze mury. Pozostał jednak jakiś punkt opatrunkowy.

Właśnie w tym czasie ustał dopływ prądu elektrycznego z Zamościa.

Około godziny 1 wszczął się pożar w Kawenczynie.

Godz. 2

Drogą koło szpitala przesunęły się czołgi i kilka „tygrysów" w stronę Kawenczyna.

Na podstawie różnych oznak węszymy walkę coraz bliżej. Znieśliśmy chorych znów z piętra na parter, zwolniony przez Niemców.

Godz. 3 min. 30

Dochodzą niepokojące wieści, że jakiś nasz oddziałek partyzancki został rozbity przez Niemców pomiędzy Szperówką a Kawenczynem.

Przez miasto przejeżdża teraz znacznie mniej samochodów. Chwilami na ulicach i na rynku całkowicie pusto, ani żywej duszy.

Żołnierze niemieccy chodzą po mieście i rabują, co się da. Dziś rozbito sklepy i magazyny „Rolnika". Część ludności cywilnej, pozostała jeszcze w mieście, gorliwie im w tym pomagała.

Pod wieczór odjechał niemiecki punkt opatrunkowy. W spadku pozostawili nam Niemcy 4 swoich żołnierzy, zakopanych w rowie przeciwlotniczym i troje zwłok w kostnicy. Szpital jest już bez Niemców. Jest to o tyle niedobre, że łatwiej mogą teraz do nas wtargnąć maruderzy i rabusie.

Z wieczora widzimy dookoła łuny pożarów.

O godzinie 11 słyszymy bardzo silny wybuch.

25 lipca

Noc ciężka. Zdawało się nam, że wojska jest już znacznie mniej, tymczasem znów napchało się mnóstwo rozmaitych formacji. Wozy konne, samochody, czołgi itp. jechały całą noc we wszystkich kierunkach. Hałas straszny. Nie rozbieraliśmy się zupełnie. W sumie przespałem zaledwie parę godzin.

Od rana wszędzie widzimy pełno wojska. Typowo frontowe. Dużo artylerii. Żołnierze wciąż zachodzą po coś na podwórze szpitalne. Straszą nas, że jak Sowieci puszczą na miasto kilka bomb, to wszystko pójdzie w gruzy. U nas ludzie są już ogromnie pomęczeni, nerwowo wyczerpują

się coraz bardziej, trudno zapędzić ich do roboty. A brud, zaśmiecenie i nieład w szpitalu nie do opisania. Niepewność dalszego losu i to, że się tak przedłuża oczekiwanie upragnionego końca, niezmiernie przygnębia.

Po południu ruch coraz bardziej gorączkowy, bezładny — w różnych kierunkach. Przed szpitalem wciąż zatrzymują się pojedyńcze samochody i oficerowie z mapami w ręku pytają o drogę na Frampol. W dalszym ciągu jest to jedyna droga, którą mają jeszcze nadzieję wyrwać się z otaczającego ich pierścienia. Uciekają na własną rękę.

Coraz więcej przesuwa się czołgów. Gdy jeden z „Tygrysów" wjechał koło szpitala na chodnik z płyt betonowych, to pogruchotał go na drobne kawałki.

Z Brodzkiej Góry zabrano stojące tam od wczoraj działka przeciwlotnicze.

W południe jacyś oficerowie oglądają nasz schron. Mówią, że niemieckie „Stukasy" będą bombardowały miasto. Na dachu jednego z zabudowań szpitalnych rozłożyli czerwoną chorągiew z czarną swastyką. Z rozmowy jaką prowadzili między sobą zrozumieliśmy, że w odpowiedniej chwili wszyscy cywile pójdą „raus", schron zaś zajmą sami Niemcy. Miła perspektywa!

Od dra Spoza, który w tym czasie powrócił do domu ze Szperówki z żoną i synkiem, dowiedzieliśmy się, że na polach koło miasta leży dużo rozłożonych takich samych chorągwi niemieckich. — Marysia Matuszewska też jest już w domu.

Ze Szperówki coraz więcej ludzi wraca do miasta, bo tam zaczyna być niebezpiecznie.

Zwierzyniec jest już w rękach wojsk radzieckich.

O godz. 3 na podwórzu szpitala w odległości kilkunastu metrów od gmachu głównego Niemcy ustawili czołg, maskując go gałęziami, z działem skierowanym na szosę Zwierzyniecką i Brodzką Górę.

Do miasta wtłacza się coraz więcej taborów i wojska frontowego. O godz. 5 min. 30 pali się coś jakby na Szperówce.

Zabici zostali przez Niemców Piotr Niechaj „Szpak" krawiec wiejski z Błonia, bardzo czynny i zasłużony w organizacji i Tałanda piekarz ze Szczebrzeszyna. Władysław Samulak z Kawenczyna, też czynny członek A. K., ciężko ranny w brzuch przywieziony do szpitala.

W pobliżu Szperówki w potyczce wczorajszej, bardzo nieudolnie — jak zgodnie twierdzą oficerowie i żołnierze — kierowanej przez por. „Sikorę" Żeleźnickiego, zginął Ćwik z Kawenczyna i Zbyszek „Sas" Jaworski.

Wiedziałem, że planowane było wkroczenie do Szczebrzeszyna naszych oddziałów partyzanckich w krótkim czasie po wysadzeniu mostu, ponieważ z tą chwilą Niemcy musieli już szybko opuścić miasto.

O godz. 3 usiadłem w oknie na 1 piętrze, wychodzącym na ulicę, z widokiem na szosę od strony Błonia i na Rynek. Wypatrywałem naszych chłopców. Panowała zupełna cisza, czasem tylko pies zaszczekał. Około godz. 4 na szosie od strony Zwierzyńca słychać było posuwające się tabory konne, lecz wkrótce i to ustało.

Niestety naszych nie widać! Już się całkiem rozwidniło. Coraz śmielej zaczęli wyłazić z domów cywile i rozglądać się po ulicach. A my wciąż

oczekiwaliśmy choćby małej garstki naszych żołnierzy, którzy by pierwsi przed wojskami radzieckimi weszli do miasta.

O godz. 4 min. 30 dano mi znać, że na szosie w kierunku zwalonego mostu posuwają się jakieś 4 postacie. Przez lornetkę rozpoznałem żołnierzy radzieckich. Przeszli prawie do samych resztek mostu i zawrócili.

Wciąż jeszcze miałem nadzieję, że nasi pokażą się lada chwila.

W tym czasie kazałem zdjąć niemiecko-polski szyld na szpitalu i zawiesić dawny, przedwojenny, polski.

Poszliśmy obejrzeć wysadzony most. Zburzono go doszczętnie. Niemiło było patrzeć na te zwaliska w wodzie. Przypomniałem sobie jak to na krótko przed wojną odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie tego doskonałego żelazo-betonowego mostu przez starostę Sochańskiego.

Około godz. 6 min. 30 zawiadomiono mnie, że 4 żołnierzy radzieckich przeszło już na naszą stronę rzeki. Siedzą sobie i rozmawiają z gromadzącymi się ludźmi.

Około godz. 7 min. 30 od strony mostu zaczęli posuwać się szosą ku rynkowi malutkimi grupkami, po kilku, żołnierze i oficerowie radzieccy.

O godz. 8 do szpitala podszedł oficer z paroma żołnierzami, z którymi rozmawiałem już na moście.

Gdy tak z nimi rozmawiałem, nagle usłyszałem jak któraś z sióstr krzyknęła „nasi chłopcy idą!". Rzuciłem wszystko i wybiegłem na ulicę przed szpital.

Od strony Błonia w dwuszeregu szło dwudziestu kilku uzbrojonych młodych chłopaków w mundurach z czerwonymi szalikami na szyjach, z biało-czerwonymi opaskami na lewym ramieniu.

Ludzi ogarnął szał. Krzyczeli, płakali, rzucali kwiaty...

Pośpieszyłem na Rynek. Tu przed ratuszem, od strony frontowej, jak się wchodziło do żandarmerii, uwijał się na koniu „Podkowa", również w mundurze i z biało-czerwoną opaską, obwieszony kwiatami. Obok niego adiutant „Korczak" Siwiński.

Uściskałem „Podkowę", z największym trudem opanowując wzruszenie.

Na ratuszu zawieszono biało-czerwoną chorągiew. Natychmiast kazałem zrobić to samo i w szpitalu, mając schowaną w ukryciu chorągiew przedwojenną.

Po chwili „Podkowa" zjawił się w szpitalu, zamierzając w naszej kancelarii założyć swą tymczasową kwaterę. Poszliśmy z nim na sale chorych odwiedzić rannych żołnierzy, lecz zaraz dano znać, że nadjechał radziecki pułkownik, któremu „Podkowa" miał się zameldować. Wyszliśmy razem. Pułkownik stał przy samochodzie. „Podkowa" krótko się zameldował, po czym pułkownik wygłosił do zebranego tłumu dość długie przemówienie w języku rosyjskim. Mówił o Niemcach, o braciach Słowianach, o niepodległej Polsce itp. Upewniał, że władze radzieckie nie będą wtrącały się do spraw wewnętrznych Polski, że pozostawią Polakom zupełną swobodę rządzenia sobą, aby tylko podstawy tego rządzenia były demokratyczne. Trzeba przyznać, że mówcą był pierwszorzędnym. Rozentuzjazmowany tłum obsypał jego i jego samochód kwiatami.

W tym samym czasie wkraczały do miasta coraz to nowe nasze grupy partyzanckie. Coraz liczniej napływały również formacje radzieckie

z samochodami, czołgami, działami i taborami. Ludność ciekawie wszystkiemu się przyglądała.

„Podkowa" pojechał teraz do Klemensowa. Miasto zaś oczekiwało nadejścia ze Szperówki większego oddziału pod dowództwem kpt. „Wacława".

Około godz. 10 min. 30 na Rynku zgromadziła się niemal cała ludność miasteczka. W przygniatającej większości były to kobiety i dzieci, mężczyzn — zwłaszcza młodych i w sile wieku — bardzo mało. W pewnym momencie ujrzeliśmy idące ulicą Frampolską od strony targowicy zwarte kolumny naszych żołnierzy. Na czele kpt. „Wacław". Przed swoimi plutonami lub w pierwszych szeregach „Ikar", „Gruda", „Czeremcha", „Sanok", „Sikora", „Komar", „Nieuchwytny", „Kawka" i tylu innych, tak dobrze znanych mi ludzi, obecnie jawnie występujących jako żołnierze. Delegacja od miasta przystąpiła do kpt. „Wacława" z chlebem i solą. Powitał wojsko nauczyciel Głowacki. Krótko odpowiedział kpt. „Wacław". A tłum dookoła szalał z radości, wiwatował, obsypywał żołnierzy kwiatami, śmiał się i płakał...

Tak było przez cały dzień. W mieście zabrakło kwiatów.

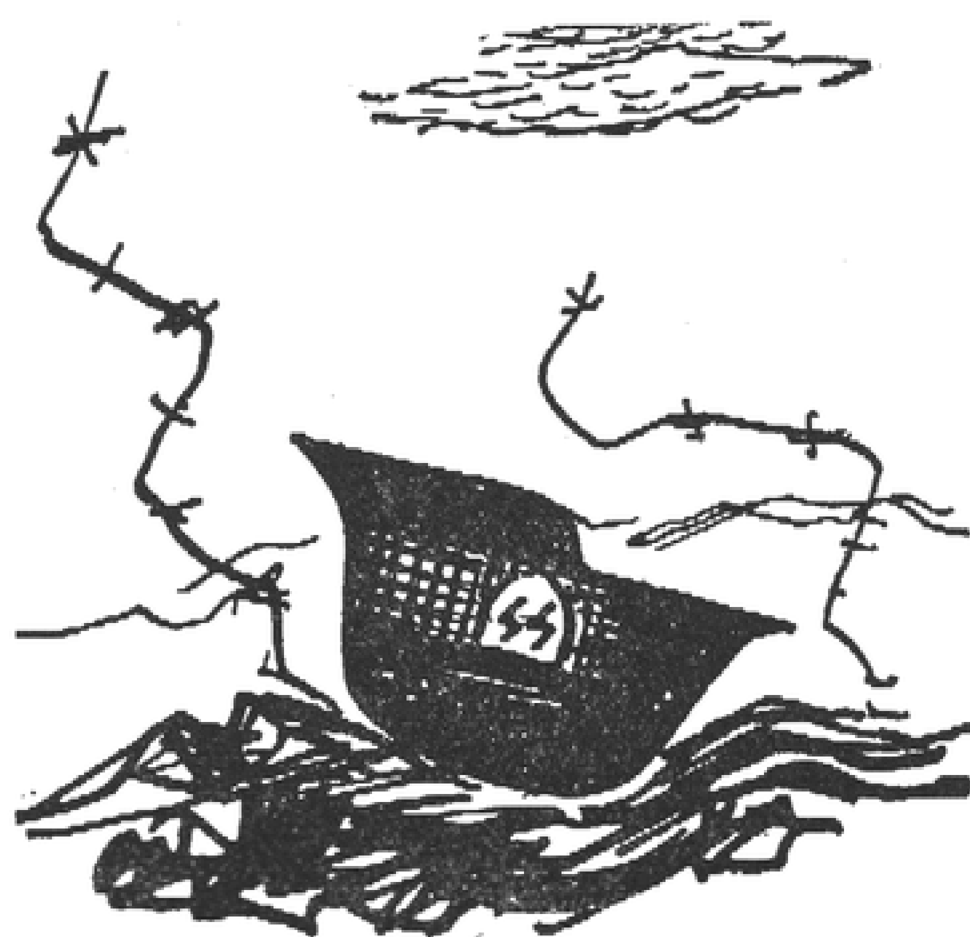
W porze obiadowej zeszli się u nas „Wacław", „Wyrwa", „Sanok", „Gruda", „Kawka" i co chwila zachodził ktoś inny.

Tymczasem do szpitala zwożono rannych, których dotychczas trzymano po wsiach.

Nie będę już mówił o tym, co ja sam osobiście przeżywałem. Tak silnych wzruszeń nie doznawałem jeszcze nigdy w życiu. Chwilami całkowicie traciłem panowanie nad sobą. Na nic się zdały zażywane krople walerianowe.

Wieczorem wyczerpani jesteśmy doszczętnie, lecz samopoczucie nasze nadzwyczajne. Przecież w dniu dzisiejszym zakończył się dla nas już chyba bezpowrotnie — prawie pięcioletni okres straszliwego, potwornego jarzma niemieckiego. Ileż to razy życie nasze i los wisiały na włosku.

Pomimo wszystko twardo i nieugięcie staliśmy na powierzonym nam posterunku, wytrwaliśmy i przetrzymaliśmy!



INDEKS NAZWISK

A

B

C

D

E

F

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Z